

SOPHIA MCDOUGALL

RZYM PŁONIE

ROMANITAS TOM II

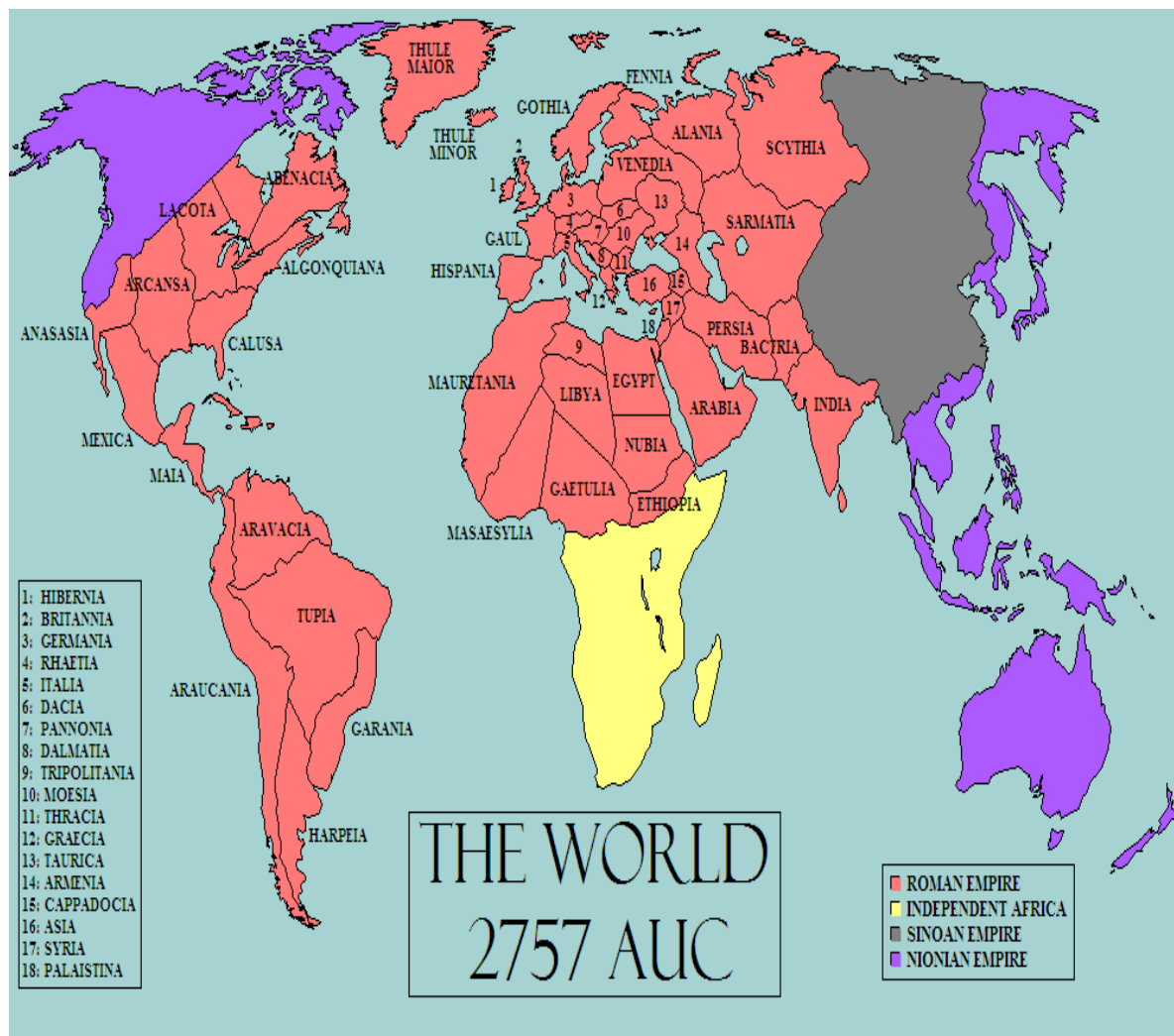
TŁUMACZENIE ARTUR LESZCZYŃSKI



Wydawnictwo
A. Kuryłowicz

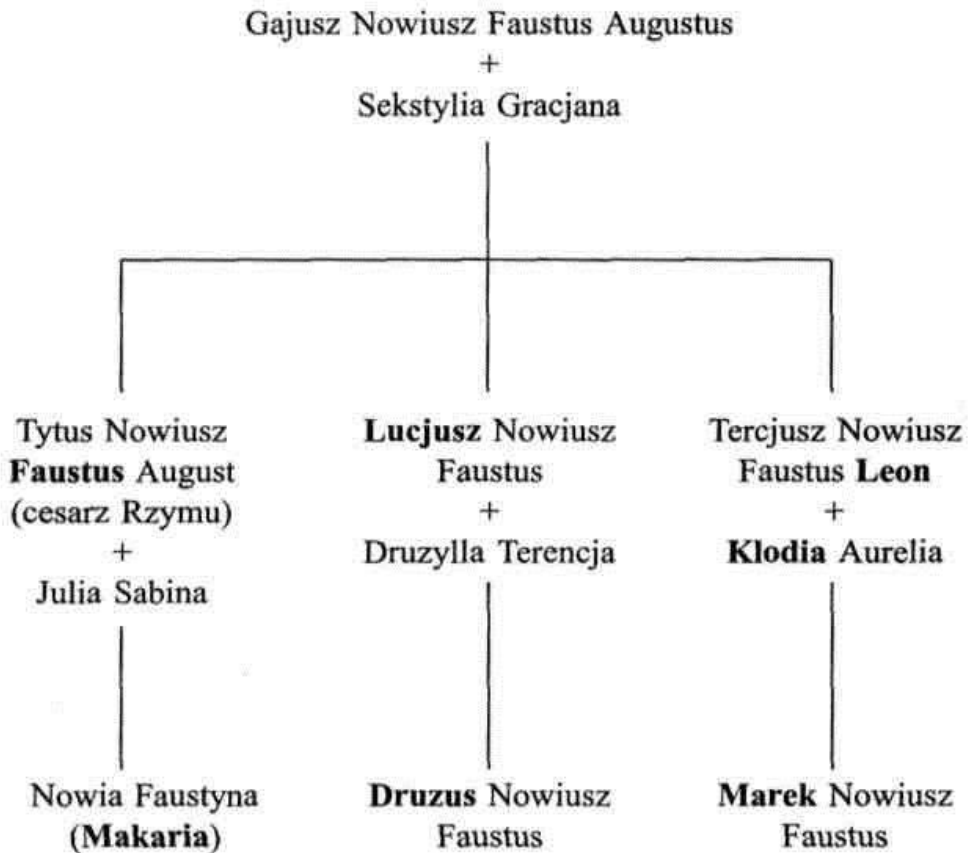
MMIX

Rzym płonie



DYNASTIA NOWIUSZÓW

DRZEWO GENEALOGICZNE RODZINY CESARSKIEJ



SPIS POSTACI

Wszystkie postaci wymienione w tekście. Daty podane w AUC, np. 2757 = 2004 AD

AD - Anno Domini - od narodzin Chrystusa AUC - Ab Urbe Condita - od założenia Miasta (Rzymu)

A

Aechan - niewolnik pracujący w centrali dalmowu w pałacu Amaryllis - imię, jakie Druzus nadał swojej niewolnicy
Ananiasz - niewolnik Anna - niewolnica

Aoi - starsza konkubina na nioniańskim dworze Atro-
nusz - nadzorca niewolników w fabryce broni w Veii, były
oficer wigiliów Aulus - lekarz pracujący w klinice niewolników
w Transtiberinie

B

Baro - niewolnik

Bupe - niewolnica z fabryki broni w Veii

D

Dama - niewolnik, ukrzyżowany za morderstwo w 2753, ale zdjęty z krzyża przez Delira. Ważna postać biorąca udział w zbudowaniu obozu uciekinierów w Pirenejach. Pomagał przy uwolnieniu Marka z Sanktuarium Galena w 2757. Od tej pory nikt go nie widział.

Delir - były kupiec z Persji i zbieg. Po uwolnieniu Damy z krzyża założył obóz dla zbiegłych niewolników w wąwozie Holzarta w Pirenejach, tracąc tym samym rzymskie obywatelstwo.

Druzus - zobacz Nowiusz

Rzym płonie

Druzylla Terencja - ekszona Lucjusza, matka Druzusa

E

Edda - niewolnica Epimachusa

Epimachus - pierwszy mąż Tancorix, mieszkający w Nowomagius w Germanii Erastus - niewolnik Eudoksjusz - senator

F

Falx - specjalista w wywiadzie rzymskim od spraw Nionii Faustus - zobacz Nowiusz Feniusz - członek Gwardii Pretoriańskiej Florens - zobacz Sing-Ji

G

Gabiniusz - przedsiębiorca budowlany zamieszany w spisek, który doprowadził do śmierci Leona, Klodii i Gemelli. Uwięził Wariusza w swoim domu po zniknięciu Marka. Zginął w czasie próby ucieczki łodzią w 2757

Galla - gladiatorka z grupy Zyi

Gemella - żona Wariusza, otruta przez pomyłkę przez Tulliolę w 2757

Geng - rolnik z prowincji Jiangu w Sinie. Syn pani Su Glykon - prywatny sekretarz Faustusa Go-Natoku - cesarskie imię władcy Nionii

H

Helena - zbiegła niewolnica, była mieszkanka Holzarty Huang - handlarz sprzedający sinońskich niewolników do Rzymu Hypatia - przyjaciółka Makarii z Sifhos

J

Jun Shen (dla Rzymian - Junosena) - cesarzowa wdowa
Siny

K

Kato-no-Masaru (dla Rzymian Masarus Kato) - pan Tokogane Kiyowara-no-Sanetomo - pan Goshu Kleomenes - dowódca wigilów

Klodia Aurelia - matka Marka i żona Leona. Wspierała abolicję niewolników. Zginęła zamordowana razem z mężem w 2757

Kosmas - niewolnik

L

Lal - córka Delira, także zbiegła i utraciła rzymskie obywatelstwo Laureus - młody rzymski arystokrata Leon - zobacz Nowiusz

Liuyin - syn urzędnika mieszkający w Jiangning Lucjusz - zobacz Nowiusz

M

Makaria - zobacz Nowia Faustyna

Marek - zobacz Nowiusz

Marinus - zbiegły niewolnik, były mieszkaniec obozu Holzarta Matho - zbiegły niewolnik, prowadzący sklepik w Jiangning Mazatl - współpracownik Damy Meczyliuszowie - rodzina senatorska

Mei - zakupiona jako dziecko wraz z Ziyą i Huang Mimana-no-Fusahira - pan Korei Mizuki - dworka z nioniańskiego dworu Mouli - znajomy Delira w wiosce nieopodal Wuhu, pomagał zbiegłym rzymskim niewolnikom w wydostaniu się z

Siny

N

Noriko - księżniczka nioniańska

Nowia Faustina, nazywana Makarią - jedyne dziecko Faustusa Nowiuszowie - rzymska rodzina cesarska Nowiusz Druzus Faustus - syn Lucjusza i Druzylli Terencji, kuzyn Makarii i Marka.

Nowiusz Lucjusz Faustus - brat Faustusa i Leona, ojciec Druzusa, wuj Marka i Makarii. Cierpi na rodzinną chorobę Nowiuszy - wykluczony z sukcesji Nowiusz Marek Faustus Leon - syn Leona i Klodii, bratanek Faustusa i Lucjusza, kuzyn Druzusa i Makarii. Następca tronu Nowiusz Oppiusz Faustus - pierwszy członek rodu Nowiuszy, który został cesarzem w 2509

Nowiusz Tercjusz Faustus Leon - najmłodszy brat Faustusa i Lucjusza, ojciec Marka. Wyznaczony na następcę tronu, wspierał abolicję niewolników, zamordowany wraz z żoną Klodią Aurelią w 2757

Nowiusz Tytus Faustus August - cesarz Rzymu

O

Oktawia - rozwódka mieszkająca w tym samym budynku co Wariusz Oppiusz - zobacz Nowiusz

P

Paccia - niewolnica

Probus - senator i minister Terranowy Prokulus - zarządca fabryki broni w Veii

Q

Quentin, Memmiusz - doradca Faustusa

R

Rong - dziecko kupione wraz z Ziyą

S

Salwiusz - dowódca legionów rzymskich Sakura - dworka z nioniańskiego dworu Sing-Ji - cesarz Sing, syn cesarzowej wdowy Jun Shen (dla Rzymian - Florens). w Pinyin: Xing Zhi) Sohaku - doradca Kato-no-Masaru Su - matka Genga, rolniczka

Sulien - brat Uny. Były niewolnik obdarzony niezwykłym talentem, urodzony w Londynie. Skazany na ukrzyżowanie w 2757, ale uratowany przez Unę i oczyszczony z zarzutów przez Tancorix Sybilla - pytia w Delfach

T

Tadahito - (dla Rzymian - Tadasius) - nioniański następca tronu, najstarszy syn cesarza Go-Natoku Taira - nioniański pan Tancorix - córka londyńskiej rodziny, która była właścicielami Suliena. Poślubiła Epimachusa, ale zhańbiła się romanssem z niewolnikiem. Mieszka w Rzymie i pracuje jako piosenkarka Tiro - zbiegły niewolnik, były mieszkaniec Holzarty Tomoe - dworka z nioniańskiego dworu Tulliola (Tullia Marcjana) - była żona Faustusa. Aresztowana za udział w spisku, którego ofiarą padli Leon, Klodia i Gemella. Zginęła w areszcie domowym, na pozór z własnej ręki

U

Ulpia - pielęgniarzka Faustusa

Una - siostra Suliena. Była niewolnica o niezwykłych ta-

lentach

W

Wariusz Kajus - dyrektor kliniki dla niewolników w Transtiberinie w Rzymie. Były sekretarz Leona i mąż Gemelli. Oskarżony o zabójstwo i zdradę w 2757, ale później oczyszczony z zarzutów Weigi - tłumacz na sinoańskim dworze

X

Xanthe - córka Tancorix

Y

Yanisen, Marek Wesniusz - zarządca Terranowy

Z

Ziye - była gladiatorka sinoańskiego pochodzenia. Uciekła do obozu w Holzarcie w 2754

*Jak to możliwe, żeby człowiek pragnął zniszczenia ciała
czy duszy innego człowieka, czy śmierci jego dzieci, czy bydła,
jeśli rozumie, że sam jest śmiertelny?*

*Postępując tak, bez litości postępuje i nikt się nad nim nie
ulituje.*

Awesta, fragmenty 48-49

ŻÓŁTY OGIEN

Nie spała wiele tej nocy. Dusiała się pod wilgotnym prześcieradłem, jakby to było futro, a nie cienka płachta materiału; kiedy jednak zrzuciła je z siebie, odniosła wrażenie, że została obnażona. Przypominała zwinięte w kłębek zwierzątko, ciężko dyszące w upale. Okna były otwarte na oścież, ale ruch powietrza nie przynosił ulgi. Czuła, jakby zawinięto ją w wilgotny kłębek wełny. Pamiętała, że kiedyś lata nie były tak upalne. A może tylko tak jej się zdawało? Niemal słyszała, jak cegły, drzewa i połacie spalonej ziemi jęczą od fali gorąca, prężąc się i pękając w nieznośnym żarze.

Wiercąc się na łóżku i pojękując ze zmęczenia, musiała chyba w końcu się zdrzemnąć, otumaniona nieprzespanymi ostatnio nocami, gdyż długo nie zwracała uwagi na dziwne dźwięki i zapachy.

W pierwszej chwili pomyślała, że coś się poruszyło w kącie pokoju, gdzieś przy drzwiach. Coś lub ktoś. Zamrugła ospale i wtuliła policzek w poduszkę. Nie przestraszyła się, gdyż nie przyszło jej nawet do głowy, że to może nie być sen. Leżała z otwartymi oczami, jak w letargu, nie wiedząc nawet, czy śpi i czy rzeczywiście ma otwarte oczy. Żar napierał i pochłaniał ją całą.

Uczucie, że dostrzega jakiś ruch, nagle wróciło; tym razem coś rzeczywiście poruszyło się w powietrzu nad nią - jakaś ciemna fala - i jednocześnie dotarł do niej ten zapach.

Usiadła i kiedy otworzyła z przerażenia usta, palące powietrze zaczęło drapać ją w gardle. To, co dostrzegła wcześniej, to był dym. Po podłodze śmigały płomyki niczym spłoszone zwierzątka.

Rzuciła się do ucieczki, czując, jak płaczą jej się nogi. Za

drzwiami znajdował się jej gabinet i schody prowadzące do pozostałych pokoi. Małe płomyki przy drzwiach nie wyglądały groźnie, ale kiedy otworzyła drzwi, ujrzała pokój rozświetlony żółtymi płomieniami, a gęsta chmura dymu i sadzy uderzyła ją w twarz.

Krztusząc się i krzycząc z przerażenia, cofnęła się w głąb sypialni. Namacała okno i zaczęła łapczywie łapać powietrze, w pierwszej chwili jedynie delektując się tym, jakie jest czyste i chłodne. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła, że z niższych okien wydostają się gęste czerwone płomienie, niczym woda lub krew spływając po ścianie. Pomyślała o bracie, bratowej i ich dzieciach - czy na pewno zdołali uciec? W ogrodzie widziała jakieś zamglone sylwetki, ale poza jasnymi snopami ognia wszędzie panowała ciemność.

Nawet nie miała co marzyć, że uda jej się zeskoczyć czy jakoś zsunąć na ziemię. Jej pokoje znajdowały się na trzecim piętrze, z dala od reszty rodziny. Nie planowała, że będzie kiedyś musiała polegać na dobrej woli innych, ale przecież całe życie mieszkała w tym domu. Teraz, patrząc w dół i wołając o ratunek, żałowała najbardziej samego domu, rzeczy - mebli kupionych przez rodziców, zdjęć...

Gęsta chmura czarnego, tłustego dymu uniosła się z niższych pięter, spęczniała i zmusiła ją do cofnięcia się do pokoju.

Wigilowie musieli być blisko; na pewno spieszą już z pomocą. Bez wątpienia.

Stała przez chwilę nieruchomo na środku pokoju, kaszląc i zakrywając twarz rękami, płacząc z bezsilności. Nagle rzuciła się przez płonąca framugę drzwi do sąsiedniego pokoju. Przy podłodze znalazła resztki powietrza, mimo że ogień natychmiast poparzył jej dłonie i kolana. Wczołgała się do tej płonącej jaskini, skomlać z bólu i przerażenia, przejęta wido-

kiem trawionych przez ogień sprzętów. W objętych płomieniami szufladach biurka paliły się jej listy. Niektóre z nich miały ze trzydzieści lat; inne były tak bolesne, że nigdy nawet nie zmusiła się do przeczytania ich do końca. Wszystkie jednak były ważne, wręcz niezbędne.

Wokół niej zrobiło się ciemno i przedmioty zaczęły tracić kształty. Nie potrafiła zrozumieć, jak znajomy wygląd pokoju może roztopić się w płomieniach wraz z innymi rzeczami. Ledwo potrafiła odnaleźć drogę do drzwi, jednocześnie uświadomiła sobie z desperacją, że wyjście na zewnątrz i tak nic by jej nie dało. Schody na pewno były całe w ogniu. Zaczynało brakować jej powietrza. Ogień otoczył ją ze wszystkich stron i zbliżał się nieubłaganie, zmuszając do wycofania się tyłem na czworakach do sypialni. Wróciła z największym trudem, w bólu, ze spalonymi włosami i pękającą od bąbli skórą na głowie.

Jednak i tutaj czekał na nią ogień i trujący dym. Nie mogła nawet zbliżyć się do okna, z którego ulatywały kawałki płonących zasłon niesionych przez zabójczy żar. Języki ognia nieubłaganie pełzły po suficie w jej stronę.

„Nigdy nie chowaj się przed ogniem. Dzieci giną, ponieważ chowają się przed pożarem”. Tak mawiali jej rodzice. Wpełzła pod łóżko. Minęły dekady, odkąd przestała być dzieckiem; a zresztą i tak nie miała gdzie uciec. Leżała rozplaszczona na brzuchu i patrzyła, jak z dywanu unosi się dym. Czuła, że w każdej chwili może stracić przytomność, i zaczęła bać się, że wigilowie jej nie znajdą; nie będą wiedzieli, gdzie jej szukać.

Nigdy jej nie znaleziono. Umarła, zanim jeszcze płomienie buchnęły z podłogi. Zanim pożar pochłonął łóżko. Zanim zawalił się dach, rozgniatając jej ciało na spaloną miazgę, któ-

rej nie można było odróżnić od szczątków niewolników, a z początku - nawet od zwęglonych resztek ścian i podłóg.

TOKOGANE

Upał otulał szczelnie Faustusa, ściskając kleszczami głowę i odbierając mu resztki sił. Czuł się jak zamknięty w butelce, niczym fermentujące wino. Trudno mu było myśleć, a jak na złość spotkania i narady mnożyły się w tym miesiącu wręcz niemiłosiernie: wszędzie wybuchały pożary lasów - więcej i bardziej niszczycielskie niż w poprzednich latach. Całe flotylle pożarów na Terranowie, płynących na wysokich masztach dymów ku miastom na zachodnim wybrzeżu. To samo było w Galii, a nawet w samej Italii, na północy. I jeszcze Nionia - jak poważne było zagrożenie, jak szybko narastało? Gdyby mógł choć na godzinę przestać o tym wszystkim myśleć. Ale nie mógł i nie mógł także spać.

Pod zamkniętymi powiekami jaskrawe plamy pulsowały na czerwono.

Kobieta, która starała się usunąć zmęczenie z jego barków i ramion, była młoda i miała długie, czarne włosy, które co jakiś czas ocierały się lekko o jego skórę. Tak naprawdę nie przypominały włosów Tullioli, jeśli nie liczyć wrażenia dotyku na ciele. Faustus poczuł lekką ulgę, kiedy dziewczyna zaczęła masować mu głowę, ale zmęczenie tylko usunęło się głębiej spod jej palców. Nie potrafiła dotrzeć do jego źródła.

Na myśl, że wystarczyło się odwrócić i sięgnąć po nią, poczuł słabiutkie, ulotne podniecenie zmieszane z o wiele silniejszym znudzeniem. Był cesarzem, nie mogłaby odmówić...

Tak naprawdę nie miał na to ochoty. Z powodu Tullioli i także dlatego, że był zbyt zmęczony.

Dobiegło go ciche pukanie do drzwi, niczym ostrzeżenie, i zaraz wyraźniejsze odchrząknięcie, na które Faustus zareagował jęknięciem. Chciał wyrazić zarówno przyzwolenie, jak i

głęboki protest. Był pewien, że to Glykon, jego cubicularius i prywatny sekretarz. Dziewczyna okryła go ręcznikiem i usiadł na łóżku zawstydzony, nie swoją nagością, ale ocieężałością, z jaką to zrobił. Wymknął mu się cichy pomruk, nie więcej niż stęknienie. Siedział z zamkniętymi oczami.

- Panie.

Ten szczególny ton sprawił, że otworzył oczy. Słyszał go już wcześniej, i to wiele razy, ale nigdy tak często jak tej koszarnej jesieni trzy lata temu. Pamiętał, że najpierw przyniesiono mu wieści o śmierci młodszego brata. Potem były wiadomości o wszystkich problemach z Markiem, a w końcu znaleziono Tulliolę, martwą w jej areszcie domowym.

Jak powinien myśleć teraz o Tullioli? Najlepiej jak najrzadziej i nie jak o swojej żonie. Tak bardzo się za nią wstydził. Nie miał pojęcia, czemu zrobiła te wszystkie okropności, i nie chciał się tego dowiedzieć. A jednak była tak piękna. Niemal czuł wdzięczność do niej, że odebrała sobie życie. O wiele lepsze rozwiązanie, niż gdyby musiał ją skazać na śmierć.

Teraz, na dźwięk głosu Glykona, od razu z lękiem pomyślał, że znowu coś przydarzyło się rodzinie. Może Markowi, który miał być jego następcą. A może, co gorsza, córce, Makarii. Nie, proszę, tylko nie to. A może obojgu coś się przytrafiło. Byli teraz razem w Grecji.

- Panie. Potrzebny jesteś na dole - powiedział Glykon. - Doszło do masakry.

Och, bogom niech będą dzięki, pomyślał Faustus, wstydzając się i ciesząc, że nikt nie słyszy jego myśli. Usiadł i ból natychmiast odezwał się znowu, ściskając mu czoło stalową obęczką.

Po chwili ucisk zelżał.

- Co to znaczy masakra? Ilu ludzi zginęło?

Było mu trochę żal Glykona, który nie znosił udzielać jednoznacznych odpowiedzi. Zobaczył, jak ten wzdryga się, walcząc z pokusą, żeby odpowiedzieć na pytanie jakimś ogólnikiem.

- Najmniejsza liczba, o jakiej słyszałem, to sto osób - powiedział cicho Glykon. - Największa to około czterystu. Yanisen będzie miał więcej informacji.

- Mówimy o Murze, oczywiście?

Yanisen był gubernatorem rzymskiej części Terranowy.

- Mur przekroczone - oznajmił tym samym cichym głosem Glykon.

Faustus, po raz pierwszy, przeżył prawdziwy szok. Glykon cofnął się o krok.

- To wszystko wiadomości z ostatnich godzin. Nic nie jest pewne. Nie chciałbym spekulować, nie mając żadnych danych. Musisz jednak, panie, rozważyć wszystkie możliwości, także interwencję zbrojną. Dlatego wezwałem generała Salwiusza, który czeka razem z Probussem. Wezwałem też Memmiusza Quentina, ponieważ z całą pewnością będzie to miało wpływ na opinię publiczną.

- Dobrze - odparł ociężale Faustus. - Lepiej, wezwij też, eee... -Przez kłopotliwą chwilę nazwisko nie chciało się uformować w jego głowie ani na języku. - Falksa - powiedział w końcu. Falx był ich asem wywiadu w sprawach Nionii.

- Już jedzie.

Faustus ruszył za Glykonem pałacowymi korytarzami. Masaż nic mu nie pomógł. Czuł się tak samo ociężały jak wcześniej. Tylko naoliwiona skóra lepiła się nieprzyjemnie do ubrania.

- Możemy poprowadzić rozmowy z Nionią przez Sine albo któryś z naszych kontaktów handlowych - zasugerował

Glykon. Od ponad osiemnastu miesięcy pomiędzy Nionią i Rzymem panowało wrogie milczenie. Ostatni ambasadorowie Nionii okazali się szpiegami. Nie można było pozostawić ich w kraju.

- Sina - powtórzył machinalnie Faustus. Światło, wpadające przez zabarwione na złoto szyby, raziło go w oczy.

Po zamknięciu drzwi w jego gabinecie stawały się prawie niewidoczne. Rzeźbione liście zakrywały krawędzie framugi; nawet zawiasy i klamka były schowane pomiędzy bluszczami i powojami, które wielkim freskiem otaczały ściany, tworząc wrażenie dużego, ocienionego ogrodu, pięknego i pozbawionego wyjścia. Teraz jednak w zielonej ścianie naprzeciw biurka Faustusa pojawiła się jasna plama w miejscu, gdzie zdjęto zasłony z dalwizora. Na ekranie widać było Yanisena.

Yanisen był z pochodzenia Nawahem, ale w zasadzie był tak samo Rzymianinem jak pozostali mężczyźni w gabinecie. Miał na sobie nieskazitelnie białą togę, a jego sztywne włosy o odcieniu ołowiu były równo przycięte nad oczami. Terranowa należała do jednego z niewielu obszarów cesarstwa, gdzie poza łaciną posługiwano się jeszcze innymi językami. Pełne imię gubernatora brzmiało Marek Wesniusz Yanisen i pewnie przybrałby chętnie inne lub przynajmniej zmienił wymowę swojego indiańskiego przydomku, gdyby przez przypadek nie pasował tak idealnie do języków przyzwyczajonych jedynie do władania łaciną. Yanisen i Probus, zamiast naradzać się nad tym, co powiedzą Faustusowi, byli zajęci kłótnią.

- Gdybyś dał mi właściwe środki...

- Jesteś pewien... że to odpowiedni czas... żeby wyrównywać stare... porachunki? - Probus wyrzucił z siebie serię wściekłych warknięć.

- Na pewno jest to odpowiedni czas, żeby przypomnieć, iż od lat ostrzegałem przed takim właśnie rozwojem sytuacji!

- Oczywiście, że wszyscy o tym pamiętamy. - Probus przełknął ślinę. - Tak samo jak o tym, że nic w tym czasie nie robiłeś, żeby jej zapobiec!

Probus miał trzydzieści sześć lat i był niskim, ale trzymającym się prosto mężczyzną o ciemnych włosach i kwadratowej szczęce. Awansował w wyjątkowo młodym wieku i wszyscy w gabinecie byli starsi od niego. Probus sprawiał także wrażenie najbardziej wystraszonego, gdyż nie było tajemnicą, że Yanisen wiele razy na niego się skarżył, w miarę jak w Terranowie rosło napięcie i mnożyły się potyczki na Murze. Prawdą było także to, że Salwiusz i sam Faustus odrzucali wszystkie prośby Yanisena o dodatkowe środki. Probus miał jednak świadomość, że z niego najłatwiej będzie zrobić kozła ofiarnego, gdyby taki okazał się potrzebny.

Rozzłoszczony Yanisen otworzył usta, żeby zaprotestować, ale zaraz je zamknął, widząc, jak Probus odwraca się w stronę drzwi, w których pojawił się Faustus. Wyraz złości i gniewu na ich twarzach spowodował, że Faustusa przeszył ból wręcz fizycznego znużenia. Uroczy zielony gabinet wydał mu się nagle dziwnie duszny.

Widok Salwiusza także go męczył. Salwiusz siedział na jednej z zielonych sof w kącie pokoju i ze zmarszczonymi brwiami przysłuchiwał się kłótni, w której nie zamierzał brać udziału. Na widok Faustusa poderwał się z energią wystrzelwanej rakiety. Mimo że Salwiusz był

zupełnie siwy, włosy miał wciąż gęste i uczesane tak, że lśniły śnieżną bielą. Był także równie silny i przystojny jak dwadzieścia pięć lat wcześniej. Leon, zmarły brat Faustusa, przywiązywał dużą wagę do wyglądu, ale Faustus uważał, że

Salwiusz nie jest aż tak próżny jak Leon. Salwiusz po prostu uświadomił sobie z wiekiem, że nienaganny wygląd budzi szacunek. Do Leona za to był podobny pod innym względem - od trzydziestu lat dochowywał wierności żonie i żył z nią w szczęśliwym związku. Faustus zawsze dziwił się, że chociaż byli politycznymi wrogami, to Salwiusz i Leon potrafili żyć w zgodzie, nie tylko z powodu braterskich uczuć łączących wszystkich żołnierzy, ale także dlatego, że wyczuwali w sobie nawzajem pewną nieokreśloną i nieokiełznaną siłę.

Salwiusz złożył mu pokłon i Faustus wyciągnął do niego dłoń. Ze zdziwieniem zauważył, że mimo mocnego uścisku ręka Salwiusza zadrżała; choć nie ze strachu jak u Probusa. Spojrzał mu badawczo w oczy i odczytał w nich fanatyczne, zranione oburzenie. Faustus ponownie miał okazję, żeby się zawstydzić. W przeciwieństwie do Salwiusza wcale nie czuł, jakby osobiście go spotwarzono tą napaścią, choć pewnie ze wszystkich zebranych on jeden miał prawo tak uważać.

- Zerwano ostatni pozór Mixigany, Wasza Wysokość! - wybuchnął Salwiusz. - Szczerze mówiąc, od lat była to tylko farsa. Nie mamy wyboru, musimy pokazać, że nie zamierzamy tego tolerować. - Mixigana był to traktat pokojowy, który ustanowił rzymsko-nioniańską granicę ponad trzysta lat temu.

- To chyba jedyne rozwiązanie. Musisz pokazać, kto tu rządzi - zgodził się Quentin. Salwiusz nie wydawał się zadowolony z tego poparcia i nawet rzucił doradcy niechętne spojrzenie. Quentin miał czterdzieści lat, ale przypominał pulchnego chłopca z okrągłą twarzą i prostymi, kasztanowatymi włosami. Nie sprawiał wrażenia zbyt przejętego wydarzeniami.

- Cisza! - rozkazał Faustus. - Może wam się wydawać, że wiecie, o co tu chodzi, ale ja nie wiem. Yanisen? - Zdobył się na

tę stanowczość, prostując krzyczące z bólu ciało tylko ze względu na Salwiusza. Czuł głęboko i instynktownie, że na takich ludzi trzeba mieć oko. Nowiu-szowie rządili Rzymem od dwustu lat, ale nigdy nie mogli czuć się zbyt pewnie. Żaden cesarz nie był bezpieczny.

Salwiusz rzucił mu badawcze spojrzenie i Faustus z Quentinem przygaśli. Probus stał z zaciśniętymi pięściami. Yanisen skinął głową.

- Panie, nasi żołnierze zostali zaatakowani w taki sam sposób, jak wiele razy w ciągu ostatnich czterech lat.

Probus skrzywił się.

- Gdzie? - zapytał Faustus.

- To było... to znaczy, zaczęło się w pobliżu Vinciany.

- Pierwsze słyszę.

- Nie ma powodu, żebyś słyszał wcześniej o tym miejscu. To w prowincji Arcansa, blisko Muru, w miejscu, gdzie go przecina Emissa-urita. Oczywiście nasze wojsko odparło atak. Straciliśmy przy tym czterech, może pięciu żołnierzy. Rozumiesz, panie, że przy tak szybkiej eskalacji działań trudno o dokładne liczby. Nasz oddział wozów bojowych wjechał na terytorium Nionii, żeby rozproszyć wojska przeciwnika. Wygląda na to, że kontratak skończył się sukcesem, ale w drodze powrotnej na nasze terytorium zostaliśmy ponownie zaatakowani. Panie, Nionianie musieli umocnić się w ciągu ostatnich miesięcy, gdyż przeprowadzili nowe uderzenie o wiele potężniejszymi siłami. Zaatakowali nas z taką przewagą liczebną, że prawie wszyscy rzymscy żołnierze zginęli. Nie udało nam się dotrzeć do poległych.

- Ale nie mogło zginąć aż stu żołnierzy - zdziwił się Faustus.

- Nie, ale nioniańskie wojsko podjęło pościg za niedo-

bitkami naszego oddziału. Wtedy zaczęli ostrzeliwać sam Mur. Rzecz jasna do tego czasu nasi wezwali wsparcie, jednak pomoc nie dotarła na czas i nie mogli utrzymać Muru. Walki przeniosły się do Vincipany. Myślę, że wtedy oni, to znaczy Nionianie, zaczęli strzelać na oślep do ludności cywilnej.

Faustus westchnął ciężko. Nie zdawał sobie sprawy, że większość ofiar to cywile. Teraz lepiej rozumiał oburzenie Salwiusza, mimo że w dalszym ciągu go nie podzielał. Czuł się tylko bardziej przybity i znużony niż zawsze.

- Ale udało nam się ich odeprzeć? W mieście nie ma już nioniańskich żołnierzy?

- Nie. Wysłaliśmy posiłki z sąsiedniego fortu i od tej pory wszelkie walki ustały.

- A sam wyłom w Murze?

- Na razie jest w naszych rękach.

- Ale jaki jest duży? Jakie są zniszczenia w mieście?

- No cóż, zniszczenia... na pewno są, ale dokładnie nie wiem... nie byłem tam jeszcze.

- No to jedź tam. Poczekaj, najpierw znajdź kogoś, kto jest na miejscu. I ściągnij jakieś przyzwoite zdjęcia. Chcę również wiedzieć, skąd takie duże straty.

- Oczywiście - odparł Yanisen z napięciem w głosie. Widać było, że stara się panować nad sobą, ale mówił dalej przez zaciśnięte zęby. - Miasto jest cały czas narażone na atak i długo jeszcze będzie. Przepraszam, Wasza Wysokość, ale mam obowiązek powiedzieć, że można było temu zapobiec...

- Jasne, ty mogłeś temu zapobiec! - wykrzyknął z wściekłością Probus. - Nie próbuj zwałać winy na innych tylko dlatego, że nikt nie zgodził się wyrzucać pieniędzy w błoto.

- Cisza - warknął Faustus, z łatwością udając złość. Po tylu latach mógł odegrać dowolny nastrój na zawołanie. - Mo-

żecie się kłócić, jak zostaniecie sami. Probusie, też powinieneś tam się udać. - Zdenerwowany Probus skinął głową, ale Faustus jeszcze nie skończył. - Teraz. Jedź tam natychmiast. - Poczł ukłucie przyjemności (równie słabe jak pożądanie, które budziła w nim masażyстка) na myśl, że może jednym słowem wysłać Probusa na koniec świata. Dziecinada, westchnął w duchu. Probus wyszedł, nerwowo przełykając ślinę, i Faustusowi przyszło do głowy - poczuł w tym momencie pogardę zmieszana z współczuciem - że Probus może się nawet rozpłakać.

Wskazał na ekran i niewolnik go zgasił. Do gabinetu wszedł adiutant i szepnął coś na ucho Glykonowi.

- Jakież wieści z Kynoto? - zapytał Faustus.

Glykon wyglądał na niepocieszonego. Patrzył błagalnie i z cierpieniem na drzewo wiśni namalowane na ścianie. Musiał odjąć rękę od ust, żeby odpowiedzieć, i dopiero teraz Faustus zauważył, że nieświadomie obgryzał paznokcieć.

- To musi potrwać - odparł.

- Chyba nie wzbraniają się przed rozmową?

- Nie. Pewnie każą nam czekać, żeby dać coś do zrozumienia. - Wymknął się z pokoju.

Faustus i Salwiusz wymienili wymowne spojrzenia nie z poczucia winy, ale dlatego że obaj zdawali sobie sprawę z oszczędności, jakie przez lata robili na Murze. Zawsze zakładali, że wojna z Nionią jest nieunikniona i że po niej Mur nie będzie potrzebny. Yanisen też musiał to wyczuć.

- No dobrze, mów.

- Mamy niemal dosyć sił na Murze, żeby od razu ruszyć na północ. Posiłki można dostać w kilka tygodni. Sądzę, że potrzebujemy nie więcej niż cztery miesiące, żeby przejąć kontrolę nad całym terytorium.

Faustus skinął głową. Glykon wrócił do pokoju.

- Jest już Falx.

- Za chwilę. Pytanie brzmi, czy potrafimy ograniczyć wojnę do Terranowy.

- Oczywiście musielibyśmy zaatakować w tym czasie Kynoto z powietrza.

- A ich bazy w Edo?

- Rzecz jasna też.

Faustus znowu skinął głową i spojrzał na Quentina.

- Jesteś pewien, że panujemy nad sytuacją? Moim zdaniem równie dobrze można twierdzić coś przeciwnego.

- No cóż - odparł Quentin - ludzie zechcą mieć poczucie, że coś się robi w tej sprawie.

- Ale nie pomniejszając tego, co się dziś stało, nie zamierzamy zbyt tego nagłaśniać, prawda? Obywatele już się przyzwyczaili do wiadomości o potyczkach.

Quentin się zamyślił.

- Dla większości ludzi to rzeczywiście odległe tereny. Tyle że w obecnych czasach nie tak łatwo utrzymać cokolwiek w tajemnicy. Zresztą nawet gdyby nam się udało, to później trudniej będzie przekonać ludzi, że wojna jest nieunikniona.

Salwiusz wyglądał na kompletnie zdegustowanego.

- Co? - zapytał głośno Faustus. Ze zdziwieniem zauważył, że patrzy na Salwiusza niemal z nienawiścią. Ach tak, sądzisz, że poradził byś sobie o wiele lepiej na moim miejscu, pomyślał zgryźliwie.

Salwiusz zawahał się, jednocześnie jakby strosząc się wewnątrz.

- Według mnie jest to kwestia tego, co słuszne. Tutaj chodzi co najmniej o interes całego cesarstwa. Dlatego dziwi mnie, że rozważa się tę kwestię w jakichkolwiek innych kate-

goriach.

- Mam nadzieję, że omawiamy wszystkie możliwości? - warknął Faustus.

- Oczywiście - zgodził się Salwiusz, starając się nie okazywać emocji.

Faustus chciał tylko, żeby Salwiusz sobie poszedł; pragnął wreszcie usiąść i wymasować sobie dłońmi twarz.

- Idź i porozmawiaj z Falksem - rozkazał. - Powiesz mi potem, czego możemy spodziewać się ze strony Nionian i co trzeba przedsięwziąć, żebyśmy byli gotowi do ataku.

Salwiusz zdawał się nawet trochę ugłaskany zadaniem. Kiedy on i Quentin wyszli z gabinetu, Faustus poczuł, jak jego ciało wiotczeje. Zaczął rozmasowywać kark i potylicę, naśladowując ruchy masażystki. Jednak trzymanie ręki w tej pozycji jeszcze bardziej naprężyło obolałe mięśnie. Dał sobie spokój z masażem.

Spostrzegł, że w gabinecie jest Glykon, który z szacunkiem usiadł na krześle w kącie pokoju. Przysłuchując się rozmowie, stopniowo przyjmował pozycję, która wyglądała na wyjątkowo niewygodną: splótł nogi, jedną wokół drugiej, ramiona miał wykręcone i złączone, dłonie przy twarzy, ze złożonymi wyprostowanymi palcami osłaniającymi podstawę nosa i kciukami wbitymi w szyję pod brodą. Pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi jego ciało. Faustus był pewien, że Glykon chciał, by zadał mu to pytanie:

- Co masz taką nieszczęśliwą minę?

- Oczywiście - mruknął. - Sytuacja...

- Tylko nie opowiadaj mi tych bzdur - przerwał mu łagodnie, lecz stanowczo Faustus. Przysunął krzesło i usiadł naprzeciw Glykona.

Glykon westchnął.

- Mam wrażenie, że generał bardzo szybko dochodzi do pewnych wniosków - wyznał. - Myślę, że... nie docenia ewentualnych kosztów. Choćby finansowych. No i wszystkich... zniszczeń.

Były to wyjątkowo stanowcze słowa jak na Glykona. Mrugnął i zrobił taki gest, jakby chciał wypowiedziane słowo zetrzeć w powietrzu niby napis z tablicy.

- Oczywiście, może okazać się, że ma rację - dodał szybko i Faustus musiał powstrzymać się od śmiechu. Glykon ciągnął poważnym tonem, patrząc gdzieś w przestrzeń: - Jeśli jednak Nionia jest potężniejsza, niż Salwiusz zakłada, to możemy znaleźć się w sytuacji, w jakiej

nigdy nie byliśmy: wojny światowej. Wolę o tym nawet nie myśleć.

- Nic jeszcze nie zdecydowałem - powiedział cicho Faustus.

W miarę jednak jak mijały godziny tego popołudnia, Faustus coraz bardziej się irytował. Jedyne wieści o Nionii, jakie docierały do niego przez Sine, to niejasne obietnice, że cesarz nioniański wkrótce się do nich odezwie. Faustus w końcu zaczął wydierać się na Glykona, jakby to była jego wina.

- Chcę, żeby wiedzieli, że cholernie ryzykują, bawiąc się w takie kretyńskie zagrywki! Na bogów! Powinien być wdzięczny, że w ogóle chcę z nim rozmawiać!

Glykon tylko kiwał niewzruszenie głową. W końcu pojawił się w prywatnym gabinecie Faustusa z oczekiwaną wiadomością.

- Nioniański książę będzie rozmawiał z tobą, jeśli tylko sobie życzysz, panie.

- Który? - zapytał Faustus. Nie wyznawał się na zawłóściach dworu nioniańskiego. Wiedział tylko, że cesarz ma

wielu synów. Wydawało mu się dziwne i smutne, że on i jego dwóch braci zdołali spłodzić tylko po jednym potomku. Znowu przyszła mu do głowy Makaria... i Marek. Gdyby Makaria była chłopcem - gdyby choć wyszła za mąż i miała dzieci jak normalna kobieta... wtedy wszystko od razu stałoby się prostsze. Rzecz jasna wszystko było jeszcze możliwe, mimo że Makaria skończyła już trzydzieści sześć lat. Jednak w głębi ducha nie wierzył, że do tego dojdzie.

Albo gdyby miał syna z Tulliolią - teraz miałby z sześć lat, nie więcej... Przez sekundę wyobraził sobie chłopca o czarnych włosach i wykrzywionych nowiuszowskich ustach. Jednak wspomnienie Tullioli kłuło go boleśnie. Poza tym, bądźmy szczerzy, czy jeszcze pamiętał, jak należy postępować z tak młodym chłopcem? Zupełnie inaczej by to wyglądało, gdyby miał wnuka. Czasami (choć bardzo rzadko) docierały do niego plotki, że Makaria ma jakiegoś kochanka na Sifnos. Byłby szczęśliwy, gdyby mu go przedstawiła. Nie dbał nawet o to, kim był.

- Tadasius, następca tronu - poinformował go Glykon. Oczywiście, księżę nie nazywał się Tadasius; tak tylko wymawiało się jego imię, Tadahito, po łacinie.

Faustus wziął głęboki oddech, starając się wypuścić z siebie całą złość, jakby nie chciał, żeby przeszkadzała mu w myśleniu.

- Chyba może być - mruknął.

Asystenci ustawili daldictor i Faustus wziął go do ręki.

- Wasza Cesarska Mość - usłyszał w słuchawce.

Przez ułamek sekundy Faustus myślał, że rozmawiają przez tłumacza, ale łacina księcia była bezbłędna. Faustus był zdumiony także wiekiem następcy tronu. Był co prawda starszy od Marka, ale niewiele, miał dwadzieścia dwa, może dwa-

dzieńca cztery lata.

- Wasza Wysokość - odezwał się Faustus. - Czy nie mogę rozmawiać z twoim ojcem? - Uświadomił sobie, trochę za późno, że wypadło to głupio i obraźliwie, jakby ktoś powiedział do dziecka: „Poproś tatusia”.

W odpowiedzi usłyszał, jak księżę gwałtownie wciąga powietrze.

- Mój ojciec ufa, że potrafię reprezentować go bez zarzutu. Jestem pewien, że się nie myli. Czy mogę mu przekazać wasze kondolencje z powodu wymordowania naszych ludzi? Czy mogę przynajmniej powiedzieć, że Rzym poczuwa się do winy za swoje działania?

Słowo „bezbłędnie” nie oddawało wystarczająco znajomości łaciny przez księcia. Faustus jednak był pewien, że nie wzięłyby go za Rzymianina. Składnia każdego zdania, tembr głosu były celowo i wręcz obraźliwie doskonałe. Jednocześnie uświadomił sobie, że sam pamięta tylko kilka przypadkowych słów nioniańskich sprzed pięćdziesięciu, pięćdziesięciu pięciu lat, gdy uczył się ich w szkole.

- Daj spokój - powiedział z irytacją. - To wasze wojska zaatakowały Mur. Czy zrobili to z waszego rozkazu?

- Nasi żołnierze mają rozkaz reagować zbrojnie na nieustanne ataki Rzymu na terytorium Tokogane - odparł księżę. W uszach Faustusa te obce sylaby, wypowiedziane tak naturalnie, zabrzmiały dziwacznie, jakby znajdowały się na obrzeżach znanego mu języka. Nie istniała oficjalna nazwa ani tłumaczenie na łacinę nioniańskiej nazwy ziem leżących na północ od Muru. Rzymianie stworzyli termin nio-niańska Terranova. Pamiętał jednak znaczenie słowa Tokogane, Złota Ziemia. Tak nazywali ją Nionianie.

- A wy wysłaliście wojska na nasze terytorium. Nawet

pomijając to, co dziś się zdarzyło, wojska te gwałcą Mixigane samą swoją obecnością na Murze.

- Widzimy, jak Rzym łamie traktat każdego dnia. Widzimy napaści na nasze ziemie, porwania, morderstwa i gwałty popełniane przez waszych żołnierzy lub cywilów ochronianych przez żołnierzy.

- Co za bzdury!

- Możliwe - rzekł książę z niedwuznaczną pobłażliwością - że twój podwładni wolą nie informować cię o takich wypadkach i stąd twoja reakcja jest zrozumiała. Mogę jednak podać konkretne przykłady.

- Jeśli nie mogę wierzyć własnym ludziom, to czemu miałbym wierzyć twoim? Faktem jest, że ostrzelaliście Mur. Temu chyba nie zaprzeczacie? Pytanie, czy było to działanie spontaniczne, wtedy zadowolimy się ukaraniem odpowiedzialnych za to ludzi, czy też był to celowy akt wojenny.

- Nasi ludzie odpowiedzieli tylko na waszą napaść. Bronili zaatakowanej przez wasze wojska wsi i mordowanych dzieci. Czy wy zezwoliliście na to?

Faustus zawahał się. Czuł, że pęka mu głowa.

- Polegli w walce sprowokowanej przez wasz atak - zaczął.

- We wsi położonej dziesięć mil w głąb naszego terytorium - niemal krzyknął książę.

Faustus milczał, mrugając oczami i myśląc szybko: nie muszę w to wierzyć. Ale on w to wierzy, to oczywiste. Ciągnął za szatę pod szyją, starając się ją poluźnić.

- Jakie są wasze zamiary? - spytał cicho.

- Zamiarem cesarza było zawsze przestrzeganie traktatu Mixigany, pomimo oczywistej pogardy, jaką okazuje mu Rzym; jednak po dzisiejszym dniu będzie rzecz jasna zmuszony do

zrewidowania stanowiska - oznajmił ksiązę. Zdanie było powiedziane z powstrzymywanym gniewem, w tak ozdobny sposób, jakby je chciał wyśpiewać.

- To nie posuwa spraw naprzód - odparł ostro Faustus. - Moi generałowie są gotowi odpowiedzieć na waszą zaczepkę. Myślałem, że docenicie szansę, jaką wam dałem, wysłuchując waszych racji. - Był wściekły na siebie i księcia, że doprowadził go do takiego stanu. Wcale nie chciał, żeby zabrzmiało to jak wykład. Nie wyszłoby to aż tak źle, gdyby ksiązę był starszy.

Po drugiej stronie zapadła cisza, w której zdawało mu się, że słyszy zarówno wściekłość, jak i satysfakcję. W końcu ksiązę odezwał się grzecznie:

- Dziękuję. Ja na pewno to doceniłem. Żegnam.

- Panie, wszystko w porządku? - zapytał Glykon, obserwując go bacznie.

- Tak - odparł szorstko Faustus. Nie powinienem tyle pić, pomyślał. O co mu chodziło? Przecież nie pił nic od poprzedniej nocy. Nie mógł wciąż być pod wpływem alkoholu. Ile wypił? Nie potrafił sobie przypomnieć. - Wezwij Salwiusza.

Salwiusz wysłuchał tego, co ksiązę powiedział, nie okazując emocji.

- To dobry znak, że próbują się usprawiedliwić. To znaczy, że wiedzą, że są słabsi. - Rozmowa z Falksem uspokoiła go i dodała otuchy, że zostaną podjęte właściwe decyzje.

- Nie uważasz, że może być ziarno prawdy w tej historii o wsi?

- No cóż - rzekł Salwiusz, spuszczaając na chwilę wzrok. - Tego nie mogę powiedzieć z całą pewnością, ale wiem, że nie można wierzyć jego wersji.

- No nie, raczej nie - zgodził się potulnie Faustus.

- Zresztą to i tak nie ma większego znaczenia. Bez względu na to, jak to się wszystko zaczęło, faktem jest, że Nionianie pokazali, że stanowią wielkie zagrożenie oraz że ani Mur, ani traktat nie stanowią dla nas ochrony. Nie chodzi tylko o nasze ziemie na zachodzie, panie. Musimy odpowiedzieć sobie, czy pozwolimy, żeby Nionia nas wyprzedziła jako najpotężniejsze imperium na świecie. Bo jeśli odpowiedź brzmi „nie”, mamy zapewne ostatnią szansę, żeby ich powstrzymać.

- Poczekaj - powiedział Faustus. Czuł, że coś jest nie tak. Może nie wyraził tego właściwie. Wstał z fotela i powtórzył: - Jedną chwilę. - Skierował się do ukrytych drzwi, ponieważ czuł, że to z gabinetem jest coś nie w porządku. Ten piękny pokój był pełen wspomnień z przeszłości. Musiał pobyć ze dwie minuty na zewnątrz, gdziekolwiek, żeby wrócić do równowagi. Był już przy drzwiach, ale wśród malowanych liści nie mógł znaleźć klamki.

- Panie. - Glykon szedł ku niemu z zatroskaną miną.

Nagle drzwi się otworzyły i zanim jego noga dotknęła ziemi, nastąpił potężny, bezgłośny wybuch. Eksplozja była tak silna, że w pierwszej chwili nie zdał sobie nawet sprawy, że odbyła się w jego głowie i wyrwała połowę podłogi, tak że dał krok w ciemność i poleciał w pustkę.

TOPÓR I RÓZGI

Una lepiej znosiła słońce tutaj, gdzie morze osłabiało trochę jego rażącą siłę. Siedziała na kamieniach z nogami schowanymi w cieniu, jaki zapewniał jej papierowy parasol, a sztywne od soli falbanki białego kostiumu kąpielowego rozkładały się wokół niej. Ciemna plaża przechodziła w urwisko i raptownie opadała do wody, nie oferując nigdzie łagodniejszego zejścia. Pod wodą w tym miejscu tworzyła się głęboka niecka, zielona i czerwonopurpurowa od opadłych liści. Skały porastały duże, okrągłe, ciemne zawilce o barwie krwi i wyglądzie, który wydawał się jej złowieszczy. W oddali Marek płynął z powrotem do zatoczki i siedzącej nad nią Uny, która co jakiś czas brała do ręki jedną z książek leżących obok niej, ale nawet w cieniu biel kartek była zbyt oślepiająca i Una uciekała znowu wzrokiem do Marka i wody. Jej blada skóra ani nie zaczerwieniła się od słońca, ani nie nabrała odcienia głębokiej opalenizny jak u Marka, a tylko troszeczkę przypominała kolorem szary kurz.

Niegdyś wypłowiałe blond włosy Marka były teraz ciepło złote i bursztynowe, zwłaszcza na skroniach. Tylko włosy na jego ciele jeszcze bardziej pojaśniały. Kiedy wyjdzie z wody i jego skóra wyschnie, będzie wyglądał, jakby to złoty piasek leżał na nagich skałach.

Nigdy jeszcze nie byli tak bardzo pozostawieni samym sobie, tak z dala od innych. Wokół wyspy krążyły łodzie preto-riańskie, ale zachowywały przyzwoitą odległość i głównie skupiały się przy małym porcie. Makaria, kuzynka Marka, miała własną straż w winnicy, ale Una nie zamierzała dzisiaj odwiedzać Makarii.

Spojrzała na morze i zdawało jej się, że wszystko wokół

niej aż lśni: woda, mokre włosy Marka, jego skóra, nawet małe rybki błyszcząły delikatnie niczym dym, kiedy zawracały ławicą i ich łuski odbijały promienie słoneczne. Zupełnie jakby latały nad morzem; aż nie mogła uwierzyć, że woda może być tak przezroczysta, wyglądało na to, że nie zdoła utrzymać na swojej powierzchni ryby_ czy człowieka. To było niepojęte, że siedzi tu i obserwuje to wszystko.

Nie znajdowali się aż tak daleko od targu niewolników w Delos.

Rozłożone wokół niej książki to były dzieła historyczne, *Rzym i Nionia Cossusa* i starsze pozycje Liwiusza i Plutarcha. Marek chciał, żeby je poznała, bo miał nadzieję, że pozwolą jej spojrzeć na Rzym łaskawszym okiem. Potrafiła już czytać równie szybko jak inni, mimo że zawsze w skrytym i buntowniczym napięciu lęgnącym się w jej sercu, jakby bała się, że ma zbyt mało czasu, by nadrobić wszystkie zaległości. Marek i inni studenci w Atenach ciągle czytali jakieś nowo wydane pozycje. Znając jej upór, Marek umówił się, że jeden z jego profesorów z Akademii będzie odwiedzał ją raz w tygodniu. Mimo że nauczyciel starał się to ukryć, Una wyczuwała jego wahanie; zastanawiał się, po co tu przyjeżdża i jaki jest cel ich lekcji. Usztywniała się wtedy, ulegała łatwo zmiennym nastrojom i stawała się jeszcze mniej komunikatywna, tak że profesor nawet nie dostrzegał jej inteligencji. Wszystko dlatego, że nie potrafiła sobie wytłumaczyć tego, co czuła. Nie szykowała się do niczego, tak jak Marek. W końcu powiedziała nauczycielowi, żeby więcej nie przyjeżdżał.

Kiedy darowano jej wolność, nie zwróciła uwagi na fakt, że zmieniono jej nazwisko. Dopiero później zobaczyła, że urzędnik przygotowujący dokumenty dla uwolnionej kobiety zlepił jej nowe nazwisko z rodzowego nazwiska Marka i jej sta-

rego imienia: Una Nowiana. Nie była nigdy niewolnicą Marka ani nikogo z jego rodziny, ale teraz tak właśnie to brzmiało. Próbowwała nie zaprzętać tym sobie głowy. Było to, oczywiście, lepsze od życia pod nazwiskiem jednego z jej prawdziwych właścicieli, jak w innym wypadku pewnie by się stało. Uznała, że może to traktować jak urzędowy szczegół; zwykły drobiazg, przeoczenie, nawet nie prawdziwe imię. Szybko przekonała się jednak, że musi posługiwać się nowym nazwiskiem częściej, niż zamierzała.

Zdawała sobie sprawę, że z wyglądu nikt by nie powiedział o niej, iż była niewolnicą, nie rzucało się to w oczy. Wciąż była szczupła, lecz pozbyła się niezdrowego wyglądu. Prawie nigdy nie układała włosów w loki ani nie spletała warkoczyków, ale pozwalała im zwisać luźno do ramion, tyle że teraz jej szare jak u myszki kosmyki były staranniej obcięte i układały się naturalnie. Miały też więcej połysku. Mogła się wreszcie porządnie ubierać, jak w tę białą sukienkę, która leżała obok niej na skałach; niby prosta, ale szykowna. Nawet miała własną biżuterię. Kilka rzeczy dostała od Marka: naszyjnik z białych zielonych kamieni, który trzymała w kieszonce torebki (i do której co chwila zaglądała, żeby upewnić się, czy jest tam jeszcze). Miała także pieniądze. W dalszym ciągu była niezwykle oszczędna, głównie dlatego, że wyliczyła, jak niewiele tego jest, gdyby miało starczyć jej do końca życia. Tak naprawdę to pieniądze nie były tylko jej i jej brata. Zdobyli je dzięki Damie i gdyby żył, musieliby się z nim podzielić. Przechowywanie jego części z jednej strony utwierdzało ją w przekonaniu, że zginął, z drugiej zaś dawało pewną nadzieję, bo nie odnaleziono ciała Damy w lasach nieopodal sanatorium. Strażnicy mogli jednak je pogrzebać czy pozbyć się go jeszcze przed ich ucieczką lub aresztowaniem. Czasami przychodziło jej do głowy, że lepiej

by zrobiła, wydając te pieniądze na coś, co sprawiłoby Damie przyjemność.

Był jeszcze jeden, głęboko zakorzeniony, powód jej oszczędności. Nawet po trzech latach nie potrafiła całkowicie się rozluźnić. Dokumenty wprowadzie zapewniały jej bezpieczeństwo i wygodne życie, ale niczemu nie można było ufać do końca. Może będzie musiała znowu uciekać i ukrywać się.

Na Awentynie, niedaleko pałacu i pełnych cienia uliczek Trans-tiberiny, gdzie mieszkał jej brat, wypatrzyła pewną łaźnię. Nie było to szczególnie popularne miejsce, zapewniało jednak klientom pełną anonimowość, a obsługa nie dziwiła się żadnym pytaniom. Una poszła tam półtora roku wcześniej, pędzona niezrozumiałym wewnętrznym przymusem - choć wątpiła, że jest to szczyry impuls, skoro tak ostrożnie zaplanowała każdy ruch. W szafce wynajętej na fałszywe nazwisko, pod ręcznikami, szczotkami do łaźni i ubraniami nieokreślonego wyglądu, schowała pieniądze zwinięte i wciśnięte do nieprzezroczystych butelek, jakich zazwyczaj używa się do przechowywania olejków. Było tego dosyć, żeby w razie potrzeby zapewnić ucieczkę z kraju dwóm czy trzem osobom. Po tym, jak schowała pieniądze, poczuła wstyd. Zrobiła to tak potajemnie i bez wdzięku jak jakieś dzikie zwierzątko. Pomyślała, że bardziej przypomina lisicę, która wyjada resztki ze śmietników Londynu niż cywilizowaną kobietę. Wstydziła się, że zrobiła to w tajemnicy przed Markiem; było to niesprawiedliwe, kiedy on tak niewiele mógł ukryć przed nią. Nie zmusiła się jednak, żeby powiedzieć jemu czy komukolwiek innemu. Nie umiała się również zdobyć na opróżnienie szafki; przez cały czas pieniądze leżały schowane. Czasami nachodził ją atak paniki, że ktoś je odkrył albo że zapomniała kod otwierający zamek. Czasami - choć rzadko, bardzo rzadko - leżała w

nocy i powtarzała w myślach sekwencję kodu. Dodawał jej otuchy fakt, że nie było żadnych śladów, żadnych kluczy, które można zgubić; nic poza kodem, wstydliwie, lecz bezpiecznie ukrytym w jej głowie niczym w skarbcu.

Tak naprawdę to wcale nie była pełnoprawną obywatelką Rzymu mimo nazwiska i dokumentów. Nie chodziło tylko o jej nawyki wyniesione z czasów, kiedy była niewolnicą. Istniały także kwestie prawne, choć różnice rzeczywiście były subtelne. Nie miała prawa wyborczego ani nie mogła ubiegać się o żaden urząd. Była kobietą, więc i tak nie miała tych praw.

Nie wolno jej było poślubić nikogo z arystokracji.

Marek unosił się bez trudu na falach. Una spojrzała na niego z wyrazem niezmałconego szczęścia, nachyliła się i schwyciwszy jego mokrą rękę, podciągnęła go; zupełnie niepotrzebnie, gdyż o własnych siłach wdrapałby się na skały. Usiadł obok niej i sięgnął po jedną z książek.

- Sami faceci mordujący się nawzajem - oznajmiła Una.

- Nie zgadzam się z tobą. Czasami robią przerwę, żeby wygłosić przemówienie. - Położył się, kładąc głowę na jej kolanach. W słońcu jego skóra schła tak szybko, że Unie nie przeszkadzało, że ją zmoczył. Uśmiechnął się do niej i poprosił:

- Nie wracaj dzisiaj na noc do domu. Nie zostawiaj mnie samego.

Poprzedniej nocy spali w małym domku, który Makaria miała w

pobliżu portu, jednak tego wieczoru Marek miał odwiedzić kuzynkę w jej winnicy.

- Nie pójdę tam, tak będzie lepiej - powiedziała Una z przekonaniem. - Makaria czułaby się przy mnie niezręcznie.

- Powinna być ci wdzięczna.

- Zgadzam się.

- No dobrze, może powstanie niezręczna sytuacja, ale to nie potrwa długo. Parę minut i przekona się do ciebie. Myślę, że mogłaby cię polubić, gdybyś z nią chciała rozmawiać. To mogłoby... - Bawił się nieśmiało jej palcami. - Pomóc.

Nie chodziło o to, że Makaria czy Faustus nie aprobowali jego miłości do niej. Wręcz przeciwnie, podchodzili do tego pobłażliwie, żywiąc przekonanie, że w odpowiednim momencie Marek się jej pozbędzie.

Una westchnęła.

- Ale ja nie chcę się z nią spotykać. Wiesz dobrze dlaczego. Nie chcę tam chodzić i patrzeć na jej niewolników.

- Nie ma ich wielu - powiedział Marek. Zawahał się, wyraźnie nieszczęśliwy i zawstydzony tym argumentem. - Ona nie traktuje ich... Nawet nie myślą o sobie jak o niewolnikach.

Una otworzyła szerzej oczy i rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Sulien też tak myślał. Zmienił zdanie, kiedy zostaną oskarżeni o przestępstwo albo kiedy twoja kuzynka umrze czy straci pieniądze i będzie musiała ich sprzedać.

Marek usiadł.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Wiesz dobrze, że to rozumiem. Ale jakbyś z nią porozmawiała, może byś jej to wytłumaczyła.

- Chcesz zabrać mnie do swojej kuzynki i powiedzieć jej: Pamiętasz tę małą włóczęgę, którą przygarnąłem? Wytłumaczy ci zaraz, czemu nie aprobuję twojego stylu życia, a potem możemy zasiaść do obiadu.

- Daj spokój. - Marek jęknął i położył głowę na jej ramieniu w geście rezygnacji. - Nie mów tak. - Pocałował ją w łopatkę. Przejechał ustami po plecach aż do szyi.

- Przepraszam - powiedziała Una, rozluźniając się. Oparła swoją głowę o jego.

- Chciałbym, żebyś była ze mną, to wszystko.

- Wiem. - Odwróciła się i pocałowała go. - Przecież to tylko jedna noc. - Ale była to jedna z ich ostatnich nocy przed jej wyjazdem z Grecji.

Una czasami mieszkała z Markiem w Atenach, w apartamencie obok Akademii; czasami z Sulienem w Rzymie. Nie potrafiła osiąść w jednym miejscu.

Spojrzała na urocze wody zatoki i pomyślała, że może Dama chciałby, by pojechała do Delos i kupiła tylu niewolników, ilu tylko zdoła. Jednak uwolnienie ich byłoby w zasadzie niemożliwe. Czy miała ich po prostu wypuścić bez dokumentów i bez gwarancji, że nie zostaną zatrzymani i ukarani? Nie istniało nawet miejsce, gdzie mogłaby ich bezpiecznie posłać. Nie miała pojęcia, gdzie jest teraz Delir i pozostali.

Czy to tylko wymówka, żeby nic nie robić?

Potarła nogą o nogę Marka. Przyglądali się łodzi preto-riańskiej płynącej wzdłuż brzegu i zostawionej przez nią fali, która leniwie wtoczyła się do zatoczki. Kiedy łódź odpłynęła, przytulili się do siebie z namiętnością, żałując, że nie są naprawdę sami i nie mogą wspiąć się wyżej, gdzie grunt jest równiejszy, jest więcej cienia i gdzie mogliby się kochać.

Nagle znowu usłyszeli odgłos łodzi płynącej w ich stronę, tyle że tym razem dźwięk zupełnie wypadł z ustalonego rytmu. Podnieśli głowy i ujrzeli zbliżających się pretorianów. W tej samej chwili przeszył ich instynktowny lęk. Nie tylko Unę drażyło przeświadczenie, że znowu wydarzy się coś strasznego i będzie musiała uciekać. Łódź skreśliła, podskakując na wzburzonej przez siebie wodzie w zatoczce. Porucznik pretorianów wstał i patrząc na Marka, zawołał:

- Panie, mamy rozkaz zawieźć cię natychmiast do domu pani Nowii!

Marek podniósł się. Una leżała skulona, czując się naga w pastelowym kostiumie kąpielowym. Na szczęście oficerowie nie zwracali na nią uwagi, zupełnie ją ignorowali.

- Czemu? Coś się stało?

- Nie, panie. Wiem tylko, że Rzym chce z tobą rozmawiać przez-daldictor za dwadzieścia minut. Marek skinął w milczeniu głową. Czuł, że z niepokoju zaciska mu się żołądek.

- Przebierzemy się.

Pretoriański pilot łodzi posłusznie opłynął cypel. Marek stał nieruchomo na skale i Una pierwsza się odezwała:

- Popłynę z tobą.

- Dzięki. - Marek popatrzył na zatokę. - Albo Rzym został zaatakowany, albo coś się stało mojemu wujowi.

Ubrali się w milczeniu.

Una, siedząc już w łodzi, wyjęła z torebki i założyła zielony naszyjnik. Czuła, że musi wyglądać okropnie, i wstyd jej się zrobiło. Prostwy wdzięk białej sukienki zupełnie zniknął po tym, jak porwała ją wymiętą ze skały i w pośpiechu zarzuciła na mokry kostium. Także jej wilgotne i twarde od soli włosy nie chciały się rozczesać. Nie miała najmniejszej ochoty odwiedzać domu Makarii, a już szczególnie nie wtedy, gdy czuła, że wygląda niechlujnie, tanio albo jeszcze gorzej. Na myśl o Makarii wrzuciła grzebień do torebki, wzruszając ramionami i dochodząc z przekorą do wniosku, że nawet najlepsze ubranie nic jej nie pomoże. Nieustannie bawiła się gładkimi, zielonymi kamieniami, które straciły już wewnętrzny chłód i ogrzewały skórę na szyi.

Marek siedział obok niej nieruchomo, patrząc niewidzącym wzrokiem na morze. Kiedy objęła go, spojrzął na nią,

ale nie odezwał się słowem przez całą krótką podróż wzdłuż wybrzeża.

Z małej przystani na brzeg prowadziło kilka białych stopni. Po przekroczeniu progu niskiego, chłodnego domu na skraju winnicy w pierwszej chwili Marek i Una nic nie widzieli, oślepieni nagłym przejściem ze słonecznego blasku do głębokiego cienia panującego w środku. Pewność siebie Uny wzrosła trochę, kiedy dowiedziała się, że Makaria, która znajdowała się gdzieś na wzgórzach, jeszcze nie wróciła. Kobieta, która wpuściła ich do środka, była niewolnicą i, rzeczywiście, nie wyglądała na nieszczęśliwą z tego powodu. Una nie wiedziała, jak się zachować i jak ma się do niej zwracać. Zaraz po wejściu rozdzielono ich z Markiem. Pretorianie zaprowadzili go w pośpiechu do gabinetu Makarii i zamknęli za nim drzwi, zanim Marek zdążył zaprotestować. W środku stał jak zahipnotyzowany, patrząc na daldictor i nie potrafiąc zdobyć się na otwarcie drzwi albo wydanie polecenia, że mają wpuścić Unę.

Przybyli o kilka koszmarnych minut za wcześniej.

Una stała na zewnątrz, na białych kafelkach, ale nie mogła zdobyć się na to, żeby otworzyć te drzwi. Mimo że chciała. Mimo że wiedziała, że on tego chce.

W środku dom był tak prosto umeblowany, że nie mogła uwierzyć, iż należy do córki cesarza. Brakowało fresków, kafelki nie układały się w żadne wzory ani obrazy; hol był prosty, elegancki i trochę zabłocony. Unie nie dawała spokoju myśl, że Makaria, która nie miała pojęcia, co się dzieje, wróci nagle do domu i zastanie ją błąkającą się samą po pokojach.

Usłyszała, że Marek zaczął rozmawiać, i choć nie różniała słów, wyczuła, że się zdenerwował.

Po chwili blady - choć opalenizna częściowo skryła tę bladość - wyszedł z gabinetu i Una od razu zapytała:

- Nie żyje?

- Nie - zaprzeczył Marek. - Żyje, ale nic nie może zrobić. Miał wylew. Może nigdy... Muszę wracać i... - Pod ścianą stało proste, czarne krzesło i niespodziewanie Marek ciężko na nim usiadł.

Chciał być cezarem. Zarówno ze względu na wszystko, czego zamierzał dokonać, jak i na nieodłączne, niemoralne, skryte pragnienie, którego bał się trochę. Gdyby musiał czekać dwadzieścia lat, jak to się mogło łatwo zdarzyć, pewnie stałby się zgryźliwy i niecierpliwy jak Leon. Jednak tak niespodziewanie...

Siedząc pod ścianą, starał się z całych sił nie dopuścić do siebie myśli, że tak czy inaczej będzie go to kosztowało utratę Uny. Bał się na nią spojrzeć, żeby nie zobaczyć jej lęku, a może świadomości, że on się boi.

Nie śmiał jęknąć, nawet poskarżyć się w duchu: Nie dam rady!

- Powinni wezwać Suliena - zasugerowała Una, stojąc nad nim nieruchomo.

- Już to zrobili - powiedział. Spuścił oczy. - Łudziłem się... myślałem, że będziemy mieli więcej czasu. - Podniósł wzrok i dodał w pośpiechu: - Mam na myśli tu, w Grecji. Więcej czasu dla siebie, zanim coś takiego się stanie, a nie...

- Wiem - przerwała mu szybko. Wolałaby jednak, żeby nie patrzył na nią takim wzrokiem; nie tylko przerażonym, ale tak jakby nieubłaganie oddalała się od niego. Podeszła i przytuliła jego głowę do piersi.

- Może wybuchnąć wojna - dodał Marek. - Mur został przełamany dzisiaj rano. Będę musiał podjąć jakąś decyzję albo pozwolić, żeby Salwiusz zdecydował. Wie o wiele więcej ode mnie. Tyle że nie mogę tego zrobić. Salwiusz zabił wielu

ludzi.

- No cóż. Oczywiście jest mi przykro z powodu twojego wuja, ale jednocześnie cieszę się w imieniu wszystkich ludzi, że ty będziesz sprawował władzę, ponieważ jesteś dobrym człowiekiem.

Marek zamrugał i objął ją, całując mocno w twarz i przyciskając do siebie, gdy ona powtarzała w myślach: nie, nie, nie.

W tym momencie do domu weszła Makaria. Opalona, niezgrabna i ubrana o wiele gorzej od Uny, Makaria wyglądała na arystokratkę dzięki niewidocznej szacie utkanej z wrodzonej pewności siebie, typowej dla Nowiuszów. Dostrzegła Unę i Marka splecionych w uścisku i przez chwilę poczuła niechęć, że widzi ją w swoim domu.

- To tatuś! - zawołała, kojarząc nagle, i rzuciła się pędem w stronę gabinetu, z którego wyszedł Marek.

*

Wyglądało to tak, jakby niewidzialny mechanizm, trzymany do tej pory w bezruchu, nagle został uwolniony i ruszył do przodu z niepowstrzymaną, bezlitosną siłą. Makaria, cała we łzach, pobiegła na górę spakować rzeczy. Kiedy wróciła na dół w lepszym stroju, wyglądała na wpół cywilizowanie. Nie było ani czasu, ani potrzeby, żeby Marek się pakował. Pałac wysłał już oddział pretorianów, żeby opróżnili jego mieszkanie w Atenach. Skrzynie z rzeczami dotrą do Rzymu w ciągu kilku dni, a w tym czasie pałac mógł nabyć wszystko, czego tylko Marek potrzebował. Una i Marek pomyśleli o splądrowanym mieszkaniu, o naruszeniu ich prywatności. Ogarnęło ich poczucie winy, jakby pokoje były pełne sekretów i śladów zbrodni. Una zaproponowała, że pojedzie i będzie doglądać

pakowania, ale Marek się sprzeciwił.

- To tylko rzeczy - powiedział.

Bali się, że znowu ich rozdziela, i po rozmowie przez daldictor Marek uparcie trzymał się blisko niej, żeby temu zapobiec. Cały ten pośpiech okazał się, przynajmniej pod tym jednym względem, korzystny - nikt nie miał czasu zastanawiać się, co zrobić z Uną. Makaria, biegająca pomiędzy domem i winnicą i wydająca instrukcje służbie, ignorowała ją, i to bez cienia złośliwości. Po prostu zapomniała o jej obecności. Dopiero kiedy wyszli z domu, zauważyła Unę i spojrzała na nią ze zdziwieniem, które szybko ukryła pod wymuszonym uśmiechem.

Mała zielona wyspa nagle stała się zupełnie bezbronna przed eskadrą spiralotów, potężnych i lśniących. Na boku każdego namalowany orzeł wznosił triumfalnie metaliczne skrzydła, które odbijały promienie słońca. Nad orłami widniały litery SPQR: Senat i Lud Rzymu. Spiraloty opadły na wyspę, niczym gigantyczna szarańcza, w wirach gorącego i zimnego powietrza, wypłaszając z drzew ptaki. Mewy wzbiły się nad morze.

Una i Marek w tej samej chwili wstrzymali oddech.

Maszyny wisały nisko nad ziemią, czemu towarzyszył ryk silników. Było tyle miejsca, że wylądować mogła jedna. Z pozostałych żołnierze spuścili się na linach, otaczając dom - otaczając Marka. Wyglądało to jak napaść, jakiś błyskawiczny atak na wrogiego przywódcę czy partyzanckiego watażkę.

- Możemy jeszcze spróbować uciec - powiedziała cicho Una, próbując zażartować. Marek roześmiał się, ale odparł:

- Nie. - Wyprężył się, kiedy spiralot wylądował. Podmuch wiatru potargał im włosy.

Szorstki majestat maszyny odrobinę zbladł, kiedy wylą-

dowała, trochę niezgrabnie, na zakurzonej dziedzińcu za domem Makarii. Mimo że Makaria mogła mieć lotnisko na wyspie, to nie zdecydowała się na jego budowę. Skrzywiła się boleśnie na widok nalotu, z obawy przed zniszczeniami, jakie podmuch powietrza mógł wyrządzić wśród kwiatów.

- Głupie bydlaki. Nikt nie myśli - mruknęła ze złością.

We włazie pojawił się Glykon, zmęczony podróżą. Jego długie, jasne włosy powiewały na wietrze.

- Glykon - rzekł Marek, wspinając się po stopniach i prowadząc za sobą Unę pochylającą się przed podmuchami powietrza. - Czy są jakieś sprawy, w których muszę od razu podejmować decyzję?

Wnętrze spiralotu było bogato umeblowane: skórzane wygodne fotele w kremowym odcieniu, na drzwiach tłoczone złote emblematy. Jednak ta próba przeniesienia pałacowego przepychu do ciasnego pomieszczenia nie wypadła pomyślnie - stłoczone duże meble wyglądały wręcz tandetnie.

Ku swojemu zdziwieniu Marek dostrzegł Salwiusza stojącego na końcu pokładu. Założył, że generał wprowadzi go w ostatnie wydarzenia na Murze. Jednak Glykon obrzucił Marka spojrzeniem pełnym współczucia, wręczając mu kartkę papieru.

- Jest jedna formalność, której musimy dopełnić przed wszystkim innym - powiedział.

Marek stał z kartką w dłoni i w pierwszej chwili nie mógł rozpoznać co to takiego. Papier był w pośpiechu zadrukowany prostymi, czarnymi literami, choć jego brzegi zostały pozłoczone. Tekst był krótki. Skojarzył nagle, co takiego Salwiusz trzyma sztywno w rękach. Było to lakierowane drewniane pudło, na którego pokrywie widniał zwój różg liktor-skich otaczających topór czy też raczej jego replikę z brą-

zu: różgi były odlane z jednego kawałka metalu, a ostrze topora było małe, ozdobne i zupełnie bezużyteczne. A jednak wyglądało to groźnie, chociaż stanowiło symbol, a nie narzędzie. Marek wiedział już, po co Salwiusz tu przybył. Informacje na temat Nionii były drugorzędne. Salwiusz reprezentował armię.

Marek poczuł lekki zawrót głowy, kiedy spiralot odezwał się od ziemi.

- Usiądź - polecił Salwiusz.

Marek posłusznie opadł na fotel. Salwiusz budził w nim odruch obronny, tak jak w Faustusie, tyle że Marka odruch ten zmuszał do przybierania pozy, która go postarzała, a nie odmładzała. Wyczuwał, z jakim żalem Salwiusz rozstaje się z trzymanym w rękach symbolem.

Una poczuła ukłucie lęku, patrząc na Salwiusza. W dole zielona wyspa szybko się kurczyła. Kiedy weszli na pokład, Salwiusz spoglądał na Marka z mieszanymi uczuciami, które szybko przerodziły się w pogardę na widok jego kobiety. Spostrzegł, że Una wycofała się i z fałszywą skromnością zajęła miejsce w tylnych rzędach. Przyglądała mu się uważnie.

Una siedziała przy oknie z obojętną miną i na zimno kalkulowała w myślach. Glykona poznała wcześniej i wiedziała, że nie przeszkadza mu jej obecność; Marek oczywiście chciał, żeby z nim była; Makaria mogła wziąć stronę Salwiusza, ale na razie tylko myślała o Faustusie. Jesteś w mniejszości, pomyślała o Salwiuszu i rozluźniła się trochę.

Salwiusza zżerała frustracja oraz z trudem tłumiona żądza władzy; siedząca z tyłu dziewczyna, która wyglądała na małą spryციulę, była teraz najmniejszym z jego problemów. Twarz Marka budziła w nim wspomnienie Leona, czemu towarzyszyły żal i czułość. Aż wzdrygał się na myśl, jaką kata-

strofą dla Rzymu byłby Marek na cesarskim tronie. Wiedział, że mógłby, niemal na pewno potrafiłby temu zapobiec - i jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie powinien. Nie był przecież zdrajcą. Tylko czy na pewno? A jeśli zdradą było niezrobienie niczego, oddanie Rzymu temu chłopcu, i to w dodatku w takim momencie? Czy kiedyś potomni nie zadadzą sobie pytania: „Gdyby Salwiusz się zdecydował, to...?”. A może klęska będzie tak całkowita, że potomni całkowicie o nim zapomną?

Patrzyli na siebie z Markiem, siedząc po przeciwnych stronach stołu, i Salwiusz zapytał tonem, jakby go przesłuchiwał:

- Czy przysięgasz rządzić Rzymem w imieniu ludu i senatu?

- Przysięgam - odparł Marek, zgodnie z trzymaną w dłoni instrukcją.

Salwiusz podniósł brązowe *fasces*, zważył w dłoniach z nieszczęśliwą miną i wręczył je Markowi.

- Czy przysięgasz bronić obowiązków i przywilejów Rzymian ustanowionych przez prawo i obyczaj?

- Tak.

Po tym jak szybko przebiegł wzrokiem treść listu, Marek nie potrzebował skryptu. Jego rola była prosta i czuł się pewniej i bezpieczniej, mogąc patrzeć Salwiuszowi w oczy. Odkładając *fasces*, zauważył, że po raz pierwszy z twarzy Uny zniknął wyraz niepokoju czy może nieufnej obojętności i teraz się przyglądała - Salwiuszowi, jemu, podawanym przedmiotom - z taką chciwą ciekawością, że aż przypominającą ekstazę.

Salwiusz skinął głową i wyjął ze skrzynki mniejsze i jeszcze bardziej ozdobne hebanowe pudełko. Otworzył je, odwrócił przodem do Marka i położył przed nim na stole.

W środku znajdowały się sterty drewnianych cylindrów, niektóre z nich oznaczone prostym podpisem, inne z malunkami przedstawiającymi bogów, sceny z polowania czy siedzącego na tronie cesarza. Były to zwoje dokumentów. Większość pewnie już nieaktualnych lub wręcz nieczytelnych. Spoczywały w skrzyni z innymi tylko ze względu na tradycję - antyczne teksty religijne i przepowiednie. Jednak te nowsze musiały być aktualne i zawierać ważne tajemnice: na przykład wojskowe kody, na wypadek gdyby cesarz musiał wydać rozkaz ataku na jakąś część imperium.

Marek dotknął ich ostrożnie, jakby mogły porazić go prądem.

- Czy przysięgasz, z całej mocy, sprawiedliwie, litościwie i w zgodzie z własnym sumieniem, przestrzegać prawa? - spytał Salwiusz, niemal prosząco, gdyż było już za późno, żeby się wycofać.

- Przysięgam - powtórzył za nim Marek.

Salwiusz wyjął z pudełka zwitek materiału złożony na czworo i ozdobiony na brzegach złotą nicią. Rozłożył go ostrożnie, warstwa po warstwie, aż na jego dłoni ukazał się cesarski sygnet.

Marek był zaskoczony każdym kolejnym etapem rytuału, zupełnie jakby patrzył na cyrkową sztuczkę z nożami. Niemal podskoczył w fotelu na widok pierścienia.

- W imieniu bogów dokonam tego, co przysięgłem - powiedział równym głosem.

Wziął pierścień do ręki. Złoto było ciemne, wręcz pochmurne. Pierścień wydawał się duży i nieporęczny; zarówno część z wygrawerowanym orłem i otaczającym go wieńcem laurowym, jak i sama obrączka. Został zrobiony na palec potężnego mężczyzny i gdy Marek wsunął sygnet, poczuł się tak

bardzo młody. Zacisnął prawą dłoń w pięść. Bał się, że symbol władzy mógłby się obrócić lub zsunąć, gdyby wyprostował palce. Teraz przypominał mu broń; coś, co nakłada się na dłoń, żeby wzmocnić uderzenie.

- Rzymska armia ogłasza cię cezarem i regentem i zanoszą modły do bogów, żeby obdarzyli cię zdrowiem i zwycięstwem - powiedział oschle Salwiusz. Skłonił się i usiadł.

Także Glykon mu się pokłonił. Na pokładzie spiralogu zapadła cisza. Marek siedział, próbując nie poddać się ogarniającemu go oszołomieniu i zastanawiając się, co ma zrobić z pudłem ze zwojami dokumentów i *fascēs*. Poza tym, że Salwiusz nazwał go regentem, a nie cesarzem, słowa były identyczne jak przy koronacji. Rzecz jasna ta nie mogłaby się odbyć w takich okolicznościach. Brakowało też wieńca ze złotych liści laurowych.

- Dziś wieczorem zostanie dopasowany - powiedział Glykon, wskazując na pierścień. - Powinieneś jak najszybciej wygłosić orędzie do narodu. Pierścień musi pasować na twoją rękę.

- Czy to konieczne, żeby go zakładał? - zapytał z niezadowolaniem Salwiusz. - Nie wkłada przecież wieńca. To tylko czasowe zastępstwo, prawda? Przynajmniej formalnie.

Marek ukrył zaskoczenie.

- Można go później znowu dopasować do palca cesarza - odparł zgodnym tonem Glykon.

Marek miał dosyć słuchania, jak mówią o nim niczym o jednym z insygniów.

- Powiedzcie mi o Nionii - polecił.

*

Później, w czasie przerwy na posiłek, Marek przysiadł

się do Uny. Potajemnie splekli palce pod stołem. Jednak nieskrywana fascynacja, z jaką Una przyglądała się ceremonii, wytrąciła go trochę z równowagi.

- To było silniejsze ode mnie - wyjaśniła. Następnie, bojąc się, że ktoś ją zatrzyma, szybko podeszła do stołu i wzięła tekst przysięgi.

- Myślałam o umowie - powiedziała.

- Umowie? - powtórzył Marek. Czuł się zmęczony.

- Sama nie wiem. Zastanawiałam się, co się zmieniło, kiedy wypowiedziałeś słowa przysięgi. Jakie mają znaczenie? Ten człowiek, Salwiusz, wręcz oczekiwał, że zadziałają jak zaklęcie. Ale... - Postukała palcem w dokument. - Nic się nie zmieniło. Każdy może powtórzyć tę formułkę. Nawet nie jesteśmy w Rzymie. Prawie nie ma nikogo, kto słyszał, jak to mówisz. - Tłumaczyła po cichu, tak żeby Salwiusz, Glykon czy Makaria nie mogli jej usłyszeć. - Przysięgam rządzić Rzymem... - Uśmiechnęła się leciutko, sarkastycznie, jakby chciała zobaczyć, czy coś się wydarzy. - Kiedy ja to mówię, to nic nie znaczy. Więc czemu nabiera znaczenia, kiedy ty to mówisz? Dlatego, że umówiono się, że ma coś znaczyć. Ale kto się umówił? Z jednej strony zaledwie kilku ludzi. Jeśli jednak zgoda oznacza moc zapobieżenia czemuś, ale...

- Och - jęknął Marek. - Mam nadzieję, że dadzą mi tydzień, zanim zaczną rewolucję. Na dziś mam dosyć. - On także zastanawiał się, co to zmienia w jego życiu, w nim samym.

- Dochodzi jeszcze armia - dodała Una, patrząc na Salwiusza.

- Tylko nie podsuwaj mi żadnych pomysłów - zaprotestował Marek z wymuszonym śmiechem.

- Wszystko będzie dobrze. Wiem to - zapewniła go. Gdyby go jednak teraz pocałowała, Salwiusz uznałby go za

słabeusza. Zacisnęła dłoń na palcu, na którym nosił luźny pierścień, jakby chciała złagodzić ból po małym oparzeniu.

*

Glykon chciał zaplanować Markowi ten i następne dni. Głowę Marka zaprzętały w równym stopniu plany Glykona, jak to, co Salwiusz powiedział mu o Nionii. Obie sprawy rzecz jasna były w pewien sposób ze sobą powiązane. Przez dłuższy czas Marek słuchał Salwiusza z uwagą, niemal się nie odzywając. Jednak już po kilku sekundach milczenia Salwiusz nabrał przekonania, że jeśli Marek miał jakiegokolwiek instynktowne wycucie tego, co należy zrobić, to dałby już jakiś znak. Podśledzał wcześniej, jak Glykon zdawał Markowi relację z rozmowy Faustusa z Tadahito - robił to trochę jakby za jego plecami - i poczuł, że kon-spirują przeciw niemu. Spróbował wymusić na Marku zgodę lub przynajmniej sprowokować go do okazania naiwności. Zaczął podnosić głos. Miał uczucie, że krzyczy w głębi przepaści i nie słyszy echa.

Na dodatek dziewczyna podsłuchiwała ich rozmowy. Nie akceptował jej obecności, a uczucie, że ma dodatkową publikę, wyprowadzało go z równowagi. Dziewczyna i Marek rozdzielili się strategicznie, jednak pozostawali w milczącej komitywie. Salwiusz nie mógł mieć oka zarówno na nią, jak i na niego. Kiedy koncentrował się na chłopaku, odnosił wrażenie, że odsłania flankę. Niemal czuł, że gdyby szybko podniósł na nią wzrok, zobaczyłby, jak Una siedzi z piórem w ręku i zapisuje uwagi niczym jakiś inspektor.

Marek zaczekał, aż z okien można było dostrzec plamy światła na Złotym Domu i Koloseum, a Rzym rozłożył się pod nimi niczym zwój zapisany kolumnami sinoańskich znaków.

- Salwiuszu - odezwał się. - Wiem, czego ode mnie oczek-

kujesz. Widzę, że domyśliłeś się już, że nie zgadzam się z tobą, więc mogę to równie dobrze powiedzieć na głos. Nie wydam rozkazu do ataku. Chcę spotkać się z Nionianami. Myślę, że można by to zorganizować w Sinie.

Poświęcił wcześniej minutę, żeby przemyśleć to przemówienie. Był przekonany, iż ton jego głosu przekazywał ostrzeżenie, że Salwiusz nie powinien terroryzować go swoim rozżaleniem, że nie mogą dojść do porozumienia. Miał także nadzieję, że ton ten nie był absurdalnie śmiały wobec kogoś o wiele starszego - a jednocześnie wyższego i nie-odzianego jak Marek w luźny strój, jaki się nosi na wakacjach nad morzem.

Salwiusz pokręcił głową, wysuwając szczękę i napinając mięśnie karku, jakby chciał się przebić przez wrogi tłum czy wyważyć drzwi.

- To naturalne, że wahasz się przed podjęciem takiego kroku - rzekł ostrożnie. - Ja też mam obawy, możesz mi wierzyć. Nikt, kto był raz na wojnie, nie będzie chciał wszcząć następnej bez dostatecznego powodu. Jednak pozwoliliśmy im już na zbyt wiele. Jeśli nie powstrzymamy ich teraz, to zrobią kolejny krok i następny. Szkoda, że nie działaliśmy bardziej zdecydowanie w przeszłości. Możliwe, że nie znaleźlibyśmy się w takiej sytuacji. - Czuł ulgę, że Marek w końcu przestał go tylko słuchać.

- Mamy całą przyszłość, żeby zacząć z nimi wojnę - odparł Marek.

- Nie - rzekł kategorycznie Salwiusz, ale nie rozwinął myśli.

- Jednak nigdy nie moglibyśmy wrócić do obecnej sytuacji. A nawet gdybyśmy mogli, to zginęłoby w tym czasie zbyt wielu ludzi.

- Dzisiaj zginęło już czterysta osób - powiedział z de-

speracją Salwiusz. - Jeśli zawahamy się teraz, zostanie to zapamiętane. Nie chodzi tylko o Nionię. Mogą się zbuntować prowincje. Pomyśl o tym, co stało się w Meksyce; pomyśl o Indiach. Jesteśmy silni tylko wtedy, gdy oni w to wierzą. Zawsze tak było.

- Mówisz tak, jakbyśmy wszczynali wojny przy każdej okazji -sprzeciwił się Marek. - Wiesz, że tak nie jest. Teraz też nie zacznę.

- No dobrze. Przynajmniej daje nam to czas, żeby się lepiej przygotować - mruknął pod nosem Salwiusz, starając się dostrzec jakąś pozytywną stronę odmowy.

- Nie - powiedział Marek. - To znaczy, że musisz robić wszystko, co jest niezbędne do zapewnienia bezpieczeństwa ludności, jednak nic ponad to. Nie będzie wielkiej koncentracji wojsk.

Tym razem Salwiusz patrzył bez słowa oniemiały.

- W przeciwnym wypadku rozmowy z nimi nie miałyby sensu. Odpowiedzieliby dokładnie tym samym na każdy nasz ruch. Po obu stronach Muru stałyby dwie armie i czekały na sygnał. W jaki sposób Nionianie, czy my sami, uwierzyliby, że wszyscy rozejdą się w pokoju? Wojna stałaby się nieunikniona. Studiowałem to...

Nie, nie powinien tego mówić, pomyślała Una. Marek uświadomił sobie to w tej samej chwili. Nie mogli się powstrzymać i ich oczy spotkały się na chwilę. Oboje czuli, że Marek nie powinien się tłumaczyć, nie powinien przypominać Salwiuszowi o Akademii Ateńskiej, w której studiował jeszcze kilka dni temu. Oczywiście, że brakowało mu doświadczenia wojskowego, jak zasugerował to wcześniej Salwiusz. Nie miał nawet dwudziestu lat.

Salwiusz nic nie odpowiedział.

*

Una i Sulien oglądali wspólnie wystąpienie Marka. Siedzieli na podłodze i ignorowali otoczenie, podczas gdy piękne pokoje apartamentu, który miał zająć Marek, otwierały się wokół nich niczym płatki kwiatów.

Zamknęli drzwi na zamek, choć sami nie wiedzieli dlaczego.

- Zmienił się - powiedział Sulien. Una uniosła rękę.

- Wie, co robi. Da sobie radę.

- Aha - zgodził się Sulien, rzucając jej ostrożne spojrzenie. Spojrzał na ekran dalwizji. Starając się nadać głosowi beztroski ton, zapytał: - A ty?

Wzrok Uny stał się nagle pozbawiony wyrazu i skupiony na ekranie dalwizji.

- Wiedziałam, że w końcu to się zdarzy - odparła bez śladu emocji.

- Ale nie tak szybko. Nie w ten sposób. - Wiedział, że to bez sensu, żeby czuł się odpowiedzialny. - Tak bardzo mi... przykro.

Una nerwowo potrząsnęła głową, ale nic nie odpowiedziała, tylko lekko chrząknęła z dezaprobatą.

- O co chodzi? - zapytał.

- Twój głos. Co oni tu z tobą zrobili?

- Z moim głosem jest wszystko w porządku - zapewnił Sulien.

- Pewnie. Kiedy byłam tu ostatnio, mówiłeś, jakbyś mógł być moim bratem. Teraz wracam i słyszę urodzonego Rzymianina.

- Wcale nie - sprzeciwił się Sulien i w jego głosie zabrzmiał nagle angielski akcent. Una spojrzała na niego, czując,

że twarz wykrzywia jej uśmiech. Sulien rzadko wspominał, że wychował się w innym kraju.

Gdyby miał wymienić miejsce, które znaczyło dla niego najwięcej, nie byłyby to wcale Londyn, lecz obóz w Pirenejach, do którego zawędrowali. W Rzymie jego akcent zaczął się bardzo szybko zmieniać. Zanim minął rok, samogłoski zaczęły dopasowywać się do słyszanych wokoło dźwięków, jakby były z wosku. Una wiedziała, że wystarczyłyby dwa tygodnie spędzone z nią gam na sam, żeby zmienić jego akcent równie łatwo, jak podpuszczka zakwasza mleko.

- Nic na to nie poradzę - wyznał, chociaż było mu trochę głupio, że jest tak podatny na obce wpływy. - To co z tego, że mówię jak Rzymianin? Podoba mi się tutaj.

To nie była nawet kwestia gustu. Czuł, że pasuje do tego miejsca jak ulał, i nie myślał nawet o tym, czy mu się tu podoba, czy nie. Una patrzyła na niego czule i jednocześnie z lekkim podziwem.

- Nie ma miejsca na świecie, gdzie by ci się nie podobało.

Czy to przyjeżdżając do Rzymu, czy go opuszczając; jadąc drogą Appijską czy Ostijską, widok krzyży na poboczach dróg przyprawiał go o torsje, dreszcze przechodziły mu po ciele, a palce same sięgały do nadgarstków. Jednak w żadnym rzymskim mieście nie byłby wolny od tego widoku.

Jej akcent nie uległ zmianie; choć było to winą pewnego rodzaju głuchoty na melodię języka, jak sobie uświadomiła, a nie świadomego wysiłku, żeby go zachować. Czasami ze zdziwieniem dostrzegała, że ogarnia ją nostalgia za Brytanią i Londynem, mimo że tyle tam wycierpiała. Nie chodziło o to, że lubiła tamtejsze powietrze - tak różne od klimatu na kontynencie - czy, na przykład, że podobał jej się podmiejski krajobraz, ale o to, że zakodowały się w jej pamięci jako wzorzec.

Nie miała jednak po co tam wracać. Ona i Sulien mieli tylko siebie. (Nie było to do końca prawdą, gdyż ich matka najpewniej jeszcze żyła. Una nigdy o niej nie myślała i najchętniej wymazałaby z pamięci istnienie takiej osoby).

Kiedy przyjeżdżała do Rzymu, zawsze była w bojowym nastroju, jakby chciała przypomnieć temu miejscu, że zawarli między sobą tymczasowy rozejm, nic więcej.

Siedzieli dalej w milczeniu, gapiąc się w ekran. Marek właśnie mówił o rodzicach, których ludzie wciąż kochali. Una wiedziała, że nie ma im zbyt wiele do powiedzenia. Nie mógł rzec nic pewnego na temat Nionii, bo sam nic nie wiedział. Mógł jedynie mówić, wyglądać i zachowywać się, jakby wszystko było jak należy, jakby był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Jego mimika i sposób mówienia były same w sobie obietnicą. Znajdował się od nich nie dalej niż kilkaset kroków, ale patrząc na ekran, trudno było w to uwierzyć. Pierścień, zwężony, jak obiecał Glykon, spoczywał nieruchomo na palcu, widoczny nawet z oddali. Na ramionach Marek miał purpurowy płaszcz, ciemny, niemal czarny i z tak grubego jedwabiu, że udrapowany na nowym ubraniu czynił go wyższym i potężniejszym. Przycięto mu także i uczesano włosy. Wyglądał teraz na pięć, sześć lat starszego. Tak naprawdę to jego wiek trudno było teraz określić; wciąż wyglądał młodo, ale nie jak naiwny złotodziób, biło z niego jakieś doświadczenie i pewność siebie. Nie nałożył złotego wieńca, który leżał przed nim na podium.

Znali tę twarz na długo, zanim go spotkali. Oboje pamiętali, jak patrzyli na niego, kiedy spał tej pierwszej nocy, gdy go znaleźli. Zupełnie jakby twarz z ekranu wdarła się do prawdziwego życia.

- No cóż - powiedział cicho Sulien. - Po to właśnie go

ściągnęli.

Jednak zaskoczyły go różnice, jakie dostrzegął w Marku. Ogarnęło go przeświadczenie, że w jakiejś mierze jest za to odpowiedzialny.

Kiedy Sulien wszedł do pokoju, w którym leżał Faustus, jego zmęczone oczy ujrzały tłum. Miał wrażenie, że są tam sami ważni ludzie, choć niektórzy z nich okazali się niewolnikami i tylko w pierwszej chwili nie odróżnił ich od sekretarzy, lekarzy pałacowych i senatorów. Wszyscy oni krzyczeli na Suliena lub przekrzykiwali się ponad jego głową, kiedy próbował się skoncentrować, i nie chcieli go słuchać, gdy kazał im wyjść. Wreszcie musiał niektórych wypchnąć z pokoju siłą. Kiedy został sam na sam z Faustusem, który leżał z otwartymi ustami i wydawał z siebie nieustanne rżenie, Sulien opróżnił umysł ze wszystkiego, co nie dotyczyło pracy. Jego zadaniem było ratowanie życia. Dopiero kiedy mu się to udało i zapanował nad kryzysem, poczuł, że stoi przed ważną decyzją, której skutki mogą okazać się straszne dla Marka... i dla Uny.

Tak naprawdę to decyzja nie należała do niego. Musiał tylko przedstawić, jak sprawy wyglądają: Faustus żył. Jeśli Glykon (który go tu sprowadził) sądził, że Sulien potrafi wyizolować chorobę z głowy Faustusa, jakby nigdy się nie przydarzyła, to się mylił. Odczekał kilka chwil, jakby liczył, że może się zdarzyć coś, co go powstrzyma. Przyglądał się

Faustusowi ze współczuciem, które zawsze uznawał za nieprofesjonalne u lekarza. Co dobrego mogło wyniknąć z litowania się nad chorymi? W tym wypadku jego współczucie dla Faustusa było tak dojmujące i tak nieodłącznie związane z osobą Marka, jakby zarówno cesarz, jak i regent byli śmiertelnie chorzy.

- Tak, wezwijcie go - powiedział i wyszedł z pokoju.

Potarł oczy.

- Jestem wykończony - powiedział do Uny. Wstał długo przed świtem i kiedy otrzymał alarmujący telefon ze Złotego Domu (po którym zaraz pojawił się pałacowy samochód), miał właśnie zamiar przejść się do swojego mieszkania w Transtiberinie i położyć się do łóżka. Jego przyjaciele - studenci, asystenci, młodzi lekarze, aktorki i, pewnie także, Tancorix - siedzieli teraz gdzieś w winiarni i zastanawiali i się, gdzie on się podziewa. Był zbyt zmęczony, żeby o nich myśleć.

- To zdrzemnij się-zaproponowała Una.- Znajdą ci jakiś pokój.

- Nie. - Wyszedł od Faustusa dwie godziny temu, zanim Marek zdążył odwiedzić wuja, toteż nie zdołał się z nim spotkać. - Chcę zobaczyć się z Markiem. Nie pozwól mi zasnąć. - Zamiast jednak siedzieć, wyciągnął się leniwie na dywanie i na wpół przymknął oczy, odpowiadając pomrukami, kiedy posłusznie szturchała go w ramię.

- Złożyłem dziś przysięgę - mówił Marek w dalwizji.

- Sulien - zapytała cicho Una. - Jak długo to potrwa?

Sulien powoli uniósł się, opierając na łokciu. Nie odpowiedział jej od razu.

- Cesarz bardzo szybko się zmęczy. Będzie zbyt wyczerpany, żeby pracować - odparł. W jego głosie zabrzmiała obronna nutka. -Ma szczęście, że nie stracił zdolności mówienia, ale będzie miał kłopoty z myśleniem. Trudno to wyjaśnić. Niewykluczone, że odzyska kiedyś zdrowie. Nie mam jednak pojęcia, w jakim stopniu i jak szybko. Zawsze jest też możliwe, że zdarzy się kolejny wylew. - Powtarzał to cały dzień i teraz niemal wyrecytował.

Una wolałaby jasną odpowiedź, choć nie liczyła na nią w duchu. Skinęła głową. Sulien nic przed nią nie ukrywał. Na

pewno nie mniej niż rok, powiedziała sobie. Ale czy jest jakaś górna granica?

Twarz Marka zniknęła z ekranu.

Przez zaciśnięte zęby jęknęła ze złości i żalu. Wstała gwałtownie i mruknęła:

- Niech szlag trafi.

- Kogo?

- Cesarza. Czemu nie może po prostu umrzeć?

- Jak możesz tak mówić? - spytał zdumiony Sulien.

- No dobrze. Czemu nie może umrzeć lub wyzdrowieć i zostawić nas w spokoju? Cokolwiek byłoby lepsze od tego. Dla wszystkich.

- Biedak - powiedział Sulien, odwracając nieswojo wzrok od Uny. Był pewien, że bez jego pomocy Faustus by umarł.

- Biedak - zawtórowała mu Una, na wpół z pogardliwą ironią i na wpół z jawną skruchą, że odważyła się tak pomyśleć. - Masz rację - zgodziła się. Rozluźniła napięte mięśnie.

Sulien wstał. Nie byli dziećmi bawiącymi się w chowanego. Miękki dywan pod ich stopami aż błyszczał od jedwabiu. Na ścianie rozpościerał się fresk przedstawiający ogród. Obraz utrzymany był w kolorze miedzi. Tu i ówdzie opadłe rdzawe liście były pociągnięte prawdziwym złotem. Przed złotymi jabłkami zwisającymi z delikatnego, brązowego drzewa kucnęły Hesperydę; tajemnicze nimfy strzeżone przez potężnego smoka zwiniętego u ich stóp w zwojach złotych łusek. Na szczycie góry, w tle, stał Atlas skulony pod ciężarem wieczornego nieba rozjaśnionego zachodzącym słońcem. Dwoje londyńskich niewolników nie miało tu czego szukać. Nawet jeśli Sulien wszędzie czuł się dobrze, to wiedział, że jego siostra jest inna.

- Zostaniesz tu, z Markiem? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała Una głucho. - Przynajmniej jak długo zdołam.

- Jak długo zdołasz? Co chcesz przez to powiedzieć?

Spojrzała mu w oczy i przez ułamek sekundy wyraz jej twarzy mówił wszystko. Zaraz jednak odwróciła wzrok, patrzyła na pokój i sunęła palcem po zakrzywionym grzbiecie fotela, usiłując zdobyć się na sarkastyczny uśmiech.

- Dam sobie radę. Przynajmniej potrafią zadbać o porządek. Wiedzą, gdzie znaleźć przyzwoitych niewolników do sprzątania. - Podniosła palec, żeby pokazać, że nie ma na nim śladu kurzu. Potarła twarz. - Muszą ich tu być setki.

Sulien podszedł do niej ostrożnie.

- Porozmawiam z nimi. Wytłumaczę, skąd pochodzisz. Tak będzie lepiej.

- Ty możesz, bo przynajmniej coś dla nich robisz. Możesz im opowiedzieć o klinice. A co ja mam im mówić? „Głowy do góry. Wszystko będzie dobrze”.

- Czemu nie? Kiedy mieszkałaś w Londynie i pracowałaś w tych wszystkich miejscach... gdyby wtedy ktoś, kto kiedyś też był niewolnikiem, powiedział ci tak...

- Tobym kazała mu się wypchać. Pomyślałabym sobie, super, świetnie, udało ci się wyrwać, to się ciesz, ale teraz zamknij się i zostaw mnie w spokoju.

Sulien westchnął.

- Czy tak właśnie myślą ludzie, kiedy rozmawiam z nimi?

Una spojrzała na niego ze skrucą.

- Nie. Ty to co innego.

W tym momencie Marek wrócił do domu i musiał zastukać do zamkniętych drzwi. Wpuścili go, przepaszając, że zamknęli. Wyglądał dokładnie tak samo jak w dalwizji i zdziwili się na jego widok, choć powinni się tego spodziewać.

Tuż przed wygłoszeniem orędzia Marek poszedł odwiedzić wuja. Kiedy wracał do domu, pomyślał, że musi szybko im przekazać, co Faustus mu powiedział, ponieważ Una i tak zaraz sama się dowie. Z tego wszystkiego zapomniał, jak wygląda, aż do chwili gdy ujrzał, cień zdziwienia, jaki przemknął po ich twarzach. Zdjął płaszcz i rzucił go niedbale na krzesło, a następnie uściskał Suliena. Zostawił jednak pierścień, gdyż zapomniał już, że ma go na palcu.

*

Faustus zasnął, zanim jeszcze Marek opuścił pokój. Kiedy się obudził, poprosił Makarię, żeby pokazała mu kilka minut z przemówienia Marka, ale ekran dalwizji oślepił go, toteż szybko usnął z powrotem. Dużo później otworzył powoli oczy i rozejrzał się po cichym i pustym pokoju. Połowa jego ciała leżała przed nim, niczym płatanina obolałych gałęzi zwalonych przez wicher.

- Jak się czujesz? - zapytał Marek, siadając przy jego łóżku, i Faustus powtórzył zgorzkniałe za nim:

- Jak się czujesz? - Wstrętem napawała go zmiana, jaka zaszła w jego głosie. Miał wrażenie, że język stara się przebić jakąś suchą barierę w ustach i ciągle mu się to nie udaje.

Marek rzucił mu zatroskane spojrzenie, nie wiedząc, co się dzieje, i podejrzewając, że może Faustus powtarza za nim bezmyślnie.

- Jak dajesz sobie radę? - spytał Faustus. - Dostałeś już topór i różgi, pierścień i te wszystkie rzeczy, no nie? Cieszysz się?

- Oczywiście, że nie - odparł Marek.

- Musisz mieć z tego trochę przyjemności albo to cię wykończy - poradził mu Faustus, czując, że marnuje czas. Miał

może piętnaście minut, nie więcej, zanim zmorzy go niemiłosierne zmęczenie. - Dasz sobie radę.

- Mam nadzieję.

- Tyle że za młody jeszcze jesteś. Chcę, żeby Makaria i Druzus ci pomagali. - Makaria aż jęknęła ze zdumienia, ale Faustus ją zignorował. - Tak będzie najlepiej. Spróbuj być w porządku wobec Druzusa, biorąc pod uwagę okoliczności. - Zdawał sobie oczywiście sprawę, jak zranił Druzusa, wymieniając Marka jako swojego następcę.

- Dobrze - obiecał Marek, choć imię Druzusa przyprawiło go o lekki niepokój. Marek nie miał prawie żadnego kontaktu z kuzynem od czasu powrotu do Rzymu. Rozmawiali raz przez daldictor i obaj starali się pomijać temat decyzji Faustusa. Druzus pogratulował Markowi powrotu do zdrowia po okropnych dniach spędzonych w sanatorium Galena. Wymienili też zdawkowe grzeczności na urodzinach Faustusa. To wszystko. Druzusa ostatnio prawie nigdy nie było w Rzymie.

- Wiem, że masz te wszystkie plany. Tak samo jak Leon! - wybuchnął nagle Faustus. - Ale lepiej pamiętaj, że to jest, to jest, ten czas jest... i jeszcze ta wojna...

- Nie ma jeszcze wojny.

- Wiem - niemal krzyknął ochryple Faustus i leżał przez kilka chwil, patrząc na niego gniewnie w milczeniu. - Nie możesz... rozwalić wszystkiego. Nie, kiedy sprawy tak wyglądają.

Marek siedział przez chwilę bez słowa.

- Chodzi ci o niewolników, tak?

- No dobrze. Jak wrócę, nie chcę sprzątać po tobie - powiedział Faustus tak groźnie, jak tylko głos mu na to pozwalał. - Możesz sobie robić, co chcesz, kiedy będziesz cesarzem, ale na razie nim nie jesteś.

- Wiem o tym - zapewnił go cichym głosem Marek, choć

dręczył go coraz większy niepokój. Prawda była taka, że zaczynał podejrzewać, iż Faustus ma rację. Rzym nie poradziłby sobie jednocześnie z wojną i olbrzymimi zmianami. Przeanalizował słowa Faustusa: „Jak wrócę, nie chcę sprzątać po tobie” i doszedł do wniosku, że było to ostrzeżenie, choć pewnie nieświadome. Gdyby Marek zniósł niewolnictwo, a Faustus ponownie przejął władzę, mógłby po prostu je przywrócić. A potem - Marek nawet nie potrafił sobie wyobrazić, że jeszcze mógłby zostać cesarzem po takiej wpadce. A nawet gdyby, to jak mógłby zacząć od początku? Jak Rzym zniósłby coś takiego?

Przypomniał sobie, jak kiedyś spytał Wariusza: „Skąd mam wiedzieć, czy kiedykolwiek zdołam dokonać czegoś z tego, co chciałbym?”

Może zawsze będzie się to wydawało zbyt trudne?”.

*

Wspominając ich rozmowę, Faustus myślał, że mógł powiedzieć prawdę. „Nawet jeśli wydobrzeję, nie odbiorę ci pierścienia ani władzy”. Ułatwiłby w ten sposób Markowi życie.

Dlaczego, nawet kiedy był tak koszmarnie zmęczony, kiedy z taką ulgą oddałby władzę, nie potrafił pogodzić się z myślą o jej utracie? Był tak wściekły, że mógłby teraz kogoś uderzyć. Leżał w ciemnościach i klął na czym świat stoi. Nie, wcale tego nie chciał! Nie zrobi tego! Nie ma zamiaru! Miał czterdzieści lat, kiedy został mianowany cesarzem, ale nagle odniósł wrażenie, że z czasów pomiędzy dzieciństwem a wstąpieniem na tron niczego nie pamięta. Spróbował przypomnieć sobie cokolwiek z obawy, że może atak uszkodził mu pamięć. Czy jedna trzecia jego życia zniknęła i nigdy jej nie

odzyska? Narodziny Makarii. Jego rozczarowanie, że to dziewczynka. Tak, pamiętał to. Musiał jednak się wysilić. Dał sobie spokój i opadł z westchnieniem na poduszki. Przez kilka minut mógł tylko leżeć w ciemności i czuć, jaki jest pusty w środku.

Założmy, powiedział sobie, że się wycofa. Osiądzie na laurach. Co dalej? Roześmiał się na myśl o uprawianiu ogródka jak biedny Lucjusz. Kiedy jednak próbował wyobrazić sobie życie poza Złotym Domem, widział tylko pustkę.

Pomyślał o swoim siostrzeńcu i zamiast zmartwionego chłopca, który kilka godzin wcześniej siedział przy jego łóżku, w wyobraźni ujrzał Marka z pierścieniem na palcu, tak jak go widział na ekranie. Ogarnęła go niechęć, to było silniejsze od niego. Głupi szczeniak; mały oszust, który ograbił go z władzy i zdrowia w jakiś tam swój sposób. Wiedział, że jest okrutny i niesprawiedliwy, że tak naprawdę kocha Marka. Nie powstrzymało go to jednak przed wykrzyczeniem z nienawiścią w myślach: Przykro mi, że cię rozczarowałem, ale wciąż żyję! Nie umrę tylko dlatego, że tak by było wygodniej! - zapominając, że myślał o abdykacji, nie o śmierci.

DELFY

Dla Druzusa fakt, że jego wuj wciąż żył, z początku był tylko nieważnym szczegółem. Z arkuszy wiadomości wyczytał jedynie to, że jego kuzyn zostanie cezarem. Nie on. Nigdy - znał treść testamentu - nawet po śmierci Marka. Wypowiedział słowa, których po nim oczekiwano, i kiedy wyłączył daldictor, rozbił pierwszą rzecz, jaka wpadła mu w ręce, czyli niebieski dzban z winem. Na dźwięk tłuczonego szkła poczuł chwilowo spokój. Musi być jakieś wyjście, jęknął w duchu. Ukląkł przed mokrymi szczątkami dzbana i rozpłakał się.

Nie miał nikogo, komu mógłby się poskarżyć, jak bardzo jest to niesprawiedliwe. Zwłaszcza tej jednej osoby.

- Tulliola - wyszeptał, czując, jak ból ściska mu serce na dźwięk jej imienia. Rzadko kiedy odważył się je wymówić.

Wstał i rozbił szklanekę, z której pił wino, ale zrobił to z rozmysłem i nie poczuł żadnej ulgi. Nad kominkiem wisiało lustro i odwracając się z tłumionym jękiem, zatrzymał się na widok swojej wykrzywionej w bólu twarzy. Przyglądał się przez chwilę zastygłym rysom. To tak wyglądasz, gdy cierpisz, powiedział do siebie z daleka, jakby obserwował się przez odwrócony teleskop. Rysy wygładziły się i twarz spojrzała na niego z ciekawością.

Wiedział, że musi wrócić do Rzymu, ale zakładał, że w tej chwili wystarczą krótkie odwiedziny. I tak będą bolesne. Z triumfującym Markiem i wszystkim, co przypominało mu Tulliolię, Rzym był ostatnim miejscem, które pragnął odwiedzić.

Mieszkał teraz w Bizancjum, w wysokim, wynajętym apartamencie.

Domy szybko go nużyły i nigdzie nie potrafił zagrzać miejsca, nawet w Rzymie. Jednak w Rzymie całe miasto było

jego domem. Poruszał się po nim, jakby przechodził przez korytarz z jednego pomieszczenia do drugiego czy wchodził po schodach. Rzym miał tylko jeden znak szczególny, niczym dziurę w środku - w domu Celiana mieszkał z Ulpią jego ojciec i tam pielęgnował sekret będący także dziedzictwem Druzusa. Jednak kochał Rzym. Teraz odnosił wrażenie, że jest przepędzany z jednego miejsca w drugie, ponieważ nigdzie nie czuł się u siebie. Wszystkie te miasta były imitacjami Rzymu, i to nieudolnymi. Próbował więc znaleźć spokój w pięknych miejscach, jak wybrzeże Istrii czy Gomant w Indiach. Jednak co można było robić w takich miejscach? Wystarczyło kilka dni, żeby znowu czuł się śmiertelnie znudzony i samotny.

Oczywiście wszędzie mógł otoczyć się ludźmi - młodymi arystokratami i ich kochankami lub niewolnicami - jednak w mieście ludzie mieli więcej swobody i nie gnuśnieli tak szybko.

Zadzwoił do matki, ale niewolnik, który odebrał, powiedział, że jest zajęta i pyta, czy mógłby zadzwonić o zwykłej porze. Oczekiwała wiadomości od syna dwa razy w miesiącu, w idy i kalendy. To jej wystarczało.

- Powiedz jej, że muszę wpaść do Rzymu. Może będzie chciała się ze mną zobaczyć, dla zachowania pozorów - powiedział gorzko Druzus. Odkładając daldictor, czuł złość, że tak łatwo się zapomniał. Co mu z tego przyszło? Zresztą może niewolnik mówił prawdę, może rzeczywiście była zajęta.

Nie chodziło o to, że nie miał przyjaciół. Nie do końca. Nawet kiedy jednak zaczynał się do kogoś przywiązywać - na przykład do Laureusza, który na wpół drzemał na sofie, wśród resztek przyjęcia, i opowiadał, że nie potrafi myśleć o niczym poza kobietą, z którą ożenił się jego brat. Brzmiało to wyjątkowo śmiesznie i Druzus roześmiał się wbrew sobie, czując, jak bardzo lubi Laureusza. Chciał odwzajemnić to zaufanie,

choćby dla poczucia przyzwoitości. Tyle że nie mógł. Nie mógł wytłumaczyć, czemu i jak bardzo tęskni za domem. Nie mógł powiedzieć, czego pragnął i kogo kochał.

Druzus miał także dziewczynę. Amaryllis, tak mu się przedstawiła, choć pewnie było to tylko zagranie reklamowe. Nie miał pojęcia, jak się nazywa, nigdy jej nie wypytywał ani nic jej nie mówił. Jak zawsze, kiedy ogarniała go panika, zapragnął jej ciała, i jak zawsze powiedział sobie, że nie pójdzie do niej, bo nic mu to nie pomoże. Była tylko nałogiem, niczym więcej. Zazwyczaj nie miał nawet ochoty na jej towarzystwo. Widywali się tylko wtedy, kiedy był wyjątkowo zły czy podeenerwowany, więc rzecz jasna bała się go odrobinę. Jest całym, całym, pomyślał. Wystarczyło, że trochę o siebie zadbała. A on chyba też nie był brzydki?

Oczywiście poszedł do niej. Znalazł ją w gabinecie, gdzie nie miała nic do roboty. Wynajdywał jej najróżniejsze zajęcia, jak przeglądanie niepotrzebnych dokumentów, żeby tylko czymś ją zająć. Zaciągnął ją po schodach na górę, gdzie czekał, maszerując tam i z powrotem przed jej drzwiami, aż się wyszykuje, a następnie rzucił ją na łóżko. Nie odezwali się do siebie ani słowem.

Po wszystkim zasnął na chwilę w jej ramionach. Kiedy się obudził, czuł się jeszcze gorzej, jak to z góry przewidział. Jesteś odrażający, wstrętny, powtarzał w myślach ze zdziwieniem.

Znalezienie jej nie przyszło mu łatwo i kosztowało sporo pieniędzy. Przez kilka miesięcy odwiedzał wszystkie targi w Delos, Sardis, Side, przeżywając niekończącą się huśtawkę podniety i rozczarowania. Szanse na znalezienie kogoś odpowiedniego były minimalne ze względu na jego specyficzne wymagania. Sprawę komplikował fakt, że nie śmiał wyjaśnić,

czego szuka. Słodka, spokojna twarz o regularnych rysach i alabstrowej cerze. Oczy w ciemnej oprawie. Czarne włosy, długie i tak gęste, żeby można było spleść je w wysoki kok na głowie lub rozpuścić na ramionach.

W jakiś dziwny sposób potrafiła napędzić mu strachu. Bez względu na to, gdzie był i co robił, nie przestawał myśleć o niej i o tym, że ktoś może ją zobaczyć i domyślić się z jej twarzy i włosów, co jej zrobił. Bał się, że ktoś ujrzy ją w szatach, które czasami kazał jej wkładać - choć rzadko i zawsze na bardzo krótko. Chciał wierzyć, że jest trochę głupia i sama na to nie wpadnie. To był jeszcze jeden powód, dla którego wołał, żeby się nie odzywała.

Nie chciał, żeby udawanie wyszło poza wygląd. Nie chciał, żeby zrobiła cokolwiek, co by zrobiła Tulliola, zwłaszcza żeby kiedykolwiek powiedziała „kocham cię”. Jej głos w niczym nie przypominał głosu Tullioli. Za każdym razem, kiedy przespał się z nią, to podobieństwo doprowadzało go do mdłości. Po wszystkim uświadamiał sobie, że przez cały czas widział te wszystkie szczegóły, które się nie zgadzały; że jego ciało podświadomie oceniało różnice: bioder, talii, piersi, obojczyków, proporcji ciała. Była nieco za wysoka. Była też młodsza. Tak, bardzo młoda i świeża, jak obiecał handlarz, podczas gdy Tulliola była starsza od niego. Jej skóra miała z lekka oliwkowy odcień - ponieważ taka mleczna cera w połączeniu z czarnymi włosami, jak u Tullioli, trafiała się niezwykle rzadko. Także włosy Tullioli nie były aż tak proste. Amaryllis mogła nawet pochodzić z Terranowy, choć warkocz, w który kazał jej spleść włosy, układał się lekką falą. Zarys jej szczęki, kształt nosa - nie było ani jednej cechy, która by tych dwóch kobiet nie różniła.

Zresztą nawet gdyby tworzyła idealną kopię, była to

tylko dziwaczna zachcianka z jego strony. Na dodatek trochę koszmarna. Co Tulliola pomyślałaby o nim, gdyby wiedziała? Nie mógł jednak racjonalnie myśleć o tych sprawach, nie potrafił się powstrzymać.

Jednak teraz, wysuwając się z objęć Amaryllis i podnosząc gwałtownie, wiedział przynajmniej, komu może się zwierzyć.

*

Jadąc koleją magnetyczną, można dotrzeć do Rzymu w jeden dzień, choć taka podróż była wyczerpująca. Nikt go nie popędzał, nie ma nawet specjalnego powodu, żeby jechać do domu, pomyślał z rozgoryczeniem. Nie ma też więc powodu, by nie zatrzymać się na noc w Grecji i przeprowić do Italii następnego rana tunelem pod cieśniną Hydruntum.

W zasadzie to powinien najpierw się umówić. Czekaliby wtedy potulnie kilka dni, albo tygodni, jak już to mu się zdarzało. Jednak tym razem posłużył się nazwiskiem i pieniędzmi, żeby ominąć kolejkę. Wspinaczka w upale była męcząca, ale nie zwracał na to uwagi. Minął po drodze skarbcę Delf.

Daleko nad morzem dziewicze i prastare słońce roztopiło się czerwoną smugą na horyzoncie, oświetlając Delfy: grubą skorupę kolorowej lawy spływającej do morza. W mieście było zatrzęsienie hoteli. Dla tych, których nie stać było na prawdziwą wyrocznię, a którzy chcieli przynajmniej otrzeć się o przepowiednie, zbudowano całe kompleksy, gdzie można było zagrać w elektroniczną wersję sinoańskiej Księgi Przemian czy poradzić się wróżbitów czytających przyszłość ze szklanej kuli. Z umieszczonego wyżej stadionu dochodziły go podekscytowane

okrzyki gapiów, którzy pewnie oglądali wyścigi konne,

choć Druzus nie mógł tego dostrzec z miejsca, gdzie stał. Na stokach w dole mógł podziwiać olbrzymie zjeżdżalnie, którymi kąpieliska opasały górę. Wieczorem zjeżdżalnie były oświetlone kolorowymi lampami, żeby pielgrzymi mogli podziwiać widoki, ześlizgując się w zawrotnym tempie aż do zatoki u podnóża góry. Powyżej miejsca, w którym się znajdował - za skarbcami, spokojną świątynią Apollina i stadionem - zbocze góry było nagie i ciemne, wznosiło się zbyt stromo, żeby można było na nim cokolwiek postawić. Kiedy jednak ruszył dalej, mijając Przełęcz Parnasu, z rzędów kotłów wypuszczono obłok pary, który wzbił się w granatowe niebo. Po chwili na obłoku pojawiły się utworzone ze światła litery, które pulsując i zmieniając kolory, wyświetlały powitanie nad Zatoką Koryncą: VISITATE ORACULAM PERPETUAM.

Jak zawsze towarzyszyło mu kilku ochroniarzy. Para pielgrzymów schodząca ostrożnie z góry rozpoznała go i zrobiła mu zdjęcie, nie wiedząc, że nie znajdą na nim nic poza wysuniętymi ramionami i opuszczoną głową.

W pobliżu głównej świątyni nieustępliwa nachalność Delf trochę zelżała. Więcej tu było kaplic i mniej straganów sprzedających świętą wodę w butelkach w kształcie liry Apollina. Miał wrażenie jednak, że to miejsce aż dławi się od auto-reklamy: przed skarbcami stały posągi sportowców, polityków, magnatów - wielu z nich Druzus poznał osobiście. Tłoczyły się wzdłuż drogi, często bez ładu i składu. Te najnowsze wykonane były z tworzywa sztucznego i miały błyszczące oczy i włosy, które powiewały na wietrze. Sprawiały szokujące wrażenie przez swoje podobieństwo do żywych osób, choć Druzus wiedział, że ich brzuchy są puste. Podobizny jego przodków też powinny gdzieś tu stać, pewnie bliżej szczytu. Nie wszystkie posągi przedstawiały ludzi, niektóre były wy-

razem hołdu wobec miasta czy prowincji. Druzus przeszedł pomiędzy dwoma stojącymi lwami z brązu, szczerzącymi do siebie kły ponad ścieżką i przypominającymi mityczne bestie. Nie miał pojęcia, jak wyglądały prawdziwe lwy ani jak były wielkie, gdyż ostatnie zabito na arenach ponad trzysta lat temu. Podobnie jak tygrysy. Podziwiał za to kiedyś na arenie niedźwiedzie polarne, no i oczywiście psy. Pewnego razu oglądał widowisko na zalanej arenie, gdzie siedzący na małych tratwach ludzie walczyli włóczyniami z rekinami.

Zwyczaj wymagał, żeby przekazać swoje jedno pytanie kapłanom-pomocnikom, ale zamiast przygotować je, powiedział tylko wojowniczo:

- Chcę wiedzieć, co się stanie.

- Nic bardziej szczegółowego?

- Nie. Jeśli jest w tym szczypta prawdy, to będzie wiedziała, o co pytam.

- Mogę pomóc przetłumaczyć jej odpowiedź. Jeśli chcesz, panie, to możemy ją zapisać, a nawet wyrazić wierszem, żebyś mógł zatrzymać ją na pamiątkę.

- Nie - syknął Druzus przez zęby, cofając się o krok. Był tak zdenerwowany i niecierpliwy, że propozycję kapłana potraktował jak obrazę. - Albo zostanę z nią sam na sam, albo odchodzę. Jeśli chcecie moich pieniędzy, to odczepcie się ode mnie.

Mężczyzna cofnął się posłusznie i Druzus patrzył z odrazą, jak wraz z innymi kapłanami podrzyna gardło trzęsącemu się z przerażenia koźlęciu. Odwrócił wzrok, kiedy zwierzę zaczęło wierzgać, i stukając niecierpliwie nogą, czekał, aż skończą i pozwolą mu wejść do komnaty pod świątynią.

- Myliłaś się - zaczął gwałtownie, bez wstępu. - Pamiętasz, co mi powiedziałaś? No więc się pomyliłaś. Albo kłama-

łaś. To było kłamstwo, tak? Wiesz, co zrobiłaś? To wszystko przez ciebie... - Zamilkł zszokowany tym wybuchem. Chciał rzucić na nią winę za śmierć Tulliola -mógł także obarczyć ją winą za śmierć innych: Leona i Klodii, Gabiniu-sza i tej kobiety (nie pamiętał jej imienia), żony Wariusza. Kiedy zastanawiał się nad tym, widział, że do większości tych zgonów doszło - w jego odczuciu - bardzo dawno temu, Sybilla mogła powtarzać to, co słyszała. Jak każdy. Twierdzenie, że wiedziała coś o przyszłości, że to dzięki niej w coś uwierzył, wydawało się teraz śmieszne.

- Czekaj - powiedziała Sybilla. Zobaczył, że przybrała na wadze. Już wcześniej była gruba, ale teraz jej ciało wylewało się z bezkształtnej bladoniebieskiej sukienki, bezwstydnie nagie pod materiałem. Nogi, pokryte piegami, przypominały balerony. Jej sukienka i skóra były mokre od potu, gdyż dzień był równie parny, jak ostatnich kilka tygodni, a liście laurowe płonące w metalowych koszach wypełniały żarem całą komnatę. Okrągła twarz ginęła w kłębie tłustych blond włosów, ale rysy miała ostre, niemal sokole, i dumne. Nad aroganckimi ustami apatyczne oczy wydawały się tego samego koloru co skóra i włosy -brunatnożółte z zielonkawym odcieniem. Chodziła boso w półmroku, wyraźnie bez celu. W pewnej chwili ziewnęła.

Druzus nie miał pojęcia, na co czekał. Nic nie robiła.

- W ogóle kojarzysz, o czym mówię? - spytał. - Wiesz chociaż, kim jestem?

- Cesarzem Rzymu - odpowiedziała głośno i odchrząknęła.

Wbrew sobie, pomimo cynicznego obrzydzenia, jakie go ogarnęło,

Druzus poczuł ulgę i radość. Przez sekundę po całym

jego ciele rozchodziło się ciepło i było mu tak dobrze, że mógł położyć się na podłodze i zasnąć. Nagle przypomniał sobie, że to z pewnością jedno wielkie oszustwo. Kapłani uprzedzili ją o jego przybyciu. Pewnie nawet łatwiej im to przyszło niż poprzednio. Był kuzynem cezara, więc nietrudno się domyślić, że po cichu liczył na to, iż sam też zostanie cezarem. Dlatego zawsze się obawiał, że ktoś dostrzeże w Amaryllis to, co on widział.

- Nie, nie jestem nim - sprzeciwił się szeptem.

- Czekaj - rzuciła Sybilla z naciskiem. Ruszyła w jego stronę i Druzus cofnął się o krok. Przez kilka minut stał posłusznie w milczeniu, ale ona także się nie odzywała. Wspięła się zręcznie na trójnóg, który przy niej wydawał się mały i delikatny, i siedziała bez słowa, patrząc na Druzusa. Jej głowa przechyliła się trochę w bok. Zamrugowała i złagodniały rysy jej śniadoziemistej twarzy.

- Chcesz powiedzieć: czekaj i to się zdarzy? Tak? - zapytał w końcu. - Nie chodzi o to, że mam czekać, aż mi coś powiesz. Mam w ogóle czekać.

- Na podłodze jest szkło - oznajmiła w końcu. Jej głos zmienił się, stał się chrapliwy.

Druzus poczuł szok. Zastanawiał się, czy ktoś mógł jej powiedzieć, że rozbił rano dzban i kielich - może któryś z niewolników albo jeden z ochroniarzy?

- Szkło?

- Czekaj - powtórzyła i jednym tchem wyrecytowała zdanie, którego koniec już wymamrotała: - Stanie się, jak pragniesz, ty będziesz ostatnim Nowiuszem, nadejdzie cesarz Rzymu, ty.

Odniosł wrażenie, jakby słuchał nagrania. Minęły cztery lata od chwili, kiedy pierwszy raz mu to powiedziała. Usłyszał,

jak znowu wymawia jego nazwisko: Nowiusz. Zaczęła je teraz powtarzać, ale nie miała już na myśli nazwiska: *novi, novissimi* - nowszy, najnowszy.

- Nowy - powiedziała głośno, a głos zadudnił jej w piersiach. - Ten nowszy najnowszy. Ten nowy przybędzie, lecz nie Nowiusz. Najnowsza latorośl Nowiuszów szczepu. Nie Nowiusz, lecz inny pojawi się, by cię zrujnować. Ocal się, jeśli tylko potrafisz.

- Co to znaczy? - zapytał z naciskiem. - Czy to ktoś, kto powstrzyma mnie przed zostaniem cesarzem? Bo jeśli tak, to już się to stało. - Powiedział to z sarkazmem, jakby było za późno, żeby się tym przejmować. Jednak zaraz spytał niepewnie, jakby bał się, że go usłyszy: - Chcesz powiedzieć, że coś jeszcze mogę zrobić? Że mogę go powstrzymać? Mojego kuzyna?

- Twój kuzyn, tak. Przeciw tobie, potem...

- Powiedziałaś, że nikogo nie będzie! - zaprotestował Druzus.

- Nie będzie nikogo, kto by wziął, czego pragniesz - zgodziła się. Ton jej głosu był teraz wyższy i cieplejszy, słyhać w nim było współczucie.

Druzus pokręcił głową.

- Nie rozumiem - powiedział. - Chcesz mnie przed czymś ostrzec? Mój kuzyn nie powstrzyma mnie, ale jednak to zrobi?

- Zastanawiał się przez chwilę i zauważył zimno: - Nie wiem, czy to ty, czy ktoś inny, czy jakiś bóg mówi przez ciebie, ale jeśli wiesz, co się wydarzy, to nie rozumiem, czemu nie możesz powiedzieć tego jaśniej. Jest jednak inne wytłumaczenie. Może chcesz mnie przekonać, że nie pomyliłaś się za pierwszym razem. Może to wszystko tylko... dla odwrócenia uwagi? A może boisz się, co ci mogę zrobić za to, co się stało? Może powinnaś

się bać.

Siedziała nieruchomo i obojętnie. Jej ramiona opadły i lekko się zgarbiła. Trans, w jaki weszła (jeśli był prawdziwy), zdawał się przemijać, a w jego miejsce pojawiła się apatia. Zaczęła machać gołą stopą.

- O co chciałeś zapytać? - zapytała w końcu sennie.

- O nic. Chciałem, żebyś wytłumaczyła mi się z tego, co powiedziałaś ostatnim razem - warknął Druzus, czując się trochę niepewnie z powodu tego, co powiedziała o rozbitym szkle. - No dobrze. Powiedziałem temu przy wejściu, że chcę wiedzieć, co się stanie.

Sybilla skinęła głową, ale sprawiała wrażenie, jakby nie słuchała go uważnie. Podrapała się po udzie i gapiła na kołyszącą się stopę.

- Chcę spytać, czy jeszcze będę cesarzem - wyznał cicho. Wyprostowała się, uderzając piętą o trójnóg, i spojrzała na niego.

- A co ci powiedziałam? - zapytała kategorycznie.

Nie miał pojęcia, czy zna odpowiedź, czy też chce go tylko sprowokować, żeby to on odpowiedział.

- Tak - wyszeptał Druzus.

Wzruszyła ramionami, jakby chciała rzec: sam widzisz.

Druzus zawahał się, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i ponownie je zamknął. Tak właśnie powiedziała, czyż nie? Zastanawiał się, czy mogła go wziąć za Marka albo czy mógł ją opacznie zrozumieć. Niewykluczone, że to jakaś koszmarna zabawa lub dowcip z jej strony. Jednak dopiero teraz dotarło do niego, że Faustus wciąż żył, a jego kuzyn nie był cesarzem, tylko regentem. To znacząca różnica. Może Faustus jeszcze zmieni zdanie - a może coś więcej będzie musiało się zdarzyć.

Sybilla zeszła z trójnogu i ponownie ziewnęła. Druzus

czuł się zagubiony, obawiał się, że padł ofiarą szarlatana. Nie chciał wyjść, dopóki się nie upewni, nie usłyszy od niej prośb jasno i wyraźnie. Jednocześnie nie opuszczało go pragnienie, by zrobić jej krzywdę. Jednak odpowiedziała mu na jedno pytanie i nic więcej już nie usłyszy. Gdy wchodził po schodach, przyszło mu coś do głowy, cofnął się.

- Jak umrę? - zapytał zniechęcony.

Zamrugnęła i z jej bladych oczu znikła pustka. Uniosła brwi i odchyliła do tyłu głowę z wyrazem dezaprobaty, jakby powinien wiedzieć, że pytanie jest nie na miejscu. Odpowiedziała mu jednak zupełnie normalnie, konwersacyjnym tonem:

- We śnie. Ze starości.

*

Pociąg przecinał środek imperium niczym pocisk, wijąc się jak szybujący wąż, czasami przebijając się przez wnętrza oliwkowych gór, a czasami smagając ich zbocza niczym bat. Druzus siedział z nieobecny spojrzeniem, lekko rozchyłonymi ustami i zupełnie nieświadomy, że zostawia za sobą Grecję i Illiricum. W Delfach zarekwirował trzy najlepiej wyposażone przedziały; zajął środkowy, a w pozostałych rozsadził ochroniarzy i kilku niewolników. Pogrążony w myślach nie zauważył nawet, że za oknami zrobiło się ciemno, gdy pociąg wjechał do tunelu pod Adriatykiem. Przez cały czas pozostawał w bezruchu i tylko jego palce spoczywające na dębowym stoliku wystukiwały niecierpliwy rytm. Kilka razy, prawie nieświadomie, jego wskazujący palec nakreślił słowo „Tak” na blacie, jakby pisał niewidocznym atramentem.

Bez wątplenia powiedziała „Tak”.

Nie jestem głupi, pomyślał ponuro, jakby dawał prze-

ciwnikowi ostrzeżenie. Pamiętał dobrze historię: Neron, kiedy był jeszcze młody, usłyszał: „Strzeż się siedemdziesiątych trzecich urodzin” i uznał, że czeka go długie i udane życie. A co miał pomyśleć? Tyle że chodziło o siedemdziesiąte trzecie urodziny Galby, choć nic, co Neron usłyszał, na to nie wskazywało. Może zatem ostrzeżenie, jakie dostał od Sybilli, było równie bezwartościowe. Dowiem się, jeśli jest to tylko w ludzkiej mocy, obiecał sobie. Neron przynajmniej był cesarzem. Niech i ja mam tę szansę, poprosił w myślach. Nie dbam nawet, jak to się skończy. Mogę zginąć, ale chcę być cesarzem.

Obiecała mu, że nie zginie.

Rozważał przez chwilę jej słowa, ale w końcu poddał się i westchnął, uznając, że nie da rady teraz tego rozwikłać. Musiał tylko zapamiętać ostrzeżenie. Powiedziała wyraźnie: rzymski cesarz. Na razie wystarczyło wierzyć, że to się spełni.

Pozostawała kwestia testamentu Faustusa. Gdyby Marek zginął w jakichś niebudzących podejrzeń okolicznościach, tak żeby nikt nie posądził jego ani żadnego Rzymianina, to wszystko jeszcze mogłoby się zmienić. Jednak nie (co za niesprawiedliwość), nawet wypadek nic by tu nie pomógł. Zresztą nigdy w życiu nie wpadł na pomysł, który nie wzbudziłby podejrzeń. Zwłaszcza gdy wiadano już trochę o śmierci Leona i Klodii, było to nierealne.

Aż zamrugał, kiedy przyszedł mu do głowy załączek pomysłu - Nio-nia! Gdyby Marek zginął na wojnie, która przecież jest nieuchronna, nikt by nie mógł podejrzewać Druzusa! Oczami wyobraźni zobaczył, jak stoi w szlachetnej pozie wśród popękanych kolumn na Forum i przywdziewa żałobę po młodym kuzynie, obiecując dzielić ze społeczeństwem ciężar wojny i dodając ludziom odwagi.

Druzus z poczuciem winy zachichotał na tę myśl. Roz-

śmieszyła go jej szokująca zdradliwość - marzyć o deszczu nioniańskich bomb spadających na jego ukochane miasto! Rzym w płomieniach, Złoty Dom zburzony. Było to tak potworne, że nie mógł przestać się śmiać. Nie, nie, zrobią wszystko, żeby oszczędzić Rzym, pomyślał poważnie; choć przez głowę przemknęła mu wizja niebywałych kopuł i łuków, jakie mógłby później wybudować!

Oddał się tym skrytym marzeniom na jawie, czując, jak narasta w nim poczucie pewności siebie, jakby się nimi upijał. Mimowolnie dodawał nowe kreski do swojego szkicu, słysząc słowa, które by powiedział, i ton głosu, którym by przemawiał: „Zawsze będziemy pamiętać, lecz jednocześnie...”. I trochę mniej wyraźnie, a może równie wyraźnie, tylko ciszej, pozwalał wewnętrznemu głosowi, żeby zachęcał go do zrobienia tego. Gdyby ktoś, tylko jeden raz, porozmawiał z Nioniana-mi; gdyby w zburzonym budynku podłożono zwłoki? Nie przyszło mu do głowy, że rozważy zabicie Marka czy nawet, że kiedykolwiek o tym myślał. W dalszym ciągu postrzegał śmierć kuzyna jako wynik działań innych ludzi czy też może przypadku. Nie zrobiłby przecież nic poza lekkim posterowaniem biegiem zdarzeń. Tylko by je poprawił. W tej chwili nie robił nic więcej, tylko oceniał własne szanse zostania cesarzem, rozpatrując wszystkie możliwe scenariusze. Cały ten bezsensownie zmarnowany czas, kiedy z trudem potrafił dotrwać do końca dnia... było jeszcze za wcześnie.

Aż zamrugał, kiedy za oknem zrobiło się jasno. Znajdował się w Italii, blisko domu. Z jego głowy wyparowały myśli o Tulliolli i pojawiło się uczucie błogości. Przepęłniało go takie szczęście, że nawet skryte myśli na temat Marka zniknęły. Miał uczucie, jakby zdjął niewygodne ubranie, które nosił od lat, i wszedł do krystalicznie czystej wody. Oczywiście, że Marek

nie musiał umierać. Może nawet fakt, że został mianowany regentem, był najlepszym wyjściem z sytuacji. Faustus spostrzeże się, że popełnił błąd, i zmieni zdanie.

Tego ranka, zanim Druzus udał się do świątyni, zadzwonił do pałacu i dowiedział się, że Faustus oczekuje, iż on pomoże Markowi. W pierwszej chwili pomysł wydał mu się obraźliwy. Żałosna nagroda pocieszenia. Aż chciał wrzasnąć do słuchawki, co o tym sądzi. Jednak teraz uświadomił sobie, że oznacza to zajęcie! Tego potrzebowałem przez te wszystkie lata! Jest tyle do zrobienia. Trzeba utrzymać w ryzach całe imperium - przecież wybuchnie wojna - a Marek jest taki młody. Przecież to tylko figurant; trzeba będzie za niego podejmować wszystkie decyzje. Może nawet zaskarbi sobie jego wdzięczność. Druzus poczuł przyływ sympatii do Marka; coś w rodzaju pobłażliwej cierpliwości w stosunku do młodszego kuzyna. W dodatku bezbronno.

Wysiadł z pociągu na peronie Pól Watykańskich. Gąszcz cienkich kolumn wydawał się zbyt delikatny, żeby utrzymać wysokie sklepienie dworca. Przestronność największej na świecie stacji kolei magnetycznej wystarczyła, żeby przyprawić go o łzy. Zaledwie kilka kroków od niego znajdował się Tyber; za chwilę go ujrzy.

Z dworca zabrał go samochód przysłany z domu, ale Druzus nie chciał się teraz spotykać z ojcem. Pragnął od razu zacząć działać. Kazał kierowcy zawieźć się do Złotego Domu. Miły chłodny powiew owionął mu twarz, kiedy wszedł do wozu, lecz upał też by mu nie przeszkadzał, nie tutaj. Mógł zamieszkać w pałacu, ale na razie wolał sobie znaleźć jakieś mieszkanie. Będzie musiał wydać polecenie, żeby spakowano rzeczy w jego apartamencie w Bizancjum. W tej samej chwili pomyślał o dziewczynie przyjeżdżającej do Rzymu z jego ba-

gażami, by zamieszkać w nowym mieszkaniu. Jej wizerunek i bliskość wspomnień Tullioli odsunęły uczucie szczęścia. Najbezpieczniej będzie się jej pozbyć. Może ją sprzedać albo nawet uwolnić. Mimo że w obecnej chwili nie pragnął jej, nie chciał się oszukiwać, że to pożądanie nie wróci. Nie, nie mógł z niej zrezygnować. Nie pozwoli jej wychodzić z domu czy z ogrodu, postanowił. Zabroni jej zaczesywać włosy do góry, nawet kiedy będzie sama.

Kiedy przejeżdżali przez most Nerona, wróciło uczucie radosnego oczekiwania, mimo że mijali jedynie małe uliczki przecinające rzekę i zapchane samochodami wracającymi z dworca. Usiadł prosto. Szklane wieże Złotego Domu wznosiły się nad Circus Maximus. Pretorianie przepuścili go i Druzus wbiegł po schodach. Skierował się do sekretariatu.

- Powiedzcie mojemu kuzynowi, że tu jestem. Nie, nie mówcie. Zaprowadźcie mnie do niego.

Ze zdziwieniem stwierdził, że prowadzą go na dół. Minęli gorączkowo krzątających się pracowników administracji na parterze i znaleźli się w pustych korytarzach. Wszedł do wypełnionej tłumem ludzi sali balowej, w której stoły i krzesła zostały ustawione pod ścianami. Przez nieprzyjemną sekundę miał kłopot z rozpoznaniem ich, ale zaraz się zorientował, że są to niewolnicy pałacowi. Wszyscy niewolnicy pałacowi! Musiało tu być ze czterysta osób. To go właśnie zdziwiło na korytarzach; nie brak niewolników, ale podświadome uczucie, że pochowali się przed nim. Druzus cofnął się o krok. Nagle poczuł się bezbronny, w mniejszości. Wiedział, że w pałacu muszą być setki niewolników, ale nie podejrzewał, że wszyscy mogą się zebrać w jednym pomieszczeniu.

Marek stał na drugim końcu sali, wciąż - jak Druzus od razu zauważył - odziany w szaty cezara. Obok stała Makaria,

Glykon i kilka osób, które go nie interesowały. Marek dostrzegł jego wejście i skinął mu lekko głową, ale nie przerwał przemówienia.

- Nie musicie podejmować decyzji od razu. Dzięki wam pałac funkcjonuje bez zarzutu, więc mam nadzieję, że zostanieie. Jeśli jednak nie chcecie pracować jako płatna służba... jeśli nigdy tego nie chcieliście, to możecie opuścić to miejsce w każdej chwili jako wolni ludzie i rozejrzeć się za inną pracą czy odszukać rodziny, z którymi zostaliście rozdzieleni. Pomożemy wam w miarę możliwości, bez względu na to, jaką decyzję podejmiecie.

- Na niebiosy! - zawołał na całą salę Druzus. - Co ty wyrabiasz?

Marek zmarszczył brwi, ale nie spojrzał na Druzusa.

- Chciałem was także przeprosić - powiedział do tłumu. - Przepraszam każdego z was, że musiał tu być tak długo wbrew swojej woli.

Gdyby był w innym nastroju, Druzus mógł wybuchnąć, ale teraz, choć patrzył na to z niedowierzaniem, miał ochotę się śmiać. Było to tak fantastyczne, tak bezczelne, że aż zabawne. Jednocześnie czuł się trochę nieswojo. Co niewolnicy zrobią po tym, co usłyszeli? W dodatku kiedy wszyscy byli w jednym pomieszczeniu? Mogą się zbuntować. W tej chwili i niebezpieczeństwo wydawało mu się podniecające. Pokręcił głową i uśmiechnął się.

Niewolnicy nie zaczęli krzyczeć z radości, jak spodziewał się Druzus. Patrzyli osłupiali i niepewni, czy nie padli ofiarą jakiegoś żartu. Wreszcie kilku odważyło się okazać radość, klaszcząc w dłonie, ściskając się i płacząc. Pozostali po chwili poszli ich śladem, chociaż byli nastawieni do pomysłu sceptycznie, ale przerwał im Druzus, przeciskając się przez

tłum w stronę Marka. Niewolnicy rozstąpili się instynktownie, czyniąc mu wolne przejście.

- Druzusie - zaczął Marek, gotów bronić swojej decyzji, ale Druzus go nie słuchał.

- No, no, odważny jesteś - powiedział głośno, śmiejąc się.
- Nie są tak naprawdę twoi, żebyś mógł ich uwalniać, co? Trochę to... trochę to podstępne! Makario, co o tym sądzisz?

Makaria niechętnie wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem. - Patrzyła na niewolników; nie tych wahających się i ostrożnych, którzy wychodzili z sali, ale na tych kilku podekscytowanych, którzy stali w małych grupkach. Jedna kobieta, na oko trzydziestoletnia, nie śmiała się już radośnie, tylko szlochała, zasłoniwszy twarz ręką i obejmując się w pasie drugą, jakby bolał ją brzuch. Ciemna nastolatka starała się ją uspokoić. - Wiem tylko, że nie będzie to tanie - mruknęła Makaria. - Miejmy nadzieję, że przynajmniej jedna dziesiąta z nich odejdzie.

- Nieważne! - wykrzyknął Druzus i uściśnął Marka.

Una siedziała na jednym z krzeseł i im się przyglądała. Od trzech lat czekała z cierpliwością godną drapieżnika, żeby ujrzeć Druzusa. Mimo że pojawiał się na setkach fotografii, rzadko był celem obiektywów, które zawsze koncentrowały się na Faustusie, Leonie, Klodii czy Marku. Nie czuła więc dobrze jego twarzy, ale kiedy go ujrzała, miała wrażenie, że zna ją dobrze. Nie była przygotowana na to, jak bardzo przypomina Marka.

Był od niego wyższy, a dzięki czarnym włosom i brwiom prosty kontur jego twarzy wydawał się wyraźniejszy i bardziej stanowczy. Wszystkim Nowiuszom uśmiech wykrzywił bardziej jedną połówkę ust - u Druzusa tę prawą. Miał tak samo pełne wargi jak Marek, tyle że u Druzusa przypominały długą,

podwójną falę, która załamywała się pośrodku. Duże oczy pod ciężkimi powiekami nie były szaroniebieskie, tylko zielone jak u Faustusa czy Makarii. W tej chwili był tym przystojniejszym kuzynem, gdyż jego twarz rozpromieniało samozadowolenie. Lekko zaczerwienione policzki dodawały mu urody.

- Wszyscy twierdzą, że świetnie wypadłeś w dalwizji - ciągnął Druzus. - Szkoda, że mnie to ominęło, ale byłem w podróży. No, ale już jestem. Dobrze cię widzieć! Tyle czasu minęło, szkoda, że do tego dopuściliśmy. Żałuję jedynie, że spotykamy się w takich okolicznościach. Co za okropne wieści! - Wyrzucił z siebie wszystko tak szybko, że nie zdążył przybrać zbolalej miny.

Marek poklepał go po plecach.

- Też się cieszę, że cię widzę - powiedział, choć w głębi duszy był nieprzyjemnie zaskoczony uściskiem. Nie pamiętał, żeby Druzus kiedykolwiek był tak szczęśliwy czy przyjaźnie nastawiony do niego. Nawet jeśli to była tylko gra, to dał jej się zwieść.

Una także była zaskoczona, ponieważ Druzus nie czuł się ani trochę nieswojo. Jego dobry humor był nie tylko naturalny, ale zdawał się wręcz niewyczerpany. Druzus miał świetny nastrój i nie wyczuwała nic innego, żadnego poczucia winy czy choćby zazdrości.

Druzus spostrzegł, że jedna z osób towarzyszących Markowi, niezwykle młoda kobieta, nie spuszcza z niego oka.

- A to kto? - zapytał pogodnie.

- To Una - odpowiedział Marek, odstępując od niego na krok.

- Ach, tak - odparł swobodnie Druzus i rzucił jej spojrzenie, zastanawiając się przez chwilę, czemu marnuje czas na kogoś tak nieatrakcyjnego. Poczul lekką pogardę i współczucie

dla Marka. Gdyby nie wiedział, że była niewolnicą, może spoj-
rzałby na nią inaczej, choć wcale nie dlatego, że uważał nie-
wolnice za nietykalne (była przecież Amaryllis) - wręcz prze-
ciwnie. Wiedząc, że dziewczyna była niewolnicą, spodziewał
się ujrzyć piękną kobietę. Jeśli Marek chciał zabawić się z jed-
ną z nich, to czemu wybrał taką przeciętną, kiedy wokół było
tyle ślicznotek? Przecież mógł mieć, którą tylko zechciał. Bez-
wiednie dokonał porównania: zobaczył świeżą twarz Amaryl-
lis i aż się wzdrygnął.

- Tak - zawtórowała mu Una, uśmiechając się wdzięcz-
nie. Spuściła skromnie wzrok, lecz wciąż koncentrowała się na
Druzusie, starając się rozpoznać twarz, która przemknęła
przez jego myśli. Jednak ta znikła z tak oszałamiającą prędko-
ścią, jakby to była ryba wymykająca się ze szponów rybołowa.

Una czuła, że łatwiej by w nim czytała, gdyby był mor-
dercą.

RÓŻNE RODZAJE ŚMIERCI

Marek wyszedł z sali z lekkim uczuciem zawodu, jakby spodziewał się jakiejś większej reakcji po spotkaniu. Pomyślał, że życie większości niewolników nie zmieni się zbyt wiele. Tak naprawdę to tylko dlatego mógł to zrobić. Tak czy inaczej Una szepnęła mu na ucho:

- Dziękuję.

Oboje doskonalili sztukę porozumiewania się krótkimi, szeptanymi zdaniami, które były nie do podsłuchania nawet z bliska. Starali się przy tym nie zdradzać niczego miną i nie spoglądać na siebie.

- Musiałem to zrobić. Nie mogłbym inaczej tu pracować - powiedział. Nie kłamał, ale chęć podziękowania i przeproszenia jej i Suliena też była jednym z motywów.

- Ale zrobisz to, kiedy będziesz już cesarzem? - spytała poprzedniej nocy, kiedy powtórzył jej słowa Faustusa.

- Obiecuję - powiedział. - Z tego powodu zamordowano moich rodziców i Gemelle. Wszyscy mało wtedy nie zginęliśmy, a ja utknąłem w Tivoli. Oczywiście, że się nie wycofam. - Trochę mu się zrobiło głupio, że wymienia jednym tchem sanatorium i trzy osoby, które poniosły śmierć. Był tam tylko dwa dni, choć wydawało mu się, że musiało to trwać znacznie dłużej. Narkotyk, jaki mu podano, rozciągnął czas w nieskończoność i spotęgował horror do maksimum.

Spojrzał na nią, ponieważ wyczuł, że na jej twarzy pojawił się wyraz dezaprobaty, i mimo że powiedziała tylko jedno słowo, jej głos także się zmienił.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Zmarszczka na czole pogłębiła się i Una wzięła głęboki wdech, żeby mu odpowiedzieć, kiedy przyłączył się do nich

Druzus. Wypuściła powietrze i tylko skinęła głową.

- Jak minęła podróż? Męcząca? - zapytał go Marek.

- Koszmarna, ale nieważne - rzekł beztrąsko Druzus. - Natomiast ty wyglądasz okropnie. To musi cię przytłaczać. Pewnie zarwałeś ostatnią noc, co?

- Nawet nie - odparł Marek. Leżeli z Uną w objęciach, zdenerwowani, i przez całą noc nie zmrużyli oka.

- Jasne, że nie - zgodził się Druzus. - Powiedz mi, jak ci mogę pomóc.

- No dobrze. - Marek zatrzymał się na chwilę i spojrzał na Druzusa. - W ciągu lata od pożarów zginęło tyle samo osób co wczoraj na Murze. Nic nie możemy poradzić na pożary lasów w Terranowie i Galii. Także w Rzymie ostatnio spaliło się kilka domów. Nie wiem, kiedy będę miał czas zapoznać się z raportami. Jeśli chcesz pomóc, to zobacz, które pożary są spowodowane podpaleniami, a które wynikiem upałów, i czy wszczęto wszystkie niezbędne działania. Odnoszę wrażenie, że ludzie, którzy się tym zajmują, nie komunikują się ze sobą dostatecznie. Spróbuj ich zebrać razem.

Druzus nie odpowiedział od razu, choć z jego twarzy nie znikła mina oznaczająca, że chętnie pomoże.

- Jasne - powiedział w końcu. - Zajmę się tym. Jeśli chodzi o Nio-nię, co Salwusz mówi o naszym następnym ruchu?

Marek odwrócił się i ruszył dalej korytarzem.

- Naszym następnym ruchem jest oczekiwanie ich odpowiedzi, na wiadomość, którą wysłałem dziś rano.

Mina Druzusa zaczęła powoli się zmieniać.

- O?

- Na temat rozmów pokojowych w Bian - wyjaśniła Markaria.

Tym razem Druzus zatrzymał się w pół kroku. Spojrzał

zdziwiony

na Makarię.

- Czy na tym etapie jest to w ogóle brane pod uwagę? - zapytał.

Przyspieszył kroku, żeby dogonić Marka.

- Jak widzisz, jest - odparła Makaria.

- I nie chcesz wysłuchać innej opinii? - zapytał Marka.

- Wysłuchałem. I zawsze chętnie wysłucham - zapewnił go Marek z lekką nutą groźby.

- Na temat nagradzania ich za napaść na nas?

- My też zabiliśmy bardzo wielu ich ludzi - wtrąciła Makaria.

- To nie jest żadna nagroda - wyjaśnił Marek. - Nie wiem, czy jeszcze na tyle nam ufają, żeby usiąść do rozmów. Nie tego się po nas spodziewali.

- Skąd to możesz wiedzieć? - zapytał Druzus bardzo rozsądnym i dorosłym tonem. - Jeśli to dlatego, że nie wiedzieli, iż przejmiesz władzę, to czy nie jest to najlepszym znakiem, że wuj Tytus tak by nie zrobił?

Marek znowu przystanął i zmusił się do odpowiedzenia równie spokojnym tonem, choć w duchu chciał krzyczeć.

- To nic nie znaczy. - Po bezsennej nocy cały czas miał piasek pod powiekami. - Nie mam pojęcia, co by zrobił. Nie mogę się więc tym kierować.

Druzus przejechał ręką po twarzy.

- Wiem, że nie możesz. Ale powinno być miejsce na dyskusję. Musi być. Potrzebujesz doradców.

- Wiem - przyznał Marek.

- Tak się zastanawiam. Powinniśmy spotykać się każdego ranka.

Marek ruszył dalej.

- Teraz muszę się z kimś spotkać. Przepraszam.

- Chwilę - zaprotestował Druzus. - Jeśli masz spotkanie, to ja chyba też powinienem na nim być? Jeśli wuj poprosił mnie, żebym ci doradzał, to jest to także dla ciebie polecenie. Nie zamierzasz go chyba ignorować?

- Będę za godzinę z powrotem. To nie jest spotkanie pałacowe. Jadę do Transtiberiny.

- Marku - rzekł Druzus zirytowany - nie marnuj czasu nas wszystkich. Ktokolwiek to jest, ściągnij go tutaj. Przecież nie odmówi, co?

- Mógłby odmówić - rzucił Marek, nie zatrzymując się i zostawiając Druzusa z tyłu.

Una starała się nadażyć za nim, spoglądając przez ramię na Druzusa.

*

Wariusz siedział za biurkiem. Przez okno nie wpadała nawet odrobina świeżego powietrza i Wariusz miał ochotę wstać i upewnić się, że rzeczywiście jest otwarte, a jeśli tak, to czy nie da się go otworzyć szerzej. Pamiętał jednak, że je otwierał. Nie może sobie pozwolić na sprawdzanie czegoś, co na pewno zrobił. Nie będzie odrywał się od pracy.

Zepsuł się bojler do sterylizowania narzędzi. Brakowało im - jak zawsze - pieniędzy. Starał się odczytać niecierpliwą pogardę dla tych drobnych zadań. Nie były poniżej jego godności, jak zaczynał z wolna sądzić. Były ważne.

Z korytarza dolatywały go fragmenty rozmowy dwóch lekarzy. Drzwi do gabinetu też miał otwarte na oścież. Sulien i inni pracujący w klinice nauczyli się, że niekoniecznie oznacza to, iż oczekuje towarzystwa. Wstał teraz, podszedł szybkim krokiem do drzwi i zamknął je. Zanim wrócił do biurka, po-

czuł, że było to bezcelowe. Ogarnęła go taka klaustrofobia, że nie mógł się na niczym skoncentrować, dopóki znowu ich nie otworzył. Musiał nawet wyjść na korytarz. Uśmiechnął się do obu lekarzy - byłoby niegrzecznie prosić ich, żeby się uciszyli. Byli zmęczeni i nie robili nic złego. Wrócił do biura.

Skończ z tym, rozkazał sobie w myślach, stojąc na środku gabinetu. Te jego nawyki - zupełnie jakby ktoś zwracał mu uwagę na coś absolutnie oczywistego i nie chciał się zamknąć bez względu na to, ile razy Wariusz powtarzał: tak, jasne, w porządku, już rozumiem.

Lekarze przeszli dalej korytarzem. Zapadła cisza i znowu mógł się skoncentrować. Zaplanował naprawę bojlera i napisał list.

Jego żona nie żyła. Jego samego uwięziono i przesłuchiwano. Spodziewał się, że zginie. Nawet nie tyle spodziewał się, ile był pewien śmierci. Stanowiłaby wybawienie. Wtedy wszystko, absolutnie wszystko, czego był pewien, zostało wywrócone do góry nogami. Celem, rzecz jasna, było zmuszenie go do wyjawienia, gdzie jest Marek. W końcu im to zdradził.

Niedobrze mu się robiło od myślenia w kółko o tym samym; od lat o tym samym. Chciał zrozumieć, jak do tego doszło, czy mogło się skończyć inaczej. Cały ten proces był jak rozkładanie na części pierwsze jakiegoś mechanizmu czy zegara; metodycznie i powoli, tak żeby niczego nie zepsuć, odsłaniając wewnętrzne elementy. Podobnie ludzie, którzy go torturowali, rozkładali narzędzia na początku każdej sesji.

Kiedy jednak każde kółeczko leżało już równo ułożone - choć wszystko było czynione z założeniem, że to będzie ostateczny koniec - części udało się złożyć z powrotem. Co więcej, całość jakoś nawet funkcjonowała. Jednak w każdym złączu był dowód, że wcale tak nie musiało się stać, że nie przesą-

dzono z góry, iż zegar będzie chodził. Zegar -on - dobrze wiedział, że może stanąć w każdej chwili. Kiedy tylko zechce.

Spodziewał się tortur, ale nie poddano go nim. Tego, co mu robiono, Wariusz nie zaliczał do tortur.

Jakieś półtora miesiąca po wyjściu, kiedy wszystko było dziwne i niewyjaśnione, a on spędzał dni, chodząc po mieście z takim oddaniem, jakby to była jego praca - wtedy właśnie zaczął spostrzegać, jak trudno jest mu wytrzymać w jakimkolwiek pomieszczeniu, jeśli nie wie, jak się z niego wydostać. Jednak wtedy tolerował to, wrażenie znikło na całe miesiące, na ponad rok. Z perspektywy tych lat było to wręcz uwłaczająco krótko. Przestał się przejmować drobiazgami. Miał ważniejszy cel, musiał zadbać o zaopatrzenie kliniki. Rodzice Marka chcieli stworzyć miejsce, gdzie ranni lub chorzy niewolnicy, którzy inaczej skazani by byli na śmierć, mogli uzyskać za darmo pomoc. Pomysł o mały włos nie przepadł po śmierci Leona i Klodii i wydarzeniach, które nastąpiły. Projekt był delikatny i wiecznie nienasycony -bardziej wymagał czasu, uwagi i wytrwałości, jakie mógł mu poświęcić, niż pieniędzy. Z początku nie miał niczego poza czasem, ale potrzeba była tak silna, że znalazł wszystko pozostałe. Zabrał się do tego z poczucia obowiązku i nie spodziewał się zbyt wiele. Jednak ściany zostały wzniesione. Miejsce funkcjonowało. Wszystko się powiodło. Wariusz był zdumiony, wręcz oszołomiony. Przyszło mu do głowy, że szczęście nie jest wcale koniecznym warunkiem, wystarczy pasja. Tylko ona. Podniecenie zmieszane z ulgą przez jakiś czas niemal dawały mu poczucie szczęścia.

Nie mógł zapomnieć obietnicy Gabiniusza, którą usłyszał w najgorszych chwilach swojego życia: pewnego dnia znowu poczujesz się dobrze. Nie bardzo podobało mu się to, że przepowiednia zaczynała się sprawdzać. Nawet po śmierci

Gabiniusz nie skapitulował i wciąż miał nad nim władzę.

Ku swemu zdumieniu krótko po śmierci żony znajomi zaczęli go namawiać, żeby rozejrzał się za inną kobietą. Niektórzy nawet aranżowali randki z własnymi siostrami czy przyjaciółkami. Kiedy minął rok - miał wrażenie, że dzień po rocznicy - szmer porad i zachęt nagle stał się wręcz napastliwy. Jego rodzice włączyli się do tego grona, ku jego oburzeniu. Przy każdej rozmowie wtrącali imię pewnej młodej kobiety, niewinnie wychwalając ją pod niebiosa. Organizowali także małe przyjęcia, na których dziewczyna się pojawiała. Starali się na siłę skojarzyć ich oboje, uciekając się do takich taktyk jak zostawianie ich samych. Irytowało go to, ponieważ zdawali się jednocześnie wierzyć, że ich nie przejrzał. Wariusz stanął okoniem, z początku z wściekłości, a później, kiedy została mu tylko podszyta rezygnacją złość, dla zasady i z przyzwyczajenia. Powtarzał sobie, że rodzice tylko troszczą się o niego, a on często jest mało delikatny.

Kiedyś wpadł na innego wdowca, który mu wyznał, prawie we łzach: „Wszyscy przyjaciele się ode mnie odwrócili. Ludzie mnie unikają, zupełnie jakbym był trędowaty”. Wariusz spojrzał na niego ze zdziwieniem i nie wiedział, co powiedzieć. Rzeczywiście, grupa przyjaciół po cichu się przerzedziła i odeszli nie tylko ci, którzy próbowali go swatać. Zawsze jednak uważał, że wina leży po jego stronie. Problemem nie było to, że lubił samotność, wręcz przeciwnie - krótkie chwile, kiedy siedział sam w domu, przed pójściem do łóżka, były najgorsze w całym dniu. Wtedy tęsknił za Gemellą; nie pragnął towarzystwa innych ludzi, nudzili go. W więzieniu i w domu Gabiniusza udawał, że nie jest człowiekiem. Teraz najlepiej się czuł w pomieszczeniu pełnym ludzi, których lubił, ale których osobowości traciły na sile, gdy byli w grupie. Praca dawała mu

ten komfort.

Możliwe jednak, że przykładał większą wagę do rad rodziców i znajomych, niż chciałby się do tego przyznać. To by częściowo tłumaczyło jego postępek. Czemu zranił kogoś bez powodu? A może to był wyraz jego arogancji? Ponieważ klinika działała tak dobrze, ponieważ minęło tyle czasu i wszystko jakoś się układało, pewnie uznał, że i z tym da sobie radę. Nie wspominając o potrzebach czysto fizycznych i samotnych nocach.

Oktawia wciąż mieszkała w jego domu. Mijając się w drzwiach, witali się grzecznie, ale nawet po ośmiu miesiącach miała tak nieszczęśliwą minę na jego widok, że pomyślał, iż prędzej czy później ktoś będzie musiał wykonać pierwszy ruch. Uczucie, które się w nich obudziło, zgasło niemal od razu, ale jego skutki były tragiczne. Jeszcze teraz wyrzucał sobie, że Gemella nie była ostatnią kobietą, której dotykał i z którą się kochał.

Oktawia musiała wprowadzić się do sąsiedniego mieszkania kilka tygodni wcześniej, ale zauważył ją dopiero jednego popołudnia, gdy kucała przed stertą rzeczy wyrzuconych z torbki i z desperacją szukała kluczy. Niejasno poczuł, że jest atrakcyjną kobietą. Za to wyraźnie dostrzegł wyraz paniki w jej oczach.

- Zatrzasnęła pani drzwi? - zapytał.

Spojrzała na niego i wzburzona skinęła głową.

- Mógłby mi pan pożyczyć swojego klucza...? - zaczęła i ze złości na siebie aż westchnęła. - Nie, to przecież bez sensu. - Znowu wróciła do przeglądania sterty rzeczy. - Zaprosiłam rodzinę - dodała z zaciętą miną. - Ale będą zachwyceni. Zna pan może jakiegoś ślusarza?

- Zedrą z pani skórę za ekspresową robotę.

- O bogowie.

Nie wierzył, żeby było ją stać na taki wydatek. Mieszkania w bloku były małe i tanie. Pensja, jaką sobie Wariusz wypłacał, była nawet niższa niż to, co zarabiał jako sekretarz Leona.

- Zaraz pani pomogę.

Otworzył drzwi do własnego mieszkania i widząc, że idzie za nim, podszedł do małego, żelaznego balkonu, który wychodził na dziedziniec z samotnym drzewem i kilkoma zakurczonymi samochodami.

- Co pan robi?

- Przejdę do pani i otworzę od środka. Nie zamknęła pani okien, prawda? - Wysunął nogę za barierkę.

- Co? Chce pan tam przejść? Niech pan tego nie robi, zabije się pan! - zaprotestowała.

- Nic mi nie będzie.

Przechodząc przez barierkę na drugą stronę, zastanawiał się, jak by to było, gdyby zleciał; zobaczył niewiarygodnie jaskrawą plamę krwi w miejscu, gdzie by spadł na ziemię. Westchnął ciężko. Te niespodziewane wizje różnych rodzajów śmierci - zawsze gwałtownych, a często trochę komicznych - nachodziły go sprowokowane najbardziej przypadkowymi i codziennymi rzeczami: długopisem, butelką ze środkami czystości, brzytwą, wszelkiego rodzaju nożami, nawet elektrycznym sekatorem do żywopłotu, który widział w rękach niewolnika pracującego na Celiusie. Czasami przebłyski fantazji nie miały z nim nic wspólnego.

Na przykład płot wyrzucony w powietrze przez niewyjaśnioną eksplozję przelatywał przez ulicę niczym oszczep, przebijał mu serce i przy-szpiłał go do ściany. Ten scenariusz przemknął mu przed oczyma w piękny słoneczny dzień, kiedy

wszystko układało się po jego myśli i był jak najdalej od pragnienia śmierci.

- Niech pan wraca. Naprawdę. Proszę - powiedziała stojąca za nim Oktawia.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił ją. Wyciągnął rękę, sięgając do ukrytej za rogiem domu balustrady, i z łatwością dał krok na jej balkon. Był tylko dwa piętra nad ziemią. Najwyżej by połamał nogi, ale wiedział, że nie spadnie.

Przeszedł przez skromnie umeblowany pokój, nawet bardziej ponury niż jego, i otworzył drzwi. Stała na progu z miną pełną wdzięczności, choć jeszcze blada z przerażenia.

- Ślicznie dziękuję. Gdyby pan spadł z powodu klucza...

- Wszystko w porządku - odparł, wracając do swojego mieszkania i po drodze zapominając już o całej sprawie.

- Mam na imię Oktawia! - zawołała za nim.

Przedstawił się i poznał po wyrazie jej twarzy, że go rozpoznała. Jeszcze w tym samym tygodniu dorobiła zapasowy klucz do swojego mieszkania i dała mu go.

- Ciągle mi się to przytrafia - powiedziała.

Później dowiedział się, że jest rozwódką i że rodzina ją za to obwinia. No i nie kłamała, rzeczywiście miała talent do zapominania klucza. Czasami przynosiła mu listy, które przez pomyłkę trafiły do jej skrzynki. Teraz wydawało mu się to naiwne, ale przez wiele miesięcy nic to dla niego nie znaczyło. Lubił Oktawie, lubił siedzieć w jej kuchni i słuchać jej głosu. Był zadowolony, że nie musi zamykać się w domu i czekać na sen. Noce były coraz bardziej nieznośne, ponieważ z piętra wyżej dochodziły odgłosy płaczu dziecka. Często narzekali z Oktawią na ten płacz. Nie myślał jednak o Oktawie, kiedy jej nie widział. Była jedyną lokatorką w domu, którą znał, i w dalszym ciągu starał się ograniczać czas, jaki spędzał w

mieszkań. Nawet kiedy siedział w nim cały dzień, to myślał o nim wyłącznie jako miejscu do spania.

Wracając pewnego wieczoru, natknął się na schodach na sąsiada z góry. Musieli rozmawiać ze sobą wcześniej, gdyż mężczyzna - w podobnym wieku jak on, o bladej cerze i gładkiej twarzy - odezwał się do Wariusza po imieniu. Wiedział też o klinice. Wariusz nie tylko, że nic o nim nie wiedział, ale nawet nie pamiętał, żeby go kiedykolwiek spotkał. Zastanawiał się, czy to może jest ojciec płaczącego po nocach dziecka. W takiej sytuacji wypadałoby napomknąć o tym. Bał się jednak, że to ktoś zupełnie inny. Obaj szli na górę i Wariusz przyspieszył kroku, żeby dotrzeć do mieszkania, zanim zdradzi się, że nie zna imienia sąsiada.

Mężczyzna znał także Oktawie, co akurat nie dziwiło Wariusza, ponieważ Oktawia łatwo się z każdym w domu zaprzyjaźniała. Sądził, że to powód, dla którego tak często ją widuje. Zdziwił się więc, kiedy mężczyzna o nią zapytał.

- Wszystko u niej w porządku - odpowiedział Wariusz.

- Macie zamiar się pobrać? - Jego ton był dziwny; chciał mu nadać beztroskie brzmienie, ale nie potrafił ukryć nuty cenzorskiej.

- Eee? - Wariusz nagle nie był pewien, o kim mowa.

- No, ona... Oktawia, znaczy, to porządna, dobra... nie powinna być... - wyjąkał sąsiad, wyraźnie przejęty. - Musi czuć się... niehonorowo. Nie ośmieliłbym się pana krytykować. Tylko widzę, że nie jest szczęśliwa.

- Co takiego? - zdumiał się Wariusz. W tym samym momencie, kiedy mężczyzna uświadomił sobie pomyłkę, Wariusz nie tylko zdał sobie sprawę, o czym on mówi, ale skąd wpadł na taki pomysł. Obaj zamrugali oczami i zmieszani spojrzeli na podłogę.

- Czy ona powiedziała panu, że my...? - zaczął Wariusz przestraszony.

- Ależ skąd! - przerwał mu mężczyzna, czerwieniąc się. - Nie... tak tylko myśleliśmy, bo ciągle was widzimy razem. A ona... No właśnie...

Myśleliśmy, Wariusz zwrócił uwagę na formę wypowiedzi, więc pewnie facet jest żonaty, musi to być ten od dziecka. W domu nie było wiele par. Przynajmniej jedno udało mu się wyjaśnić.

- Rozumiem. Nie, nie, może pan być spokojny.

Był grudzień, ale Wariusz wyszedł na rozpadający się balkon, żeby zajrzeć do mieszkania Oktawu. Przypominał sobie jej wszystkie odwiedziny, kiedy podrzucała mu pocztę czy wpadała po klucze, i zrozumiał, że służyły tylko za wymówkę, żeby go zobaczyć. Czyli jednak zapamiętał sposób, w jaki się do niego uśmiechała czy zwracała, tyle że odłożył to na później do przeanalizowania. Miał wrażenie, że słyszy ich rozmowy jakby dokładniej, niż kiedy je prowadzili. W wyobraźni jej twarz była wyraźniejsza, niż kiedy na nią patrzył.

Następnym razem, kiedy ją spotkał, przyglądał jej się z większą uwagą niż zawsze, odkrywając, że ją lubi, że jest ładna i inteligentna. I że jest dobrym człowiekiem. Poszli na spacer w stronę rzeki. Kiedy wiedział, czego szukać, łatwiej znalazł to, co dawno zauważył już sąsiad z góry. Oktawia ożywiła się wyraźnie, kiedy patrzyła na niego, i przygasała, gdy odwracała wzrok. Pochlebiało mu, że ma taki wpływ na drugą osobę, i jednocześnie trochę zbijało go z tropu. Poczł się jej dłużnikiem. Nie zasługiwała na to, żeby być nieszczęśliwą z jego powodu. Kiedy znaleźli się przed drzwiami ich mieszkań i mieli się pożegnać, Wariusz nachylił się i pocałował ją w usta. Zdumiona i zachwycona oddała mu pocałunek, obejmując go za

szyję i przytulając się w długim pocałunku.

Trochę później mu wyznała:

- Powtarzałam sobie, że nie powinnam sobie robić nadziei.

Zmysłowa przyjemność płynąca z jej pocałunku była obezwładniająca, ale po wszystkim Wariusz czuł, jak drga mu każdy nerw w ciele, i miał kłopot ze zlokalizowaniem źródła tego wrażenia. Liczył, że samo przejdzie, ale tak się nie stało. Zamiast tego znowu czuł, że nie może sobie znaleźć miejsca, lękał się pułapek ukrytych wszędzie tam, gdzie stawał, siadał czy kładł się. Tym razem nawet zagrzebanie się w pracy nie pomagało, gdyż w klinice nikt się już nie spieszył, a i większość kłopotów rozwiązano. Po raz pierwszy dotarło do niego, jak rutynowa stała się jego praca. Od jakiegoś czasu wynajdywał sobie obowiązki, byle tylko mieć zajęcie.

Po pierwszej wspólnie spędzonej nocy zrobiło się jeszcze gorzej. Leżał w jej łóżku z otwartymi oczami i jej ciepłą ręką na piersi i przez całe godziny słuchał, jak dziecko płacze gdzieś na górze.

Nigdy nie dzielił z Gemella mieszkania, w którym teraz mieszkał. Jednak wracając po tej pierwszej nocy do siebie, miał uczucie, jakby wchodził do ich starych pokoi. Nie chodziło dokładnie o to, że spodziewał się ją zastać czekającą na niego za drzwiami. Raczej że wyjechała do Tuskulum, na przykład żeby przygotować przyjęcie i pomóc Klodii w ułożeniu przemówienia. Klodia byłaby uciążliwa, jak zawsze.

Wariusz usiadłby na łóżku, czekając na jej powrót i zastanawiając się, czy powinien jej powiedzieć o tym, co zrobił. Wszedł do środka i rozpłakał się, ponieważ to nie było ich mieszkanie i wiedział, że Gemella nie wróci.

- Przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam - rzekł na

głos.

Wiedział, że jego lęki są irracjonalne, więc nadal spotykał się z Oktawią. Tak manewrował, że widywali się tylko u niej, nigdy u niego.

Coraz bardziej dręczyło go pytanie, co takiego w nim widziała, czemu się w nim, w tak oczywisty sposób, zakochała. Z grubsza znała historię śmierci Gemelli i zniknięcia Marka. Wszyscy ją znali. Wariusza pokazywano w dalwizji tylko przez kilka dni - zbyt krótko, żeby ludzie poznawali go na ulicy - ale wystarczyło, że podał nazwisko albo wspomniał o swojej poprzedniej pracy czy o śmierci żony, żeby rozmówca go skojarzył. Nienawidził tej popularności. Zawsze wyczuwał, że ludzie wiedzą, nawet kiedy tego po sobie nie pokazywali.

Co do Oktawu, to nie rozumiał, za co lubiła go tak bardzo. Wiedziała tylko, że jego żona została zamordowana, a jego oskarżono o zabójstwo, ale później oczyszczono z zarzutów. Z niechęcią myślał, że to są główne fakty z jego życia. Czy to mogło być pociągające? Jeśli tak, to cały ich związek oparty był na upiornych i nienormalnych relacjach. Myślał o tym coraz częściej, najpierw kiedy był sam, ale w końcu także w jej obecności. Doszedł do wniosku, że najwyraźniej podobało jej się to, iż przydarzyło mu się coś okropnego. Stał się w ten sposób dla niej romantyczny. Tyle że to nieprawda. Kiedyś chciał być tylko sumiennym urzędnikiem, szczęśliwym w związku małżeńskim. A teraz był w oczywisty sposób niesprawiedliwy i podły - najlepszy dowód, jak o niej myślał.

Nie wypytywała go o przeszłość - przynajmniej nie o tę część związaną z Gemella. Myślał z goryczą, że może spodziewa się, iż złamie się i opowie jej wszystko, płacząc. Coraz trudniej było znaleźć jakiś temat do rozmowy.

Gemella nie żyła już dłużej, niż byli małżeństwem. Ta

myśl go prześladowała, podobnie jak uczucie, że to nieprawda. Budził się w nocy tak samo, jak budził się w szpitalu więziennym. Czas, który minął od tamtych chwil, stanowił tylko złudzenie. Wszystko zdarzyło się przed chwilą. Gemella właśnie umarła. Znowu czekał na niego cały ten koszmar. Nie wiedział, jak on czy ktokolwiek może oddychać w czasie snu. Każdy oddech wymagał tak olbrzymiej koncentracji woli, jakby musiał obsługiwać potężne kowalskie miechy dzień i noc bez chwili wytchnienia.

Wariusz przestał wierzyć, że coś jeszcze może uratować jego romans z Oktawią, ani nawet tego nie pragnął. Nie powiedział jej nic o myślach, które nie chciały dać mu spokoju. Pospolite pytania - co zjemy? jak ci minął dzień? - stały się tak nienaturalne i odpowiedzi na nie wymagały od niego takiego wysiłku, że podejrzewał, iż musi to być dla niej boleśnie oczywiste. Założył, że była na to przygotowana, ale się pomylił. Przeżyła szok. Oczy jej zalśniły i próbowała ukryć łzy, długo walczyła o to, żeby go odzyskać, ale w końcu się poddała. Po raz pierwszy wymieniła imię Gemelli, zgadując, że pewnie czuje się winny i że nie powinien, to nie jego wina, z czasem...

- Nie - zaprzeczył. - Czas nic nie zmienia.

- Dobrze - zgodziła się w końcu. - Rozumiem. Ale chcę chociaż móc cię widywać. I tak nie mamy wyboru, jesteśmy sąsiadami. Wcześniej byliśmy przyjaciółmi.

Powiedział, że jest mu przykro, ale nie sądzi, żeby to było możliwe. Później zastanawiał się, czy posłuchał głosu rozsądku czy też odtrącił zwykłe ludzkie uczucia. Była tak załamana, że znowu zdziwił się, iż może tak wiele dla niej znaczyć.

Kiedy jednak z nią zerwał, to choć poczuł ulgę, że nie musi się więcej wysilać, zaczął się koszmar: noc za nocą leżał i

czuł, jak serce wali mu coraz szybciej i szybciej, i szybciej, aż w końcu chciał wbić sobie palce pomiędzy żebra, żeby je zatrzymać. Jedyłą pociechą była myśl, że Gabiniusz się pomylił. Widzisz, draniu, powtarzał w myślach! Myliłeś się. Byłem pewien, że nie masz racji.

Po ośmiu miesiącach zaczął wracać do równowagi, choć nie wiedział dlaczego. Za to znowu nie mógł zmusić się do zamykania drzwi. Cieszył się z upałów, gdyż wszyscy otwierali każde możliwe okno, żeby przetrwać, nie tylko on. Tak naprawdę to nie musiał wcale się usprawiedliwiać, nie było przed kim.

Właśnie skończył trzydzieści lat. Nie mógł powiedzieć: nigdy już się nie ożenię. Nigdy nie dotknę innej kobiety. Chętnie by to jednak powiedział. Może wtedy poczułby ulgę.

Godzinę wcześniej zadzwoniono z pałacu, że Marek chce go odwiedzić, jeśli znajdzie dla niego czas, ale nie mógł odgadnąć celu wizyty.

Uciekając się do wymówki, że sprawdzi, czy Marek już przyjechał, zszedł na dół, przeszedł przez zatłoczony hol, pełen omdlewających z gorąca chorych, i wyszedł na słoneczny dziedziniec.

*

Druzus niemal siłą zaciągnął Makarię do pierwszego z brzegu pokoju.

- Tego się po tobie nie spodziewałem - zaczął.

- A czemu nie? - spytała Makaria.

- Bo nie jesteś dzieckiem! - wrzasnął Druzus i zaraz zamilkł, otwierając szeroko oczy ze zdumienia, jakiej gały omal nie palnął. Mimo że wydawało się to bez sensu, chciał powiedzieć: „Bo nie jesteś kobietą!”. Zupełnie zapomniał o płci. We-

dług niego, powiedziała by jej w ten sposób komplement, gdyż uważał, że jest pozbawiona cech, które kazałyby mu zwracać się do niej jak do kobiety.

- Nie jesteś Klodią - dodał niewyraźnie, gdyż przyszła mu do głowy matka Marka i to, jak wiele w tym wszystkim było jej winy.

Przyjrzał się uważnie kuzynce. Z pewnością nie wyglądała jak mężczyzna. Z drugiej strony pomimo prostych i pięknych rysów Nowiu-szów nie wyglądała jak typowa kobieta zamieszkująca Złoty Dom. Makaria była pięknie opalona, co może ją nawet trochę postarzało. Jej krótkie, proste włosy, tej samej barwy co jego, ocieniały twarz niczym wachlarz. Była wyprostowana i ani za chuda, ani za gruba. Po prostu solidnej budowy. Na ścianie za nią wisały scytyjskie gobeliny przedstawiające Apollina Krisznę pomiędzy hinduskimi nimfami. Na tym tle ubranie Makarii - prosta sukienka do łydki i luźna tunika - wyglądało dziwacznie i nie na miejscu. Dokładnie przyglądając się poszczególnym elementom stroju, można było poznać, że są drogie, ale przypominały ubranie wieśniaczki. Z prostym złotym łańcuszkiem na szyi i małymi kolczykami z ametystu wyglądała jak wieśniaczka.

Tak naprawdę zarządzała majątkiem ziemskim. Ta myśl go przygnębiała. Nie oczekiwał kłopotów z jej strony, ponieważ nie pamiętał ani jednej rozmowy o polityce, w której Makaria zajęłaby zdecydowane stanowisko.

- Nie, nie jestem - odparła Makaria. - Kiedyś starałam się nie zajmować sprawami Muru, bo i tak nie miałam na niego żadnego wpływu. No i nie wierzyłam, że gdyby doszło do czegoś, to ludzie mogą być aż tak głupi. Niestety okazuje się, że są.

Druzus powstrzymał się przed odpysknięciem jej na tę

obelgę.

- Makario, wojna i tak wybuchnie prędzej czy później. Czy ci się to podoba, czy nie. Możesz jedynie ją powstrzymać na jakiś czas, ale kiedy się zacznie, to będzie o wiele gorsza i zginie więcej osób. Teraz moglibyśmy wygrać, a później...

- Chcesz powiedzieć, że będzie tak krótka, że nawet jej nie zauważymy?

- Nie, oczywiście, że nie.

- A potem nastąpi wieczny pokój? No cóż, gdyby ci się udało wymordować wszystkich, to może to byłaby i prawda.

- Nie, ale pomyśl o Tupii albo przypomnij sobie Persję. Są częścią imperium. Stabilną. Tak samo powinno być z Ter-ranową. Cały świat powinien tak wyglądać. Słuchaj, twój ojciec chce, żebyśmy Marka wsparli, tak? I żebyśmy mieli na niego oko. Więc ze względu na dobro Marka nie możemy dawać mu różnych rad.

- Nie będę udawała, że się z tobą zgadzam, jeśli tak nie jest - odparła Makaria.

Druzus westchnął zrezygnowany. Udał się do południowo-zachodniej wieży (jednej z czterech, które ozdabiały Złoty Dom) i zajął biura, które dawniej należały do Leona. Nie kryjąc niechęci, kazał sobie przynieść raporty dotyczące pożarów. Wziął pierwszy z brzegu, przewrócił stronę i podnosząc raport do oczu, przyjrzał się zdjęciu spalonego pokoju. Po chwili rzucił go z wściekłością na biurko i udał się do Faustusa.

*

Ponieważ Marek właśnie wszedł do kliniki, pretorianie starali się nie wpuszczać do niej nikogo, mimo to jakiś mężczyzna próbował ich wyminąć.

- Co wy wyrabiacie? To ktoś ranny? Wpuście go! -

krzyknął Marek. W końcu jeden z pretorianów wprowadził mężczyznę, widząc, że ten niesie coś lub kogoś przerzuconego przez ramię. Mężczyzna sprytnie zrzucił bezwładne ciało na ręce strażnika i czmychnął.

Przez chwilę pretorianin musiał trzymać w ramionach to wychudzone ciało, dopóki lekarze nie podbiegli z noszami, wtedy położył je na nich z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Wzdrygnął się i cofnął o krok. Wariusz nie dziwił mu się, gdyż poza ranami i oparzeniami ten, kogo trzymał, był tak brudny - Wariusz czuł, że we włosach i ubraniu roi się od wszy - że w pierwszej chwili nawet płci nie dawało się rozpoznać. Była to jednak kobieta lub może dziewczynka; nie mógł tak od razu zgadnąć jej wieku z powodu wychudzenia. Brązowa skóra na twarzy była przecięta i pomarszczona, ukazywała przerażającą mieszaninę krwawego różu i popielatej bieli, która otaczała cały policzek i pusty oczodół. Na czarnych włosach i ciemnej skórze rozkwitała, w ocalałych miejscach, dziwna jasnożółta plama. Jej lewa ręka, której brakowało kciuka, miała ten sam kolor, jakby dziewczyna włożyła żółtą rękawiczkę. Prawe ramię kończyło się poniżej łokcia w plątaniu mokrych szmat. Na piersiach i ramionach widniały plamy powstałe, gdy ubranie wtopiło się w skórę.

Wariusz dostrzegł, jak Marek i Una wzdrygają się. Zawsze doradzał każdemu, kto zgłaszał się do pracy w klinice, żeby nie podchodził do takich okaleczeń zbyt emocjonalnie. Jemu samemu przychodziło to łatwiej, niżby sobie życzył. Ogarnęła go złość. Jednak wszystkie pozostałe uczucia, wyzwalane przez te spektakle bólu, były zbyt odległe, niczym wiatraki na horyzoncie, żeby je rozpoznać. Nie czuł, że jest potrzebny tej dziewczynie, mimo że to on zbudował klinikę. Nie był lekarzem. Nie mógł jej pomóc.

- Veii - rzekł. - Znowu. - Obrócił się niecierpliwie do pretorianów. - Kto ją przyniósł?

Jednak mężczyzna zniknął.

- Co jest w Veii? Fabryka? - zapytał Marek słabym głosem. Nie mógł oderwać wzroku od wynoszonej dziewczyny. Zbierało mu się na wymioty.

- Tak, produkują dziewczęta bez rąk i oczu - wyjaśnił ponuro Wariusz. Po chwili dodał spokojniejszym głosem: - Cesarska Fabryka Broni w Veii. Ciągłe wybuchają im detonatory w czasie pakowania.

Za pierwszym razem, kiedy zobaczył zabarwioną na żółty kolor skórę, pomyślał, że to żółtaczką. Był to jednak materiał wybuchowy, który barwił skórę i tworzył jątrzące się rany.

- Przynajmniej ktoś się pofatygował, żeby ją tu przynieść. Na pewno nikt z fabryki. Wiedzą dobrze, że tu jesteśmy, ale wolą je wyrzucać zaraz za bramą. Nawet nam nie zgłaszają wypadków.

Jednym z powodów założenia kliniki była chęć powstrzymania właścicieli niewolników przed pozbywaniem się ich w ten sposób. Teraz nie mieli wymówki. Wielu pacjentów stanowili niewolnicy domowi, którzy byli traktowani względnie przyzwoicie przez swoich właścicieli. Przybywali tu z normalnymi chorobami i po zwyczajnych wypadkach. Jednak wypadki w fabrykach były tak okropne, że właściciele nie chcieli tracić czasu na rannych, z których nigdy nie będą już mieli pożytku. Te w Veii zawsze były najgorsze, ale w ostatnich dwóch miesiącach stały się wręcz przerażające.

- Sulien musi tu wrócić - rzekła Una.

Wariusz widział kilka razy Unę w klinice, kiedy przychodziła odwiedzić brata, ale nie znał jej dobrze. W towarzy-

stwie Marka nie wydawała się tak tajemnicza. Kiedy była sama, gdy czekała na Suliena w poczekalni lub siedziała na schodach, jej blada cera, szare włosy i czarne oczy sprawiały niepokojące wrażenie. Pamiętał, jak zobaczył ją pierwszy raz w pokoju Faustusa w pałacu - dziewczynę z potarganymi włosami, śpiącą na sofie cezara; kiedy obudziła się, zmieniła się w medium. Oznajmiła mu wtedy, że to Tulliola zabiła jego żonę.

- Nie może tu być przez cały czas - wyjaśnił Wariusz.

- Wiem. Czy ktoś zmarł, gdy go nie było? - zapytała i zaraz dodała pewnym tonem: - Ktoś umarł, prawda?

Wariusz poczuł, jak dreszcze przechodzą mu po plecach. Przypomniał sobie sine ciało z niewielkimi fragmentami ocalałej skóry.

- Był jeden ciężko poparzony mężczyzna. Z tego samego miejsca co dziewczyna. Nie mam pojęcia, czy Sulien by go ocalił, ale jeśli tak, to lepiej, że go tu nie było.

Mógł to wyjaśnić, mógł powiedzieć: „Mężczyzna konał. Nigdy by nie mógł już pracować. Dalsze życie nie miałoby dla niego sensu”. Choć Marek znowu się wzdrygnął, Una tylko spokojnie skinęła głową. Wariusz jakby się tego właśnie po niej spodziewał.

- Nie wspominaj o tym Sulienowi - poprosił.

- Nie powiem - obiecała. Pamiętała, jak zobaczyła Wariusza siedzącego nieruchomo w jednym z pokoi Faustusa. Wcale nie miał nieprzeniknionej miny, był spięty i niespokojny. Teraz lepiej dawał sobie radę z ukrywaniem uczuć. Bez wysiłku pozostawał w bezruchu, tak że można go było przez pomyłkę wziąć za spokojnego człowieka.

- Możemy porozmawiać? - spytał Marek Wariusza. Poszli na górę i Una zdecydowała, że poczeka na nich w sali operacyjnej Suliena.

Pomyślała o Druzusie: Niedługo dowiem się o tobie wszystkiego. Potrzebuję tylko czasu.

*

Fresk w pokoju przedstawiał ptaki w locie. Kolory były stłumione przez panujący półmrok. Stojąc w ciemności przy szerokim, zasłanym jedwabiami łóżku Faustusa, studiował jego rysy, wdzięczny, że zastał wuja śpiącego. Tak naprawdę, poza niezdrową bladością, nie było widać żadnych śladów choroby. Niespodziewanie naszła go ta sama wizja Tullioli leżącej w tym łóżku, obok wuja, w jego ramionach. Wziął głęboki oddech, czując, jak mu się robi niedobrze, i wolno wypuścił powietrze.

- Wujku - powiedział głośno, nie mogąc znieść napięcia.

Faustus poruszył się i mruknął coś.

- Wujku - powtórzył ze współczuciem Druzus. Usiadł na łóżku i wziął go za rękę. - Czujesz się dziś trochę lepiej?

Faustus wydał z siebie chrząknięcie wyrażające wstręt z powodu własnej bezradności.

- Nie mogę chodzić. Nie mogę poruszać tą stroną. - Druzus zauważył, że jednej strony twarzy Faustus nie kontrolował.

- Ale jeszcze będziesz. No i możesz mówić. Bałem się, że jest gorzej. - Nie kłamał. Wcale nie musisz chodzić, pomyślał Druzus ze wzgardą. Wystarczy, że możesz mówić. Po co oddawać Markowi wszystko, jeśli nie jest wcale tak źle.

- Mój głos...

- Jest w porządku - powiedział delikatnie Druzus. - Naprawdę. Oczy Faustusa zalśniły.

- Wcale nie - zaprzeczył i na te słowa popłynęły mu łzy. Zaklął, co wciąż przychodziło mu łatwo. Chciał wyjaśnić, jak

jego myśli odbijały się od jakiejś potężnej pięści, która rozgniała ją na miazgę, ale nie mógł znaleźć siły, żeby sformułować zdania. Ogarnęła go wielka bezradność.

Druzus bez słowa otarł mu łzy.

- Uwierz mi, że tak. I nie pozwól nikomu sobie wmawiać, że jesteś bardzo słaby. Rzym potrzebuje cię silnego. I to jak najszybciej.

W oczach Faustusa pojawił się błysk niepokoju.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że chcę, żebyś wyzdrowiał.

Faustus wydał z siebie niecierpliwy i pełen niedowierzania pomruk.

- Marek?

Druzus westchnął ciężko i przesunął ręką po twarzy.

- No cóż, martwię się. I to bardzo. Aż trudno uwierzyć, że jest tu tylko jeden dzień, a tyle napsuł.

- Co...?

- Przecież ma dopiero ile lat? Dziewiętnaście i ma sprostać zbliżającej się wojnie, i to tak potężnej? Ja... Wujku, naprawdę boję się, że ryzykuje bezpieczeństwo imperium. Oczywiście w jego wieku i na takiej pozycji to nieuchronne, ale zachowuje się, jakby zjadł wszystkie rozумы, jakby był mądrzejszy od Salwiusza.

Faustus dyszał ciężko, ale zdołał przemówić.

- Druzusie, wiem, że chcesz...

- Nie, naprawdę, to nic osobistego! Wiem, że sądzisz, iż pomoże mu wszystko, przez co przeszedł. Może tak, ale bez względu na to, do czego będzie zdolny w przyszłości, to na razie... Możesz wymienić jednego cesarza, który doszedł do władzy w tak młodym wieku i wyszedł na ludzi?

- Marek nie jest cesarzem - powiedział Faustus jasno i ze

zdumiewającą siłą.

Druzusa przepełniały obawy, ale jednocześnie te słowa dodały mu otuchy. Prawdę mówiąc, jego pomysł na to, co chce osiągnąć, był do tej pory trochę niejasny - nie oczekiwał, że po jednej rozmowie Faustus zmieni testament i uczyni go ceza-rem. Jak do tej pory nigdy nie udało mu się przekonać wuja, żeby mianował go gubernatorem Terranowy. Jednak nie od razu Rzym zbudowano. Widząc, jak się sprawy mają, poczuł, że nie będzie trudno - nawet nie zajmie mu dużo czasu, nie więcej niż dwie, trzy rozmowy - przekonać Faustusa, żeby mianował go regentem czy sam przejął z powrotem władzę. Oczywiście, Faustus potrzebowałby pomocy przez jakiś czas.

- Może jednak robić, co mu się podoba - odpowiedział Druzus. - Wiedziałeś, że uwolnił dzisiaj wszystkich twoich niewolników?

- Co takiego?! - krzyknął Faustus, podskakując na łóżku. - Powiedziałem mu... - Dyszał teraz jeszcze ciężiej, a jego twarz stała się wręcz szara.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi za Druzusem. Druzus drgnął niemile zaskoczony i zaczerwienił się. W drzwiach stał młody mężczyzna - nawet bardzo młody. Miał gęste, brązowe, rozwichrzone włosy i szeroko osadzone ja-snobrązowe oczy. Jego rysy twarzy zdawały się wzbudzać za-ufanie, ale sam patrzył podejrzliwie.

- Domyślam się, że jesteś Druzusem Nowiuszem Fau-stusem - powiedział. Jakby po namyśle wykonał minimalny ukłon w stronę łóżka, nie spuszczać ani na chwilę oczu z Druzusa.

Faustus chrząknął w formie powitania i opadł na po-duszki.

- Tak - odparł Druzus, nie wiedząc, jak zareagować, i nie

mając pewności, czyjego niepokój był uzasadniony. Odwrócił się sztywno do łóżka i spytał wyniośle: - Kto to jest?

- Mój lekarz - odparł posępnie Faustus, kiedy młody człowiek się przedstawił.

- Sulien.

- Co się stało z twoimi lekarzami? - zapytał Druzus tonem tak beztruskim, na jaki tylko mógł się zdobyć. Nawet jeśli ktoś tak młody mógł zostać lekarzem, to i tak Druzus nie miał pojęcia, jak pozwolono mu leczyć cesarza.

- Ocalił mi życie - wyjaśnił Faustus, dodając z kwaśną miną: - Jeśli to w ogóle coś warte.

- Nie mów tak, wujku - sprzeciwił się mechanicznie Druzus.

Sulien otworzył szeroko drzwi i poprosił miłym tonem:

- Czy mogę poprosić na słówko, Wasza Wysokość?

Druzus nie miał ochoty wychodzić i chciał nawet odmówić, ale poczuł, że nie powinien. Bezpieczniej będzie dowiedzieć się, co chłopak usłyszał. Pewnie nic. Wyszedł za nim do drugiego pokoju.

Sulien zamknął drzwi.

- Nie możesz do niego mówić w ten sposób - powiedział.

- Co to ma znaczyć? Podsłuchiwałeś? - zapytał ostrym tonem Druzus.

Zapadła cisza. Poprzedniego dnia Sulien stwierdził, że przez te trzy lata pokój, w którym się znajdowali, nie zmienił się ani odrobinę. Było to wręcz niesamowite. W kącie stało to samo krzesło, na którym zasnął nad ranem, kiedy przestali wierzyć, że przeżyją tę noc. Pamiętał kule trafiające w drzewo zaledwie cale od niego. Jeszcze wyraźniej miał w pamięci strzały, które sam oddał, i krew tworzącą bąble na szyi ranego mężczyzny. Rana nie pochodziła od jego kuli, ale czuł się

- był - współwinny. Nie wracał często pamięcią do tamtych dni, ale wspomnienia wciąż tkwiły w nim, niczym promienowanie uwięzione w szpiku kostnym. Patrzył teraz na tę twarz, niepokojąco podobną do twarzy Marka, i czuł nieposkromioną ochotę, żeby uderzyć tego chłopaka. Zupełnie jakby zobaczył, że Druzus atakuje Marka. Druzus nie miał pojęcia, jak to było, po prostu chciał z zimną krwią zniszczyć wszystko, o co walczyli i za co zginął Dama. Tak, Sulien podsłuchiwał. Słyszał każde słowo.

- Jest powód, dla którego umieściłem go tutaj, a nie na dole - ciągnął Sulien, siląc się na cierpliwość. - Może mieć kolejny wylew. Nie jest dostatecznie silny, żeby kierować imperium czy choćby myśleć o nim. To zagrażałoby jego życiu. Teraz muszę się nim zająć.

- Przebyłem długą drogę, żeby zobaczyć wuja. Jeśli nie mogę z nim porozmawiać teraz, to wrócę później - odparł Druzus pojednawczym tonem.

- Nie - sprzeciwił się Sulien. - Obawiam się, że nie.

- Słucham?

- Nie - powtórzył dobitnie Sulien. - Zobaczysz go, kiedy ci pozwolę.

- Czy ty wiesz, z kim rozmawiasz? - spytał Druzus, tak zszokowany, że jego głos zabrzmiał wręcz grzecznie i nieśmiało. - Nie będziesz mi rozkazywał. Jak śmiesz? Pochodzę z cesarskiej rodziny. Jedyne człowiek na świecie, który może się tak do mnie zwracać, jest w tym pokoju. - Wskazał palcem na drzwi do sypialni.

Sulien zmarszczył brwi, czując, że traci cierpliwość.

- Spójrz na to w ten sposób - odparował. - Jeśli teraz umrze, to nie zmieni testamentu.

Druzus otworzył usta, ale nic nie powiedział. Zbladł na

twarży i Sulien poczuł satysfakcję. Po niej przyszedł niejasny niepokój. Druzus stał jak wryty, a Sulien wrócił do Faustusa.

*

- Czy jeśli pojedę do fabryki, mogę mówić w twoim imieniu? -zapytał Wariusz, kiedy weszli do jego biura. Automatycznie podszedł do okien i otworzył je szerzej.

- Jeśli to poskutkuje.

- Na pewno.

- Wygląda, że klinika działa bez zarzutu - zauważył Marek.

- Tak, masz rację - zgodził się Wariusz zmęczonym głosem. Uśmiechnął się do Marka. Aż zdziwił się, jaką przyjemność sprawił mu jego widok. Zapominał, że zawsze niepokoił się przed ich spotkaniami. Krępująca świadomość, że inni ludzie wiedzą coś o nim, nasilała się w towarzystwie tych, na których życiu odcisnęły się wydarzenia jesieni sprzed trzech lat. Właśnie dlatego, choć spotkał się cztery czy pięć razy z Kleomenesem od czasu jego wypuszczenia, nie mogli zostać przyjaciółmi. Tylko Sulien był wyjątkiem, ponieważ Wariusz przyzwyczaił się, że jest częścią kliniki. Choć Sulien odwiedził poprzedniego dnia Złoty Dom, trudno było uwierzyć, że ktoś tak nieskażony może mieć cokolwiek wspólnego z tamtymi czasami.

Marek to co innego, gdyż znajdował się w samym centrum wydarzeń. Był ich źródłem. Wariusz nigdy go nie obwiniął, gdyż Marek nie zrobił nic złego. Prawda była jednak taka, że Gemella wciąż by żyła, gdyby nie on. Wariusz starał się go ochraniać, lecz zamiast tego omal nie przyczynił się do jego śmierci. Czuł, że Marek nie obwinia go za to. Kilka tygodni po powrocie do Rzymu Marek powiedział mu: „Zginąłbym, gdy-

bym został wtedy w Rzymie, a gdybyś mnie nie zmusił, na pewno bym nie wyjechał. - Później dodał: - To wina tortur. Tylko i wyłącznie”. Wariusz wolałby uniknąć tej rozmowy. Bardzo był ciekaw, jak Markowi udało się ująć z życiem, ale nie chciał nawet słuchać oficjalnej wersji, którą podawali w dalszemu. Wolałby jednak nie opowiadać o tym, co się zdarzyło, gdy wrócił do Rzymu, ani nie słyszeć zapewnień Marka, że to nie jego wina. Wariusz nie winił się za sam moment zdrady, ponieważ w chwili kiedy ją popełnił, nie miał innego wyjścia. Nie powinien był jednak dopuścić, żeby tak potoczyły się wypadki. Nie powinno go tam być. Poczucie winy, które go nękało, można było wytrzymać, dopóki nikt mu nie przypominał tamtej sprawy.

Mimo wszystko sam fakt, że Marek był jedyną osobą, której mógł powiedzieć prawdę, zmienił wiele w jego życiu. Postanowili wtedy więcej nie wracać do tamtych wydarzeń. Pomogło też, że Marek był przy śmierci Gemelli. Życie cesarza i Wariusza zdawało się niekiedy toczyć po równoległych torach. Byli zdumieni, że przetrwali.

- Co tam słyhać w świecie? - zapytał Wariusz.

Marek uśmiechnął się.

- Nie najlepiej.

- Nigdy nie jest idealnie - powiedział Wariusz. - Nawet nie wiem, czy powinno. Dopóki utrzymujesz się na powierzchni, nie jest źle.

- Staram się. - Marek przez chwilę wyglądał na wyczerpanego. Trzy lata wcześniej Wariusz widział w nim dziecko.

- Przykro mi, że wypadki potoczyły się w ten sposób - szepnął Wariusz.

Marek skinął głową.

- Chcę sprawować władzę, ale jeszcze nie teraz. Nie w

tych warunkach. No, ale... - Wzruszył ramionami. - Zabroniłem Salwiuszowi mobilizować wojska w Terranowie. Myślisz, że Nionianie będą chcieli z nami rozmawiać?

Wariusz zastanowił się. Przesunął się na skraj krzesła.

- Nie sędzę, żeby uważali, że mogą coś zyskać na tej wojnie. Raczej się do niej nie rwą.

- Salwiusz prze do wojny. Tak samo Druzus. W Kynoto też muszą być tacy ludzie.

- Rzym ma przewagę i może ją stracić. To jeden z powodów, dla których Salwiusz czuje się taki silny. Myślę, że Nionianie woleliby uniknąć wojny. To jednak nie jest odpowiedź na twoje pytanie. Ryzyko nie kryje się tylko w intencjach ich lub w naszych. Czasem wystarczy jakiś drobny błąd, szczegół, którego nikt nie spostrzeże - można przegrać wszystko przez drobiazg.

- Co na przykład? - spytał Marek.

- Rzekłeś, że nie będziemy się szykowali do wojny w czasie rozmów pokojowych. Musiałeś tak powiedzieć. Oni oczywiście też muszą to obiecać, zanim siądziecie do stołu, inaczej twoja pozycja zostanie osłabiona. Takie klauzule są niezbędne. Mogą jednak nabrać zbyt dużego znaczenia. Ludzie za bardzo się na nich koncentrują w trudnych sytuacjach. Jeśli ktoś teraz urządzi ćwiczenia wojskowe, a wiadomość o ich wstrzymaniu nie dotrze na czas, albo nawet jakiś generał będzie chciał sabotować rozmowy, może dojść do wybuchu wojny, mimo że nie chcemy jej ani my, ani Nionianie. I to z powodu czegoś bez znaczenia. Paru ludzi maszerujących kilka mil.

- To co powinienem zrobić? - spytał Marek. Dostrzegł, jak w czasie rozmowy postawa Wariusza ulega nieokreślonej zmianie. Był teraz bardziej ożywiony i pełen zapału.

- Przede wszystkim nie powinieneś dopuścić, żeby rozmowy stały się serią ultimatum - zaczął Wariusz podekscytowany natłokiem myśli, ale nagle umilkł. - Co ja robię, dając ci rady? Marku, bardzo się cieszę z twojej wizyty, ale w jakiej sprawie przyjechałeś?

- Ponieważ potrzebuję rady - odparł Marek. - Chcę, żebyś został moim doradcą w pałacu, i to jak najszybciej.

Wariusz odchylił się na krześle, chowając się w słońcu wpadającym przez okno, jakby przybrał maskę. Patrząc na niego, Marek podejrzewał, że jest zdziwiony, ponieważ tak długo zwlekał z odpowiedzią. Jednak w pewnym momencie stało się jasne, że zastanawia się, jak odmówić.

- Dziękuję za propozycję - zaczął.

- Dlaczego ją odrzucasz?

- Nie mam doświadczenia w sprawach rządowych - odparł rozsądnym tonem Wariusz.

- Kiedyś miałeś.

- Tak. W innych okolicznościach. To wchodziło w zakres moich obowiązków służbowych. Teraz mam zupełnie inną pracę.

- Która cię nudzi - powiedział Marek.

Zapadło milczenie i zaniepokojona twarz Wariusza wyjrzała z kręgu światła.

- Wcale nie. Czemu tak sądzisz?

- Bo przyjeżdżam tutaj, a ty masz czas na spotkanie ze mną.

- Marku, teraz możesz skazywać ludzi, jeśli nie zechcą znaleźć dla ciebie czasu.

- Obiecuję robić to tylko w ostateczności - powiedział, śmiejąc się, Marek. Poczul jednak taki sam szok, jak wtedy kiedy włożył na palec pierścień. - Zresztą Sulien mówił, że się

nudzisz.

- Tak, a to czemu? - zapytał Wariusz. - Nie podoba mi się, jak prowadzę klinikę?

- Nie, po prostu powiedział, że wyglądasz na znudzonego.

Wariusz westchnął.

- No cóż, to prawda. Klinika w zasadzie działa sama - wyznał Wariusz. - Zastanawiam się nad otworzeniem drugiej, więc...

- Możemy to zrobić. Nie musiałbyś żebrać o pieniądze, po prostu byś je dostał.

- Ale to zależy od tego, czy powiem „tak”? - Wariusz spytał beznamiętnym głosem.

Marek roześmiał się bezbronnie.

- Nie. Skoro to powiedziałem, to muszę dotrzymać słowa. Wariuszu, posłuchaj, proszę, nie jestem głupi, wiem, że jestem za młody. - Machnął ręką, na której nosił pierścień. - Nawet gdybym nie był, to i tak jest to zbyt dużo władzy jak na jednego człowieka. Co nie znaczy, że oddam ją Druzusowi. To o wiele cięższa praca niż ta, którą wykonywałeś dla mojego ojca. Dostaniesz władzę. Musiałeś kiedyś o tym marzyć.

- Powiedziałem sobie, że nie będę miał nic wspólnego z pałacem. Nigdy.

Marek zawahał się.

- Wariuszu, tych ludzi już nie ma - rzekł ostrożnie.

- Naprawdę? Wszystkich? Jesteś pewien? - zapytał Wariusz, unikając spojrzenia Marka.

- No dobrze. Nie. Nie jestem pewien. Wiem jednak, że nie jesteś jednym z nich. Rozumiem, że masz powód, żeby nie ufać nikomu w Złotym Domu. Tak samo jak ja. Ufam jednak tobie.

Marek zmusił Wariusza, żeby ten spojrział na niego, a

nawet się uśmiechnął. Po chwili Wariusz spuścił głowę.

- Co mogę odpowiedzieć? - rzekł sam do siebie.

Nie był to jednak wyraz zgody, mimo że Marek widział, jak bardzo kusi go propozycja.

- Wariuszu, muszę mieć kogoś, z kim mogę otwarcie rozmawiać. Bez względu na wszystko nie mogę popełnić błędu w tej kwestii. Jeśli zwrócisz mi uwagę, na przykład, że coś robię źle, będę wiedział, że nie kierują tobą inne motywy. Mogę ci ufać.

Wariusz patrzył z dezaprobatą na podłogę, ale kiedy podniósł głowę, wyraz bezstronnego spokoju wygładził mu rysy.

- Dlaczego? - zapytał zupełnie rozsądnie.

- Gdyż... - zaczął Marek z niedowierzaniem, po chwili milczenia.

- W porządku - przerwał mu Wariusz. - Wiem, czemu mi ufasz. Możesz ufać, że mam dobre chęci. Ale to za mało.

- Nie, ufam twojemu osądowi - zaprotestował Marek.

- Właśnie widzę - powiedział Wariusz. - Dlatego się nie zgodzę, przykro mi.

Później Wariusz wrócił do pracy, ale przez dłuższy czas był roztrzęsiony, jakby brał udział w bójce.

*

Siedząc w złoconym wnętrzu samochodu, Marek znowu walczył z marzeniami, że samochód zawraca i wywozi jego i Unę gdzieś daleko, daleko stąd. Pragnienie ucieczki było o wiele silniejsze niż w spiraloście poprzedniego dnia. Oczywiście Złoty Dom prezentował się o wiele okazalej z poziomu ulicy niż z powietrza.

- Mogę ci pomóc - zaproponowała Una z umiarkowanym

zapałem. - Nie chcę siedzieć cały dzień i czekać na ciebie. Chcę być z tobą. Zwłaszcza kiedy musisz podjąć jakąś decyzję. Będę od razu wiedziała, jeśli ktoś cię okłamie. Glykon nie ma nic przeciwko mojej obecności. Mogłabym mu trochę pomóc w nudnych sprawach, jak przyjmowanie wiadomości. To byłaby moja wymówka, żebym mogła...

- Chcę, żebyś była przy mnie - przerwał jej Marek, patrząc na nią z ulgą. Una jednak w dalszym ciągu broniła swojego pomysłu, jakby Marka nie słyszała.

- Mogę sprawić, że będę cicha, nudna i niegodna uwagi, wiesz, że to potrafię. W ten sposób mogłabym słuchać. Wiem jednak, że ludzie będą uważali, że nie powinno mnie być przy tobie, i będą mieli o tobie nie najlepsze mniemanie.

- I tak uważam, że warto - nalegał.

Una miała nadzieję, że się nie myli. Byłby ostrożniejszy, gdyby Wariusz się zgodził, pomyślała. Uśmiechnęła się do niego spokojna, że będzie miała okazję do śledzenia Druzusa.

*

Druzus odwlekał moment wyjścia z pałacu. Siedział w przeszklonej wieży i żałował, że nie ma nikogo, z kim odważyłby się porozmawiać, ponieważ nie miał pojęcia, co robić. Kiedy dowiedział się, gdzie udał się Marek, posyłając jednego z ochroniarzy, których zabrał z Bizancjum, żeby porozmawiał z pretorianami, ogarnął go niepokój. Druzus mógł otwarcie zapytać, ale wolał to zrobić po swojemu. Wariusz: kolejna przeszkoda, która unicestwiła jego plany. Bez niego Marek by już nie żył.

Kiedy Marek wrócił do Złotego Domu, Druzus starał się opracować jakiś plan, wymyślić coś, co mógłby powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Na krótką chwilę udało mu

się skoncentrować na tym, jak powstają pożary. Przynajmniej udawał, że wypełnia polecenie kuzyna, ale wydawało mu się, że szklane ściany wokół niego zaraz rozprysną się na miliony kawałków. Uciekł z pałacu, do ciszy wzgórza Celius, do domu ojca. W zasadzie był to jego dom, gdyż prowadził go, odkąd stał się pełnoletni. Jego ojciec był psychicznie chory.

Posiadłość przypominała sieć zapór: wysoka, prosta ściana muru, gęsty żywopłot, strefa zaporowa dziedzińca i sam dom o kształcie fortecy - niczym para dłoni chciwie splecionych wokół monety, wewnętrznego ogrodu.

W środku dom był utrzymany w bagnistych kolorach: głębokie zielenie i ciemna purpura. Ściany ozdabiały malowidła przedstawiające trzciny i wierzby. Druzus przeszedł przez wszystkie pokoje i wkroczył do jadalni. Lucjusz, który właśnie jadł wczesną kolację, leżał naprzeciw Ulpii, ładnej brunetki o zadartym nosie, która miała być pielęgniarką, ale zamiast tego żyła z ojcem jako konkubina i niańka. Druzus patrzył na to z obrzydzeniem.

- Wyjdź - rozkazał. - Chcę porozmawiać z ojcem.

Ulpia drgnęła zdenerwowana i niepewna i zaraz czmychnęła z pokoju. Lucjusz miał przestraszoną i smutną minę, jaką często u niego można było ostatnio zobaczyć. Tak jak Druzus podejrzewał, nie skarcił go jednak za to zachowanie. Każde słowo, które do niego kierował, brzmiało niczym spóźnione przeprosiny! Zamiast irytacji Druzus poczuł jedynie niewymowne znużenie. Usiadł na sofie, na której wcześniej leżała Ulpia, spojrzął zamyślonym wzrokiem na ojca, wspierając brodę na zaciśniętych pięściach, i wreszcie schował twarz w dłoniach.

Po dłuższej chwili Lucjusz wstał, obszedł w milczeniu stół i z zakłopotaniem położył rękę na ramieniu syna. W wes-

tchnięciu Druzusa słyszeć było cień uśmiechu. Nie podnosząc głowy, wziął rękę ojca i zdjął z ramienia.

- Nie wygłupiaj się - mruknął bez złości.

Lucjusz posłusznie się wycofał. Usiadł na krawędzi swojej sofy, przesunął talerz na stole i rzekł nieśmiało:

- Druzus. Druzus. Miło, że wpadłeś do Rzymu. Coś się stało?

- Wszystko - oświadczył Druzus. - Wszystko jest nie w porządku.

- Czy Tytus jest bardzo chory?

- I tak cię to nic nie obchodzi - zauważył Druzus.

- Obchodzi.

- To jak to pogodzić z twoim zachowaniem?

- Nie wiem - przyznał szeptem Lucjusz, wierząc się na sofie niczym skarcony uczeń. Podniósł dłonie do twarzy i wystraszone wzrokiem spojrzał na syna przez palce. Gest był instynktowny, a jednocześnie tak by zareagowało bojaźliwe dziecko chcące uniknąć kary. Ponad dłońmi, pod zmierzwionymi siwymi włosy, chore oczy Lucjusza błagały: Proszę. Dostyc.

Jak zawsze, Druzus uległ temu spojrzeniu. Owładnęła nim cierpka czułość, która w niewyjaśniony sposób pojawiała się, kiedy widział ojca, i nie pozwalała mu przekroczyć pewnej granicy.

Druzus zawołał niewolnika, żeby przyniósł mu czysty kielich. Następnie nalał sobie wina i z wyrazem rezygnacji położył się na boku, opierając głowę na zgięciu ramienia. Jego palce zaczęły bezwiednie bawić się włosami z tyłu głowy.

- Nie jest tak chory, jak się bałem - powiedział. - Jego głos się zmienił. No i nie może chodzić.

- Biedny Tytus.

- Tak, biedny Tytus. Chociaż uważam, że szybciej by wyzdrowiał, gdyby nie postawił na Marka. Marek tak się od razu zaczął rządzić, że diabli wiedzą, co zostawi po sobie. To zwykła parodia.

- Naprawdę aż tak bardzo chcesz być cesarzem? - spytał Lucjusz ze współczuciem w głosie.

- A co innego mógłbym robić? - odparł znużonym głosem Druzus.

Lucjusz wyglądał, jakby miał się rozpłakać.

- Przecież jest wiele możliwości... możesz być, na przykład... Druzus. Czemu chcesz to zrobić? To takie okropne. I tak niebezpieczne. Czemu miałbyś się narażać? O bogowie... nie darowałbym sobie, gdyby coś ci się stało.

Druzus posłał mu pogardliwe spojrzenie. Chciał wykrzyknąć: „Myślisz, że nic mi się jeszcze nie stało?!”. Całe życie ojciec był mu kamieniem u nogi. Całe jego dzieciństwo. Razem z matką żyli w poczuciu wstydu. Poniżenie, jakiego doznała (całkowicie zrozumiałe, biorąc pod uwagę, czego mogła się spodziewać po związku z Nowiuszem), rozciągnęło się także na Druzusa. Tak było, odkąd sięgał pamięcią. Sprawy musiały wyglądać źle, kiedy miał już dwa lata.

Jako dziecko Druzus wierzył, że gdyby ojciec nie był szalony, byłoby to niezwykle błogosławieństwo. Przypominało to jednak mityczne podarunki bogów - dla Kasandry czy Titonosa - dosłowne i jednocześnie złośliwe spełnienie życzeń. Jego prośba została wysłuchana, ale nie w postaci metamorfozy czy cudownego lekarstwa na chorobę, ale odkrycia, że ojciec posługiwał się szaleństwem, żeby uciec od swojego nazwiska, małżeństwa i syna. Całe życie tak robił. Druzus odkrył prawdę -wpadając na odrażająco nagiego Lucjusza i Ulpie - kiedy miał dziewiętnaście lat, tyle samo co teraz Marek.

Uczucie szoku i zdrady - mimo że nie zgasło nawet po dziewięciu latach - wytworzyło między nimi pewną intymność, której nigdy wcześniej nie czuli. Przez lata Druzus nie zdradził nikomu tajemnicy Lucjusza, poza Tulliolą - częściowo z powodu upokorzenia, a częściowo z poczucia gorzkiego obowiązku i współczucia.

- Nie każdy czuje się zmuszony, żeby unikać odpowiedzialności za wszelką cenę, tato. - Lucjusz zwiesił głowę. - Zresztą wyrocznia powiedziała, że będę cesarzem - dodał cicho. - Nie wygadaj się nikomu.

Dziwna rzecz, ale w tym wypadku Druzus całkowicie ufał ojcu. Lucjusz ochoczo skinął głową.

- No to nie musisz się martwić - powiedział.

- Nigdy w to nie wierzyłem. Wszystko się sprzyściło przeciwko mnie. Ale kto to zmieni, jeśli nie ja? Wiesz, że nawet nie mogę porozmawiać z wujkiem Tytusem? Aż wstyd bierze, co wyrabiają za jego plecami. Ach... - Kolejna fala rozpaczy załapała Druzusa. Zsunął się na leżance i schował głowę w ramiona. - Jeden szczeniak, który jest lekarzem, podsłuchał moją rozmowę. Teraz powie wszystko Markowi, więc nie mogę nawet... Widzisz, dobrze wiedzą, co robią. Wsadzili tam swojego szpiega. Chcą mieć pewność, że nie zdradzę cesarzowi, co się naprawdę dzieje. Może nawet specjalnie przeciąga chorobę wuja...

Umilkł nagle, przewrócił się na plecy i spojrzał na ciemny sufit.

- Sulien - powiedział cicho. Myślał tylko na głos, ale kiedy usłyszał to imię, już się zorientował. Sulien.

Druzus próbował sobie przypomnieć, co usłyszał trzy lata temu. Nie przychodziło to łatwo, gdyż był wtedy zbyt przybity, żeby słuchać wiadomości o klęsce. Skoncentrował

się: Do sanatorium Galena wdarli się ludzie i uwolnili Marka. Sulien był jednym z nich. Kolejny były niewolnik. Chyba jakiś magik z Londynu. Druzus przypomniał sobie ich rozmowę w pokoju Faustusa, odkrył wtedy ślad akcentu w głosie lekarza. To ten sam człowiek i nie przypadkiem tak młody jak Marek. Byli przyjaciółmi. No oczywiście, Marek chciał kontrolować Faustusa, dopóki był regentem. Mając oko na Faustusa, mógł ciągnąć to tak długo, jak mu się podobało. Druzus postąpiłby dokładnie tak samo.

Zatem nie było żadnej nadziei. Chłopak powtórzy Markowi podsłuchaną rozmowę.

Druzus roześmiał się ponuro i sarkastycznym tonem wyjawiał ojcu swoje myśli. A czemu nie? Dziwne, ale mimo że sprawy przybierały gorszy obrót, niż podejrzewał, był teraz w lepszym nastroju. Nie czuł się tak bezbronny. Przynajmniej wiedział, z czym musi się zmierzyć.

PIEC

Po raz pierwszy Sulien zapragnął, żeby upał zebrany w bezchmurnym niebie eksplodował deszczem. Zazwyczaj upały nie robiły na nim wrażenia i mógł chodzić po prażących się w słońcu ulicach, jakby urodził się na Saharze, a nie w wilgotnym Londynie. Gdyby nie susza, zastanawiałby się, czemu wszyscy proszą, żeby ta fala gorąca się skończyła. Jednak wybuchało coraz więcej pożarów; eksplodowała elektrownia, zapalając pobliskie budynki. Liczba ofiar pewnie bardziej by szokowała, gdyby nie byli to w większości niewolnicy. Żaden z pożarów nie wyglądał na podpalenie. Tylko z powodu ich ogromnej liczby ludzie szeptali o podpalaczach separatystach, nioniańskich agentach czy rewolucyjnej sekcji, która chciała zniszczyć Rzym dla samej zasady. Sulien miał wrażenie, że gorące powietrze niesie lekki swąd spalenizny niczym podczas oblężenia.

Musiąło go to bardziej męczyć, niż gotów był przyznać. Kilka nocy wcześniej odprowadzał Tancorix do domu, kiedy przysunęła się bliżej i wzięła go za rękę.

- To jak, będziesz walczył o mój honor?

- Trochę już na to za późno, prawda? - odpowiedział Sulien.

Musieli przestąpić z ręcznicami przez psie odchody leżące na środku wąskiej uliczki Transtiberiny.

- A czyja to wina? - Rzuciła mu spojrzenie, które z początku było zalotne, ale w którym zaraz pojawiło się zwątpienie, kiedy sobie przypomniała tamte wydarzenia. Przeszli przez małe forum przy świątyni Ceres. Mimo że noc powoli zbliżała się do końca, świątynia była oświetlona i pełna ludzi załatwiających interesy, niczym w samo południe. Grupka

afrykańskich muzyków grała na elektrycznych harfach i cytrach szaleńczą melodię, starając się zagłuszyć arabskiego flecistę, który się ulokował po drugiej stronie placu. Jakaś kobieta usiłowała sprzedać Tancorix jedną z pięciu oswojonych jaskółek, które przysiadły przytulone do siebie na wygiętej gałązce róży. Minęli cały ten tłum, odmawiając nagabującym ich sprzedawcom, i weszli z powrotem w półmrok bocznej uliczki.

- Ktoś za nami idzie - powiedziała nagle Tancorix.

Naturalnie, oboje założyli, że ktoś idzie za nią, gdyż w słabym świetle ulicznych lamp dostrzegli cień mężczyzny podążającego za nimi w odległości pięćdziesięciu kroków. Nie zdziwiło ich to ani nie zwrócili na to większej uwagi, jako że Tancorix śpiewała w zajazdach i tawernach. Prawdę mówiąc, Tancorix nie miała głosu, ale śpiewanie szło jej coraz lepiej dzięki wytrwałości i pewności siebie. Potrafiła jednak świetnie sprzedać swoją urodę i dobrze zarabiała. Sulien lubił przychodzić na jej występy. Kiedy była na scenie, a on trochę wypił, ich przyjaźń i jego radość na jej widok nie były aż tak obciążone wspomnieniami i poczuciem winy.

Rozstali się jak zawsze trochę sztywno - szybki pocałunek, czysto przyjacielski. Sulien poszedł dalej sam. Jego mieszkanie w podniszczonym i ładnym budynku, którego wyblakłe, niebieskie ściany wyrastały z napastliwej tęczy graffiti, znajdowało się na obrzeżach Transtiberiny, tuż pod stromymi, zielonymi stokami wzgórza Janiculum. Sulien skręcił kilka razy, podążając pnącymi się w górę uliczkami. Pomiedzy budynkami zwisała przepiękna w ciągu dnia zasłona z wijących się pnączy. Sulien przeszedł pod nią i znalazł się w zupełnej ciemności, rozświetlanej jedynie elektryczną poświatą nieba. Aż dziwne, jak często, jak niespodziewanie w Transtiberinie można było przejść z oświetlonych miejsc pełnych ludzi w

kompletną ciemność i pustkę.

Sulien poczuł, że ściska dłonią nadgarstek z niespodziewanym i nieznanym mu wcześniej uczuciem bezbronności. Był absolutnie pewien, że odkąd rozstał się z Tancorix, słyszał podążające za nim kroki. Mimo że nie widział nikogo, miał pewność, że jest obserwowany. Zamknął drzwi za sobą, czując ulgę.

Kiepsko spał tej nocy. Większość jego przyjaciół twierdziła, że w Rzymie można się wyspać tylko z zatyczkami w uszach. Zazwyczaj

Sulien nie zwracał uwagi na odgłosy nocnego życia Transtiberiny: niewyjaśnione uderzenia gdzieś na ulicy, dziwne krzyki, szczekanie psów. Tej nocy jednak odgłosy były bardziej natarczywe, a żar przenikał przez mokre prześcieradła. Rankiem zapomniał o nocnych lękach tak samo jak o snach, które go męczyły. Słoneczne światło zdawało się rozpraszać wszystkie ponure myśli.

Trzy dni później zobaczył mężczyznę wchodzącego do łaźni, z której sam właśnie wychodził. Zupełnie przeciętnego faceta i wcale niepodobnego do człowieka, który go śledził tamtej nocy - a jednak Sulien miał uczucie, że widział go już wcześniej, gdzieś pomiędzy kliniką i łaźnią. Nie miał pojęcia, skąd bierze się to uczucie, że coś jest nie w porządku.

W klinice Bupe, dziewczyna z fabryki broni, leżała na wąskim łóżku i patrzyła na niego ocalałym okiem. Pierwszego dnia krzyczała z bólu i przerażenia, ale teraz się uspokoiła. Żółty kolor zniknął z jej skóry i mimo że rana wyglądała okropnie, Sulien był pewien, że zdoła wyleczyć ciało, zapobiegając przekształcaniu się tkanek w splątane węzły. Dziewczyna wyjdzie z tego prawie bez blizn. Oczywiście oczodół pozostanie pusty. Nie mógł też nic poradzić na brak dłoni i kciuka.

- Więc mogę jeszcze być prostytutką-stwierdziła ponuro, kiedy przekazał jej wiadomość o twarzy. Krzątający się po oddziale Wariusz poczuł niemal ulgę, kiedy to usłyszał.

Podszedł do niej.

- Bupe, wybieramy się do Veii. Nie pozwolimy im tego więcej robić - powiedział do niej, ale zaraz skarcił się w myślach. Czemu sądził, że to ją podtrzyma na duchu? Nawet jeśli ich powstrzymają, to co jej z tego przyjdzie?

Bupe uniosła powiekę.

- Szkoda czasu - powiedziała obojętnie. Zwróciła się do Suliena, ponieważ sfrustrowany Wariusz wyszedł nagle. - Kiedy tam jedziecie?

- Dziś po południu.

Bupe spojrzała na niego i odchrząknęła z szyderczą miną.

- Szkoda zachodu na takie miejsca - rzekła.

Sulien nic nie odpowiedział, ale poczuł, jak wraca napięcie, w którym żył od kilku dni. Pomyślał o Unie, ponieważ Bupe trochę mu ją przypominała. Obie były prawie w tym samym wieku, ale łączyło je coś więcej - gorzka pewność siebie, która go niepokoiła.

Później Sulien nie dawał spokoju Wariuszowi.

- Musimy jej jakoś pomóc. Nigdzie nie jest powiedziane, że jej życie jest już przegrane. Prawda? Na pewno jest wiele rzeczy, które mogłaby robić. Fabryka powinna zapłacić jej odszkodowanie za wypadek. Powinni jej pomóc. Przynajmniej jest wolna, zgadza się?

Prawdą było tylko to, że nikt nie zechciałby jej jako niewolnicy i oficjalnie prawie nie istniała.

Wariusz jedynie mruknął coś i pokiwał głową. Nie potrafił sobie jakoś wyobrazić jej przyszłości nienaznaczonej

cierpieniem. W jego głowie odbywała się beznadziejna wymiana zdań: *To nie ma sensu, zawyrokował. Lepsze to niż nic, padła odpowiedź. Wcale nie. To kropla w morzu, więc możesz sobie równie dobrze darować.* Nie chciał powiedzieć tego Sulienowi. Nie chciał też, żeby inni tak myśleli.

- Mam nadzieję, że moja siostra nigdy nie musiała tak pracować - wyrwało się Sulienowi.

- Nie powiedziałaaby ci? - zapytał Wariusz, czując, jak ciekawość przewycięża jego zły nastrój.

- Nie wiem. - Sulien aż zgrzytnął zębami. - Pracowała w jakichś fabrykach. To, co mi mówiła... może nic więcej nie ma, a może jest. Choć myślę, że raczej powiedziała mi wszystko.

- Nie jest poraniona ani oszpecona. Jeśli już, to nie pracowała długo w takim miejscu - zauważył Wariusz.

- Mógłbyś powiedzieć Markowi, że zmieniłeś zdanie - zaproponował niebacznie Sulien.

Wariusz rzucił mu ostre spojrzenie i Sulien spodziewał się nagany.

- Ale nie zmieniłem.

W południe Sulien został poproszony do daldictora.

W słuchawce usłyszał stłumiony głos kobiety, trochę niewyraźny z powodu pośpiechu, w jakim starała się przekazać szeptem jak najwięcej informacji, tak żeby ktoś nie usłyszał.

- ...nie przestawał go kopać, ma dopiero jedenaście lat. Boję się, że umrze. Proszę przyjechać.

- W porządku, proszę się uspokoić. Czy ktoś mógłby go przywieźć?

- Ja nie mogę. - W tle słychać było niewyraźny krzyk i kobieta ze strachu aż stęknęła.

- W takim razie kogoś do pani przyślemy. Gdzie pani

mieszka?

- W Suburze, ale nie. Nie. Nie powinnam tego robić. Dowiedzą się. Nie pozwoli go zabrać.

- Kto? Właściciel? Damy sobie radę, proszę się nie obawiać. Możemy pani pomóc, ale teraz przekażę słuchawkę...

- Nie, muszę rozmawiać z panem. Nie. Powiedział, że on ukradł albo coś takiego, chyba oszalał. Boję się, że mnie zabije.

- Jeśli sytuacja jest tak poważna, to...

- Nie, nie, proszę. Jeśli tak zrobicie, to będzie jeszcze gorzej. Dam sobie radę. Później mu minie, wyjdzie i nawet pana nie zobaczy, ale błagam, niech pan przyjedzie. Zrobię wszystko. Rozmawiam z Sulie-nem, czy tak?

- Tak, to ja - odpowiedział Sulien, czując, że ogarnia go jakaś nieokreślona paranoja. - Czemu chciała pani rozmawiać właśnie ze mną?

- Słyszałam o panu, wszyscy o panu słyszeli. Wiem, że potrafi pan... pan naprawdę pomaga. Może go pan uratować. To mały chłopiec...

- Nie mogę teraz wyjść i...

- Błagam. Boję się, że umrze. Nie rusza się... błagam!

Sulien rozłączył się i westchnął. Czuł, że nie powinien tam iść, ale nie umiał wskazać żadnego konkretnego powodu. Pomimo nalegań kobiety mógł posłać kogoś innego po dziecko, ale kobieta miała rację, Sulien był inny, mógł więcej zrobić i szybciej. Pomyślał, że nie oponował, kiedy wezwano go na drugi koniec miasta do Faustusa. To przeważyło. Westchnął jeszcze raz i wyszedł z chłodu kliniki na skwar ulicy.

Jego trirota stała przed kliniką. Sulien skrzywił się, zapalając silnik. Metal aż parzył przy dotyku, mimo że maszyna stała w cieniu. Przejechał mostem Emiliana nad leniwie toczącymi się wodami Tybru, w złotej poświacie promieni sło-

necznych, i skierował się na zachód. Wjeżdżając w zacięzioną uliczkę, przypomniał sobie mężczyźnię na schodach łaźni i kroki, które słyszał, wracając po odprowadzeniu Tancorix. Zatrzymał się i rozejrzał wokoło, jakby nie był pewien, gdzie jechać (co częściowo było prawdą). Ulicą szli ludzie, ale nikogo nie rozpoznawał. Czuł nieprzyjemnie, że pot mu spływa po czole. Cień na ulicy był minimalny; dodawał widzianemu obrazowi niewyraźnej niebieskiej poświaty, ale nie miał żadnego wpływu na upał. Przy następnym zakręcie ulica jeszcze bardziej opustoszała, a odrapane, wysokie bloki stały bliżej siebie, jakby chciały ją rozgnieść. Z każdym krokiem, jakby celowo, odciągano go coraz bardziej od gwarnych ulic.

Przyszło mu do głowy, że jeśli ktoś w tej okolicy miał niewolnika -nawet dwoje niewolników - to aż dziwne, że tak łatwo mógł sobie pozwolić na pozbycie się go.

Głupio zrobił, że zgodził się przyjechać. W klinice powiedział, że je-dzie do Subury, ale powinien był zostawić dokładny adres. Nikt nawet by nie wiedział, gdzie go szukać. Co on sobie myślał? Tyle że teraz nie mógł się wycofać.

Następna ulica była tak wąska, że niemal zupełnie ciemna, pomimo rozpalonego paska agresywnego błękitu, który muskał dachy domów. Elewacje obłaziły z tynku, okna zabito deskami, a na ścianach nie było nawet graffiti. Podarty plakat zachęcający do wzięcia udziału w wyborach sprzed dwóch lat oraz młoda kobieta stojąca na środku ulicy stanowiły jedyne oznaki życia, jakby nie była to ulica, ale dziura w ziemi pozostawiona przez powódź czy trzęsienie ziemi.

Zanim kobieta otworzyła usta, Sulien poznał po wyrazie niecierpliwego lęku, że to ona go wezwwała przez daldictor. Także i kobieta chyba go rozpoznała, zwłaszcza że Sulien był jedyną osobą na ulicy. Kobieta wyglądała na niewolnicę: po-

targane, czarne włosy spięta z tyłu głowy, nijaka sukienka odsłaniała jej ramiona, wąskie, spierzchnięte usta otaczały przedwczesne zmarszczki. Myślał, że będzie starsza. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata. W czasie rozmowy Sulien założył, że musi być matką zranionego chłopca. Nie było to wykluczone, ale patrząc na nią, doszedł do wniosku, że mało prawdopodobne. Kobieta zawołała go po imieniu i ledwie dając mu czas na oparcie triroty o ścianę, podbiegła, złapała go za nadgarstek i zaczęła ciągnąć w stronę otwartych drzwi zrujnowanego budynku.

- Błagam, szybko. To znaczy, dziękuję, że pan przyjechał, ale niech się pan pospieszy.

W środku panowała cisza. Była winda, ale kobieta ją minęła i zaczęła wbiegać po schodach, nie puszczejąc ręki Suliena. Przez kilka ocalałych okien, brudnych i popękanych, wpadało odrobinę światła z ulicy. Lamy na klatce nie były pozapalane. To jakiś żart, pomyślał z niechęcią Sulien. Miał ochotę ochrzanić samego siebie. Nikt tu nie mieszka. Na pewno nikt, kogo stać na parę niewolników. Czemu zgadza się uczestniczyć w tej farsie? Bo chociaż szansa na znalezienie jakiegoś rannego chłopca malała z każdą chwilą, to jednak wciąż istniała, odpowiedział sobie. Dopóki nie zniknie zupełnie, będzie w to brnął. Poczucie, że coś jest nie w porządku, musi zostać potwierdzone, bez względu na konsekwencje.

Jednak dom nie był zupełnie opustoszały. Kiedy Sulien zastanawiał się, co on tu robi, z jednego z mieszkań na piętrze wyszedł potężnie zbudowany, dwudziestokilkuletni mężczyzna. Nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi i szedł na dół.

- Gdzie jest twój pan? - zapytał Sulien, starając się nadać swojemu głosowi normalne brzmienie.

- Wszedł. Poszedł coś sprzedać. Wszystko będzie w

porządku. Nie wróci wcześniej niż za godzinę. Tyle wystarczy, prawda?

Na ósmym piętrze wyraźnie już zadyszana kobieta wprowadziła go do małego mieszkania na końcu korytarza. Stare i poniszczone meble wyglądały na przypadkową zbieraninę. Na dodatek nie widział żadnych książek, ubrań, rzeczy osobistych. Były jednak oznaki walki, o której wspominała; resztki białej misy czy talerza zmieciono w kupkę, lecz nie sprzątnięto. Na podłodze leżało wywrócone krzesło. Kobieta podbiegła i szybko je postawiła. Otworzyła kolejne drzwi, za którymi znajdowały się strome schody prowadzące najpewniej na strych. Sulien dostrzegł sufit i kawałek ściany małego pokoiku. W połowie schodów zobaczył materac i jakiś kształt leżący nieruchomo pod kocem. W pierwszej sekundzie pomyślał, że może dziecko nie żyje, ale chwilę później zorientował się, że to nie jest ludzkie ciało. Mógł to być zwinięty koc lub może jakaś kukła dla niepoznaki przebrana w ubranie, żeby dłużej go zwodzić. Zanim się zbliżył do materaca, był pewien, że leży na nim coś sztucznego, a nie człowiek. Pokój nie miał okien. Sulien zdał sobie sprawę, że gdyby zamknięto za nim drzwi, nie zdołałby uciec. Przez ułamek sekundy poczuł ulgę, że jego podejrzenia okazały się słuszne.

Naszła go bezsensowna ochota, żeby powiedzieć kobiecie, co jest nie w porządku i czemu musi wyjść, jakby ona wierzyła, że tam rzeczywiście leży dziecko. Jednak schodził już, krok po kroku, wpadając na kobietę i odpychając ją. Obrócił się. Kobieta krzyknęła wystraszona, ale gdy usiłował ją wyminać, przestała grać i spróbowała go złapać.

- Stój ! - krzyknęła.

Nie słuchał jej, tylko rzucił się w stronę obskurnego korytarza, słysząc w umyśle głos, który wręcz wrzeszczał: „A nie

mówiłem, oczywiście, że nikt tu nie mieszka, że te meble to tylko przypadkowa dekoracja, którą musieli zebrać gdzieś na śmietniku”.

Kobieta ponownie zawołała: „Stój!”. Sulien wyczuł, że nie ściga go i została w pokoju. Musiała być przekonana, że daleko nie ucieknie. W budynku pewnie znajdowali się inni ludzie.

Drzwi na szczęście nie były zamknięte na klucz. Sulien wypadł na klatkę schodową i usłyszał, że kobieta ponownie krzyknęła. Tym razem nie do niego. Przeskakując po kilka stopni, zbiegł jedno, dwa piętra. Zakręcając na półpiętrze, spojrzał w dół; schody były zbyt kręte, żeby mógł zorientować się, kto jest na dole, ale dostrzegł poruszający się cień dwa, trzy piętra niżej. Jakaś ręka złapała się poręczy, szybko przesunęła się w górę.

Sulien zatrzymał się na chwilę niezdecydowany. W jakiś niesamowity sposób budynek znieruchomiał i Sulien zobaczył zieloną lamperię na ścianach oraz sparciały chodnik pod stopami. Miał czas zadać sobie pytanie: Co się dzieje? Wbiegł w boczny korytarz i rzucił się do najbliższych drzwi. Wciąż był wysoko, ale może udałoby mu się jakoś zejść na dół albo zawołać o pomoc. Drzwi jednak były zamknięte. Sulien podbiegł do drugich drzwi, spróbował wyważyć je kopniakiem, potem następnymi. Żadne się nie otworzyły. Nie pozostało mu nic innego, jak wrócić do schodów w nadziei, że ma jeszcze czas zbiec piętro niżej i spróbować tam dostać się do jakiegoś mieszkania. Udało mu się pokonać pół piętra, kiedy zobaczył biegnących mężczyzn. Było ich dwóch: jeden potężny, który go minął na dole, i drugi, młodszy, mniej więcej w wieku kobiety. Młodszy napastnik trzymał w ręku pistolet wycelowany w pierś Suliena. Czas się cofnął: Sulien usłyszał huk wystrzałów

w sypialni sanatorium sprzed trzech lat, jakby ktoś otworzył dźwiękoszczelne drzwi do przeszłości. Wtedy przynajmniej wiedział, dlaczego otworzono do nich ogień.

Stał nieruchomo na schodach, całkowicie oszołomiony.

- Rób, co ci mówimy - rozkazała kobieta, pojawiając się na piętrze.

- W porządku - powiedział zgodnie Sulien. Zaczął wchodzić na górę. - Jasne.

Przez chwilę cała czwórka poruszała się w zwartej formacji, idąc powoli na górę. Sulien musiał robić, co mu każą; poczuł, że jego oddech wraca do normy, a on sam powoli się uspokaja. Mógł także myśleć jaśniej.

- O co chodzi? - spytał uprzejmie. Nie zdziwił się, kiedy kobieta mu nie odpowiedziała.

No dobrze, pomyślał. Może nie jest tak źle. Czy porwali go dla okupu? Czuł, że ma to jakiś związek z faktem, że przyjaźni się z Markiem. Jeśli ma rację, to nie powinno mu się stać nic złego. Jeśli to są niewolnicy lub byli niewolnicy, to może się z nimi dogadać. Nie chcieliby go skrzywdzić, tego był pewien. Mogli jednak nie być niewolnikami. Dobrze wiedzieli, co powiedzieć, żeby go tu ściągnąć. Niewykluczone, że ten nędzny wygląd to tylko przebranie. Nagle przyszło mu do głowy, że wcale nie musi chodzić o pieniądze. Może chcą, żeby Marek coś zrobił, na przykład w sprawie wojny z Nionią. Coś, na co Marek inaczej by się nie zgodził.

Mężczyzna z bronią ruszył w jego stronę, jakby chciał go przytrzymać i przystawić mu pistolet do głowy czy pleców. W tej samej chwili Sulien rzucił się w bok i przeskoczył przez barierkę, ale tak by wylądować na korytarzu piętro niżej.

Ktoś krzyknął i jednocześnie padł strzał.

Sulien upadł, czując wstrząs w piętach, kolanach, pod-

stawie kręgosłupa, nawet w żebrach. Stoczył się ostatnie kilka stopni. Wstał i ruszył chwiejnym krokiem w dół. Cały skok trwał sekundę i Sulien był w szoku, że się odważył. Odniósł wrażenie, zresztą nie pierwszy raz, że ciało podjęło decyzję za niego. Gdyby się nad tym zastanowił, nigdy by się nie zdobył na tak szalony krok. Przecież świadomie rozważał, jak ma się do nich zwracać, jak wzbudzić w nich sympatię. Jednak ucieczka okazała się dobrym wyjściem.

Nogi miał całe. Jego przewaga wynosiła tylko półtora pietra, a prześladowcy nie byli tak obolali jak on i mogli biec szybciej. Nie oglądał się za siebie, ale słyszał, jak skaczą ze stopnia na stopień. Zacisnął zęby i przyspieszył kroku, ale im bliżej był parteru, tym szybciej powtarzał sobie w myślach: drzwi wyjściowe są zamknięte, drzwi wyjściowe są zamknięte, jakby bał się zapomnieć. Bez wątpienia potężnie zbudowany mężczyzna, którego minął na schodach, zszedł na dół, żeby je zamknąć.

Prześliznął się pędem przez cały korytarz i łapiąc równowagę, schwycił się poręczy, przeskoczył przez balustradę piętro niżej. Tym razem lepiej mu to wyszło, choć przy lądowaniu poczuł ból w stawach. Chwilę później usłyszał odgłos upadku, gdy jeden ze ścigających spróbował go naśladować.

Pierwsze piętro. Zamiast skręcać w stronę schodów, Sulien wbiegł w korytarz prowadzący do mieszkań. Tutaj było ciemniej. Z pewnością ścigający go zorientują się, gdzie uciekł, ale obejrzał się i nie dostrzegł nikogo. Rzucił się na pierwsze z brzegu drzwi i kiedy nawet nie drgnęły pod naciskiem jego ramienia, poczuł nie złość czy frustrację, ale zwykłe rozczarowanie. Usłyszał, że prześladowcy dotarli do jego pietra. Kuląc się, puścił się biegiem do sąsiednich drzwi i popchnął je. Tym razem zdarzył się cud i drzwi się otworzyły.

Zamknął je za sobą i ruszył przez mieszkanie, kiedy niespodziewanie poczuł, jak wszystko podchodzi mu do gardła. Z nieokreślonej, gnijącej mazi, która pokryła podłogę i połamane sprzęty, unosił się okropny fetor. Jego wejście wywołało fale na dywanie utworzonym z owadów. Spod nóg pierzchno mu kilka myszy. Zachwiał się. Z korytarza dobiegły odgłosy uderzeń w drzwi po obu stronach mieszkania, w którym się znajdował. Sulien ruszył nie prosto w stronę okna, ale do małej sypialni z boku. Liczył, że w drzwiach będzie zamek, ale nic takiego nie znalazł. Smród tutaj był równie mocny, ale bardziej stęchły i kwaśny. Odsunął pokrytą pajęczynami i ciężką od kurzu zasłonę i spróbował otworzyć okno, nie wiedząc nawet, co za nim znajdzie. Zamek musiał zardzewieć od długiego nieużywania i klamka nie chciała się przekręcić. Z frustracją pomyślał, że dałby radę go otworzyć, gdyby miał choć dziesięć sekund. Niechętnie - ponieważ hałas zdradzi jego pozycję - złapał mały trójnożny stolik i cisnął nim w szybę. Przesunął się pomiędzy ostrymi zębami szkła wystającymi z framugi, czując, że nie uniknie skaleczeń i z góry denerwując się na tę myśl. Wysunął nogę na zewnątrz i, jak przewidywał, poczuł przenikliwy ból w palcach, a na parapet pociekła krew.

Usłyszał, że prześladowcy wbiegają do mieszkania.

Jego ciało wzdrygało się przed skokiem, ale nie miał innego wyjścia. W zasięgu wzroku nie było nic, po czym mógłby się zsunąć. Trudno mu było w pośpiechu znaleźć dobry uchwyt wilgotnymi od krwi palcami. Jego stopy bezskutecznie szukały oparcia na murze, toteż w końcu puścił się i spadł na beton, przetaczając się po nim z jękiem. Usłyszał, że prześladowcy wpadli do zatechłej sypialni. Wstał, kulejąc, i dostrzegł na ziemi stolik, którym wybił okno. Zobaczył, że blat jest złamany i zdziwiło go to tak samo jak czyste niebo i upał, które

nic się nie zmieniły.

Znajdował się na betonowym podwórku. W kącie stał kontener na śmieci, obok wznosił się kolejny budynek mieszkalny. Czy byli tu jacyś ludzie? Nie mógł przebiec przez dziedziniec, bo byłby łatwym celem. Zamiast tego prześliznął się szybko wzdłuż ściany. Dostrzegł bramę. Jeśli była zamknięta, to już po nim. Jednak okolica wyglądała na tak zapuszczoną, że miał nadzieję, iż nikt nie troszczył się o zamykanie bramy. Drgnął, słysząc głos kobiety, która zawołała go po imieniu.

- Sulien, ostrzegam cię! Nie ruszaj się!

Padł strzał i pocisk trafił w mur gdzieś za nim.

Nie miał pojęcia, co zrobili ścigający go ludzie. Może jeden z mężczyzn wyskoczył za nim. Brama wychodziła na opustoszałą uliczkę. Wiedział, że za rogiem znajdują się sklepy i ludzie. Był pewien, że zdoła bezpiecznie tam dotrzeć.

*

Kiedy wigilowie odwieźli Suliena do kliniki, okazało się, że nie było go dwie godziny. Aulus, jeden z jego przyjaciół, zobaczył go na schodach i zapytał z wyrzutem:

- Gdzie się podziewałeś? Obiad tyle czasu jadłeś?

Sulien chciał mu wyjaśnić, ale Aulus już odchodził w pośpiechu, mówiąc przez ramię, nie bez złośliwości:

- No, jeśli już jesteś, to może byś coś pomógł.

- Za chwilę - mruknął dotknięty Sulien.

Udał się do sali operacyjnej i zaczął się myć. Stłuczenia nie dokuczały mu już tak bardzo. Mimo że trudno było mu się skoncentrować, czekając na posterunku wigilów, zamknął oczy i spróbował znieczulić rozsiane po całym ciele ośrodki bólu. W zasadzie nie odniósł żadnych poważnych obrażeń, było mu jednak niedobrze i czuł przebiegające po ciele dresz-

cze, choć nie trząsał się już tak bardzo. Jego ubranie było powycierane, a we włosach miał pełno kurzu, który starał się teraz wycesać. Umył twarz i dla pewności oczyścił skaleczenia na rękach.

Do sali wszedł Wariusz i od progu zaczął gniewnym tonem:

- Sulien, nie było cię dwie godziny! Co się, do diabła...? - Zamilkł na widok twarzy Suliena. - Wszystko w porządku? - spytał cicho.

Sulien skinął głową.

- Co się stało?

Sulien wziął głęboki oddech.

- Sam nie wiem. Jacyś ludzie próbowali... - Porwać go? Zabić? O co właściwie im chodziło? Znowu przeszły go dreszcze. Opowiedział Wariuszowi o wszystkim: telefonie od kobiety, o tym, jak czuł, że coś jest nie w porządku, ale i tak tam pojechał, o tym, że do niego strzelano. - Wariusz, który usiadł, żeby go wysłuchać, aż stęknął ze zdziwienia. - To niesamowite. Myślałem, że najlepiej będzie robić to, co mi każą, ale zamiast tego przeskoczyłem przez barierkę. Dziwne, prawda?

Wariusz pokręcił głową.

- Sulien, dlaczego?

Sulien powiedział mu, co podejrzewał.

- Jeśli o to chodzi, to też powinieneś uważać - dodał. - Jesteśmy najłatwiejszymi celami. Powiedziałaś o tym wigilom?

- Tak, choć nie wiem, czy to wiele da.

Wariusz uśmiechnął się. Żaden z nich nie potrafił zaufać wigilom pomimo bezlitosnych czystek, jakie przez kilka miesięcy odbywały się w ich szeregach po aresztowaniu Tullioli.

- Musisz powiedzieć o tym Markowi.

- Och... - mruknął Sulien, zmęczony wypytywaniem. -

Później. Opowiem mu, ale później.

- Nie powinieneś był wracać do kliniki. Mogłeś zadzwonić z posterunku. Ta kobieta naprawdę poprosiła konkretnie o ciebie? Wiedziała, kim jesteś?

Sulien skinął głową.

- W takim razie nie powinieneś wracać do domu.

- Nie, chyba raczej nie... nawet nie zamierzałem.

- Jeśli chcesz, to pojedź do mnie - zaproponował Wariusz, przewyciężając wrodzoną niechęć do zapraszania kogokolwiek. - Z drugiej strony, jeśli szukają przyjaciół Marka, nie wiem, czy to najlepszy pomysł.

- Nie, masz rację, to nie najlepszy pomysł. Nie przejmuj się, mam mnóstwo miejsc, gdzie mogę przenocować. Może u Tancorix. Później się tym zajmę. Na razie jestem tutaj.

Wariusz zmarszczył brwi.

- To bez sensu, zajmujesz tylko miejsce. Pojedź gdzieś, gdzie będziesz mógł się napić albo położyć. Nie musisz niczego udowadniać.

- Nie o to mi chodziło - wymamrotał Sulien, uśmiechając się niewyraźnie. - Mam swoje powody. Wszyscy są w pracy, a ja nie chcę na razie być sam.

- Chyba nie sądzisz, że spróbują jeszcze raz?

Sulien zawahał się.

- Obawiam się, że tak - przyznał niechętnie. Jakby mógł uporać się z problemem, zmieniając temat, dodał: - Słuchaj, miałem z tobą jechać do Veii. Chcę jechać. Dam sobie radę. Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli ty będziesz mówił, a ja będę siedział z głupią miną, co?

- Nie - zgodził się Wariusz. - Oczywiście, że nie.

*

Usłyszeli odgłosy fabryki, zanim ją jeszcze zobaczyli. Był to stłumiony łoskot, który w miarę zbliżania się do zakładów zbrojeniowych coraz to bardziej zaniedbanymi ulicami przekształcał się w głuche walenie, które bardziej przypominało dźwięk gigantycznego, bojowego bębna niż bicie serca. Kiedy podjechali pod bramę, usłyszeli łoskot wielu młotów, a od nieustannego warkotu drżała ściana. Niewolnicy pracowali na zmiany. Praca nigdy nie ustawała. Wąskie, drewniane baraki robotników stały rzędami po przeciwnej stronie placu.

Sama fabryka była wyszczerbioną masą brązowych cegieł. Długi, wysoki budynek w samym jej sercu wydawał się niestosownie elegancki na swój surowy sposób. Kompleks budynków był otoczony wysokim ogrodzeniem. Kiedy przejechali przez bramę, mieli uczucie, że zmieniło się wokół nich także powietrze, stało się bardziej ostre i duszące. Nagle minął Wariusza i Suliena szereg wychudzonych kobiet, z żółtymi plamami na całym ciele. Kobiety nie zwracały na nich uwagi.

W powietrzu wisiała mgiełka gorącego powietrza o metalicznym zapachu krwi. Wariusz wysiadł z samochodu. Ziemia wszędzie była pocięta ostrymi, wąskimi torami tramwajowymi niczym szwami, które łączyły ostrożnie rozmieszczone na obrzeżach budynki, gdzie składowano materiały wybuchowe, z wielkimi jaskiniami hangarów, skąd dochodził ponury łoskot.

Brama zamknęła się za nimi i Wariusz poczuł, że ogrodzenie zaciska się wokół niego, jakby chciało go dotknąć. Jadąc do fabryki, z góry wiedział, że tak będzie. Spróbował patrzeć przez siatkę, a nie na nią; zredukować metal do szarej mgiełki wiszącej nad ulicą. Potrafił to kontrolować, ale nie mógł do końca pozbyć się wrażenia, że jest zamknięty.

Sulien wyraźnie pobladł. Drgnął, gdy głośny huk

przedarł się przez dźwięki dochodzące z poligonu doświadczalnego na drugim końcu fabryki. Wariusz uświadomił sobie, że nie powinien być go ze sobą zabierać.

Pomiędzy wjazdem na teren zakładów zbrojeniowych a rozległymi halami montażowymi stał elegancki budynek, trzy- czy czteropiętrowy, wyłożony z zewnątrz bladym marmurem. Budynek zupełnie tu nie pasował, sprawiając wrażenie fatamorgany, rozmazanej w zakurzonej powietrzu, zupełnie bezcielesnej w promieniach słonecznych. Na frontonie znajdowały się posągi odlane ze stali. W samym środku stał Wulkan z młotem wzniesionym tak, że błyszczał w rogu trójkąta tworzącego obramowanie. Posąg miał potężny tors, napięte mięśnie ramion wydawały się zbyt rozbudowane w stosunku do nóg, ale nie wyglądało, żeby mu to przeszkadzało. Wykuwał zbroję Achillesa. Wokół niego zebrali się cyklopi, każdy zajęty swoją pracą, posłuszni i skupieni. Sulien przyjrzał się posągom, które w niezbyt przyjemny sposób przywodziły mu na myśl jednooką Bupe.

Z budynku wyszła im na powitanie młoda kobieta, ubrana w elegancki, jednobarwny strój. Najwyraźniej nie była niewolnicą. Na jej twarzy malował się sztuczny uśmiech zdradzający napięcie.

- Jesteście z Transtiberiny? Zapraszam.

- Chwileczkę - powiedział Wariusz. - Zapewniacie nam sporo roboty. Chcę zobaczyć w jaki sposób. - Odwrócił się i skierował do hal, gdzie napełniano łuski prochem.

Zaskoczona i rozgniewana kobieta ruszyła za nim.

- Co to ma znaczyć? To niebezpieczne, tak sobie... Proszę pana! Nie bierzemy żadnej odpowiedzialności, jeśli coś się panu stanie! Słyszysz pan?

Mimo że Wariusz celowo ją ignorował, nie mógł jej sły-

szeć, kiedy dotarł do wejścia do hali. Wszedł do środka i Sulien podążył za nim, choć niechętnie. Automatyczne młoty były ustawione wzdłuż ogromnej ściany, pracując pod podobnymi do kominów ciągami wentylacyjnymi, które przybierały na dole kształt dzwonowatych kołpaków. Przypominało to uliczkę ceglanych lepianek. Metaliczny zapach, który poczuli po wjechaniu na teren fabryki, w środku jeszcze przybrał na sile. Z każdym oddechem do płuc wpadały opiłki, które unosiły się w powietrzu. Wszędzie zalegał miazg, szary pył, mieszał się z kurzem, tworząc na podłodze ciemną powłokę, która czasami poruszała się, jakby biegały po niej szczury.

W tym brudzie i upale pracowały całe zastępy niewolników. Jedni podkładali rozgrzane metalowe pręty pod młoty, które poruszały się w górę i w dół dzięki jakiemś mechanizmowi z pionowymi drążkami i wirującymi skórzanymi pasami. Na długich ławach łuski napełniano materiałem wybuchowym. Mimo że Sulien i Wariusz byli tu obcy, niewolnicy co najwyżej obrzucali ich pobieżnym spojrzeniem. Gotowe pociski leżały w stertach na niskich wózkach, obok ław, niczym zwykłe wazy. Szybko okazało się, że w środku nie da się myśleć; potężne młoty zdawały się rozbijać samą jaźń w prochu. Chociaż wokół aż roiło się od niebezpiecznych narzędzi, część mózgu Wariusza odpowiedzialna za produkowanie możliwych scenariuszy śmierci umilkła, jakby przeciążona. Byli w hali tylko kilka minut, aż rozżłoszczona kobieta wyprowadziła ich na zewnątrz i poprowadziła do biurowca zarządu z fryzem przedstawiającym Wulkana. Wspinali się po piętrach, na których urzędnicy zajęci byli prowadzeniem ksiąg podatkowych i ewidencji zakupów, aż dotarli do gabinetu. Kobieta wpuściła ich przodem, a sama zajęła miejsce za biurkiem. Z jej twarzy powoli zniknął wyraz napięcia i wrogości.

Gabinet był urządzony ze smakiem i wygodny, choć okna pokrywała warstwa kurzu, a przez podłogę i ściany przenikało nieustanne walenie. Najwidoczniej wszyscy nauczyli się żyć z hałasem, czy to niewolnik czy zarządzający.

Prokulus, dyrektor wykonawczy, usiadł naprzeciw nich i skinął kilka razy głową z niechętnym uśmiechem. Wciąż kiwając głową, odezwał się:

- No dobrze. - Westchnął i wyprostował się w fotelu. - Może zdradzicie, jaki jest cel waszej wizyty?

Sulien zamierzał tylko siedzieć i nie włączać się do dyskusji. Wciąż czuł się roztrzęsiony po ostatnich wypadkach. Był jednak także rozzłoszczony i zaczął mówić.

- A jak myślicie? Chcecie powiedzieć, że nie wiecie, na co musimy patrzeć? Niemal każdego dnia? Nie wiecie, w jakim stanie są ludzie, których wyrzucacie na śmietnik? Szkoda, że nie zabrałem zdjęć.

Prokulus skrzywił się, nie ze wstydu, ale z irytacji. Kiedy się odezwał, w jego głosie słychać było ledwie tłumione zniecierpliwienie.

- Tak, poznaję pana. Był pan niewolnikiem. To dlatego widzi pan sprawy w niewłaściwym świetle.

Sulien zamrugnął oniemiały.

- Oczywiście, chodzi także o zyski - kontynuował Prokulus. - Jednak bez względu na to, co pan myśli, nie tylko to mamy na względzie. Nie produkujemy tu garnków. Wszyscy wiemy, w jak niebezpiecznych czasach żyjemy. To, co tu robimy, jest niezbędne do obrony Rzymu, a spory związane z obronnością nie mogą nigdy zejść na plan drugi.

- Jesteśmy tu, żeby wam pomóc - powiedział spokojnie Wariusz. Sulien i Prokulus spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- W jaki sposób? - spytał ostrożnie Prokulus. Wariusz

nachylił się z przyjacielskim uśmiechem.

- Możemy wam pomóc dłużej utrzymać przy życiu niewolników. Jestem przekonany, że znajdziemy sposób zaoszczędzenia wam znaczącej części wydatków, jakie przeznaczacie na zakup i wyszkolenie niewolników.

- Nie wątpię, że to się może sprawdzać w innych dziedzinach przemysłu, jednak u nas prawda jest taka, że jak któremuś coś się już stanie, to jest dla nas nieprzydatny.

- Więc nic do nich nie czujecie? - Sulien pokręcił głową. - Żadnego współczucia? Kończą cali poparzeni, oślepieni albo martwi. Nie możecie po prostu... - Zaczynał żałować, że tu przyjechał. Miał wrażenie, że w zrujnowanym mieszkaniu przesiał agresją, która teraz groziła rozlaniem pod najmniejszym dotykaniem. Zaczął stukać nogą, żeby rozproszyć część tej złej energii.

- Już wyjaśniałem - rzekł znużonym tonem Prokulus.

- Jak możecie patrzeć na to spokojnie? Z każdym dniem sytuacja robi się coraz gorsza!

- Rzeczywiście jest coraz gorzej - poparł go Wariusz. Nie przejmował się irytacją Suliena. Prokulus zapewne i tak tego się po nich spodziewał. Musiał czuć ulgę, że przynajmniej Wariusz mówi spokojnie.

- No cóż - powiedział Prokulus. - Musieliśmy zwiększyć produkcję.

- Dlaczego? - zainteresował się Wariusz.

Prokulus rzucił mu zdumione i jednocześnie rozbawione spojrzenie.

- Chyba wszyscy wiemy dlaczego. Nionia. To tylko kwestia czasu. Dostaliśmy instrukcje od wojska.

Wariusz milczał przez chwilę. Spojrzał na Suliena.

- Salwiusz. - Wariusz musi powiadomić o tym Marka,

choć wcale nie miał na to ochoty. W nieprzyjemny sposób przypominało mu to o propozycji regenta.

- Jeśli wybuchnie wojna, to kwestia marnotrawstwa zasobów stanie się jeszcze istotniejsza - kontynuował spokojnie Wariusz. - Ilu ludzi tu pracuje?

- Jakiś tysiąc, mniej więcej.

- Wcale nie tak wielu - zauważył Wariusz. - Ma pan rację, przy obecnym stanie rzeczy większość niewolników, których się pozbywacie, jest... bezużyteczna. Możecie jednak podjąć pewne środki. Można by zamontować lepsze tarcze ochronne na tych maszynach. Możecie zadbać o ich zdrowie. Ci, których widzieliśmy, byli tak otępieni, że nic dziwnego, że przydarzają im się wypadki. Wtedy mielibyśmy większe szanse zwracać wam robotników zdolnych do pracy. Poza tym wojna może nie wybuchnąć...

- Wszystkie znaki wskazują, że jednak wybuchnie.

- Pewnie ma pan rację, ale wystarczy, że wojna odsunie się w czasie i nie będzie świeżych dostaw jeńców na rynku, a ceny niewolników skoczą. Tak czy inaczej musicie podjąć kroki, żeby lepiej wykorzystać tych, których macie.

Prokulus patrzył nieruchomym wzrokiem, zastanawiając się. Nic nie odpowiedział.

- Powinniście zainwestować u nas część pieniędzy, które przeznaczacie na zakup niewolników - zaproponował Wariusz.

- Więc chodzi wam o pieniądze? - Tak jak Wariusz przewidywał, Prokulus przybrał pogardliwą minę, choć jednocześnie poczuł ulgę.

- Oczywiście, że chodzi o pieniądze - powiedział Wariusz i posłał mu szczery uśmiech. Dla Suliena, który przyglądał się ich rozmowie z obrzydzeniem, uśmiech ten wydał się nie na

miejscu. Jednak ku jego zdumieniu Prokulus zachichotał zgodnie. - Musimy jakoś utrzymać klinikę - wyjaśnił przyjaznym tonem Wariusz. - No i wszyscy potrzebujemy pieniędzy na życie.

- Racja, wszyscy potrzebujemy pieniędzy na życie - rzekł Prokulus i znowu zachichotał.

- Ale, jak już powiedziałem, na dłuższą metę zaoszczędzicie w ten sposób. Tak więc jest to w waszym interesie. Także z innego punktu widzenia.

- Tak? Z jakiego?

Wariusz uśmiechnął się ponownie, choć nie tak wylewnie.

- Nasz nowy regent bardzo jest przejęty tutejszą sytuacją. Wiemy to jako jego przyjaciele.

Zapadła cisza. Prokulus siedział nieruchomo, a z jego twarzy powoli znikał uśmiech.

- Mogę tylko obiecać, że poruszę tę sprawę z moimi przełożonymi - oświadczył w końcu.

- Miło mi to usłyszeć - odparł Wariusz. - A co im pan zarekomenduje?

Na twarzy Prokulusa pojawiła się dodatkowa zmarszczka.

- Żebyśmy, eee... poczynili zmiany. Nie obiecuję niczego w kwestii pieniędzy.

- Dobrze. Są jednak usprawnienia, które sami możecie wprowadzić.

- Tak. Tak. Pomyślimy, co można zmienić.

Wariusz wyciągnął rękę i Prokulus uścisnął ją z miną pokonanego.

- Pójdziemy teraz obejrzeć kwatery niewolników - powiedział Wariusz.

- Czy to naprawdę...? - zaczął wystraszony Prokulus.

- Pomoże nam to zaproponować usprawnienia - odparł Wariusz, puszczając jego dłoń. - Miło się z panem rozmawiało.

Na zewnątrz przeraźliwy hałas już maszerował na ich spotkanie. Przez kilka następnych minut nie odzywali się do siebie. Wariusz czuł, że Sulien nie spojrział na niego, odkąd opuścili biuro Prokulusa.

- Chyba nie spodziewałeś się, że padnie na kolana i będzie błagał o przebaczenie? - powiedział w końcu zniecierpliwionym tonem Wariusz.

- Masz rację - mruknął Sulien.

- Nie mam pojęcia, czy abolicja jest tuż za rogiem, czy nie, ale może kilku więcej zdoła jej dożyć. Lepsze to niż nic.

- Masz rację - powtórzył Sulien.

Wariusz ruszył szybszym krokiem, zostawiając Suliena z tyłu. Powiedział to, co zamierzał. Wstręt, jaki budziły w nim te słowa i on sam, w perwersyjny sposób zdawał się dodawać mu otuchy. Wszystko poszło po jego myśli, a nawet lepiej. Było kilka momentów w czasie rozmowy, kiedy wydawało mu się, że słyszał już wcześniej argument podobny do własnego. Ta przyjacielska szorstkość nie była w jego stylu. Zupełnie jakby ktoś szeptał mu na ucho: zrób to w ten sposób, tu ustaw barierę, a zobaczysz, że zadziała. Gdzie się tego nauczył? Kogo naśladował?

Gabiniusza, odpowiedział sobie i kopnął ziemię. Zatrzymał się sparaliżowany na chwilę wściekłością i odrazą. Zabiję cię! - obiecał w myślach martwemu Gabiniuszowi. Ruszył dalej w stronę baraków, starając się pohamować wściekłość. Nie tę starą, na samego siebie, że nie dostrzegł w porę, co się święci, i nie zapobiegł otruciu Gemelli, ale złość, że nie da się temu teraz zapobiec, że nie można jej zmusić do po-

wrotu do życia.

Sulien nie starał się go dogonić. Czuł się zmęczony, a próba umniejszenia wagi tego, co Wariusz powiedział Prokulusowi, jeszcze bardziej go znużyła. Za barakami siatka zwieńczona drutem kolczastym przechodziła w płaski mur ceglany, który wznosił się dziesięć stóp nad dachy domków. Z muru wyrastały okrutne ostrza, zakrzywione do wewnątrz niczym pazury dzikiego kota. Pod tymi szpikulcami długa szopa, pozbawiona okien, jeśli nie liczyć kilku świetlików, została podzielona na trzy sekcje. Wszystkie były połączone wspólnymi drzwiami, choć każda z nich miała własny niski, spadzisty dach. Idący z przodu Wariusz otworzył drzwi do dalej położonej sekcji, zostawiając pierwszą z brzegu Sulienowi. Sulien delikatnie popchnął drzwi, nie chcąc zakłócić czyjś snu, jakby można było spać w panującym tu hałasie. Jednak barak był opustoszały. Na rzędach śmierzących pryczy nikt nie leżał. Wąskie łóżka piętrowe były rozmieszczone wzdłuż ścian tak samo równomiernie jak młoty w fabryce, tyle że dużo gęściej. Zostawiono niecałą stopę wolnego miejsca pomiędzy nimi. Na cienkich, wytłuszczonych materacach widać było nieostre, żółtawe zarysy ciał, tak jak gdyby na pryczę kładł się zawsze ktoś następny, gdy tylko zwolniło się miejsce. Nawet z daleka mógł dostrzec żywą, czerwoną warstwę pluskiew. Na ścianie za nim znajdował się pojedynczy kran. Mimo że w baraku musiało się mieścić ze sto pięćdziesiąt osób, nie było żadnego innego miejsca do mycia. Wszędzie za to stały wiadra. Smród, jaki się z nich unosił, aż szczypał w oczy, niemal równie odrażający jak odór zgnilizny w mieszkaniu w Suburze. Sulien był zbyt zmęczony, żeby myśleć jasno o tym, co widział, bądź martwić się, czy Una kiedykolwiek musiała żyć w takich warunkach. Wciąż nie miał pewności, jak się skończy dla niego

ten długi dzień. Nie wiedział nawet, czy może bezpiecznie wrócić do domu.

W sąsiednim baraku Wariusz walczył z drzwiami, które nie chciały pozostać otwarte. Rozglądał się zdesperowany za czymś, czym mógłby je podeprzeć. W końcu dał sobie spokój, z obrzydzeniem pozwalając im się zamknąć. Czuł się tu jak w lochu, nawet gorzej niż w więzieniu. Jego ciało było napięte, a serce waliło jak młot. Wystarczy mu kilka minut w tym pomieszczeniu. Do diabła, musi jakoś dać sobie radę. Zmusił się do myślenia: Sulien powie mu, jak przenoszą się choroby zakaźne i z jaką prędkością. Na tej podstawie zdoła wyliczyć, ile to kosztuje Prokulusa, jakie kroki należy przedsięwziąć... Nagle, zupełnie jakby wykrakał katastrofę, usłyszał defekt, pęknięcie w sercu hałasu, zbyt blisko, żeby mogło pochodzić z poligonu doświadczalnego. Wariusz obrócił się, instynktownie przypominając sobie o składach materiałów wybuchowych wokół fabryki, i kiedy już się uspokajał, przyszedł drugi wybuch, bliżej i jeszcze potężniejszy. Przez zamknięte okiennice i szczeliny w deskach ścian widział coś, jakby słońce pędzące z samego środka fabryki. Wydawało przy tym niezwykle delikatny, pełen jedwabnego szeptu odgłos. Uderzyło z całą siłą w sąsiedni barak, gdzie znajdował się Sulien. Drzwi, łączące poszczególne sekcje, wyleciały w powietrze i Wariusz zobaczył, jak powietrze za nimi rozbłyska żywym ogniem.

Kiedy odgłos wybuchu uderzył w niego, wprawiając w drżenie każdą kość w ciele, Wariusz poczuł, że szok go sparaliżuje. Nawet ogarnął go gniew, że nic na to nie poradzi. W rzeczywistości jednak nie stał w miejscu, tylko biegł schylony pomiędzy rzędami łóżek, w stronę wyjścia, wołając Suliena. Nie było odpowiedzi, ale kiedy zawołał ponownie, przez szum ognia i dudnienie węgla o dach ledwo usłyszał własny głos. Był

w połowie drogi do drzwi, kiedy uświadomił sobie, że nie do-
trze do wyjścia na czas. Mała kometa, która podpaliła baraki,
wyleciała z hali montażowej pocisków. Dwa wybuchy były ni-
czym pierwsze bąble wznoszące się z dna garnka, w którym
gotuje się woda. W każdej chwili mogły nastąpić kolejne, dużo
gorsze.

Z rozmysłem chwycił się poręczy piętrowego łóżka i
wcisnął pomiędzy dwie prycze, jak najdalej od strony, z której
dochodziły eksplozje. W tej samej chwili nadszedł kolejny
wybuch, niczym ręka zmiatająca talerze ze stołu, tak potężny,
że starł wszystkie dźwięki przed nim, rozerwał ściany i dach,
uderzając go w plecy i wciskając w cuchnący materac. Całe
łożko przesunęło się do tyłu, uderzając w ścianę, a jego nogi
zgięły się, gdy szczątki dachu i sąsiednie łóżka na niego opa-
dły. Z obu strony wzniosły się splątane barykady połamanego
drzewa. Rama łóżka piętro wyżej podskoczyła i spadła na Wa-
riusza. Po ziemi toczyła się cała nawałnica eksplozji.

Wariusz nie słyszał nic poza brzęczeniem w uszach,
które zakrywał. Podejrzewał, że oślepl, czerń wokół niego była
tak pełna i namacalna. Odsunął łokciami szczątki, które go
pokryły, i ciągnąc coś za sobą, jakiś ząbkowany drąg, udało mu
się podnieść na kolana. Resztki piętrowego łóżka utworzyły
wokół niego trójkątną przestrzeń niczym jaskinię. Tylna ścia-
na pryczy wydawała się nienaruszona, ale z każdej innej stro-
ny wyczuwał ostre drzazgi i połamane deski. Ząbkowany drąg
zaklinował się mocno i nie mógł go nawet poruszyć. Szukał po
omacku i w końcu trafił na jakąś listwę, a może deskę z są-
siedniego łóżka. Rzucił ją obok siebie niczym łup.

Znajdował się na samym dnie rozpalającego się ogniska.
Czuł płynący z góry żar płomieni trzepoczących o zewnętrzną
powłokę rumowiska. Po drapaniu w płucach zorientował się,

że miejsce, w którym klęczał skulony, szybko wypełnia się dymem. Zaczynało mu się kręcić w głowie, a kończyny stawały się coraz cięższe. Usłyszał delikatny, prawie śpiewny głos w uszach: nikt nie poniesie odpowiedzialności, jeśli zginiesz w pożarze. Jakby robił notatki na przyszłość, jakby te informacje mogły się komuś przydać. Z pewnością wzdrygnąłby się na samą myśl o takim końcu. Śmierć w płomieniach kojarzyła się z najgorszymi mękami. Jak się jednak przekonał na własnej skórze, dym pozbawiał życia, zanim jeszcze dotarły płomienie. Dym zabijał wręcz litościwie błyskawicznie, nasączając cię dobrym humorem niczym alkohol. Wariusz zamrugał w ciemnościach. Kaszłał cały czas, nie przerywając pracy, a z oczu ciekły mu łzy. Nie zwracał na to uwagi. Na wpół roztrząskana rama łóżka podtrzymywała to, co zostało z sufitu. Po obu stronach masa gruzu była luźniej upakowana. Wariusz darł ją paznokciami, ciągnął i kopał z całych sił. Czuł się, jakby był pijany. Ktoś powinien powiedzieć o tym innym. Był tu sam, mógł robić, co mu się żywnie podobało. Nikt nie będzie wiedział, że położył się na łóżku i czekał na nieuniknione. Nawet nie musiał wybierać, od dawna oczekiwana śmierć sama przyszła. Zupełnie jak podarunek.

Czy Sulien także zginie? Wariusz poczuł, jak zalewa go pijackie współczucie na tę myśl. Nie, nie, nie. Nic mu nie będzie.

Odrzucił za siebie kolejną zakurzoną listwę. Zebrała się ich już cała sterta. Szarpiąc gruz, poczuł, jak rumowisko trzęsie się rytmicznie -bardziej czuł, niż słyszał kolejne eksplozje. Wciąż nie mogąc się nadziwić niezwyklej łagodności śmierci od uduszenia dymem, kopnął z całej siły przy następnym wstrząsie i coś na szczycie uwolniło się i spadło. Jakieś części poleciały ze stukotem na ziemię. Ciemności rozświetliły ja-

skrawopomarańczowe płomyki spadających węgli i Wariusz poczuł powiew świeżego powietrza, oczyszczający mu obrzeża płuc. Po raz pierwszy, jakby jakiś surowy głos wymówił jego imię, Wariusz zauważył, co robił przez cały czas, jak ciężko pracował. Jego ramiona, z całej siły wsparte o drewniane belki, aż piekły od wysiłku. Czy to możliwe, że został ogłuszony podczas zawalenia się ścian? Czy mógł być jeszcze na wpół przytomny, kiedy zabrał się już do rozkopywania rumowiska? Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy zaczął.

Pomyślał z niepokojem o Sulienie w sąsiednim baraku, przypominając sobie złotą kulę ognia. Z przodu powstała mała, żółta łuna w miejscu, gdzie posypały się skry. Ogień sycił się szybko tlenem, ale jednocześnie zapewnił mu jakąś widoczność. Oczyszczył szczelinę w gąszczu połamanych desek, które krzyżowały się ze zawalonymi belkami stropowymi. Czuł teraz przepełniającą wściekłość, horror związany z uwięzieniem w tej ciasnej, pełnej trującego dymu przestrzeni. Jednocześnie ta wściekłość jakby go pobudziła. Wcisnął się z trudem pomiędzy belki raniące mu ciało i gdy szarpał się z całych sił, wszystko wokół niego przesunęło się i pękło niczym suche kości. Udało mu się oprzeć kolaniem o resztki górnej pryczy i wysunął się na powierzchnię. Jakiś fragment dachu spadł na ziemię i nagle jego głowa i ramiona były wolne. Zachłysnął się zadymionym powietrzem.

Podmuch gorąca uderzył go w twarz i zamazał pole widzenia. Gdzieś przed nim wyrastała przerażająco jasna ściana ognia, ale nie mógł na nią patrzeć. Niemal nie odczuwał ulgi; nie dziwiło go to, co się stało. Uwolnił jednym szarpnięciem nogi i przetoczył się po ziemi. Przez chwilę nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, z czego się wydostał ani czemu bolały go niektóre miejsca na nogach i rękach. Nie czuł nic poza ściska-

niem w płucach. Dałby wszystko za jeden łyk czystego powietrza.

Leżał wśród płonących szczątków baraków, przy murze okalającym fabrykę, ale nie myślał o tym. Dziwne, ale kasłanie stało się bardziej bolesne na świeżym powietrzu, jakby ktoś pocierał mu płuca papierem ściernym. Wstrząsał nim jeden spazm za drugim. Czuł, że jeszcze chwila i wypluje płuca, choć to pewnie przyniosłoby mu ulgę. Przypadkiem uderzył na oślep dłonią w mur i wreszcie jakoś z trudem wstał.

Co on najlepszego zrobił? Ból przeszywał mu płuca - to, co czuł przed chwilą, to był drobiazg. A mógł już to mieć za sobą. Więc czemu? Nie ze względu na rodziców, choć czy to nie głównie z ich powodu brał się za bary z każdym kolejnym dniem, starając się zignorować wszystkie możliwe sposoby zakończenia tego niechcianego życia? Zauważył z wyrzutem, że tam na dole, w ciemności, jeśli wspomniał rodziców, to tylko z irytacją; musieliby się pogodzić z jego śmiercią. Przegapił swoją szansę. Po tych wszystkich latach, kiedy poddał się życiu w niewoli, nagle otrzymał wolność, niemal bez starania, i co z nią zrobił? Dotyk ściany i widok powiązanej drutem kolczastym palisady działały uspokajająco. Jeszcze nie wy dostał się z tego piekła. Wciąż było do tego daleko.

Ruszył do przodu, potykając się i przytrzymując muru.

- Sulien - wychrypiał i przekonał się, że słyszy własny głos, choć zdawał się dobiegać gdzieś z zewnątrz szklanej kuli, w której tkwiła jego głowa.

No cóż, pomyślał, jeśli udało mu się to przeżyć, to Sulienowi pewnie też. Przypuszczalnie wy dostał się jakoś z zawalonego baraku. Może nawet szybciej od niego. Budynek, w którym był Sulien, chyba mniej ucierpiał niż ruiny, z których właśnie się wy dostał. Część dachu wciąż tkwiła na swoim

miejscu, choć unosił się nad nią kłęb siwego dymu. Pewnie Sulien był gdzieś z drugiej strony, choć Wariusz słyszał w głowie ostrzegawczy dzwonek, że to nie ma sensu, że Sulien nie chodziłby po terenie, który objęła eksplozja.

Kiedy wyszedł za róg, jego oczom ukazał się następujący obraz: z miejsca, gdzie wcześniej znajdowało się serce fabryki, wznosił się okazały słup ognia, nieustannie karmiony kolejnymi eksplozjami. Wysoko w niebo wznosiły się płonące szczątki i grad metalu. Wokół epicentrum rozciągała się kopuła nieprzeniknionego żaru, sięgając do miejsca, gdzie stał Wariusz i gdzie zlewała się z gorącym wydobywającym się z płonących baraków. Z ognia dobył się przerażający wrzask. Wariusz zachwiał się. Czy Prokulus powiedział, że pracowało tu tysiąc osób? Wydawało się to niemożliwe. W oddali dostrzegł niewielką grupę ludzi uciekających i potykających się o resztki torów. Było ich więcej niż dziesięciu. Nikogo innego nie mógł dostrzec, podobnie jak i miejsca, gdzie mogliby się ukryć. Białe i czarne kłęby dymu przetaczały się po terenie. Może wszystkich zabił wybuch magazynów z prochem. Nie miał pojęcia.

Nigdzie nie widział Suliena. Zgięty wpół ruszył wzdłuż szop w stronę ognia, zasłaniając sobie głowę rękami i wołając Suliena. Gdzieś ulotniła się pewność, że Sulien musiał się wydostać z tego piekła. Oszołomiony stał przez chwilę, chwiejąc się, dysząc ciężko i patrząc na pobojuwisko. Z tego miejsca barak, do którego wszedł Sulien, wyglądał gorzej, niż Wariusz sądził. Widział tylko stertę połamanych i płonących belek. Drzwi nie prowadziły już do środka, zmienione w podpałkę opartą o stertę gruzu. Wariusz zawołał ochryple i zaczął biec wokół budynku, waląc w ściany, które jeszcze stały nienaruszone. Oparł się o rozgrzane drewno pokonany przez kolejny atak kaszlu, czując, jak z bezradności rodzi się w nim panika.

Zamknął oczy, kiedy zdał sobie sprawę, że gdyby nawet Sulien zachował przytomność, to i tak byłby tak samo ogłuszony jak on. Mogli krzyczeć równocześnie i nie słyszeć się.

Pod ścianą stała beczka z deszczówką. Wariusz wyciągnął ręce i rzucił się na nią. Uczeplił się jej krawędzi, zastanawiając się, czy da radę ją przewrócić i zgasić pożar. Jednak w beczce było tylko kilka kropli upstrzonego muchami błota. Zakaszłał tak mocno, że przypominało to raczej śmiech, i zaraz zaklął. Rozdrażniony poczuciem bezcelowości tego, co robi, i myśląc: Co za różnica? - wspiął się ostrożnie na krawędź beczki. Zachwiał się, usiłując utrzymać równowagę, szybko podciągnął na dach i podczołgał się do świetlika. Leżał nieruchomo przez chwilę, starając się uspokoić oddech. Przez szczeliny we framudze unosił się biały dym, a kiedy rozbił okno kopnięciem, w niebo wzbił się potężny słup dymu. Wariusz odwrócił głowę, zacisnął powieki i zaczął schodzić do wnętrza baraku.

Dym nie miał w sobie nic z bezcielesności, wręcz ścisnął mu klatkę piersiową niczym potężna dłoń. Wariusz poczuł znajome zawroty głowy, które przyszły znacznie szybciej niż poprzednio i tym razem nie były przyjemne. Opuścił się na rękach i zeskoczył na względnie nienaruszone łóżko. W tej części baraku wybuch przesunął i wywrócił cały rząd łóżek pod ścianę, tak że opierały się o siebie niczym książki bezładnie ułożone na półce. Były tak ciasno zbite, że szpilki nie można było pomiędzy nie wcisnąć. Wariuszowi udało się zejść na ziemię tylko dlatego, że sąsiedni rząd leżał połamany i luźno rozrzucony. Wysunął się z objęć dymu i zeskoczył na ziemię pomiędzy pionowymi ramami, przycisnął twarz do ziemi i łapczywie łykał resztki powietrza. Wydawało się niezwykle, że w środku ogień mógł być wciąż tak gwałtowny. Było tak ciemno, że Wariusz szybko się zorientował, iż odnalezienie

drogi powrotnej do świetlika może okazać się niemożliwe. Panował także nieznośny hałas, a skwar drażnił oparzenia, o których zdążył już zapomnieć. Starał się pocieszyć, że może dzięki temu dłużej zachowa przytomność. Krzywiąc się z bólu, zaczął po omacku szukać drogi przez rumowisko. Zaraz jednak cofnął się, przez chwilę stał, wahając się, a następnie szybko ściągnął buty i położył je przy łóżku, z którego zeskoczył. Pewnie było to bezcelowe i wydawało się tak niedorzeczne, że znowu uśmiechnął się gorzko do siebie. Miał nadzieję, że przynajmniej będzie mógł rozpoznać położenie świetlika, jeśli uda mu się tu wrócić.

Ruszył pomiędzy rządami łóżek, odsuwając połamane deski lub przeciskając się pomiędzy nimi, wołając i macając podłogę wokół siebie. Jego dłonie natrafiały tylko na drzazgi. Jeśli Sulien stał przy frontowej ścianie, to zginął. Podobnie jeśli był uwięziony w rumowisku gdzieś bliżej drzwi, to Wariusz nie miał szans go znaleźć, a co dopiero odkopać, zanim dym odbierze mu siły. Wołanie Wariusza pozostawało bez odpowiedzi. Nie wyczuwał też żadnego ruchu. W pewnym momencie przestrzeń wokół niego skurczyła się, a jego ręce trafiły na zaporę z belek i desek, której nie mógł przesunąć.

Wariusz położył się na boku i wsunął w szczelinę pod dwoma łózkami.

Nawet nie można było się czołgać pod spiętrzonymi materacami i pochylonymi na siebie brzegami łóżek. Obrócił się i podciągnął do przodu. Od wybuchu nie minęło więcej niż kilka minut, a czuł, jakby walczył od kilku dni. Znowu naszło go pragnienie, żeby położyć się i zostać w odosobnieniu tego ciemnego i wąskiego korytarza. Uwieszenie, którego zawsze tak bardzo się bał, tutaj zdawało się na niego czyhać od zawsze. Lekkim i swobodnym krokiem Gemella weszła do jego

umysłu, przynosząc ze sobą uczucie, którego czasami doświadczał w więzieniu, że oddziela ich zaledwie kilka cali, przegroda równie krucha jak pergamin.

W tej samej chwili uderzył o jakąś przeszkodę, coś nieruchomego i miękkiego - ramię, ręka wystająca z rękawa. Wariusz drgnął, jakby zupełnie się nie spodziewał, że to możliwe. Poczł, jak skoczyło mu tętno.

- Sulien. Sulien! - krzyknął. Zaczł szukać po omacku jego twarzy. Sulien oddychał, ale leżał nieruchomo. Musiał uciekać pomiędzy rzędami łózek, kiedy eksplozja cisnęła go i zakryła osłoną nachodzących na siebie stelaży. Przynajmniej znalazł się poza zasięgiem najgęstszego dymu i mógł oddychać. Wariusz potrząsnął nim i zaraz pomyślał: On nie śpi, idioto. Złapał Suliena za ramię i zaczął ciągnąć. Ulga i zaskoczenie, że znalazł go żywego, szybko zaczęły ustępować miejsca przerażeniu, ponieważ czuł, jak Sulien staje się wręcz niewiarygodnie ciężki, a w przestrzeni, gdzie się znajdowali, Wariusz mógł się jedynie unieść wyżej na łokciach. Zahaczył stopę o nogę łózka i krzywiąc się z bólu, jaki powodowały oparzenia na dłoniach, pociągnął Suliena trochę do przodu - mniej niż pół długości ciała. Leżąc w tej pozycji, trudno mu było nawet dobrze chwycić jego ramię. O wiele trudniejsze i bardziej wyczerpujące było ciągnięcie go po podłodze. Wydawało mu się, że słyszy, jak Sulien jęczy głucho. Wariusz przesunął się do tyłu, zahaczył stopę i ponownie spróbował szarpnąć. Dyszał teraz ciężko, czując, jak dym opada coraz niżej. Atak kaszlu ścisnął mu gardło i bał się przez chwilę, że zwymiotuje. Uświadomił sobie, że w ten sposób nigdy mu się nie uda.

Wysunął się ze szczeliny, włożył ramię pomiędzy dwa łózka i zaczął szukać po omacku. Natrafił na prześcieradło, które zwinął w kłębek. Wczołgał się z nim z powrotem do Su-

liena. Wcisnął prześcieradło pod Suliena, tak że znalazło się pod jego pachami. Spróbował pociągnąć z całej siły. Ze zdziwieniem stwierdził, że wpadł na dobry pomysł. Ciągnąc końce prześcieradła, przesuwając Suliena o wiele łatwiej. Podholował go pomiędzy rzędy zwalonych łóżek, gdzie mógł wstać i schwycić go porządnie. Gdy wyprostował się, jego głowa znalazła się w kłębach dymu. Spróbował wstrzymać oddech i zdołał cofnąć się kilka kroków, zanim upadł na ziemię, dusząc się. Zaczął macać za butem, który zostawił. Poczł go pod palcami przez chwilę, ale niechcący przesunął gdzieś w ciemność. Spróbował podnieść Suliena, trzymając go pod pachy, ale tym razem z wysiłku zaczął łapczywie łykać powietrze i musiał znowu skulić się, przyciskając usta do ziemi, żeby znaleźć resztki powietrza. Nie było go dostatecznie dużo. Od kaszlu dostał dreszczy i zataczał się jak pijany. W ciemnościach coś się załamało, nadleciała fala gorąca, a czerwona poświata, którą widział na obrzeżach ciemności, nagle rozrosła się i przeobraziła w wyraźne ostrza jaskrawego światła, w pomarańczowe i żółte kwadraty i trójkąty. Zbliżał się do nich ogień.

Sulien, obudź się - chciał powiedzieć Wariusz, ale głos uwiązł mu w gardle. Ukląkł niezdarnie obok Suliena. Zaszedłby daleko, ale trudno będzie podciągnąć Suliena do świetlika. W zasadzie zdał sobie sprawę, że jest dużo gorzej - nie było szans, żeby go wyciągnął. Sulien był wyższy od niego i musiał ważyć tyle co on. Nie zdoła podnieść takiego ciężaru nad głowę, żeby wrzucić na łóżko, a potem precyzyjnie przez świetlik, nie dałby rady tego zrobić, nawet gdyby był w pełni sił. Teraz, ledwo dysząc i cały obolały, wątpił, czy zdoła go wrzucić nawet na najniższe łóżko. Pomimo to spróbował, ale tak mu wzrosło ciśnienie, a ręce szybko omdlały, że opuścił Suliena na ziemię.

- Nic z tego - zdołał wykrztusić. - Sulien, nie podniosę cię. Musisz wstać. Musisz mi... - Jego powieki zaczęły powoli się zamykać. Zostawił Suliena leżącego na boku z głową odwróconą od ognia i podciągnął się niemrawo na łóżko, a potem przez lufcik na dach. Podczołgał się do krawędzi dachu i wysunął głowę za krawędź. Powietrze było nieznośnie rozpalone i Wariusz czuł, że ogień pod nim przybiera na sile, a cała budowla zaczyna trzeszczeć i pękać. Mała drewniana wyspa szybko kurczyła się wokół niego, gdy płomienie zaczęły lizać tę część dachu. Zamknięte oczy piekły go, jakby przemył je kwasem, i chciało mu się płakać ze zmęczenia. To wszystko było niczym okrutny żart, jeśli obaj mieli zginąć w tym zamachu czy wypadku, czy co to takiego było. Nawet gdyby się poddał kilka minut wcześniej, gdy znalazł Suliena, i położył obok niego, żeby umrzeć, to chociaż byłoby to bezsensowne, nie wydawałoby mu się nierozsądne. Jednak dojść do tego punktu po to tylko, żeby zobaczyć, że na nic jego wysiłki, wystarczyło, żeby uwierzyć w mściwych bogów.

Otworzył oczy i spojrział na zamgloną ziemię pod sobą. Dyszał, lecz świeże powietrze dochodziło do jego płuc. Ze zdziwieniem poczuł, że się odpręża. Zaczął ogarniać go spokój - nie było to jednak senne przyzwolenie na odejście, które go ogarniało raz za razem od chwili pierwszego wybuchu. Pomyślał, że jeszcze na to za wcześnie. Sulien wciąż żyje. Wariusz wspiął się na dach, żeby zaczerpnąć dosyć powietrza, by móc ponownie spróbować. Mógł teraz wrócić. Nabrał jeszcze raz w płuca powietrza i poczołgał się po trzeszczącym dachu do świetlika.

W środku nie było już tak ciemno jak wcześniej. Nawet przez tę chwilę, kiedy przebywał na zewnątrz, zrobiło się jaśniej. W wypełnionym dymem pomieszczeniu to światło nie-

wiele dawało. Wariusz opuścił się powoli w cień pod łózkami, czując, jak osłabia go brak powietrza, i zaczął szukać Suliena. Nigdzie nie mógł na niego natrafić, choć był pewien, że wrócił w to samo miejsce. Przez ułamek sekundy przyszło mu do głowy, że Sulien nie tylko umarł, ale wręcz rozpuścił się w powietrzu. Nagle dojrzał niewyraźnie, jak coś się porusza zaledwie kilka cali od niego i że nie jest to dym ani opadające belki. Wyciągając niepewnie ręce, namacał ramię Suliena, tym razem w powietrzu. Sulien po omacku starał się znaleźć brzeg wywróconego łóżka. Udało mu się podnieść trochę i teraz klęczał ze zwieszoną głową, oparty o materac.

Wariusz zdał sobie sprawę, że Sulien nie jest całkowicie przytomny. Schwycił go za ramię, jakby aresztował uciekającego przestępcę, i zaczął energicznie stawiać na nogi. Sulien zachwiał się, popychając Wariusza, i o mały włos obaj by się wywrócili. Jednocześnie wymamrotał parę razy jakieś zdziwione pytanie, którego przez ryk płomieni i dzwonienie w uszach Wariusz nie zrozumiał. Zdziwiony Wariusz klął na Suliena, ale nie przestawał go ciągnąć. Nagle Sulien wydał wyraźny jęk bólu, gdy Wariusz popchnął go do przodu. Musi być ranny gdzieś w rękę lub w bok, pomyślał Wariusz. W tej chwili nie mógł jednak pozwolić sobie na współczucie.

- Wstawaj, do cholery - wychrypiał ze złością, choć kaszlący Sulien pewnie nie rozumiał, co do niego mówi. Wariusz pozwolił mu oprzeć się bezwładnie o łóżko, a sam wspiął się na wyższy poziom i chwycił Suliena za kołnierz i ramię. Ucisk w płucach i walenie w głowie stały się tak dojmujące, że niemal zapomniał, co ma zrobić.

Sulien był wprawdzie na wpół przytomny, ale czuł zbliżający się ogień, jakby to było coś żywego, pełnego nienawiści i obdarzonego własną wolą. Usłuchał ponagleń Wariusza i

wstał, trzymając się ramy łóżka. Chwiał się, potykał i czuł ból w ramieniu, boku i głowie. Opadł na materac obok Wariusza, który znowu poderwał go na równe nogi i zaczął po omacku szukać świetlika. Przez kilka przerażających sekund zdawało się, że świetlik zniknął.

Wreszcie ręka Wariusza natrafiła na pustkę i drugą ręką podsunął Suliena pod otwór. Zaczął podsadzać go i wpychać na dach, aż w pewnym momencie Wariusz zauważył ze zdziwieniem, że nacisk na jego ręce i ramiona ustąpił. Sięgnął w górę, żeby wspiąć się na dach, jednak w tym momencie nogi się pod nim ugięły. Niewiele mu brakowało - jego głowa i ramiona były już na zewnątrz - ale dym wydobywający się przez okno był teraz tak gęsty, że Wariusz nawet tego nie zauważył. Wróciło uczucie, że nie wydobędzie się z zamknięcia, a zmęczone ramiona błagały o to, żeby już nic nie dźwigać, żeby już nie walczyć.

Kiedy osuwał się na ziemię, poczuł, jak Sulien ciągnie go za ramię i trzyma za rękaw. Uścisk był słaby, a Sulien nie miał siły wciągnąć go na dach. Nie pozwalał mu jednak ześliznąć się w ogień. Wariusz rzucił się do góry i wynurzył na dachu. Jedna z osłabionych belek zadygotała i ugięła się pod nimi, toteż Wariusz popchnął Suliena ku krawędzi dachu. Kompletnie zapomniał o beczce na deszczówkę, ale i tak żaden z nich nie miał dosyć siły, żeby spróbować na nią zeskoczyć. Wszystko, co Wariusz mógł zrobić, to przytrzymać Suliena dostatecznie długo, żeby złagodzić jego upadek, a następnie samemu przetoczyć się na brzuch i spaść na ziemię.

Kiedy odchodzili chwiejnym krokiem od baraku, zanosząc się kaszlem, jakiś pocisk wystrzelił z kolumny ognia w centrum fabryki i seria stłumionych eksplozji wstrząsnęła ziemią. W powietrze wzleciały płomienie, fragmenty metalu i

kawałki cegieł. Podmuch był tak potężny, że rzucił ich na ziemię, a dach baraku zawalił się w snopie iskier do środka, choć żaden z nich tego nie zauważył.

Wariusz nawet nie próbował się podnosić. Jedyne bezpieczne miejsce, do którego mieli szansę się dostać, znajdowało się w tylnej alejce, pomiędzy zewnętrznym murem a dymiącymi tylnymi ścianami baraków, które i tak zaraz się zapadną. Wariusz zaczął czołgać się w tamtą stronę. Jeśli nawet nie zdołają dalej uciec, to i tak przynajmniej nie poczuje, że poniósł klęskę. Spojrzał na Suliena, który szybciej od Wariusza zmierzał w tym samym kierunku. Podciągnął się resztką sił za budynek baraku, położył na boku i odwrócił twarzą do muru.

*

Przez tydzień Una trzymała się kurczowo skrawka miejsca, jakie zdobyła w cesarskim biurze i gabinetach konferencyjnych pałacu, cały czas skromnie spuszczać oczy i udając szarą myszkę. Niekiedy wykonywała jakieś niewielkie i zawsze nudne zlecenia dla Glykona, zmuszając się do cierpliwości. Była prawie niezauważalna. Z rzadka tylko budziła iskierki niepokoju w odwiedzających senatorach i generałach, kiedy obserwując i słuchając ich, zapominała się i zdradzała ją drapieżna ciekawość malująca się na twarzy. Najbardziej frustrowało ją to, że przez cały ten czas nie widziała Druzusa. Wyglądało na to, że wycofał się do domu ojca, z którego wysłał Markowi jeden pobieżny raport na temat pożarów. Także przez cały tydzień nie było żadnych wieści z Nionii, poza potwierdzeniem otrzymania propozycji Marka. Każdego dnia tej ciszy Marek czuł, jak rośnie napięcie, jakby kolejne ręce zaczynały ciągnąć linę. Zrobił, jak mu poradził Wariusz, i nie ograniczył czasu, w jakim spodziewał się odpowiedzi. Teraz

miał uczucie, że Una jest jedyną osobą, która nie mówi mu, że powinien to zrobić i że teraz już jest za późno.

Probus był w Arkansie, skąd informował Marka przez dalwizję o zniszczeniach w mieście i przekazywał informacje od rzymskich szpiegów po tym, jak Marek usłyszał, że fabryka w Veii została zbombardowana i wciąż płonie. Una poczuła, że przez jej ciało przepływa dziwny prąd, jakby coś się w niej załamywało, jedne ścięgna się napinały, podczas gdy inne niespodziewanie rozluźniały, kolana jej zmiękły i musiała wyteńczyć siły, żeby nie upaść. Zobaczyła, że Marek się nie domyślił, co się z nią dzieje. Rozłączył się z Probusem, bez słowa wyjaśnienia podszedł do ściany i ze złością trzasnął drzwiami od szafki, w której stała dalwizja.

- Czyli będzie wojna - powiedział do Uny.

- Sulien tam jest - oznajmiła Una. Głos uwiązał jej w gardle.

Marek odwrócił się do niej, a jego oczy rozszerzyły się, jakby usłyszał coś, co przeczy zdrowemu rozsądkowi.

- Sulien tam jest.

Marek odwrócił wzrok. To było zbyt bezsensowne, żeby mogło być prawdziwe.

- Nic im nie będzie - rzekł pewnym siebie tonem.

- Co?

- Przypuszczalnie ich tam nie było. Jesteś pewna, że to dzisiaj mieli tam jechać?

- Tak - odparła Una przez zaciśnięte zęby, wystraszona nagłym atakiem wściekłości na Marka. Chciała jak najszybciej odejść i poszukać Suliena, póki jeszcze nad sobą panowała. Nie pierwszy raz bała się, że nie może sobie ufać przy Marku, że pewnego dnia zdoła go nieodwracalnie zniszczyć, zanim spostrzeże się, co zrobiła. Jednak nigdy to uczucie nie było tak

silne. Jeszcze chwila i byłaby gotowa go znienawidzić tylko za to, że martwił się o Wariusza tak samo jak o Suliena.

Marek, wciąż przekonany, że nic im się nie mogło stać, chciał ją pocieszyć, ale Una się odsunęła.

- Muszę go poszukać - powiedziała spokojnie.

- Jadę z tobą - rzucił, czując się winny, że nie przeżywa tego tak jak ona.

- Nie wygłupiaj się. Nie możesz - odparła, nie kryjąc szyderstwa w głosie. Skierowała się do drzwi. Zanim do nich dotarła, do pokoju wszedł Glykon, blady na twarzy z podniecenia.

- Cezarze. Nionianie się odezwali. Dzwoni księżę Tadasius.

Wbrew sobie Una zamarła, patrząc na Marka ciekawa, co się wydarzy.

- Dobrze, wezwij Salwiusza - polecił mechanicznie Marek i wziął głęboki oddech, kierując się do daldictora. Wiadomość go zaskoczyła, ale obudziła też uczucie, którego do tej pory w zasadzie nie doświadczył. Nagle pomyślał, że może jednak Sulien i Wariusz byli w fabryce.

Założył opaskę daldictora na głowę. Zastanawiał się, jak zacząć, i poczuł, że najlepiej będzie jak najmniej mówić. Nie wiedział dlaczego.

- Słucham? - odezwał się, próbując zachować niewiele mówiący wyraz twarzy.

Nigdy wcześniej nie rozmawiał z księciem Tadahito. Od razu zwrócił uwagę na jego perfekcyjną łacinę i nawet poczuł się trochę urażony. Nie usłyszał jednak nuty radości z możliwości popisania się znajomością języka, która tak uraziła Faustusa. Tym razem ton księcia był elegancki i pozbawiony akcentu.

- Cezarze. Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu choroby cesarza.

- Dziękuję - powiedział obojętnym tonem.

- Mój ojciec poprosił, żebyśmy jak najszybciej porozmawiali z tobą. Marek milczał.

- Słyszeliśmy o tym, co się dziś stało w Veii. Oczywiście, fabryka amunicji byłaby najlepszym celem w wypadku rozpoczęcia konfliktu z Rzymem. Pewnie jesteście przekonani, że zaatakowaliśmy wasz kraj.

Marek w dalszym ciągu nic nie odpowiadał. Una stała w tej samej pozycji, a jej twarz zmieniała się w białą maskę. Patrzyła bezradnie na Marka, niezdolna się poruszyć. Tak ostrożnie, jak tylko potrafiła, spróbowała przekonać się, czy głos dochodzący z daldictora mógł być głosem zabójcy Suliena.

- Nie mieliśmy z tym nic wspólnego - oświadczył z naciśniętym głosem. - Zapewniam cię, że nie ponosimy za to odpowiedzialności. - Zapanowało milczenie i po chwili książę kontynuował: - Chciałem odpowiedzieć na twoją wiadomość z zeszłego tygodnia. Jesteśmy gotowi, żeby usiąść do rozmów na temat Terranowy i Tokogane. Mamy nadzieję, że wojny da się jeszcze uniknąć. Zgadza się także, że Sina będzie lepszym miejscem na spotkanie niż Nionia czy Rzym.

Podeksycytowany Marek spojrzał na Unę. Czuł podniecenie, nieufność i coraz większy lęk, że Sulien i Wariusz mogli zginąć.

- Rzym potrzebuje więcej niż tylko zapewnień.

Po jego minie Una zrozumiała sens tego, co powiedział, choć nie same słowa. Do tej pory rozmowa odbywała się po łacinie. Teraz jednak Marek odezwał się po nioniańsku.

Marek sam nie był pewien, czemu to zrobił. Jeśli chciał współzawodniczyć z Tadahito, to był skazany na porażkę.

Uczył się nioniańskiego od dziecka i mówił całkiem płynnie, brakowało mu jednak talentu księcia. Świadomość tego będzie działała na jego niekorzyść, gdyby próbował powiedzieć jakieś skomplikowane zdanie - musiałby się za bardzo koncentrować na języku, a nie na sensie wypowiedzi.

Nastąpiła pełna zdziwienia zmianą języka chwila milczenia, zanim książę się odezwał.

- Jeśliby to była nasza wina, to czemu miałbym się z tobą kontaktować? - spytał książę.

- Może być wiele powodów.

- Jeśli o mnie chodzi, to nie ma ani jednego. Myślisz, że kłamię? Albo to jakaś pomyłka, albo ktoś tobą manipuluje. Czy chcesz rozpocząć wojnę z tego powodu? Nie będziemy się wstydić naszych czynów. - Książę mówił coraz szybciej i Marek nie rozumiał niektórych słów.

- Moi generałowie już tu jadą na naradę - powiedział w końcu Marek, wiedząc z góry, co powie Salwiusz. - Wiem jednak, co powiedzą.

- Że nie powinieneś mi wierzyć. - Pogarda nie zniknęła z głosu księcia, a pojawiła się też nuta rezygnacji.

- Właśnie.

- A ty mi wierzysz?

Dopiero teraz Marek zrozumiał powód, dla którego instynktownie zmienił język. Nie miało to nic wspólnego z tym, co mógłby powiedzieć po nioniańsku. Słuchając Tadahito mówiącego we własnym języku, lepiej wychwytywał napięcie i mógł dokładniej oceniać prawdziwe intencje rozmówcy. Musiał wprawdzie bardziej się starać, żeby samemu mówić z sensem, ale wydawało mu się, że potrafi wyczuć kłamstwo. Nie odpowiedział na pytanie księcia, choć zgodnie z prawdą musiałby rzec: „Tak”.

- Będą potrzebowali dowodu.

- Jak ktoś może udowodnić, że czegoś nie zrobił? - spytał książę, jednocześnie rozdrażniony i zdesperowany.

- Możecie odżegnać się od tego w dalwizji. Mógłbyś powiedzieć swoim obywatelom to, co teraz mnie.

- W Nionii cesarska rodzina nie występuje w dalwizji - oznajmił książę, mówiąc po łacinie i starając się nie okazywać pogardy, że w Rzymie jest to możliwe. - Rzymianie tego nie rozumieją, ale to niemożliwe.

Marek nie naciskał ani nie zrezygnował z mówienia po nioniańsku.

- Dobrze. Moim celem nie jest poniżanie was. Użyjcie, kogo chcecie. Nieważne, jak to zrobicie, byleby przekaz był jasny.

- Tak zrobimy. Czy to wystarczy?

- Nie. - Oczywiście, że to nie wystarczy ani Salwiuszowi, ani nikomu innemu.

Kiedy Marek mówił, Una złapała kartkę papieru z biurka. Napisała na niej: „Mur. Cofnąć wojska” i wcisnęła ją Markowi do ręki. Zaszokowała ją własna śmiałość. Marek przeczytał notkę i spojrzał na nią ze zdziwieniem. Una poczuła jeszcze większy szok, kiedy powiedział do daldictora:

- Wycofajcie wojska z Muru.

Urażony Tadahito aż głęboko odetchnął.

- Spodziewacie się, że tak się poddamy?

- Nie. Wycofajcie wojska do najbliższego miasta. Ludzie muszą czuć, że ich bronić.

- Dlaczego mielibyśmy iść na tak dalekie ustępstwa za coś, czego nie zrobiliśmy?

- Czemu miałbym uwierzyć, że to nie wy nas zaatakowaliście?

- Skąd mam wiedzieć, że sami nie wysadziliście fabryki, żeby zmusić nas do ustępstw?

Marek był zdumiony, jak spokojny był do tej pory lub dobrze się kontrolował. Czuł, że drżą mu ręce, i trzymał je między kolanami, zupełnie jakby książę był w pokoju i mógł to zobaczyć. Jednak ten fakt wydawał się czymś trywialnym. Nie był przygotowany na nagły atak gniewu, który aż go zmusił do zaciśnięcia szczęk. Zobaczył wyraźnie eksplodujące budynki i przeraźliwie krzyczących ludzi.

- Ponieważ dwóch moich przyjaciół było w tej fabryce. I do tej pory nie dali znaku życia.

Zobaczył, że Una drgnęła, a na jej twarzy pojawił się wyraz bólu i wyrzutów sumienia. Schwyciła kartkę i nabażgrała w pośpiechu: „Jeśli żyją, to usłyszysz o nich pewnie przede mną. Muszę lecieć”. Pobiegła do drzwi.

Kiedy książę się wahał, Marek pomyślał, że to może dobrze, iż Tadahito wyczuł nutkę gniewu w jego głosie. Jego słowa brzmiały dzięki temu bardziej przekonująco. Gdyby Suliena i Wariusza nie było w fabryce, nie miałyby tak celnej odpowiedzi. Poczuł wstręt do samego siebie.

*

Ktoś go ponaglał do wstania i po chwili zwłoki Wariuszowi to się wreszcie udało. Mimo że był zupełnie nieprzytomny, z łatwością się ocknął, jakby po prostu spał. Od razu wiedział, gdzie się znajduje i co się stało. W uszach słyszał nieustanne dzwonięcie, a oparzenia szczypały okropnie, kiedy naprężył mięśnie. W płucach czuł piekący ból, ale klatka piersiowa wciąż unosiła się i opadała przy każdym oddechu, i to całkiem sprawnie. Jego wzrok zatrzymał się na murze, gdzie sieć pęknięć i cieni rzuczanych przez wyschnięte chwasty zda-

wała się tak misternie utkana, że dopiero po chwili udało mu się oderwać od niej wzrok.

Przez szczeliny w tylnej ścianie baraku przedostawał się dym, a bijący ze środka żar stawał się nie do zniesienia. Gdzieś z tyłu doleciał go odgłos kolejnego wybuchu, od którego zatrzęsa się ziemia. Spojrzał na Suliena, który siedział obok niego oparty o mur. Wariusz nie miał okazji przyjrzeć mu się od chwili pierwszej eksplozji i teraz przeżył prawdziwy szok. Twarz Suliena stała się monochromatyczna, niczym marmur idealnie czarno-biała i bezbarwna pod powłoką pyłu i sadzy, jeśli nie liczyć czerwieni oczu. Jedną ręką leżała bezwładnie na ziemi, dziwnie nieruchoma. Drugą ręką Sulien dotykał twarzy i ramienia Wariusza, starając się go obudzić. Kiedy jednak Wariusz uniósł głowę, Sulien cofnął rękę i położył ostrożnie na czerwonej plamie na boku. Z jej środka, przez ubranie, wystawała ubabrana krwią duża drzazga.

- Czemu zgubiłeś but? - spytał leniwie Sulien, patrząc na Wariusza przez na wpół przymknięte powieki.

Wariusz, sprowokowany do odpowiedzi bezcelowością pytania, wskazał na barak i przez chwilę komunikowali się jakby językiem migowym, ponieważ rozmowa była zbyt wyczerpująca i bolesna. Ich ochryple głosy brzmiały im jakoś obco i jakby z oddali.

Sulien odjął dłoń od piersi i podniósł ją do Wariusza w geście podziękowania. Wariusz potrząsnął głową, pokazując najpierw na płomień szalejące po drugiej stronie baraku, a później z oczami rozszerzonymi z przerażenia wskazał na krew na boku Suliena.

Sulien zamknął oczy i skinął powoli głową, jakby zapewniał go, że wszystko w porządku. Sama rana nie była aż tak poważna, drzazga nie wbiła się zbyt głęboko. Jednak ból i

upływ krwi spowodowały osłabienie. Spróbował już zatamować krwotok siłą woli, jednak przy każdym poruszeniu nierówne końce drewna raniły go coraz bardziej. Nie mógł wyciągnąć drzazgi. Kiedy schwycił jej koniec i spróbował wyciągnąć, poczuł przenikliwy ból, który ledwo miał siłę stępić. Jego lewe ramię było złamane gdzieś pomiędzy łokciem a barkiem. Kiedy Wariusz wyciągał go z baraku, kości rozsunęły się, choć na szczęście nie przecięły skóry. Złamanie dolegało mu jednostajnym, zimnym bólem. Także i z tym nic nie mógł zrobić. Sulien obudził Wariusza, ponieważ przestraszył się, że leżąc tak bez ruchu przy ścianie, może zapaść w śpiączkę i udusić się, kiedy pył i sadza, które zalegały mu w płucach, utrudnią oddychanie. Resztkami sił zdołał dowlec się do przyjaciela i upewnić się, że jego drogi oddechowe są czyste. Wariusz nie wyglądał lepiej od niego. Jego twarz była tak samo czarna od dymu, a z brązowej skóry odpłynęła cała krew, tak że cera przybrała kolor brudnego piachu. Włosy poskręcały się od gorąca, a na łydkach resztki spodni poprzylepiały się czarnymi płatami do oparzeń.

- Możesz iść? - spytał Wariusz.

Sulien znowu powoli skinął głową i zakołysał dłonią, jakby chciał powiedzieć „tak sobie”.

Wariusz wstał chwiejnie. Dopadł go atak kaszlu, a w głowie poczuł tępy ból.

- Wariuszu, tysiąc osób - powiedział z wysiłkiem Sulien.

- Nie - zaprzeczył Wariusz. - Niektórzy musieli uciec. Chodź. W odpowiedzi Sulien kiwnął głową.

- Ale dlaczego? Co się stało? - wyszeptał. - Dzisiaj. Nic z tego nie rozumiem.

- Później będziesz się zastanawiał. Chodź - ponaglił Wariusz.

Znowu musiał niemal podnieść Suliena, ponieważ gdy ten spróbował się poruszyć, mięśnie wokół rany napięły się i drzazga potarła o nie, wywołując niemiłosierny ból. Ból zelżał, kiedy Sulien wstał, chociaż przy każdym ruchu otwierał się w jego ciele niczym małe wachlarze. Sam proces podnoszenia się zmęczył ich tak bardzo, że przez chwilę stali bez słowa. Opierając się plecami o mur i dysząc ciężko, Sulien zadarł do tyłu głowę i spojrzał na potężną ścianę zwieńczoną drutem kolczastym.

- Nie - powiedział Wariusz. - Musimy wyjść przez bramę główną.

Sulien spojrzał na płonące pobojowisko, wstrząsane wybuchami, czując, jak paraliżują go zmęczenie i strach. Pochylając głowę, Wariusz zrobił pierwszy, chwiejny krok i Sulien ruszył za nim.

Z nieba siąpił deszcz małych stalowych kulek, przed którymi nie mieli gdzie się schować. Rozgrzane kulki uderzały w skórę, powodując oparzenia. Co jakiś czas w powietrze wylatywały większe, śmiertelne odłamki. Sulien doszedł do wniosku, że lepiej je zupełnie ignorować, niż kulić się przy każdym wybuchu, gdyż inaczej nigdy się stąd nie wydostaną. Mimo to parokrotnie wywrócili się z Wariuszem lub musieli padać na ziemię i za każdym razem Sulien czuł, jak złamane kości przesuwają się w ramieniu, drzazga wbija się głębiej, a ból przeszywa całe ciało. Spróbował myśleć o czymś innym i w pewnej chwili skojarzył, że albo tuż przed tym, jak pierwszy wybuch cisnął nim w powietrze, albo, co bardziej prawdopodobne, kiedy ostatnie eksplozje powaliły go na ziemię, na chwilę ujrzał Lal. Jej obraz był barwny i wyraźny. Mimo że wciąż trzymał schowane w szufladzie biurka w domu jej pędzel i butelkę tuszu, które zabrał z rozbitego obozu, nie mógł

udawać, że przez ostatnie trzy lata nieustannie o niej myślał. Ze smutkiem zauważył, że nie potrafi przywołać jej obrazu na życzenie: wszystkie rysy rozmywały się, kiedy próbował się na nich skupić.

Mur łączył się z ogrodzeniem z siatki. Wariusz liczył na to, że może delikatniejsza siatka zawałiła się w wyniku eksplozji albo przynajmniej znajdą uszkodzenie, które pozwoli im przedostać się na drugą stronę. Ogrodzenie ciągnęło się jednak nienaruszone aż za nieustannie eksplodujący magazyn z prochem, okolony przez dywan ognia rozciągający się do budynku po drugiej stronie siatki. Przy magazynie płot leżał zwalony, ale nie mogli tam podejść ani nawet obejść go jakoś, żeby sprawdzić, czy jest przejście po drugiej stronie, nie zbliżając się jednocześnie za bardzo do płonącej montowni pocisków.

Przez chwilę zobaczyli przez kłęby dymu budynek zarządu. Z frontonu wymiotło wszystkie rzeźby, a boczna ściana runęła, odsłaniając pokoje na piętrach. Wariusz zaczął szarpać, próbując wyrwać siatkę w miejscu, gdzie łączyła się z murem, ale była zbyt solidnie umocowana. Zaczęli wołać o pomoc, ledwie słysząc własne głosy. W zasięgu wzroku nie było zresztą nikogo, kto mógłby im pomóc. Każdy, kto mieszkał czy pracował w pobliżu fabryki, z pewnością uciekł po pierwszej eksplozji. Mieszkańcy tej okolicy musieli zawsze żyć w strachu przed niebezpiecznym sąsiedztwem. Na pewno na miejscu wypadku pojawią się wkrótce wigilowie. Jeśli jednak nawet odważą się podejść dostatecznie blisko, to małe szanse, że znajdą ich na czas na tak olbrzymim terenie.

Wariusz i Sulien zaczęli razem szarpać za siatkę, kiedy kolejny pocisk przeciął powietrze, tuż przy samej ziemi, niebezpiecznie blisko nich. Jak na komendę rzucili się na ziemię,

zasłaniając głowy ramionami. Po chwili popatrzyli na siebie bezradnie.

Sulien nie miał poczucia, że się poddał - sam pomysł wydałby mu się wręcz szokujący, ale nie widział żadnego wyjścia z sytuacji. Syknął z bólu i ze zdziwieniem spostrzegł, że Wariusz ciągnie go za rękę, zmuszając do wstania.

- Co? - spytał.

- Ten pocisk. Może trafił w ścianę. - Wariusz ciągnął go w stronę baraków. - Leciał nisko. Musiał zrobić dziurę w murze.

Dobra, za chwilę - chciał powiedzieć Sulien, ale słowa go wystraszyły i uwięziły w gardle. Odchrząknął ze złością i zmusił się do ruszenia za Wariuszem. Wydawało się bez sensu podążanie w kierunku, gdzie poleciał pocisk. Sulien czuł, że nie da rady znowu rzucić się na ziemię i ponownie wstać.

Pożar z hukiem pochłaniał baraki, które zmieniły się w bezkształtną masę żarzących się belek, przykrytych gęstym dywanem ognia, unoszącym się postrzępionymi jęzorami płomieni, czemu towarzyszyły kłęby dymu. Cała konstrukcja rozpadła się i pokryła teren aż do muru, blokując przejście. Musieli okrążyć baraki. Wyszli na otwartą przestrzeń, mrugając oczami i czując, jak skóra zaczyna ich piec z gorąca. Sulien w dalszym ciągu starał się ignorować absurdalną wręcz bliskość niebezpieczeństwa, a nawet nucił pod nosem, chwilami dziwiąc się fałszywą nutą, którą wywoływało gorące powietrze. Od ciągłego rzucania się na ziemię i czołgania szarpiący ból w ramieniu odzywał się coraz głośniej. Idący przed nim Wariusz musiał co jakiś czas zwalniać, żeby Sulien nie został z tyłu. Suliena irytowało to, aż wreszcie, kiedy znowu zaczęli zbliżać się do muru, wyrwało go z drzemki, na którą sobie na chwilę pozwolił.

- Mur się zawalił! - Wariusz krzyczał mu do ucha. - Chodź, za chwilę będziesz mógł spać.

Rzeczywiście, ściana leżała w piramidzie osmalonego gruzu, a za nią widać było wyoraną w ziemi bruzdę, która kierowała się w stronę rzędu budynków i kończyła rumowiskiem. Zburzona ściana miała jednak w najniższym punkcie sześć stóp wysokości. Nie była to poważna przeszkoda, raczej łagodne wzniesienie niż barykada, ale Sulien od razu pomyślał, ile bólu będzie go kosztowała ta wspinaczka. Zmusił się do myślenia, że wszystko będzie w porządku, że już jest dobrze.

Zaczęli się z trudem wdrapywać, przypominając dwie osmolone żaby wspinające się na brzeg stawu. Sulien czuł, jak strużki krwi ściekają mu po skórze i wsiąkają w ubranie. Kiedy przesączony krwią materiał odchylił się od rany, Sulien zaciśnął zęby i powtarzał sobie w myślach: Wszystko w porządku. Wszystko w porządku.

Nastąpiła kolejna seria wybuchów.

Po drugiej stronie muru przeorana ziemia została zasypała płonącymi szczątkami. Ruszyli chwiejnym krokiem pustą drogą. Czasami musieli przystanąć. Wariusz znowu czuł w ustach smak dymu i płomieni. Niewielki zapas sił szybko się wyczerpywał. Jego płuca pracowały tak ciężko, że w końcu oparł się o otwarte drzwi jakiegoś domu i wypluł na ziemię czarną flegmę.

Zupełnie niespodziewanie dotarli do nich odgłosy inne niż huk płomieni i eksplozji w fabryce. Powietrze aż drżało od pokrzykiwania, gwizdów i dzwonek wigilów. Odgłosy dochodziły gdzieś z bliska. W końcu ujrzeli pierwszych ludzi biegnących przed nimi. Niektórzy coś nieśli w rękach, inni ciągnęli jakieś rzeczy po ziemi - sejfy, obrazy, rozbitą dalwizję - albo starając się je uratować przed ogniem i szabrownikami,

albo samemu kradnąc. Kawałek dalej tłum ludzi patrzył ze łzami w oczach w stronę fabryki. Wariusz i Sulien odwrócili się i ujrzeli wzbijający się w niebo potężny słup dymu i ognia. Osunęli się na ziemię i czekali na pomoc.

Wydawało się, że wielu ludzi w tłumie nie uciekało przed pożarem, ale przyszli popatrzeć lub pomóc, mimo że wigilowie i karetki pogotowia zostały już wezwane. Wariusz zdziwił się, jak szybko on i Sulien zostali podniesieni i położeni w samochodzie dostawczym sklepikarza.

Kierowca i jego żona z wylewnością zaczęli się o nich troszczyć. Tam gdzie ruch na zatłoczonych rzymskich ulicach na to pozwalał, mężczyzna jechał zbyt szybko. Kierując, nieustannie zapewniał ich, że wszystko będzie w porządku, mówił to takim tonem, jakby oczekiwał, że się sprzeciwią. Kobieta usiadła z tyłu obok nich i ze łzami w oczach zaczęła odgarniać włosy z twarzy Suliena, a następnie wzięła Wariusza za rękę, przysparzając mu bólu, kiedy dotknęła oparzeń. Wariusz pomyślał, że jest w tym coś absurdalnego, a jednocześnie był mile poruszony i nie wiedział, co powiedzieć. Leżąc obok, Sulien czuł się w obowiązku pocieszać kobietę i odpowiadać sennym głosem na jej pytania.

- Nic mi nie jest - powtarzał co chwila.

*

Una jechała przez Rzym w pałacowym samochodzie, który przebijał się przez korki z bezwzględną szybkością dodającą jej otuchy. Z przerażeniem dostrzegła słup dymu unoszący się nad miastem, kiedy była jeszcze całe mile od fabryki. W głowie, oczach i piersiach czuła rosnące napięcie. Miała ochotę się rozpłakać, ale nie zdołałaby, bo jakiś dziwny paraliż ogarnął całe jej ciało.

W końcu nie mogli dalej jechać, ulica była całkowicie zakorkowana. Jedni ludzie uciekali z miejsca wypadku, drudzy podążali w stronę fabryki. Una wyskoczyła z samochodu i nie oglądając się za siebie, ruszyła biegiem w kierunku dymu. Wkrótce natrafiła na kolejną przeszkodę - tłum ludzi starający się przebić przez kordon wigilów, którzy odpychali gapiów.

Jakiś oficer odepchnął ją bezceremonialnie. Coś takiego byłoby nie do pomyślenia w pałacu. Potrącana przez obsypanych sadzą ludzi, Una spojrzała na rysujący się na horyzoncie pałac jak na coś obcego, jakby nigdy w nim nie była. Jednocześnie ulica wydawała jej się konkretna i realna, jakby często tu bywała i teraz wróciła po dłuższej nieobecności.

- Tam jest mój brat - zaczęła mówić do oficera i uświadomiła sobie, jak często i bezskutecznie takie zdanie tu powtarzano. Cofnęła się kilka kroków i rozejrzała. Zauważyła płaczących ludzi. Płacz, jeśli chcesz, pomyślała, no dalej, inni też płaczą. Przypominało to próbę złapania oddechu, kiedy ktoś cię dusi. Na ułamek sekundy poczuła przyptyw żalu, z jej ust wydobył się cichy jęk, a oczy zwilgotniały. Jednak łzy nie popłynęły, a ona zdusiła bezlitośnie łkanie, jakby przełykała kulki papieru ściernego. Próba dania ujścia żalowi wzmogła jedynie napięcie, jakie odczuwała.

Odwróciła się mechanicznie i ruszyła przez tłum. Zatrzymała się przy mijanych drzwiach i nacisnęła klamkę. Zamknięte. Zignorowała je i spróbowała następne. Przeszła spokojnym krokiem przez odrapany mały pokój, nie patrząc na nic, i wyszła na boczną uliczkę. Puściła się biegiem w stronę fabryki, wołając „Sulien!”, ale ryk płomieni i wycie syren zagłuszyły ją kompletnie. Wiedziała, że było to zupełnie bezcelowe. Przypomniała sobie, jak ukryła się na więziennym promie i jak rozpoznała Suliena, gdy tylko wprowadzono go na

pokład, mimo upływu tylu lat. Teraz nie miała szansy tego poczuć, nawet jeśli Sulien przeżył. Krąg zniszczeń wokół płonącej fabryki, otoczony tłumem wstrząśniętych gapiów, był zbyt rozległy.

Szczypanie w oczach narastało, mimo że nie pojawiła się w nich ani jedna łza. Podniosła głowę i spojrzała na pomarańczowe jęzory ognia w kłębach dymu. Nawet z tej odległości czuła na twarzy ciepłe płatki popiołu. Tak jak przewidywała, wściekłość na Marka powoli jej mijała. Pojawiło się natomiast współczucie dla Suliena i Wariusza. Żałowała, że Marka nie ma przy niej. Chciała usłyszeć z jego ust, nawet bardziej niż poprzednio, że Sulien nie mógł zginąć. Pałac był teraz tak nieosiągalnie daleko, że przestraszyła się, że już nigdy nie ujrzy ukochanego.

Wyczuła w pobliżu obecność ludzi, gdzieś koło fabryki. Czyżby ktoś był tam uwięziony? Kiedy usiłowała się skoncentrować, dostrzegł ją jeden z wigilów. Zatrzymała się bezradnie na środku ulicy. Jej ubranie nie pasowało do tego miejsca. Sukienka w kolorze wrzosów, mimo że już pokryta warstwą popiołu, wyglądała zbyt niepraktycznie i ozdobnie, żeby ktoś mógł pomyśleć, że uciekła z pobliskiego domu przed pożarem. Pożałowała, że nie włożyła czegoś innego.

- Tam wciąż są ludzie - powiedziała ochrypłym głosem, kiedy zirytowany mężczyzna złapał ją za ramię i wypchnął za kordon. Nie próbowała stawiać oporu. To wszystko na nic.

Odnalezienie samochodu w tłumie zajęło jej tak dużo czasu, że poczuła złość. Wydała instrukcje kierowcy i usiadła sztywno z tyłu, próbując nie myśleć o niczym poza bielą.

Kiedy dotarli do kliniki, potwierdziły się napisane przez nią słowa, że Marek pierwszy się dowie, czy Sulien i Wariusz przeżyli. Marek jednak nie miał możliwości skontaktowania

się z nią. Una weszła sztywnym krokiem do środka i kiedy jakaś ręka schwyciła ją za ramię, drgnęła jak oparzona i dreszcz przebiegł jej po plecach. Potrzebowała chwili, żeby poczuć ulgę.

Aulus, którego widziała wcześniej z pięćdziesiąt razy, ale którego teraz w pierwszej chwili nie poznała, odezwał się z dziwną czułością.

- Una, Sulien jest tutaj. Nie jest mocno poparzony. Wyjdzie z tego. - Una patrzyła na niego tępo, starając się przypomnieć sobie, kto to jest. Na jego okrągłej twarzy malował się teraz szok. - Baliśmy się, że obaj zginęli - wyznał drżącym głosem.

Wariusz poprosił, żeby zawieziono ich do kliniki. Sulien leżał w korytarzu na noszach, które postawiono na stole.

- O, jesteś - powiedział swobodnym tonem. Una nie była przygotowana, że ujrzy jego bladą twarz i ciało zeszywniałe z bólu. Poczwała, jak wstrzymywane łzy napływają jej do oczu. Skryła je szybko, widząc, że i jego oczy zwilgotniały.

- To nic takiego - zaczął ją od razu uspokajać. - Sam wiem najlepiej, prawda? Dam radę się wyleczyć. - Zdobył się na powitalny uśmiech, który jednak szybko zniknął. - Miałem nadzieję, że niewolnicy z fabryki skierują się tutaj. Nikt jednak nie przyszedł, prawda?

- Może jeszcze tu dotrą - odparła Una.

Sulien skinął zgodnie głową, ale jego oczy pozostały pozabawione wyrazu. Nie wierzył w jej zapewnienia.

Do noszy podeszli sanitariusze i Aulus spróbował ją odciągnąć od brata. Musieli wyjąć kawałki drewna z rany. Sulien jednak złapał Unę za rękę.

- Poczekajcie, muszę z nią najpierw porozmawiać.

Chciał jej powiedzieć o tym, co zrobił Wariusz, oraz o

wydarzeniach z rana. Una słuchała go z poważną miną.

- Jak myślisz, czego chcieli? - spytała cicho.

Głowa Suliena opadła na poduszkę, a jego twarz skrzywiła się ze zmęczenia i powstrzymywanych łez.

- Nie wiem.

- Nie zbliżaj już się więcej do ciebie.

Sulien ponownie zdobył się na uśmiech, który na jego bladej twarzy był niezwykle słodki. Sanitariusze podnieśli nosze i odeszli z nim.

Una znalazła pustą klatkę schodową, usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Płacz nigdy nie przynosił jej ulgi. Irytowało ją nawet, że musi

dać ujście emocjom, które pojawiły się w miejsce strachu. Stłumiła szloch, kiedy jeszcze jej ciało trzęsło się całe, a mięśnie twarzy i piersi były napięte. Podniosła głowę i zamknęła oczy.

Czasami wydawało jej się, że wierzy w jedyne Boga ze względu na Damę, Delira i Lal. Od tego czasu więcej czytała, zwłaszcza o innych religiach, które dawno temu wygasły lub których wyznawców wytępiono. Nie mogła nie zauważyć, jak często w imperium kobiety i niewolnicy, którzy zebrali o równe traktowanie, chcieli wierzyć, że ich życie ma jakiś sens, że po śmierci znajdzie się dla nich miejsce. Możliwe, że nie było w tym nic więcej, a Una nie chciała być naiwna. Jednak czasami wierzyła w Boga. Jadąc samochodem, wyobraziła sobie biały punkt, który zaczął się rozrastać w jej głowie w nieskończoną burzę śnieżną, wygładzając wszechświat. Jako niewolnica w Londynie codziennie uciekała się do tej sztuczki, żeby nie oszaleć. Teraz czasami zdarzało jej się ukrywać w ten sposób, kiedy musiała. Patrzyła na biel, która w jej głowie była żywą, nieprzeniknioną przestrzenią, a nie zwykłą bladością.

Dumała nad nią, ale nie tyle z wdzięcznością - która wydawała jej się bezsensowna i wręcz niestosowna - ile raczej z poczuciem niezrozumienia. Wciąż czuła większą złość, że mogło dojść do czegoś takiego, niż wdzięczność, że Sulien żyje. Była wściekła z powodu jego złamanej ręki, rany w boku i dymu, którego się nawdychał, a jeszcze bardziej przestraszona tym, jak bardzo odbija się na nim cały ten dzień. Tylu ludzi zginęło zupełnie bez powodu. Po chwili trochę się uspokoiła. Był jeszcze ktoś, komu chciała podziękować.

Najpierw musiała zadzwonić do Marka. Kiedy w końcu usłyszała jego głos, łzy znowu zaszczyły ją w oczy, ponieważ bardziej niż kiedykolwiek pragnęła być przy nim, a nie mieli szansy teraz się zobaczyć.

- Muszę tu zostać - mruknęła. Opowiedziała mu o ataku na Suliena w Suburze.

- Sulien myśli, że te sprawy są powiązane? - spytał Marek ze współczuciem.

- Tak. Nie wie jednak w jaki sposób. Ja też nie mam pojęcia. Co takiego może łączyć oba zamachy? Ale z drugiej strony, jak to możliwe, że zdarzyły się tego samego dnia?

- No cóż, fabryka ciągle płonie, więc wigilowie nie rozpoczęli jeszcze śledztwa. Na pewno nie było to bombardowanie z powietrza.

Nie wiemy, czy nie był to wypadek. Wariusz już wcześniej ostrzegął, że tam jest bardzo niebezpiecznie.

- Daj spokój. Wiemy, że to nie mógł być wypadek.

Marek westchnął niewyraźnie.

- W takim razie zostań z nim. Przyślę wam eskortę pretorianów.

- Dzięki.

- Żałuję, że nie mogę się stąd wyrwać - dodał.

- Książę zgodził się na twoje warunki, prawda? Pojedziesz do Bian? - zapytała w końcu.

- Tak, ale liczę, że będziesz mi towarzyszyła.

Una uśmiechnęła się.

- Jeśli uznam, że Sulien jest bezpieczny.

*

Znalazła Wariusza w niewielkim pokoiku na piętrze. Ku zdziwieniu Uny nie leżał w łóżku, które stało pod ścianą, ale stał na środku pokoju. Kiedy Wariusz wstał, szok wywołany przeżyciami dnia dopadł go w pół kroku, a na jego zmęczonej twarzy pojawił się absurdalny wyraz oczekiwania. Gdy Una weszła do pokoju, Wariusz wyglądał, jakby na nią czekał. Jego oparzenia zostały opatrzone, a on ubrał się w rzeczy pożyczone. Nowe ubranie wyglądało dziwnie w zestawieniu z popalonymi rzeczami, które miał na sobie w fabryce. Jak dotąd nikt z personelu kliniki nie chciał się pogodzić z tym, że wstał, i nie dano mu butów.

- Nie powinieneś jeszcze wstawać - rzekła Una.

- Nienawidzę szpitali - odparł Wariusz. Zauważył, że kiedy mówił szeptem, ból w piersiach nie był tak dojmujący, a jego głos brzmiał bardziej normalnie.

Una uśmiechnęła się.

- Przecież pracujesz w szpitalu.

- Łóżka szpitalne. Nie mam nic przeciwko kładzeniu do nich innych ludzi.

- Nic ci nie będzie?

- Nie - odparł Wariusz z nutą zdziwienia w głosie. - Jestem pewien. - Uprzedzono go o możliwych konsekwencjach nałykania się takiej ilości dymu, ale czuł, że mu to nie zaszkodzi. Powtarzał sobie, że musi tylko dotrzeć do domu i pomy-

śleć. Zaraz jednak poprawiał się,

czując śmiertelne znużenie pulsujące w całym ciele, że nie pomyśleć, ale spać. Tutaj nie mógł ani spać, ani myśleć.

- Uratowałaś Sulienowi życie. Dziękuję - powiedziała szybko Una formalnym tonem, jakby zwracała się do całego audytorium. Zaraz jednak dodała: - Nie wiem, jak ci dziękować.

Jej głos był poważny i oficjalny, ale Wariusz spostrzegł, że własne słowa nią wstrząsnęły.

- Ja... miałem szczęście, że nie straciłem przytomności na początku i że dostałem szansę - odparł niezdarnie. Czuł przerażenie, nie z powodu samych podziękowań, ale zaskoczyła go ich gwałtowność i nie wiedział, jak zareagować. Mimo to nie żałował, że przyszła do niego. Wyglądała krucho i blado i z pewnością w tej chwili nie chciała być sama. Wariusz także na razie nie chciał być sam. Stali i rozmawiali niezdarnie - Una opowiedziała mu o umowie Marka z księciem - dowodząc, że coś tak zwyczajnego jest możliwe. Wariusz poczuł, że ma ochotę położyć jej rękę na ramieniu, i zrobił to, choć wiedział, że go to zaboli. Przez bandaż na rękę poczuł falę gorąca.

Drzwi do pokoju były zamknięte, kiedy lekarze go badali i później, kiedy przebierał się w pożyczone ubranie. Wchodząc, Una zostawiła je otwarte - Wariusz był pewien, że celowo, ze względu na niego. Poczul do siebie pogardę, lecz zaraz pojawiła się też ulga. Nawet jeśli zawsze już taki będzie, to co z tego? Czy komuś to szkodzi?

Był tak zmęczony, kiedy dotarł do domu, że niemal przyznał rację, iż opuszczenie kliniki było pomyłką. Upadł na łóżko, ale nie mógł zasnąć. Czuł, jak sen przepływa gdzieś blisko, cieszył się już jego nadejściem, ale ten w ostatniej chwili uciekał. Oczy Wariusza otwierały się same, serce zaczynało

walić jak młot i przez głowę przebiegała myśl: nie, jeszcze nie, jeszcze chwilę - jakby prawdziwym luksusem było czuwanie. Powtarzał sobie, że choć fabryka spłonęła, to musi pamiętać, żeby powiedzieć Markowi o tym, czego dowiedział się na temat Salwiusza. Był ciekaw, czy przeżył ktokolwiek z ludzi, których widział pierwszy i jedyny raz tego dnia - chora na żółtaczkę kobieta na dziedzińcu, zestresowana urzędniczka, Prokulus, ktoś z zapracowanych niewolników w hali produkcyjnej. Usiadł na łóżku i patrzył w ciemność, w której niczym na wielkim ekranie rysował się najbardziej prozaiczny obraz, jaki widział tego dnia - kawałek muru, który ujrzał, odzyskując przytomność. Gdyby umiał rysować, mógłby odtworzyć skomplikowaną siatkę pęknięć i suchych łodyg winorośli. W końcu przestał głowić się nad tym, co ten obraz mógł znaczyć, i zapadł w niespokojny sen.

W pewnym momencie obudził się z chaotycznych koszmarów pełnych młotów i ognia i leżał zeszywniały, drżąc lekko, ale czując działanie adrenaliny. Ze zniecierpliwieniem spostrzegł, że to jeszcze nie rano, że wciąż jest okropnie zmęczony, wkrótce też zdołał ponownie zasnąć. Musi porozmawiać z Markiem z samego rana. Był świadom, że prośenie o pracę, którą wcześniej odrzucił, jest lekką bezczelnością, ale pomysł wydał mu się teraz ekscytujący. Chciał jechać na negocjacje do Bian, chciał być wolny i nigdy nie musieć żebrac u takich ludzi jak Prokulus o ochłapy. Nie zapomniał o klinice, ale w tej chwili postrzegał ją tak samo jak na początku: jako coś dobrego i nieprawdopodobnego. Mógł ją opuścić.

*

Una krążyła niespokojnie po klinice, deptała po schodach, wychodziła do poczekalni i spoglądała przez szereg

pretorianów na ulicę. Gdy wyjrzała przez okno na piętrze jakąś godzinę po tym, jak zapalono lampy uliczne, jej uwagę zwrócił jeden przechodzień, który spojrzał na budynek i pretorianów stojących na schodach. Był to młody mężczyzna, który krył się w cieniu, i Una nie potrafiła powiedzieć, czy pasował do opisu mężczyzn z mieszkania. Jednak nawet ten nic nieznaczący i zupełnie zwyczajny sposób, w jaki mężczyzna przechodził przed kliniką, zupełnie wytrącił ją z równowagi. Przypomniała sobie, jak sama mijała posterunek wigilów w Londynie, zdecydowana błyskawicznie zauważyć wszystko, co istotne. Wyczuła nawet, jak mężczyzna skoncentrował swoją uwagę wyłącznie na klinice. Była przekonana, że chciał wywiedzieć się, czy Sulien żyje i czy jest w środku. Musiał zrozumieć, co znaczy obecność pretorianów. Na piętrze drzwi Suliena pilnował strażnik, ale kiedy Una go zawołała do okna, nie było już nic do pokazania - mężczyzna zniknął. Z frustracją spostrzegła, że kiedy próbuje go opisać, nie znajduje żadnej charakterystycznej cechy, nic szczególnego. W monochromatycznym świetle nie potrafiła dostrzec koloru jego włosów czy ubrania. Miała nawet problem z wyjaśnieniem, co wzbudziło jej niepokój. Strażnik mógł tylko przekazać pretorianom, by uważali, czy tak niejasno opisana postać nie zbliża się do kliniki. Una wybiegła na ulicę przekonana, że gdyby spotkała mężczyznę, odczytałaby jego myśli. Nikogo jednak nie spotkała.

*

Sulien stłumił ból w ramieniu i w boku, a także pieczenie spowodowane oparzeniami, ale sen i tak mu umykał, jak ziemia wymywana wodą z korzeni. Gdzieś w głębi czuł lęk, że ludzie z Subury - czy ten, dla kogo pracowali - znowu będą chcieli go złapać. Jednak to nie strach nie pozwalał mu zasnąć,

lecz przyprawiające o zawrót głowy zdumienie. Sulien wyteżał pamięć, przypominając sobie kilka minut, które spędzili w wielkiej montażowni. Siłą woli zmuszał obraz do zastygnięcia, żeby móc lepiej zajrzeć w rozpaloną ciemność i policzyć ludzi, przyjrzeć się twarzom, wyszukać w nich coś, co pozwoli mu ich zapamiętać. Męczyło go nawet poczucie winy za to, że nienawidził Prokulusa w jego ostatnich chwilach życia. Teraz mógł wyobrazić go sobie z rodziną, jak wie dzie swoje życie z klapkami na oczach. Zaraz jednak znowu wróciła nienawiść za to, że trzymał tych wszystkich ludzi w tej morderczej pułapce. Nie mógł tolerować, że ktoś tego nie rozumiał. Oczywiście chciał się dowiedzieć, kto to zrobił, głównie jednak dlatego, żeby poznać powód. Niemożliwe, by atak w Suburze i eksplozja w fabryce to były zamachy na jego życie. Nie, to było niepojęte. Nikt by się na to nie poważył, nikt nie zniszczyłby tak wiele. Jak można zabić tysiąc osób, żeby dostać jedną? Tylko szalenciec tak by postąpił.

ZJAWA

Miał przynajmniej cień szansy. Jakiś tydzień, może dłużej. Prawdziwy pech, że Sulien nie zginął w Veii, ale za to nie było go w pałacu. Druzus zdecydował, że warto spróbować jeszcze raz porozmawiać poważnie z wujem.

Zajął piękną willę na Kwirynale. Dom był nowy i pod każdym względem idealny. Miał także odpowiednie pokoje dla Amaryllis, która została sprowadzona z Bizancjum wraz z częścią jego rzeczy. Czysta świeżość domu pozwoliła mu wyciszyć się na chwilę, ale po jednym, dwóch dniach, i z powodów, których do końca nie rozumiał, poczuł się odizolowany i wpadł w panikę. Zbyt często potrzebował także Amaryllis. Urządził więc w pośpiechu przyjęcie, wydając mnóstwo pieniędzy na jedzenie, napitki, muzyków, tancerki o złotej cerze i kurtyzany. Przez całą długą noc Druzus był półprzytomny, zarówno z powodu wypitego alkoholu, jak i nerwów. Rankiem dom przypominał cuchnącą melinę, pełną rozdeptanych płatków róż i wymiocin, co, o dziwo, bardzo Druzusowi pasowało. Bałagan był jednak tak okropny, że przeniósł się do domu ojca, kiedy niewolnicy zajęli się sprzątaniami. Zarówno w czasie tego pobytu, jak i wcześniej przez dwa tygodnie, kiedy szukał willi, ojciec z zapałem, przypominającym troskliwość psa, usiłował zatroszczyć się o niego, zadbać o jego szczęście. Druzus był świadom tych drobnych zabiegów - cichych pytań Lucjusza, co by zjadł, troski o jego zdrowie - i z cynizmem myślał, jak spóźnione są to zachody, jak absurdalne. Ze zdziwieniem zorientował się, że podoba mu się to, że lubi, kiedy się o niego troszczą. Nie przeszkadzało mu nawet, kiedy Lucjusz pytał łagodnym tonem, czy myślał o tym, żeby się ożenić.

- Zapewniam cię, że niedługo się tym zajmę - odpowie-

dział zgodnie z prawdą Druzus. Nie widział powodu, żeby żona przeszkadzała mu w czymkolwiek.

Pewnego razu - o wiele bardziej nieśmiało, gdyż lęk przed synem czynił jego mowę niewyraźną, i Druzus niezbyt rozumiał, o co pyta ojciec - Lucjusz spróbował znowu podjąć rozmowę na temat tronu. Tym razem Druzus, który powoli zaczynał zyskiwać nadzieję i budować zręby planu, nie miał ochoty o tym mówić.

Kiedy jednak pojechał do Złotego Domu, nadzieja na rozmowę z Faustusem szybko się rozviała. Z początku obawiał się, że nie pozwolą mu zobaczyć się z wujem. W końcu spokojny i uparty lekarz zezwolił mu na odwiedziny, ale za nic nie dał się namówić do zostawienia ich samych. Nie ukrywał też, że to Druzusa ma pilnować, a nie Faustusa.

- Mam wyraźne instrukcje - powtarzał z uporem.

Faustus mógł je łatwo zmienić, ale siedział tylko niespokojnie na krześle i zdawał się nie dostrzegać zniecierpliwienia gościa. Jego ochryply głos było wyjątkowo trudno zrozumieć. Faustus spostrzegł zdumienie Druzusa i na jego twarzy pojawił się grymas złości. Nie sprzeciwił się ani słowem, kiedy w końcu Druzusa wyproszono z sali.

Przygnębiony Druzus zawędrował przypadkiem do jednej z galerii pałacowych. Zirykowało go, że obrazy nabijają się z niego, i czuł się zmęczony. Było jeszcze wcześniej, ale światło zalało już salę złotym ciepłem. Druzus patrzył ponuro na olbrzymie płótno przedstawiające Oppiusza - pierwszego cesarza Nowiusza, który stał w heroicznym i bezmyślnym geście odwagi na szczycie prymitywnego wozu bojowego, przyjmując poddaństwo Nionian pod Abenacją. Jego ramię było wzniesione, a z dłoni ku śnieżnemu niebu płynęła wstęga płaszcza niczym sztandar lub para czerwonych skrzydeł zasłaniających

całą ćwiartkę płótna. Druzusowi obraz wydał się dodający otuchy. Był ciekaw, czy to Oppiusz w tej rodzinie pierwszy oszalał. Nie, raczej nie, gdyż inaczej dynastia skończyłaby się na nim i Druzus nie stałby teraz przed tym płótnem. Nawet by nie istniał. Co za dziwaczna myśl.

Rzecz jasna, znał w zarysach historię rodzinnego szaleństwa, ale zawsze unikał wsłuchiwania się w nią dokładnie i do końca. Kiedy Druzus był już dostatecznie duży, żeby zrozumieć, nie rozmawiał jednak z matką na ten temat. Lucjusz był chory, a przynajmniej tak wierzyli. Druzus pamiętał, jak skończył dziesięć lat, a Leon w ogrodzie opowiedział mu mit o grzechu i potępieniu. Druzus wyczuwał, że Leon chciał w okrutny sposób wytknąć mu fakt, że jest synem Lucjusza, lub może ukarać go niesprawiedliwie za to, że sprowokował dwuletniego Marka do płaczu, choć Druzus nie miał z tym nic wspólnego. Wyrwał się wtedy przestraszony i nieszczęśliwy i pobiegł do matki.

Był tu jeszcze z jednego powodu: miał pojawić się na spotkaniu na temat rozmów pokojowych, podczas których zapadnie decyzja, kto weźmie w nich udział, a kto zostanie. Mimo że po ostatniej wpadce nie miał ochoty na spotkania, to postanowił nie poddawać się tak łatwo. Doszedł do wniosku, że musi porozmawiać z jedną osobą, o której pomyślał, oglądając obraz. Wykalkulował, skąd Salwiusz powinien nadejść, i czekał na niego. Kiedy zaczęli zbierać się senatorowie, Druzus ruszył za nim do sali bankietowej w pokoju z lustrami. Salwiusz szedł ze spuszczoną głową, pełen ponurych myśli.

- Właśnie wychodzę z galerii - oznajmił Druzus.

Salwiusz, wyraźnie obojętny, chrząknął, jakby był zajęty.

- Zastanawiałem się, co Oppiusz by powiedział na ten temat? -dodał Druzus, pozwalając sobie na nutę fatalistyczne-

go humoru w głosie. Salwiusz rzucił mu ostre spojrzenie i Druzus dokończył myśl. -O tym, co ty robisz. - Ponieważ Druzus potrzebował nastroić się do rozmowy, poczuł to samo co Salwiusz: lęk o Rzym, którego przyszłością Marek tak nierozsądnie zonglował. Gdzieś w głębi duszy pozwolił sobie jednak na przeświadczenie, że wszystko dobrze się skończy. Rozmowy pokojowe były bzdurą, zwykłą zasłoną dymną, ale przynajmniej odciągną Marka od Rzymu.

Salwiusz roześmiał się ponuro i Druzus spostrzegł, że sprawiło mu to ulgę.

- Pewnie coś by z tym zrobił - powiedział Salwiusz.

- Więc może jest to lekcja - zauważył Druzus.

Te słowa wywołały w Salwiuszu mieszaninę podniecenia i obaw, zanim jeszcze zrozumiał, o co chodzi Druzusowi. Przypomniały mu myśli, które naszyły go w spiraloście, gdy trzymał topór i trzciny. Zastanawiał się wówczas nad tym, czym jest zdrada. Druzus nie ciągnął jednak tematu, a jego mina pozostała neutralna. Z ulgą, choć niechętnie, Salwiusz zdecydował, że ta uwaga nic nie znaczyła.

Druzus zostawił mu sekundę, żeby doszedł do tego wniosku. Instynkt podpowiadał mu, żeby nie patrzeć na Salwiusza, kiedy to mówi, nie nadawać zbyt wielkiej wagi swoim słowom i liczyć, że Salwiusz zareaguje po jego myśli.

- No cóż, powinieneś wiedzieć, co się dzieje, nawet jeśli ja nie mam pojęcia - rzekł lekkim tonem. - Czy słyszałeś, kto przejmie władzę, kiedy on będzie w Sinie?

- Zdaje się, że Eudoksjusz. Nawet na pewno.

- Ach tak?

- Dobry wybór w tych okolicznościach - powiedział z nieszczęśliwą miną Salwiusz.

- A nie mógłbyś to być ty? - spytał Druzus.

- Bardzo by mnie to zdziwiło.

- Szczerze mówiąc, mnie też, sądząc po tym, jak się sprawy mają. Gdyby jednak sytuacja była inna, to mógłbyś się tego spodziewać. -Druzus kroczył obok Salwiusza w milczeniu, czując, że nie musi nic więcej mówić. Wystarczyła jego obecność. Eudoksjusz był senatorem z Armenii. Druzus świetnie rozumiał, czemu Marek go wybrał, i przyznawał, że był to dobry wybór. Eudoksjusz był cierpliwy i bystry, ale swoją pozycję w senacie osiągnął bez pośpiechu i wysiłku i teraz był w wieku Faustusa. Trudno go podejrzewać o nagły przyptyw ambicji. Świetnie da sobie radę na stanowisku, nie stwarzając jednocześnie zagrożenia.

- Oczywiście - powiedział po chwili Salwiusz. Miał niewyraźną minę. - Tak naprawdę to ty masz największe prawa do tego stanowiska. Cesarz chciałby...

- Chce - poprawił go cicho.

- Tak powiedział?

- Mój wuj? Podejrzewasz, że pozwalają mu coś powiedzieć?

- Co masz na myśli? - spytał Salwiusz, nagle zaniepokojony. Druzus westchnął i potrząsnął głową.

- Zresztą jakie to ma znaczenie? Przypuszczałem, że jego intencje są jasne od samego początku. Ale może się mylę, może tak jest lepiej. Nie mogę konkurować z tobą czy Eudoksjuszem, jeśli chodzi o doświadczenie. Nie jestem też wiele starszy od mojego kuzyna. Myślę jednak, że słuchałbym mądrzejszych ludzi niż on. I nie uwierzyłbym tak łatwo w zapewnienia Nionian o niewinności. Spojrzał na Salwiusza i obaj się uśmiechnęli.

*

Rana w boku Suliena zagoiła się, a on postarał się, żeby połamane końce kości szybciej się zrosły. Jak wyjaśnił Unie, przypominało to bardziej sklejenie. Złamanie nie ograniczało mu jednak ruchów ręki, a po kilku dniach nie będzie musiał nawet zachowywać ostrożności przy ruszaniu nią. Sulien był raczej w dobrym humorze, biorąc pod uwagę, co przeszedł. Przeciwności losu nigdy go nie załamywały. Jego mieszkanie było teraz pełne przyjaciół, którzy wyciągali go na zabawy i wyścigi, ciągnąc za sobą małą świtę ochroniarzy, lub przychodzili z winem i upijali go w domu. Tancorix przyszła z małą Xanthe, która zaczęła szarogęścić się w mieszkaniu, usiłując rozweselić Suliena. Una ze zdziwieniem spostrzegła, że jej się to udało. Częstokroć jej brat był podekscytowany, by niespodziewanie opaść z sił na kilka sekund, mięśnie rozluźniały się wówczas i krew odpływała z twarzy, a oczy nieruchomiały, zapatrzone w jakiś odległy punkt.

Dręczyła go nie tylko myśl o niewolnikach z fabryki - zginęło o wiele więcej ludzi. Przez całą noc ogień pustoszył Rzym, oświetlając go niczym fałszywy świt. Dopiero późnym rankiem wigilom udało się go opanować, ale trzech z nich zginęło w płomieniach. Więcej osób zabiły pociski, które trafiły w domy przy sąsiednich ulicach. Liczba ofiar osiągnęła już sześćdziesiąt. Ostatni był ojciec dwójki dzieci, któremu płomień poparzyły płuca. Sulien nie przestawał myśleć, że gdyby wiedział o nim, mógłby uratować mu życie. Przez cały dzień nachodziło go falami poczucie winy i wściekłość, że nikt mu nie powiedział. Una jeszcze nigdy nie widziała go tak rozłoszczonego. Z frustracją przypominała sobie, jak nie chciał nikogo winić za to, że usiłowano go ukrzyżować.

Nie miał nawet pojęcia, ilu było rannych. Przy liczbie zmarłych ranni jakby zeszli na drugi plan, ale Sulien myślał o

bólu: o połamanych kręgosłupach, urwanych kończynach, bliźnach.

Powoli zaczął przychodzić do pracy, choć nieregularnie i tylko żeby załatwić konkretne sprawy: zająć się oparzeniami Wariusza, spróbować naprawić zniszczoną twarz Bupe. Kiedy pojawiał się w klinice, trudno mu było ją opuścić, zawsze znalazł się ktoś, kto potrzebował pomocy. Zastanawiał się, czemu męczyło go to bardziej niż kiedyś, kiedy jego ciała praktycznie nic nie dolegało. Pewnego dnia dowiedział się, że Bupe odeszła. Wyglądało na to, że wymknęła się w nocy przez okno pomimo niesprawnej ręki. Czasami takie rzeczy się zdarzały. Jednak tym razem Sulien czuł się osobiście dotknięty, jakby to była jego wina. Zaczął się przywiązywać do Bupe i ze zdziwieniem przypominał sobie, że przywieziono ją jeszcze przed katastrofą w fabryce. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że została ranna w eksplozji, że była tam razem z nim i Wariuszem.

Chciał zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Una pragnęła nakłonić go, by dał sobie spokój, ponieważ do tej pory pamiętał tylko to, co mu było potrzebne.

Marek przyjechał do domu Suliena jak najszybciej, w jednym z najprostszych pałacowych samochodów i w zwykłym ubraniu, żeby zachować anonimowość. Jednak wspomnienie Marka w purpurowej szacie tak kontrastowało z jego obecnym wyglądem, że siedzący na podłodze Sulien z obtłuczonym kieliszkiem wina w ręku patrzył na niego ze zdziwieniem. Marek, oczywiście, przyjechał z własną ochroną. Obie grupy pretorianów tłoczyły się teraz na schodach, stojąc sztywno przy oknach.

Sulien wszedł do sypialni, gdzie jeden strażnik obserwował przez okno ulicę.

- Może przyłączysz się do nas? - zapytał Sulien.

- Nie mogę - wymamrotał mężczyzna zawstydzony, że ktoś do niego się odezwał.

Sulien wzruszył ramionami i wrócił do Marka i Uny, mrużąc pod nosem:

- To bez sensu. Jak możesz tak żyć?

- Dłużej, niż miałbym szansę bez nich. Historia jednak pokazuje, że nie zawsze to działa - rzekł Marek.

Sulien nie odpowiedział mu uśmiechem.

- Chciałbym, żeby coś się stało, żeby mogli się wykazać. - Po tych słowach pomyślał z wyrzutami sumienia o Leonie i Kłodii, choć to Marek pierwszy o nich napomknął i nie wyglądał na urażonego.

Una wzdrygnęła się.

- Nie mów tak - rozkazała.

- Och, daj spokój - odparł zirytowany Sulien. - Miałem na myśli, że nie potrzebuję ich. To, co się stało, to pewnie... - Nie umiał jednak znaleźć odpowiedniego wyjaśnienia.

- A co będzie, jeśli odejdą i ktoś cię zabije? Nie masz wyboru - powiedział Marek z autorytatywną nutą w głosie, która nie przypadła Sulienowi do gustu.

- Nie możesz tak do mnie mówić - zaprotestował. Roześmiał się i złapał skórzaną teczkę na dokumenty, która leżała na sofie za nim. Rzucił nią w Marka, z pełnym niedowierzaniem uśmiechem na ustach, i trafił go w głowę mocniej, niż zamierzał. - Możesz być sobie cezarem, ale nie będziesz mi rozkazywał.

Marek równie mocno cisnął w niego teczką.

- Ale właśnie ci rozkazuję - powiedział ponurym, na wpół kpiącym tonem.

Rzucili się na siebie i zaczęli siłować. Ich twarze poczerwieniały z rozbawienia i frustracji. Po chwili do pokoju

wpadł strażnik zwabiony odgłosami walki.

- Wszystko w porządku - sapnął Marek.

Sulien puścił go i Marek opadł na krzesło.

- Mógłbyś dać mi pistolet i puścić ich do domu - zaproponował Sulien. - Jeśli coś by mi się stało... - Po plecach przeszły mu ciarki, kiedy przypomniał sobie, jak przed laty trzymał broń w ręku.

- Nie mam żadnego dowodu, że potrafisz w coś trafić - rzucił gromkim głosem Marek, celowo parodiując cesarską arogancję.

- Sulien, to tylko do czasu, aż dowiemy się, co zaszło - powiedziała Una.

Sulien westchnął.

- Wiesz już coś? - zapytał Marka.

- Słyszałem pogłoski, ale masz rację - to mógł być wypadek.

Sulien zamrugał, kojarząc ze zdziwieniem, że naprawdę tak powiedział. Una poznała po jego twarzy, że jest zmęczony.

- Nie sądzę, żeby to był wypadek - rzekł. - Nie wiem, czemu tak powiedziałem. Nie mów, że wierzysz, że to mógł być wypadek.

- Nie wierzę - odparł ostrożnie Marek. - Ale nie mam pojęcia, czy dlatego, że to mało prawdopodobne, czy też dlatego, że to było wyjątkowo okropne. Wielu ludzi mówi, rzecz jasna, że to robota Nionian. Ja jednak wierzę Tadahito. Chyba że zdarzyło się to bez jego wiedzy, ale nie, nie sądzę... - Urwał, wstrzymując oddech pod wpływem nowych wątpliwości. Na szczęście to uczucie zwątpienia nie pojawiało się ostatnio tak często. - Może to robota Afryki. Jednego z tych państw przygranicznych. Nie czują się zbyt komfortowo z takim sąsiadem jak my. Pewnie woleliby, żebyśmy nie byli tacy silni i żebyśmy

skoncentrowali się na Nionii. Podejrzewam, że to może ktoś wewnątrz imperium. Terranowa czy Etiopia. Może Indie.

- Separatyści. Ale czy oni nie przyznaliby się do zamachu?

Marek miał niewyraźną minę. Ku zdumieniu Suliena powiedział:

- Przyznali się. Ale... takie rzeczy się zdarzają. „Nadchodzimy i pokażemy więcej...”. Zdarzyło się to nawet wtedy, kiedy się ukrywałem. Jest jednak coś innego. Niejaki Atroniusz podjął pracę w Veii dwa tygodnie przed zamachem. Był zarządcą niewolników.

- I?

- Był z Mai - powiedział Marek.

- I to wszystko? Ważne skąd pochodził? To jest Rzym.

- Podobno był tam związany z jakimś ruchem. Choć tak naprawdę niewiele to wyjaśnia. Możliwe, że po prostu chodził z kimś do szkoły albo był przyjacielem czyjś kuzyna czy coś takiego. Nic więcej nie udało mi się dowiedzieć.

- Udało mu się przeżyć wybuch?

- Nikt go nie widział. Może przeżył. Może spowodował eksplozję i ukrył się. Jeśli to robota kogoś z wewnątrz, to on jest najbardziej podejrzany. Ale naprawdę nic więcej nie wiem. Przykro mi.

- Ale po co miałyby pracować tam aż dwa tygodnie? Wystarczyłoby, żeby dostał się do pracy, przygotował zamach i zniknął. No i -słowa nie bardzo chciały przejść mu przez gardło - czemu akurat, kiedy ja tam byłem? To znaczy czemu zaraz po tej napaści w Suburze...

- Może sądzili, że zyskają coś, jak cię uprowadzą albo... zabiją -odparł Marek. - Może spodziewali się, że będzie to wyraźniejszy sygnał, jeśli zdarzy się tego samego dnia. - Marek

opierał się o krzesło, na którym siedziała Una. Wziął jej dłoń i spojrzał na nią z niepokojem. - Ty też musisz zachować ostrożność. Naprawdę powinnaś.

- Jestem ostrożna - zapewniła go spokojnie.

Sulien wziął teczkę, którą wcześniej cisnął w Marka, wyjął z niej pióro i zaczął się rozglądać za kartką papieru, żeby zapisać imię Atroniusza.

- Co robisz? - spytał Marek, gdy Sulien znalazł to, czego szukał.

- Nie wiem. Nic. - Kiedy czytał napisane drukowanymi literami imię, rzeczywiście nie miał pojęcia, czemu je zapisał. Wziął głęboki oddech i spojrzał na Marka i Unę. Marek puścił jej dłoń, a ona patrzyła przed siebie i zastanawiała się nad czymś. Miała skupiony i poważny wyraz twarzy.

- Una, czemu nie wrócisz z nim? - spytał niespodziewanie Sulien.

Spojrzała na niego.

- Nie powinnam jeszcze.

- Ale chcesz tego. Chcesz jechać do Siny.

Nic nie odpowiedziała, ale patrzyła na niego surowym wzrokiem. Sulien usiadł bliżej Marka.

- Marku, potrzebujesz teraz każdej pomocnej dłoni, prawda? Zawstydzony Marek zaśmiał się lekko, ale nie zaprzeczył.

- Muszę wiedzieć, że jesteś bezpieczny - wtrąciła się Una.

- A co mi może grozić? Mam własną ochronę. Chyba że podejrzewasz, że któryś z jej członków jest nielojalny?

- Nie - przyznała Una z wahaniem.

Sulien starał się wyglądać spokojnie, kiedy spojrzeli na siebie. Wskazał na pokój, w którym pretorianin pełnił wartę.

- Mam ich. Jedź. Nie chcę, żebyś tu siedziała z mojego

powodu. Naprawdę cię proszę. Pojedź.

Una chrząknęła. Sulien miał rację, że bez niej Marek był bardziej odsłonięty. Chodziło jednak o coś więcej: nie chciała zostawiać Marka sam na sam z Druzusem. Od czasu eksplozji w fabryce czuła jeszcze większą potrzebę przyjrzenia się kuzynowi Marka. Nie podejrzewała, żeby to on za tym stał. Nie miała pojęcia, jak znaleźć tego, kto był odpowiedzialny za atak na Suliena. Jeśli jednak w jej pobliżu czaiło się tyle niebezpieczeństw, czuła, że musi je jak najszybciej poznać. Jeśli Druzus nie miał nic wspólnego z Tulliolą, Gabiniuszem i całą tą resztą, to powinna jak najprędzej się o tym dowiedzieć i przestać marnować na niego czas.

*

Druzus zmieszał wodę z odrobiną wina w bezpiecznych proporcjach jak na tę porę dnia. Zauważył jednak, że Marek nie tknął wina, nawet rozcieńczonego. W porządku, pomyślał, odstawiając nietknięty kieliszek. Jeśli nie zamierzasz ryzykować, to ja też nie będę. Dał znak niewolnikowi, żeby zabrał kieliszek. Nie chciał później wziąć go przez roztargnienie. Kiedy chłopiec się zbliżył, Druzus poczuł się niewyraźnie, i to bez żadnego powodu. Chłopiec zareagował z ledwo widocznym ociąganiem na wezwanie, jego palce wzięły szkło odrobinę niedbale, a kroki były zbyt głośne, gdy się oddalał. Zamiast szybkiej, bezosobowej, niezauważalnej obsługi Druzus wyraźnie zauważył twarz chłopca: jej wyraz był swobodny i może nawet lekko szyderczy. Także inne rzeczy mu nie pasowały, dziwnie powoli Druzus skojarzył fakt, że nie są to już niewolnicy. Na końcu stołu utworzyła się mała kałuża wody, która skapywała na podłogę. Wiatr porozrzucał pomiędzy talerzami i na kanapie, na której spoczywał Druzus, kilka liści

akacji spalonych przedwcześnie upalnym latem. Potrzebował dłuższej chwili, żeby przypisać te fakty niedbałości niewolników, ale od samego początku dręczyło go uczucie, że coś jest nie w porządku. Nigdy nie czuł się tak niemiło świadomy, jak wiele oczu przygląda mu się, kiedy je posiłek. Drażniło go, że nie może ich wszystkich mieć na oku. Podejrzewał, że naśmiewają się z niego za plecami.

Spotkanie odbywało się przy niskim stole, zacienionym przez si-noańskie żaluzje i markizę umocowaną na palach rzeźbionych z kości słoniowej. Stół został ustawiony na wewnętrznym dziedzińcu, pod gołym niebem. Dalej rozciągały się tereny pałacowe. Po brukowanej ziemi skakały dwa wróble. Stoły zastawiono lekkim posiłkiem; patery z ciastami i owocami, karafki ze schłodzonym winem. Posiłek w jakiś sposób usprawiedliwiał obecność Uny. Druzus czułby pogardę, gdyby zobaczył ją wśród senatorów w jakichkolwiek innych okolicznościach. Przynajmniej dziewczyna nie okazywała satysfakcji ani nie uznawała za oczywiste, że znalazła się w tym gronie. Wyglądała na zbyt spiętą, żeby wygodnie rozciągnąć się na sofie, i siedziała skulona za Markiem, jakby chciała zająć jak najmniej miejsca. Druzus napotkał jej wzrok przypadkowo, kiedy sadowił się za stołem, i niespodziewanie Una posłała mu wstydlawy, przepraszający uśmiech. Potem spuściła skromnie oczy i ledwie śmiała ponownie je podnieść. Druzus pochwalał nieśmiałość. Przy takim pokornym zachowaniu wydało mu się uczciwe przyznanie, że jej mała buźka o ostrych rysach nie była aż tak nudna, jak mu się z początku zdawało. Przynajmniej nie wtedy, kiedy się uśmiechała. To oczywiste, że biedactwo było onieśmiałone.

Salwiusz był w mniejszym stopniu przekonany do obecności Uny. Skulona w ten sposób, ze lśniącymi włosami w

kolorze popiołu, które spadały na twarz, jakby niesłuchająca toczącej się rozmowy, Una rzeczywiście przypominała delikatnego charta, niepojmującego nic z ich dyskusji. Salwiusz jednak myślał, że usiłowała osiągnąć podobny efekt w czasie podróży z Sifnos, kiedy trudniej jej było zamaskować wyraz skrytej czujności.

Una nie musiała więcej spoglądać na Druzusa. Czuła się przygotowana do pracy. Poczowała nawet zadowolenie, że teraz już go ma, że już jej się nie wymknie. Patrzyła na jedzenie. W miarę jak sofy naokoło zapełniały się gośćmi, Una odfiltrowywała każdego poza Druzusem i nią.

Druzus obserwował Marka i sposób, w jaki nowo przybyli patrzyli na niego. Uśmiechnął się do siebie. Zaczęło się, powiedział w duchu. Spostrzegł, że tego ranka Marek nie miał cesarskiego pierścienia na palcu. Najpewniej zapomniał go założyć. Marek jednak coraz mniej go potrzebował. Na początku stworzył całkiem przekonujące wrażenie pewności siebie, ale teraz była ona już zupełnie prawdziwa. Władza, którą dzierżył, ściągała podziw. Zdawało się, że wszyscy go lubią - albo wierzą, że lubią, pomyślał zgorzkniałe Druzus. Poza tym Marek był uśmiechnięty. Zniknął wyraz pustki, jaką Druzus dostrzegł w jego spojrzeniu, kiedy tylko przyjechał. Podoba ci się to, że możesz rozkazywać ludziom trzy razy starszym od siebie, zarzucił mu w myślach.

Nie pomylił się. Marek musiał cieszyć się władzą. Zaczęli od dyskusji o tym, ile mogą potrwać rozmowy pokojowe - wszyscy byli zgodni, że przynajmniej dwa tygodnie, a pewnie dłużej. Marek skinął przyjacielsko na kuzyna. Sam się dziwił i nawet trochę wstydził swojego dobrego humoru tak niedługo po katastrofie w Veii, kiedy cały ten kruchy świat zdawał się zamykać wokół niego. Nie czuł się już tak izolowany. Wariusz

znalazł zastępcę w klinice i dziś jeszcze ma się pojawić w pałacu. To właśnie Wariusz zasugerował mu wybranie Eudoksjusza. Marek pamiętał, jak Druzus siedział przy stole po pogrzebie jego rodziców i dyrygował niewolnikami z taką łatwością, jakby to były marionetki. Teraz cały ten porządek legł w gruzach, a kuzyn siedział nadąsany i oszołomiony. Marek nie mógł sobie odmówić przyjemności patrzenia na niego. Był świadom, że za nim siedzi Unę, przyjąwszy najbardziej pasywną ze swoich postaw. Nawet wyczuwał jej obronny naiwny uśmiezek, który musiał malować się na jej twarzy. Cieszył się, że jest przy nim, że wszystko zobaczy.

- Są pewne rzeczy, które trzeba załatwić, zanim pojedziemy - powiedział. Jego ton był zupełnie naturalny. Przecież właśnie do tego przygotowywał się całe życie, nawet biorąc pod uwagę początkowe obawy. - Większość to sprawy rutynowe, ale nie wszystkie. Wiecie o chorobie, która co jakiś czas nęka moją rodzinę. Ojciec powiedział mi, że zaczęła się, kiedy jeden z moich przodków ukrzyżował dziecko. Wiecie też, że trzy lata temu musiałem niespodziewanie opuścić Rzym i wieść życie, którego inaczej nie miałbym szansy poznać. Gdyby nie ludzie, których wtedy spotkałem, pewnie bym dziś nie żył.

Spojrzał na Unę i poczuł, jak delikatnie dotyka grzbietu jego dłoni. Jednak fakt, że z jej twarzy nie znikł sztuczny słodki i nieobecny wyraz twarzy, powiedział mu, że nie chce, żeby zwracał na nią uwagę. Pomyślał z żalem, że pewnie ma rację.

- Jeden z nich został oskarżony o zbrodnię, której nie popełnił, i skazany na ukrzyżowanie. Żaden sąd ani system nie chronił jego życia. W każdej chwili człowiek ten może zostać aresztowany i poddany czemuś, co zostało pomyślane jako najokropniejsza forma śmierci, tak straszna, jak tylko wieki

zaawansowanej technologii potrafiły ją uczynić. I... - przez sekundę zawahał się, czy nie powiedzieć więcej, ale rozmyślił się. - I byłem wtedy pewien, tak jak teraz jestem, że nie powinno tak się dziać w Rzymie. To czyste barbarzyństwo. Może dlatego nasza rodzina tak długo cierpiała. Myślę, że powinniśmy z tym skończyć.

To była najprostsza forma prawdy. Wahanie pojawiło się, kiedy chciał powiedzieć o Damie i koszmarze, jakiemu poddano jego ciało, kiedy był tylko kilka lat starszy od chłopca z opowieści o rodzinnej klątwie. O jego rozciągniętych i na wpół sparaliżowanych rękach i sztywnych nogach, o czterech latach ukrywania się i okropnego bólu. Uznał jednak, że lepiej o tym nie mówić. Dama nie był tak łatwym i niewinnym przykładem jak Sulien. Popełnił przestępstwo, za które został tak nieludzko ukarany. Nie mógł nigdy zostać rzymskim obywatelem jak Sulien, który przecież dorastał, uważając się za obywatela rzymskiego. Dama, przynajmniej z początku, nienawidził Marka i jeśli kiedyś niechęć mu przeszła, to zastąpiło ją ignorowanie. Ale Dama był wśród tych, którzy go uratowali. Z tego powodu zginął. W przeciwieństwie do Suliena i Uny Marek był pewien, że Dama nie żyje. Dlatego tak bardzo chciał przywołać na chwilę jego ducha i powiedzieć mu: „Proszę, spójrz na to. Przyjmij to ode mnie, nawet jeśli dla ciebie już jest za późno”. Z niepokojem i pełen wątpliwości dodałby cicho: „Czy teraz już możesz odpocząć?”.

Wokół stołu podniósł się szmer zdziwienia. Dla Druzusa reakcja była przygnębiająco łatwa do przewidzenia, ale w widoczny sposób zaskoczyła Marka. Większość twarzy przybrała wyraz zgody i zatwierdzenia. Marek poczuł zawrót głowy i z trudem powstrzymywał się przed okazaniem radości. To nie może być aż tak proste, powtarzał sobie w duchu.

A co myślałeś? - chciał spytać Druzus. To przecież owce. Stwierdził, że odechciało mu się jeść. Na wspomnienie o klątwie opadły go różne emocje. Dziewiętnaście lat pełnego cierpienia lęku o ojca i wstyd, odkąd poznał prawdę. Druzusowi było obojętne krzyżowanie; choć uważał, że nie ma sensu odrzucanie tak przydatnego narzędzia. Mógł wygłosić płomienną mowę na ten temat, nic przy tym nie czując. Zastanawiał się z uczuciem bóleści - nawet bez normalnego cynizmu - czy to zadziała. Czy teraz zniknie ten strach, z którym nauczył się żyć?

Falx, chudy, opalony mężczyzna, przynajmniej zdobył się na odwagę, żeby spytać:

- Cezarze, czy to nie spowoduje zagrożenia dla naszych obywateli? Potrzebujemy środka odstraszającego.

- Nie - odpowiedział mu Memmiusz Quentin, zanim Marek zdążył otworzyć usta. - Nasi niewolnicy i barbarzyńscy mieszkańcy będą bardziej skłonni słuchać władzy, która traktuje ich po ludzku. Imperium będzie przez to bezpieczniejsze. - Uśmiechnął się, a jego twarz rozjaśniła satysfakcja. Salwiusz był pewien, że Quentin nie ma własnego zdania. Nie mógł się powstrzymać przed grymasem pogardy.

- Co proponujesz w zamian? - spytał Eudoksjusz bez cienia złośliwości.

Podeksycytowanie Marka zmalowało. Minutę wcześniej usiłował przywołać ducha Damy, a teraz wyobraził sobie anonimowy legion zjaw, które wypełniają salę, pałac i jego ogrody, wspinają się po Palatynie. Nie mógł pozbyć się pełnego niedowierzania uczucia, że w pewnym sensie decyduje o losie trudnej do oszacowania liczby nieznanym mu ludzi.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli wymyślać jakieś niezwykle metody - powiedział cicho. - Do egzekucji można użyć... pluto-

nów egzekucyjnych.

- Nionianie krzyżują ludzi - wtrącił nagle Salwiusz i na chwilę zapadła cisza, gdyż nikt nie wiedział, nawet sam Salwiusz, czy był to argument za, czy przeciw. Spuścił wzrok wyraźnie zmieszany. Może, pomyślał, chłopak ma rację. Może rezygnując z tortur, którymi posługiwał się nieprzyjaciel, pokażą, które cesarstwo jest cywilizowane. Zresztą kwestia była tak błaha, że szkoda trwonić na nią energię, którą powinien zachować na naprawdę ważne sprawy.

Druzusowi nagle przyszło do głowy coś oczywistego. Czemu Marek to robił? Czemu ktokolwiek się tym zajmował? Przecież sam to przed chwilą wyznał: „Może dlatego nasza rodzina tak długo cierpiała”. Marek bał się choroby. No cóż, wszyscy się jej bali, ale może Marek poczuł, jak się w nim budzi. Druzus rzucił mu badawcze spojrzenie, ale nie dostrzegł żadnych oznak w oczach kuzyna. Był jednak pewien, że znalazł prawdziwą odpowiedź, i to dodało mu otuchy.

Una patrzyła na odbicie w talerzu z oliwą, mechanicznie mieszając w nim kawałkiem chleba, skoncentrowana na swojej ofierze. Czuła się zbita z tropu. Wokół niej działo się coś niesamowitego, coś, czego pragnęła z całej duszy, ona jednak tego nie dostrzegała. Nie mogła się teraz poddać, choć pościg stawał się coraz bardziej szaleńczy. Była przekonana, że wystarczy jej kilka minut, żeby zdobyć pewność co do Druzusa - więc czemu jej jeszcze nie zdobyła? Tym razem dostrzegła w Druzusie żyłki niechęci, które napięły się, gdy Marek wspomniał, jak bliski był śmierci trzy lata temu, ale zaprowadziły ją donikąd. Wspomnień, które spodziewała się znaleźć, nie odkryła. Zaczęła podejrzewać z irracjonalnym rozczarowaniem, że była zbyt podejrzliwa. Druzus był niewinny - zazdrościł Markowi, wciąż miał nadzieję, że uda mu się zająć tron, ale nic

ponadto. To wszystko. Gdyby zaplanował zabicie Marka, nie mógłby teraz siedzieć naprzeciw niego i nie czuć nawet cienia wyrzutów sumienia, na pewno pojawiłyby się też wspomnienia planów, które wzięły w łeb.

Czy więc tylko arogancka niechęć do przyznania się do błędu powodowała, że czuła się nieprzekonana, tak bardzo nieusatysfakcjonowana? Pomyślała, niepewnie, że brak mu solidności. Że musi być dla siebie samego równie śliski, jak wydawał się jej. Jakby nie było w nim nic poza tym nastrojem, poza tymi myślami. Przez chwilę wspomniała Suliena wyrwijącego się z pułapki w Suburze, otwierającego drzwi. Zupełnie jakby chciała znaleźć drogę przez budynek pełen mieszkań, w którym nie było schodów ani drzwi: struktury, która nie mogła istnieć, która nie miała sensu.

Po tym, co Druzus mu powiedział, Salwiusz patrzył ze zdziwieniem, jak mało angażuje się w dyskusję. Jak oczekiwał, Marek poprosił Eudoksjusza, żeby rządził Rzymem pod jego nieobecność. Eudoksjusz, który miał potargane włosy, pękate ciało i kołysał się leniwie na sofie, zaczął protestować na pokaz, co do reszty zirytowało Salwiusza. Druzus nie sprzeciwiał się niczemu. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz, żeby wiedzieć dlaczego - przestał się sprzeciwiać Markowi, gdyż nie widział w tym żadnego celu.

Salwiusz wahał się tylko przez chwilę. Nie można na to pozwolić, pomyślał. Jeśli Druzus Nowiusz się nie sprzeciwi, to ja muszę. Nie mogę narzekać, jeśli nawet nie spróbuję.

- Wasza Wysokość - powiedział znienacka - nie chcę obrazić Eudoksjusza, ale czy cesarz nie pragnął, żebyś dzielił ciężar władzy z kuzynem? Czy to nie najlepsza okazja?

Marek umilkł na chwilę. Eudoksjusz uśmiechnął się zakłopotany, gdy oczy wszystkich zwróciły się pytająco na Mar-

ka. Marek spojrział na kuzyna i powiedział przyjacielskim tonem:

- Miałem nadzieję, że pojedziesz ze mną do Siny. Nasz wuj wie, że będę potrzebował twojej rady. Nie pomożesz mi, jeśli zostaniesz.

Druzusowi taka ewentualność najwyraźniej nie przyszła do głowy. Uniósł się na łokciu odrobinę spięty. Jeśli na oczach wszystkich odrzuci tak rozsądnie brzmiącą propozycję, nie będzie to dobrze wyglądało.

- W naszych czasach odległość znaczy tak niewiele - powiedział wymijająco. - Wystarczy wcisnąć guzik i możemy rozmawiać, jeśli tylko zechcesz. Różnica czasu wynosi ile? Osiem godzin?

- To jednak nie to samo - zaprotestował Marek, nie przestając się uśmiechać.

Druzus zmienił pozycję na sofie.

- Nie do mnie należy ocena propozycji generała Salwiusza, ale może pod twoją nieobecność i w tak krytycznym czasie lud Rzymu będzie czuł się bezpieczniej, wiedząc, że przynajmniej jeden członek rodziny cesarskiej został na miejscu.

- To szlachetne i wspaniałomyślne z twojej strony, że chcesz zostać w Rzymie z tego powodu - kontynuował uprzejmie Marek, udając, że przyjmuje słowa Druzusa za dobrą monetę. - Jednak nie ma większego wyzwania niż to, któremu musi stawić czoło całe Cesarstwo Rzymskie i jeśliś tu został, nie mógłbyś go podjąć. A ja chcę ci dać tę szansę.

- Marek, przestań - powiedział Druzus poważnie. Przypominało to ciche warknięcie sprowokowanego psa.

- Więc pojedziesz ze mną, tak? - spytał Marek spokojnie.

- Ja, ten... - Poczuł, że jest w pułapce. Marek specjalnie go podpuścił. Druzus myślał gorączkowo, jak nie powiedzieć

„tak”, i zdołał jedynie wzruszyć ramionami, starając się obrócić wszystko w żart. - No cóż, i tak robisz zawsze coś przeciwnego, niż ja ci radzę... - Rzucił ponure, komicznie porozumiewawcze spojrzenie zebranych przy stole. - Wiecie, jak to jest w rodzinie!

- Wiem, że się ze sobą nie zgadzamy - ciągnął Marek. - Nie mogę zawsze postępować tak, jak byś chciał. Ale to nie znaczy, że nie możesz mi powiedzieć, co sądzisz.

Och, ty bezwstydnym kłamco, pomyślał Druzus, czując, jak mu serce zaczyna walić.

- Nie bardzo. Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, żeby zamknąć mi usta, tak samo jak cesarzowi. W jego pałacu.

Wszyscy na nich teraz patrzyli. Druzus czuł, jakby każda para spoczywających na nim oczu dodawała mu siły.

- To prawda - powiedział. - Wiem, że wuj chce się ze mną zobaczyć, ale uniemożliwiłeś mu to. Czy nie mam racji, twierdząc, że nie mówisz mi o tym, co robisz? - Rzucił okiem na Salwiusza i troska, jaką dostrzegł w jego oczach, dodała mu otuchy. Spróbował się uspokoić. -Chciałem rozmawiać dziś rano z cesarzem. Nie pozwolono mi jednak zostać z nim sam na sam. Zadbales o to, prawda?

Zapadła cisza i Marek zastanawiał się, co zrobić. Nigdy jeszcze nie było tyle jawnej wrogości pomiędzy nimi, przynajmniej nie przy innych. Mimo że to Marek sprawował władzę, a Druzus był zdenerwowany, istniało pewne niebezpieczeństwo. Druzus miał także pewną przewagę - choćby dlatego, że mówił prawdę. Marek usiadł na sofie.

- Masz rację - odparł Marek. - Zrobiłem tak, ponieważ ostatnim razem, kiedy poszedłeś do niego, próbowałeś go przekonać, że zrobił błąd, wybierając mnie, a nie ciebie.

- Nieprawda! - krzyknął Druzus.

Una poczuła taki szok, jakby ktoś dał jej w twarz. Na chwilę zapomniała o swojej pozie szarej myszki i spojrzała na Druzusa ze zdumieniem. Wiedziała, że kłamie. Ale tylko dlatego, że Sulien opowiedział jej, czego był świadkiem. Gdyby przyszła tu, nie wiedząc nic o tym, co Druzus zrobił, byłaby przekonana, że mówi prawdę. Dostrzegła w nim jedynie szczere oburzenie. On wierzy w to, co mówi, powiedziała sobie w duchu. Była to niemal prawda, ale tylko w dużym uproszczeniu. To jednak niemożliwe. To, co naprawdę zaszło, musiało znajdować się w jego pamięci.

- Sądzę, że to zrozumiałe, że chciałeś go o tym przekonać -ciągnął Marek. - Wiem, że boisz się, iż popełniam błąd w sprawie Nionii. Wiem, jak bardzo nie chcesz, żeby Rzym został osłabiony. Rozumiem to. Nie możesz jednak robić takich rzeczy za moimi plecami. Poza tym wuj jest zbyt chory. - Marek ułożył się na sofie. - Jeśli nie podoba ci się jakieś moje posunięcie, to powiedz mi o tym - dodał łagodnie. Rzekł to niemal szczerze. Jednak potrafił też manipulować Druzusem i teraz chciał, żeby ten pozostał zły.

Druzus zerwał się na równe nogi.

- Wiesz dobrze, z jakim skutkiem mogę się do ciebie zwracać! -wrzasnął wściekle. Odwrócił się i ruszył szybko w stronę ogrodów. Zanim dotarł do schodów, uświadomił sobie, że właśnie tego Marek się po nim spodziewał. Było już za późno, żeby się cofnąć.

Marek poczuł ulgę, patrząc, jak senatorowie rozładowują napięcie nerwowym śmiechem. Potyczka wyprowadziła go trochę z równowagi. Zanim zdołał się uspokoić, zobaczył, jak Una rusza za Druzusem. Poszła za nim tak szybkim krokiem, że niemal biegła.

POJEDYNEK

Druzus szedł energicznym krokiem, wdychając zapach róż, który przepęłniał powietrze rozedrgane brzęczeniem owadów. Przypomniawszy sobie, że Salwusz może wciąż być dobrym sojusznikiem, ale nie chciał teraz o tym myśleć. Nie chciał się ani pocieszać, ani rozpamiętywać ostatniej wpadki. Pragnął jedynie znaleźć się jak najdalej od Marka.

- Wasza Wysokość, proszę wrócić.

Druzus na wpół obrócił się. Na widok Uny biegnącej za nim z pojednawczym uśmiechem na twarzy poczuł zmęczenie. Westchnął z miną, jakby prosił, żeby dać mu spokój, i ruszył dalej. Dziewczyna go dogoniła.

- Proszę - nalegała tonem delikatnym i łagodnym. - Proszę nie zostawiać tak spraw.

Druzus skrzywił się, wydając zniecierpliwiony odgłos. To, że musiał się bronić przed natrętem, wydało mu się nie tylko nie w porządku, ale wręcz ohydne. Starał się zachować ostrożność; obrażenie kochanki Marka nie leżało w jego interesie.

- Dziękuję za troskę - powiedział z wymuszoną cierpliwością. - Chciałbym jednak zostać sam.

Una zatrzymała się na sekundę, pozwalając mu wyprzedzić się o kilka kroków. Zaraz jednak ruszyła za nim przez wybrukowany dziedziniec okolony rzędami azalii i w dół po schodkach ku rozciągającym się niżej trawnikom. Oślepiające promienie słońca zmuszały ją do zmrużenia powiek. Druzus zbliżał się do alei wysadzonej przyciętymi sosnami, jakieś pięćdziesiąt kroków przed nią, i Una musiała iść szybciej, żeby dotrzymać mu kroku. Układała sobie w głowie, co ma powiedzieć. Przekonanie go, żeby wrócił do stołu, pozwoliłoby jej

pozostać blisko niego, ale chciała osiągnąć więcej. Zastanawiała się, jak poruszyć temat Leona i Klodii.

Druzus uświadomił sobie, że Una idzie za nim, ale nie mógł w to uwierzyć. Miał nadzieję, że jeśli ją zignoruje, to będzie musiała odejść. Ponieważ nie zbliżała się, skoncentrował się na ciepłych promieniach słonecznych i szybko o niej zapomniał. Śpiew kosów chowających się w wysoko sklepionej, stalowej konstrukcji ptaszarni stawał się coraz głośniejszy, tak że w końcu zagłuszył hałas miasta ciągnącego się poniżej Pałatynu. Druzus wszedł do środka, słysząc trzepot skrzydeł spłoszonych ptaków kryjących się wśród drzew. Były tu przeróżne gatunki: kosy, jaskrawo upierzone ptaki z tropików, małe ptaszki unoszące się w powietrzu niczym malachitowe pszczoły. Druzus nie miał ochoty na nie patrzeć, jedynie wyczuwał ich ruch, gdyż przymknął oczy. Kiedy je otworzył, zobaczył, że Una siedzi naprzeciwko, nachylając się w jego stronę, doskonale nieruchoma, jakby właśnie się zmaterializowała. Nie słyszał jej kroków.

- Jest jeszcze czas - powiedziała.

Druzus patrzył na nią otepiałe, nie odzywając się.

- Wiem, iż uważasz, że nagabywanie cię w ten sposób jest wyjątkowo aroganckie z mojej strony. W ogóle, że śmiem odzywać się do ciebie.

- Ależ nie - odparł obojętnie Druzus, starając się znieść jej towarzystwo.

- Cieszę się - powiedziała słodko, znowu się uśmiechając. Zasłoniła dłonią oczy przed światłem, żeby móc spojrzeć na niego, i podciągnęła nogi pod siebie, chcąc schować je przed słońcem. Mimo upałów wciąż była dosyć blada; nie wyglądała na stworzoną do znoszenia takiego słońca.

- Nie irytuj się na Marka, proszę. Zależy mu na rodzinie.

Wiem jak bardzo, ponieważ sama nie mam rodziny, poza bratem. To tak jak ty i Marek. Zwłaszcza teraz, gdy cesarz jest tak chory.

- Obawiam się, że nie rozumiesz sytuacji.

- Ale czemu?

- No cóż, twoje uczucia są... - było to tak głupie, że aż nie mógł się powstrzymać przed westchnieniem - ...zupełnie naturalne. Sprawy są jednak bardziej skomplikowane. Powinnaś porozmawiać z nim, nie ze mną. On nie chce mojej pomocy ani mojej... przyjaźni. Nie mam pojęcia, co jeszcze mógłbym zrobić.

- Ale właśnie powiedział, że chciałby, żebyś z nim pojechała do Bian. - Druzus tylko parsknął pogardliwie i Una ciągnęła: - To bardzo trudne chwile dla niego. Na jego barkach spoczywa ogromna odpowiedzialność. Gdyby jego ojciec żył, nie musiałby dźwigać tego ciężaru.

- Tak, to rzeczywiście pech - odparł Druzus, nie kryjąc zniecierpliwienia. Przez jego głowę przemknęło wspomnienie bólu i rozczarowania. Una zagryzła wargę w oczekiwaniu, ale nic wyraźniejszego się nie pojawiło. Znowu poczuła ze zdziwieniem, jak niewiele Druzus o tym myśli. Jej oczy podążyły odruchowo za kolorowym szczygłem, który skakał koło jego nóg.

- Prawda jest jednak taka, że dziękuję losowi za to, co się stało -oznajmiła cicho, lecz dobitnie.

- Za Leona i Klodię? - spytał zaskoczony Druzus, któremu przypomniła się stara, zniweczona nadzieja.

- Wiem, że to nie w porządku. Mówię przecież o twoim wuju, przepraszam najmocniej. Wiem jednak, że inaczej nigdy bym nie spotkała Marka. Teraz nie mogłabym sobie tego nawet wyobrazić. Lub może bym mogła, ale nie chcę.

Druzus skinął głową i zmienił pozycję. W końcówkach nerwów wyczuwał ostrzeżenie, że coś jest nie tak, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. Było to jednak tak nieokreślone uczucie, że nie wiedział, co robić.

Una poczuła, że jej ton zmienił się na grubszy z naiwnego, dziecięcego, którego do tej pory używała, ponieważ wyznała prawdę. Postarała się, by znów brzmiał niewinnie.

- Byłam tylko niewolnicą, mógł sobie znaleźć kogoś lepszego. Kogoś z jego sfery. Albo chociaż ładniejszego.

- Daj spokój, jesteś ładna. Nie musisz prosić się o komplementy -zapewnił ją Druzus, uśmiechając się niewyraźnie.

- Wcale nie. To znaczy, nie chciałam. - Zachichotała naiwnie i zakryła niezdarnie twarz, by zaraz ją odsłonić.

Druzus do tej pory prowadził rozmowę zgodnie z zasadami zwracania się do młodych panien, ale powoli zaczynał dostrzegać, co Markowi się w niej podobało. Przestał koncentrować się na fakcie, że była niewolnicą, dopóki sama mu o tym nie przypomniała. Tak, mogłaby być całkiem niczego sobie, ale daleko jej było do Amaryllis. Czy Tullioli.

Przez jedną koszmarną chwilę nie mógł odróżnić Tullioli, tej oryginalnej, od substytutu. Widział jedynie ogólny przeblask gładkiej skóry i ciemnych oczu. Kiedy w końcu udało mu się rozdzielić je w pamięci, poczuł ulgę i jednocześnie okropną pustkę. Była kiedyś w tej ptaszarni. Tak blisko.

Una starała się niczego po sobie nie pokazać, nie wstrzymywać oddechu i nie patrzeć na niego rozszerzonymi oczami po tym zwycięstwie. Zamarła jedynie na chwilę. Spróbowała zmusić swoje ciało i twarz do rozluźnienia się, ale przez kilka sekund jej umysł odmawiał współpracy. Mogła jedynie patrzeć na ptaki, uśmiechając się głupkowato i zastanawiając się, co dalej robić. Zaśmiała się wstydliwie, starając się

ukryć krępujące milczenie.

- W każdym razie... - zaczęła i nie wiedziała co dalej. Jednocześnie uświadomiła sobie, w jak odosobnionym miejscu się znajdują, jak daleko odeszła od innych. Tylko czemu nie miała się czuć bezpiecznie? W dalszym ciągu nie wiedziała nic ponad to, że pragnął Tullioli. Nawet jeśli coś zrobił, to ona co najwyżej go nudziła i odrobinę niepokoiła. Una starała się z całych sił wyciszyć ten niepokój. Spróbowała jeszcze raz.

- W każdym razie twoja rodzina tyle dla mnie zrobiła. Dlatego nie mogę patrzeć spokojnie na wasze kłótnie. Wiem, że Marek czuje tak samo. - Umilkła. Bała się powiedzieć zbyt wiele kłamstw, które mogłyby później przysporzyć jej kłopotów. - Myślisz, że on ciebie nie słucha, prawda? Może zmieniłby się, gdybyś i ty chciał go wysłuchać...

Druzus znowu skinął w milczeniu głową, ale w duchu liczył na to, że zostawi go w końcu w spokoju. Jeszcze chwilę temu myślał, że jest niebrzydka, choć nie oszałamiająca. Będąc tak długo skazanym na tę nudną, pełną dobrych chęci i całkiem ładną dziewczynę, normalnie zastanawiałby się już, jak wygląda jej ciało, tylko po to, żeby nie zwariować z nudów. Ale nie chciał jej tknąć; nie miał pojęcia czemu. Przypominał sobie, jak kiedyś go kusilo, żeby położyć rękę na rozpalonym do białości żelazie czy włożyć ją do poruszającej się maszyny. Nie miał pojęcia, czemu na początku uznał, że dziewczyna wygląda pospolicie, ani czemu układ jej kości i skóra nabrały złowieszczonego, wręcz diabolicznego wyglądu, jakby jakieś zło przybrało postać ludzką i usiadło obok niego na ławce, a w słońcu przebranie powoli zaczęło się roztopiać. Coś w niej się zmieniło. Wyraz jej twarzy wciąż wyrażał nieśmiałą prośbę, ale jakoś sztucznie. Jej oczy były ciemnobrązowe i wcale nie sprawiałyby tak niezwykłego wrażenia, gdyby skóra i włosy nie

były takie blade. Zdawało mu się, że jej tęczyówki są tak samo czarne jak źrenice i że w głębi tej gorącej czerni kryła się czerwień. Bardzo rzadko mrugała oczami. Nieświadomie cofnęła się odrobinę, gdy nachyliła się w jego stronę.

- Możesz sobie wyobrazić, jak się poczuł trzy lata temu, kiedy dowiedział się, że tylu ludzi chciało go zabić, żeby tylko nie został cesarzem. Po czymś takim co innego mógł zrobić, niż tylko stać się bardziej... nieugięty. Zapewne doszedł do wniosku, że jeśli nie osiągnie tego, co zamierza, wszystko, co przeszedł, przeszedł na próżno. Bardzo trudno jest znowu zafać ludziom, Wasza Wysokość, kiedy tak niespodziewanie straciło się rodziców, tam bardziej jeśli się wie, że to z winy ludzi, którzy byli tak blisko niego, kogoś, kogo znał od lat... - Ściszyła głos, mówiąc równo, niemal rytmicznie. Także oddychała powoli. Pokręciła głową. - Nie rozumiem tego. To znaczy, mogę zrozumieć w pewnym stopniu Gabiniusza. Bał się o swoje interesy, nie znał dobrze Marka. Ale żona cesarza... czemu ona? - Siedziała nieruchomo, wiedząc, jak niebezpieczną grę zaczęła. Nie chciała zdradzić niczym, że go podejrzewa.

Nie mógł teraz nie myśleć o tym. Mimo że wyciął to ze swoich wspomnień, gdzie zostało tylko to, co się liczyło, czyli jego miłość do niej, teraz wrócił obraz Tullioli siedzącej na podłodze, tuż przy nim rozgrzanym od jej dotyku, i syczącej wściekle: „Zrobiłam to wszystko dla ciebie. Czemu to ja mam płacić za to, co zrobiłam dla ciebie?”. Napłynęła cała fala obrazów i wspomnień: ich pierwszy chłodny, niewiarygodny pocałunek - nie dalej jak dwieście kroków od miejsca, gdzie się teraz znajdowali - a potem, nie mógł już dłużej nad tym zapanować - przenikliwe zdumienie, gdy ostry koniec złotej szpilki do włosów, którą trzymał w ręku, przebił jej serce. Jej ciało szamocące się pod jego ciężarem. Gorąca krew bryzgająca na

jego piersi - ten ból, który przeszył mu ciało. Czemu musiał to czuć? Czemu ta kobieta obok niego wywołała te wspomnienia? Zmusił się do odpowiedzi.

- Nie wiem. Nie znałem jej dobrze. - Przyszło mu do głowy, że może to prawda.

Teraz ostrożnie, nie zachowuj się inaczej niż do tej pory, rozkazała sobie Una, czując, jak skóra chce jej ścierpnąć, czując w biciu serca, w każdym mięśniu potrzebę oddalenia się z tego miejsca. Zawsze podejrzewała, że był częścią spisku, ale nigdy nie miała powodu, żeby nie wierzyć w samobójczą śmierć Tulliolii. Odrazą uderzyła ją z ogromną siłą.

- No cóż, pewnie nie robi to już żadnej różnicy. Było, minęło - rzuciła niemal beztrąsko, przyjmując inny ton, niż zamierzała. Uśmiechnęła się naiwnie. - W zasadzie niepotrzebnie opowiadam ci o Marku. Przecież znasz go całe życie. Ja tylko... chciałam pomóc.

- Rozumiem - rzekł Druzus, mając nadzieję, że Una wreszcie wstanie i sobie pójdzie.

- Dziękuję, że zechciałeś mnie wysłuchać - powiedziała, pokornie schylając głowę.

Kiedy ruszyła w stronę drzwi ptaszarni, Druzusa owładnęło niewyjaśnione przerażenie, a w jego umyśle ostry, rozkazujący głos nakazał: Zatrzymaj ją. Możesz to łatwo zrobić. Nie pozwól jej odejść. Jednak było to zupełnie bez sensu i nic nie zrobił.

Una wyszła z ptaszarni spokojnym krokiem, ledwo mogąc się doczekać, aż znajdzie się poza zasięgiem jego wzroku i będzie mogła rzucić się do ucieczki. Ulga, jaką poczuła, opuszczając Druzusa, była wręcz cudowna. Powietrze znowu zdawało się czyste. Kiedy jednak mijała fontanny, złoty upał wydawał się rozciągać przestrzeń dzielącą ją od pałacu. Una po-

czuła, jak ciężkie stały się jej kończyny, a w głowie odezwał się ból. Puściła się truchtem przez trawniki, nienagannie przystrzyżone i zadbane. Druzus nie podążał za nią. Czemu miałby to robić? Nie miała pojęcia, jak przerwać spotkanie, żeby opowiedzieć wszystko Markowi, ale musiała to zrobić za wszelką cenę. Druzus stanowił zagrożenie dla Marka i nawet po trzech latach żywiła przekonanie, że nie można odkładać tego ani na chwilę.

Wbiegła po schodach pawilonu i przemknęła pomiędzy zasłonami. Ujrzała puste sofy wokół stołu i niewolników, którzy sprząтали naczynia i odnosili do pałacu poduszki. Una stała i patrzyła na to z oburzeniem. Nagle przypomniała sobie, że po spotkaniu Marek miał udać się na

Forum, żeby wygłosić przemówienie na temat rozmów pokojowych. Chłopiec, który wcześniej odnosił kielich Druzusa, spojrzał na nią.

- Nie sądziłam, że tak długo mnie nie było - powiedziała niezręcznie i ze złością.

*

Druzus położył się na ławce, pozwalając bólowi wycieknąć z jego głowy. Ten jednak z trudem ustępował, gdyż w powietrzu było zbyt wiele negatywnej aury pozostawionej przez tę kobietę. Wstał i opuścił ptaszarnię zadowolony, że Una zniknęła już z oczu. Zaczął iść bez celu po trawniku, ale bezwiednie kierował się w stronę fontann, gdzie wśród krzewów różanych Tulliola pierwszy raz go pocałowała. Podszedł do fontann, żeby spojrzeć na te same kamienie i kwiaty, zamoczyć ręce w zimnej wodzie.

Nie opuszczało go wrażenie, że coś poszło bardzo źle, że jeszcze jest czas, by się uratować, ale nie wiedział jak.

Zobaczył, że po ogrodzie spaceruje jakaś kobieta, i przez chwilę chciał się ukryć, myśląc, że to Una. Była to jednak Makaria. Druzus podniósł rękę na powitania i Makaria skierowała się w jego stronę. Była ubrana w suknię do kostek - zupełnie nie w jej stylu - niezbyt do tego modną. Ze spinek w krótkich, prostych włosach zwisała woalka. Wyglądało, że jest jej gorąco i niewygodnie.

- Nie byłeś na naradzie - powiedział Druzus.

Makaria usiadła na krawędzi fontanny, ciężko wzdychając.

- Byłam w Veii. Zajmowałam się Nionianami.

- O bogowie. Jak było?

- Oglądanie ruin i siedzenie na łożku? Nudne i denerwujące. Ktoś jednak musiał to zrobić.

Druzus skinął głową.

Makaria rzuciła mu zatroskane spojrzenie.

- Dobrze się czujesz? Jesteś bardzo blady.

- Tak, wiem - wymamrotał.

- Jesteś chory?

- Nie. Och, to tylko... tylko Marek.

- Mmmm - mruknęła Makaria, a na jej twarzy pojawił się wyraz dezaprobaty.

Druzus westchnął. Nie miał ochoty wysłuchiwać, jak broni planów Marka, miał tego dosyć na dzisiaj.

- I jeszcze ta dziewczyna.

- Una?

- Pobieгла za mną i nie chciała się odzepić.

Makaria spojrzała współczująco.

Druzus zawahał się i niespodziewanie wyznał:

- Wiesz, to głupie, ale przy niej czuję się... nie mogę pozbyć się tego wrażenia. Wiesz, o czym mówię? Też masz takie

wrażenie, że wyprowadza cię... z równowagi?

Makaria zaśmiała się krótko.

- Tak - przyznała. - Owszem. No cóż, dużo jej zawdzięczam. Ale przyznam, że tak. No cóż, przecież jest...

- Kim?

Makaria wzdrygała się przed odpowiedzią.

- Wiedźmą, chciałam powiedzieć - wyznała w końcu.

Dziwne przeczucie wbiło pazury w ciało Druzusa.

- Wiedźmą?

Twarz Makarii była ściągnięta, a usta zaciśnięte. Nie odzywała się przez chwilę i Druzus poczuł, jak opanowuje go zniecierpliwienie.

- Wiesz, że Tulliola chciała wszystko zwalić na mnie?

Tyle wspomnień o ukochanej w tak krótkim odstępie czasu napawało go lękiem i raniło. Zmusił się do skinienia głową.

- Słodczyce?

- Tak. Wyciągnięto mnie w środku nocy z łóżka. Dowiedziałam się, że nawet tata myślał... - Urwała. Druzus, rycząc na nią w myślach, żeby wypłuła to w końcu z siebie, położył delikatnie rękę na jej ramieniu. Podziałało. - A ona... Una była przy tym razem z Markiem. Wiedziała, że mówię prawdę. Wiedziała, że Tulliola kłamie. Zdaje się, że ma taki dar: potrafi czytać w myślach. Gdyby ktoś się nią zajął, mogłaby dostać się do Delf czy do Kume, można by to jakoś spożytkować. Nie mam pojęcia, jak Marek to znosi, naprawdę.

Druzus poczuł, jak grunt usuwa mu się spod nóg, a krew zaczyna odpływać z żył. Nie wątpił nawet przez chwilę w słowa Makarii. Nie zapytał też, czy może być jakieś inne wytłumaczenie, skąd Una się dowiedziała. Makaria wspomniała o wyroczniach i Druzus pomyślał o Sybilli i o Unie, i pomimo

różnic pomiędzy nimi dostrzegł także podobieństwo, coś na kształt wewnętrznej dumy. Był pewien, że to prawda. Czując zawrót głowy, przypomniał sobie całą rozmowę z Uną i zrozumiał, że było aż tak źle, jak się obawiał. Jego usta wydały się zdrętwiałe, jakby umierał z zimna.

- Rozumiem. To wszystko wyjaśnia - wyszeptał z wysiłkiem.

- O co chodzi?

Druzus podniósł rękę do czoła, ściskając je, jakby bolała go głowa.

- Upał. Jest nie do zniesienia. - Nie kłamał. Ledwo oddychał i z trudem trzymał się na nogach. Wymamrotał jakąś wymówkę, że musi schować się w cieniu, i ruszył niepewnym krokiem przez dziedziniec w stronę pałacu. Na schodach potknął się i otarł sobie dłonie, chroniąc się przed upadkiem.

- Och, nie, proszę... - jęknął.

Po co wracał do Złotego Domu? Nie było dla niego ratunku. Niech ktoś mi pomoże, jęknął w duchu. Apollinie, Minnerwo, błagam, niech ktoś mi pomoże.

Zanim ujrzał pawilon, przypomniał sobie o przemówieniu, jakie Marek miał wygłosić na Forum. Una mogła jeszcze do niego nie dotrzeć. Z pewnością nie dotarła. Był jeszcze czas, zanim wszystko się zawali. Ten sam spokojny, zdecydowany głos, który chciał mu pomóc w ptaszarni, odezwał się teraz w ogrodzie z taką siłą, że ziemia zdawała się trząść: Żadnych półśrodków. Nikt ci nie pomoże. Znajdź ją. Już.

Tylko jeden raz zabił własnymi rękami. Wspomnienie tego czynu wycisnęło teraz łzy z jego oczu. Zrobić to ponownie - tak bez przygotowania, niespodziewanie. Och, nie, nie, nie, błagał w myślach, drżąc na całym ciele. Nie miał pojęcia, gdzie Una się znajduje, nie miał żadnej broni, pałac był pełen ludzi.

Jeśli nawet by mu się udało, to jak zdołałby oczyścić się z zarzutów, jak kiedykolwiek mógłby być bezpieczny?

Nagle uświadomił sobie, że to bez znaczenia. Jeśli jej nie zabije, to i tak jest skończony. Pozbycie się jej, nawet jeśli nie uda mu się upozorować wypadku czy zwalić winy na kogoś innego, nie może mu zaszkodzić. Przynajmniej ma jakąś szansę.

Głos znowu się odezwał. Był to jego głos, jak się zorientował, ale starszy i pewniejszy siebie, który zwracał się do niego jak dobry ojciec, stanowczo i bez emocji, ale życzliwie. Podpowiedział mu najbardziej oczywistą prawdę: to przez Unę już nigdy nie ujrzy swojej ukochanej.

To właśnie znaczyła wdzięczność, jaką Makaria czuła do tej dziewczyny, to ona zabiła Tulliolę równie bezwzględnie, jakby wbiła jej nóż w serce. I pomyśleć, że ta morderczyni mogła siedzieć z tą niewinną minką. Zdumiało go, że przez tyle czasu nie dostrzegał prawdy.

Druzus stęknął i odetchnął głęboko gorącym powietrzem. Z niezwykłą jasnością przypomniał sobie poranek tego dnia, kiedy miał po raz ostatni ujrzeć Tulliolę. W rękę trzymał szpilkę do włosów. Przypomniał sobie, jak zdrapywał małe płatki złota z jej końca, wiedząc, że musi zabić Tulliolę. Przypomniał sobie teraz swój ból, kiedy ostrzył szpilkę, i samą zbrodnię.

Druzus podniósł głowę i ujrzał potężne ściany pałacu - złote urwisko. Ruszył w jego stronę pewnym krokiem, chowając się w cieniu markizy. Jego żołądek skurczył się w nadciągających torsjach. Jak mógł się zbliżyć do Uny? Czy nie będzie od razu wiedziała, co chce jej zrobić? Szedł jednak dalej, jakby znalazł już rozwiązanie tego problemu. Czuł zimną wściekłość. Nawet Marek nie wywoływał w nim takiej reakcji, choć samo

jego istnienie częstokroć zdawało się nie do zniesienia. Po raz pierwszy w życiu rozumiał, co to znaczy kogoś nienawidzić.

*

Una przekradała się w pośpiechu przez budynek, chowając głowę w ramionach, jakby chciała przejść niezauważona niczym intruz. Lęk, który nią zawładnął, był silniejszy niż rozsądek. Nie chodziło tylko o czas, ale o to, jak blisko był Druzus. Zastanawiała się, czy pod nieobecność Marka nie powinna opowiedzieć Faustusowi o tym, czego się dowiedziała. Jednak z tego, co słyszała o jego stanie, nie sądziła, żeby udało jej się do niego łatwo dotrzeć czy żeby to cokolwiek pomogło. Poza tym wiedziała, że Druzus kilka razy próbował widzieć się z wujem. A jeśli teraz też się do niego uda? Nie zniosłaby spotkania z nim -sama myśl napawała ją taką odrazą, że poczuła, jak dostaje gęsiej skórki. I strachem, dodała surowo w myślach. Może lęk nie był racjonalny, ale to nie znaczy, że nie powinna nazywać rzeczy po imieniu.

Udała się do pokoi Marka - w dalszym ciągu nie myślała o nich jako o swoich pokojach - i zamknęła za sobą drzwi, myśląc: już dobrze, uspokój się. Przysiadła na krześle i zaraz zerwała się z niego, chodziła nerwowo tam i z powrotem. W lustrze ujrzała swoją twarz, na której malowało się napięcie i wzburzenie, czerwoną od gorąca. Umyła twarz zimną wodą i poprawiła makijaż. Obok umywalki z sinoańskiej porcelany dostrzegła pierścień cesarski, mały i niepozorny. Spojrzała na niego obojętnie. Marek musiał go zdjąć, myjąc ręce.

Włączyła dalwizję, żeby zobaczyć jego twarz, usłyszeć, jak mówi o Bian i Kynoto, upewnić się, że wciąż żyje. W ciągu ostatnich dziesięciu minut Druzus nie mógł zrobić nic, co by zagrażało Markowi. Una słyszała, jak służba krząta się kilka

pokoju dalej, ale ten pokój dawał poczucie odizolowania. Nie było powodu sądzić, że potrzebuje jakiejś ochrony, a jednak zamek w drzwiach wydawał się niewystarczający. Nie podobała jej się także myśl, że każdy, kto by jej szukał, najpierw przyszedłby tutaj. Najchętniej znalazłaby się gdzieś daleko od pałacu.

Poszła do drugiego pokoju i wzięła daldictor. Połączyła się z biurem zarządcy w jednym z zewnętrznych budynków.

- Muszę spotkać się z cezarem, jak tylko skończy przemówienie. Możecie przysłać samochód do Septizonium? - spytała niechętnie, wiedząc, że nie odmówią jej, ale zawstydzona, że musi prosić. Wolałaby po prostu zniknąć z pałacu i wtopić się w anonimowy tłum na ulicy, ale nie było to takie proste. Pałacowym samochodem przynajmniej szybko dotrze do Marka.

Poczucie, że wie, co robić, dodało jej otuchy i Una zerwała się na równe nogi, nagle pełna energii. Przez chwilę stała nieruchomo, jakby czegoś zapomniała, i zanim otworzyła drzwi, schwyciła złoty pierścień i schowała go do kieszeni sukienki. Odda go Markowi, jak tylko do niego dotrze. Do tego czasu będzie jej służył jak amulet, jak mała tarcza.

*

Instynktownie Druzus pobiegł w stronę pokoju Marka. To jednak nie wystarczało, źle, źle - musi mieć coś przeciwko niej. Tyle że miał już to coś. Sama mu to dała, kiedy próbowała go usidlić. Taka dumna z siebie, mała zdzira. Pobiegł do pokoju gościnnych, gdzie w niszy wisiał daldictor, złapał opaskę i wcisnął ją sobie na głowę, jakby to był hełm, który wkładał przed bitwą. Wystukał numer centrali pałacowej, odchrząknął i zmienił ton głosu, żeby brzmieć miękko i rytmicznie.

- Dzwonię z Transtiberyjskiej Kliniki Niewolników. Muszę rozmawiać z Uną, była niewolnicą. Wie pan, o kogo chodzi? Dzwonię w sprawie jej brata.

Młody niewolnik - nie, już nie niewolnik, przypomniał sobie Druzus - odparł:

- Proszę zostawić wiadomość, a ja dopilnuję, żeby do niej dotarła jak najszybciej.

Druzus poczuł przypływ inspiracji. Trochę wiedział na temat kliniki. Na tydzień przed historią w Veii kazał swoim ludziom obserwować Suliena.

- Rozumiem, że musi pan postępować zgodnie z regulaminem, ale Una mnie zna. Nazywam się Aulus. Pracuję z jej bratem, Sulienem. Mogę poczekać na linii, aż Una potwierdzi, że chce ze mną rozmawiać. To bardzo ważna sprawa. Ja... nie wierzę, że to na mnie padło. - Ostatnie słowa - całkowicie zgodne z prawdą - powiedział drżącym głosem, jakby mówił do siebie. Westchnął przy tym ciężko. Chciał, żeby to zabrzmiało, jakby był w szoku.

- Zobaczę, co da się zrobić.

W słuchawce zapadła cisza. Młody mężczyzna próbował połączyć się z pokojem Marka i kiedy mu się nie udało, ktoś zawołał do niego, że kilka minut temu dziewczyna cezara poprosiła o samochód i pewnie w tej chwili idzie do bramy głównej.

W słuchawce odezwał się głos.

- Nie ma jej w imperialnym salonie. Wydaje mi się, że potrafię ją znaleźć. - Na to właśnie liczył Druzus.

- Och, świetnie, dziękuję. Proszę się pospieszyć - poprosił Druzus, nie musząc udawać zdenerwowania. - Nie, chwileczkę. Gdzie ona może odebrać? Czy ma własny pokój? - Był niemal pewien, że nie ma. Marek nie musiał jej ukrywać, tak

jak on Amaryllis.

- Nie, niezupełnie - odpowiedział rozmówca. - Będzie w pokojach cesarza albo przy bramie głównej, jeśli to takie pilne.

- Proszę jej nie mówić o tym telefonie. Najlepiej będzie, jak sam z nią porozmawiam. Mam dla niej złe wieści. - Wydał dźwięk, jakby miał zaszlochać. - Nie wiem nawet, jak jej to powiedzieć. Muszę jednak się z nią skontaktować i jakoś delikatnie przekazać wiadomość. Musi mi pan pomóc. Jeśli ludzie będą wchodzić i wychodzić... nawet sam cesarz...

- Cezar przemawia na Forum.

- Mimo to. - Zawahał się. Następna myśl nie była prosta do sformułowania. Jeśli nie będzie ostrożny, to dostanie obietnicę pomocy zamiast informacji. - Naprawdę, nie powinna otrzymać tej informacji gdzieś, gdzie będzie się musiała martwić, że jakiś niewolnik, chciałem powiedzieć, służący, może ją podsłuchać. To powinno być jakieś prywatne miejsce. Czy przychodzi coś panu do głowy?

- Tak - odparł młody mężczyzna, w jego głosie też zaczęła pobrzmiwać panika. - Tyle że...

- Co?

- Jeśli to złe wieści, to czy ktoś nie powinien być z nią? Albo przynajmniej w pobliżu?

- Nie - rzekł z przekonaniem Druzus. - Mogę to panu powiedzieć z własnego doświadczenia. - Jego głos aż drżał z wewnętrznego przekonania.

- Rozumiem, przepraszam - powiedział przygnębionym tonem mężczyzna.

- Gdzie będzie najlepiej? - spytał cicho Druzus, jakby to było najrozsądniejsze pytanie pod słońcem, jakby nie można było odmówić tak zrozpaczonemu człowiekowi. Liczył na dwa, trzy miejsca, które najlepiej nadawały się do jego celów, i mo-

że dwa inne, które byłyby bardziej ryzykowne, ale...

Mężczyzna westchnął.

- No cóż, przyszło mi do głowy, że mamy kilka starszych biur...

- Biuro? - spytał wąpiącym głosem Druzus.

- Nie służą już za biura. To raczej takie zapasowe pokoje. Jest tam dosyć... spokojnie.

Druzus zamknął oczy. Znał dobrze Żłoty Dom. Odkąd Faustus wybudował owalne szklane wieże, które obramowywały budynek, stare gabinety na najwyższym piętrze, gdzie przesiadywali kiedyś pomniejsi urzędnicy, wyszły z użycia. Gdyby nie fakt, że miały dostęp do dachu, na którym Faustus chciał wybudować ogród okalający niebieską kopułę, pewnie oddano by je niewolnikom. Jednak ogród nigdy nie powstał, a stare biura przekształcono w sale konferencyjne, ozdobione przesadnie skarbami z innych pomieszczeń pałacowych. Czasami jakiś gubernator zwoływał tam naradę albo zapraszał gości, żeby mogli podziwiać miasto z wysoka. W wielu salach daldictory dawno już przestały działać.

- Świetnie - powiedział drżącym głosem. - Bardzo dziękuję. Kiedy już ochłonie, na pewno będzie wdzięczna za to, co pan dla niej zrobił.

Ja w każdym razie jestem. Zaczekam, aż będzie mogła rozmawiać.

- Jak ma się z panem skontaktować?

- Zna mój numer. Dziękuję jeszcze raz. - Druzus się rozłączył. Ściągnął opaskę daldictora i rzucił się biegiem w stronę schodów. Miał tylko kilka minut, żeby znaleźć i przygotować odpowiednią salę.

*

Una szła w stronę wysokiej barykady Septizonium tak szybko, jak obezwładniający upał pozwalał. Nie widząc samochodu przy bramie, poczuła zniecierpliwienie. Jednocześnie oddychała teraz z ulgą, że zostawiła Druzusa i znalazła się poza jego zasięgiem. Poczuła, że ktoś za nią podąża. Nie był to Druzus ani nikt, kogo znała, ale ktoś, kto wiedział, że będzie musiał ją zranić, wbrew sobie.

Odwróciła się i stanęła nieruchomo, czekając, aż chłopak, który był chyba w jej wieku, podbiegnie do niej. Młodzieniec miał nieszczęśliwą minę.

- Proszę pani - powiedział, schylając głowę.

Zawstydzona i zmieszana Una cofnęła się o krok.

- Proszę, nie - rzekła, mimowolnie ostrym tonem, przypominając sobie radę Suliena. - Oboje byliśmy niewolnikami - dodała niezręcznie. Te słowa jedynie pogorszyły cierpienia mężczyzny. Wyczuła, że jej współczuje.

- Ja... mam wiadomość. Aulus z Transtiberiny chce z tobą pilnie rozmawiać...

- O moim bracie - dokończyła za niego głucho. Widziała, że to wszystko, co miał jej do przekazania. Dostrzegła także, że posłaniec wierzy, że Sulien nie żyje albo właśnie umiera.

- Tak - potwierdził. - Czy może... możesz pójść za mną?

Ruszyła za nim bez słowa. Kiedy jej ciało poruszało się machinalnie, w głowie tłukła się tylko jedna prośba: „Nie, proszę, i nie po fabryce”. Ale przecież dostali ostrzeżenie, że coś jest nie w porządku. Oczywiście, że problem nie zniknął. Nie powinna się tak łatwo dać przekonać i zostawiać go samego. Nie powinna go była zostawiać. Szła, czując, że nie może myśleć, ale to nie była prawda. Potrafiła wyobrazić sobie nieskończoną ilość okropieństw, które mogły mu się przytrafić.

Nie przyszło jej do głowy zapytać, dokąd idą. Miała

wrażenie, że prowadzona jest przez zupełnie obcy dom. W końcu poczuła, że się wynurza, jakby szła z zamkniętymi oczami i wstrzymanym oddechem. Spostrzegła, że weszli na ostatnie piętro pałacu i znajdują się wśród zagraconych, ciemnych pokoi. Wszędzie panowała cisza.

Chłopiec wskazał jej drzwi prowadzące do długiego, nieregularnego pokoju, w którym wypatrzyła daldictor wbudowany w biurko stojące na końcu sali.

- Czy mogę ci jeszcze czymś służyć? - zapytał niemal szeptem chłopak. Były to pierwsze słowa, jakie powiedział po wejściu do budynku.

- Nie, dziękuję - odparła z ulgą, że zostawi ją samą.

W dziwny sposób Druzus słusznie wyczuł, że nie chciała, by ktoś patrzył na to, co się stanie.

Stała nieruchomo przed drzwiami do pokoju, aż młodzieniec odszedł pospiesznie. Następnie zmusiła się do wejścia, jakby biurko było oddalone od niej o całe mile i musiała rozłożyć siły, żeby dotrzeć do niego. Była w połowie drogi, kiedy jakieś ostrzeżenie, coś innego niż lęk o Suliena, zaczęło odzywać się gdzieś w niej, trzepocząc skrzydłami niczym ćma. W tej samej chwili usłyszała na korytarzu zbliżające się kroki. Odwróciła się, kiedy przymknięte przez nią drzwi zatrzasnęły się z łoskotem, a w zamku rozległ się zgrzyt przekręcanego klucza.

*

Druzus przebiegł pędem korytarz, otwierając kolejne drzwi i dysząc ciężko. Z początku w pośpiechu otwierał drzwi na chybił trafił, ponaglany frustracją, ale zaraz zmusił się do bardziej metodycznego działania. Najpewniej chłopak nie zaprowadzi jej zbyt daleko od schodów. Wybierze też najlepszy z

dostępnych pokoi. Najpierw, sprawdzając tylko, czy w sali jest daldictor, Druzus ograniczył się do czterech sal. Z ulgą spostrzegł, że w dwóch z nich stary daldictor na pewno nie działa. Z dwóch pozostałych pokoi jeden najlepiej nadawał się do jego celu. Wyglądało, że na niego padnie wybór - był większy, jaśniejszy, miał trochę stare meble, ale eleganckie. Ktoś musiał tu niedawno urzędować, gdyż na biurku stał wazon z kwiatami, które dopiero co uschły.

Druzus wpadł do środka, starając się przygotować wszystko jak należy, przerażony, że Una i służący przyłapią go w czasie tych zajęć. Wybiegł pędem z sali z naręczem zebranych rzeczy, w tym także wazonu z kwiatami, i wrzucił wszystko do sąsiedniej sali. Na haku przy drzwiach dostrzegł klucz i zamknął pokój z zewnątrz. Wrócił do biura, które wybrał, porwał ze ściany klucz i szybko pobiegł korytarzem, rozglądając się za miejscem, gdzie mógłby się ukryć. W końcu przykucnął, chowając się za drzwiami zagraconego pokoju, jakieś sto kroków od wybranej sali. Mimo że trząsał się cały z nienawiści i lęku, następna rzecz, którą musiał zrobić, nie wydawała mu się zbyt trudna. Una będzie zbyt przejęta losem brata, żeby cokolwiek zauważyć. Na to przynajmniej liczył. Dopóki nie wejdzie do pokoju, dopóki nie zostanie sama, musiał pozostać w ukryciu. Najlepiej nie myśleć.

Druzus starał się uspokoić, przestać myśleć. Siedział ze wzrokiem wlepionym w otwarte drzwi pułapki, prawie nie oddychając, jakby całe jego istnienie skupiło się na powierzchni oczu, niczym dwóch małych owalnych szkiełek, które wkładano pomnikom w miejsce oczu.

Nie drgnął nawet, kiedy Una i służący pojawili się na końcu korytarza. Patrzył na Unę czekającą, aż chłopiec odejdzie, jakby to były dwie niewyraźne postacie w dalwizji. Una

weszła do środka i Druzus puścił się pędem do drzwi, ściskając mały klucz w wyciągniętej ręce, żeby jak najszybciej dopaść zamka. Przekręcił klucz z poczuciem niewysłowionej radości i od razu pobiegł schodami prowadzącymi na dach.

*

Una stała nieruchomo. Pokój, który do tej pory był tylko niewyraźnym tłem dla jej niepokoju, gwałtownie nabrał ostrości. Spojrzała na biurko - patrzyła na daldictor, odkąd przekroczyła próg, ale dopiero teraz zobaczyła, że aparat został roztrzaskany, a kawałki zręcznie złożono w całość. Nie mogąc znaleźć żadnego ostrza, żeby przeciąć kabel, Druzus rozbił daldictor, uderzając nim wściekle o ścianę. Una powiedziała sobie oschle, z ulgą, jakby ktoś splatał jej psikus: No cóż, Sulie-nowi nic nie jest.

Nie miała ochoty ruszać się ani wołać, ponieważ z chwilą, gdy zniknął strach o brata, pozostało jedynie poczucie, że ma do czynienia z logicznym problemem. Była niczym czysty umysł rozpatrujący zbiór abstrakcyjnych faktów. Gdyby podeszła do drzwi albo zawołała o pomoc, na powrót zdałaby sobie sprawę z tego, jaka jest bezbronna.

Podeszła jednak i nacisnęła klamkę - tylko raz, gdyż wiedziała już, co się stało - żeby poczuć solidność drzwi, sprawdzić, czy ma jakieś szanse je wyważyć. Oczywiście, że nie. Oparła się plecami o drzwi i rozejrzała po sali. Nawet stąd widziała przy oknach, jak grube są mury. Wokół panowała niczym niezmacona cisza.

Wspięła się na biurko, żeby dostać się do okna, miała nadzieję, że może ktoś usłyszy ją stąd, gdyż nie mogła liczyć, że uda jej się zejść z tej wysokości. Okno było zamknięte i co gorsza, wykonane z małych szybek witrażowych. Nie stłucze

go, na pewno nie pięścią. Rozejrzała się za czymś, co mogło posłużyć do obrony, ale pokój został celowo ogołocony ze wszystkich narzędzi. Nie było w nim żadnego przycisku do papieru, żadnej lampy. Przed biurkiem stały dwa krzesła, ale oba były tak ciężkie i nieporęczne, że potrzebowałyby wszystkich sił, żeby choć przenieść któreś przez cały pokój. Una przewróciła jedno z nich zdumiona, jak niewiele hałasu przy tym narobiła.

Uklęła na podłodze i zaczęła walić drewnianym oparciem fotela o dywan.

- Pomocy! - zawołała, ale i tak nikt jej nie słyszał.

Zaczęła przeszukiwać szuflady biurka, rozglądając się za jakimś ciężkim lub ostrym przedmiotem. Jej frustracja zaczęła powoli przeradzać się w prawdziwy strach, a palce drżały okropnie, gdy przerzucała bezużyteczne ryzy miękkiego, pozółkłego papieru. Zaczęła zastanawiać się, czy jej wstępne założenie, że to Druzus, że w jakiś sposób dowiedział się i próbuje ją zabić, jest słuszne. Gdyby tak było, to czemu ją zamknął? Czemu nie wszedł do pokoju? Nagle otworzyła drzwi do czegoś, co wyglądało jak szafa. Były to wąskie drzwiczki schowane za sofą z wysokim oparciem. Za nimi ujrzała ze zdumieniem schody prowadzące do otworu w dachu, przez który mogła zobaczyć niebo.

Una ukucnęła na podłodze, patrząc na schody, bardziej wystraszona niż poprzednio. Niemożliwe, żeby ktoś, kto tak zręcznie przywiódł ją tutaj, przeoczył te schody. To nie mogło być wyjście, tylko pułapka. Ktoś czekał tam na nią. Jednak czemu chciałby zwabić ją na dach, gdzie przynajmniej znajdowałyby się na otwartym terenie? Przecież ludzie pracujący w wieżach mogli dostrzec, co się dzieje. Ponieważ, odpowiedziała sobie racjonalnie, gdyby spadła z dachu, to byłoby to

mniej podejrzane, trudniej byłoby oskarżyć kogokolwiek o morderstwo. Zresztą byli blisko kopuły, która zasłoniłaby ich przed widokiem ludzi znajdujących się w wieżach. W pokoju musiały zatłuc ją na śmierć lub udusić. Może więc powinna spróbować ściągnąć go tutaj, gdzie przynajmniej zostanie dowód jego zbrodni.

Z przerażenia poczuła, jak zaciska jej się żołądek.

Znowu zaczęła rozglądać się za jakąś bronią - pod ścianą stała półka z książkami, zbyt lekkimi, a szuflady nie dawały się wysunąć z biurka. Wiedziała już, że i tak wejdzie na dach, nawet jeśli postąpiłaby tak, jak on chciał, to było lepsze niż czekanie na dole.

W końcu wzięła kawałek połamanej obudowy daldictora. Broń była lekka i krucha, ale zwisał z niej kawałek sznurka i choć ostra krawędź nie mogła nikogo zabić - chyba żeby udało jej się trafić w oko - to mogła przynajmniej zranić. Wstała i skierowała się do małych drzwiczek. Miała nadzieję, że uda jej się zostawić jakieś ślady na jego ciele.

*

Schody prowadzące na dach kończyły się małymi wieżyczkami. Druzus stał oparty o ścianę i czekał. Z początku udało mu się stać nieruchomo i nie myśleć o niczym. Jednak w miarę jak mijały minuty, a ona nie wychodziła, przez jego ciało zaczęły przebiegać niecierpliwe dreszcze podniecenia. Czy to możliwe, że udało jej się wydostać?

Nagle, bez ostrzeżenia, gdyż poruszała się tak samo bezszelestnie jak w ptaszarni, wypadła przez drzwiczki i rzucała się do ucieczki. Druzus wyciągnął ręce i złapał ją wpół. Mimo że od razu zaczęli się siłować, przez ułamek sekundy Druzus spojrział jej w oczy i niemal zapomniał o tym, co uczy-

niła i co zamierzała mu zrobić. Fakt, że wiedziała o Tullioli, Leonie i Klodii, uspokoił go. Za minutę znowu nie będzie nikogo znającego prawdę.

Kiedy popchnął ją w stronę parapetu, wrócił cały lęk przed nią. Opierała mu się z całych sił, kopiąc i próbując nadebrać mu na stopę. W ręku miała coś ostrego, czym próbowała go dźgnąć, o mały włos nie trafiła go w oko. Poczuł przenikliwy ból na policzku, na wysokości szczęki i przez chwilę myślał, że zaatakowała go nożem. Mocując się z nim, jakoś udało jej się złączyć ręce za jego głową i nagle Druzus poczuł pętlę na szyi. Jednak Una nie była silna. Chwila, w której sznur

zaciśnął mu się na szyi, była przerażająca, ale Druzus z łatwością wykręcił jej ręce, wyginając nadgarstki, aż usłyszał jęk bólu, i wypuściła swoją broń. Uderzył ją pięścią w twarz. Una zaczęła krzyczeć, ale wcale nie w panice. Ten krzyk doprowadzał go do szału; ona doprowadzała go do szału. Nie odezwała się do niego, nie obiecywała, że nikomu nie powie, nie błagała o życie. To milczenie zmroziło go i jednocześnie jeszcze bardziej rozsierdziło, gdyż odmawiała uznania go za prawdziwą istotę czy tym bardziej kogoś, kto mógł zrobić z nią, co mu się żywnie podobało. Przyciągnął ją do siebie odwróconą plecami i zatykając jej usta, zaczął pchać do krawędzi dachu. Poczuł, jak dłoń robi mu się nagle wilgotna, gdy ugryzła go z całej siły. Mimo bólu nie puścił jej, a ona wrywała się, kopiąc go i szarpiąc zębami, aż po palcach zaczęła mu ściekać krew. Uwolnił dłoń, wyszarpując z jej zaciśniętych szczęk, i Una znowu zaczęła krzyczeć. Tym razem zaciśnął przedramię na jej gardle. Ścisnął z całych sił, czując, jak wygina się i rzezi, usiłując złapać powietrze, i nagle umilkła i zwiotczała w jego rękach. Było to tak niespodziewane, że niemal wyśliznęła mu się z rąk.

Una poczuła, jak osuwa się na ziemię. Tylko z największym trudem udało jej się wstrzymać oddech i rozluźnić mięśnie. Zaskoczony Druzus schylił się, żeby w dziwnie eleganckim geście złapać ją pod kolana i wziąć na ręce. Łatwość, z jaką ją podniósł z ziemi, była oszałamiająca. Una miała zamknięte oczy i kiedy dał krok do przodu, nie wiedziała, jak blisko są krawędzi. Wygięła się błyskawicznie niczym jaszczurka, wysliznęła mu z rąk i rzuciła do ucieczki.

Nie śmiała oglądać się za siebie. Widziała jedynie wieżyczkę prowadzącą do następnych schodów i myślała tylko o tym, żeby biec jak najszybciej, a mimo to czuła, jak nieskończone i jasne jest niebo nad nią jak obojętny na wszystko Rzym rozpościera się wokół niej. Koloseum, cyrk, a przede wszystkim Forum, na którym znajdował się Marek; wszystko to było tak blisko. Gołąb czy wróbel, czy jakakolwiek latająca istota, mógł tam dotrzeć dzięki jednemu uderzeniu skrzydeł.

Druzus był tylko kilka stóp za nią; rzucił się z rozpędu do przodu i zbił ją z nóg. Krawędź parapetu uderzyła ją w barki i usiadła na dachu, oparta plecami o ścianę. Druzus stał nachylony nad nią, z wykrzywioną z wściekłości twarzą, z zębami wyszczerzonymi z wysiłku i desperacji. Nigdy jeszcze nie spotkała się z czymś takim; pamiętała, jak smakuje przemoc, lecz nigdy nie widziała u kogoś takiego zapamiętania. Jakiś cichy głos zaczął szeptać jej w głowie, że nic więcej nie może poradzić.

Druzus zaczął ciągnąć ją do góry, opierając o ścianę parapetu. Una wyrywała mu się, próbując wysunąć się z jego uścisku, kopnąć go w krocze, uderzyć w brzuch, czując, jak jej paznokcie rozrywają mu skórę na rękach. Ich twarze były blisko siebie i Druzus spostrzegł strużkę krwi na pobladłych ustach i uwierzył, że walczy z demonem. Waliła go na oślep z

tak nieopisaną furią jak harpia i jej zajadłość napawała go przerażeniem.

Podniósł ją i przechylił za krawędź dachu, a wtedy Una przestała się opierać, a zamiast tego zarzuciła mu ręce na szyję i przykleiła się do niego tak mocno, że poczuł, jak jej serce uderza w jego serce. Nie, przestań, puść mnie, błagał w myślach. Chciał już tylko, żeby to się wreszcie skończyło, żeby nie czuł jej na swojej skórze. Nie przypuszczał, że to będzie tyle trwało. A jednak kiedy uścisk się nasilił, a jej nogi zacisnęły się wokół niego, poczuł, jak ogarnia go podniecenie. Nie, nie do niej, nie do jej ciała, ale na myśl o żarliwości, z jaką walczyła, o zbliżającej się chwili, kiedy zostanie tylko on.

Una czuła wściekłe bicie jego przerażonego serca i była świadoma, jak bardzo Druzus cieszy się, że ją zabije. Ścisnęła go jeszcze mocniej, starając się zmusić ręce i nogi, żeby upodobniły się do pnączy winorośli, żeby zacisnęły się z siłą szczęki rekina. Nie mogła go jednak trzymać w nieskończoność. Druzus starał się rozplatać jej palce zaciśnięte na karku i wiedziała, że w końcu mu się to uda. Odepchnie jej ramiona, jej młóćące na oślep ręce będą próbowały złapać go, schwycić za ubranie - kiedy poczuje, że trzyma jego ubranie, to będzie koniec. Zanim do tego doszło, Una rzuciła się całym ciałem do tyłu, poza krawędź.

Druzus, skupiony na wyplątywaniu się z jej ramion, poczuł, że leci do przodu i w pierwszej chwili spostrzegł jedynie, że całe jej ciało znalazło się za krawędzią, poczuł paraliżujący strach, widząc, że i on traci równowagę. Wczepiła się w niego i nie zamierzała puścić. Jego stopy zaczęły podnosić się z ziemi i gdyby nie opierał się udami o ścianę parapetu, już by poleciał.

Jej nogi dyndały w powietrzu. Niebo obróciło się, żeby spojrzeć jej w twarz, a słońce wrzasnęło w oczy. Poczwała

przepaść niczym falę na plecach, a głowa stała się tak ciężka, że nieubłaganie ciągnęła ją w dół niczym kotwica. Przyznanie do porażki wyrywało się z jej myśli przenikliwym piskiem: To koniec! Umierasz! Dbała w swoim życiu tylko o dwie osoby. Jednak do tej pory cały czas bała się myśleć o Su-lienie i Marku; gdyby choć raz powiedziała „żegnaj”, zrobiła najmniejszy krok w stronę akceptacji swojej śmierci, straciłaby ostatnią szansę. Dopiero teraz, kiedy osuwała się w przepaść - tracąc z oczu jakąkolwiek nadzieję na ocalenie - kiedy nie mogła już nic więcej zrobić, pomyślała, że Marek może nawet nie zrozumie, iż podarowała mu śmierć Druzusa, że tylko tyle mogła dla niego zrobić...

Przerażenie dodało Druzusowi sił i puszczając jej rękę, żeby przytrzymać się ściany parapetu, szarpnął się do tyłu, obracając się jednocześnie. A ona, przyklejona do jego ciała, obróciła się z nim - nie miał żadnego wyboru - i kiedy upadł na plecy, wylądowała na jego piersiach i zaraz poderwała się na nogi, gdy Druzus ukląkł.

Drżąc, Druzus poderwał się z ziemi i wyciągnął rękę, starając się ją schwycić. Una ponownie poleciała na ziemię. Trzymając ją za nogi, próbował przysunąć do siebie, ale Una kopnęła go mocno w głowę. Udało jej się podnieść, potknęła się i już biegła dalej, a Druzus ruszył za nią, czując, że kręci mu się w głowie. Powinien był najpierw rozwalić jej czaszkę o dach, a następnie zrzucić ją do ogrodu, w którym usiłowała go zniszczyć. Naprawdę spodziewał się, że łatwiej mu pójdzie. Myślał, że to będzie czysta robota.

Uświadomił sobie, że dotarła do schodów, i poczuł, jak traci nagle cały zapał. Wpadł na nią, gdy otwierała drzwi, i poleciała na dół po schodach, walcząc i drapiąc się niczym dwa dzikie koty. Gdyby tylko udało mu się przyszpilić ją do ziemi...

Spokojny, ojcowski głos ponownie odezwał się w jego głowie, mówiąc mu, co ma robić, a nawet jak ma się zachować po wszystkim - nie podobało mu się to, ponieważ musiał wplątać w to trzecią osobę, ale to jedyne wyjście: zabij ją pierwszym lepszym narzędziem, wezwij kogoś ze swojej ochrony, komu możesz zaufać, każ mu zastrzelić jakiegoś niewolnika i połóż jego ciało na jej zwłokach. Strażnik powie, że zobaczył niewolnika napadającego na Unę.

Znaleźli się na korytarzu i Una zaczęła krzyczeć na całe gardło, gdy tylko udało mu się jej dopaść. Kiedy mijali zamknięty pokój ze schodami wiodącymi na dach, Druzus dostrzegł kątem oka jakąś postać stojącą niepewnie za drzwiami i wystraszoną hałasem. Chłopak, z którym rozmawiał przez daldicator, zignorował jego polecenie i wrócił do Uny.

Dobra, jego się pozbędziemy, Druzus myślał jak oszalały, to wszystko, posłużymy się jego ciałem.

- Ty, wezwij pretorianów! - zawołała Una władczym tonem.

Druzus oniemiał, nie mogąc uwierzyć, co ona wyrabia. Nie mógł

uwierzyć, że chłopak nawet się nie zawahał, mimo iż wiedział, kim jest Druzus. Odwrócił się na pięcie i puścił pędem po korytarzu, szybko niknąc na schodach. Una rzuciła się za nim i Druzus zaczął ich oboje gonić, zataczając się ze zmęczenia i panicznego strachu. Nie miał pojęcia, co dalej, jak ma ich zabić oboje - ale pretorianie mają bronić rodziny cesarskiej. Nie ma wątpliwości, komu uwierzą.

Zbiegł po schodach i na podeście wpadł na Unę, przyszpilając ją do ściany, tak że głowa dziewczyny poleciała do tyłu, a on złapał palcami jej gardło i ścisnął. Teraz kierowała nim czysta panika. Wiedział, że chłopak zbiegł już piętro niżej i

jest poza jego zasięgiem. Udało mu się jednak dopaść jej i nic więcej się w tej chwili nie liczyło, nie zmarnuje tej szansy.

Usłyszał krzyki i tupot stóp ludzi biegnących po schodach. Patrzył w milczeniu w jej czarno-brązowe, czarno-czerwone oczy, teraz na wpół przymknięte. Widział, że i ona na niego patrzy, jakby z oddali, wciąż nieosiągalna i nieprzejęta jego osobą.

Zmienił uścisk, łapiąc ją za bark i popychając w stronę pretorianów, którzy wraz z młodzieńcem wbiegli na piętro.

- Pomóżcie mi, to zdrajczynie. Szpieguje dla Nionian. Ob-oje to szpiedzy.

Jeśli zamkną ją gdzieś, z pewnością uda mu się dostać do niej, zanim Marek wróci. Una może popełnić samobójstwo w czasie aresztowania, tak samo jak Tulliola.

Znowu go zaskoczyła. Poczuł, jak jej ciało prostuje się, jak unosi głowę, jakby mężczyzna, który omal jej nie zabił, nie był wart uwagi. Nie mogła złapać oddechu, z ust spływała jej strużka krwi, a jej suknia cała była porwana.

- Aresztujcie go - poleciła, jakby miała prawo wydawać rozkazy. -To morderca.

Nie rozumiał, czemu pretorianie się zawahali, czemu przenieśli spojrzenie z niej na niego i z powrotem na nią. Zanim zdołał coś powiedzieć, wyrwała się z jego uścisku, włożyła rękę do kieszeni i szybko ją wyjęła, trzymając w palcach jakiś mały przedmiot. Był to pierścień cesarski.

- Z jego mocy - powiedziała.

To nie mogło się zdarzyć. To było nie do pomyślenia. Druzus nie wierzył, gdy strażnicy go pojмали. Una cofnęła się zręcznie o krok, patrząc na niego obojętnie. Zaczął wrzeszczeć, że to oszustka i zdrajczynie. Kiedy ciągnęli go po schodach, nie mógł pogodzić się z prostym faktem, że jest ich więcej i są sil-

niejsi. Mimo że był skrajnie wyczerpany, walczył z nimi przez całą drogę.

Una patrzyła za nimi, nie ruszając się z miejsca. Chciała osunąć się na dywan i położyć, ale nie mogła tego zrobić przy nich. Dopiero kiedy pretorianie z Druzusem zniknęli, rozluźniła się i oparła o ścianę. Popatrzyła z wdzięcznością na chłopaka, który już wrócił. Spojrzała na niego, ponieważ oboje byli kiedyś niewolnikami. Na jego twarzy mieszało się zażenowanie i współczucie, jakby stał przed kimś potężniejszym od siebie, senatorem lub cesarzem. Wzięła go za rękę.

WYTRZYMAŁOŚĆ

Wariusz minął to miejsce, dokładnie te płyty chodnikowe, które nagle pociemniały i zachwiały się pod jego stopami, gdy trucizna, która zatrzymała serce Gemelli, zalała falą jego serce. To było dzień po jej śmierci; właśnie w tym miejscu omal nie udało mu się bezpiecznie opuścić tego świata. Od tego czasu tylko raz był w Złotym Domu, zaraz po tym, jak zabrano go z więzienia. Nigdy też nie zamierzał tu wrócić, ale teraz miał powód.

Przed nim był spokojny zielony pokój, w którym niegdyś stała Tulliola, morderczyni, przez nikogo nierozpoznana. Wariusz słuchał Marka, który opowiadał mu, jak sprowokował Druzusa do odejścia od stołu, gdy podszedł Glykon. Ukłonił się sztywno przed Markiem.

- Cezarze. Wariuszu. Czy będziesz wracał do Biura Cesarskiego?

- Co się stało? - spytał Marek, drętwiejąc.

Glykon zawahał się.

- To nie... Chyba nie powinienem. Nie chodzi o politykę. Nie o Nionię.

*

Una siedziała na krześle przy biurku, czekając spokojnie na ich przyjście i masując nadgarstek w taki sam sposób, jak robił to Sulien. Dopiero kiedy zobaczyła Marka i Wariusza, przyszło jej do głowy, że musi okropnie wyglądać. Pomyślała z wyrzutem, że powinna się trochę ogarnąć. To było głupie, ponieważ kazała pretorianom zrobić sobie zdjęcia, obracała przy tym głowę na wszystkie strony, żeby widać było wszystkie ślady. Miała nadzieję, że są dostatecznie widoczne, że wystar-

czająco obciążają Druzusa. Kiedy jednak uwieczniono jej wygląd jako dowód w sprawie, Una zapomniała o napastniku. Nie było zbyt wiele czasu, ale mogła przynajmniej zdjąć tę suknię z porwanym rękawem i włożyć coś innego. Jej włosy były miejscami pozlepiane w brudne strąki, które sterczały na wszystkie strony, i mogła przynajmniej je rozczesać. Otarła jedynie krew z ust, nie myśląc o tym, co robi. Z jednej strony policzek pulsował tęnym bólem w miejscu, gdzie zaczynały być widoczne otarcia, a oko szybko zmieniało kolor i zamykało się za opuchlizną. Tak naprawdę to bolał ją jedynie nadgarstek.

Marek czuł, że pokój wokół niej gotuje się i marszczy, jakby w każdej chwili mógł wybuchnąć płomieniami lub wyparować. Nie miał pojęcia, co powiedzieć ani o co najpierw spytać. Nie wiedział nawet, jak tutaj dotarł; miał wrażenie, że przywiał go gorący pustynny wiatr. Pierwszy raz w życiu czuł tak gwałtowne oburzenie i taką miłość. Zakręciło mu się w głowie.

Wyciągnął ku niej rękę, dotykając lekko i bezradnie najpierw jej nadgarstka, potem ramion i twarzy. Bał się zranić ją jeszcze bardziej. Pod palcami jej skóra zdawała się zimna.

- Co się stało? - wyjąkał. - Kto ci to zrobił?

Przerwała mu nagle, przyciskając usta do jego ust w niecierpliwym pocałunku.

Och, dzięki Bogu, pomyślała, wyczerpana i szczęśliwa, widząc jego pomieszanie i wściekłość. Przylgnęła do niego całym ciałem. Przechodziły przez nią gorące dreszcze ulgi, jakby to jemu groził upadek, z którego cudem się uratował. Zauważyła, jak podobne były ciała Marka i Druzusa.

- To nic. To tylko takie... powierzchowne.

Wariusz wycofywał się do drzwi zdziwiony, że Glykon w ogóle go tu wpuścił i pozwolił mu na to patrzeć. Una oderwała

wzrok od Marka i spojrzała na niego.

- Nie odchodź - powiedziała wyraźnie. - Powinieneś to usłyszeć. - Była niewiarygodnie rozsądna i opanowana. Nawet nie drżała, mimo że była bardzo blada. Wariusz skinął głową i zastygł w miejscu.

Marek drżącym głosem zadawał kolejne pytania, choć zdawały mu się bezcelowe z chwilą, gdy tylko je wypowiedział.

- Co się stało? Czy to coś poważnego z nadgarstkiem? Jesteś cała lodowata, czy ktoś...? Twoje oko...? - Pocałunek trochę go uspokoił. Wiedział, dlaczego kiedyś wzdrygała się przy każdym dotknięciu.

- Posłuchaj - powiedziała cicho. Przy mówieniu i przełykaniu bolało ją gardło. Wolałaby, żeby sam się dowiedział, nie miała mu ochoty opowiadać. Najchętniej położyłaby się na podłodze, przytuliła do niego i zasnęła. Cztery godziny, rozmarzyła się, chciałabym tak poleżeć ze cztery godziny. Zaczęła mówić. - Druzus i żona twojego wuja byli kochankami. Stał za tym wszystkim. Gabiniusz i pozostali mieli własne powody. Wiesz jednak, że chce być cesarzem. Potem zabił Tulliolę. Nie popełniła samobójstwa.

Marek nie mógł słuchać tego spokojnie, gdyż na dźwięk imienia Druzusa poczuł, że zbiera mu się na wymioty, nagle wszystko zrozumiał, dopadło go poczucie winy i nienawiść. Uświadomił sobie, że wcale nie czuje potrzeby zaprzeczania tym oskarżeniom. Nie, nawet nie był zdziwiony. Przeraziło go, że przez tak długi czas nie dopuszczał takiej możliwości.

- A kiedy się dowiedziałas, on...? - wyszeptał.

- Tak - odparła.

- Co zrobił?

Westchnęła i zaczęła im zwięźle opowiadać, pomijając

szczegóły. Czują, jak ciało Marka sztywnieje od powstrzymanej wściekłości, jego ręka nieświadomie zaciskała się coraz mocniej na jej dłoni. Pragnęła mu opowiedzieć, co pomyślała, kiedy zaczęła wciągać ją pustka, ale jeszcze nie potrafiła. Nie chciała, by sobie wyobrażał, jak niemal pociągnęła Druzusa za sobą.

Kto by ją znalazł? - pomyślał Marek. Kto by mi powiedział?

Przed przybyciem Marka i Wariusza Una zadzwoniła do Suliena. Wszedł do pokoju, kiedy opowiadała o walce, i jego pojawienie się nagle wszystko skomplikowało. Ku niezadowoleniu pozostałych Una była zmuszona opowiedzieć wszystko od początku. Widok brata siedzącego obok niej i patrzącego na nią szeroko otwartymi oczami wywołał bolesne wspomnienie okropnej przygody. On z kolei był wstrząśnięty jej wyglądem. Una zaczęła poprawiać włosy i układać sukienkę, tak żeby nie było widać dziur. Jednak z posiniaczoną i bladą jak ściana twarzą przypominała Unę, którą po długiej rozłące pierwszy raz ujrzał na więziennej barce na Tamizie. W niepokojący sposób przypominała znowu niewolnicę.

- Przepraszam - powiedział cicho Marek.

- Za co? - spytała.

- Nie zrobiłeś nic złego - zgodził się Sulien.

- Powinienem zająć się tym wcześniej, nie dopuścić do tego.

Wariusz nie odzywał się do tej pory, nawet nie poruszył się do chwili, kiedy przybył Sulien. Był jedyną osobą w pokoju, która stała w wyraźnej odległości od pozostałych. Na ścianie, pomiędzy namalowanymi drzewami pomarańczowymi, stała bogini. Tulliola czekała na niego przed nią. Potrafiłby dokładnie wskazać miejsce, w którym stała.

- Więc zrobiła to dla niego? - przerwał cicho, jakby po prostu chciał zasięgnąć informacji.

- Tak, sądzę, że zrobiła to dla niego - odparła Una.

Wariusz poczuł, jak wróciło dziwaczne pragnienie, które kiedyś już go opanowało - mimo że wiedział, iż nic by to nie zmieniło, nic nie stałoby się łatwiejsze - żeby Tulliola zamordowała Gemellę w jakimś celu, żeby nie był to jakiś głupi przypadek czy błąd.

- Gdzie on jest?

- Tutaj. Strażnicy trzymają go pod kluczem. - Pod pałacem znajdowało się kilka cel, rzadko obecnie używanych. Una nie wyjaśniła w szczegółach, jak Druzus został aresztowany. Zrobiła to teraz i położyła Markowi na dłoni cesarski pierścień.

- Czemu to zrobiłaś? - spytał. - Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Una spojrzała na niego wyraźnie zaskoczona.

- Przepraszam. Nie chciałam... nie spodziewałam się. Kiedy go spotykałam, zawsze miałam uczucie, że jeszcze chwila i dowiem się prawdy. Nic nie wskazywało na to, że tyle będę musiała mu powiedzieć.

- To kiedy zaczęłaś to planować? Kiedy go spotkałaś po raz pierwszy?

- To nie był plan. Ja tylko... chciałam się tylko upewnić, że po tym wszystkim jesteś przy nim bezpieczny. Zresztą... czemu nie poprosiłeś, żebym to zrobiła znacznie wcześniej?

- Wy tłumaczyłem ci wtedy - odparł, czerwieniąc się. - Mój wuj. Myślałem...

- Myślałeś, że wuj tego nie zniesie. Wiesz jednak, że nie tylko o to chodziło. Ty też nie chciałeś o tym myśleć. Chciałeś tylko, żeby się skończyło. Pomyślałam, że jeśli był częścią spi-

sku, to powinieneś o tym wiedzieć, ale jeśli nie był, to nie ma o czym mówić. Tak jak sobie życzyłeś.

- Myliłem się. Nie powinienem do tego dopuścić. Trzeba było cię poprosić, żebyś się wywiedziała. Ale on jest moim kuzynem; to moja rodzina, powinnaś mnie uprzedzić.

- Przepraszam! Przepraszam! - Una zaczęła się trząść.

- Dosyć - zaprotestował ostrym tonem Sulien.

Sfrustrowany Marek odwrócił się od Uny i skierował swój gniew na Suliena.

- Nie rozumiesz? Wiedziała, że może być niebezpieczny. Mogła zginąć. I po co? Żeby coś udowodnić?

- Nieważne. Omal jej nie zabił. Daj jej spokój.

- Przepraszam - powtórzyła Una.

- Chodź tutaj. - Sulien obrócił się do niej, ignorując Marka. - Obejrzę twój nadgarstek.

Uciszony w ten sposób Marek przyglądał się, jak Sulien ostrożnie zajmuje się jej nadgarstkiem. Delikatnym i zdecydowanym ruchem przyłożył palce do siniaków na jej twarzy i szyi.

Marek stanął za nią nękany wyrzutami sumienia.

- Nie próbowałbym cię zatrzymać. Masz rację, musiałaś to zrobić. Trzeba było się dowiedzieć. Zadbałbym tylko, żeby nie mógł cię skrzywdzić.

- Wiem - odpowiedziała Una, uspokajając się trochę. - Ale dobrze, że to zrobił.

Marek wytrzeszczył na nią oczy.

- Jak możesz tak mówić? - zapytał zszokowany.

- Bo można mu to udowodnić - odparła spokojnie, w pełni panując nad emocjami.

Marek potrząsnął głową, uświadamiając sobie jednocześnie, że mógł przewidzieć, iż powie właśnie coś takiego, i że

Una jest niezwykłym skarbem, choć także bardzo lekkomyślnym. Wziął ją w ramiona.

- Chciałbym go zabić - mruknął zawzięcie.

- Dobrze. Zrób to - rzekł niespodziewanie Wariusz ze znacznie większym przekonaniem niż ostatnio, choć nie podnosząc głosu.

Wściekłość i odraza dyktowały Markowi to samo rozwiązanie, ale słysząc tę myśl wypowiedzianą, jakby zaaprobowaną przez inną osobę, odwrócił się zszokowany do Wariusza.

- Co? - Jego głos brzmiał piskliwie i żałośnie.

- Zabił co najmniej cztery osoby. O tylu wiemy. A teraz jeszcze to. Nic go nie powstrzyma. Nie możesz dać mu jeszcze jednej szansy.

- Wiem - szepnął Marek, wzdrygając się. Mocniej przycisnął Unę.

- A Gabiniusz, który sam się zastrzelił? - kontynuował Wariusz. -Czy to nie sprawka twojego kuzyna? Na pewno była to dla niego dobra wiadomość. Gdyby nie to, wcześniej poznalibyśmy prawdę.

- Masz rację. To moja wina - zgodził się Marek tak cicho, że ledwie go było słyhać. Nie mógł spojrzeć Wariuszowi w oczy. - Jednak, tak jak teraz to widzę, jeśli nic na niego nie znajdziemy, to nie uda nam się udowodnić, że zabił moich rodziców... czy Gemelle.

- Więc spadnie ze schodów po pijaku albo nie wróci z polowania. To bez znaczenia! - powiedział Wariusz z taką zaciekłością, że jego głos wydał mu się nagle zupełnie obcy. Zapadła cisza.

- To ma znaczenie - sprzeciwił się Marek niepewnym tonem. -Prawda wy szłaby w końcu na jaw. Pretorianie wie-

dzą, co się dziś stało... i gdzie jest. Domyśliliby się, że to moja robota. Zresztą... - znowu się zawahał i dokończył ciszej: - nie mogę... Nie zabiję go potajemnie. On by się pozbył nas w ten sposób. Nie chcę być... taki jak on.

- Nie jesteś taki jak on - z oburzeniem sprzeciwił się Wariusz. - Nawet nie ma co porównywać. To ma być egzekucja. Naprawdę sądzisz, że po tym, co zrobił, musiałbyś się wstydzić?

Marek doskonale wiedział, co chciałby zrobić Druzusowi: tłuc go pięściami na oślep, rozbić mu głowę czymś ciężkim, dźgać go nożem. Pragnął zrobić to szybko, ale nie aż tak, żeby Druzus nie czuł, że umiera. Nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby się po tym wstydzić czegokolwiek.

- Sam nie wiem - rzekł w końcu. - Tak. Tak. Ja... Wariuszu, jeśli zacznę w ten sposób... ja... - Przeszedł go dreszcz i nie mógł powstrzymać słów, które przewijały mu się w myślach: to za wiele, nie dam rady, nie potrafię. - Jestem tu dopiero od sześciu tygodni - powiedział na głos.

- Czy coś by to zmieniło, gdybyś był sześć lat? - spytał trochę delikatniej, choć wciąż stanowczo, Wariusz.

Marek niecierpliwie przesunął dłonią po twarzy.

- Chciałem powiedzieć, że jeśli zrobię to teraz, zanim cokolwiek innego zrobiłem, to pewnie to powtórzę, prawda? Przyzwyczaję się do tego. Zawsze znajdzie się ktoś, kto stanowi zagrożenie. Oczywiście będziemy dyskutować, jak to inaczej załatwić, ale za każdym razem dyskusja będzie krótsza, bo już raz to zrobiłem, więc w czym problem? Zawsze tak się zaczyna. Nie mogę. Zresztą wiesz dobrze, że to nie egzekucja.

- Wariuszu - wtrąciła się Una. - Druzus nic nie może zrobić. Nigdzie nie ucieknie. Mamy więcej niż tylko moje słowo przeciw jego. Jest pokój, w którym mnie zamknął. Zniszczył

daldictor. Odcięłam kawałek przewodu, wciąż leży na dachu. Jest także Aechan, ten chłopak, który mi pomógł. To było usiłowanie zabójstwa. Można to udowodnić, jestem tego pewna.

Wariusz westchnął i usiadł, nagle zmęczony tym wszystkim.

- No cóż - zgodził się niechętnie. - Biorąc pod uwagę, że jest pod kluczem, to nie byłoby... praktyczne. - Jednak wszyscy widzieli, że nie zmienił zdania, nie w głównej kwestii. - Jeśli zostanie przy życiu, to nie znaczy, że będzie nieszkodliwy. Nie bądź naiwny. Jeżeli ma jakichś współników, zawsze będzie stanowił zagrożenie. Nawet w więzieniu. Zgadzam się, że stawiając go pod sąd, zapewne dopniesz swego. Sąd i tak prawdopodobnie wyda taki wyrok, jakiego będziesz oczekiwał. -Marek skrzywił się, słysząc to, ale Wariusz kontynuował: - Problem nie leży w przekonaniu sądu, tylko cesarza. Co zrobisz, jeśli ci nie uwierzy?

- Ale uwierzy. Nie może nie uwierzyć - zaprotestował Marek.

- Tyle że musi uwierzyć we wszystko. Nie zrozumie, jeśli powiesz mu tylko o napaści na Unę. Musi uwierzyć w historię z Tulliolą i całą resztą.

- Wie, że poprzednio mówiłam prawdę - wtrąciła Una.

- No tak, to już coś - przyznał Wariusz. - Istnieje jednak pewne ryzyko.

- Co się stanie, jeśli cesarz się o tym dowie? - spytała Una. Spojrzała na Suliena, który domyślił się, że nie wezwała go tutaj tylko po to, żeby ją pocieszył.

- Masz na myśli, czy może go to zabić? - upewnił się. - Czy to absolutnie niezbędne, żeby mu mówić? Bo masz rację, to możliwe.

Na chwilę wszyscy zamilkli.

- Nie sędzę, żeby był jakiś wybór - odezwał się w końcu Wariusz. - I tak będzie się zastanawiał, co się stało z Druzusem. Jeśli chcesz postawić na swoim, to nie możesz uciekać się do półśrodków, wszyscy muszą znać prawdę. Więc tak czy inaczej cesarz dowie się o tym, a to mogłoby być niebezpieczne.

- Masz rację - przyznał niechętnie Marek. Zalała go kolejna fala nienawiści do Druzusa, tym razem z powodu wuja. - Czy możesz być przy nim, kiedy będę mu o tym mówił? - spytał Suliena.

- Oczywiście. Nie ma sprawy - zgodził się Sulien, choć niepewnie.

- Zatem już wiesz, co zrobić - rzekła Una.

- Tak - mruknął Marek. Wypuścił powoli powietrze i otworzył dłoń, w której trzymał pierścień. Poczuł tymczasową ulgę. Nie mógł wyładować wściekłości, czuł, że jego ciało wciąż jest napięte. - Ale nie chcę go więcej widzieć - oznajmił. Zdał sobie sprawę, że zwraca się do Wariusza, gdyż chce, żeby Wariusz o tym wiedział. - Jeśli go kiedyś zobaczę... jeśli znajdem się z nim w tym samym pokoju, to... - Nie dokończył zdania, ale czuł wyraźnie, co by zrobił.

Pogłoski o aresztowaniu Druzusa zaczęły błyskawicznie rozchodzić się po pałacu mimo starań Glykona. Kierując się do pokoju ojca, Makaria puściła mimo uszu pierwsze sygnały - grupkę służących, którzy rozpięchli się na jej widok, odgłos gwałtownie zamykanych drzwi gdzieś piętro niżej. Mimo że się przebrała w swobodniejsze szaty, nie mogła pozbyć się uczucia, że jest jej niewygodnie, jakby popełniono jakiś błąd. Złożyła to na karb lęku o ojca i tęsknotę za swoją wyspą. Na Sifnos Hypatia, która była jej bliższa niż ktokolwiek na świecie i która potrafiła wymazać z jej pamięci wszystkie przykrości, jakich doznawała w pałacu, zajmowała się teraz sama winnicą.

Makaria była zła na ojca, że nalegał na pozostanie w Rzymie. Nie miała pojęcia, w jaki sposób mógłby tutaj dojść do siebie. Większe szanse na wyzdrowienie miałby w Grecji, z dala od wszystkiego. Jednak czuła, że nie warto wszczynać kłótni. Nie do końca widziała też siebie w roli opiekunki, z dala od Rzymu. Schodząc po schodach, dostrzegła, jak para strażników rzuca jej badawcze spojrzenie. Jeden z nich podszedł do drugiego i szepnął mu coś na ucho. Dotarło do niej nagle, że coś się stało i trzymają to przed nią w tajemnicy.

Makaria podeszła do nich.

- Co się dzieje? - spytała kategorycznym tonem.

Mężczyźni mieli niewyraźne miny.

- Nic, pani. Rutynowe sprawy dotyczące bezpieczeństwa. Wszystko w porządku.

- Widziałam, jak spojrzeliście na mnie. To znaczy, że sprawa dotyczy mojej osoby. Więc nie kłam.

- Mam rozkaz nie rozmawiać na ten temat.

- W takim razie złamałeś go, rozmawiając ze swoim towarzyszem. Łamiesz też mój rozkaz, żebyś mi powiedział, co się dzieje - powiedziała niecierpliwie Makaria.

- Pani, proszę - rzekł strażnik takim tonem, że poczuła skruchę. - Nie mogę. Jestem pewien, że cesarz wkrótce o wszystkim ci powie.

Makaria zmarszczyła brwi, ale nie nalegała. Gardło ścisnął jej nagle lęk. Niepokój narastał z każdym krokiem. Złe wieści od razu skojarzyły się jej z Druzusem. Tak dziwnie zachowywał się przy fontannie. Tłumaczył się, że jest chory, co brzmiało przekonująco, może nawet naturalniej niż u kogokolwiek innego. Makaria nie mogła powiedzieć, że Druzus był chorowity, ale zawsze sprawiał wrażenie spiętego i zranionego. Czy to możliwe...? Mimo to nie potrafiła odegnać od siebie

logicznego wniosku: jeśli dała mu do zrozumienia, że jakaś straszna prawda o nim została ujawniona, jeśli miał sekret i pomyślał, że nie jest już bezpieczny, to czego można się po nim spodziewać?

Dlaczego nie wiedział nic o Unie? Przez ostatnie kilka lat tak bardzo oddalił się od centrum wydarzeń - no cóż, tak samo jak ona, jednak w jego wypadku było to coś innego. Przez całe życie prawie nie ruszał się z Rzymu, a tu nagle go opuścił.

Zawsze uważała, że jest rozsądna, może łatwo się złościła i często wpadała w ponury nastrój, ale to nie to samo co panikowanie. Nie sądziła, żeby z byle powodu przewidywała jakieś straszne scenariusze. Właśnie dlatego była teraz tak zaniepokojona odpowiedziami nasuwającymi się na pytanie: Jeśli tak to wygląda, to co mógł zrobić Druzus?

Z jednej strony bała się, z drugiej czuła, że jest nie w porządku wobec Druzusa.

Zobaczyła Marka idącego razem z Sulienem korytarzem w jej stronę. Miała wrażenie, że obaj jednocześnie postarzelili się i odmłodzieli: wyglądali na zmęczonych i przybitych, ale także byli bladzi i wystraszeni.

- Właśnie cię szukałem - powiedział Marek.

Makaria na chwilę zapomniała, że Sulien jest bratem Uny. Widząc Marka w towarzystwie lekarza, pomyślała, że pewnie się pomyliła, a złe wieści muszą dotyczyć jej ojca.

- Pogorszyło mu się? - zapytała.

- Nie, chodzi o coś innego - odparł Marek i powiedział jej, gdzie jest Druzus.

Makaria przyłożyła dłoń do ust.

- Czemu? Zrobił coś Unie, prawda? Nie żyje? - paplała, sama nie wierząc, że to mówi. Mężczyźni patrzyli na nią i Makarii zrobiło się głupio.

- Nie, żyje - odpowiedział Marek.

- Więc to ty - rzekł Sulien.

Wcześniej obaj doszli do wniosku, że to najbardziej prawdopodobne.

- Skąd mogłam wiedzieć, że do tego dojdzie? Och nie, nie mógł, nie zrobiłby tego. Wiem, że by tego nie zrobił - jęknęła.

- Zrobił to i dużo więcej - zapewnił ją Marek.

- Muszę się z nią zobaczyć! - zawołała Makaria. Zrobiło jej się słabo z żalu.

- Pojechała do łaźni. Nie możesz. Nie wiesz jeszcze wszystkiego.

Podejrzewała, czego może się dowiedzieć, ale kiedy usłyszała, że

Tulliola i Druzus byli kochankami, poczuła, jakby ją przypalano żywym ogniem, nie tylko była wściekła, ale także zawstydzona. Oczywiście, no pewnie, że tak. Jak mogła tego nie dostrzec? Zawsze pogardzała Tulliola, od początku wiedziała, jaka jest fałszywa. To, co Makaria kiedyś czuła do Druzusa, to było wspólne znużenie światem, które wynikało z faktu, że pochodzili z rodziny Nowiuszów. Gdyby jej uczucia oceniać, nie biorąc pod uwagę skomplikowanej historii rodzinnej, była to tylko zwykła sympatia. Szukała teraz w pamięci znaków, które musiała przeoczyć; spojrzeń, które Tulliola wymieniała z Druzusem, chwili, kiedy byli sami. Nic nie potrafiła dostrzec, przynajmniej nic w Tullioli, zawsze zdradziecko nieprzeniknionej. Ale Druzus - to wieczne spięcie i podenerwowanie, z którego powodu mu współczuła.

- Och, to podłe - powiedziała. - Jak mógł? Mój ojciec nie ma niczego, czego nie próbowałby mu ukraść. To nie jest człowiek. Jak to wpłynie na tatę? Powiedzenie mu o wszystkim nie przyniesie nic dobrego.

- Tak, ale musimy to zrobić - rzekł z przekonaniem Marek. Zdaniem Makarii Marek wyglądał niezwykle krucho. Naszło ją wręcz matczyne współczucie dla niego, czuła je czasami, kiedy był jeszcze dzieckiem.

Makaria chodziła tam i z powrotem w niemal wojowniczym nastroju: machając rękami, prawie tupiąc - niczym chłopiec młodszy od Marka, pomyślała, zatrzymując się.

- Mogę to zrobić, jeśli chcecie - zaproponowała oschłym tonem.

Gdy Makaria szła do pokoi Faustusa, była zarazem wściekła i pełna obaw o ojca. Żywiła takie przeświadczenie, że zdrada Druzusa jest równoznaczna z morderstwem, że poczuła ulgę i irytację, kiedy Faustus przyjął wieści ze spokojem. Tego ranka czuł się dużo lepiej. Kiedy weszli, siedział przy oknie, zajadając figi. Słuchając wieści, pobladł wyraźnie. Gdy Makaria z wahaniem przedstawiała fakty, Faustus zareagował z czułą niecierpliwością.

- No dalej, wyrzuć to z siebie - ponaglił ją.

Kiedy skończyła, Faustus poczuł, jak wali mu serce. Był jednak świadom taktownej obecności Suliena. Widział, czując, jak ogarnia go rozdrażnienie i współczucie, że przyglądają mu się uważnie, niczym upuszczonej szklance zawieszanej w powietrzu. Spróbował podciągnąć swoje bezwładne ciało, chcąc usiąść prosto w fotelu.

- No cóż - powiedział wolno. - Zawsze wiedziałem, że chce być cesarzem. Tłumaczy to niektóre rzeczy. Przypuszczam... zawsze istniała taka możliwość.

- Nie chcieliśmy ci o tym mówić w czasie choroby - odezwał się Marek.

- Ale musieliście. Oczywiście, że musieliście. No pewnie, że tak - rzekł delikatnie Faustus. Chciał powiedzieć coś Mar-

kowi o Leonie, ale nie potrafił. - On... on zabił Tulliolę własnoręcznie?

- Tak - potwierdził Marek. - Musiał wprowadzić własnych ludzi do jej straży. Spróbujemy dowiedzieć się, jak to się stało.

- Rozmawiałem z nim kilka godzin po jej śmierci - powiedział Faustus z nutą zastanowienia. - Pamiętam. Powiedział, że jest mu przykro.

- To śmieć. Nie jest prawdziwym Nowiuszem. Druzylla Terencja nie jest bez winy. Bogowie wiedzą, że nie ma w nim naszej krwi - wypluła z siebie Makaria, drżąc na całym ciele.

- Nie wiem, czy to prawda - mruknął smutno Faustus.

Później, kiedy wychodzili z jego pokoju, Marek odczuł ulgę i zadowolenie.

- Nie poszło tak źle, jak się bałem - powiedział Sulienowi. Sulien w milczeniu potarł prawą dłońią nadgarstek lewej ręki.

- Unie nic nie będzie - mruknął Marek.

- Oczywiście, że nie - potwierdził szybko Sulien. W jego głosie zabrzmiała obronna nuta. - Wiem, że nie. Ale gdyby coś jej się stało, nawet byśmy się nie dowiedzieli. Nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że ktoś może chcieć ją... zabić.

- Nikt o tym nie pomyślał. Ja też nie, a powinienem. Jeśli chcesz winić kogoś poza Druzusem...

- Nie o to chodzi. - Sulien patrzył gdzieś nieobecny wzrokiem. Podniósł głowę i spojrzał na Marka. - Coś jest nie tak. Cały czas. To, co się stało Unie... tylko potwierdza moje słowa. Wiem, że coś jest nie w porządku, nie mogę o tym przestać myśleć. Wpierw chciano mnie porwać, potem zginęło tylu tych wszystkich niewolników: nawet nie wiemy, czy to sprawka tych samych ludzi. Oni wciąż tam gdzieś są i jeszcze

nie skończyli. Nie mogę sobie z tym poradzić.

- Znajdziemy ich - powiedział Marek. Sulien pokręcił niecierpliwie głową, jakby Marek go nie zrozumiał. - Słuchaj, wszystko się ułoży. Oczywiście, że teraz jesteś roztrzęsiony. Nic dziwnego, po tym, co stało się w Veii.

Sulien wykrzywił się w pełnym powątpiewania uśmiechu. Nie jestem taki, pomyślał, nigdy taki nie byłem. Nie wiem, czemu nigdy taki nie byłem, skoro tak się teraz czuję.

- Wciąż zdarza ci się myśleć o krzyżu - ciągnął cicho Marek i wskazał na jego palce głaszczące nadgarstek.

Ręce Suliena odskoczyły od siebie w popłochu, jakby żyły własnym życiem.

- To krzyż myśli o mnie - wymamrotał. Widząc zdumione spojrzenie Marka, dodał: - Nie wiem, co chciałem przez to powiedzieć. -Zastanowił się przez chwilę. - To coś innego. Wtedy, nawet gdy to się działo, wiedziałem przynajmniej, co takiego niby zrobiłem. Wiedziałem dokładnie, za co chcą mnie ukrzyżować. Wszystko było jasne. Nie tak jak tutaj. Twój kuzyn absolutnie mnie zaskoczył.

- Czy też chciałeś, żebym się go pozbył? - spytał Marek, krzywiąc się.

Suliena zdziwiło pytanie oraz fakt, który teraz przyszedł mu do głowy, że nie zajął wtedy stanowiska. Czy nie powinien chcieć rozerwać Druzusa na strzępy? Jednak Druzusa, zamkniętego w celi, kiedy wszystko się wyjaśniło, jego gniew jakby nie obejmował. Był jak niebezpieczna maszyna, którą ktoś rozbroił.

- Nie, nie bardzo. Chciałeś mu sprawić ból, prawda? Ale on już zrobił tyle złego. No i należy do twojej rodziny. Oczywiście, że go musisz nienawidzić.

*

W celi, w podziemiach Złotego Domu, Druzus czuł się jak osa, która zamknięta w śmiertelnej pułapce beznadziejnie odbija się od szyby. Każda sekunda była takim koszmarem, że bał się, iż zwariuje i zacznie myśleć o samobójstwie, choć wcale nie chciał umierać. Chciał żyć za wszelką cenę. Chwytał się niczym brzytwy obietnicy Sybilli - ale nie było to żadne pocieszenie. Nic nie mogło go pocieszyć. Miotał się po całej celi pełen niedowierzania, z nienawiścią rozpamiętując, jak go pojmano i wepchnięto tutaj. Nienawidził tej milczącej samotności.

Nie miał pojęcia, ile trwało, zanim ujrzał mężczyznę - o ciemnej karnacji, w jego wieku - który stał za przeszkloną kratą i przyglądał mu się beznamiętnie. Mężczyzna stał nieruchomo, z rękami opuszczonymi wzdłuż boków i z miną niezdradzającą żadnych emocji, przynajmniej takich, które Druzus potrafiłby odczytać. Druzus zamarł i podświadomie wstrzymał oddech, chociaż i tak nie rozpoznawał Wariusza. Przez dłuższy czas obaj stali bez ruchu. Druzus był lekko pochylony, przyczajony niczym zwierzę, a stojący po drugiej stronie mężczyzna przyglądał mu się i przyglądał, jak naukowiec. Spojrzenie stawało się coraz bardziej nieznośne i w końcu, bez ostrzeżenia, Druzus rzucił się na zatopioną w szkle kratę, z podniesionymi pięściami i wrzeszcząc tak okropnie, że aż bolało go gardło.

- Wynocha! Odczep się ode mnie! - Nie miał pojęcia, kim jest ten człowiek, ale gdyby mógł wydostać się z celi, rozerwałby go na strzępy.

Zmroziło go, że Wariusz nawet nie drgnął. Stał nieruchomo w tym samym miejscu. Jedyne, co Druzus dostrzegł, to odraza, która malowała się w lodowatym spojrzeniu. Druzusa przeszły ciarki, kiedy uświadomił sobie, że mężczyzna gardzi

nim i czuje do niego jedynie wstręt.

Wariusz pojął, czemu Marek nigdy więcej nie chciał widzieć swojego kuzyna. Podobne uczucia on żywił do Gabiniusza - czy raczej żywiłby, gdyby Gabiniusz wciąż żył. On jednak czuł wewnętrzny przymus, żeby przyjść tutaj i spojrzeć na Druzusa, wiedząc o nim wszystko, choć nie miał pojęcia, co spodziewał się ujrzeć - przecież na pewno nic, co ujawniłoby jakieś nowe fakty na temat Druzusa czy pozwoliłoby go lepiej zrozumieć. W jakiś dziwny sposób Wariusz wyczuł jednak, jak dla Druzusa inni ludzie byli niepojęci, jak trudno mu było uwierzyć, że istnieją, kiedy zamykał oczy czy odwracał się do nich plecami. Musiało mu sprawiać kłopot skojarzenie imienia, które figurowało w jego planach, z realną osobą, na którą patrzył. Wariusz widział, że Druzus nie poznaje go, mimo że widział go wcześniej kilka razy; co więcej, musiał go znać, skoro uzgadniał z Tulliolą jego los.

Drzwi prowadzące na górne piętra były otwarte na oścież, a mimo to czuł, jak ciężar budynku napiera i dusi go. Nie mógł zapanować nad powracającym lękiem przed zamknięciem. Mimo to stał dalej nieruchomo - może ćwiczył tylko swoją wytrzymałość - jeszcze minuta, i jeszcze jedna. Nie oddawał się fantazjom, co by zrobił, gdyby udało mu się przekupić strażników i wejść do celi. Mógł łatwo zignorować postanowienie Marka i zabić Druzusa - ale tylko kosztem zrujnowania własnego życia, coś, co kiedyś wydawałoby mu się uczciwą wymianą, ale już przestało. Wciąż jednak obserwował Druzusa, oceniając go, zastanawiając się, co by się stało, gdyby dzieląca ich bariera znikła, jak by zareagował. Trwało to do chwili, gdy Druzus nagle uciekł od drzwi i schował się. Nie miał pojęcia, ile jeszcze czasu nieznajomy stał kilka kroków od niego. Siedział skulony pod drzwiami, czując wdzięczność, że

dzieli ich krata, że nie można łatwo jej wyłamać.

*

Faustus miał wrażenie, że wyczuwa go przez te wszystkie drzwi i ściany, tak samo jak czuł Tulliolę, kiedy spędziła noc w tej samej celi, trzy lata wcześniej. Wtedy przynajmniej miał jakieś zajęcie i był zdolny do pracy. Teraz był wdzięczny, kiedy udało mu się wyprosić wszystkich lekarzy i zostać samemu. Wziął głęboki oddech, zaczął się trząść i schował twarz w dłoniach, przypominając sobie współczucie Druzusa, kiedy ten siedział obok jego łóżka. Potem pomyślał o swoim ojcu i o tym, co się stało z jego trzema synami. On sam był taki głupi, zaślepiony, na tyle bezmyślny, żeby wpuścić kogoś tak niebezpiecznego jak Tulliola do pałacu. Jak mógł być tak naiwny, że nie widział, co się dzieje pod jego nosem? Z Lucjusza od lat był już tylko wrak, a jego syn stał się potworem. Leon z kolei nie żył.

Kiedy jednak obudził się rano, zdziwiony bólem głowy, w pokoju, który wirował wokół niego, wśród ludzi, których nie rozpoznawał, nic z tego nie pamiętał.

NORIKO

Noriko patrzyła, jak Rzymianie wchodzą przez wysokie mury tego obcego miasta. Nawet przez parne i ciężkie powietrze powolna kolumna pojazdów, błyszcząca od brązu i kamieni półszlachetnych widoczna była z samego centrum Bianjingu. Dwie szerokie, proste drogi dzieliły doskonały kwadrat miasta na cztery ćwiartki. Drogi przecinały się pod pałacem, przechodziły przez jezioro, które niczym kwadratowe lustro leżało u podnóża pałacu, i dalej, wychodząc czterema bramami miasta, biegingy przez równinę Yudong. Symetrię zakłócały delikatnie niewielkie nierówności: na północnym wschodzie świątynie i ogrody ciągnące się wzdłuż muru, stara wieża kaplicy wykonana z pokrytych szkliwem ceramicznych cegieł, o której mówiono, że wygląda, jakby odlano ją z żelaza, choć Noriko bardziej przypominała pokrytą zieloną patyną miedź. Wokół centralnego skrzyżowania, wzdłuż eleganckich geometrycznych linii i kątów prostych, ciągnęły się mniejsze uliczki. Każda krawędź sprawiała wrażenie, jakby przed chwilą ją zaostrzono.

Tylko strażnik, który za łapówkę ją wpuścił, wiedział, że Noriko weszła na górny parapet zewnętrznej fortecy pałacu. Jej dłoń spoczywała na jednej z rozgrzanych, cylindrycznych dachówek zrobionych z grubego szkła, które pokrywały dach niższego fortu. Żadna z płytek nie była identyczna. Zdobienia przedstawiały kwiaty, Buddę, chmury; kontury płatków kwiatów i chmur wykonane były z kolorowej emalii i błyszczały niczym klejnoty. Szczegóły można było rozróżnić tylko z bliska. Dach rozciągał się na wszystkie strony niczym zastygła fala nieprzezroczystego lodu, unosząc się i opadając w szarozielonej poświacie. Na wznoszących się stożkach okapów

przysiadły rzędem szklane smoki o delikatnych żółtych łuskach. Całe miasto było niczym przedłużenie pałacu. Za zielonymi, ozdobionymi kwietnymi motywami kolumnami widać było krwistoczerwone mury wewnętrzne, wznoszące się nad spiczastymi krzywiznami dachów, ciężkich od szklanych dachówek. Miasto błyszczało niczym diament.

W nocy światło lamp elektrycznych prześwitywało przez dachy. W środku parne letnie powietrze było schłodzone i przyjemnie rześkie. Żadna z budowli nie wznosiła się zbyt wysoko - najwyżej pięć, sześć pięter - z wyjątkiem pałacu i wałów obronnych. Pierwszego dnia pobytu ta wypolerowana wieczna młodość Bianjingu wzbudzała w niej odruch obronny. Porównując Bianjing do miast w jej kraju, odnosiła wrażenie, że jest duszne, starożytne i nierzeczywiste - nie mieszkał tu nikt, kto nie pracował dla rządu, na ulicach prawie nie było widać dzieci. Mimo to bała się, że Kynoto, Nara, Naniwa mogą nie dorównywać Bianjingowi.

Dzisiaj jednak miasto równie dobrze mogło być kupą gruzu, a ona by tego nawet nie zauważyła - widziała jedynie zbliżającą się procesję ozdobnych samochodów.

Noriko potrafiła obejść każde pytanie, udając, że jej sinoański jest gorszy niż w rzeczywistości. Ubrana w prostą szatę i spodnie z ciemnej bawełny, łatwo mogła ujść za jedną z pokojówek obsługujących przyjęcie nioniańskie. Mogła po prostu zgubić się w czasie załatwiania jakiegoś polecenia. Podłużna torebka w kształcie tuby, którą miała przewieszoną przez plecy, mogła zawierać wiadomość dla drugiego pawilonu, choć Noriko nie miała pojęcia, co by zrobiła, gdyby kazano jej otworzyć torebkę. Zakładała, że trudno by jej było grzecznie udawać, iż nie rozumie, czego się od niej żąda.

Z wąskiej kieszeni w rękawie wyjęła składaną srebrną

lunetę, nie dłuższą niż jej ręka i delikatną niczym trzcina do pisania. Zaczęła uważnie obserwować konwój. Przez szkła powiększające rozróżniała poszczególne samochody. Marek Nowiusz musiał być gdzieś blisko środka, choć pewnie nie w centralnym samochodzie - nie wystawiłby się tak na cel. Zastanawiała się przez chwilę, przesuwając lunetę wzdłuż kolumny, dopóki nie była pewna, że potrafi zgadnąć, w którym z błyszczących wozów się skrył.

Powolne tempo przejazdu działało jej na nerwy. Przeknęła z trudem ślinę, wyprostowała palce wilgotne od potu i poczuła, jak ogarnia ją tęsknota za domem. Zanim zobaczyła Marka Nowiusza wysiadającego na dziedzińcu poniżej, przez nagły atak nudności zgięła się w pół. Jęknęła cicho. Nie mogła tego zrobić, nie powinni jej wyznaczać do tego zadania. Spróbowała zapanować nad nerwami, ale mdłości nie ustępowały, nie mogła złapać oddechu. Patrzyła bezradnie, jak flota pozłaczanych samochodów wjeżdża przez główną bramę i zatrzymuje się na dziedzińcu. Wystrojeni na ciemno oficjele sinoańscy podeszli na przywitanie Rzymian, którzy, ubrani w proste jasne szaty, niczym żałobnicy lub kapłani, wysiedli z samochodów w drgające od żaru powietrze. Mimo że schowała się za kolumną, żeby nikt jej nie wypatrzył, stała z zamkniętymi oczami i z wykrzywioną z bólu twarzą. Minęło parę sekund, zanim podniosła lunetę i spojrzała w dół.

Na dziedzińcu zebrali się Europejczycy, Afrykanie, Hindusi. Noriko widziała setki rzymskich twarzy, ale tylko na ekranach dalwizorów, bardzo rzadko na własne oczy. Imperium Nioniańskie także cechowała różnorodność, ale Noriko nie miała okazji poznać ludzi innych ras, gdyż nie podróżowało się między prowincjami. Patrzyła teraz na zebranych poniżej obcokrajowców jak na wybryk natury. Było to nawet fa-

scynujące: przez chwilę - rzymski książę ukryty był wśród tłumu -Noriko uspokoiła się trochę. Naszła ją pokusa, żeby przesunąć lunetę od twarzy do twarzy, bawiąc się krzykliwą różnorodnością, jakby znajdowała się w muzeum niezwykle rysów twarzy, kolorów skóry i oczu.

Jednak nie po to tu przyszła. Rozpoznała Marka Nowiusza w tej samej chwili, gdy go ujrzała. Odziany w pogrzebową biel jak reszta delegacji był jedyną osobą, która mimo upału włożyła togę na normalne ubranie - a raczej jej uproszczoną wersję, kawałek białego materiału z purpurowym pasem biegnącym przez całe ciało. Nie odrywając oczu od lunety, Noriko jedną ręką odpięła tubę i namacała otwór. Widziała twarz Marka Nowiusza tylko przelotnie. Kiedy próbowała znowu go odnaleźć, spostrzegła, że odwrócił się i z kimś rozmawia. Nie spodziewanie w jej polu widzenia znalazła się Rzymianka. Noriko widziała jedynie fragment głowy Marka Nowiusza z jego ciemnoblonde włosami.

Zasłaniająca go młoda kobieta rozglądała się wokoło, spoglądając na brązowe lwy, które szczyrzyły kły po obu stronach dziedzińca, na bogato zdobione belki podtrzymujące szklany dach. Jej usta były rozchylone w wyrazie zachwytu. Kobieta była ubrana w cienką, srebrzystą szatę, której falbany łagodnie falowały na wietrze. Pod delikatnym jedwabiem jej szczupłe ciało, które inaczej wydawałoby się zbyt kościste, miało wiele wdzięku. Noriko z ciekawością wpatrywała się w jej twarz, chociaż kobieta wydawała się mniej interesująca niż pozostali: nie była tak wielobarwna jak inni. Powiewające na wietrze włosy miały kolor wyblakłego brązu, a jej skóra była niczym zdjeta z ducha. Wprawdzie jej europejskie kości były równie kanciaste i wystające jak u innych, ale małe usta były delikatne, wręcz eleganckie. Była także bardzo młoda - naj-

młodsza z rzymskiej delegacji. Ciekawe, co tu robiła?

Marek Nowiusz poruszył się, ale w tej samej chwili, kiedy Noriko przesunęła lunetę, żeby odszukać jego twarz, młoda kobieta podniosła głowę i popatrzyła jej prosto w oczy. Jej spojrzenie zmieniło się ze słodkiego, naiwnego zachwytu w pełne podejrziwości.

Noriko odruchowo cofnęła się za kolumnę, zdziwiona i zaniepokojona. Mała luneta zwisała z niespodziewanie pozbawionych czucia palców. Niemożliwe, żeby z tej odległości ktoś ją dostrzegł, jeszcze przy tym świetle. A jednak serce tak mocno waliło jej w piersiach, że bała się, iż wyskoczy.

Rzymianie zaczęli wchodzić do środka i teraz już za wiele osób zasłaniało widok. Noriko przerzuciła torbę przez ramię i schowała lunetę do kieszeni w rękawie. Ruszyła przejściem przez krużganek na szanću i w dół po schodach prowadzących z muru. Kiedy rzymski książę i dama w srebrzystej szacie znikli jej z oczu, Noriko skojarzyła, kim jest młoda kobieta. Była zbyt dobrze ubrana jak na służącą i stała zbyt blisko księcia, żeby być damą dworu. Marek Nowiusz nie był żonaty i nie miał siostry. Kobieta musiała więc być jego konkubiną lub kochanką. Noriko nie wpadła na to tylko dlatego, że zobaczyła ją stojącą tak niedyskretnie blisko księcia.

*

Una nie czuła znużenia po długiej podróży magnetokoleją przez niekończące się lasy Sarmacji i Scytii, a później nagie pastwiska na północy. Ożywiło ją zagadkowe piękno miasta. Była świadoma swojego pochodzenia, tym razem bez poczucia wstydu czy urazy: jak jej udało się dotrzeć tutaj, tyle mil od Londynu? Od chwili gdy samochód minął zewnętrzną bramę i wjechał w aleję prowadzącą do pałacu po drugiej stronie je-

ziora, Una zadawała sobie wiele pytań, czerpiąc jednocześnie przyjemność z podziwiania miasta. Kto utrzymywał miasto w takiej czystości? Kto zmieniał szklane dachówki, zanim jeszcze pojawiły się na nich rysy, pielł chwasty czy karmał ryby w krystalicznie czystym jeziorze? Przejeżdżali przez Jondum na północy i Una wiedziała, że nie wszystkie sinoańskie miasta były tak jednolicie doskonałe, pozbawione nie tylko slumsów, ale nawet przedmieść.

Niemal w tej samej chwili, kiedy podniosła wzrok na bramę, Marek zrobił to samo. Ogarnęło go niewyraźne przecucie, że ktoś ich z daleka obserwuje. Może naszło go tylko dlatego, że dostrzegł poruszenie Uny i podświadomie je zrozumiał. Spojrzeli na siebie, wiedząc, że poczuli dokładnie to samo. Nic jednak nie mogli powiedzieć - za wiele oczu na nich patrzyło, zbyt wiele osób, które trzeba było wysondować, chociaż wszyscy mówili i myśleli w obcym języku. Mimo poczucia bezbronności Unę przeszedł także dreszcz radości, że tak łatwo potrafili z Markiem czytać sobie w myślach. Uśmiechnęła się do niego.

W przejściu pomiędzy wewnętrznymi budynkami pojawiła się grupka nioniańskich dam. Sprawiały wrażenie, jakby oglądanie ich było zakazane, choć jednocześnie zabezpieczenia mające na celu ukrycie ich były bardziej symboliczne niż rzeczywiste: czterech służących otoczyło grupę, osłaniając ją przenośnymi parawanami z surowego drewna i białego papieru. W kontraście z kolorowymi sukniemi pań parawany wyglądały bardzo skromnie. Służący nie trzymali parawanów blisko siebie i w efekcie zasłaniałi tylko kilka kobiet. Damy z zaciekawieniem przyglądały się zebranym Rzymianom. Po między rzymskimi a nioniańskimi szatami nie było wielkiej różnicy - jeśli nie liczyć kolorów, rodzajów materiałów i dłu-

gości rękawów. Marek i Una patrzyli jednak z fascynacją na włosy kobiet. Proste i długie - wręcz niewiarygodnie długie dla Rzymian - sięgające kolan czy kostek, a w kilku wypadkach podtrzymywane przez tren, żeby nie ciągnęły się po ziemi. Tylko kilka pań miało naturalnie czarne loki, pozostałe - zgodnie z modą sprzed kilku lat - ufarbowały je na tak głęboko intensywne kolory jak purpura, lila, indygo czy niebieski.

- Niektóre mają peruki - zauważyła Una ku lekkiemu rozczarowaniu Marka. Chodziło jej o jaskrawe kolory. Włosy nie mogły przejść takich tortur przy farbowaniu i dalej rosnąć do takich rozmiarów. Grupka ich minęła i Una usłyszała kobiecy chichot zza parawanów. Czemu tu przyszły?

Poprowadzono ich przez labirynt ogrodów i korytarzy. Una znowu miała wrażenie, że są śledzeni. Kiedy odwróciła głowę, ujrzała niezliczone twarze strażników, urzędników, eunuchów, którzy obserwowali przybycie delegacji z nieprzeniknionymi minami, zafascynowani, podejrzliwi, niechętni lub obojętni.

Minęła godzina, odkąd Rzymianie zniknęli w kwaterach dla gości w północnej części kompleksu, żeby móc się przebrać i odpocząć po podróży, gdy Noriko wśliznęła się szybko do pokoi następcy tronu, żeby z nim porozmawiać.

Później zauważyła nowego doradcę Marka Nowiusza, Wariusza, który szedł dziedzińcem w stronę północnych ogrodów, gdzie wkrótce miał się udać książę Tadahito i rzymscy książęta i możnowładcy. Obserwowała go przez chwilę, a następnie poszła za nim i ukryła się wśród drzew.

Wariusz prawie nie zwrócił uwagi na przepiękny apartament, który mu oferowano. Był zmęczony, ale nie potrafił się rozluźnić i podziwiać otaczające go piękno. Idąc korytarzami, czuł na sobie spojrzenia gapiów zdziwionych jego wzrostem,

budową ciała czy kolorem skóry. Ignorował to zainteresowanie, ale zdawał sobie sprawę ze swej odmienności i czuł pierwotny lęk przed tym, że jest w mniejszości.

W ogrodach krzątano się gorączkowo, jak przed każdym większym występem. Wśród żółtych róż i chryzantem, przy jezioru, którego krzywizny naśladowały zręcznie kształty natury, w przeciwieństwie do kwadratowego jeziora za pałacowymi murami, krążyli w nerwowym pośpiechu kapłani, urzędnicy i tłumacze, ustawiając parawany i sztandary - rzymskiego orła i nioniańskie słońce. Obok córki nioniańskich kapłanów, ubrane w białe tuniki narzucone na szkarłatne bluzki, stroiły instrumenty muzyczne. Wariusz wezwał jednego z tłumaczy, żeby pomógł mu porozumieć się z nioniańskim ambasadorem. Cała trójka chodziła tam i z powrotem po ogrodzonym terenie z poczuciem, że przeszkadzają w przygotowaniach, i sprawdzała jeszcze raz listę spraw, które zdaniem Wariusza wcale nie wymagały sprawdzenia.

Jednak ani ambasador, ani Wariusz nie potrafili usiedzieć spokojnie: Marek miał po raz pierwszy spotkać się z księciem Tadahito i sinoańskim cesarzem.

Dworzanie i urzędnicy państwowi wszystkich trzech krajów pracowali jak szaleni nad przygotowaniem tego wydarzenia. W jaki sposób wszyscy przywódcy mieli wejść na spotkanie, jak mieli się do siebie zwracać i jakiego traktowania mogli oczekiwać? Wszyscy odwiedzający sinoański dwór musieli uklęknąć na ziemi i dziewięć razy dotknąć czołem podłogi przed obliczem cesarza. Było niemożliwe, żeby Marek, nioniański następca tronu i baronowie tak się pokłonili. Jak mieli się do siebie zwracać? Czy każdy z nich nie poniży siebie i swojego ludu, jeśli nie uzyska wyrazu szacunku, jaki należy mu się od innych? Wszyscy trzej w jakimś stopniu mieli boskie

cechy: Syn Niebios, następca bogini Amaterasu, potomek bóstw Olimpu. Dziadek Marka był tylko jednym z wielu cesarzy, którzy po śmierci zostali uznani za bogów. Wariusz nie wierzył w bogów i wiedział, że Marek jest równie sceptyczny, ale to nie miało znaczenia. W swoim gronie Rzymianie mogli sobie pozwolić na cynizm. Niewielu z nich wierzyło, że ich przywódcy mieli boskie cechy, więc tym trudniej było dać im wiarę w boskość obcych władców. Jak mogliby zmyć z siebie hańbę, gdyby ich cesarz ukląkł i okazał cześć innemu człowiekowi? To samo odnosiło się do pozostałych dwóch władców. Duma narodowa kazała każdemu z nich poniżyć wszystkich pozostałych, a jakikolwiek gest poddaństwa był nie do pomyślenia.

Z początku Rzymianie mieli nadzieję, że zręcznie zaaranżowana ceremonia wzajemnych ukłonów - okazujących szacunek, a nie poddaństwo - może rozwiązać problem. Szybko jednak zrozumieli, że jest to nierealne. Ani Sinoańczycy, ani Nionianie nie chcieli się na to zgodzić; znaczenie przeróżnych ukłonów było tak dokładnie określone, że nawet skinięcie głową naruszało dworską etykietę.

W końcu Rzymianie i Nionianie zajęli miejsca po przeciwnych stronach. Wariusz stał wraz z pozostałymi i przyglądał się z niepokojem, jakby nawet w tej ostatniej chwili wszystko mogło zostać zniweczone. To było tak chore - tak dziecinne, że nieporozumienie co do wzajemnej pozycji trzech głów państwa mogło popchnąć ich do wojny, zanim nawet ktokolwiek się odezwie. Jednak taka była rzeczywistość; sprawy stały aż tak źle. Wariusz zaangażował się w negocjacje w ostatniej chwili, tuż przed wyjazdem Rzymian, kiedy uświadomił sobie, jak krytyczna jest sytuacja.

Na ocieniony wierzbami środek wyszła młoda kapłanka

ze świątyni Wenus Genetrix w Rzymie. Ubrana była w czerwoną szatę, a na czole miała zawiązane wstążki. Kobieta wyraźnie nie czuła się swobodnie, najpewniej targana tymi samymi obawami co Wariusz. Odchrząknęła, zanim zabrała głos.

- Zanim spotkają się w nadziei znalezienia odpowiedzi na stojące przed nimi wyzwania, słuszne jest, żeby cesarskie domy oddały cześć ich wspólnej boskiej antenatce. W Rzymie jej imię brzmi Wenus Założycielka, która poprowadziła swojego syna Eneasza z Troi do brzegów Italii, gdzie z jej potomków wyrosło imperium. W Nionii ma na imię Amaterasu i ona także wysłała swojego potomka ku wyspom wschodnim, żeby stworzył naród. Jej boski atrybut przeszedł z herosa Ninigi-na, pierwszego cesarza Jimmu, tak jak z Eneasza na Romulusa, który postawiły mury Rzymu. Dzięki niej cesarstwa Rzymu i Nionii są rodzeństwem pochodzącym od wspólnej matki, a ich mieszkańcy, mimo że oddzieleni morzem i lądem, są niczym bracia. Dzisiaj wznosimy modły do bogini, by poprowadziła swoje dzieci ku pokojowi.

Kiedy skończyła, z miejsca podniósł się nioniański kapłan, odziany w szatę z białego jedwabiu i wysoką czarną mitrę na głowie. Dwukrotnie klasnął głośno w dłonie i uklonił się, zanim zaczął własną orację. Wariusz miał nadzieję, że mówi mniej więcej to samo co kapłanka. Wziął głęboki oddech i uśmiechnął się w duchu, jakby rzeczywiście obawiał się, że ktoś może wstać i zaprotestować przeciwko takim bzdurom, w dodatku zupełnie słusznie. Była to tylko ryzykowna pantomima, którą on wyreżyserował.

W rzeczywistości nigdy nie udowodniono, że Wenus i Amaterasu to ta sama bogini, jak to w tej chwili wszystkim ogłaszano. Wariuszowi pomysł ten przyszedł do głowy w chwili kompletnego załamania, kiedy uświadomił sobie, że je-

dynym rozwiązaniem kłopotów z rytuałem jest stworzenie nowego. Tak jak to opowiedzieli kapłani, historie założenia obu państw przez boginie były dosyć podobne. Poza tym, dzięki przypadkowej zbieżności, pierwsze sylaby imienia nioniańskiej bogini brzmiały jak łacińskie słowo „kochana”, które było jednym z przydomków Wenus, podobnie jak Astarte czy Afrodyta. Wariusz spotkał się wcześniej z tą teorią w dwóch miejscach. Jako student słyszał tę historię opowiadaną z lekko prowokacyjną nutą w głosie, gdyż praktycznie nikt z jego kolegów nie wierzył w bogów. Co dziwniejsze, idea ta miała wzięcie wśród niektórych polityków i konserwatywnych pisarzy - którzy skarżyli się, że Nionianie złudnie wywodzą swe pochodzenie od Wenus, lub też z optymizmem uważali, że dzięki tej idei łatwiej dojdzie do integracji kultur nioniańskiej i rzymskiej po podbiciu Nionii.

Historyjka zdawała się jednak spełniać swój cel; wszystko szło zgodnie z planem i Wariusz pozwolił sobie nawet na cichą dumę z tego powodu. Ze strony nioniańskiej wyszło dwóch nosicieli z przenośną kapliczką schowaną za zasłonami i pod baldachimem. Był to mały namiocik z jedwabiu postawiony nad miniaturowym drewnianym domkiem, który spoczywał na drążkach niczym przenośne krzesło. W tym samym czasie rzymska kapłanka odsłoniła niewielką figurkę Wenus z brązu, pokrytą złotymi liśćmi i stojącą nad niskim ołtarzem, z jasnym, okrągłym lusterkiem - symbolem Amaterasu - lśniącym w jej złotych lokach. Była to tandetna kopia, z głupkowatym uśmiechem na ustach, gdyż mieli tylko kilka dni na znalezienie czegoś odpowiedniej wielkości, co można by łatwo przerobić. Poza lusterkiem rzeźba była odziana w złote szaty, narzucone na nią w pośpiechu, kiedy Wariusz uświadomił sobie, że nioniańska akceptacja dla „Wenus Amaterasu”

zniknie, jak tylko zobaczą boginię nago. Po tych zabiegach większości Rzymian figurka przestała się kojarzyć z Wenus.

Marek wyszedł bez wahania na środek. Przy jego boku powinna być Makaria, ale z niechęcią pozostała w domu z ojcem, a na jej miejsce pojechali Probus i Janisen, zarządca Terranowy, oraz kilku młodszych arystokratów. W tej samej chwili, dokładnie zaaranżowanej, pojawili się nioniańscy dostojnicy wraz z księciem Tadahito, młodzieńcem o pociągłej zmysłowej twarzy, jednocześnie ostrożnej i czujnej. Księżę był ubrany w stalowoniebieską jedwabną szatę, wyszywaną złotymi kwadratami. Centralny lok jego kruczoczarnych włosów był upięty na głowie, a reszta luźno opadała na ramiona. Młodość i ubiór wyróżniały go spośród starszych baronów i generałów - Kiyowara-no-Sanetomo Goshu, Mimanano-Fusahira Koura. Ale nie tylko Tadahito wyróżniał się z grupy i nie on jeden emanował niezwykłą siłą. Przed nim stał gubernator nioniańskiej części Terranowy, Masarus Kato, jak Rzymianie nazywali Seii-Taishougun Kato-no-Masaru, pana Tokogane. Mężczyzna miał około czterdziestki i był średniego wzrostu, choć przystojny. Jego oczy rzucały ostre spojrzenia spod gęstych, równo przyciętych i lekko skośnych brwi. Podczas gdy młodzi nioniańscy nosiciele kapliczki od czasu do czasu posyłały wstydlive spojrzenia księciu Tadahito, starszy mężczyzna wzbudził niekłamany zachwyt u kapłanki Wenus. Kato szedł z tak naturalną pewnością siebie, że młody księżę wyglądał przy nim wręcz krucho.

Stojąc obok siebie, Nionianie i Rzymianie pokłonili się Wenus Amaterasu, ale nie sobie samym. Do chwili zakończenia ceremonii unikali nawet spoglądania na siebie. Na szczęście tylko Janisen spojrział z wściekłością na pana Kato, a ten mu posłał spokojny, wrogi uśmiech. Obaj ofiarowali wino i

miód z Italii oraz ryż i nioniańskie gałęzie sosny obwieszane jedwabnymi wstążkami.

Stojący obok Tadahito Marek szeptał z pozorną bogobojnością:

- Niech ten ołtarz będzie naszą ochroną. Dobra Wenus, weź nas w swoją opiekę i chroń przed złem. Nie obrażaj się na nas i nie szukaj w nas błędu. Nie uznaj nas za nieczystych. Wraz ze swoim ojcem Jowiszem, w którym wszyscy ludzie pokładają wiarę, wysłuchaj naszych modłów. Wenus Amaterasu, czcimy cię tą daniną.

Marek sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego. Wariusz był pełen podziwu dla niego - zachowywał się tak naturalnie. Wiedział, że sam nie czułby się dobrze, będąc na oczach wszystkich.

W końcu obie delegacje mogły zwrócić się do siebie i wymienić ostrożne powitania. Pozostawało powitać jeszcze sinoańskiego cesarza. W tym wypadku rozwiązanie przyszło ze strony nioniańskiej: Marek uroczyście zdjął z ramion *pallium*, biały płaszcz ozdobiony na brzegach purpurą, i narzucił go na ramiona Jenisena. Jednocześnie Tadahito odwiązał sznur, którym miał przepasaną tunikę, i wręczył go Kato. Zgodzono się niechętnie, że reprezentując w ten sposób swoich panów, obaj posłowie mogli teraz pokłonić się przed cesarzem, żeby Marek i Tadahito nie musieli tego robić. Było jednak oczywiste, że obaj mężczyźni wykonują polecenie z najwyższą niechęcią: z twarzy Kato znikł uśmiech, a usta Jenisena wykrzywił grymas, jakby coś go bolało. Obaj sztywno się uklonili, Kato w stronę księcia, a Jenisen Markowi, żeby nikt nie mógł powiedzieć, że oddali cześć sinoańskiemu cesarzowi przed własnymi monarchami. Następnie wspięli się niechętnie po schodach i weszli przez okratowane drzwi do sali, gdzie

czekał cesarz. Nikt im nie towarzyszył - jedynymi świadkami ich hańby mieli być strażnicy, kobiety i eunuchowie sinoańskiego dworu. Pozostali odczekali, aż ceremonia zakończy się, i podążyli za nimi.

Sala była obwieszona gobelinami, ozdobiona wielkimi, pięknie malowanymi wazami i drzewami. Przez wysokie, okratowane drzwi i zielone tafle szkła w suficie wpadało jasne, przefiltrowane światło. Siedzący na żółtym tronie cesarz musiał mieć co najmniej pięćdziesiąt lat, ale okrągła, gładka twarz, pulchne ciało odziane w żółtą, satynową togę i mina ospałej obojętności powodowały, że wyglądał na dużo młodszego, wręcz dziecinnie. Cesarz posłał dobrotliwy, znudzony uśmiech Rzymianom i odrobinę bardziej wrogi uśmiech Nionianom i prawie się nie odzywał. Rzymianie zwyczajowo nazywali go cesarz Florens - „Sing-ji” było najwierniejszym tłumaczeniem jego imienia na zachodni alfabet, ale Rzymianie woleli używać mniej dokładnego tłumaczenia, gdyż dawno już uznali, że sinoańskie sylaby są niemożliwe do wymówienia. Z ciekawością czy może naganą zupełnie otwarcie szeptali, że jest tylko kukłą i że sinoańskim cesarstwem zupełnie jawnie rządzi kobieta, matka Florensa, królowa wdowa, którą Rzymianie nazywali Junosena. Królowa nie pojawiła się jednak na sali i powitalny bankiet mógł się rozpocząć. Gości usadzono przy niskich, długich, lakierowanych stołach - Nionianie i Rzymianie otrzymali równoważne miejsca, choć tron Florensa wznosił się odrobinę ponad ich siedziska.

W czasie jedzenia napięcie powoli zaczęło się rozładowywać, w miarę jak wnoszono kolejne potrawy z praktycznie niekończącego się menu. Znajdowały się wśród nich dania równie skomplikowane i epiku-rejskie jak najbardziej wyszukane dzieła Rzymian - duszona łapa niedźwiedzia, żółwie go-

towane w żółtkach jajek, pieczone jaskółki -wraz z potrawami bardziej znajomymi - wieprzowina, kaczkę, ostrygi -tak że nawet Rzymianie, którzy zazwyczaj narzekali na obcość przypraw i mięs, tym razem jedli wszystko, aż się nasycili. Dzięki wyczuciu gospodarzy przed rzymską delegacją położono złote noże i widelce, a nie pałeczki, którymi woleli się posługiwać Nionianie i Sinoańczycy.

Rzymianom czasami zdarzało się odkładać łyżki i sięgać po jedzenie palcami, jak to było przyjęte w cesarstwie. Książę Tadahito tylko odwracał wzrok w wyrazie grzecznego obrzydzenia.

Na sali pojawili się muzycy i śpiewacy. Mała tancerka czy może akrobatka, stojąc na złotym piedestale, zrobiła mostek, wygięła się niczym człowiek guma i wirując czerwonymi obręczami, które miała nasadzone na palce, podjęła ustami kwiat peonii położony na ziemi. Jej twarzyczka była dziwnie spokojna i nieprzenikniona, mimo że dziewczynka nie mogła mieć więcej niż jedenaście lat.

Od czasu do czasu ukrytej za stopniami sąsiedniego pawilonu Nori-ko udawało się dojrzeć przez kratkę, jak Marek Nowiusz porusza głową. Przy jego boku nie było już młodej konkubiny - spotkanie odbywało się wyłącznie w męskim gronie, jeśli nie liczyć występujących artystek. Noriko nieustannie musiała rozglądać się, czy nikt jej nie dostrzegł.

Przyjęcie zdawało się ciągnąć godzinami; kolejne potrawy wnoszono prawie nietknięte. W końcu cesarz opuścił salę z tą samą pompą, z jaką się pojawił, i bankiet dobiegł końca. Na zewnątrz, gdzie zapadł ciepły zmierzch, Tadahito i inni nioniańscy dostojnicy zebrali się na łukowatym mostku przerzuconym nad sztucznym strumykiem, żeby się naradzić. Rozmawiali w pośpiechu zniżonymi głosami. Marek przyglą-

dał im się z zaciekawieniem.

- Chyba powinienem porozmawiać z księciem na osobności - powiedział cicho do Wariusza.

Cesarz nioniański, Go-natoku, pozostał w Kynoto, ale nie był inwalidą jak Faustus. Sprawował realną władzę. Z tego, co Marek zrozumiał, nioniańska delegacja miała go reprezentować i wysyłać mu wszystkie ustalenia do aprobaty. Marek postanowił jednak skoncentrować się na księciu nie tylko dlatego, że jako następca tronu musiał mieć tutaj największą władzę, ale także z tego powodu, że wcześniej już rozmawiali ze sobą i potrafił w nim zobaczyć siebie samego - naiwnego chłopaka, jeszcze z mlekiem pod nosem. Marek mógł cieszyć się władzą w Rzymie, ale ci panowie nie czuli się zmuszeni do okazywania mu więcej szacunku, niż nakazuje ceremonia. Książę był prawie jego rówieśnikiem i ich pozycje musiały być podobne. Marek wiedział, że w jego towarzystwie nie będzie się czuł tak nie na miejscu.

- Ten to nas chyba nie bardzo lubi - szepnął Wariusz, wskazując nieznacznym ruchem głowy pana Kato.

Marek miał to samo wrażenie, mimo że Kato cały czas do nich się uśmiechał. Także teraz uśmiechnął się, widząc, jak Marek i Wariusz patrzą na niego. Nie był to jednak uśmiech ani przyjazny, ani pochlebny, był jednocześnie kurtuazyjny i obraźliwy, niczym wyraz tak bezgranicznej pewności siebie, że aż napełniającej radością.

- To on pierwszy wezwał posiłki na ich stronę Muru - przypomniał Wariusz.

- Ale nie wygląda na to, żeby siłą go tu ściągnięto. Salwiusz uznał pomysł spotkania za stratę czasu.

- Może Kato cieszy się na myśl, że będzie miał okazję wyrobić sobie zdanie na twój temat - zasugerował Wariusz.

Marek westchnął i ruszył w ich kierunku. Z grzeczności zaczął mówić po nioniańsku. Nigdy wcześniej nie zwracał się w tym języku do tylu ludzi i świadomość tego wpływała poważnie na jego umiejętność wysławiania się. Tym razem, kiedy zaczął się obawiać, że był zbyt pewien siebie, ku jego zdziwieniu Tadahito zaakceptował nioniański, jakby nie znał wcale łaciny.

- Miło cię poznać osobiście - powiedział.

Pan Kato bez słowa obserwował uważnie Marka.

- Dla ciebie, cesarze, ta podróż była dłuższa niż dla nas. A to miasto musi się tobie wydawać jeszcze dziwniejsze niż nam - zauważył z uśmiechem.

- Możliwe, ale zawsze uważałem, że Rzymian i Nionian wiele łączy - odparł Marek trochę sztywno, słysząc we własnym głosie wyniosły ton. Zdał sobie sprawę, że mówił takim tonem, w pierwszych, pełnych napięcia dniach, kiedy poznał Unę i Suliena i kiedy wspólnie przemykali się przez Galię. Wkradał się on w sytuacjach, gdy Marek nie czuł się zbyt pewien siebie. Książę stał w milczeniu ze skromną, wręcz pokorną miną. Musisz się bardziej postarać, powiedział w duchu Marek.

Twarz pana Kato wyrażała niesmak, choć ani na chwilę nie znikł z niej wyraz urzędniczej uwagi.

- Najwyraźniej nie w kwestiach powierzchownych - powiedział dobrotliwie Kato.

- No cóż, właśnie zgodziliśmy się, że pochodzimy od tych samych bóstw. Poza tym dostrzegłem podobne opowieści w naszych historiach - rzekł Tadahito.

- Tak, panie - przyznał posłusznie Kato, z ledwo wyczuwalnym rozdrażnieniem.

- Wasza Wysokość, czy możemy porozmawiać na osob-

ności? - spytał Marek, zaczynając się niecierpliwić. Starsi mężczyźni wyraźnie drgnęli, jakby Marek zachował się w sposób nieokrzesany. Tadahito jednak chętnie z nim poszedł. Przeszli korytarzem pomiędzy czerwonymi kolumnami, które okalały morwy i morele.

Marek wreszcie przestał czuć się jak dziecko przebrane za dorosłego, a i księżę zdawał się teraz bardziej ożywiony i pewny siebie.

- Twój nioniański jest bardzo dobry - pogratulował mu i Marek poczuł, że duma przeszkadza mu w swobodnej rozmowie. - Chciałeś przetestować na mnie jakieś pomysły? Proszę.

- Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, żaden z nas nie ma większych praw do tego terytorium niż drugi - odparł Marek. - Możemy renegotjować traktat z Mixigany. Jakaś nowa wersja pewnie sprawdziłaby się przez pewien czas, jednak napięcie wciąż rosłoby na granicy. Chcę zupełnie zburzyć Mur.

Tadahito zwolnił i widać było, że jedynie siłą woli zmusza się, by nie stanąć. Zwrócił twarz w stronę Marka i tylko mruknął ze zdziwienia.

- Traktowalibyśmy tę ziemię jako rzymską i nioniańską - ciągnął Marek.

Szli w milczeniu przez chwilę, kiedy Tadahito rozważał propozycję. Marek czuł lęk i nadzieję i był przekonany, że księżę tak samo: musiał zdawać sobie sprawę, jak bezsensowne jest, żeby dwoje ludzi idących obok siebie, nie żywiących do siebie żadnej urazy, miało kiedykolwiek zostać wrogami. A jednak prawdziwe bezpieczeństwo leżało na końcu drogi pełnej przeszkód, tak skomplikowanych, że mogą popchnąć ich do walki z samej desperacji.

- Jak ktoś może być obywatelem dwóch państw? - spytał Tadahito. - Czyich praw by przestrzegał? Przypuszczam, że

Rzym nie chciałby, żeby jego poddani żyli w zgodzie z obyczajami nioniańskimi, i vice versa. Jeśli nawet udałoby się nam połączyć te tereny w jedną całość, to kto by je nadzorował i jak? Jakie by były nasze obowiązki wobec mieszkańców Meksyki czy Arawacji, których życie tak bardzo się różni od mieszkańców Yukimichi w północnej Tokoganie. Jest tyle spraw związanych choćby z podróżowaniem czy bogactwami naturalnymi. Co by to znaczyło dla naszych imperiów, gdyby pomiędzy nami leżała ziemia, która nie jest ani nasza, ani wasza?

- Oczywiście nie mam w tej chwili odpowiedzi na te pytania - przyznał Marek. - Chcę tylko wiedzieć, czy jesteś gotów poszukać z nami odpowiedzi, jeśli takie istnieją.

Tadahito zawahał się.

- Mam nadzieję, że istnieją - powiedział w końcu. - A mój ojciec... liczy, że dojdziemy do porozumienia. Ale czy jest to możliwe, tego nie wiem. Nawet jeśli w to wierzę, to są także inne głosy.

- Ale twój ojciec jest skłonny wysłuchać ciebie przed innymi?

Ponownie Tadahito zawahał się, choć inaczej niż poprzednio. Na jego twarzy pojawił się figlarny i jednocześnie zawstydzony wyraz, którego Marek nie potrafił odczytać.

- W normalnej sytuacji tak. - Uśmiechnął się rozbawiony, ale zwracał uwagę, żeby nie powiedzieć czegoś niestosownego. - Gdyby usłyszał od innych, że niestety postradałem zmysły, to chyba nie.

Marek uśmiechnął się, czując znajome ukłucie na wzmiankę o szaleństwie.

Tadahito spuścił wzrok.

*

- Jest bardzo młody - powiedział pan Kato z dezaprobatą. Siedzieli w altance nad brzegiem jeziora ze słuchawkami nałożonymi na czoła. Zmieszanie Tadahito wynikało z faktu, że bez względu na to, jak daleko odszedłby z Markiem, cały czas znajdował się w zasięgu urządzeń podsłuchowych. Tadahito miał mikrofon ukryty w pomponie zawieszonym na piersiach. Było to prostsze rozwiązanie, niż gdyby Tadahito miał później zdawać im relację z rozmów. Poza tym pan Kato nalegał, żeby wykorzystać każdą sposobność, która pozwoli mu lepiej poznać potencjalnego przeciwnika.

- Tak jak nasz ksiązę - odparł pan Mimana.

Kato prychnął tylko w wyrazie pogardliwej zgody, która zszokowała pozostałych. Wśród zebranych rozległy się zaalarmowane szepty.

- Podstawowe pytanie brzmi: czy jest to tylko przedstawienie, które ma odwrócić naszą uwagę od przygotowań do ataku - powiedział pan Taira po skandalicznie długiej pauzie, starając się skierować rozmowę na inny temat, daleki nawet od lekkiej krytyki rodziny cesarskiej.

- Mogę jedynie powiedzieć, że ten chłopiec jest szczery w swoich zamiarach - rzekł w zamyśleniu Kato, z lekko wyczuwalnym rozczarowaniem.

- Chciałbym mieć jego pewność siebie.

- Nie ma to jednak znaczenia, gdyż wojna z pewnością jest nieunikniona - dodał Kato. - Usunąć granicę! Pozycja cesarza Nowiusza jest słaba, ale nie oskarżę go o niezdecydowanie. Wygląda na to, że został dobrze wyszkolony, przynajmniej na czasy pokojowe. Nic jednak nie zastąpi doświadczenia. Niewykluczone, że wojna może go zahartować, ale wyraźnie okazuje wręcz wyjątkową niechęć do działań wojennych. Są

dzę, że raczej przyczyni się do ich klęski. No cóż, tym lepiej dla nas. Żałuję jedynie, że nie przyjechał pan Salwiusz. Dobrze by było go poznać.

- Żaden z nas nie ma doświadczenia w wojnie na taką skalę - powiedział niespokojnie Mimana.

- Rządziłem Tokogane przez osiemnaście lat - oznajmił z siłą Kato - i nie zamierzam oddać ani skrawka tej ziemi.

- Ta ziemia nie należy do ciebie - przypomniał mu Kiyowara. - Tak jak te decyzje nie należą do nas.

- Zawsze wiedziałem, co nas czeka, i wszystko mam przygotowane.

- Jest oczywiste, że cesarz i jego syn nie chcą wojny, dopóki wszystkie możliwości nie zostaną wyczerpane. Inaczej by nas tu nie było. To nie jest jakaś gra.

- Nie jest? - spytał Kato, uśmiechając się.

- Panie Kato - ostrzegł go Kiyowara z wyrazem nagany w oczach.

- Możemy rozmawiać zupełnie swobodnie - powiedział niedbale Kato. Kiedy weszli do domku, Kato obszedł całą altankę z urządzeniem z brązu, machając nim niczym kadzielnicą. - Urządzenia podsłuchowe cudzoziemców nie dorównują naszym. Gdyby tu coś podłożyli, tobym je znalazł. - Kato był zawsze zainteresowany najnowszymi technologiami. Yuuhigawa, jego siedziba w Tokogane, była wyjątkowo nowoczesnym miastem, nawet bardziej niż Kynoto, a inwestycje i osobiste zainteresowanie Kato zapewniało wysokie tempo wprowadzania innowacji. Wszyscy przyznawali, że wiele z nich było pożytecznych, ale niektórzy uważali, że wiara Kato w nowinki była przesadna.

- Nie o to chodzi - skłamał Kiyowara, mówiąc głośno i z nabożną czcią. Kato tylko przewrócił oczami. - Zawsze niepo-

koi mnie wyraz czegoś... co można poczytać za brak lojalności. Jestem jednak pewien, że nie to było twoim celem.

Nie martwił się tylko o Rzymian czy Sinoańczyków, jak Kato mógł się łatwo domyślić: było zupełnie prawdopodobne, że Tadahito chciał szpiegować nie tylko dla nich, ale także ich.

Kiyowara wyraził naganę tak oględnie, jak to tylko możliwe, ale nie zdziwiłby się, gdyby drugi mężczyzna wpadł w gniew. Jednak Kato, mimo całej swojej nieprzewidywalnej gwałtowności i bezpośredniości, łatwo się nie obrażał. Teraz uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Wierzę, że Jego Wysokość może spodziewać się zwycięstwa nad naszymi wrogami, to wszystko - powiedział bez gniewu. - Zdziwi mnie, jeśli ktoś uzna to za nielojalność.

Pan Kiyowara westchnął.

- Niepokoisz się, ponieważ brak ci tej samej pewności co mnie -kontynuował Kato, niemal delikatnie. - To prawda, że mają przewagę liczebną, a także więcej flot spiralotów niż my. - Samo wyliczanie słabych stron wydawało się budzić niepokój w zebranych, jednak Kato nie zwracał na to uwagi. - Mimo to obiecuję, że nie będzie to miało żadnego znaczenia.

- Rzecz jasna strategia ma większą wartość niż brutalna siła -zgodził się niechętnie Kiyowara.

- Nie tylko strategia - powiedział Kato.

- Och - rzekł kpiąco Tara. - Ta mityczna broń.

Tym razem Kato od razu się najeżył.

- Widziałem pierwsze próby. Nie ma w niej nic mitycznego. Jeszcze rok i będzie gotowa do użytku. Jak mówisz, strategia jest ważną bronią. Z pewnością możemy bronić się przez ten czas i w ciągu roku zmusić Rzym do odwrotu. Zanim doszłoby do sytuacji patowej czy ich kontrofensywy, uderzylibyśmy z siłą niewidzialnego młota, młota, który może zmieść

całe armie i miasta oddalone o dwieście mil.

W najbliższej przyszłości materiały wybuchowe będą kompletnie przestarzałą technologią. Będziemy ich używać co najwyżej do przygotowania terenu działań!

- Nie podaję twoich słów w wątpliwość - odparł cierpko Ta ra. - Mam jednak wrażenie, że od lat słyszę, jak ta broń jest już prawie gotowa do użycia.

Kato siedział z zaciśniętymi wargami, jakby nie dowierzał sobie, że potrafi odpowiedzieć spokojnie.

- Kiedy mamy do czynienia z tak nowoczesnymi urządzeniami, błędy są nieuniknione - odparł w końcu. - Rzadko stać nas na luksus posługiwania się technologią z góry dopracowaną w najmniejszych szczegółach. Gdy jednak zajdzie potrzeba, moi ludzie poradzą z nią sobie.

Mimana spuścił wzrok. Coś w sposobie, w jaki Kato powiedział „moi ludzie”, bardzo mu się nie spodobało, chociaż logicznie rzecz biorąc, nic nie można było tym słowom zarzucić.

Tadahito i Marek wciąż rozmawiali. Fakt, że zebrani w altanie nie słyszeli części ich rozmowy, był bez znaczenia. Mimo że nie spodziewali się żadnych nowych rewelacji, nagrywali całą rozmowę - nieświadomi, że jest ktoś jeszcze, kto słucha rozmowy, i że Tadahito ma ukryty cel, żeby skłonić Marka do mówienia po nioniańsku.

*

Una spodziewała się, że w czasie bankietu zostanie sama, ale zamiast tego zorganizowano dla niej rozrywkę, które trwały kilka godzin. Najpierw obejrzała sztukę, z której nic nie zrozumiała mimo streszczenia po łacinie, jakie ktoś jej wręczył. Patrzyła na przedstawienie z przyjemnością, gdyż akto-

rzy ubrani w błyszczące obszerne kostiumy dokonywali wręcz cyrkowych akrobacji. Następnie zabrano ją na przejażdżkę malowaną łódką po kwadratowym jeziorze. Osłonięta parasolkami, karmiona małymi kawałkami duszonego mięsa, Una została poczęstowana naparem z ziół, który nigdy nie zdobył popularności w Cesarstwie Rzymskim, poza najbardziej niekonwencjonalnymi kręgami wielbicieli. Una, która czytała wcześniej o przywiązaniu obu wschodnich mocarstw do tych naparów, sama nigdy ich nie próbowała. Przeżyła też lekkie rozczarowanie. Złoty płyn niewiele różnił się od gorącej wody, w której ledwo można było wyczuć smak dymu, leśnej ziemi czy delikatnych kwiatów. Spodziewała się mocniejszego, egzotycznego, podniecającego smaku.

Damy pałacowe, które najwyraźniej miały dotrzymywać jej towarzystwa, słabo mówiły po łacinie. Una liznęła trochę sinoańskiego w Holzarcie i poznała kilka słów od Marka i z książek z jego biblioteki. Było to jednak zbyt mało, żeby się porozumieć. Miała też chyba złą wymowę, bo kobiety jej nie rozumiały. Porozumiewały się więc między sobą za pomocą uśmiechów i jakoś im szło. Una uśmiechała się grzecznie, starając się naśladować, żeby nie narazić się na śmieszność. Kobiety krzątały się wokół niej, jakby jej odmienność była czymś ujmującym i cennym. Chichotały między sobą i Una także starała się chichotać z nimi, czując, że ich naiwność, przynajmniej w części, była obowiązującym sposobem zachowania, które powinna trochę naśladować. Jednak bez znajomości języka było to skomplikowane i chociaż gdy musiała, potrafiła okazać wylewną słodycz, którą posłużyła się w czasie rozmowy z Druzusem, nie przychodziło jej to łatwo. Czuła wokół brzęczenie i szum myśli tych kobiet, głośnych i niezrozumiałych, i nie zdawała sobie sprawy, że jej zachowanie było dla nich ko-

miczne. Były niezwykle gościnne i traktowały ją, jak pewnie logicznie założyły, niczym wysoko urodzoną konkubinę.

Nawet gdyby знаła sinoański, to w jaki sposób wytłumaczyłaby im różnicę? Co by o niej pomyślały, gdyby wiedziały, skąd pochodzi, przez jakie błoto musiała się przeczołgać, żeby tu się znaleźć?

Bawiła ją nowość wszystkiego, na co patrzyła. Po pewnym czasie zaczęła jednak czuć się nie na miejscu, jakby ktoś rzucił kawał granitu czy krzemienia na posłanie z jedwabiu. Otaczające ją kobiety zdawały się lekkie niczym kolibry. Wysłano je, żeby bawiły się jak dzieci. Mężczyźni też mieli swoje zabawy i rytuały, ale w końcu wezmą się do rozwiązywania nieporozumień, które były przyczyną konfliktu. Czy wolałaby znajdować się wśród nich? Tak, ale zdawała sobie sprawę, że nie jest to rozsądna zachcianka. Nawet gdyby zniesiono wszystkie bariery dotyczące płci i pochodzenia, to ona nie miała jeszcze dziewiętnastu lat. Jakie miała prawo zasiadać z nimi? Takie samo jak Marek, przysłała jej do głowy odpowiedź. W duchu pragnęła, żeby spotkanie dobiegło końca i mogła go zobaczyć. Po skórze przebiegły jej dziwne dreszcze, a w gardle poczuła drapanie, kiedy obejrzała się w stronę ogrodów i pokoi cesarskich, jakby chciała coś powiedzieć, tylko nie wiedziała co.

W końcu zostawiono ją samą w ogrodzie wewnętrznego pałacu, który przyznano Markowi. Wokół niej, w ciepłym powietrzu, w którym unosił się zapach magnolii, dach pałacu lśnił lodowymi błyskami. Una powoli zaczęła się odprężyć.

Usłyszała, że Marek jej szuka. Czekwała z niecierpliwością na jego powrót, ale nie poruszyła się i nie zawołała go. Nagle zapragnęła przedłużyć oczekiwanie i siedziała nieruchomo, wystawiając twarz do słońca i szykując się na chwilę, gdy Ma-

rek ją znajdzie.

Marek dostrzegł ją przy ozdobnym stawie, obserwowała wodę i udawała, że go nie widzi. Godząc się na jej grę, stał i na nią patrzył.

Od chwili gdy wrócił do Złotego Domu i dowiedział się, co Druzus jej zrobił, Marek, widząc ją po każdym rozstaniu, czuł, jak serce zaczyna mu bić mocniej; nie z pożądania, lecz z lęku, że widzi ją po raz ostatni. Nawet gdy byli razem i wszystko było w najlepszym porządku, nauczył się patrzeć na nią z ukrytą obawą czy też niewiarą, jakby mogła być ciężko ranna, nawet umierająca, a on nic o tym nie wiedział.

Teraz poczuł irracjonalną ulgę, jakby znowu pokonał lęk, że coś strasznego mogło jej się przydarzyć. Ale byli tak daleko od Rzymu i Druzusa, że szpony lęku zaczynały się z wolna rozluźniać. Obawa spowodowała, że jej obraz się wyostrzył. Na czarnej powierzchni jeziora u jej stóp pływały lśniące lilie. Kiedyś, kilka dni po ich pierwszym spotkaniu, chłodnym i nieprzyjemnym, włamali się do przemysłowej szklarni na galijskich polach. Patrzyli wtedy na siebie ponad płytkim stawem uprawnych lilii, czując pierwsze drgnięcia pożądania, a Marek dostrzegł, jak z mokrych i tanich szmat, w które była odziana, wyłania się powabne ciało. Teraz była piękniejsza niż kiedykolwiek.

Una siedziała dalej, zaabsorbowana pozornie refleksami na wodzie, ale nie potrafiła - lub nie chciała - powstrzymać uśmiechu, który powoli rozjaśniał jej twarz.

No dalej, spójrz na mnie, pomyślał Marek, ale wciąż się ociągała, aż w końcu podniosła na niego niewinnie oczy, jakby nie miała pojęcia, że tu jest. Z trudem tylko powstrzymywała się przy tym od wybuchnięcia śmiechem i dla zachowania pozorów Marek zrobił to samo.

Una pozwoliła się objąć, przytuliła się na chwilę do niego, spojrzała mu w oczy, ale go nie pocałowała. Nieustannie czerpała przyjemność z odwlekania tej chwili i przelotnego podejrzenia, że ktoś może ich podglądać. Minęła go i weszła do środka budynku. W sypialni było mnóstwo czerwieni, od lśniących czerwonych regałów ozdobionych złotem aż po czerwone lampy. Łoże było niczym mały pokój, drewniane ściany ozdobione rzeźbionymi liśćmi sięgały aż po zdobiony frędzłami baldachim.

- Czy w pobliżu jest jakieś miasto? - spytała. Przeszedł ją lekki dreszcz; klimatyzacja nazbyt gorliwie schłodziła powietrze.

- Nie wiem - odpowiedział Marek i pocałował ją. Wziął ją w ramiona i delikatnie wepchnął pomiędzy zasłony baldachimu. Una osunęła się na miękkie pościeło. Jedną rękę położyła leniwie na poduszce, ale jej twarz i głos były przebiegle zamyślonie, jakby nie zauważyła jego ust rozgrzewających jej ciało, jego palców rozpinających jej szaty.

- To pewnie nie jest nawet odrębne miasto, tylko brzydka połowa tego. Gdzieś, gdzie mieszkają sprzątaczkę, rzeźnicy, grabarze... Pewnie jest większe niż to. Nie może też być daleko, tyle że jest dobrze ukryte. Może znajduje się po drugiej stronie Żółtej Rzeki. Musi jednak tu być, jak cień...

Marek mruknął coś w odpowiedzi, rozwiązując jedwabne węzły. Suknię ściągnąłby w sekundę, gdyby chciała mu pomóc, ale leżała spokojnie. Sznur opasywał ją dwa, trzy razy, nie był zaciśnięty, ale po prostu niedostępny w miejscu, gdzie krzyżował się na plecach. W związku z tym Marek pociągnął do góry jedwabny materiał, odsłaniając aż po udo jedną nogę i zostawiając drugą zakrytą. Rozsunął warstwy ubrania na piersiach i zaczął całować jej nagą skórę. Poczuł, jak jej ciało wy-

gina się lekko, ale nie przestawała mówić tym rozmarzonym, inteligentnym tonem, jakby w tej chwili interesował ją tylko ten monolog. Wiedział, że może w każdej chwili kazać jej umilknąć, zażądać jej uwagi, ale to by zniszczyło tylko grę, która najwyraźniej polegała na tym, żeby jak najdłużej ignorować to, co z nią robi.

- Przeczytałam o Junosenie. Na początku była tylko konkubina. Zastanawiam się, czy od początku myślała, żeby przejąć władzę, czy też... Ale nie widziałeś jej, prawda?

Pociągnął znowu za końce sznurka i suknia rozsunała się na boki. Pozostał jedynie zielonosrebrny naszyjnik, lśniący u podstawy jej szyi, absurdalnie wyglądający nad nagimi piersiami. Przesunął wolną dłoń od jej ust, przez całe ciało aż do kolana, które spoczywało na drugiej nodze i z powrotem ku górze. Una zamilkła, ale wciąż pozostała bierna, wciąż nie dawała za wygraną, nawet gdy na wpół skryty uśmiech wykrzywił jej usta. Marek czuł pod palcami drobne, niekontrolowane ruchy, którymi ciało zdradzało Unę. Zniżył się, częściowo kładąc się na niej, częściowo spoczywając na łożku, pewien, że wygrywa tę potyczkę.

Nagle, ponieważ Una czekała na moment, kiedy będzie zbyt zajęty, żeby zauważyć pułapkę, obróciła go na plecy i triumfalnie przyszpiliła do łożka. Jej twarz promieniała w poczuciu wygranej. Rozpięta szata wisiała nad nim, kiedy zaczęła go rozbierać, szybciej i o wiele bardziej bezceremonialnie niż on ją.

- Ale ty jesteś ładniutki. - Zatrzymała się na chwilę, żeby potwierdzić to z całą powagą. Marek uśmiechnął się do niej. Uniosła się na sekundę i jedną ręką zręcznie rozpięła naszyjnik, który zsunął się po jej piersiach. Jedwabisty namiot sukni zakrył ich ponownie, gdy schyliła głowę, żeby pokryć jego cia-

ło pocałunkami.

*

Noriko zobaczyła przez lunetę, jak Marek wchodzi do ogrodu. Ujrzała kobietę siedzącą przy stawie, ale nie zorientowała się, że Marek Nowiusz również ją obserwuje. Nie umiała też powiedzieć, czemu na twarzy Marka nagle pojawiła się ulga. Mimo że podglądała go dostatecznie długo, by wiedzieć, że to niemożliwe, to pozornie wyglądało to tak, jakby wrócił pospiesznie do domu, sprawdzić, czyjego kochance nie stało się coś złego.

No cóż, musiał być jakiś powód, którego nie znała. Kiedy zobaczyła pewność siebie, z jaką ta blada kobieta patrzyła na Marka, głębię szczęścia, jakie ich łączyło, zorientowała się, że ta kobieta nie była zwykłą faworytą, tylko jego ukochaną.

Noriko stała w cieniu wielkiej brązowej wazy, jakieś dwieście kroków od nich. Podsunęła się bliżej, trzymając lunetę przy oku, przesuwając ją z jednej twarzy na drugą, kiedy młoda kobieta wstała i przytuliła się do księcia. Noriko poczuła, jak zaciska jej się żołądek. Podeszła jeszcze parę kroków.

Wtedy usłyszała tuż za sobą głos.

- Jeśli zostałam przyłapaną później, niż powinnaś, to nie ze względu na swoje kompetencje.

Noriko krzyknęła ze strachu. Od razu zwróciła uwagę na złośliwą pogardę, kiedy jej zszokowany umysł powoli tłumaczył sinoańskie sylaby. Odwróciła się.

W pierwszej chwili zamiast osoby ujrzała ubranie: stożek szat, ozdobiony tiarą monolit składający się z pierwiosników i czerwonej satyny, zakończony na wysokości głowy mieszaniną płatków i biżuterii. Spuszczając oczy, Noriko zobaczyła starszą kobietę, która stała wystrojona w te wszystkie szaty

i patrzyła na nią z wściekłością. Sroga twarz wydawała się malutka pod fryzurą, wznoszącą się sztywno na jej głowie, niczym wysoka na stopę książka lub postawiony pionowo obraz. Włosy były czarne, choć z pewnością ufarbowane, i ozdobione świeżymi kwiatami, grzebieniami, dyndającymi naszyjnikami z pereł, turmalinów i nefrytów. Gruba warstwa pudru nie była zwyczajnie biała, ale opalizująca, i miała nadać kobiecie eterycznie nieludzki wygląd, jakby cała twarz została wykonana z masy perłowej. Jednak farba wsiąkła w zmarszczki i bruzdy siedemdziesięcioletniego ciała, tak że pomięta i pomalowana na biało skóra migotała niczym marmur od zacieków opalizujących na drobnej twarzy. Malutkie usta przypominały czerwoną ranę. Na czole kobieta miała przyklejony wycięty ze złota kwiat. Jej tors był ozdobiony sznurami naszyjników z rubinów wielkości śliwek, które musiały boleśnie ją obijać, gdy chodziła. Na spódnicach widać było feniksa lecącego z rozpostartymi skrzydłami, symbol cesarzowej - Junoseny, jak nazywali ją Rzymianie - cesarzowej Jun Shen. Wydawało się niemożliwe, żeby potrafiła podejść tak cicho w tych wszystkich ozdobach.

Przerażona Noriko pokłoniła jej się niezręcznie, najpierw tylko do pasa, a kiedy uświadomiła sobie błąd, padła na kolana.

- Jak śmiesz bezcześcić ten pałac i te negocjacje?! - wykrzyknęła cesarzowa. - Jak śmiesz zachowywać się w ten sposób w moim kraju?

Noriko, drżąc na całym ciele, w końcu pokłoniła się, dotykając czołem ziemi. Wskazała w kierunku wschodniej części pałacu, jakby chciała dać do zrozumienia, że się zgubiła.

- Przepraszam, nie rozumiem. Przepraszam - wyjąkała po nioniańsku.

Marszcząc brwi, cesarzowa wyrwała lunetę z rąk Noriko z zadziwiającą gwałtownością jak na kobietę w jej wieku, podniosła ją i Noriko instynktownie odwróciła twarz, spodziewając się ciosu.

- Ty barbarzyńska kretynko! Oszustko! Musisz się upokarzać i obrażać moją inteligencję? Chyba nie jesteś taka głupia, żeby spodziewać się, że nie wiem, kim jesteś i co tu robisz.

- Wskazała głową na pokoje rzymskiego księcia i fryzura wraz z wisiorkami zakołysała się niebezpiecznie. - Oni mogli nie dostrzec, jak skradasz się po szanćcach, ale ja szybko zobaczyłam.

Noriko patrzyła tępo na chodnik, który nagle rozmazał się w jej oczach. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Dobrze, wezwę strażników i powiem im, że zawiedli mnie. Kiedy cię zabiją, zostaną ukarani - oznajmiła Jun Shen. Wciąż trzymała lunetę niczym broń. Machnęła nią, jakby chciała rzucić na ziemię.

Noriko uniosła odrobinę głowę, nie odrywając oczu od ziemi.

- Nie możesz, Wasza Wysokość - szepnęła, roztrzęsiona, po sinoańsku.

Cesarzowa zmrużyła oczy.

- Nie mogę skazać szpiega bądź zabójczyni w moim pałacu?

- Jeśli ktoś mnie tknie... - szepnęła Noriko.

- Jest jakiś powód, żeby cię oszczędzić? Czy wyjawisz go przy wszystkich? Czy twoi wielcy panowie potrafią się wytłumaczyć, gdy Rzymianie dowiedzą się, że byli szpiegowani? Wszyscy muszą się dowiedzieć, kim jesteś i co tu robisz.

Noriko zamknęła oczy i spuściła głowę.

- Proszę... - jęknęła.

Cesarzowa prychnęła pogardliwie i w jej głosie było słychać rozbawienie. Szturchnęła Noriko stopą.

- Usiądź - powiedziała z odrazą, jakby Noriko powinna to zrobić bez ponagłania. Noriko, trzęsąc się ze złości i lęku, posłusznie usiadła. Nastrój cesarzowej zmienił się niespodziewanie. Jej usta wykrzywił wyraz złośliwego zadowolenia. Wydała jeszcze jedno drapieżne chrząknięcie i przekrzywiła sarkastycznie głowę niczym papuga, przyglądając się Noriko. - Twoje przebranie jest żałosne, jakbyś chciała oznajmić całemu światu, że masz coś do ukrycia - zauważyła z wyniosłą życzliwością.

- Lepiej jest znaleźć sposób na pracowanie pod własnym nazwiskiem. Nikt wtedy by cię o nic nie posądzał. Tak przynajmniej - oznajmiła, kiwając głową - ja bym postąpiła.

Wysunęła troszkę dłoń z lunetą w stronę Noriko i otworzyła palce, nie czekając, czy Noriko złapie instrument, i tracąc nim zainteresowanie w tej samej chwili. Odwróciła się na pięcie i odeszła bezszelestnie, sztywno wyprostowana pod stertą ubrań.

Oślupiała i prawie chora Noriko poderwała się z ziemi i pospiesznie skierowała do swoich pokoi we wschodniej części pałacu. W zewnętrznej komnacie jej damy dworu siedziały na rozłożonych na ziemi matach, otoczone trenami sukien i rozmawiały, grając w grę strategiczną na podświetlonej tablicy.

Pani Mizuki, z długimi lokami ozdobionej biżuterią różowej peruki spadającymi na zadziorną twarzyczkę, spojrzała na Noriko ubraną w odzienie służącej i spytała żartobliwie:

- Czy nowa służąca pasuje Waszej Wysokości?

Noriko jednak nic nie odpowiedziała, kierując się do sypialni i prawie płacząc z tęsknoty za domem, a także z wściekłości i upokorzenia.

W pokoju było za wiele rzeczy, za wiele gobelinów, bogato zdobionych szaf i krzeseł. Zagracone wszystko i wulgarne - myślała ze złością - zupełnie nie pasuje do królewskiego pałacu. Usiadła nagle na ziemi i łzy same popłynęły jej po policzkach. Przez kilka chwil pozwoliła sobie na płacz, ale zaraz zamknęła oczy i wzięła kilka głębszych wdechów, starając się uregulować oddech i uspokoić. Odpięła tubę, którą miała przerzuconą przez plecy. Było to przepiękne rękodzieło wykonane z lśniącego, czarnego drewna i ozdobione złotym węzłem, który oplótł się wokół tuby. Kiedy otworzyła wieczko, ze środka wyjęła bardzo nowoczesny przedmiot: cienki, elastyczny ekran zwinięty w rulon i zamknięty srebrną spinką w kształcie kwiatu astra. Noriko rozwinęła go i postawiła na komodzie - ekran po rozłożeniu ułożył się w panoramiczny obraz szeroki na trzy stopy i wysoki na półtorej. Dotknęła srebrnego pokręta i ekran się rozjaśnił. Jej oczom ukazała się panorama Kynoto

- Tetsugaku-no-Michi o świcie w wiosenny poranek. Z ciemnych gałęzi drzew spływały białe kwiaty, a przezroczyste słońce oświetlało na czerwono drapacze chmur, które ułożone w kwadraty i sześciokąty przypominały filigranową konstrukcją starodawne wieże świątyni, tyle że wznosiły się dziesięć razy wyżej. Wieżowce migotały naszyjnikami lamp elektrycznych. Widok był tak piękny, że Noriko nie śmiała patrzeć na niego zbyt długo.

Podniosła lunetę z kolan i wykręciła ze środka pierścieni, który następnie włożyła w wąską srebrną kolumnę podtrzymującą prawy bok ekranu. Po przekręceniu jednego z pierścieni luneta zmieniała się w urządzenie do nagrywania. Noriko zarejestrowała wszystko, co widziała.

Naszła ją pokusa, żeby rzucić okiem na Marka i dziew-

czynę. Właśnie na to polowała; chciała zobaczyć Marka Nowiusza bez maski, kiedy jest sobą. Rozmowa, którą przeprowadził z Tadahito, a którą też miała nagraną, była doskonała, ale, sam na sam z kobietą, której ufał, to było jeszcze lepsze. Noriko, oczywiście, miała jego nagrania, kiedy zwracał się z cesarskiego pałacu czy Forum do ludzi - jednak oglądała je wyjątkowo niechętnie. Żeby można było oglądać następcę tronu, cesarza, na ekranie den-ga, jak wystawia się na pokaz niczym aktor! Nie tylko poniżali się w ten sposób, ale wręcz obnażali przed kamerami, zdradzając swoje emocje, wywnętrzając się i zmuszając do uśmiechu czy płaczu, przesadnie okazując smutek lub determinację w stopniu, który nie mógł być ani naturalny, ani nawet elegancko wystylizowany. Aż dreszcze ją przechodziły i z trudem zmuszała się, żeby patrzeć na te popisy na ekranie. Nie była głupia i dobrze знаła rzymskie metody, wiedziała, że pasuje to do ich kultury, i nawet potrafiła dostrzec zalety takiego postępowania: mogło to, na przykład, służyć wpajaniu lojalności poddanym. Oglądając te nagrania, nie potrafiła stworzyć wizerunku Marka Nowiusza, czuła tylko zawstydzenie, że musi patrzeć na coś tak żenującego.

Teraz ogarnął ją jednak wstyd, że musiała nagrać go z tą bladą dziewczyną, że musiała na to patrzeć.

Do pokoju weszła cicho Tomoe, ulubiona dama do towarzystwa Noriko. Była to wysoka młoda kobieta z włosami ufarbowanymi na kolor indygo, odziana w suknię haftowaną w motyle. Ukłękła przy swojej pani i zaczęła w milczeniu rozplatać czarną opaskę, pod którą Noriko ukryła splecione w węzeł włosy. Księżna pozwoliła jej na to bez żadnych komentarzy.

W końcu Tomoe skończyła i powiedziała cicho:

- Pani, wyglądasz pięknie nawet w tych prostych sza-

tach, ale pozwól, że znajdę coś odpowiedniejszego. Nie chcesz, żeby książę ujrzął cię tak ubraną.

- Już mnie widział, więc to bez znaczenia - odparła obojętnie Noriko.

Tomoe zręcznie rozwiązała węzeł i pozwoliła włosom opaść falami na matę wokół Noriko. Włosy były ufarbowane na starą modłę i bardzo fachowo: do ramion były naturalnie czarne, a poniżej stopniowo przechodziły w bardzo głęboką zieleni - odcień tak subtelny, że widoczny dopiero wtedy, gdy odbijały światło. Wyglądało to tak, jakby zielona lampa świeciła na czarną powierzchnię. Im niżej, tym bardziej kolor nabierał mocy, aż do momentu kiedy stawał się chłodnym, jasnym odcieniem jadeitu. Końce włosów, które dotykały ziemi, kiedy Noriko stała, przypominały liście wierzby. Tomoe wzięła butelkę perfumowanej wody, nalała jej na dłoń i zaczęła prostować włosy poskręcane w loki.

Tadahito przyszedł do pawilonu, zanim Tomoe nakłoniła Noriko do włożenia jedwabnej sukni. Przez chwilę księżna wahała się, czy wpuścić go od razu. Czuła jakąś perwersyjną niechęć do przebrania się z bawełnianych sukien, niechęć do robienia czegokolwiek, jakby chciała zatrzymać czas w miejscu. Tomoe wycofała się, gdy Tadahito wszedł do pokoju. Noriko, zbyt przybita, żeby poprosić ją o herbatę, miała nadzieję, że sama na to wpadnie. Książę odkłonił się Noriko, rzecz jasna nie tak nisko jak ona, i z czułością położył ręce na jej ramionach.

- Zobaczysz to, co chciałaś? Pomogło ci? - zapytał.

- Tak sądzę - odparła po lekkim wahaniu. Nie miała dosyć odwagi, by opowiedzieć mu o spotkaniu z cesarzową Jun Shen, choć jednocześnie wiedziała, że powinna.

- A jednak nie wyglądasz na... uspokojoną.

Noriko sięgnęła do ekranu. Jej palec zawisł na chwilę i wreszcie wcisnęła srebrny przycisk, wymazując zapis Marka i Uny. Poczowała, jak prywatność, z której ich ograbiła, wraca na swoje miejsce, otaczając ich bezpieczną ciszą. Spłynęła na nią ulga, jakby to ona była narażona na zdemaskowanie.

Z ekranu popłynęło nagranie rozmowy dwóch księżąt z ich przechadzki długim krużgankiem. Noriko była wdzięczna, że Tadahito mówił po nioniańsku; znała łacinę, ale nie tak dobrze jak on.

- Czy mogę to pożyczyć, kiedy już nie będzie ci potrzebne? Myślę, że pan Kato z chęcią to zobaczy.

- Jak mu wyjaśnisz pochodzenie tego nagrania? - zapytała, krzywiąc się ze wstydu na wspomnienie tyrady sinoańskiej cesarzowej.

- Powiem mu, że kazałem to nagrać jednemu ze sług i zapomniałem o tym wspomnieć - odparł z uśmiechem. - Jeśli dojdzie do wniosku, że mam innych szpiegów, to nie będę miał nic przeciwko temu. - W tym samym czasie, na ekranie, jego głos mówił: - Jak ktoś może być obywatelem dwóch państw?

Na twarzy Noriko pojawił się wyraz żalu i zanim zdążyła się opanować, do jej oczu napłynęły łzy. Tadahito przestał się uśmiechać.

- Uważasz, że jesteś wykorzystywana - zauważył z nie-szczęśliwą miną.

„Bo jestem”, chciała krzyknąć rozzłoszczona. Zamiast tego odrzekła opanowanym tonem:

- Rozumiem, czego się ode mnie oczekuje, i nic się nie zmieniło, nawet jeśli pełna natura tych żądań nie była dla mnie wcześniej jasna.

Czuła, że jej formalne zachowanie irytuje Tadahito, ale nie potrafiła nad tym zapanować; w głębi ducha odsunęła się

już od niego i nie śmiała wrócić.

Kiedy jednak wziął ją w ramiona, opuściła bezradnie głowę na jego piersi i rozplakała się.

- To tylko taka ewentualność - powiedział kojącym tonem. - Może nigdy do tego nie dojść.

- Jeśli nie dojdzie, to dlatego, że wszystko inne zawiodło i wybuchła wojna. Nie wierzę w magiczną broń pana Kato. Jeśli będzie wojna, Nionia przegra.

- Nie możesz tak mówić! - zaprotestował zszokowany Tadahito.

Noriko westchnęła. Odwracając od niego oczy, ujrzała ich twarze

odbite w bogato zdobionym lustrze. Wcale nie byli do siebie podobni; jej twarz była bardziej okrągła, poważniejsza, niewzruszona, a Tadahito - napięta i pełna energii. Kochała brata - czuła się bardziej z nim związana niż z resztą rodzeństwa. Była od niego dwa lata starsza, a jej matka była cesarzową, nie konkubiną, jak matka Tadahito. Nie potrafiła jednak powstrzymać się czasami przed rozmyślaniami nad przewagą, którą utraciła przez fakt, że jest kobietą. Gdyby była chłopcem, to ona byłaby następcą tronu. Wtedy Tadahito musiałby się jej niżej kłaniać i mieć wzgląd na jej zdanie, a nie tylko ją kochać. Gdyby był dziewczyną, to jego czekałoby to zadanie, nie ją. Ona by tylko ofiarowała mu pocieszenie.

- W porządku - powiedziała ze znużeniem. - Więc wygramy, jeśli tak powinniśmy mówić. Ale dopiero wtedy, gdy zginą miliony ludzi. - Odwróciła się do ekranu, po raz pierwszy skupiając się na twarzy Marka.

Patrząc na niego, odnosiła wrażenie, że widzi dwa slajdy nałożone na siebie. Jeden obraz - przypomniawszy sobie, że jest wykształconą kobietą w tym kurczącym się świecie, a nie jakąś

reakcjonistką - przedstawiał przystojnego, młodego mężczyznę o prostych rysach, którego atrakcyjność jedynie podkreślały drobne nieregularności: lekka asymetria pełnych ust, senna ciężkość powiek, nad którymi widniały gęste jasne brwi. Jego żółtobrązowe włosy przechodziły miejscami w kolor złoty, a oczy miały odcień szarozielony niczym woda morska.

Drugi obraz był dokładnie taki sam, ale przedstawiał karykaturalnego obcokrajowca: długa czaszka, rysy twarzy tak nieproporcjonalne jak członki; żółte włosy jak u klauna, wypłowiałe oczy o upiornym wyglądzie lub w najlepszym razie hipnotycznie ekscentrycznym.

Rozbolały ją oczy od prób oddzielenia jednego wrażenia od drugiego. Z czasem jednak ten brzydki wizerunek z pewnością zniknie i pozostanie tylko ten ładny. Marek był od niej młodszy. Rzecz jasna musiał szybko dorosnąć, to normalne u ludzi z jego pochodzeniem. Różnice wieku w małżeństwie nie były oczywiście niczym niespotykanym.

- Polubiłeś go? - spytała Tadahito.

Tak naprawdę to nie mógł odpowiedzieć nic innego niż „tak”, choć wiedziała, że mógł dodać „Jeśli jest taki, jak się wydaje”.

Wszystko, co powiedziała Tadahito, było prawdą; oczywiście, zawsze wiedziała, że ojciec wybierze jej małżonka, mając na względzie jakiś polityczny sojusz czy strategię. Nie znała nikogo, dla kogo zrobiono by wyjątek, i sprzeciw tylko pokazałby, jaka jest niedojrzała. Nie spodziewała się jednak, że zamążpójście będzie równało się wygnaniu. Będzie musiała opuścić nie tylko Nionię, ale całe cesarstwo, i udać się do obcego kraju, gdzie spędzi resztę życia, słuchając języka, który tylko w połowie rozumie. Nie podejrzewała też, że jej związek rozpocznie się od ukradkowego podglądania i wstydu. Bolało

ją nie tylko przyłapanie przez cesarzową. W Nionii - i w Tokogane, tak samo jak w Goshu, Ko-ura, Siam - wszyscy otwarcie pogratulują cesarzowi genialnego posunięcia, jakim będzie osadzenie córki na tronie rzymskim. Wielu z nich powie to nawet szczerze. Ale prywatnie uznają za hańbę, że oddano księżniczkę w tak niegodne ręce. Do końca życia będzie to pożałowania godna plama na ich honorze.

Wiedziała to dobrze, zanim opuściła Nionię. Razem z Tadahito mieli nadzieję, że ukradkowa obserwacja Marka pomoże jej to lepiej znieść. Zamiast tego nabrała upokarzającej pewności, że nie będzie chciana. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie czuła. Nie spodziewała ' się, oczywiście, że nie ma kochanek. Ale była tylko jedna. Z opóźnieniem się zorientowała, że jest odrobinę zazdrosna. Nie o tę kobietę, oczywiście, że nie. Noriko potrafiła wyobrazić sobie, że kiedyś Marek może jej się spodobać, ale nie zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Jednak uczucie, jakie łączyło tych dwoje, uderzało taką intensywnością i czystością, że nie było w nim miejsca dla nikogo innego. Ona nigdy czegoś takiego nie doświadczy.

Zrobiło się jej także ich żal. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wkrótce natrze na nich niczym buldożer i ich szczęście zostanie na zawsze zniszczone.

IN NOMINE MEI

W końcu rzymskie niebo zbrązowiało od chmur nabrzmiałych deszczem. Pod mostami, przez które przechodził, mętne, brunatne wody wzburzonego Tybru przelewały się z niszczącą siłą, która przypominała mu Tamizę. W Veii, gdzie kurz zamieniał się błoto, Sulien wybrał drogę na skróty wiodącą przez ruiny fabryki. Idąc, zastanawiał się, co znajduje się w mokrym pyłe, który zdradziecko umykał mu spod stóp.

Miejscami z pooranej dziurami ziemi wystawały pozwijane węzły porwanych szyn tramwajowych niczym małe, okaleczone drzewa. Jak się później dowiedział, wszystko musiało się zacząć na torach tramwajowych. Każdy z budynków był tak skonstruowany, żeby nie dopuścić do przeniesienia się pożaru. Ogień musiał więc zostać zaproszony na zewnątrz, najpewniej na którymś z wagoników przewożących materiały wybuchowe, tak żeby jadąc, spowodował od razu kilka eksplozji. Teren fabryki, rozległy i ponury niczym pole bitwy, wydawał się dziwnie obcy; Sulien nie miał pewności, gdzie stały baraki, w których on i Wariusz zostali uwięzieni. Nawet znaki szczególne, które pozostały po wybuchu, zostały uprzątnięte; większość zewnętrznego muru pozostała, ale rozwalony budynek zarządu zniknął, a po poczerńiałej ziemi jeździły ospale wielkie koparki i spychacze. W deszczu i z tej odległości Sulien nie widział kierowców i maszyny przypominały mu bardziej gigantyczne zwierzęta przemierzające teren niż urządzenia sterowane przez ludzi. Słyszał, że wigilowie znaleźli kilka ciał, a raczej ich fragmentów, a co do reszty - kogo miałyby interesować ich szczątki, żeby chciał przesiewać cały ten gruz? Nikt nie miał czasu na takie zabawy. Lepiej wszystko zaorać. Nie miał tu czego szukać.

Odwrócił się do pretorianina, który stał sztywno, dzielnie znosząc deszcz spływający mu za płaszcz.

- Feniuszu, przepraszam, że cię tu wyciągnąłem. - Nie widział pozostałych, ale był pewien, że są gdzieś w pobliżu. Nigdy nie spuszczał go z oka. Przestał już na to zwracać uwagę. Wciąż wydawało mu się żenujące, ale przynajmniej zaprzyjaźnił się z nimi. Z każdym można, jak się chce.

Tancorix nie chciała oglądać zgliszczy, ale zgodziła się poczekać w obskurnej małej tawernie, choć narzekała na przemoczone buty i dół spódnicy.

- Przepraszam - powiedział. - Sam nie wiem, o co mi chodziło.

Tancorix przeszły dreszcze z zimna.

- Masz taką smutną minę - zauważyła.

Ona także wyglądała na przybitą, jej piękne blond włosy przylepiły się do głowy i ociekały wodą, a deszcz zmył z twarzy makijaż, który z niezadowoleniem poprawiała, przeglądając się w małym lusterku.

- Wiem - zgodził się Sulien.

- Inaczej nie przestałbyś o tym myśleć. Zresztą twojej straży dobrze zrobi trochę ruchu.

Sulien skinął głową, kręcąc szklanką z alkoholem i patrząc pozbawionym wyrazu wzrokiem, jak od płynu odbija się światło. Przy stole za nim rozmawiało dwóch mężczyzn w średnim wieku.

- Tak, cała kuchnia... Najważniejsze, że nie było nas w domu, kiedy to się stało. Mam nadzieję, że znajdą jakieś rozwiązanie. Nie chciałbym, żeby moje dzieci przez to przechodziły.

Jego rozmówca chrząknął, jakby chciał się sprzeciwić.

- Tak, ale... chcesz, żeby tak to zostawili? Przecież wia-

domo, że to Nionianie podłożyli bombę...

- Och, daj spokój.

- Nawet im nie odpowiemy? Mamy przyznać, że się ich boimy? To nie po rzymsku.

- Ale to zupełnie inna sprawa. Kompletnie. To nie byłoby jak w Meksyce. Tym razem chodzi o cały świat.

Przez chwilę milczeli. W końcu odezwał się drugi mężczyzna.

- Myślę, że to pokolenie potrzebuje wojny.

Sulien z trudem powstrzymał się, żeby nie odwrócić się i sprawdzić, czy mężczyzna patrzy na niego.

Widząc, że Sulien milczy, Tancorix spytała:

- Jak się czuje cesarz?

- Powstrzymałem krwotok w mózgu - odparł bezbarwnie Sulien, myśląc o czymś innym. W końcu odstawił zdecydowanie szklankę i powiedział z wysiłkiem: - No cóż. To było okropne miejsce i już go nie ma. Kiedy nastąpił wybuch, to nic nie czułem, żadnego bólu. Może dla innych też skończyło się to bezboleśnie.

Tancorix wyglądała, jakby miała się rozplakać, ale zapanowała nad łzami.

Zaskoczony Sulien spojrział na nią z poczuciem winy.

- O co chodzi?

- Nie chciałam ci mówić...

- Czego? - nalegał.

- Edda. - Tancorix zaszlochała.

- Kto? Coś się stało?

- Kiedy była w domu Epimachusa... - Epimachus był kiedyś mężem Tancorix. - Tylko ona miała dla mnie dobre słowo. Czułam się bardzo samotna, a ona była taka miła, zwłaszcza gdy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, i to

wszystko było takie okropne, a ona mi pomagała. Ale sprzedał ją, jak odeszłam.

- Jest niewolnicą?

- Tak. Nie spotykałyśmy się często, to znaczy nie w ostatnim roku. Na pewno chciałyby, żebym się z nią przyjaźniła, ale sprzedał ją Meczy-liuszom. Może oddał w prezencie. Wiesz, są w senacie, a on zawsze chciał utrzymywać z nimi dobre stosunki.

- A ich dom się spalił. - Sulien przypomniał sobie, że czytał o tym w arkuszach wiadomości.

- Słyszałaś o tym? Ja nic nie wiedziałam, to było kilka tygodni temu, a ja nawet nie miałam pojęcia. Nigdy nie czytam arkuszy wiadomości.

- Może nic jej się nie stało - pocieszył ją Sulien.

- Może. Próbowалам się z nią skontaktować, ale nikt nie chciał ze mną rozmawiać. - W jej oczach znowu pojawiły się łzy. - Wiedzą, że Epimachus i ja... że nie jesteśmy razem, to nie chcą mi nic powiedzieć. Nie wiem, co mogłabym jeszcze zrobić. To... - Otarła łzy i uśmiechnęła się teatralnie. - Muszę wyglądać jak ostatnie nieszczęście.

Sulien wstał i przytulił ją, ciesząc się, że może dodać jej otuchy, i czerpiąc radość z dotyku ciała Tancorix. Przy niej czuł się pełniejszy, bardziej realny. Od czasu gdy przybyła do Rzymu, kilka razy - dokładnie trzy - upadli na łóżko, śmiejąc się, podnieceni i przestraszeni świadomością, że nikt ich nie powstrzyma, że nic się nie wydarzy. Teraz miał ochotę wydać wszystkie pieniądze na wino, żeby patrzeć, jak jej ciało rozluźnia się pod wpływem pożądania, a następnie zanieść ją do domu. To była niemal najrozsądniejsza rzecz, jaką mógł zrobić, oboje poczuliby się lepiej. Jednak musiał wrócić do kliniki na następne sześć godzin, no i była jeszcze jej córka, której obec-

ność zawsze go niepokoiła i zawstydziała po każdej z takich nocy. W tej chwili wszystkie te przeszkody wydawały mu się bezsensowne, choć w głębi duszy wiedział, że dobrze, iż istnieją. Nigdy nie rozmawiali rano o tym, co się stało, wymieniali tylko parę żartów w trakcie ubierania się i nigdy nic poważniejszego z tego nie wynikło. Sulien zawsze odchodził z wrażeniem, że popełnił błąd i tylko cudem udało mu się uniknąć poważniejszych konsekwencji.

Nie wiedział, co teraz czuje Tancorix, ale w końcu odsunęła się od niego.

- To co, możemy iść? Wiemy już, że nigdy nie przeniosę się do Veii.

Sulien wstał i sięgnął po kurtkę z kapturem, którą przewiesił przez poręcz krzesła.

- Zastanawiam się, czy Atroniusz tu mieszkał - powiedział cicho. - Może trochę dalej, nie mam pojęcia.

Tancorix westchnęła. Sięgała właśnie po torebkę i odwracała się do wyjścia. Zatrzymała się i spojrzała na niego.

- Człowiek, który to zrobił? - spytała cierpliwie.

Sulien wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy to on. Trzeba będzie poczekać na wyniki śledztwa wigilów. Jeśli w ogóle kiedykolwiek coś odkryją. Na razie wmawiam sobie, że lepiej bym się czuł, gdybym wiedział choć jedną rzecz na pewno.

*

Gdziekolwiek Faustus się znajdował, wszystko wydawało się płynąć w jednym, nieustannym ruchu. On sam ani nie płynął, ani nie tonął; roztopiał się w tym ruchu, tak samo bezcielesny jak wszystko wokół niego, mniej stabilny niż ludzie, którzy przepływali lub kołysali się na falach obok niego. Przy-

najmniej potrafił ich rozpoznać. Ból ciągnął się, ciągnął i ciągnął, ale teraz długo już go nie było.

Raz czy dwa zapytał o Marka i Druzusa. Makaria, przestraszona i wyczerpana, nie miała pewności, o co dokładnie pyta ani co powinna powiedzieć.

- Nie mogą teraz przyjść - odparła ze znużeniem. - Chyba pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam! - wybuchnął Faustus. Może i pamiętał. W każdym razie przez następne godziny wydawał się przytomniejszy i bardziej rozeźlony.

*

Druzylla Terencja lekko wspięła się po schodach więzienia, starając się wyprostować. Gdy tylko wsunęła się przez bramę, poczuła odór tanich środków czyszczących i męskiego potu - który wykrzywił jej zaciśnięte usta. Umieszczenie go w tym miejscu stanowiło dodatkową obrazę. Mogli zadowolić się zbrukaniem jego i jej nazwiska i umieścić go w jakimś prywatnym miejscu, tak jak Tulliole. Przynajmniej oddzielono go od innych więźniów. Jednak podążając za spoconym strażnikiem, zmuszona była minąć rząd cel i ludzi, którzy w nich siedzieli. Odwracała wzrok, żeby ich nie widzieć. Niektórzy z więźniów krzyczeli coś do niej, wyśmiewając się. Nawet jeśli nie mieli pojęcia, kim jest, to wiedzieli, że tu nie jest jej miejsce.

- Mamo! - zawołał niewyraźnie Druzus, zerwał się z łóżka i jednym skokiem podbiegł do krat. Na pierwszy rzut oka widać było, jak bardzo schudł; jego skóra miała kolor papieru, a wargi były popękane. Mrugając, starał się powstrzymać łzy, które cisnęły się do zaczerwienionych oczu. Matka patrzyła na niego z wyrazem skrajnego zmęczenia. - Nie możesz jej wpu-

ścić? - spytał strażnika, który ją przyprowadził.

- Nikomu nie wolno wchodzić - odparł spokojnie mężczyzna.

Druzus zazgrzytał z wściekłości zębami.

- A co ona może zrobić? Na bogów, nie masz w ogóle serca? Jednak strażnik nie odezwał się więcej ani słowem, a Druzylla

Terencja stała bez słowa protestu.

Druzus odsunął się odrobinę od krat. Na jej widok nie potrafił zapanować nad uczuciami - ulgą i dziecinną tęsknotą - ale po kilku sekundach, kiedy przyjrzał się jej i przypomniał sobie pewne fakty, opanował się. Wyprostował się.

- Czemu dopiero teraz przychodzisz? - zapytał. - Jestem tu od tygodni. Wysyłałem ci wiadomości.

- Nie przywykłam do tego - odparła Druzylla. Ubrana była na czarno, jakby nosiła żałobę. Jej twarz i posiwiałe włosy skrywała woal-ka, którą podniosła, wchodząc tu. Czy była w żałobie po nim czy też po życiu, które mogła mieć zamiast tego? To mógł być jej perwersyjny pomysł na odwrócenie od siebie uwagi. W rzeczywistości wyglądała bardzo elegancko w czerni. W dalszym ciągu była piękną kobietą. Przed kratami stało krzesło. Druzylla nie usiadła na nim.

Druzus aż wziął głęboki oddech, słysząc jej słowa.

- Nie pozwalają mi pisać listów - wyjaśnił przez zaciśnięte zęby. - Muszę skontaktować się z pewnymi osobami i mogę to zrobić jedynie przez ciebie. Czekam od kilku tygodni.

- Miałam nadzieję, że wszystko się wyjaśni. Albo że przynajmniej przeniosą cię gdzieś z tej... dziury.

- Tak, no cóż, nie jestem tutaj na złość tobie - odciął się Druzus.

- Więc czemu tu jesteś? - wyjęczała matka, nagle cała

roztrzęsiona.

Druzus starał się nie okazywać emocji, ale przez chwilę nie mógł nic wykrztusić przez zaciśnięte gardło. Nie zdawał sobie sprawy, że ma nad nim taką władzę. Nigdy by jej nie miała, gdyby był wolny. W końcu zdołał wyszeptać:

- Nie zrobiłem nic z tego, co mi zarzucają. To same kłamstwa. Po prostu wszystko zmyślili. Musisz... mamó, musisz mi uwierzyć.

- Oczywiście, że ci wierzę - odparła zjadliwie Druzylla. W rzeczywistości żywiła przekonanie, że był kochankiem tej kreatury Tullioli. Szybko doszłaby do wniosku, że o wszystkim wiedział, a nawet że wszystko zaaranżował. Wołała jednak o tym nie myśleć. Choć przez chwilę patrzyła na syna z nieukrywaną niechęcią, to nikt nie mógł jej zmusić do myślenia o nim źle.

- Przynajmniej pobyt tutaj oszczędził ci słuchania, jak całe miasto plotkuje na nasz temat. Jak się w to mogłeś wplątać? Nie mów mi tylko, że nie miałeś z tym nic wspólnego. Musiało cię coś łączyć z tą dziewczyną. Nie chcę nawet o tym słyszeć.

- Mówisz o Unie? - spytał Druzus, czerwieniąc się z niewiści na dźwięk tego imienia. - Myślisz, że ja...

- Nie chcę tego słyszeć - oznajmiła stanowczo Druzylla, nie patrząc na niego.

- Ta kłamliwa dziwka! - zawołał Druzus. - Myślisz, że bym chciał ją chociaż tknąć?

- No cóż, co się stało, to się nie odstanie - rzekła matka i z niechęcią usiadła na brzegu krzesła. Prawie nigdy nie wspominała Lucjusza, więc i teraz nie powiedziała: „Jakby nie wystarczył wstyd, jaki przyniósł nam twój ojciec”. Jednak jej milczenie było równie wymowne jak słowa.

Druzus także usiadł na skraju łóżka ze spuszczoną głową i Druzylla poczuła ponowny napływ niechęci, która mieszała się ze współczuciem. Pewnie nawet nie miał pojęcia, jak bardzo przypominał młodego Lucjusza - chociaż potrafiła dostrzec w nim siebie samą przygotowującą o zawrót głowy mieszanekę ich dwojga. Widziała, jak ludzie patrzą na niego i jak zazdroszczą jej tak wysokiego, przystojnego syna. Jeśli chodzi o wygląd, to nigdy mu nic nie brakowało.

Druzus podniósł w końcu głowę, twarz wydawała się jeszcze bledsza, pod oczami pojawiły się ciemne worki, a czarne igiełki zarostu zdawały się ranić delikatną skórę.

- Czy potrafisz wywnioskować, co chcą zrobić ze mną po procesie: zabić mnie czy trzymać tutaj? - zapytał spokojnie. Druzylla zamknęła oczy, biorąc głęboki oddech. Na ten dźwięk Druzus odzyskał trochę wiary. - Proces będzie wyjątkowo nieprzyjemny, zdajesz sobie z tego sprawę? Całe imperium o niczym innym nie będzie mówiło.

- Nie musisz mi przypominać - wyszeptała z bólem.

- Wolę cię przygotować. Będziesz musiała temu stawić czoło.

- Nie zniosę tego - jęknęła Druzylla.

Druzus patrzył na jej wykrzywioną przez ból twarz i myślał: To tylko hańba albo prawie tylko hańba. Gdybym poprosił o nóż, żeby podciąć sobie żyły, tobyś mi go przyniosła bez pytania, prawda? Pewnie nawet wcześniej byś się tu pojawiła. Chciał to powiedzieć na głos, oskarżyć ją, ale bał się, że nie wytrzyma, jeśli to potwierdzi. Zamiast tego postanowił dążyć do celu.

- Salwusz jest w Rzymie czy pojechał do Bian?

- A skąd mam wiedzieć?

- Więc dowiedz się - powiedział Druzus. - Jeśli jest w

Bian, musisz napisać do niego. Wyślij kogoś, komu możesz ufać, żeby nie przechwycono listu. Ale jeśli jest w Rzymie, musisz się do niego udać.

- Czego ode mnie oczekujesz? Myślisz, że pomoże ci się stąd wydostać? Nie można go o to prosić. Nie zrobię tego.

- Nie. Nie. Nie masz go o to prosić. Nawet tego nie sugeruj - rzucił gwałtownie Druzus. Zbliżył się do krat. - Powiem, ci co masz mówić.

- Nie, Druzusie. - Dostała wypieków.

- Musisz tylko go poprosić, żeby zechciał ze mną porozmawiać. Wierzę, że przyjdzie tutaj. Powiem ci, co masz mu przekazać, i zrób to, nie dodając ani słowa. Musisz to zrobić albo nasze życie legnie w gruzach.

Usiadł na łóżku i Druzylla spojrzała na niego z bezradnym znużeniem, jak na jakieś trudne zadanie, jakiś olbrzymi arkusz papieru, który trzeba cały zapisać, całą górę brudów, które musiała uprać.

*

Kleomenes otworzył drzwi do mieszkania Atroniusza.

- Proszę. Masz dziesięć minut. Nie wolno mi tego robić, więc nie mów nikomu. Nie mam pojęcia, co spodziewasz się tu znaleźć. Nic tu prawie nie zostawił.

W mieszkaniu był tylko jeden pokój. Przez ponad tydzień od czasu wyprawy do ruin fabryki Sulien przygotowywał się do tej wizyty, starając się namówić Kleomenesa, czekając na odpowiedni moment. Przekraczając próg, poczuł jednak rozczarowanie i pomyślał, że jest naiwny. Rzecz jasna, nie oczekiwał, że znajdzie coś namacalnego, jakieś nowe dowody, które wigilowie przeoczyli. Miał nadzieję, że mężczyzna, który tu mieszkał, zostawił ślady, którymi nasiąkło całe mieszkanie,

i po nich pozna, czy to prawda - i może poczuje, jak to jest być kimś takim. Ale Kleomenes miał rację. Mieszkanie nie było idealnie puste, tu i ówdzie pozostały ślady, które gospodarz lub następny lokator będzie musiał uprzątnąć. Jednak nigdzie nie dostrzegął żadnych osobistych rzeczy. Była tylko pustka.

- Nie myśl, że chłopcy coś stąd wynieśli - powiedziała stojący za nim Kleomenes. - Od początku tak wyglądało.

- Czy to coś znaczy? To, że tak niewiele miał? - Sulien obrócił się powoli, starając się odczytać coś z pustej przestrzeni. Pojedyncze okno wychodziło na gołą ścianę. Na małym blacie kuchennym w kącie pokoju stała torba ze zgniłymi cebulami i kilka much krążyło nad brudnym garnkiem stojącym w zlewie. Wigilowie zostawili otwartą komodę, prawie pustą: obok czystej i zupełnie przeciętnej bawełnianej tuniki stała para starych butów. - Jest dosyć rzeczy, żeby powiedzieć, że zamierzał opuścić to miejsce. Kleomenes wzruszył ramionami.

- Można powiedzieć, że wiele nie potrzebował. Wiedział, po co tu jest. Nie dostał szansy, żeby zostawić po sobie jakiś ślad, mieszkał tu tylko kilka tygodni, a teraz nie żyje. - Kleomenes stał oparty o ścianę z założonymi rękami, patrząc z politowaniem, jak zniechęcony Sulien chodzi po niewielkim pokoju. Upalne lato pokryło twarz Kleomenesa piegami. Miał trzydzieści dziewięć lat i doszedł do stopnia dowódcy oddziału wigilów. Wprawdzie nie zajmował się sprawą eksplozji w fabryce ani porwaniem Suliena w Suburze, ale Sulien był pewien, że uda mu się przekonać Kleomenesa, by wpuścił go do mieszkania.

Sulien wciąż przyglądał się w zamyśleniu kilku śladom pozostawionym w pokoju.

- Jak ma się Aleksander? - zapytał Sulien.

- Nieźle - odparł Kleomenes zdawkowo, starając się, żeby na twarzy nie pojawił mu się wyraz radości. Po czterech miesiącach wciąż był tak szczęśliwy, że ma syna, że mógł opowiadać o swoim szczęściu Sulienowi albo pierwszej przypadkowo napotkanej osobie. Częściowo, żeby nad sobą zapanować, choć także z prawdziwej troski, zapytał: - A jak siostra? To okropne, co się stało. Pomyśleć, że ten człowiek był przez trzy lata zupełnie bezkarny.

- Już nie jest - odparł Sulien. - A co do Uny... - Czy to normalne, że przeszedł tak szybko do porządku nad tym, co Druzus jej zrobił? Odsunął wszelkie wątpliwości i odpowiedział pewnym tonem:

- U niej wszystko dobrze.

- A jak Wariusz? - zapytał Kleomenes. Zawsze, kiedy spotkał Wa-riusza czy pomyślał o nim, martwił się o niego.

Sulien mruknął jakąś uspokajającą odpowiedź. Przeszedł od blatu kuchni do pustych półek, myśląc o nieznanym mężczyźnie, który także poruszał się w tej samej przestrzeni. Czy liczył na to, że wyłapie krążące w powietrzu drobiny informacji? Zaczynał dostrzegać - choć zdawał sobie sprawę, że pewnie tylko dlatego, iż tego szukał - podobieństwo pomiędzy antyseptyczną prostotą pokoju a pospieszną sztucznością mieszkania w Suburze. Ciemnoniebieski koc na łóżku przypominał ten, którym przykryto manekin na strychu. Jednak nie był to ten sam koc.

- Co myślisz? - spytał Kleomenesa.

- Według mnie to on. Dobrze się do tego nadawał. Sąsiedzi twierdzą, że mało go widzieli i że sprawiał wrażenie bardzo spokojnego, co by mnie zastanowiło, gdybym zajmował się tą sprawą. Wygląda na to, że nikt go nie odwiedzał... nawet nie miałyby jak podać poczęstunku czy choćby wody, bo

nie miał żadnych naczyń. Nie bardzo to pasuje do wizerunku, jaki przekazali nam ludzie z fabryki - mężczyzna, który go zatrudnił, przeżył wybuch. Według niego był to bystry i otwarty pracownik, wcale nie odludek. Kilka lat wcześniej pracował dla nas. Wywalono go i nie wspomniał o tym w Veii, choć to akurat jest zrozumiałe. - Kleomenes uśmiechnął się. - Przestał mnie dziwić widok eksofice-rów, którzy znajdują się po niewłaściwej stronie prawa. - Spojrzał na Suliena i przypomniał sobie, jak sam znalazł się w takiej sytuacji. Nawet gdy znowu mógł bezpiecznie pracować, był tylko o krok od opuszczenia wigilów, gdyż wyrzucał sobie, że nie spostrzegł wcześniej, co się szykowało, czego był częścią. Nawet teraz nie zawsze był pewien, czy powody, dla których został w służbie, były rzeczywiście takie szlachetne, czy miał prawo sobie powiedzieć: „Odejdźcie nie byłoby w porządku, musiała zostać przynajmniej jedna uczciwa osoba”. Możliwe, że został w oddziale, ponieważ ogarniało go przygnębienie, kiedy zastanawiał się, co innego mógłby robić.

- Nawet pomijając to wszystko - ciągnął - zostaje prosty fakt, że parę tygodni przed eksplozją pojawia się znikąd, gotowy przyjąć pracę, której nikt nie chce, i to akurat w momencie, kiedy potrzebowali nowego nadzorcy, ponieważ poprzedni miał wypadek samochodowy.

Sulien obrócił się zaciekawiony.

- Nie żyje? Nic o tym nie słyszałem.

- Nie, przeżył, ale był w ciężkim stanie.

- Co to znaczy, że Atroniusz przybył znikąd?

Kleomenes wyjął z kieszeni plik pomiętych papierów i wyszukał coś na stronie.

- No cóż... twierdził, że właśnie przyjechał z Terranowy, co nie było prawdą. Przyjechał tu pierwszy raz... - znalazł na

dole strony informację - cztery lata temu. Pozostaje jednak parę nieudokumentowanych lat. Sądzę nawet, że w tym roku mógł spędzić jakiś czas w Bizancjum. Oczywiście nielegalnie. Obawiam się, że nie ma na to mocnych dowodów, co najwyżej jakiś bilet tramwajowy z Bizancjum. Takie rzeczy mogą jednak wszędzie się zaplatać. Na bilecie był zapisany numer daldictora. Może ktoś mu go dał. Sulien skinął głową.

- Ten mężczyzna, który go przyjmował do pracy, powiedział wigilom, co to był za typ człowieka?

- Tak. Bardzo skuteczny. Bardzo twardy. - Kleomenes zawahał się, patrząc na Suliena. - Bezwzględny dla niewolników. Miał system bicia dziesięciu najmniej produktywnych ludzi w sekcji. Veii nie miało najlepszej reputacji, co?

- Okropne miejsce.

- Zdaje się, że był okrutny nawet według ich standardów. Nie wiem, co można z tego wywnioskować.

- Coś jeszcze? - nalegał Sulien. Nie przeczuwał, jak trudno będzie wysłuchiwać tych wszystkich szczegółów. - Wiadomo coś więcej o nim? Czemu to zrobił?

Kleomenes spojrzał na niego zniecierpliwiony.

- Nic więcej nie wiem. Nie prowadzę tej sprawy. Musimy się stąd wynieść, zanim właściciel zauważy, że oprowadzam tu wycieczki. Zresztą i tak muszę wracać do domu.

Sulien niechętnie podążył za nim.

- Mógłbym rzucić okiem na te dokumenty? Proszę. - Mimo swojego wzrostu czuł się jak rozkapryszone dziecko zawracające dorosłemu głowę. Kleomenes, wzdychając ciężko, wręczył mu papiery. Sulien przejrzał jej pospiesznie. Na końcu był spis rzeczy zabranych z mieszkania, długi na półtorej strony. Czyli były jakieś rzeczy osobiste.

- Co to jest to, tutaj? - zapytał. - Czy to zdjęcia jego ro-

dziny? Mogę je zobaczyć?

- Na bogów, oczywiście, że nie - odparł Kleomenes.

*

Druzylla Terencja nie czuła się lepiej w domu Salwiusza niż w więzieniu. Budynek w kolorze umbry znajdował się kawalek od centrum, na porośniętych sosnami i platanami wzgórzach, które wznosiły się nad Drogą Flamińską i mostem Mulwijskim. Jakiś obiekt przemknął przez atrium i wpadł na nią z rozpędem. Druzylla krzyknęła z przerażenia. Cofnęła się o krok i zobaczyła zdyszanego chłopca z ciemnymi, kręconymi włosami, który trzymał w ręku plastikowy pistolet. Zabawka warkotała i migotała światłami. Chłopczyk uśmiechnął się do Druzylli z wdziękiem i pobiegł bawić się do ogrodu. Za nim popędziło kilku podwładnych mu chłopców, ignorując niezbyt przekonujące upomnienia żony Salwiusza. Kobieta była niska, pulchna i z wyglądu przypominała dziewczynkę. Gołe nogi chłopca były tak posiniaczone i podrapane, że z łatwością mógł być wzięty za niewolnika jakichś sadystów, gdyby nie fakt, że aż tryskał zdrowiem. Mógł mieć dziewięć lub może dwanaście lat; Druzylla straciła zdolność rozpoznawania wieku dzieci cudzoziemców.

Salwiusz przywitał ją grzecznie i zaprosił do salonu, który był dosyć ciemny i miał męski wystrój, jeśli nie liczyć czterech zdjęć ustawionych na biurku i przedstawiających córki Salwiusza. Salwiusz wsunął Druzylli kieliszek wina do ręki i ta trzymała go przez długie minuty w dłoni, nie podnosząc do ust ani nie odstawiając, jakby o nim zapomniała.

- Współczuję pani. To muszą być trudne chwile - odezwał się delikatnie Salwiusz.

Druzylla skinęła sztywno głową w niemym cierpieniu.

Od czasu przekroczenia tego progu prawie się nie odzywała.

- Dziękuję - udało jej się w końcu ochryple wyszeptać.

Salwiusz zebrał się w sobie, ale zaraz spróbował rozluźnić się i przybrać postawę bardziej przyjazną i otwartą.

- O czym chciała pani ze mną pomówić? - zapytał z miłym uśmiechem. Był szczerze zaciekawiony. Nigdy wcześniej nie spotkał Druzylli, która żyła w takiej prywatności, że idealnie pasowała do niej grecka maksyma, że najlepszym komplementem dla kobiety jest, jeśli nigdy się o niej nie wspomina. Salwiusz czuł, że byłoby okrucieństwem, gdyby odmówił spotkania z nią, chociaż obawiał się, że biedna kobieta będzie go błagać o coś niemożliwego albo się rozpłacze. Wiedział, że miała trudne życie u boku Lucjusza Nowiusza, a teraz jeszcze to. Nawet w oficjalnych wiadomościach w dalwizji sugerowano, że Druzus jest oskarżony o coś poważniejszego niż tylko atak na dziewczynę. Salwiusz pamiętał oświadczenie, jakie złożył nowy dowódca gwardii pretoriańskiej:

Według naszych informacji, Druzus Nowiusz zaatakował młodą kobietę po tym, jak odkryła jego bliski związek z byłą żoną cesarza, która zmarła trzy lata wcześniej, czekając na proces w sprawie zamordowania Nowiusza Faustusa Leona i Klodii Aurelii i zamachu na życie obecnego cesarza.

Salwiusz nie tylko widział oświadczenie, kilku wyższych urzędników, senatorów, gubernatorów i generałów (czyli ludzi, których wątpliwości mogły zaważyć na losach oskarżonego) otrzymało specjalną teczkę. Zawierała ona dokładny opis tego, co zaszło i jak Druzus zwabił Unę na dach. Zanim Salwiusz wpuścił Druzyllę, pośpiesznie schował teczkę do szuflady biurka, tak żeby nie musiała oglądać przygnębiających, niewyraźnych zdjęć swojego syna. Salwiusz uważnie przyjrzał się twarzy Uny, zwróconej ku aparatowi, tak żeby pokazać

podbite oko. Pod włosami uniesionymi jedną ręką widać było ślady palców na szyi. Una zacisnęła usta, tak że ledwie je było widać, tylko szeroko otwarte oczy wpatrywały się w obiektyw. Na zdjęciu można było się dopatrzeć, w którym miejscu rękaw sukienki został urwany na ramieniu. Salwusz był bardziej niż wstrząśnięty. Wiadomości zniweczyły pewną nadzieję, do której nigdy się nie przyznał. Martwiło go także, że chodziło o Unę. Oczywiście nikt publicznie nie wspominał, kim jest ani jak bardzo jest związana z Markiem, ale w tajnych raportach zakładano, że ich czytelnicy i tak to wiedzą. Nie podobało mu się także to, że zmuszono dowódcę pretorianów, by zasugerował istnienie związku Druzusa z Tulliolą, mimo że nie można tego było udowodnić. W oświadczeniu dowódca gwardii dodał z rubasznym uśmiechem:

Niestety, po tak długim czasie i wszystkich zamieszkach, które wstrząsnęły państwem, niemożliwe jest postawienie zarzutów za tamte przestępstwa. Wierzymy jednak, że mamy niezbite dowody łączące Druzusa Nowiusza z gwałtownym zamachem, który miał na celu pozbawienie życia pani Uny. Po niedopatrzeniach, które doprowadziły do śmierci pani Tulliolii w areszcie, postanowiono, że Druzus Nowiusz pozostanie do procesu w publicznym więzieniu, a nie w areszcie domowym, jak każdy obywatel oskarżony o takie zbrodnie. Nie będzie żadnych przywilejów dla arystokracji. Społeczeństwo rzymskie może być pewne, że nikt nie stoi ponad prawem.

Oficjalny rzecznik nie mógłby tak łatwo tego powiedzieć - musiałby wspomnieć, czemu informuje się o tym opinię publiczną, oraz wyjaśnić, w jaki sposób dziewczyna odkryła, co łączyło Druzusa i Tulliolę. Tego zaś nigdy jasno nie wytłumaczono. W jaki sposób Druzus mógł oczekiwać uczciwego procesu, kiedy całe imperium aż huczało od plotek? To nie zna-

czyło jednak, że Salwiusz nie wierzył w ten raport. Przede wszystkim nigdy nie podejrzewał Marka o nic gorszego niż naiwność. No i po złączeniu imienia Druzusa z Tulliolią trudno było nie dostrzec, jak bardzo wszystko do siebie pasuje - musieli wiele czasu spędzać ze sobą, oboje byli młodzi, atrakcyjni, mniej więcej w tym samym wieku, podczas gdy Faustus był dużo starszy. Co gorsza, zbrodnie Tullioli nabierały dopiero sensu, kiedy założyło się, że działała u boku Druzusa, dla Druzusa. Mimo niezadowolenia z oświadczenia pretorianina Salwiusz rozumiał, że jeśli dziewczyna rzeczywiście na coś wpadła - może Druzusowi coś się wymknęło? - to Marek nie mógł sobie pozwolić na utajnienie tego. W tych okolicznościach Druzus mógł się cieszyć, że w ogóle będzie miał jakiś proces. Salwiusz kazałby go zastrzelić gdzieś po cichu. Leon zasłużył, by go pomścić.

- Mój syn ma nadzieję, że odwiedzi go pan w więzieniu - odezwała się w końcu Druzylla.

Salwiusz westchnął.

- Nie wiem, czy mogę to obiecać.

Druzylla zaczęła wiercić się na krześle.

- Wiem, że musi być pan bardzo zajęty - powiedziała z napięciem w głosie.

- To prawda. Poza tym, przepraszam, ale biorąc pod uwagę zarzuty wobec...

- Są fałszywe.

Salwiusz się skrzywił. Podobnie jak Druzylla, zastanawiał się nad innym wytłumaczeniem siniaków i obrażeń Uny. Zakończenie dyskretnego romansu, które wymknęło się spod kontroli? Mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę brak czasu, no i fakt, że tak sprytna dziewczyna nie ryzykowałaby tego, co już miała. Niewykluczone, iż Druzus pomyślał, że jako eks-

niewolnica dziewczyna będzie łatwa. Wówczas jego czynu nie zakwalifikowano by jako usiłowanie zabójstwa. Tak czy inaczej sprawa była wyjątkowo nieprzyjemna. W takich okolicznościach Salwiusz nie chciał mieć nic wspólnego z Druzusem.

- Pani, przykro mi, że muszę to powiedzieć i nie chcę wydawać wyroku przed procesem, ale do czegoś doszło.

- Nie ma w tym ani źdźbła prawdy - rzekła Druzylla z pasją, a jej twarz aż poczerwieniała. - To mój syn. Wiem, że nie mógł zrobić czegoś takiego.

Salwiusz skinął głową, ale raczej z grzeczności niż dlatego, że się z nią zgadzał.

- W żaden sposób nie mogę mu pomóc. Wie pani o tym. Prawo zdecyduje o jego losie.

- Nie przyszłam prosić o pomoc - powiedziała ochryple Druzylla. - Najpewniej nie ma dla niego ratunku. Moje odwiedziny nic mu nie pomogły. Wiem o tym. To byłaby... grzeczność z pana strony. - Salwiusz nic nie odparł i Druzylla spuściła wzrok na kolana, które znowu zaczęły drżeć. Była świadoma, że nie użyła słów Druzusa i że łamie obietnicę. W końcu spróbowała ponownie. - On chce tylko z panem porozmawiać.

- To nic nie da.

- Da. Jemu da. - Z dała od syna, kiedy musiała to wypowiedzieć, poczuła, że coraz bardziej wierzy w jego słowa. - To, co go dręczy, to nie fakt, że może stracić życie. Boli go, w których oczach traci swoje dobre imię. Tych, którym zależy na Rzymie. Przede wszystkim pana.

Salwiusz patrzył na nią bez słowa. Jego brwi uniosły się trochę, ale nie w wyrazie niedowierzania, lecz raczej przecucia, gdzie jego wątpliwości czy ciekawość, czy może niezadowolone mogą go doprowadzić.

- Podziwia pana. W Rzymie nie zostało wielu uczciwych

ludzi.

- Miejmy nadzieję, że nie jest tak źle, jak myśli - odparł Salwiusz. Coraz trudniej było mu odpowiadać na jej prośby. - Pochlebia mi pani. Albo on. Jednak to nie zmienia faktu, że nie mogę mu pomóc.

- Nie rozumie pan. - Mała improwizacja i znowu wróciła do wyuczonego tekstu. - Nie ma nadziei na uczciwy proces. Jak mógłby na niego liczyć? Nikt nie wie, co się z nim potem stanie. Twierdzi jednak, że jeśli zginie, to nie będzie musiał patrzeć na to, co się stanie z Rzymem w rękach tej dziewczyny. Ponieważ - tak mi powiedział - nie ma wątpliwości, że tylko ona ma prawdziwą władzę. Powiedział też, że jeśli otworzy panu na to oczy, to może spokojnie oczekiwać swojego losu. Nawet jeśli będzie nim śmierć.

Pod koniec głos drżał jej już mocno, a oczy błyszczały od łez.

*

W zakolu Tybru, w podziemiach kwatery wigilów pusty, pomalowany na szarozielono pokój wydawał się dziwnie zimny. Wewnątrz prostokątnej niszy w ścianie znajdował się pas transmisyjny wykonany z cienkich pasków aluminium. Wciąż nieruchomy nikał gdzieś w nieoświetlonych czeluściach budynku.

- Czy poza nękaniem mnie masz jeszcze czas na pracę? - narzekał Kleomenes.

- Oczywiście, że tak - odparł Sulien, ponieważ uwaga boleśnie go dotknęła. Wprawdzie pracował tyle samo godzin co zawsze, ale czuł, że to nie to samo. Ledwo interesował się tym, co robi. Z trudem myślał o Faustusie inaczej niż o złożonym problemie medycznym. Czasami, kiedy usiłował skłonić

komórki, żeby wzięły się do czynienia napraw, starzec wydawał mu się zwykłą pijawką, która marnowała jego czas. I tak w końcu czekała go śmierć i może lepiej by było, gdyby tego nie przeciągano. Potrafił się skupić, myśląc o czasie, jaki dochodzenie Faustusa do zdrowia da Unie i Markowi, i o fakcie, że właśnie zamożni chorzy umożliwiają przetrwanie klinice.

Kleomenes poczuł skruchę. Przesadzał z tym podkreśleniem swojego poświęcenia, ale to dlatego, że był przyzwyczajony żartować z Suliena. Z trójki niewolników, w których życie wtargnął pewnej awanturniczej nocy, Sulien zawsze wydawał mu się najbardziej normalny i dający się lubić. Una i ten drugi mężczyzna z okropnymi ranami na nadgarstkach byli bardziej zdesperowani, bardziej nieugięci.

Sulien patrzył, jak Kleomenes wkłada dużą kartę perforowaną do szczeliny w tablicy nad niszą z pasem. Urządzenie obudziło się z warkotem i z ciemności doleciał głuchy odgłos przesuwających się części, kiedy pas ruszył. Powoli z czeluści wyłoniła się ciemna skrzynia i wsunęła się na metalowy stół. Kleomenes sprawnie przejrzał jej zawartość i wręczył Sulienowi fotografię schowaną za plastikowe okładki.

Zdjęcie było stare. Opis na nalepce poniżej informował, że było przypięte do ściany, bez ramki. Suliena zdumiała jego idylliczność: stojący w jasnym świetle pomiędzy rodzicami mały chłopiec był przytrzymywany za ręce, jakby mógł rzucić się w każdej chwili do aparatu. Chłopiec, którym musiał być Atroniusz, uśmiechał się radośnie. Także rodzice śmiali się, a u ich stóp stały donice z hibiskusami.

- Tych dwoje wciąż mieszka w Mai?

- Trochę czasu nam zajęło ich znalezienie. Zginęli w czasie powstania Maja-Meksyka - poinformował go Kleomenes.

Sulien poczuł kolejny przeblask podniecenia na tę wia-

domość. Przypomniawszy sobie nieudane powstanie separatystów, które ojciec Marka stłumił dwadzieścia lat temu. Jednak zaraz westchnął. Jeśli Atroniusz przeżył, to znaczy, że zostawił to zdjęcie w domu. Ile więc dla niego znaczyło? Włożył fotografię z powrotem do pudła i zaczął pobieżnie przeglądać inne dokumenty w plastikowych okładkach.

- Tylko niczego nie poprzekładaj - jęknął Kleomenes.

- Nie bój się. - Papiery dotyczące fabryki, które niczego nie wyjaśniały. Rachunki, pokwitowania. Naddarty i pognieciony kawałek tektury: bilet, który już miał odłożyć, kiedy zatrzymał się nagle. Poczł, jak przez ciało przechodzi mu zimny dreszcz.

Kleomenes skinął głową, wskazując na bilet.

- Dzięki temu wiemy, że był w Bizancjum.

Oniemiały Sulien wręczył mu bilet. Kleomenes spojrzawszy ze zdziwieniem na papier, potem na Suliena.

- O co chodzi? Coś nie w porządku?

- To numer kliniki - wyjaśnił cichym głosem Sulien. W ustach zupełnie mu zaschło.

Kleomenes z uwagą przyglądał się symbolom nakreślonym nierównym, wręcz dziecinnym pismem na kawałku kartonu. Trudno je było odczytać, poza tym numer był niekompletny, niknął na oddartym kawałku. Kleomenes nie był do końca przekonany. Jeśli to był numer kliniki, to trudno winić pracujący nad tym zespół, że przeoczył to, koncentrując się na pochodzeniu biletu.

- Jesteś pewien? - W jego głosie zabrzmiała delikatna nuta wątpliwości.

- To moje imię.

Nad numerem była litera S i coś, co wyglądało jak początek U. Kleomenes wziął głęboki oddech.

- Wiem, że to moje imię - upierał się rozzłoszczony Sulien. - Widać, że to moje imię. Pomyśl, co się stało. Wywabili mnie z kliniki. A on miał to w tym samym czasie przy sobie. To ci sami ludzie. Chodziło im o mnie. Dlaczego nikt tego nie połączył? To jakiś cholerny żart. - Odwrócił się do pudełka i wyciągnął kolejny dokument. Przejrzał go, nie czytając. - Pismo się różni, prawda? To pisał ktoś inny z ich grupy.

- Słuchaj, był tam wcześniej dwa tygodnie - zwrócił uwagę Kleomenes. - Nie mógł wiedzieć, że wybieracie się z Wariuszem do fabryki, bo wtedy jeszcze nie zdecydowaliście, że tam pojedziecie, prawda?

- Nie wiem. Nic z tego nie rozumiem. Pewnie Veii było na ich liście niezależnie. Może tylko przyspieszyli wybuch, kiedy im uciekłem. Mogli szybko zorientować się w tym, co robię. Pomyśl, dwa razy w jednym dniu. - Zaczął gorączkowo szukać zdjęcia chłopca w pudle. - Po tym, co spotkało jego rodzinę, musiał nienawidzić Leona. Myślę, że dotyczy to również Marka, prawda? - Fotografia jakby zapadła się pod ziemię, nie pamiętała, gdzie ją włożył. Drżały mu ręce. Zaczął wymachiwać biletem. - Jak długo to miał?

Kleomenes wzruszył bezradnie ramionami. Mógł go dostać w każdym momencie od czasu wydrukowania biletu. Kto to mógł wiedzieć.

Sulien myślał, że poczuje ulgę, kiedy Kleomenes odesłał ochroniarzy do domu po południu. Teraz nie był pewien, czy jego protesty i narzekania były tylko na pokaz. Czy przypadkiem nie czuł się bezpieczniej z ochroną. Przypomniał sobie wybuch w Veii. Czy strażnicy mogli go ochronić przed czymś takim? Rzucił bilet do skrzyni.

- Cokolwiek to wszystko znaczy, miałeś rację w jednej kwestii. To on.

*

Wchodząc do przedzielonego kratami pomieszczenia, Salwiusz nie czuł się tak nieswojo, jak się tego obawiał. Druzus zdradzał cechy fizycznego wyczerpania, ale stał godnie wyprostowany, jakby przyjmował gościa we własnym domu. Uśmiechnął się z naturalną pewnością siebie, jakby było coś zabawnego w jego położeniu. Wyciągnął przez kraty rękę na powitanie.

- Nie wolno dotykać więźnia - sprzeciwił się strażnik, zgodnie z oczekiwaniem Druzusa.

- Jestem generałem legionów Cesarstwa Rzymskiego. Masz słuchać moich rozkazów - odparł natychmiast Salwiusz. Instynktowny gniew, że ktoś śmie kwestionować jego autorytet, stłumił wszystkie wątpliwości i Salwiusz uściśnął rękę Druzusa.

- Dzięki, że przyszedłeś - powiedział Druzus.

*

Sulien przyzwyczajał się do uczucia, że ciągle jest trochę niezdrów. Udawało mu się zapominać na kilka godzin, a nawet dni przyczynę napięcia w ramionach i ucisku w żołądku, a także dlaczego budził się z bólem w dłoniach, które w czasie snu zaciskał w pięści. Kiedy przypominał sobie tę przyczynę, nachodziło go zwątpienie: czy mógł jeszcze cokolwiek zrobić, żeby mieć lepszą ochronę? Czy coś mu się stało w ciągu tych trzech tygodni, które upłynęły od zamachu? Oczywiście, że nie. Musi tylko przestać o tym myśleć. A jednak uczucie zostało. Zatrzymał więc kserokopie zdjęcia i biletu z fragmentem swojego imienia oraz późniejsze, nieostre zdjęcie Atroniusza w wojsku. Było to jedyne zdjęcie dorosłego Atroniusza, które

udało się znaleźć wigilom. Sulien trzymał kopie w portfelu. Czasami, siedząc w tramwaju, który wiózł go do Transtiberiny, wyjmował je mechanicznie, rozprostowywał na kolanie i przyglądał się twarzy dziecka i rodziców. Tak dobrze znał niewprawy charakter pisma na bilecie, że mógł uzupełnić w wyobraźni brakujące litery. Jednocześnie nie potrafił wytłumaczyć sobie, na co mu te przedmioty. Z początku mógł żywić nadzieję, że może ktoś w klinice rozpozna charakter pisma czy twarz na zdjęciach. Później trzymał je jako swojego rodzaju zadośćuczynienie, jakby chciał w ten sposób zrekompensować fakt, że morderca znał jego imię.

W końcu udało mu się zapanować nad nudnościami, które nachodziły go zawsze, gdy musiał odwiedzać Faustusa w pałacu. W tłumie ludzi i gęstwinie pokoi, w całej tej zbieraniu pięknych rzeczy czuł się zupełnie irracjonalnie, dobrze ukryty i bezpieczny. Pewnie tak właśnie czuł się cesarz w pałacu.

W przestronnym gabinecie trio muzyków grało żwawą melodię, której Faustus słuchał ze znużeniem. Cesarz siedział pod wysokimi oknami rozparty na sofie. Na fresku namalowanym na przeciwległej ścianie toczyła się bitwa morska, której gwałtowność skrywała piękno sztuki. W stronę płonącego okrętu pędziła blada torpeda, równie urocza jak delfin. W drugim końcu pokoju zmęczona Makaria sęczyła Sulienowi do ucha żale. Czuła, jak powoli traci resztki cierpliwości. Z największym wysiłkiem zmagала się z tęsknotą za domem czy pragnieniem, żeby znaleźć się w Sinie, gdzie było jej miejsce.

- Biorąc pod uwagę, że miał jeszcze jeden wylew, uważam, że robi duże postępy - powiedział Sulien.

- Jakie znowu postępy? - spytała Makaria. - A co z jego pamięcią? Zupełnie mu szwankuje. Kiedy mu o czymś przy-

pominam, twierdzi, że sam o tym pamiętał. Nie wiem, może mówi prawdę. Mam jednak wrażenie, że nawet jeśli kojarzy fakty, kiedy mu je przypominam, to wcale ich nie pamięta. Ciągłe się na mnie złości. Czego mogę się spodziewać?

- Na pewno, że jego stan się poprawi - zapewnił ją znużony Sulien.

- Ale jak prędko?

Gdzieś niedaleko w pałacu trzasnęły drzwi, rozległ się krzyk protestu, szybko zduszony, i odgłos kroków. Ktoś maszerował w ich stronę.

Sulien i Makaria wstali z miejsca i spojrzeli na siebie z minami spiskowców.

- Poczekaj - powiedziała Makaria i podbiegła do drzwi.

Otworzyła je i wyjrzała do ciągu przedpokojów, cichych i znajomych. Pierwszy z nich był utrzymany w tonacji białej, żółtej i złotej, następny w kolorze niebieskim, chłodnym jak o świcie, z posągiem wstydlivej Diany stojącej na pokrytej mozaiką podłodze. Makaria ujrzała najpierw Salwiusza, idącego z powagą na czele małego oddziału żołnierzy. Zaraz jednak spostrzegła Druzusa spieszącego za nim, jakby miał kłopot z dotrzymaniem kroku, bladego i wychudzonego, ale z wyrazem zawziętego ożywienia na twarzy.

Asystent, który biegł w ich stronę, protestując przeciwko bezprawnemu wtargnięciu, zastąpił drogę Salwiuszowi.

- Panie, cesarz jest chory i jego lekarz zalecił...

- Tak? - mruknął Salwiusz, nie zatrzymując się, i jeden z jego ludzi uderzył asystenta tak mocno, że ten poleciał na ścianę.

Niepewna, czy ją widziano, Makaria cofnęła się do gabinetu, pozwalając zamknąć się drzwiom.

Spojrzała na ojca, który usłyszał już zbliżający się hałas i

próbował się podnieść z wyrazem strachu i pogardy na twarzy. Makaria uświadomiła sobie, że cokolwiek się szykowało, ona nic nie może zrobić, żeby ochronić ojca czy siebie.

Popchnęła Suliena w stronę drugich drzwi.

- Lepiej wyjdź stąd. Już - rozkazała nagłym szeptem.

Sulien zawahał się, ale zaraz jej posłuchał. Wymknął się do zagraconego pokoiku o czerwonych ścianach, ale zabrakło mu czasu, żeby zamknąć za sobą drzwi, zanim Salwiusz i Druzus wpadli do gabinetu Faustusa. Z pokoju doszło go wystraszone jękanie Faustusa. Zaraz jednak cesarz wrzasnął z nagłą wściekłością:

- Jak śmiesz? Więc zdradzasz mnie i Rzym!

Sulien stał wciśnięty w kąt, tuż za klinem światła wpadającego przez drzwi do gabinetu. Promień słońca zdawał się dzielić wszystko na jasne obszary zagrożenia i spokojne cienie. Z pokoiku było wyjście i Sulien zaczął powoli przesuwać się w jego stronę, lecz musiał na chwilę przystanąć w miejscu, gdzie każdy w gabinecie mógł go dostrzec. Przesunął się o krok i ujrzał Salwiusza, a chwilę później usłyszał głos Druzusa. Licząc na to, że wściekłe krzyki Faustusa zagłuszą wszystkie odgłosy, Sulien nacisnął klamkę - jednak drzwi zostały zamknięte o wiele wcześniej, żeby nikt nie niepokoił cesarza.

PODBITE ZIEMIE

- Ty zdrajco! Tchorzu! - Jak bardzo nienawidził tej bezsilności, tego, że mógł jedynie rzucać oskarżenia i obelgi. Co za upokorzenie! Nie miał żadnej broni. Faustus obrócił się, ciągnąc swoje bezużyteczne ciało niczym rozdeptana gąsienica. - Dajcie mi, no... dajcie mi... - Słowa zmieniły się w gniewny pomruk. Chciał zażądać pistoletu, ale nie potrafił znieść nieuniknionego, definitywnego dowodu, że utracił autorytet: preto- rianie najwyraźniej słuchali rozkazów Salwiusza. W jednej chwili spełniły się wszystkie najgorsze obawy Faustusa; stały upadek władzy przez ostatnie lata dobiegał gwałtownie końca, a po stu sześćdziesięciu latach na nim miała zakończyć się dynastia, i to z jego winy. Ocenia go za dopuszczenie do tego, podczas gdy on był zbyt osłabiony, by temu zapobiec. Nie mógł nawet patrzeć na Druzusa, który zresztą wydawał się jedynie pomocnikiem Salwiusza. - Pożałujesz tego! - mógł jedynie krzyknąć na Salwiusza.

Dopiero wtedy przypomniał sobie o córce, która stała obok zupełnie bezbronna, i przeszedł go dreszcz przerażenia.

- Wybacz mu, wuju! - zawołał z drzeniem w głosie Druzus, występując do przodu. - Zrobił to dla Rzymu. Nie dla siebie czy dla ciebie.

Makaria instynktownie chciała wyzywać ich tak samo jak ojciec. Nagle przysłała otrzeźwiająca myśl, że to naprawdę się dzieje, że wyciągną ją na zewnątrz i zastrzelą razem z ojcem. Zamiast krzyczeć, starała się więc przesunąć ostrożnie, tak żeby znaleźć się pomiędzy Faustusem a otwartymi drzwiami do pokoiku, w którym ukryła Suliena.

Dojrzała cień chłopaka w szparze drzwi i zorientowała się, że jest tam uwięziony. Po tym, jak ludzie Salwiusza roz-

prawili się ze służącym na korytarzu, Makaria stała bez słowa, czując, że Sulien potrzebuje jej pomocy. Dojrzała cień wyrzutu sumienia, który przemknął przez twarz Salwiusza na słowo „zdrajca”, którego zaślepiony wściekłością Faustus nie mógł zobaczyć. Nie umknęło jej także, jak Druzus położył rękę na ramieniu sojusznika w geście pokrzepienia, jakby chciał przypomnieć mu, że to nieprawda. Druzus ukląkł przez Faustusem z pokorą.

- To nie my chcemy odebrać ci władzę. Chcemy ci ją przywrócić.

- Ty zdrażliwa żmijo, nie odzywaj się do mnie - warknął Faustus.

Ku swojemu zaskoczeniu Makaria ujrzała, jak twarz Druzusa wykrzywia ten sam grymas bólu z powodu fałszywego oskarżenia co u Salwiusza, tyle że bardziej intensywny i nie tak subtelny. Druzus doskonale potrafił przybierać odpowiedni wyraz twarzy.

- Musisz go wysłuchać - powiedział sztywno Salwiusz.

Faustus poczuł się zbyt mały, zbyt słaby, żeby znieść taką obelgę. Nie potrafił znaleźć słów, które dałyby wyraz jego oburzeniu.

- On... on... - zaczął stękać. Na usta cisnęły mu się zarzuty i poczuł, że aż dławi się od nich: jego ukochany brat Leon, zdrada Tullioli. Nie widział tych wspomnień wyraźnie; kiedy próbował się na czymś skoncentrować, bladły i zmieniały się w fantazje. Nawet nie wiedział, skąd to wszystko wie. To Marek i Makaria mu o tym powiedzieli, czy tak? Nagle naszło go zawstydzenie, zupełnie jakby brał wytwory swojej wyobraźni za fakty.

- Nie przyszedłem tu, żeby podnieść rękę na Rzym - oświadczył oschle Salwiusz. Wbrew sobie miał przy tym

groźną i nieprzystępną minę. - Nigdy bym tego nie zrobił. Jestem tu, żeby temu zapobiec. Od jakiegoś czasu patrzę z obawą, jak każdego dnia rośnie zagrożenie dla Rzymu. Teraz jestem tego pewien. Nie jestem... zdrajcą!

Faustus tylko warknął z wściekłości i pogardy.

- Wujku, proszę - nalegał Druzus. - Chcę tylko, żebyś mnie wysłuchał i dał mi trochę czasu na dowiedzenie prawdziwości moich słów. Daję słowo, że czekałbym spokojnie na sąd, gdybym miał choć cień nadziei, że prawda wyjdzie na jaw. Ale nie ma na to szansy. Zresztą byłoby za późno. Teraz jest jeszcze czas.

Faustus podniósł swoją sprawną rękę i niezdarnie uderzył Druzusa w twarz. Zszokowanego Druzusa aż zatkało, a Salwiusz zrobił instynktownie krok do przodu, jakby chciał go bronić. Wbrew temu, co powiedział, Salwiusz nie czuł zbyt wielkiej lojalności wobec Faustusa. W tej chwili był na niego wściekły i ta złość powodowała, że gardził słabością cesarza. Zmuszał się, żeby zobowiązania wobec Rzymu obejmowały również zobowiązania wobec Faustusa.

- Proszę - powtórzył słodkim tonem Druzus, patrząc w oczy wujowi.

- Mój brat... - wykrztusił Faustus. - Te wszystkie okropności. Ty.

Druzus wyglądał na rozzłoszczonego.

- Nie. Nie. Jak mogą wmawiać ci to wszystko, kiedy przyznają, że nie ma żadnych dowodów? - zapytał z goryczą. - Co to ma znaczyć? Jakaś wizja czy sen? Gabiniusz i Tulliola wykorzystali nas wszystkich. Nawet nie mam pojęcia, jak ktoś może myśleć, że miałem coś na tym zyskać. Pewnie byłem następny na ich liście. Skąd możemy wiedzieć, co Gabiniusz zamierzał? Nie przypuszczam, żeby martwił się jedynie jakimś

pomysłem Leona, który i tak pewnie nigdy by nie został zrealizowany. Pewnie chciał dzięki tym morderstwom i swoim pieniądząm przejąć władzę. Tak uważam. Ja także stałem mu na drodze.

Sulien przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę, tak żeby oprzeć się o ścianę jak najbliższej szczeliny w drzwiach. Z początku nie widział nic więcej poza plecami Makarii, ale właśnie w tej chwili poruszyła się, robiąc pół kroku do przodu, jakby chciała dać wyraz swojej frustracji i pogardzie. Odstłoniła w ten sposób Druzusa, który klęczał przy łóżku. Sulien dojrzał także plecy Salwiusza, wyprostowane i napięte. Powoli przedstawiał lękać się o swoje życie, teraz odnosił wrażenie, że patrzy na zbliżającą się tragedię. Własna bezsilność przyprawiała go o zawroty głowy. Rozważał możliwe scenariusze rozwoju tej sytuacji. Nie słuchaj go, błagał w myślach Faustusa. Ale jeśli nie zechce słuchać, to co zrobi Salwiusz? Z pewnością nie podda się i nie pozwoli, żeby Druzusa odprowadzono do więzienia. Czy to lepiej, czy gorzej, że Marek i Una są tak daleko? - zastanawiał się Sulien. Nie mogli odpowiadać na zarzuty, ale za to byli bezpieczni.

- W pewnym sensie Marek ocalił mi życie, wracając do kraju -kontynuował Druzus. - Jestem mu za to wdzięczny. Ale był za młody. To było zbyt okropne dla niego. Nie mógł przejść przez to wszystko, nie... nie ulegając wpływowi. Wiem, że sądzisz, iż wiele go to nauczyło.

Cały ten czas, kiedy walczył o życie, spędzając czas ze zbiegami i przestępcami. Zgadza się, iż to była dla niego lekcja, ale nie sądzę, że dobra. Nie powinien się tego uczyć. Teraz jednak już za późno. - Przez cały czas Druzus patrzył Faustusowi szczerze w oczy. Teraz spuścił wzrok, jakby żałując, że musiał to powiedzieć. - Myślę, że nauczył się nie tolerować ni-

czego ani nikogo, kogo uważa za zagrożenie - powiedział powoli. - Nie zna współczucia.

- Ty oszuście! - wybuchła Makaria, gdy obrzydzenie zagłuszyło strach. - Opisujesz samego siebie, tylko zmieniając imię. Nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. Myślisz, że ludzie zapomną to, co o tobie wiedzą? Tatusiu...

- Nie kłamię - sprzeciwił się groźnym tonem Druzus. - Mówię, co się stało z Markiem. Też to widziałaś, wiem o tym. Nauczył się ufać jedynie ludziom, na których polegał w tamtym czasie. Nikogo innego do siebie nie dopuszcza. Jednak ci ludzie są niebezpieczni. Nie podlegają nikomu poza Markiem i wiedzą, jak nim kierować.

Sulien czuł, jak sztywnieje. Przypomniał sobie, jak już kiedyś podsłuchiwał rozmowę Faustusa i Druzusa, stojąc ukryty za innymi drzwiami. Druzus obawiał się wtedy, że Sulien może odgrodzić go od cesarza.

Teraz uświadomił sobie, że od jakiegoś czasu Faustus się nie odzywał.

- O czym ty w ogóle mówisz? Czy mnie też zaliczasz do tych niebezpiecznych osób? - zapytała kategorycznym tonem Makaria. - Sal-wiuszu, nigdy nie uważałam cię za głupca. Naprawdę w to wierzysz?

- Tak, wierzę - odparł Salwiusz. - Wierzę własnym oczom. Marek nie toleruje żadnej krytyki. I tak to się kończy. - Wskazał na klęczącego Druzusa. - Fałszywymi oskarżeniami wobec niewygodnych osób.

- Och, jestem pewien, że Marek wierzył w ich prawdziwość - powiedział cichym tonem Druzus. Zaczął wyjaśniać Makarii łagodnym tonem: - Ponieważ masz dobre intencje, zakładasz, że inni również. Ale nie Wariusz i tych dwoje niewolników. Zwłaszcza ta dziewczyna. Wszyscy sądziliśmy, że to

zwykle zauroczenie, prawda? Ma do niego prawo, szczególnie w tym wieku. Ale to coś więcej. Skąd ona pochodzi? Kim jest? Sama powiedziałaś, że to czarownica, pamiętasz? Takiego właśnie użyłaś słowa. Była niewolnicą. Pewnie także prostytutką. Nic więcej o niej nie wiemy, nikt nie ma pojęcia, do czego dąży. A Marek całkowicie na niej polega. Wierzy we wszystko, co ona mu powie, jest gotów podążyć za jej najdrobniejszą sugestią.

W małym pokoju Sulien przycisnęła z całych sił pięści i czoło do ściany, jakby to mogło powstrzymać napływ żaru, który zdawał się palić mu skórę. To nie miało nic wspólnego z męskim pragnieniem, żeby oddać cios za cios. To było coś bardziej skomplikowanego, bardziej osobistego, przyprawiającego o mdłości. W Londynie tyle czasu byli rozdzieleni, nie mógł być dla niej oparciem. Wszystkie jego wątpliwości dotyczące tamtych lat - normalnie pojawiające się jedynie sporadycznie - zlały się w jedno krwawe pragnienie zemsty po tym, co Druzus niemal jej zrobił, za rany, które jej zadał, kiedy Sulien znowu nie mógł stanąć w jej obronie. Nawet zaciśnięte zęby zdawały się palić go w ustach i prawie uwierzył, że Druzus jest odpowiedzialny za wszystko, nawet za sprzedanie ich, kiedy byli dziećmi. Te emocje skondensowały się w przemożny wstyd, że musi się hamować przed zaatakowaniem Druzusa. Sulien nie był nawet świadom, że wydał cichy odgłos, kiedy wciągał powietrze przez zaciśnięte zęby, i nie zauważył, że Salwiusz odwrócił głowę na ten dźwięk.

- Nienawidzisz jej - stwierdziła Makaria. Przestała już kipieć furią i powiedziała to lodowatym tonem, który przypadkowo skłonił Salwiusza do podejrzenia, że to ona wydała ten dźwięk. - To aż czuć w każdym twoim słowie. Nic dziwnego, że jej nienawidzisz po tym, co odkryła na twój temat. A te-

raz chcesz ją zabić i w ten sposób uciszyć.

- Nie - sprzeciwił się Druzus. - Oczywiście, że nie. Fakt, nienawidzę jej, przyznaję. Nie byłbym człowiekiem, gdybym jej nie nienawidził. Tyle że nie znasz powodów, nie wiesz, co się stało! Poczekaj, wytłumaczę ci. - Druzus zamilkł i Sulien zobaczył, jak wolno wstaje, biorąc głęboki oddech i starając się opanować. Teraz mówił cicho, zraniony, jakby silił się na cierpliwość. Sulien musiał nadstawiać ucha, żeby coś usłyszeć. - Makario, myślę, że wiem, czemu tak łatwo uwierzyłaś w te wszystkie kłamstwa na mój temat.

- Bo to prawda - powiedziała zjadliwie.

- Nie. Zapomniałem o tym na chwilę. Dopiero niedawno... zrozumiałem, jak musiało to wyglądać, biorąc pod uwagę, co ci nagadano. To ta rozmowa, którą odbyliśmy przy fontannie. Ta dziewczyna wybiegła za mną z narady. Poszła za mną do ptaszarni i przez chwilę rozmawialiśmy o Marku i o tym, jak ma nadzieję, że nie będę stwarzał żadnych problemów. Myślę teraz, że chciała przejąć nade mną kontrolę. Kiedy odeszła, spotkaliśmy się przy fontannie i rozmawialiśmy o niej. Chyba widziałaś, że byłem wzburzony po tym, co mi powiedziałaś na jej temat. Pewnie zachowywałem się dziwacznie. Wtedy nie byłem tego świadom, myślałem tylko o jednym. Ale musiałem dziwnie się zachowywać, prawda? Potem odszedłem. Pobiegłem jej szukać.

Makaria spodziewałaby się wszystkiego, ale nie tego, że Druzus poruszy ten temat. Była gotowa przeciwstawić mu się. Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

Gdy zapadła cisza, Sulien odwrócił się od drzwi, nie mogąc jej znieść.

Druzus westchnął i rozluźnił trochę napięte ramiona, czując przypływ ulgi. Spojrzał na Faustusa, który siedział

zgarbiony, milczący i marszczył brwi, zmęczony próbą przypomnienia sobie faktów. Druzus miał wykutą na pamięć swoją rolę, powiedział już to wszystko Salwiuszowi w więzieniu. Jednak wtedy był jeszcze zdesperowany i spięty. Wspomnienie problemów i bólu, z jakim tworzył swoją bajeczkę, było jeszcze zbyt świeże. Pamiętał, że jest jeszcze wiele drobiazgów, które muszą zostać wplecione w jego opowieść i wyjaśnione: zamknięty pokój, siniaki na ciele Uny i jego rozpaczliwe tłumaczenia, gdy wleczono go do aresztu. Do tej pory nie mógł się tak naprawdę rozluźnić. Dopiero teraz poczuł prawdziwy spokój i wraz z przyjemnym ustąpieniem napięcia zniknęła prawdziwa wersja wydarzeń.

Druzus miał nadzieję, że nikt w Rzymie nie wiedział o jego ostatniej wizycie u Sybilli. Jednak pierwsza wizyta, cztery i pół roku temu, kiedy usłyszał obietnicę, nie była sekretem. Tylko Tulliola wiedziała o przepowiedni. Zanim się Druzus odezwał, przywołał to wspomnienie i poczuł, jak napawa go otuchą. Będę cesarzem, powiedział sobie.

- Pewnie nie pamiętasz, że kilka lat temu pojechałem do Delf, żeby posłuchać wyroczni - zaczął Druzus cicho. - Nie traktowałem wtedy jej przepowiedni serio i sam szybko o nich zapomniałem. Ale ty mi przypomniłaś. Nazwałaś tę dziewczynę czarownicą i wspomniłaś o Sybilli. Wtedy sobie wszystko przypominałem.

- Wiem, że Una nigdy nie kłamie - powiedziała powoli Makaria. - Miała rację co do mnie. I co do Tullioli. - Niemal wypłuła to słowo jak obelgę, patrząc Druzusowi w oczy. Nie była jednak pewna siebie ani tak wrogo nastawiona, dopóki nie padło imię jej przeciwniczki. Sulien wyczuł wahanie w głosie Makarii.

Druzus skinął zgodnie głową. Osoba, o której mówiła

Makaria, to nie Tulliola, tylko jakaś obca kobieta, której nie musiał opłakiwać.

- Tak, wiem, że miała rację - powiedział. - Dlatego zdobyła tak silną pozycję.

- Mów do mnie - zażądał zniecka Faustus, poruszając się gwałtownie. - Masz mnie o tym powiedzieć, nie mojej córce!

Druzus posłusznie obrócił się do niego, pozostawiając Makarię stojącą z niepewną miną.

- Wujku, potem nikt nie miał już możliwości sprawdzić, czy mówi prawdę. A to, co powiedziała o mnie i Tullioli, to jest jedno wielkie kłamstwo. Nigdy bym cię nie zdradził. Tamtego dnia pobiegłem szukać Uny, ponieważ przypomniałem sobie, co powiedziała mi wyrocznia. Najpierw mówiła zagadkami, o jakimś rozpalonym węglu, który wypadnie z kominka i spali cały dom. Wiesz, taka przerośnia, że coś małego rozrośnie się niebezpiecznie i nikt tego nie zauważy. Potem zaczęła mówić trochę jaśniej i zrozumiałem, że chodzi jej o człowieka. Powiedziała o czarownicy, dziewczynie podobnej do Sybilli, która pojawi się w Rzymie. O kimś, kto potrafi poznać tajemnice innych osób, ale skrywać własne. Nikt z początku nie spostrzeże się, jak rośnie w siłę. W końcu stanie się tak potężna, że zniszczy całe imperium.

Sulien niemal słyszał ciszę, która zapadła w pokoju.

- Sybilla nie powiedziała mi, czy uda się ją powstrzymać - dodał niemal lekkim tonem Druzus.

- Nigdy o tym nie wspominałeś - mruknęła Makaria. - Gdyby to się rzeczywiście zdarzyło, powiedziałbyś o tym.

Druzus potrząsnął głową.

- Z początku byłem pod wrażeniem, ale przyznaję, że szybko wyleciało mi to z pamięci. Pojechałem do Delf jako tu-

rysta. Poza tym nic nie sugerowało, że przepowiednia się sprawdza. Kilka lat później zastanawiałem się, czy to mogło chodzić o Tulliolę. Co by znaczyło, że zagrożenie minęło. Ale nie wszystko pasowało. Dopiero tego dnia w ogrodzie skojarzyłem, co się dzieje, odkąd Marek przywiózł ją do Rzymu.

- Też to widziałem - potwierdził Salwiusz. - Od pierwszej chwili, gdy ją ujrzałem. Jest wszędzie. Prawie na każdym spotkaniu siedzi gdzieś i obserwuje. Wie o wszystkim, co dzieje się w pałacu cesarskim, a teraz jest w pałacu sinoańskim. Ludzie często nie zwracają na nią uwagi, nawet nie widzą, że słucha każdego słowa. Czyta wszystkie dokumenty. Jakie może być tego wytłumaczenie? Czy o to ci chodziło, kiedy przekazałeś chłopakowi władzę?

W jego głosie było słychać tak olbrzymi tłumiony gniew, że Faustus aż drgnął, niczym uczeń skrzyuczany przez nauczyciela. Dopiero kiedy pokręcił przecząco głową, przypomniał sobie, że uwaga powinna go rozżłościć.

- Marek pozwolił się opętać tej dziewczynie - zauważył Druzus. - Ma więcej władzy, niż jakakolwiek dziewczyna jej pochodzenia mogłaby marzyć. Pewnie jest uzależniona od władzy i teraz chce jeszcze więcej.

- Nawet nie musi daleko szukać popleczników-dodał Salwiusz. - Naokoło ma pałac pełen byłych niewolników. Jak ten chłopiec z centrali daldictora. Nawet jeśli nie brał udziału w spisku od początku, to jak mógł nie potwierdzić jej słów? Sama wdzięczność tego wymagała. Twój bratanek uwolnił niewolników na jej prośbę; nawet się z tym zbyt nie kryje.

- Zrobiłbym lepiej, gdybym wtedy poczekał. Wiem to teraz - kontynuował Druzus. - Powinienem być porozmawiać z tobą. Jednak w tamtej chwili... to był przymus, musiałem ją znaleźć. Byłem pewien, że jeśli mam rację, to znajdę jakiś do-

wód. No i miałem rację, znalazłem dowód. Pobiegłem na górę do pokoi Marka i zobaczyłem ją na końcu korytarza. Spieszyła się i szykowała do czegoś. Widziałem to po jej zachowaniu. Poszedłem za nią. Nie zauważyła mnie lub może udawała, że mnie nie widzi. Niewykluczone, że to była pułapka. Poszła na ostatnie piętro, tamte pokoje są praktycznie nieużywane. Nie miałem pojęcia, czego tam mogła chcieć. Zamknęła się w jednym z pokoi i usłyszałem przez drzwi, jak rozmawia przez daldictor. Tyle że to nie była łacina. Nie jestem dobry w językach, nie tak jak Marek. Myślę jednak, a przynajmniej byłem wtedy pewien, że to był nioniański.

Makaria prychnęła z pogardą.

- Ta dziewczyna pewnie ledwo umie czytać i pisać. Nie wierzę, że zna nioniański. - Tym razem jej zwątpienie było szczere i Sulien poczuł przyływ nadziei.

- Na pewno by się tym nie chwaliła, prawda? - odparł Druzus. -Bez względu na wszystko na pewno nigdy nie zlekceważę jej inteligencji. Nie mamy pojęcia, kim byli ci ludzie w górach, z którymi się zadawała, i czego się od nich nauczyła. Może się mylę, może istnieje inne wytłumaczenie tego, co wtedy usłyszałem. Ale jak wszedłem do tego pokoju, to ona wiedziała, o co ją podejrzewam i co powiem. Myślę, że już wtedy przestraszyła się, iż stanowią dla niej zagrożenie. Nie chciała ryzykować. Aż zdumiewa, jak szybko zdecydowała się działać.

Patrząc na podłogę, Makaria zmarszczyła brwi. Druzus zaczął krążyć po pokoju. Nie nerwowo, tylko rozmyślnie, jakby chciał zająć większą przestrzeń. Umilkł na chwilę dla podkreślenia swoich słów i Faustus dał się wciągnąć.

- Co powiedziała? - zapytał.

Druzus pozwolił sobie na mały uśmieszek, nie triumfal-

ny, ale jakby wspominał z żalem to, co się stało. W środku czuł ulgę, że jest słuchany. Minęła chwila, zanim odpowiedział.

- Najpierw podeszła do drzwi i je zamknęła. Byłem zbyt zdumiony. Kompletnie wytrąciła mnie z równowagi. A potem... przez chwilę myślałem, że oszalała. - Druzus wydawał się wciąż oszołomiony samym wspomnieniem. - Prawie zapomniałem, co wcześniej robiła. Chciałem ją tylko powstrzymać przed zadawaniem sobie ran. Nawet jej nie tknąłem, to ona się rzuciła na mnie. Przysięgam, nie uderzyłem jej ani razu. Starłem się jedynie odepchnąć ją od siebie, ale rzucała się jak dzikie zwierzę. Nie mogłem jej utrzymać. Bez przerwy zadawała ciosy sobie i mnie. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem. Zupełnie nie czuła strachu, jakby nie dbała o to, że się rani. Rozbiła daldictor i rzuciła się na mnie, wrzeszcząc jak opętana... jakbym chciał ją zabić. Odepchnąłem ją... upadła i uderzyła twarzą o biurko. Jestem pewien, że miała to w planach. Nawet nie poczuła tego. Wtedy wybiegła na dach. Głupio mi, że nie domyśliłem się, o co jej chodzi! Tyle że byłem wtedy w szoku. Wszystko potoczyło się tak szybko, że nie miałem czasu pomyśleć. Ale w tym momencie zrozumiałem i pobiegłem za nią. Musiałem. Zresztą i tak nie miałem wyjścia, bo zabrała klucz. -Roześmiał się krótko, jakby przedrzeźniał samego siebie. - Tyle że było już za późno.

Nie chodziło tylko o to, że jego opowieść brzmiała wiarygodnie czy że Faustus uległ swojej szwankującej pamięci i uwierzył Druzusowi. Miał do wyboru: dać wiarę Druzusowi i Salwiuszowi, kupując ich posłuszeństwo, lub sprawdzić, co Salwiusz i jego żołnierze mogą zrobić z nim i jego córką.

Kiedy Druzus podszedł i ukląkł przed nim z błagalną i cierpiętniczą miną, Faustus położył mu dłoń na głowie.

- Przepraszam cię, Druzusie - powiedział.

Makaria podniosła głowę i podbiegła do niego.

- Też cię przepraszam - rzuciła, targana wyrzutami sumienia, i pocałowała go w policzek. Patrząc na nich, schylnych u jego stóp, Faustus miał wrażenie, że widzi dwoje posłusznych dzieci wyrzeźbionych na kamieniu nagrobnym.

- Właśnie w tej chwili, w Bian, oddają władzę nad Rzymem. Tak dalej być nie może. Musimy coś zrobić, zanim Nionia zyska nad nami przewagę. Chcemy uniknąć wojny, ale nie za wszelką cenę.

Druzus uwolnił się z uścisku Makarii i usiadł przy Faustusie, żeby móc spojrzeć mu w oczy.

- Powinniśmy pójść krok dalej - rzekł wyraźnie i pewnie. W tej chwili Druzus bardziej przypominał wodza niż Salwiusz. - Musimy zaakceptować czasy, w których żyjemy. Imperium na zbyt długo zastygło w bezruchu. Granice zawsze będą się przesuwawały. Pytanie tylko w którą stronę. Kiedyś Rzym lepiej rozumiał swoją rolę i otaczający go świat. Nie podbiliśmy wszystkich tych ziem z próżności; to była kwestia przetrwania. Teraz mamy sygnał, że nie powinniśmy się zatrzymywać. Możemy wspiąć się na sam szczyt lub zostać zepchnięci. Na pewno nie możemy stać w miejscu.

Zdziwiony Salwiusz spojrział na Druzusa z szacunkiem, a nawet poczuł, jakby rzucono mu rękawicę.

- Przynajmniej jedno jest pewne, twój bratanek nie może dalej być marionetką tych ludzi - powiedział do Faustusa.

- Przynajmniej to - rzekł zgodnie Druzus i zaraz dodał: - Jej brata pewnie znajdziemy bez trudu.

Sulien, i tak już oszołomiony słowami Druzusa, omal nie wybuchnął śmiechem, jak niewiele się mylił. Mały pokoik, w którym się ukrył, był niczym bezbronny kraj, pozbawiony łączności i armii, zdany na łaskę potężnego sąsiada. W tej sa-

mej chwili, przypominając sobie zdjęcia sabotażysty z fabryki, które trzymał złożone w portfelu, i ksero biletu z urwanym imieniem, Sulien pomyślał o Bizancjum. Patrzył w oszołomieniu na stojące tuż za drzwiami regały z książkami, widząc tytuły i obwoluty z jakąś niesamowitą klarownością, jakby przyglądał się niezwykle dokładnemu wspomnieniu. Zdał sobie sprawę, że za wszystkim stał Druzus, który przecież mieszkał w Bizancjum.

- Ocalił mi życie - sprzeciwił się Faustus, jednak bez przekonania.

- A skąd możesz to wiedzieć? - spytał delikatnie Druzus.

- Czy słyszałeś jeszcze czyjąś opinię? Nie wiesz, jak byś się czuł, gdyby go tu nie było. On ma nad tobą władzę. Wszyscy oni: on, Wariusz, ta dziewczyna, cała ta grupa zebrana wokół Marka, podobnie jak sam Marek, mają władzę, ponieważ jesteś chory. - Trzymał rękę na ramieniu wuja. - Kiedy ci powiedzieli, to sam szok niemal cię zabił, prawda? Wiedzieli, że tak może być.

- Myślisz, że Marek chciał mnie zabić? - zapytał ostrym tonem zmęczony Faustus.

Druzus zawahał się, nie wiedząc, jak daleko może się posunąć.

- Myślisz, że należałoby ich... przesłuchać? - wtrąciła się Makaria.

Druzus spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- Tak - odparł cicho.

- Chłopak był tu przed chwilą - powiedział Faustus, rozglądając się wokoło.

Sulien, stojąc nieruchomo pod ścianą, czuł, jak jego ciało zaczyna drżeć. Chcąc dodać sobie odwagi, z niedowierzaniem powtarzał w myślach: nie jestem niewolnikiem, nie mogą mnie

ukrzyżować.

- Nie, tatusiu - powiedziała spokojnie i bezdusznie Makaria. - To było wcześniej, w twoim pokoju, nie pamiętasz?

- No tak... - zgodził się ze smutkiem Faustus.

Bez pośpiechu Makaria wyszła do przedpokoju, skąd przyszedł Salwiusz. Pamiętając niepokój, jaki zawsze czuła w obecności Uny, przez dłuższą chwilę zastanawiała się, czy może uwierzyć swojemu kuzynowi. Czy to nie smutne, że nie darzyła zaufaniem własnej rodziny i nie potrafiła nawet bronić Druzusa? Czy nie należało mu się więcej lojalności z jej strony? Kiedy naszły ją wątpliwości, miała świadomość, że szybko znikną. Nie. Dobrze pamiętała chwilę paniki i wyrzuty sumienia, kiedy zastanowiła się, co powiedziała Druzusowi; wcale nie potrzebowała potwierdzenia, żeby wiedzieć, co zrobić. To była prawda i już. A potem cała ta mowa o Nionii i o świecie. Takiego człowieka nasłała na Unę. Teraz jej obowiązkiem było chronić przed nim Suliena.

Nie znalazła nikogo ze służby. Drzwi do pokoju były otwarte na oścież i cały czas obserwował je Salwiusz i jego żołnierze. Zobaczyła karafkę z wodą na srebrnym stoliku. Makaria nalała szklanek wody, zasłaniając własnym ciałem niewielką szufladę. Otworzyła ją szybko i wyjęła klucze schowane w emaliowanym pudełku. Zniosła szklanek do pokoju i podała ją Faustusowi.

- Napij się, tatusiu - powiedziała spokojnie.

- Jak będę chciał się napić, to powiem ci. Przestań traktować mnie jak dziecko - odparł Faustus.

Makaria uśmiechnęła się pokornie i odstawiła szklanek na stolik.

- Wiem, gdzie znaleźć Suliena - zwróciła się do Druzusa i Salwiusza.

Wcisnęła Druzusowi klucze do ręki. Nie zdążył nawet jej podziękować, kiedy minęła go i podeszła do stojącego obok biurka. Znalazła kartkę papieru i pióro, wyszła do gabinetu i napisała adres kliniki Salwiuszowi.

- Proszę, pracuje w Transtiberinie - powiedziała, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Pchnęła je tak mocno, jak tylko się odważyła, żeby stłumić odgłos przekręcenia pierwszego z trzech kluczy, którym Sulien starał się otworzyć drzwi. Przeszła przez pokój w stronę Druzusa i ojca, zawadzając po drodze o szklankę z wodą, żeby dać Sulienowi drugą szansę. Nic innego nie wpadło jej do głowy i cały czas miała wrażenie, że jej poczynania są żałośnie oczywiste. Była pewna, że Druzus jej nie ufa, i czerwieniła się z zażenowania. Z pewnością jej wypieki musiały wzbudzić podejrzenia. Nie powinna była tak długo okazywać nieufności Druzusowi. Mogła szybciej udać, że przechodzi na jego stronę.

Zobaczyła, jak kuzyn drgnął, gdy szklanka roztrzaskała się o podłogę.

*

Sulien wyniknął się z pokoju do galerii. Krew pulsowała mu w żyłach jak oszalała, a przed oczyma latały ciemne plamy. Z udawaną pewnością siebie przeszedł przez kilka nieznanych pokoi. Czuł, że powoli rozjaśnia mu się w głowie, i z ulgą spostrzegł, jak okruchy informacji na temat Atroniusza i Druzusa zaczynają układać się w jedną całość, jakby to była jakaś logiczna gra, którą zabawiał się z nudów. Druzus z pewnością potrzebował agentów: pozbawionych korzeni ludzi, którzy byli wyszkoleni w szpiegowaniu i zabijaniu czy podkładaniu ognia, ale stracili prawo wykorzystywania tych talentów w armii czy oddziałach wigilów.

Druzus dążył do wojny i chciał mieć dostęp do Faustusa bez przeszkód ze strony Suliena. Co dla niego znaczyło życie tysiąca niewolników?

Sulien podszedł do ukrytych drzwi, pomalowanych tak samo jak fresk na ścianie, i wyszedł na schody używane przez niewolników. Czuł się tu bezpieczniejszy. Lęk zaczął ustępować i Sulien przypomniał sobie o Acchanie, chłopaku z centrali daldictorów, który pomógł Unie. Kiedy nie znajdą Suliena, wezmą się do niego i zmuszą do przyznania, że kłamał.

Zbiegł po schodach, czując, jak bezsensownie olbrzymi jest pałac, jak on słabo zna tutejsze korytarze i klatki schodowe. Wyszedł na piętro, na którym roiło się od urzędników i biur. Zatrzymał pierwszą z brzegu osobę i spytał o drogę.

Idąc wzdłuż muru pałacu, czuł na twarzy ciepłe krople deszczu. Jego eskorta pretorianów czekała w wartowni przy wyjściu, w dalszym ciągu przekonana, że ma zapewnić mu ochronę. Nie wiedzieli, że staną się wkrótce dla Suliena zagrożeniem. Jęknął cicho, jakby modlił się o łut szczęścia, i przebiegł, chowając się za niskimi budynkami stojącymi z boku Żłotego Domu, za wieżami z niebieskiego szkła. Na chwilę zgubił się i nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, ale zaraz znalazł biuro kierownika i centralę daldictorów - leżące niebezpiecznie blisko Septizonium, gdzie znajdowała się jego ochrona. Sulien miał dar do zapamiętywania imion i twarzy. Przeszedł szybko przez biuro, aż zauważył Acchana, szczupłego chłopaka z czarnymi włosami okalającymi owalną twarz. Młodzieniec niósł pudło z dokumentami z miną cierpliwą i jednocześnie mocno znudzoną. Sulien złapał go za rękę i szepnął mu do ucha:

- Musisz stąd uciekać. Szybko, chodź za mną.

Aechan spojrział na niego ze zdumieniem. Sulien zwracał

uwagę, tworząc małe zamieszanie, ale nie było innego wyjścia. Przepraszając, niemal wyciągnął Acchana za rękę na zewnątrz i spróbował wyjaśnić mu w skrócie i dosyć pospiesznie, co się stało.

Wokół nich unosił się zapach mokrych sosen. Aechan przeniósł wzrok z Suliena na Złoty Pałac i otaczające go ociekające deszczem miasto. Cofnął się niepewnie kilka kroków - zupełnie zszokowany i nagle zagubiony. Widać było, że nie ma złudzeń co do grożącego mu niebezpieczeństwa; widział wcześniej ścigającego Unę Druzusa, który przypominał strumień lawy spływającej ze zbocza tak gwałtownie, że gotów był ją pochłonąć.

- To o tobie mówił, że nie żyjesz, tak? - spytał.

- Tak. - Sulien dopiero teraz sobie przypomniał. - W Septizonium czeka na mnie kilku strażników - wyznał. - Nie wiem, jak stąd wyjść.

- Jest jeszcze zachodnia brama - rzekł odrętwiałe Aechan. - Masz przepustkę?

Sulien obawiał się, że będzie musiał ponownie mijać fasadę pałacu i wystawiać się na widok, ale Aechan poprowadził go ukrytymi schodami do korytarza, który biegł pod budynkiem. Zbliżając się do zachodniej bramy, nie odzywali się ani słowem. W porównaniu z wysokimi łukami Septizonium wyjście było niewielkie, ale i tak pilnie strzeżone. Nikt ich jednak nie zatrzymał i spokojnie wyszli na Forum Juliańskie.

- Masz gdzie iść? - Sulien spytał Acchana.

Aechan spojrzał bezradnie na tonące w deszczu mury i kolumny. Sprawiał wrażenie zmieszanego jak turysta z małego miasteczka, który pierwszy raz odwiedza Rzym.

- Jestem w pałacu, odkąd skończyłem dwanaście lat. Gdybym miał gdzie pójść, to już bym tam był.

- Jasne - odparł Sulien niezrażony. Towarzystwo tego chłopca zmuszało go do udawania optymizmu, którego poziom nawet jemu wydawał się irytujący: właśnie wyjaśnił chłopakowi, co mu grozi, a teraz chciał zapewnić go, że wszystko będzie w porządku. - W takim razie chodź ze mną.

Nie mógł jednak wrócić do domu. W portfelu miał dosyć pieniędzy, żeby kupić tani posiłek i kilka biletów tramwajowych. Pomyślał o przyjaciółach, znajomych, dziewczynach. Był równie pewien, że wszyscy udzieliliby mu schronienia u siebie, jak tego, że wigilowie potrzebowali tyle samo czasu, żeby go tam znaleźć, co on, żeby tam dotrzeć.

Una, Marek, Wariusz - najbardziej pragnął udać się do nich po pomoc i po to, żeby ich przestrzec. Jednak znajdowali się tysiące mil na wschód, a on nie miał pojęcia, jak się z nimi skontaktować.

ZWALONY LAS

Pan Kato wiedział, że cesarz Go-natoku mógł go widzieć, ale nie miał pewności, czy on ujrzy cesarza. Powiesił zwinięty ekran den-ga na pulpicie w swoim pokoju i z szacunkiem się uklonił. W ten sposób niewiele widział, najlepiej ciemną podłogę, która ciągnęła się aż do Chryzantemowego Tronu i siedzącej na nim wyprostowanej postaci, zasłoniętej przez baldachim. Przed tronem ustawiono dwa owalne parawany stojące na cienkich hebanowych nóżkach. Ich rzeźbione, drewniane grzbiety ukrywały ekrany, na których cesarz mógł oglądać Kato w zbliżeniu. Siedział schowany w cieniu; Kato nie widział, czy jego wargi się poruszają. Tak naprawdę nie widział żadnego ruchu w długim, oszczędnie ozdobionym holu. Mógł patrzeć na stare nagranie lub zwykłe zdjęcie. Cesarz mógł być gdziekolwiek - w jednym ze swoich pokoiów, w ogrodzie, nawet w kąpeli. A jednak mówiący z akcentem wyższych sfer głos zwracał się do niego spokojnym tonem, zgodnym z formalnym rytuałem dworu. W uszach Kato głos zdawał się bardzo głośny i - choć starał się do tego nie przyznawać - odbierał mu pewność siebie.

- Wciąż uważasz, że można jej bezpiecznie użyć? - spytał ukryty cesarz.

- Prześlę Waszej Wysokości zdjęcia. Przeprowadziliśmy testy na jednej z wysp Kazanshotou, na Morzu Wschodnim. Eksplozja powaliła las w niecałą sekundę. Zbyt szybko, żeby to dostrzec.

- Ale tylko raz na dziesięć prób, prawda?

- Tak - zgodził się Kato.

- I jeśli się nie mylę, to wysiłki zmierzające do oddalenia konfliktu idą w... dobrym kierunku?

- Łatwo jest znaleźć formuły słowne, które każdy może interpretować na własny użytek, a następnie skłonić wszystkich do ich zaakceptowania.

Nastąpiła krótka pauza, po której cesarz odezwał się z lekkim rozbawieniem w głosie.

- Więc udało nam się znaleźć takie formuły?

Kato starannie maskował uczucia. Nie widząc rozmówcy, łatwo było zapomnieć, jak ważne jest panowanie nad mimiką.

- Tak, Wasza Wysokość.

- Masz rację, zachowując ostrożność, jednak wraz z innymi panami osiągnęliście więcej, niż niektórzy się po was spodziewali. Możecie sobie pogratulować.

Kato skłonił się. Jego twarz była pozbawiona wyrazu. Zdawał sobie sprawę, że wśród Rzymian i Nionian powoli narasta euforia. Czasami, po długich naradach, Kato widział grupki zaaferowanych senatorów i daimyo, jak wraz ze swoimi tłumaczami siedzieli na dziedzińcu i uczyli się nawzajem swoich języków. Śmieli się przy tym hałaśliwie jak zmęczone zabawą dzieci. Szacunek Kato do rzymskiego księcia wzrósł po tym, jak zobaczył, że mimo swojego wieku i delikatności potrafił przepchnąć kilka spotkań przez rafa, o które niechybnie powinny się rozbić. Kato nie spuszczał także z oka pana Wariusza, spokojniejszego i bardziej skrupulatnego, który zdawał się czerpać siły z bezsensowności i stresu. Wariusz zniknął coraz to w innej sali obrad, gdzie trwały kłótnie w kwestii małżeństwa, integracji policji lub niewolnictwa. Wychodził stamtąd zawsze z jakimś rozwiązaniem, równie sprytnym i kruchym jak papierowy ptaszek origami. Kato zaczynał się przyzwyczajać do myśli, że jednak uda się podpisać traktat, ale niektóre różnice były zbyt poważne, by dało się je pogodzić. W każdym razie

traktat oddali zagrożenie wojną. Kato był gotów to zaakceptować. Podczas gdy wszyscy zdawali się żywić do siebie same przyjazne uczucia, Kato coraz wyraźniej widział, że straci Tokogane. Ustanowią pewnie jakąś hybrydową radę, w której nie będzie dla niego miejsca. Nigdy już nie odzyska swojej ziemi. Tokogane należało do niego. Miał, dosyć odwagi, by to sobie powiedzieć. Żał mu też było księżniczki, o której wszyscy zapomnieli w tym chaosie.

- W jakiej sprawie chciałeś się ze mną widzieć, panie Kato? - spytał łaskawie cesarz.

Kato spojrzał na podłogę, nie na ekran.

- Nie możemy usprawnić broni bez dodatkowych środków - powiedział cicho.

Znowu zapadła krótka cisza.

- Prosisz o miliardy ryo.

- Tak. Praca musi być ukończona, Wasza Wysokość. Jeśli odłożymy projekt, oznaczać to będzie, że wyrzuciliśmy pieniądze w błoto.

- Zgodziliśmy się nie czynić żadnych przygotowań do wojny w czasie rozmów - przypomniał cesarz.

- Zgodziliśmy się tylko, że nie będzie ruchów wojsk - odparł Kato. - Nie mamy pojęcia, czy oni też czegoś nie szykują. - Kato usłyszał, jak cesarz bierze głęboki oddech.

- Życzę sobie, żebyś nie robił niczego, co może zagrozić rokowaniom - rzekł z naciskiem. - Chcę, żebyś brał w nich udział. Sądzę, że nadszedł także czas, żeby zająć się sprawą mojej córki.

- Oczywiście, Wasza Wysokość - powiedział Kato z ciężkim sercem.

- Tymczasem - dodał cesarz spokojnie - twoi filozofowie w Tokogane dostaną potrzebne środki.

Kato znowu uklonił się, tym razem, żeby ukryć wyraz radości na twarzy.

- Jak rozumiem, mogą zacząć bez ciebie?

- Dziękuję, Waszej Wysokości. Teraz mogą.

*

- Czy to nie piękne miasto? - spytała księżna Noriko po łacinie. Na pałacowej scenie pokazywano właśnie jakąś operę, w dużej mierze ignorowaną przez publiczność. Noriko właśnie poznała Marka.

Marek zgodził się z nią. W duchu czuł lekkie rozbawienie. Tadahito wszedł do pokoju kilka minut po nim i od razu podszedł do Marka.

- Musisz poznać moją siostrę - powiedział z uśmiechem i poprowadził Marka przez tłum. Wariusz, który rozsiadł się wygodnie i niemal w samotności oglądał operę, gdy wokół niego kręcili się nieustannie jacyś ludzie, spojrzał na Marka i Tadahito z nagłym ożywieniem, kiedy podeszli do grupy nio-ńskańskich kobiet. Marek widział je po raz pierwszy od czasu, kiedy pierwszego dnia wizyty mignęły mu przed oczyma ich kolorowe peruki, schowane częściowo za ekranami. Nie spostrzegł ich także wcześniej na przyjęciu.

Kiedy Tadahito podszedł do grupy, wszystkie kobiety, poza jedną, zniknęły.

- Księżna Noriko - oznajmił dziwnie oficjalnym tonem Tadahito, który do tej pory zachowywał się bezpośrednio. On także zaraz się ulotnił, zostawiając ich samych.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Gdzie się pani podziewała przez cały ten czas? - zapytał Marek. - Nie miałem pojęcia, że są tu jakieś księżniczki.

Na jej twarzy pojawił się przestraszony wyraz. Marek

uświadomił sobie, że choć pierwsze słowa powiedziała niemal doskonałą łaciną, to pewnie dlatego, że przygotowała je sobie w głowie. Mówił zbyt szybko. Patrzył, jak przyswaja sobie jego słowa, zanim wymamrotała coś zbyt niepewnie, żeby mógł zrozumieć.

- Jestem tylko ja - powtórzyła pewniejszym tonem.

W przeciwieństwie do pozostałych kobiet była ubrana po rzymsku. Miała na sobie turkusową suknię ze złotym pasem, która sięgała do pół łydki, podczas gdy stroje pozostałych kobiet ciągnęły się po podłodze. Ramiona były wąskie. Różnice nie były tak wielkie, ale Marek nie miał oka do szczegółów, żeby od razu je rozpoznać. Czuł jednak, że coś w jej wyglądzie nie pasuje do reszty otoczenia. Zdawał też sobie sprawę z chęci patrzenia na jej sięgające ziemi, farbowane na zielono włosy, a nawet pragnął ich dotknąć.

- Mój brat chciał, żebym przyszła - powiedziała niemal szeptem. Zaczerwieniła się przy tym. Marek nie wiedział czemu.

- Zawsze żałowałem, że nie mam brata ani siostry - rzekł Marek. Zastanawiał się, ile może mieć lat. Z początku sądził, że jest w jego wieku czy Uny, ale nie, musiała być starsza o dobre pięć lat. Skąd więc ta nieśmiałość? Może to tylko kwestia języka.

Znowu zapadła cisza, gdy Noriko przygotowywała odpowiedź.

- Gdyby pan miał, to żałowałyby, że jest jedynakiem. Nie, to żałowałyby pan, że nie jest jedynakiem - poprawiła się, bo tryb warunkowy sprawiał jej kłopoty. Wydawała się jednak dumna ze swojego osiągnięcia i rozluźniła się trochę.

- Biedny pani braciszek - rzucił Marek żartobliwie.

- Och, nie! Myślałam o dzieciństwie. - Znowu zapadła ci-

sza.

Pewnie Marek nieświadomie spojrział na długość jej włosów czy

rzucił okiem na stojące za nią dworki, gdyż Noriko uniosła brwi i szybko nachyliła się do niego. - Są prawdziwe - wyznała. - Ale pani Mizuki, która stoi za mną, nosi perukę.

Uśmiechnęła się naturalnie, a nawet odrobinę zalotnie i Marek z przyjemnością patrzył na jej urodę.

- Jak wyglądają jej włosy pod peruką?

- No cóż, na pewno nie tak, jak by sobie tego życzyła - odparła Noriko. Roześmiała się, ale zawstydzona swoją złośliwością spuściła wzrok. - Czy wyglądałabym dziwacznie w Rzymie? - spytała cicho.

- Nie. Jednak pani uroda zwracałaby na siebie uwagę. Jak wszędzie na świecie - odparł z galanterią Marek, choć rzeczywiście tak sądził.

Księżniczka nie podniosła wzroku i rozmowa znowu się urwała. Noriko zdawała się wpadać w jakąś dziwną nerwość, która z kolei utrudniała Markowi powiedzenie czegokolwiek sensownego. Nie mogli odejść od siebie i stali tak nieporadnie, a Marek próbował podtrzymać nieklejącą się rozmowę. Nagle pojawił się Wariusz.

- Cezarze, ktoś pragnie pilnie z tobą rozmawiać. Proszę mi wybaczyć, księżniczko.

W cudowny sposób jego podejście przerwało zakłętą krąg wokół pary. Obok księżniczki szybko znalazły się damy dworu. Noriko uśmiechnęła się grzecznie do Marka i odwróciła do kobiet.

- Nikt na mnie nie czeka, prawda? - zapytał Marek, gdy odeszli na bezpieczną odległość.

- Wydawało mi się, że potrzebujesz wymówki - mruknął

Wariusz, oglądając się przez ramię.

- Dzięki. Chyba aż tak nie rzucało się to w oczy.
- Nie bardziej niż u niej.
- Powiem ci, że podobała mi się - wyznał Marek.
- To dobrze - odparł Wariusz i odszedł.

*

Noriko odetchnęła z ulgą, jak tylko znalazła się wśród swoich dam dworu. Wróciwszy do swojego języka i swoich ludzi, czuła się znowu bezpieczna, choć jednocześnie sfrustrowana. Żałowała, że nie potrafiła wysławić się należycie i że była taka żałośnie sztywna przy kimś, kto ostatecznie był od niej młodszy. Spotkanie to, mimo że krótkie i pełne napięcia, dałoby jej więcej satysfakcji, gdyby nie wspomnienie rzymskiej damy, którą księżę kochał.

Wokół niej dworki wymieniały spostrzeżenia.

- Był taki zagubiony, jak tylko zaczął z tobą rozmawiać, pani! - zawołała pani Sakura przesadnie entuzjastycznie, żeby ukryć swoją niechęć do Marka Nowiusza lub szczerze starając się podnieść Noriko na duchu. - Widać to było po jego minie. Biedny chłopiec, ale czy mógł coś na to poradzić?

- Bez problemu - odparła dosadnie Noriko. - Nie sądzę, żeby potrzebował twojego współczucia.

- Na pewno nie, jeśli odwzajemnisz jego miłość, pani - powiedziała z uśmiechem Mizuki. W jej głosie nie było słychać szyderstwa.

- Zachowywał się z niezwykłym szacunkiem - dodała Tomoe.

- Nie tylko. Nie mógł od ciebie oderwać oczu. Gdyby... - Sakura zniżyła głos. - Jeśli zostanie twoim małżonkiem, możesz być pewna jego oddania.

- Nie sędzę, żeby patrzył na mnie z większym zacieka-
wieniem, niż wypada na pierwszym spotkaniu.

- O czym rozmawialiście? - zapytała Sakura.

- To była bardzo miła rozmowa, o której nie zamierzam
wam wspominać - odparła niechętnie Noriko.

Zdziwione kobiety na chwilę zmieniły temat. Później,
kiedy wyszły z przyjęcia i stały na werandzie, do Noriko pod-
szedł Kato. Na jego twarzy malowało się współczucie.

- Pewnie się niepokoisz, pani - powiedział łagodnie.

- Tak - przyznała wbrew sobie.

- Rozumiem. Jeśli dojdzie do ślubu, będzie to dla ciebie
trudny okres. Mam nadzieję, że zdołam ci trochę pomóc. Nie
pozwolę, żebyś została w ich rękach, gdyby miała wybuchnąć
wojna. Zadbam o to, żeby można cię było uratować: tajna
eskorta będzie czekała na rozkaz wywiezienia cię z kraju. Mam
też nadzieję, że nie pozostaniesz u nich zbyt długo.

- Dziękuję - powiedziała Noriko, mimo że chciała wyć z
wściekłości.

*

Marek nie spotkał Wariusza tego wieczoru. Wyglądało
na to, że wyszedł z przyjęcia bez słowa. Dopiero następnego
ranka, gdy Marek zakończył spotkanie z Tadahito w jednym z
pawilonów, Wariusz czekał na niego u stóp schodów.

Marek spojrzał na niego z góry.

- Co się stało wczoraj wieczorem?

- Miałem do załatwienia parę spraw - odparł cierpliwie
Wariusz.

Marek roześmiał się i zszedł na dół.

- Najlepszy czas na poważną pracę to przyjęcia.

Wariusz odpowiedział mu uśmiechem, ale się nie ode-

zwał. Westchnął tak, jakby miał do zakomunikowania coś poważnego, i skinął na Marka.

Na stole w pokoju Wariusza leżały dwie nierówne sterty dokumentów. Wyglądały dziwnie nie na miejscu, gdyż mimo wszechobecnego luksusu w zasadzie trudno było poznać, że ktoś tu mieszka. Pokój wyglądał, jakby czekał dopiero na swojego gościa.

- O co chodzi? - spytał Marek.

- Wiesz, czemu jest tu księżna Noriko?

Marek i tak czuł się nieswojo, a znużony ton Wariusza tylko pogarszał sprawę. Usiadł w milczeniu.

Wariusz miał minę, jakby chciał się upewnić, czy się nie myli.

- Gdyby Go-natoku mógł posadzić swoich wnuków na tronie Rzymu, to uznałby to za kompensatę wpływów, jakie traci w Tokogane - wyjaśnił. - Nawet teraz nie są pewni, czy to nie jest jakaś sztuczka mająca na celu osłabienie ich przed atakiem. Ślub byłby więc deklaracją dobrej woli z naszej strony. Z twojej strony.

Marek oniemiał. Osunął się na oparcie, czując się jak kompletny idiota.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał w końcu. Nie wątpił przez chwilę w słowa Wariusza, choć modlił się, żeby okazały się pomyłką.

- Skłoniłem jednego z sinoańskich tłumaczy, żeby trzymał się blisko grupy dam dworu wczoraj wieczorem. Udawał kelnera.

Marek wydał z siebie jęk niedowierzania i rozpaczy.

- Był bardzo szczęśliwy, że może pomóc. Sinoańczycy raczej sprzyjają nam niż Nionianom. Słyszał, jak pan Kato obiecuje księżniczce, że wydostanie ją z Rzymu, gdyby wybu-

chła wojna. Tłumacz nie zna dobrze łaciny, więc musiałem najpierw poprosić kogoś o przetłumaczenie tego, co się dowiedział. Chciałem, żebyś miał pewne wieści.

- Czemu... skąd ci przyszło...?

- Mogłem użyć podsłuchu, ale bałem się, że go znajdą. Mogłem ich nawet sam spytać, ale im dłużej nie są pewni, czy wiemy, tym większą mamy swobodę ruchów. Zresztą tak było najszybciej.

- Nie sądzę - mruknął Marek. - Wiedziałeś już wcześniej. Chciałeś to tylko potwierdzić. Chodzi o to, jak nas sobie przedstawiono, tak? Sam powinienem był na to wpaść.

Wariusz roześmiał się oschle.

- Poczekaj, aż przydarzy ci się to kilka razy, a nauczysz się rozpoznawać oznaki.

Marek spojrzał na niego zdziwiony i roześmiał się pośpiesznie na myśl, jak niewiele Wariusz wspominał o swoim życiu osobistym. Jak niewiele było do wspomnienia.

- Nie ma zbyt wiele sposobów na zasugerowanie tego - powiedział Wariusz, nie patrząc na Marka.

Marek przycisnął dłoń do twarzy.

- Słuchaj - rzekł Wariusz, nachylając się nad nim. - Nie mogą oficjalnie zaproponować jej ręki. To by poniżyło ją i całe cesarstwo, gdyby istniał choć cień szansy, że oferta zostanie odrzucona. Chcą, żebyś to ty o nią poprosił. Mogą więc jedynie uciekać się do sugestii. To tak będzie wyglądało: wszystko załatwiane drogą okrężną, tak żeby nie stracili twarzy, gdyby plan się nie powiódł. To znaczy, że zakładają, iż plan może nie wypalić.

- No pewnie, że nie wypali! - ryknął Marek, zrywając się na równe nogi. Wariusz przyglądał mu się w milczeniu. Marek przez chwilę chodził wściekle w kółko po pokoju. - Chyba nie

postawią wszystkiego na ostrzu noża? - spytał niemal błagalnym głosem.

- Nie. Jeśli traktat będzie tak dobry, że nie da się go odrzucić, i jeśli uwierzą, że zamierzamy go przestrzec.

Po raz pierwszy od chwili, gdy założył cesarski pierścień, Marek czuł, jak bardzo potrzebuje rady.

- Co mam robić?

- Nic. A raczej ciężiej pracować. Nie mogą oczekiwać odpowiedzi na pytanie, którego nie zadali.

- Zatem będzie więcej... sugestii?

- Udamy ślepców.

- Nie pozwolą nam zawsze ich ignorować. Nie mogą zaoferować jej ręki, ale mogą sprawić, że komuś się to wymknie, przez przypadek.

- Tak - zgodził się Wariusz. - Pewnie tak zrobią. Ale to jest egzamin. Kiedy do niego dojdzie, musimy być pewni, że już go zdałeś.

Marek westchnął.

- Dzięki - mruknął. - Dobrze, że się wywiedziałeś. - Bał się myśli, że musi powiedzieć o tym Unie, ale czuł, że powinien zrobić to jak najszybciej. Nie ukryje tego przed nią.

*

Una była poza apartamentem, który dzieliła z Markiem. Podobnie jak w Złotym Domu zaczęła ostrożnie wchodzić między ludzi uczestniczących w naradach i podsłuchiwać. Nie było to tak łatwe jak w Rzymie. Przysłuchiwała się, jak rzymscy i nioniańscy delegaci dyskutują za pośrednictwem tłumaczy na temat niewolnictwa, i z trudem powstrzymywała się przed zabraniem głosu. Skromna zasłona przyzwoitości zdawała się coraz cięższa, coraz bardziej krępująca.

Wokół niej przemykali eunuchowie w długich szatach, równie nie-rzucający się w oczy jak ona. Wysocy, o łudząco spokojnych twarzach, obłudni, nadskakujący i zżerani wewnętrznie przez nienawiść. Una patrzyła ze zdziwieniem, gdy inni ludzie nie cofali się ze strachem na ich widok, nie rozumiała, jak ktokolwiek mógł sądzić, że nie są świadomi tego, iż okrutnie ich okaleczono i zniewolono. Przypomniła sobie uchodźców w Holzarcie. Dzięki pieniądzom Delira i fałszywym papierom od Lal Sina oznaczała dla wielu wolność. Prawdą jednak było to, czego najbardziej się obawiała, kiedy pierwszy raz wypęzła przez okno w Londynie, posiniaczona i pełna nienawiści do Rzymian: nie istniało żadne miejsce, które oferowało coś więcej niż prywatne schronienie. Na świecie nie było miejsca, gdzie człowiek byłby wolny, bezpieczny i szczęśliwy.

Przez salę przeszedł potężny, przystojny pan Tokogane, nie zwracając na nią uwagi. Położył rękę na ramieniu podekscytowanego urzędnika i zamienił z nim kilka słów, zanim odszedł. Unie bardziej przypominał chodzące sztuczne ognie, które rozrzucały wokoło iskry zadowolenia i podekscytowania. Patrząc na niego, zobaczyła - niemal na własne oczy - niskie stoki góry lub jakiegoś zielonego wulkanu wznoszącego się nad niebieską zatoką. Nie było żadnego odgłosu eksplozji, żadnej zmiany w lśniącym świetle, poza długim, skrzypiącym odgłosem rozrywanych drzew i liści pękających na wietrze, gdy jakaś sucha, pulsująca powódź wstrząsnęła ziemią i wspięła się po stokach góry, ogołacając ją z lasu. Siedząc w sinoańskiej sali narad, Una poczuła falę uderzeniową eksplozji we własnym ciele.

Wzdrygnęła się i wbiła wzrok w ziemię, starając się jeszcze bardziej wtopić w tło. Nie miała pojęcia, gdzie i kiedy

przydarzyło się to coś, co ujrzała w nim, ani czemu myślał o tym tak intensywnie. Mimo że obraz był bardzo wyraźny, tak wiele zostało ukryte w obcym języku. Kiedy odprowadzała wzrokiem wychodzącego z sali Kato, podszedł do niej eunuch z pomiętym listem w dłoni. Unę zdumiało, że dostała list, ale kiedy go wzięła, rozwinął się w jej dłoni.

- Ktoś go otworzył - rzekła z pogardą, pokazując palcem złamaną pieczęć.

Na twarzy eunucha pojawił się obowiązkowy uśmiech przeprosin. Una poczuła, jak przechodzą ją ciarki, i nie odezwała się więcej ani słowem. Rozpostarła list i przeczytała z niedowierzaniem: „Lal do swojej Uny...”.

Zanim zdążyła przeczytać dalej, eunuch dotknął jej ramienia.

- Proszę, ty chodź. Twój cesarz - powiedział.

Zmieszana Una rzuciła okiem na kolejne zdanie: „...mam nadzieję, że jesteś z nim. Może jest większa szansa...” następnie zwinęła list i wzdychając niechętnie, wstała z miejsca.

Marek czekał na nią w małej, pustej sali obrad. Był wyraźnie spięty i zdenerwowany.

- Co się stało? Czemu się nie zjawiłeś?

Podszedł do niej szybkim krokiem i położył jej rękę na ramionach. Słowa same zaczęły płynąć w pośpiechu, jakby chciał wyrzucić z siebie całą prawdę. Una nie była świadoma ponurego, kwaśnego uśmiechu, który wykrzywił mu usta. Nic nie odpowiadała, gdyż to nie była jego wina, że miała ochotę zrobić coś strasznego, zachować się jak najgorszy bandzior. Chciała ukraść coś, czego wartości nawet nie знаła, zniszczyć jakąś drogocenną rzecz. W długiej kosztownej sukni czuła się jak obłudna, plugawa chamka.

- Przepraszam, przepraszam.

- A za co ty masz mnie, kurwa, przepraszać? - warknęła ze złością. Zszokowany Marek nagle pojał, jak łudzaco niewinną i delikatną zrobiły z niej pieniądze i wolność, jak pod warstwą ogłady znikł szorstki ton w jej głosie. W jej ustach samo słowo i ostry zgrzyt, z jakim je wypowiedziała, zabrzmiały przesadnie szokująco. Una zdała sobie sprawę, że zachowała się niestosownie, dojrzała to w wyrazie jego twarzy. Poczowała drobne ukłucie gorzkiej satysfakcji. Znowu zamknęła się w sobie i patrzyła na niego bez słowa.

- Powiedz coś - poprosił Marek.

Una prychnęła udręczonym śmiechem i spróbowała wziąć się w garść.

- Podejrzewam, że pan Kato buduje jakąś nową broń. Myślę, że użył jej do zniszczenia lasu na jakiejś wyspie. Zresztą nie wiem. Nie rozumiem tego, ale przekazuję ci tę informację.

- Una.

Spojrzała w końcu na niego.

- Oboje wiedzieliśmy, że coś takiego w końcu się zdarzy - rzekła obojętnym tonem.

Marek jęknął cicho z rozdrażnienia i bólu.

- Nie. Nie. Czemu tak mówisz? Nie zrobię tego, bez względu na wszystko. Wiesz dobrze, że tego nie zrobię.

- To bardzo miłe z twojej strony - odparła Una, a w jej głosie zabrzmiała szydercza nuta. - Tylko że to nie do końca zależy od ciebie.

- Zależy ode mnie. Mogę robić, co tylko chcę - odparł Marek z groźbą w głosie. Jego ton uciszył Unę skuteczniej, niż się tego spodziewał. Drgnęła i to go jeszcze bardziej zirytowało. - Żałuję, że muszę ci się spowiadać z każdej głupoty, bo to i tak nie będzie miało żadnego znaczenia - dodał.

- Przykro mi, że musisz się tak ze mną męczyć - zauwa-

żyła złośliwie. Opadła na krzesło stojące przy stole i przycisnęła policzek do blatu.

- Jesteś nie do wytrzymania! Ale kocham cię. Sam nie wiem czemu.

Z jej twarzy zniknęła szydercza mina i teraz wyglądała już tylko na pokonaną i nieszczęśliwą.

- Ja też nie wiem - mruknęła cicho.

Marek wziął głęboki oddech. Podszedł i ją objął.

- Musisz wiedzieć - powiedział cicho. - A przynajmniej powinnaś.

- Nie jestem zbyt miłą osobą - szepnęła z desperacją. - Kocham cię, ale jestem dla ciebie okropna. Tak w połowie. - Wzięła w ręce jego dłonie.

- Nie, nie jesteś. - Nie poruszył się. - Słuchaj, to bez znaczenia, czego oni chcą. Nikt nie może mnie zmusić do ożenku z kimkolwiek.

- Nie pozwoliłabym ci - powiedziała, wtulając twarz w jego pierś. Później, kiedy oboje trochę ochłonęli, przypomniała sobie o liście, który zmieła w kulkę w zaciśniętej pięści. Rozprostowała go i pokazała mu.

- Spójrz na to. Nie wierzę własnym oczom.

Lal do swojej Uny.

Zawsze zaczynam w ten sam sposób - licząc listy, które wcześniej do Ciebie wysłałam. Chcę, żebyś wiedziała, że jesteśmy tu bezpieczni. To już szósty list i pewnie nie dostaniesz go, tak jak i poprzednich. Nigdy nie miałam pewności, gdzie jesteś, i trudno było coś wysłać w bezpieczny sposób. Nawet jeśli sinoańskie władze nie są nami zainteresowane, zawsze istniała możliwość, że Rzymianie zażądaliby naszej ekstradycji, gdyby wiedzieli, gdzie jesteśmy. Jednak teraz Marek jest w Sinie, więc pojawiła się szansa, że ten list w końcu do Ciebie dotrze.

Nie wiem też, czy jesteś z nim. Minęły trzy lata. Mówiłaś wtedy, że interesuje Cię wyłącznie, co może zrobić jako cesarz. Pamiętam jednak dobrze, jak byłaś przerażona, gdy opuścił Holzartę. Wiemy też, że musiałaś go odnaleźć, gdyż dotarły do nas wieści, że Markowi przyznano tytuł cezara. Później usłyszeliśmy pogłoski o jakimś wydarzeniu w sanatorium dla psychicznie chorych; dotyczyło dwóch niewolników.

Tylko dwóch.

Marek musi przynajmniej wiedzieć, gdzie mieszkasz. Więc liczę na to, że przekaże Ci list. Nie mogę uwierzyć, że właściwie już jest cesarzem! Taki młody. A ja go znałam osobiście! Bardzo ucieszyliśmy się z tej wiadomości. Zaczęliśmy rozmawiać o powrocie do imperium. Mój ojciec twierdzi, że powinien otworzyć kolejne schronisko, coś na kształt Holzarty. Jednak stworzenie siatki ludzi, którym możemy ufać, zajęłoby kilka lat, a Marek pewnie i tak zamierza zlikwidować handel niewolnikami. Może osiedlimy się w Rzymie. Zobaczymy.

Pewnie słyszałaś, że musieliśmy ewakuować obóz. W górach były punkty spotkań, głównie po stronie hispańskiej, ale nie mogliśmy ryzykować spotkania całą grupą. Straciłam kontakt z wieloma osobami od tego czasu. Kilka osób towarzyszyło nam w podróży. Niektórzy wiedzieli, że papiery, jakie im wyrobiłam, zapewniają im bezpieczny pobyt w imperium. Helena i Marinus pojechali z dziećmi do Hispanii - chyba do Cezaraugusty. Z tego, co słyszałam, to Tiro jest w Lepcis Magna. Niektórzy z nas pojechali do Jiangning, gdzie mieszkamy cały ten czas.

Zdecydowaliśmy się przyjechać, bo wiedzieliśmy, że mieszka tu wielu niewolników, których wystaliśmy z obozów. Niektórzy z nich wciąż uczą łąciny - zawsze jest na to zapotrzebowanie - inni otworzyli sklepy z rzymską odzieżą i żywnością. Przemycają towary z Rzymu i w ten sposób dostajemy tak-

że jakieś wieści o tym, co się dzieje w cesarstwie. Tutejsi ludzie z czasem przywykli do Rzymian czy też kimkolwiek jesteśmy, nie mając ani obywatelstwa, ani ojczyzny. Nazwali nawet uliczki wokół alei Czarnych Ubrań Rzymem. Tak więc mieszkam w Rzymie. Ziściło się moje marzenie, choć nie tak, jak chciałam. Mimo to lubię Jiangning. Kiedy podróżowaliśmy przez tereny na północy, wszyscy się na nas gapili. Tutaj jest łatwiej zniknąć.

Tylko ojciec nie jest szczęśliwy. Głównie chodzi o język. Udaje mu się porozumieć, ale nie może sobie tak naprawdę pogadać z nikim, kto nie mieszka na tych kilku uliczkach. Pracuje w sklepie jednego z naszych znajomych i nienawidzi swojej pracy. Tata i Ziye zwracają się do siebie, jakby byli małżeństwem, choć nigdy nie wzięli ślubu. Mimo że Sinończycy w Jiangning przyzwyczaili się do naszego widoku, to wciąż się za nimi oglądają. Oczywiście Ziye wszędzie zwracałaby na siebie uwagę. W niczym nie przypomina sinońskich kobiet. Nie zapuściła włosów i nie zakrywa blizn na twarzy. Zupełnie jak w Pirenejach, gdzie ją poznałaś. Ludzi to szokuje. Fakt, że żyje z Persem, jeszcze pogarsza sytuację. Ziye zdaje się nie zwracać na to najmniejszej uwagi, ale wiem, że mojemu ojcu to przeszkadza. Zresztą nawet Ziye czasami mówi: „Zawsze wiedziałam, że nigdy nie wrócę do domu”.

W ostatnim liście napisałam Ci, jak daję lekcje łaciny. Szczerze mówiąc, nie jestem dobrym nauczycielem i nie sądzę, żeby Liuyin wiele się ode mnie nauczyła. Oblał egzaminy cesarskie, ale to było z góry do przewidzenia. Zresztą i tak nigdy nie chciał być urzędnikiem. Pisałam ci wcześniej o Liuyinie - jest synem urzędnika i artystką. Podkochuje się we mnie. Czemu przypominam Ci, jakbyś mogła to wiedzieć? Tak bardzo chciałabym, żebyś już to wiedziała. No cóż, przez jakiś czas było bardzo miło, ale jego rodzice dowiedzieli się o wszystkim, no i oczywiście je-

stem dla niego nieodpowiednia, nie na poziomie... wszystko nie tak. Liuyin uczynił wielką tragedię z tego, że musi ich słuchać i rozstać się ze mną. Czasami jednak wciąż się spotykamy, przy Jeziorze Pani Bez Smutku. On się spodziewa, że będziemy równie romantycznie nieszczęśliwi jak aktorzy w operze. Przyznam, że mnie to nudzi. Gdybyś posłuchała, jak narzeka, tobyś pomyślała, że to ja z nim zerwałam.

Jeśli mieszkasz w Rzymie, to jestem ciekawa, jak Ci się podoba? Pamiętam, że uważałaś, podobnie jak Dama, iż to okrutne miejsce. Nie sądzę jednak, żebyś chciała wracać do Londynu. Właśnie dlatego piszę do Ciebie, tak bardzo chciałybym z Tobą porozmawiać; myślę, że czujesz to samo co ja w każdym miejscu, w którym byłam: że tylko się tu zatrzymałam na jakiś czas, że nie jest to mój dom. Powinnam tęsknić za Aspadaną i Persją, ale minęło już osiem lat i moja matka tam zmarła. Wciąż więc Rzym jest dla mnie takim miejscem, w którym chciałabym mieszkać, mimo że nigdy go nie widziałam. W moich wyobrażeniach jest w nim... wszystko. Nigdy nie czułabym się tam obco czy nie u siebie.

Co do Damy: Oczywiście od trzech lat zadaję Ci to samo pytanie i za każdym razem traciliśmy nadzieję. Wiesz może coś o nim? W żadnych pogłoskach z Rzymu nie było o nim ani słowa. W domu już o nim nie wspominamy. Z początku ojciec i ja modliliśmy się o jego bezpieczeństwo, ale po jakimś roku przestaliśmy. Przynajmniej ja przestałam. Później zmarła jedna z naszych przyjaciółek, Serwilia - nie znałaś jej. Po pogrzebie usłyszałam, jak ojciec zmawia modlitwę - za nią, a potem wymienił Damę, jakby ten nie żył.

Ziye powiedziała mi, że to nie po raz pierwszy. Nigdy by mi to nie przyszło do głowy - jak zmarli mogą potrzebować naszej pomocy? Uświadomiłam sobie, że doszłam do tego samego

wniosku. Pamiętam, jak Dama odszedł - z takim gniewem, jakby to była ostatnia rzecz, jaką miał zrobić. Tak naprawdę nigdy nie robił niczego połowicznie, więc może to wspomnienie nie jest aż tak istotne. Mam nadzieję, że się mylę. Żałuję, że ojciec nie wie nic o jego losie, bo Dama był dla niego jak syn. Z pewnością zawsze uważał się odpowiedzialny za jego los. Przepraszam, że piszę o takich przygnębiających sprawach.

Prawie byłem gotowa iść z Tobą. Gdybym odeszła, ojciec nigdy by nie opuścił obozu, bez względu na niebezpieczeństwo. Nie mogę więc żałować, że zostałam. Bardzo jednak chciałabym wiedzieć, co się z Wami działo przez ten czas, no i tęsknię za Tobą.

Często o Tobie myślę.

Mimo że list był czuły, Marek i Una czuli się nim trochę zranieni.

- Naprawdę tak powiedziałaś? - spytał oskarżycielskim tonem Marek, wskazując na linijkę mówiącą o jej braku uczuć do niego przed laty.

- Och... coś w tym stylu. Pewnie tak właśnie myślałam, choć nie pamiętam, żebym dokładnie w ten sposób to sformułowała. Wiesz, jak to jest.

- Biedny Sulien. Mógł przynajmniej liczyć, że wspomni o nim.

- Nie, to celowo. - Una prychnęła wzgardliwie. - Zobacz, jak wspomina o tym Liuyinie. Sulien powinien się cieszyć; gdyby o nim nie myślała, to napisałaby coś w stylu „a jak ma się Twój brat?”. Nawet boi się wymienić jego imię, żeby nie zdradzić się z uczuciami.

Z tego samego powodu Una miała pewne wątpliwości co do tego, jakie ona zajmuje miejsce w myślach dziewczyny. Niemniej była mile zaskoczona, że Lal wspominała ją z taką czułością. Zawstydziała się, gdy przypominała sobie, że przez te lata nie tęskniła za Lal tak bardzo jak ona za nią.

- Ach tak, więc gdyby napisała kilka stron o nim, toby znaczyło, jak bardzo o nim zapomniała? - spytał Marek. Oboje czuli, że przesadzają, próbując rozładować napięcie i udając, że nie rozumieją się nawzajem, choć świetnie wiedzieli, co drugie myśli. Odgrywali wymyślny żart na temat męskiej racjonalności i kobiecej intuicji, śmiejąc się przy tym trochę sztucznie i przytulając się do siebie.

- Co mam jej napisać na temat Damy? - spytała posępnie Una.

Marek zawahał się. Ze wstydem przyznawał, że bał się trochę Damy i skomplikowanych uczuć, jakimi darzyła go Una.

- Nic nie mogłaś na to poradzić - powiedział cicho.

Una zobaczyła twarz Damy, oświetloną ostrymi promieniami latarki, na tle czerwono-czarnych chmur burzowych. Jego zmasakrowane dłonie rzucały cienie na stare malunki naskalne.

- Mylisz się - mruknęła cicho. - Mogłam.

Pamiętała, jak Dama spoglądał jej w oczy, i wręcz czuła nieznośny ciężar jego spojrzenia. Una popatrzyła na Marka, żeby zapewnić go, że jej smutek, podobnie jak tęsknota za domem Lal, jest pozbawiona wyrzutów sumienia. Kochała Marka i nie mogła tego zmienić. A jednak dręczyła ją szydercza myśl: Dama miał rację; powinnaś się trzymać swoich. Dama był taki jak ona, czyż nie? Nawet wtedy wiedziała, że bez względu na to, co zrobiło z nią życie niewolnicy, była ulepiona z takiej samej gliny jak Dama. Tak bardzo pragnęła zobaczyć

Damę i spędzić z nim choćby godzinę na rozmowie.

Marek nic powiedział i Una wzięła list do ręki.

- Czy nic im nie grozi? - spytała, jakby nie poruszali tematu Damy. - Opisuje, kim są i gdzie mieszkają, a ktoś otworzył ten list, zanim mi go przekazano.

- Znajdziemy ich - zapewnił ją. - Zabiorę ich do Rzymu czy gdziekolwiek Delir będzie chciał jechać. Tyle im zawdzięczam, a jedynie skazałem ich na tułaczkę. Nawet wziąłem od nich pieniądze, żeby dotrzeć do Rzymu. Wynagrodzę im to. Dostaną, co tylko zechcą.

Una westchnęła ciężko i uniosła głowę, jakby starała się odróżnić grom zbliżającej się burzy od odgłosu przejeżdżającego pociągu. Marek poczuł, jak jej ciało sztywnieje.

- Co się stało? - zapytał.

Nie wiedziała, jak mu odpowiedzieć, gdyż sama nie chciała tego zrozumieć. Był to lęk, który narastał w niej od dłuższego czasu. Lęk, którego pokonanie wymagało tylu zabiegów. Była to świadomość zbliżania się całej armii ludzi, którzy mieli ją wytropić. Ludzi zdyscyplinowanych i skupionych, zbliżających się coraz bardziej.

- O Boże - jęknęła, lecz nie brzmiało to jak skarga, raczej jak prosta modlitwa. Zerwała się na równe nogi. - Marku, myślę, że armia...

Z przerażenia niemal odebrało jej mowę.

- Co? - zapytał z niepokojem.

- Myślę, że przyszli po ciebie - wyjąkała. Patrząc na niego, poczuła, że Marek nie bierze ucieczki pod uwagę. Tyle drobnych zbiegów okoliczności, dzięki którym włożył pierścień na palec, zdawało się teraz sprzysięgać przeciw niemu. Została jedynie nadzieja, że może źle zrozumiała znaki, lub satysfakcja, że dowiedziała się o tym najszybciej, jak to było

możliwe. Patrzyła na niego jeszcze przez ułamek sekundy, a później wyrwała się z jego objęć i rzuciła ciemnym korytarzem w stronę wyjścia.

Marek, który ruszył za nią, niemal natychmiast usłyszał jej przestraszony krzyk. Zawołała go po imieniu.

Na zewnątrz to najpierw ją zobaczył, zanim jeszcze zdał sobie sprawę, że patrzy na rząd ubranych w czerwone mundury żołnierzy. Było ich ze trzydziestu, może czterdziestu. Una stała otoczona przez nich. Nikt jej nie dotknął - przynajmniej nie teraz, jeszcze nie - ale zamknęli ją jakby szafcem i Marek patrzył ze zdziwieniem, jak delikatnie wygląda pomiędzy nimi. Na jej twarzy nie było widać lęku o swoje życie, ale patrzyła na niego tak, jakby mogła porozumieć się z nim ponad głowami dzielących ich żołnierzy.

Jedyną osobą, która nie patrzyła na Marka, był Wariusz. Stał z odwróconą głową, jakby nie było nic ciekawego do oglądania. W końcu jednak przeniósł wzrok na Marka i uśmiechnął się. Było to oschłe powitanie. Oboje z Uną mieli miny, jakby w jakiś sposób czuli się odpowiedzialni za to, co się działo.

W odpowiedzi na powitanie Wariusza Marek cofnął się o krok, prawie mechanicznie, bardziej żeby utrzymać równowagę, niż się wycofać. Nie wiedział, co powiedzieć. Spojrzał na szklany dach pałacu, czując, że Nionianie i Sinończycy przyglądają się zajściu. Czuł, jak twarz pali go z upokorzenia, że zobaczą, jakim jest oszustem czy też dzieciakiem, który tylko udawał, że ma władzę. Pomyślał o Unie i Wariuszu. Nie wiedział, czego najpierw powinien się bać.

- Panie, masz wrócić do Rzymu - oznajmił spokojnie centurion stojący na czele oddziału.

- Czy to rozkaz mojego wuja? - spytał Marek spokojnie,

choć kosztowało go to wiele wysiłku i nie brzmiało przekonująco.

- Tak, panie.

Na twarzy Marka pojawiło się zaskoczenie, zanim zdążył nad nim zapanować. Przed chwilą jeszcze podejrzewał, że w Rzymie doszło do zamachu stanu i wuj nie żyje.

- Wyjaśnienie tego naszym gospodarzom i Nionianom zajmie trochę czasu.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Nie mogę wyjechać bez słowa. - Marek zmusił się do mówienia powoli, żeby ukryć desperację. - Sinoańczycy i Nionianie starali się wspólnie z nami zapobiec najbardziej niszczącej wojnie, jaką znało imperium. Cesarz musi to zrozumieć bez względu na to, jak... rozczarowany jest moją osobą.

- Żaden z nas nie jest władny mówić cesarzowi, co ma robić - zauważył zimno centurion. Jego ludzie nie roześmieli się, ale przez oddział przeleciał odgłos stłumionych parsknięć. Z oddziału wyszły dwa rzędy żołnierzy, którzy stanęli po obu stronach Marka.

- Jestem aresztowany? - Marek usłyszał własny głos.

- Mam nadzieję, że nie - powiedział filozoficznym tonem centurion. - Nie pan.

- Czemu? - spytał w końcu Marek.

- Więcej się panie dowiesz, jeśli pójdziesz ze mną - odparł mężczyzna.

Marek zszedł z nimi po schodach, czując, że dumnie wyprostowana postawa, jaką przyjął, jest śmieszna.

Chciał spojrzeć na pozostałych, porozumieć się z nimi, choćby samą mimiką, ale żołnierze ustawili się w ten sposób, że został oddzielony od Uny i Wariusza i nie mógł ich zobaczyć. Żołnierze przemaszerowali z nimi przez pawilony i

ogrody. Marek starał się dojrzeć reakcję sinoańskich strażników, zastanawiając się, ile wiedzą, na co zgodziła się cesarzowa. Na pierwszy rzut oka było oczywiste, że Nionianie nie mają o niczym pojęcia. Marek zobaczył, jak z jednej z sal wychodzi pan Kato w świetle własnych żołnierzy i osłaniając oczy przed słońcem, przygląda im się zaintrygowany. Marek odwzajemnił spojrzenie, ale nie potrafił niczego wyjaśnić.

*

Kato zmarszczył brwi, widząc, jak młody rzymski książę jest prowadzony przez oddział strażników. Nigdy wcześniej nie widział go wśród tylu żołnierzy.

- O co chodzi? Dokąd się udaje tak nagle?

- Nie jestem pewien, czy udaje się gdziekolwiek z własnej woli, panie - rzekł Sohaku, który zawołał go, żeby pokazać mu dziwną scenę.

- Nie? - zapytał Kato z ciekawością. Jego twarz rozjaśniła się, jakby otrzymał jakieś świetne wiadomości, choć w rzeczywistości czuł tylko lekkie podekscytowanie. - Więc kto go zmusza do wyjścia i po co? I dlaczego nie masz jeszcze odpowiedzi?

- Panie, próbowałem się dowiedzieć, ale będę musiał zawołać jednego z tłumaczy, jeśli chcesz szczegółowych wiadomości. Znam tylko podstawy sinoańskiego, a moja łacina nigdy nie była zbyt dobra. Wybacz mi. Żywię jednak przekonanie, że obie strony chciały zataić przede mną prawdę. Twierdzą, że to wewnętrzna sprawa Rzymu i że powinniśmy ją zignorować.

- Czyli sami musimy znaleźć odpowiedź, tak? - rzucił Kato z mieszaniną władczości i żartobliwości, za którą go kochali.

Ruszył szybkim krokiem za rzymskim oddziałem i jego świta za nim podążyła. Zgodnie z oczekiwaniami Kato rzymscy żołnierze byli zbyt skoncentrowani na własnym zadaniu, żeby ich zauważyć.

Wyszli na wielki dziedziniec przed kompleksem pałacowym. Czerwone bramy stały otwarte, a za nimi Bian błyszczało w słońcu jak zamek z lodu. W środku wznosiły się niczym sztywne słoneczniki brązowe sztandary z wyciągniętą dłonią w wieńcu laurowym i rzymskim orłem. Na placu musiało stać co najmniej stu rzymskich żołnierzy ustawionych w dwa czworoboki. Pomiedzy oddziałami, przed ciężkimi sześciokołowymi rzymskimi wozami, rozwinięto perskie dywany. W samym środku stał Druzus, cały ubrany na biało. Obrócił się do swojego kuzyna i spojrzał na niego, jakby się nie znali, choć jednocześnie się uśmiechnął.

Marek zatrzymał się, jakby wszedł na ścianę. Był zbyt wściekły i zszokowany, żeby zauważyć, że otaczający go żołnierze tak się zatrzymali, jakby to on ich prowadził, a nie odwrotnie. W rzeczywistości zostali poinstruowani, żeby zachować dystans pomiędzy kuzynami. Kiedy oddział się zatrzymał, Druzus powiódł wzrokiem po całej grupie. Una, wiedząc, że to jej szuka, opanowała się i kiedy Druzus ją odnalazł w tłumie, spojrzała na niego z tą samą obojętną pogardą jak przy ich ostatnim spotkaniu.

Na puste pole pomiędzy kuzynami wkroczył dumnie herold, niosąc w ręku papier o czerwonych brzegach. Sztywna kartka przypominała dokument dotyczący inwestytury. Kiedy herold włożył go w ręce Marka i ten zaczął czytać, Wariusza naszała pokusa tak silna, że niemal przypominała halucynację - zobaczył, jak wyrywa broń najbliższemu żołnierzowi i usiłuje zabić Druzusa. Wiedział, że nie miał na to najmniejszych szans,

ale pragnienie zdawało się podrażnić wszystkie jego nerwy, wyostając mu wzrok, napinając mięśnie. Zdążył jeszcze zapytać się z niedowierzaniem, czy rzeczywiście właśnie to robi...?

W tej samej chwili, zupełnie jak gdyby impuls opuścił jego ciało i wyrwał się na wolność, usłyszał trzy jednoczesne wystrzały. Zobaczył jeszcze, jak Marek pada na ziemię przygnieciony przez żołnierzy, i zaraz sam został powalony.

KSIEŻYCOWA BRAMA

Padły kolejne strzały, tym razem bliżej nich, gdzieś z poziomu ziemi - pierwszą salwę oddano z góry. Więcej strzałów i jacyś biegający ludzie, gdzieś blisko żołnierze kogoś ścigający i dalej odgłos rozbiegają-cego się tłumu. Wariusz prawie nie zwracał na to uwagi. Uwolnił się od strażników, poderwał na równe nogi i jak oszalały zaczął przedzierać się przez leżących na ziemi żołnierzy w stronę Marka. Nie, tylko nie Marek, nie po tym wszystkim...

Zobaczył, że Marek właśnie podnosi się z ziemi. Stał z pochylonymi ramionami, jakby coś osłaniał i jednocześnie opierał się żołnierzom, którzy chcieli go osłonić lub dokądś odprowadzić. Nawet nie rozglądał się wokoło, całkowicie skoncentrowany na jednej rzeczy: metodycznym darciu na kawałki listu, który przed chwilą mu wręczono.

Wariusz odetchnął głęboko z ulgą. Jego uwaga, która do tej pory była skupiona wyłącznie na Marku, zaczęła obejmować powoli cały plac. Przed sobą zobaczył Druzusa uciekającego w tłumie chroniących go żołnierzy w stronę samochodów. Przeniósł wzrok na otaczające ich zamieszanie, rzymscy żołnierze i sinoańscy strażnicy ostrzeliwali wały obronne, skąd padły pierwsze strzały. W pobliżu przebiegło dwóch czy trzech Nionian - a skąd ci się wzięli? - i pognali w stronę bramy. Sprawiali wrażenie rozzłoszczonych czymś, a na tym pustym placu stanowili łatwy cel. Wyglądało na to, że żołnierze trzech imperiów walczyli ze wspólnym wrogiem, choć z pewnością nie razem. Wariusza dobiegły wściekłe okrzyki pełne gniewu i nieufności, gdy trzy różne frakcje spotkały

się przed schodami, oskarżając się nawzajem w trzech językach. Stali naprzeciw siebie z podniesioną bronią, wy-

wrzaskując pretensje do pozostałych. Wariusz nie mógł odebrać od nich oczu, zaciskał zęby w oczekiwaniu na nieuniknioną trójstronną potyczkę tuż pod sinoańskim murem.

Marek rozrzucił skrawki papieru i spojrzał na Wariusza z miną, jakby spodziewał się go zobaczyć. Widać było, że podjął jakąś niełatwą decyzję. Jednak w tej chwili jego wzrok przesunął się w bok i twarz Marka, która i tak była blada jak płótno, nagle poszarzała. Wariusz obrócił głowę, podążając za wzrokiem Marka: z brzegu złamanej rzymskiej formacji odciągano oficera, który został postrzelony w ramię. Za nim widać było jakąś postać leżącą na ziemi twarzą w dół. Wokół stała nioniańska służba, jakby chciała go bronić, tyle że nie było już kogo. Trup miał urwaną głowę, a z szyi tryskała na kamienie jasna krew, od której Wariusz instynktownie odwrócił wzrok. Zaraz jednak zmusił się do przyjrzenia się ciału, w którym rozpoznał - po ubraniu i zachowaniu strażników - Kato.

- Chodź - powiedział Marek, który nagle znalazł się przy nim. Minął go szybkim krokiem i podbiegł do Uny, chwytając ją za rękę. Una też była cała, choć na widok zwłok cała zeszywniała. Obróciła się mechanicznie, gdy Marek dotknął jej ręki. Wariusz poczuł ukłucie bólu, kiedy zastanowił się, jak musiała przeżyć to, że w pobliżu niej ktoś zginął. Marek dotknął na chwilę jej twarzy i Una w odpowiedzi musnęła palcami jego dłoń. Zaraz jednak cofnęła odrobinę rękę, patrząc na niego jakby z nieufnością.

Marek obrócił się do pozostałych żołnierzy, prowadząc Unę przed sobą.

- Będziecie tak stać i czekać, aż nas wystrzelają? Zabierzcie nas stąd! - warknął Marek. Nie czekając na nich, ruszył szybkim krokiem w stronę, z której przybyli, ku schronie-

niu, jakie zapewniała kolumnada.

Wariusz już wcześniej zauważył z podziwem, jak Marek wykorzystał sytuację, żeby wszyscy troje znaleźli się blisko siebie. Teraz zorientował się, choć nie znał tego przyczyny, że Marek oddzielił się w ten sposób od głównego trzonu oddziału. Poza tym że prowadził przed sobą Unę i Wariusza, znajdował się na czele oddziału, jakby to on przewodził żołnierzom.

Kolejni nioniańscy żołnierze minęli ich biegiem, kierując się w stronę dziedzińca. Służba Kato musiała ich poinformować, co się stało.

Dotarli do czerwonych kolumn, ale Marek nie zwolnił kroku ani nie stanął.

- Nie zatrzymujcie się - powiedział cicho do Wariusza i Uny.

Z początku Wariusz czuł zbyt wielką ulgę, że udało im się oddalić od żołnierzy.

- Marek, nie - syknęła Una i spróbowała się zatrzymać.

Marek prawie ciągnął ją za sobą.

- Nie pozwolą nam dalej odejść - zauważył Wariusz, czując, że coś jest nie tak. Żołnierze znajdujący się najbliżej nich też przyspieszyli kroku. Nie przypominało to jeszcze pościgu, ale raczej wysiłki, jakie psy pasterskie podejmują, żeby pokierować ruchem stada.

- Chyba go mają - powiedział głośno Marek, lekkim tonem, obracając głowę w stronę wałów obronnych, jakby dostrzegł tam jakąś postać.

- Co robisz? - spytał ostrym tonem Wariusz.

- Zostawiam was tu - odparł półgłosem Marek.

- Mowy nie ma! Jadę z tobą - wysyczała Una przez zaciśnięte zęby.

- A my mamy coś do powiedzenia? - spytał z pogardą

Wariusz.

- Nie - rzucił ostro Marek.

Wariusz zatrzymał się w miejscu zdjęty oburzeniem.

- Nie będziesz za nas decydował. Jeśli zechcemy z tobą pojechać, to pojedziemy. Nie jesteśmy twoimi niewolnikami.

- Wariuszu! - Przez chwilę Una bała się, że Marek go uderzy. Pohamował się jednak i popchnął go tylko. - Ten list. Druzus zajmuje moje miejsce. Nie wiem, jak mu się to udało, ale dopiął swego. Musiał przekonać wuja, że nie może mi ufać, i najłatwiej mu było to osiągnąć, jeśli wspomniał o was. Jesteście oboje zdrajcami i przestępcami, a ja -sam nie wiem, jakąś kukiełką, którą kierowaliście. Mamy zostać odesłani do Rzymu pod jego nadzorem, gdzie za to odpowiecie. Mogą mnie zabrać. Nic na to nie poradzę. Ale nie grozi mi tyle, co wam. Bez względu na to, co nagadał cesarzowi, nie sądzę, żeby skazano mnie na tortury i śmierć. Was to jednak niechybnie czeka.

Wariusz odetchnął głęboko, ale nie wiedział, co powiedzieć. Marek przeniósł wzrok na Unę.

- Nigdy byś nawet nie dotarła do Rzymu - powiedział, a głos mu się zaczął łamać. - Wiem, że tak by się stało. Możesz być pewna, że znalazłby jakiś sposób, żeby się ciebie pozbyć.

- A ty? - jęknęła, drżąc na całym ciele. - Nie ma interesu w pozbyciu się ciebie?

- Panie, tu jesteście bezpieczni. Nie idźcie dalej! - zawołał ostrzegawczo jeden z żołnierzy, zanim Marek jej odpowiedział. Oddział był coraz bliżej nich.

- Szybciej - ponaglił Marek, pchając ich przed sobą po schodach w stronę wewnętrznej bramy. Biegący z przodu żołnierz spróbował złapać go za ramię. Marek strząsnął jego rękę z ramienia, odwrócił się na pięcie i wyrzwał go z całej siły w twarz. Cesarski pierścień rozciął wargę żołnierzowi, który

stoczył się po schodach, wpadając na podążających za nim towarzyszy. W ułamku sekundy Marek zmienił się nie do poznania. Stał na schodach ze wzniesioną pięścią, na której lśniła krew, i wrzeszczał. - Wciąż mam pierścień i wciąż jestem cezarem! Dotknij mnie jeszcze raz, a zostaniesz ukrzyżowany!

Mężczyzna cofnął się, ocierając krew kapiącą mu z nosa i ust. Pozostali zatrzymali się niezdecydowani. Marek wytarł dłoń.

- Pójdę z wami tak szybko, jak będę mógł - dodał szorstko.

Obrócił się do Uny i Wariusza, którzy patrzyli na niego, jakby nie wierzyli własnym oczom. - Nie zatrzymam ich w ten sposób na długo - szepnął.

Una i Wariusz nie protestowali więcej, mimo że wcale nie czuli, by wyrazili na cokolwiek zgodę. Pospiesznie zaczęli wspinać się po schodach ku Księżycowej Bramie, przy której Marek niedawno spacerował z Tadahito. Szli tak szybko, że Marek bał się, żeby nie wyglądało to na ucieczkę. W pewnej chwili Wariusz zorientował się z przerażeniem, że kierują się w stronę kwater zajmowanych przez Nionian. Rzeczywiście, na ich widok z budynku wypadła grupa uzbrojonych mężczyzn, którzy zbiegli po schodach i wymierzili w nich broń niczym oskarżycielskie palce. Wariusz i Una cofnęli się o krok i zamarli. Marek także zatrzymał się przy nich, ale o dziwo, chyba odetchnął z ulgą. Podniósł dłoń w pokojowym geście i odezwał się do nich władcym głosem w języku nioniańskim, którego Wariusz niestety nie znał.

- Muszę pilnie rozmawiać z waszym księciem.

- Mordercy! - wrzasnął wściekle jeden z żołnierzy. Una i Wariusz mogli się łatwo domyślić, co powiedział, gdyż na bladej twarzy Marka pojawił się na chwilę wyraz niepewności.

Kiedy jednak obejrzał się na bramę, w której w każdej chwili mogli stanąć rzymscy żołnierze, opanował się, odsuwając od siebie wątpliwości.

- Jest nas tylko troje i nie jesteśmy uzbrojeni. Możecie strzelać, jeśli się poruszymy. Możecie nas także przeszukać, ale musicie się pospieszyć. Mam propozycję, którą chcę przedstawić waszemu księciu, a za minutę może być za późno.

W grupie zapanowało niezdecydowane poruszenie, a następnie pierwszy rząd podszedł do nich na wyciągnięcie broni, tak że lufy niemal dotykały piersi i twarzy całej trójki. Jeden z ludzi z tylnego rzędu pobiegł do budynku.

Sekundy wlokły się niemiłosiernie i Marek z trudem powstrzymywał się przed krzykiem z niecierpliwości i narastającej wściekłości. Jedynie obawa przed tym, że wyprowadzeni z równowagi żołnierze zaczną do nich strzelać, utrzymywała go w miejscu. Czuł, jak wszystkie mięśnie drżą mu z napięcia.

Na szczycie schodów pojawił się Tadahito, stanął za swoimi żołnierzami. Wyglądał na zdenerwowanego i oszołomionego.

- Co wy narobiliście?

Marek przełknął ślinę. Nie był przygotowany na to, że książę aż tak bardzo będzie przekonany o ich odpowiedzialności za śmierć Kato. Znaczyło to, że Unie i Wariuszowi groziło niebezpieczeństwo.

- To nie nasza wina - odpowiedział. - Nie jesteśmy winni śmierci pana Kato.

- Zabójca był Rzymianinem. To znaczy Europejczykiem. Czy jest jakaś część Europy, która nie znajduje się pod panowaniem Rzymu?

Marek patrzył mu w oczy, starając się powstrzymać jęk

rozpaczy, który narastał mu w gardle. Było za późno, żeby się teraz wycofać. Zresztą wierzył, że to ich jedyna szansa.

- Ktokolwiek to był, nie miał ze mną nic wspólnego - powiedział. - Gdybym stał za tym, nie zrobiłbym tego, co właśnie zamierzam zrobić. - Una i Wariusz wymienili pełne napięcia i upokorzenia spojrzenia, zjednoczeni wspólnym wstydem. - To są... to są ludzie, którym ufam najbardziej na świecie. Możesz ich zatrzymać i odesłać do Nionii, jeśli chcesz. Stawiam tylko jeden warunek. Żaden Rzymianin nie może mieć do nich dostępu aż do mojego powrotu.

Tadahito patrzył na niego otepiąle, najwyraźniej nic z tego nie rozumiejąc. Wyglądał na zszokowanego i zmęczonego.

- Wyjeżdżasz? - spytał w końcu tonem pełnym znużonej cierpliwości, starając się coś zrozumieć.

- Nie mam wyjścia - odparł Marek z udawaną pewnością siebie. - Chcę, żeby zostali na moim miejscu.

- Twoje miejsce jest wśród Rzymian - zauważył beznamiętnie Tadahito.

- Jeśli się zgodzisz, wyjaśnię ci wszystko. Nie masz jednak wiele czasu na podjęcie decyzji. Po eksplozji w Rzymie wycofałeś swoje wojska z Muru, żeby przekonać mnie, że Nionia nie jest odpowiedzialna za zamach. Uwierzyłem ci na słowo. To identyczna sytuacja.

- Więc mają zostać jako zakładnicy twojej szczerości?

Marek wzdrygnął się i bezwiednie zacisnął powieki, zanim się odezwał.

- Tak - rzekł cicho. Czuł, jak cała władza i pewność siebie wyciekają z niego niczym krew, a jego ciało przenika chłód. - Ale tylko... mojej. Nie mogę... odpowiadać za Rzym. Nie w tej chwili. Po prostu... nie zrób im krzywdy. Nie ma takiej potrze-

by.

Tadahito nic nie odpowiedział.

- Marku - odezwał się błagalnym tonem Wariusz. Nie mógł dłużej stać bezczynnie niczym pionek na szachownicy, gdy decydowano o jego losie w języku, którego nie rozumiał, na dodatek nie pytając go o zdanie. - Jeśli musisz to zrobić, to też poproś o azyl. Nie oddawaj się w ręce Druzusa. Możesz stąd porozmawiać z cesarzem. - Musiał to powiedzieć, choć dobrze wiedział, co Marek odpowie.

- Nie mogę. To by znaczyło, że Druzus ma rację. Wyglądałoby to na zdradę. Jeśli tu zostaniecie, może uda wam się coś uratować z traktatu, nie wiem. Jeśli jednak będzie wyglądało tak, jakbym przeszedł na ich stronę, a oni odmówią wydania mnie, to zacznie się wojna. Nigdy bym nie został już cesarzem i nie mógłbym powstrzymać działań zbrojnych.

- Jeśli twój kuzyn cię zabije, to też niczego nie uratujesz - zwróciła uwagę Una, odwracając się plecami do karabinów i patrząc mu w oczy. Jej twarz była kredowobiała.

Marek spojrzał na ziemię.

- Nie sądzę, żeby to zrobił. To by świadczyło, że od początku był winny.

- A jesteś pewien, że potrafi myśleć tak racjonalnie? Albo że cesarz ma nad nim jeszcze jakąś władzę?

Marek podniósł wzrok. Na jego twarzy malowała się prośba, jakby chciał ją przeprosić za to, że nie zna odpowiedzi. Za nim, na początku schodów wiodących do Księżycowej Bramy, Una zobaczyła rzymskich żołnierzy w ciemnoczerwonych mundurach. Oddział kierował się w ich stronę.

- O czym mówicie? - spytał niecierpliwie Tadahito. - Czemu twoje życie jest w niebezpieczeństwie? To nie wygląda jak gest dobrej wiary, ale jak prośba o ratunek. Chyba że masz

ukryty jakiś inny cel?

- Cokolwiek sądzisz, goszczenie tych dwojga daje ci przewagę - odparł z naciskiem Marek. Za plecami słyszał kroki zbliżających się żołnierzy. Powstrzymywał się, żeby nie obejrzeć się na nich. - Nic nie tracisz, zatrzymując ich - dodał.

Tadahito westchnął i podniósł wzrok na niebo. Zamiast odpowiedzieć Markowi, skinął na swoich ludzi.

- Dobrze, zabierzcie ich - polecił łagodnie.

Żołnierze Tadahito podeszli do Uny i Wariusza i chwytając ich za ramiona, odprowadzili na tyły. Szereg żołnierzy zwarł się za nimi i Marek został od nich odcięty. Stało się to tak szybko, że całej trójce aż dech zaparło z wrażenia. Wariusz czuł, jak jego ciało buntuje się przeciw przytrzymującym go rękóm. Krew zdawała się wręcz drapać go w żyły, jakby pływały w niej kryształki lodu.

Marek, stojący kilka stopni niżej, zachwiał się, jakby ugięły się pod nim kolana.

- Dajesz słowo, że nie oddasz ich Rzymianom? - zapytał podniesionym głosem, zdając sobie sprawę, że brzmi on cienko i bezradnie. Mimo całego pośpiechu nie przypuszczał, że wszystko skończy się tak szybko. Nie zdążył nawet pocałować Uny czy chociaż objąć jej na pożegnanie. Teraz stała oddzielona murem żołnierzy, usiłując wyrwać się z rąk mężczyzn, żeby spojrzeć na niego. W jej oczach zalśniły łzy.

- Tak - powiedział stanowczo Tadahito i odwrócił się, żeby wrócić do budynku.

- Jeśli nie wrócisz... Jeśli nigdy cię nie zobaczę...! - zawołała Una do Marka.

Marek otworzył usta, by ją zapewnić, że wróci. Patrząc na nią, poczuł, jak słowa nie chcą mu przejść przez gardło, jakby wypowiedzenie ich było oszustwem. Przedstawianie

nadziei jako pewności stanowiłoby akt tchórzostwa.

- Dobrze, nie wiem, co zrobisz. - Spojrzał jej w oczy. - Ale wiem, że nie zmarnujesz życia. Nie wolno ci. Jesteś zbyt cenna. Nie tylko dla mnie.

Una czuła, że jej usta poruszają się, jakby coś mówiła, ale nie słyszała własnego głosu.

- Ja... - Stęknęła, gdy pociągnięto ją po schodach. - Kocham cię - zdołała dodać, choć zbyt cicho, żeby ją usłyszał.

Stojący na szczycie schodów Wariusz opierał się przez chwilę żołnierzom, obracając głowę, żeby zawołać z wymuszonym spokojem:

- Do zobaczenia, Marku!

Marek patrzył za nimi bez słowa. Zanim Wariusza wciągnięto do budynku, zobaczył jeszcze przerażoną minę Marka, a za nim zbliżających się rzymskich żołnierzy.

Marek stał jeszcze przez chwilę, patrząc na puste drzwi, wreszcie przetarł oczy wierzchem dłoni i obrócił się do rzymskich żołnierzy.

- Tylko ja. Idziemy - powiedział dosadnie.

Nie miał jednak już żadnej władzy i dla wszystkich było to zupełnie oczywiste. Mógł jedynie kiepsko grać swoją rolę, nic więcej mu nie pozostało. Marek schylił głowę, kiedy żołnierze w końcu zaakceptowali to, co się stało, i ruszyli z miejsca. Nie chciał, żeby widzieli, jak do oczu napłynęły mu łzy gorzkości, rozmazując wszystko, na co patrzył. Nie mógł ich już powstrzymać.

Pozwolenie, żeby pojechali z nim do Rzymu, nie było lepszym rozwiązaniem. Mimo to czuł się okropnie. Chciał ich chronić. Może nawet mu się to udało. Jakie jednak miały znaczenie intencje, kiedy w rzeczywistości ich zdradził? Wiedział, co ryzykuje. Jeśli zabójca Kato rzeczywiście był Rzymianinem,

jeśli Nionianie nabiorą podejrzeń, że Una i Wariusz wiedzieli o spisku i ukrywali go przed nimi - na bogów, co on najlepszego zrobił? Czy Nionianie byli mniej bezwzględni niż Rzymianie?

Wyszli na dziedziniec przed pałacem. Ciało Kato przykryto płaszczem, ale zostawiono na ziemi. Obok niego jeden mężczyzna siedział po turecku, wyprostowany i z pochyloną głową. Marek przypomniał sobie nioniańską księżniczkę i jej obraz wydał mu się nierzeczywisty. Czy to możliwe, że zaledwie kilka minut wcześniej dowiedział się, że powinien się z nią ożenić? Wydawało się to niewiarygodne.

Wyglądało na to, że konflikt został zażegnany, ale Marek nie mógł wykrzesać z siebie zainteresowania tym, co się stało. Niemal łaską wydawało mu się, że nigdzie nie widzi Druzusa. Jego straż najwyraźniej uznała, że nie jest jeszcze dosyć bezpiecznie. Przynajmniej Druzus nie zobaczy, jak Marek stoi przybity i pokonany. Kiedy rozległy się strzały i obaj zostali powaleni na ziemię, Marek był pewien, że spod ochraniających go ciał żołnierzy widzi, jak kuzyn świdruje go wzrokiem z jakimś szczególnym wyrazem euforii, niepomny na świszczące kule.

W tamtej chwili podjął decyzję, mimo że oznaczała, iż musi zostawić Unę w tym samym mieście, w którym przebywa Druzus, a nawet oddać ją w ręce wrogów Rzymu.

Nagle uświadomił sobie, iż przez cały czas przysięgał sobie w duchu, że jeśli Nionianie skrzywdzą Unę, jeśli choć włos spadnie jej z głowy, zniszczy Kynoto. Jeśli tylko uda mu się odzyskać władzę, każe Salwiuszowi rozwalić to miasto w drobny mak. Aż zatrzymał się zdumiony siłą swojej nienawiści. Jak mógł ufać tej nieznaney mu części siebie, że potrafi wybrać bezpieczne wyjście?

Nie protestował, kiedy żołnierze zaprowadzili go do

samochodu. Jego zmęczony umysł zaoszczędził mu obrazów Uny i Wariusza i tego, co mogło ich czekać. Ale wciąż powracał obraz niedawnych wydarzeń. Marek byłby wdzięczny, gdyby ból przyniósł mu ulgę w postaci utraty przytomności.

PANI BEZ SMUTKU

- Jej Cesarska Mość mówi: „Kto wie, co kieruje Nionianami?” -Tłumacz przekazał Druzusowi odpowiedź, kiedy okropny stary babsztyl przestał gadać. Druzus starał się nie okazać po sobie frustracji. Junosena siedziała na swoim szerokim, złotym tronie, odziana w bogato zdobione biżuterią szaty, niczym jakaś koszmarna, zmumifikowana lalka. Oddzielała ich zasłona z cienkiej gazy, która mimo że prawie jej nie zasłaniała - tworzyła niebezpieczne złudzenie, że wcale jej tam nie ma, że Druzus rozmawia przez daldictor i cesarzowa nie może go zobaczyć. Na dodatek rozmowa była przesiewana przez sito tłumaczenia.

- To są rzymscy obywatele - powiedział Druzus. - Przynajmniej mężczyzna jest obywatelem Rzymu. Nieważne, oboje są Rzymianami, należą do Rzymu i Rzym żąda ich wydania. Nionianie muszą nam ich przekazać.

Junosena odpowiedziała długą tyradą, pod którą tłumacz aż się skulił i zaczął z pośpiechu się jąkać.

- Cesarzowa twierdzi, że odniósł pan błędne wrażeniem, że Sina jest jakąś prowincją Nionii. Pomylił pan wielką cesarzową z jakąś nioniańską służką. Jej odpowiedź brzmi: „Nigdy w życiu”.

- Dobrze, dobrze - rzekł niecierpliwie Druzus. - Nie chciałem jej obrazić, jak jest pan pewnie świadom. Gdyby Nionianie zachowywali się rozsądnie, nie musiałbym was kłopotać. Jednak tych dwoje... podejrzani są wciąż w Bian, w tym pałacu. Pewnie nie dalej niż sto kroków stąd. Nionianie są naszymi gośćmi i przetrzymywanie przez nich naszych ludzi jest całkowicie nielegalne. Trzeba ich zmusić do wydania nam tej dwójki.

Wciąż czuł posmak wcześniejszego triumfu, który łechtał go mile. Jednocześnie zaczynał się martwić. Nionianie odmówili dalszych negocjacji. Zamknięci w swoich kwaterach, gdzie pewnie opłakiwali śmierć Kato, wyrażali w zdawkowych odpowiedziach niedowierzanie, że Rzym może przekazywać im dwoje zakładników, a chwilę później domagać się ich wydania.

Jun Shen kopnęła zirytowana w nogę tronu.

- Jestem zła - rzuciła z gniewem. - Sądziłam, że przyjmuję kolejnego rzymskiego księcia wraz z eskortą, a zamiast tego mam małą armię pustoszącą mój pałac, ciała moich gości profanują mój dziedziniec, a niektórzy ludzie... poznikali.

- W tym wypadku słowo „książę” nie jest właściwe - zauważył Druzus, ale tłumacz Weigi wolał dyplomatycznie to przemilczeć. Jun Shen czekała, słuchając, patrząc i myśląc, jak pełen dysonansów i jak nieokrzesany jest język łaciński. W końcu młody mężczyzna umilkł.

- Księżę przekazuje wyrazy współczucia - powiedział w końcu Weigi. - Chce jednak zauważyć, że dokonano zamachu na jego życie. Nie spodziewał się takiego przyjęcia. Z pewnością Wasza Wysokość nie chciałaby znaleźć się w takiej sytuacji.

Jun Shen uniosła brwi i nachyliła się odrobinę.

- Sądzisz, że nioniański arystokrata został zabity przez pomyłkę?

Druzus wysłuchał tłumaczenia.

- Oczywiście.

- W takim razie zamachowiec był wyjątkowo nieudolnym strzelcem.

- Jeden z moich żołnierzy został ranny - przypomniał jej Druzus niezrażony. - Miałem wiele szczęścia.

Jun Shen oparła się wygodnie i rozważała słowa Druzusa. Kurtyna z delikatnej gazy oddzielała jej zamknięty, prywatny świat kobiecy, do którego teoretycznie należała, od otwartego męskiego świata.

- Tak - powiedziała w końcu zadumanym tonem. - Przejąłeś wszystkie atrybuty władzy Leona Nowiusza, udało ci się wyjść bez szwanku z zamachu na życie, podczas gdy jeden z nioniańskich dowódców wojskowych został zabity. Rzeczywiście szczęście ci sprzyja. Choć niektórzy zapewne uznają za niefortunne, że twoja dobra passa może doprowadzić do wojny.

Druzus zatrzymał wzrok na zasłonie, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Wojna czy pokój są jedynie sposobnością, żeby służyć ojczyźnie - odparł opanowanym głosem.

Cesarzowa zacisnęła szkarłatne wargi.

- Niektóre sposobności wydają się mniej atrakcyjne, kiedy jest się w moim wieku - mruknęła posepnie, patrząc zmrużonymi oczami na Druzusa. - Wielu rzeczy nie da się osiągnąć, nie mając czasu ani doświadczenia. Na przykład zdobyć popularności. Mimo że dopiero co włączasz się w życie publiczne, twoi ludzie gotowi są przebyć pół świata, żeby cię zastrzelić. To smutne dla kogoś tak młodego. Mimo to nie zamieniłabym twojego losu na los tego nioniańskiego pana, który tak beztrąsko wszedł ci w drogę.

- To zależy, co masz na myśli, mówiąc „moi ludzie”. - Druzus starał się ze wszystkich sił nie dać sprowokować. - Czy wiesz, ilu rzymskich zbiegów i niewolników osiedliło się nielegalnie na Wschodzie w ciągu ostatniej dekady? Większość przebywa w twoim kraju. Widocznie uważają, że są tutaj tolerowani.

- Oczywiście, że wiem o tym! - Jun Shen aż podskoczyła na tronie. Ozdobiona złotymi koralowymi kwiatami fryzura w kształcie łabędzia zakołysała się na jej głowie, a w powietrzu rozniósł się intensywny zapach perfum. - W Sinie nic się nie dzieje bez mojej wiedzy!

- A jednak ich tolerujesz.

- Jeśli Rzym nie potrafi zatrzymać swoich ludzi, to niech nie oczekuje, że będę to robiła za niego. Co do imigrantów, to nigdy nie byli groźni, a często są wręcz użyteczni. Co oni mają przeciwko tobie?

- Najwyraźniej nie są niegroźni. Cała sprawa jest niezwykle delikatna i niechętnie omawiam ją z osobą postronną, ale pewnie już wiesz, że nie domagam się wydania Uny i Wariusza, bo obawiam się o ich bezpieczeństwo. Ci ludzie mieli deprawujący wpływ na mojego kuzyna i już wcześniej starali się mnie... pozbyć. Dlatego nie chcieliśmy, żeby wcześniej ogłoszono wieść o moim przyjeździe. Jak się okazuje, mają swoich agentów i popleczników w pałacu i wygląda na to, że nie udało się ich wszystkich zdemaskować.

To była niemal prawda. Sulien zapadł się pod ziemię tak idealnie, że musiał zostać przez kogoś uprzedzony. Druzus podejrzewał, że zna winowajcę. Razem z Salwiuszem zbudowali w pałacu cały labirynt zasieków uniemożliwiających komunikację, żeby nikt nie mógł uprzedzić Marka. Makarii udało się w końcu je pokonać, choć zbyt późno. Jakąś godzinę po przybyciu Druzusa do Bian jego ludzie znaleźli w pokojach Marka wiadomość wysłaną dalekopisem. Druzus nie był pewien, jak na to zareagować. Dopóki żył Faustus, niewiele mógł jej zrobić.

- Jestem pewien, że dziewczyna została ostrzeżona i zdołała podjąć odpowiednie kroki. Razem z Wariuszem znają

wielu przestępców i pewnie ci im pomogli. To banda fanatyków i morderców, którzy mieli swoją bazę w Pirenejach i którzy teraz mieszkają nielegalnie w Sinie. -Skinął na towarzyszącego mu niewolnika, żeby podał jednemu z eunuchów pomięty list od Lal. - To list do niej od tych ludzi.

- Widziałam go już. - Cesarzowa odprawiła sługę machnięciem ręki. - Zeszłej nocy kazałam go przetłumaczyć. Zaciekawilo mnie, że konkubina Marka Nowiusza Faustusa Leona jest tak niskiego stanu. Poza tym nic ciekawego w niej nie dojrzałam. Czy ta perska dziewczyna nie pisze wyraźnie, że nie ma kontaktu z tą młodą kobietą?

- Pisze i dlatego tym bardziej wierzę, że jest wręcz przeciwnie. List może zawierać całą masę ukrytych wiadomości, których nie znamy -odparł z pewnością siebie.

Jun Shen znowu kopnęła tron i prychnęła, ale nie tak gwałtownie jak poprzednio. Zastanawiała się przez chwilę. Nagle jej małe usta wykrzywił uśmieszek. Druzus pomyślał, że wygląda przerażająco.

- Jeśli twierdzisz, że ten mężczyzna lub ta młoda kobieta byli zamieszani w śmierć pana Kato, to nie dziwię się Nionianom, że nie chcą ich wydać - powiedziała wyjątkowo słodkim tonem.

Druzus odwrócił wzrok. Musiał przypomnieć sobie, jak wiele już osiągnął i jakie pokonał przeszkody, żeby nie okazać teraz gniewu. Po raz pierwszy spojrzął bezpośrednio na bojaźliwego tłumacza.

- Omawiamy tu poważne kwestie. Czy nie powinien zajmować się nimi cesarz Florens? - spytał lakonicznie.

Nastąpiła chwila ciszy pełnej zgorznienia. Kilku eunuchów znajdujących się w sali musiało znać łacinę, gdyż słyhać było, jak wstrzymują oddech.

- Wielka cesarzowa zaoszczędziła Synowi Niebios... rozpraszania uwagi na ziemskie sprawy - syknął tłumacz z wyraźnym przerażeniem na twarzy. - Pozwala mu poświęcić swoją energię na... ćwiczenia duchowe. Cesarz dba o wyższe dobro swojego kraju.

- W porządku - mruknął zirytowany Druzus. Chciwa władzy stara ropucha, pomyślał, patrząc na Junosenę. Po szybkim namyśle zdecydował, że „ćwiczenia duchowe” muszą oznaczać zabawę z żonami i konkubinami, których szeregi zdawały się nieskończone. W umyśle Druzusa zabrzmiało słowo „dekadencja”.

Jun Shen przysłuchiwała się tej rozmowie z wyraźną niecierpliwością. Marszczyła brwi, cmokała i wzdychała.

- Czyżby nie podobało mu się, że musi rozmawiać z kobietą? - zapytała zjadliwie, kiwając głową i lekko kołysząc się na tronie.

- Nie, nie, Wasza Wysokość...

Cesarzowa jęknęła głośno ze znużenia i ignorując Wei-gi, zwróciła się bezpośrednio do cudzoziemca, jakby mógł ją zrozumieć.

- Słuchaj uważnie - powiedziała. - Rzym i Sina nie są wrogami. W relacjach dwóch mocarstw brak wrogich działań może być uznany za odpowiednik przyjaźni. Gdyby twój kuzyn przekazał mi tych dwoje, a ty byś powiedział, że nie jest to zgodne z życzeniami Rzymu, to przypuszczam, że oddałabym ci ich. Pewnie brał to pod uwagę, kiedy podejmował decyzję. Wróg nie ma takich obowiązków. Jednak moje zobowiązania mają swoje ograniczenia. Ani ty, ani Nionianie nie jesteście u siebie. Twierdzisz, że Nionianie są moimi gośćmi. Tak samo jak ty. Póki są moimi gośćmi i nie łamią moich praw, ja będę respektowała ich prawa. Tych dwoje to wyłącznie wasza

sprawa. Mnie interesuje co innego: w moim kraju, w moim pałacu, został zamordowany człowiek. Nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami. Wygląda na to, że zabójca jest Rzymianinem, bez względu na to, jak będziemy interpretować znaczenie tego słowa. Przekonujesz mnie, że ten człowiek nie ma z tobą nic wspólnego. Jestem pewna, że Nowiusz Leon zapewniłby mnie o tym samym. W takim razie sprawą zajmie się moja policja. Jeśli maczali w tym palce nielegalni imigranci, to zajmiemy się tym. Niewykluczone, że masz rację i byliśmy dla nich zbyt pobłażliwi. Jednak teraz jest to moja sprawa. - Wskazała na list Lal, który trzymał wystraszony eunuch. - Jak wspomina ta dziewczyna, nie są obywatelami Rzymu, prawda?

Cesarzowa przewidziała kolejny ruch Druzusa, czyli żądanie wydania zbiegów w racy Rzymian. Zwłaszcza tej dziewczyny i jej ojca oraz sinoańskiej kobiety Ziye. Druzus, od chwili gdy list wpadł w jego ręce, miał pomysł, jak mógłby się nimi posłużyć. W ostateczności, jeśli nie udałooby mu się wyegzekwować oddania Wariusza i Uny, mógł trochę przycisnąć zbiegów. Racja - nie byli niczymi obywatelami i nie mieli żadnych praw. Można było z nimi zrobić, co tylko się chciało, zupełnie jawnie. Nawet nie musiałby naginać żadnego prawa, żeby wyciągnąć od nich potrzebne zeznania.

Wyczuł jednak bezskuteczność swoich zabiegów. Na razie nie miał szansy zmusić tej starej suki do zrobienia cokolwiek.

- No cóż, jestem pewien, że w odpowiedniej chwili omówimy każdą sprawę z osobna - powiedział jak najgrzeczniej.

Wyszedł z sali audiencyjnej i przystanął na chwilę na szczycie schodów, żeby popatrzeć na Bian. Nigdy wcześniej nie opuścił cesarstwa rzymskiego. Od pierwszej chwili w Sinie

czuł przez skórę, że coś jest nie w porządku. W ciepłym powietrzu unosiło się coś niepokojącego. Bez wątpienia głównym powodem tego wrażenia była odmienność małego, nisko zabudowanego, emaliowanego miasta, ze smokami na szklanych dachach i mieszkańcami o drobnej budowie i czarnych włosach. Jednocześnie w jakiś dziwny sposób miasto nie było dostatecznie obce. Pomimo zielonych bambusowych lasów, mimo olbrzymiego rozlewiska Żółtej Rzeki, której brzegi zdawały się sięgać aż po horyzont, krajobraz miejscami przypominał mu mokre pola uprawne Europy czy ponure wrzosowiska. Przyczyna tego dziwnego wrażenia kryła się w promieniach słońca, które przecież były takie same, a padały na to dziwne, trudne do zaakceptowania miejsce. Gdzieś w głębi duszy czuł zdziwienie, że może istnieć bezkresna kraina, która nie należy do Rzymu.

Druzus polecił niewolnikowi podstawić samochód. Kiedy podjechał, rozsiadł się wygodnie z tyłu. Przejeżdżając przez prosty, biały most, zapatrzył się na kwadratowe jezioro o satynowym odcieniu. Przez rzymskie szkło szyb samochodu miasto wydawało się łatwiejsze do zaakceptowania i bardziej interesujące. Mógł oglądać je z zaciekawieniem, jak zwykły turysta.

Z przodu i za nim jechała obstawa złożona z pretoriańskich wozów bojowych. W środku wozu Druzusa siedział centurion, który pojmał Marka. Mężczyzna, wezwany przez Druzusa, miał niewyraźną minę.

- Mogę spytać, dokąd jedziemy, Wasza Wysokość? - odważył się w końcu odezwać.

- Nigdzie. Zwiedzamy - odparł pogodnie Druzus. Chciał wydostać się z pałacu na świeże powietrze, a poza tym uważał, że instrukcje bezpieczniej jest przekazać w samochodzie, z

dala od urzędzeń podsłuchowych i szpiegów.

Cisza, jaka panowała na szerokich, pięknych ulicach, wydawała się dziwaczna, biorąc pod uwagę, że była to stolica kraju! Na ulicach było mniej samochodów niż w przeciętnym rzymskim miasteczku. Samochody sinoańskie także różniły się od rzymskich. Rzymianie lubili jeździć dużymi autami dającymi poczucie, że pokonają każdą przeszkodę jak buldożer. Tutaj pojazdy były mniejsze i niższe. Niektóre były ciemnymi, szklanymi kapsułami przeznaczonymi dla jednej osoby. Na ich wąskich bokach widać było dyskretnie umieszczone godła - niedźwiedzia czy mandarynki. Większe miały specjalne miejsce dla kierowcy, które czasami było bez dachu, tak że z pojazdu wystawała głowa i ramiona w liberii, podczas gdy pasażerowie siedzieli ukryci za czerwonymi jedwabnymi kotarami. Druzus nie mógł się nadziwić, jak wiele było identycznych pojazdów. W Rzymie tylko pojazdy pretorianów i wigilów oraz większych firm, które miały floty samochodów, wyglądały podobnie. Zamożniejsi obywatele kupowali samochody robione na zamówienie, ale nawet ci, którzy zmuszeni byli nabywać samochody produkowane seryjnie czy z drugiej ręki, przerabiali je nie do poznania. Każdy chciał mieć na swoim wozie godło rodzinne lub ozdoby w postaci stylizowanych liści, kwiatów lotosu czy fryzów z walczącymi bogami, ewentualnie nabijał kilka ćwieków i wieszał parę kółek. Jeśli w wozie nie było części chromowanych bądź niklowanych, to w ostateczności malowano ozdoby na karoserii, częstokroć nawet do złudzenia realistycznie, co niechybnie spotykało się z szyderstwem znawców. Na ulicy Rzymu trudno było zobaczyć dwa identyczne samochody. W Bian powtarzały się nieustannie te same kolory, ozdoby i materiały: jaspis, kość słoniowa, kryształ; czapla, bażant, lew. Druzus nie miał pojęcia o sinoańskim

systemie warstw społecznych czy labiryncie urzędów i hierarchii urzędników, wyczuwał jednak, że samochody odzwierciedlają jakiś system klas.

- Dwoje ludzi, których przesłuchanie zlecił sam cesarz, w jakiś sposób przeszło z twojego aresztu do nioniańskiego - powiedział Druzus nie mniej przyjaznym tonem niż poprzednio. - Samo w sobie zasługiwałyoby to przynajmniej na chłostę.

- Ludzie odpowiedzialni... - zaczął centurion.

- Ty byłeś odpowiedzialny - poprawił go Druzus obojętnie. - Mówiłem tylko o tym, co stracił Rzym. Kiedy wziąć pod uwagę, co zyskali Nionianie, jakie mogą usłyszeć od nich sekrety i jak mogą je wykorzystać, gdy rozpocznie się wojna, to ta porażka zaczyna przypominać zdradę. Za to grozi w najlepszym razie pluton egzekucyjny. W najgorszym - zwierzęta na arenie.

Zapanowała cisza. Druzus nie przerywał jej przez dłuższą chwilę.

- No cóż - powiedział. - Wszystko w swoim czasie. Może uda się ich odzyskać, zanim narobią więcej kłopotów. A co do odpowiedzi, których szukamy, może uda się znaleźć je w inny sposób. - Szybko przebiegł wzrokiem list Lal. - Zobacz tylko, ile tu liczb - powiedział. - Sześć, trzy, grupa trzech dwójek, siedemnaście... i tak dalej. Nie jestem ekspertem, ale to chyba nie przypadek, co? - Podał list centurionowi.

Pretorianin przejrzał go z uwagą. Na jego korzyść przemawiało, że nie okazał ani lęku, ani ulgi. Jedynie w głosie słychać było teraz lekką szorstkość.

- Może kiedy wspomina o liczeniu listów, to znaczy szukaj liczb w tym liście.

Druzus już wcześniej zauważył efekty przyciągającej siły, jaką dawała władza i jaką wcześniej obserwował u Marka.

Teraz ta siła działała na jego korzyść. Ludzie o wiele szybciej byli gotowi się z nim zgodzić czy zaaprobować - zupełnie szczerze i spontanicznie - wszystko, co powiedział. Uśmiechnął się lekko do siebie, ledwo czerpiąc zadowolenie czy siłę z tego uczucia. Miał pewność, że wśród delegatów w Rzymie znajdzie takich, którzy przyznają - i będą w to wierzyli - że nigdy nie ufali Markowi. Zaświadczą, że wyczuwali zły wpływ Uny czy Wariusza na niego lub podejrzewali motywy działania Suliena wobec Faustusa. Jednak to nie wystarczało. Sprawy były o wiele delikatniejsze i bardziej skomplikowane, niż podejrzewał, gdy tutaj jechał.

Mimo to, widząc o wiele wyraźniej niż zazwyczaj różnicę pomiędzy tym, co powiedział, a obiektywną prawdą, czuł się lekko rozbawiony swoim pomysłem z liczbami w liście. Nawet trochę współczuł dla Lal, że napisała coś, co tak łatwo mógł wykorzystać do swoich celów.

- Musi nam powiedzieć, co to znaczy - rzekł z naciskiem.
- Rozumiem.

Druzus wyrzwał w milczeniu przez okno. W oddali zobaczył dziwną metalicznie zielonkawą wieżę, która wznosiła się nad miastem. Czuł, że jest w centrum skomplikowanych orbit, a ludzie wirują wokół niego w różnych odległościach i z różnymi prędkościami niczym planety. Każdy wywierał i jednocześnie odczuwał różną siłę. Jak to możliwe, że Una i Wariusz oddalali się poza zasięg jego wpływów? Wciąż odczuwał własną siłę przyciągania i jak przeciwstawia się ich sile. Mimo poníženia, jakiego doznał w celi ze strony Wariusza, Druzus nie czuł potrzeby mszczenia się na nim. Przynajmniej nie dla własnej satysfakcji. Incydent był zbyt bolesny, żeby go wspominać, i Druzusowi prawie udało się go wymazać z pamięci. Niewykluczone, że potrafiłyby mu nawet wybaczyć. Gdyby Wa-

riusz znajdował się teraz w jego rękach, Druzus mógł rozważyć, co go spotkało z rąk Gabiniusza i Tullioli trzy lata temu. Mógłby nauczyć się coś z lekcji, jaką Wariusz otrzymał. Teraz ta szansa znikła. Wariusz był wyłącznie narzędziem, za pomocą którego zdejmie pierścień z palca Marka.

Jeśli chodzi o Unę, Druzus miał problem z podjęciem decyzji, jaki los ją czeka i kiedy. Z pewnością ktoś musi przyznać się do negatywnego wpływu na Marka i wyznać coś, co raz na zawsze go zdyskwalifikuje. Kiedy to się stanie, Marek lub ktokolwiek inny nie będzie miał podstaw do skarżenia się na sposób, w jaki uzyskano zeznania. Nie da się już cofnąć niczego, kiedy wszyscy uwierzą w prawdę oskarżeń. W ustach Uny takie wyznanie byłoby najbardziej wiarygodne. Jednak dziewczyna była dziwna, jej talenty nieprzewidywalne, niemal demoniczne. Czasami Druzus musiał sobie przypominać, że bezpieczniej jest nie oczekiwać po niej niczego, tylko ją zgładzić. Musiał jednak wszystko wyjaśnić. Niesprowadzenie jej do Rzymu było ryzykowne, ale i tak mniej niż trzymanie jej choćby sekundę dłużej niż to konieczne.

Wszystko to odsuwało na bok wizję tego, co chciałby jej zrobić. Raz widział ją w swoich marzeniach zupełnie zniszczoną, zredukowaną do szmaty pełnej wstydu i bólu. Mogła na przykład zostać rozdarta na strzępy w jakimś ustronnym miejscu i wyrzucona na śmietnik lub ukarana publicznie na Forum, gdzie jej niekończąca się kaźń stałaby się przestrogą dla innych. W chwilach opamiętania był gotów zaakceptować szybką i bezbolesną śmierć, pod warunkiem że byłby jej świadkiem, byle tylko z Uną skończyć raz na zawsze.

Na razie jednak musiał przestać o niej myśleć. Byli jeszcze inni, ludzie z listu tej dziewczyny, na razie malutcy i gdzieś tak daleko, iż nie zdawali sobie sprawy, że myśli o nich i że po

swoich orbitach zaczynają powoli się do niego zbliżać.

Spojrzał na centuriona.

- Ten stary babsztyl w pałacu nie jest zbyt pomocny. Może wpaść na pomysł, żeby zamknąć ich wszystkich, i wtedy nigdy się do nich nie dostaniemy. Musisz ich znaleźć przed Sinończykami.

Mężczyzna wolno pokiwał głową.

- To nie będzie łatwe... jeśli nie możemy działać otwarcie. Rzucamy się bardzo w oczy.

Druzus niecierpliwie machnął ręką.

- Nie potrafisz myśleć samodzielnie? Możesz poruszać się jednym z tych wozów z zasłonami. To oczywiste, że będziesz potrzebował pomocy Sinończyków. Przekup, kogo trzeba. Pieniądze nie grają roli. -Umilkł na chwilę. Kiedy odezwał się, mówił lekkim tonem, jakby chciał zmienić temat. - Mój kuzyn wraca do Rzymu, żeby oddać pierścień i błagać wuja o przebaczenie. Rozumiesz, co to znaczy?

Mężczyznę ogarnęła rezygnacja.

- Chyba tak, panie - mruknął, patrząc Druzusowi w oczy.

- Zapewne dotrze tam w ciągu trzech dni. Jednak przy tak dalekiej podróży zawsze mogą zdarzyć się jakieś opóźnienia czy... wypadki. Mój wuj jest chory. Prawdę powiedziawszy, nie spodziewam się, że długo pociągnie. Myślę, że byłoby lepiej oszczędzić mu stresu związanego z rozmową z moim kuzynem.

W wozie zapadła cisza.

- Jak długo? - spytał cicho centurion.

Druzus wyprostował dłonie, jakby go bolały mięśnie i chciał je rozluźnić. Oczami wyobraźni widział kuzyna, jak zamknięty przez żołnierzy w jednym z takich wozów zostaje powieszony na północ, przez zalane wodą łąki, pustynie i góry.

Jak jedzie na zachód przez Sine i wjeżdża na ziemie Sarmatów. Jak bezradnie przemierza jedną milę zimnego stepu za drugą, tak pustego i nieskończonego, że mogłoby się wydawać, iż Marek będzie podróżował przez niego całą wieczność, aż zniknie z pamięci i z tej ziemi.

Druzus mógł go zabić. Wyrazistość tej myśli, która wracała do niego raz za razem, nie była mile widziana. Nic nie mógł na to poradzić. Wystarczyło jedno słowo, niewielki wysiłek mięśni, żeby je wypowiedzieć. Jak niewiele by go to kosztowało! Nawet nie musiałby nic mówić. Czuł, że wystarczyłby jeden ruch głową, znaczące spojrzenie na centuriona, żeby Marek zgasł jak wyłączona żarówka. Jego wuj dał mu już zbyt wiele władzy, żeby się teraz wycofać - zbyt wiele, żeby uchronić się przed śmiercią. Senat przełknąłby to wszystko równie łatwo jak posłuszna dziwka. W ciągu tygodnia Druzus mógłby się ogłosić cesarzem.

Tyle że zginąłby niemal w tej samej chwili, kiedy by włożył na palec pierścień, a na głowę wieniec laurowy. Na horyzoncie pojawił się Salwiusz, niczym Jupiter, największa z planet. To za nim podążałaby armia. Władza, z której korzystał Druzus, naprawdę należała do niego. Nieświadomie wspierał swoją siłą pozycję Faustusa i Marka. Gdyby choć przez chwilę pomyślał, że został oszukany, że zasady, które wyznawał, zostały złamane, nic by go nie powstrzymało. Rozgniewany, runąłby jak fala rozbijająca wały ochronne miasta, zmiatając po drodze Druzusa i z całą mocą sprawiedliwego mściciela uderzając w centrum władzy. Cesarz Salwiusz.

Druzus odetchnął głęboko.

- Aż dam ci rozkaz - odpowiedział centurionowi. - Wkrótce będę miał więcej instrukcji dotyczących mojego kuzyna.

Cesarz Salwiusz. Cesarz Salwiusz, powtórzył w myślach, żeby nie zapomnieć. Kiedy myślał o Marku, widział go tak bezbronno i kruchego, tak niemalże ledwo żywego - że nie mógł sobie ufać, iż nie wyda tego rozkazu.

*

Mimo swojej nazwy park otaczający Jezioro Pani Bez Smutku, był w rzeczywistości przygnębiającym i lekko melancholicznym miejscem. Wprawdzie dymy znad Jiangning unosiły się nad parkiem, pokrywając liście drzew drobnym pyłem, to jednak odgłosy pobliskich robót drogowych zdawały się z szacunkiem zatrzymywać na jego obrzeżu. W gorącym białoszarym powietrzu jaskółki ścigały się nad spienionymi wodami jeziora. Jakies pół godziny wcześniej starzec o siwej brodzie i smutnej, pomarszczonej twarzy przeszedł obok niej, powłócząc nogami. Mężczyzna był ubrany w wyblakłe odzienie z szarej bawełny, a w rękach trzymał klatki na ptaki. Z jednej z nich wystawał płowy bilbil, a w drugiej nieustannie muskał piórka niebiesko-złoty sroczek biało-rzytny. Starzec odwrócił głowę i przez chwilę przyglądał się Lal ze zdziwieniem i ciekawością, na którą dawno już przestała zwracać uwagę. Następnie ostrożnie powiesił klatki na gałęziach magnolii i jabłoni, tak żeby schowane wśród liści ptaki choć przez chwilę mogły się cieszyć złudzeniem wolności - niczym na wakacjach. Stojąc pod nimi, zaczął kołysać się i wyginać z nieoczekiwaną gracją, wyciągając ramiona, uchylając się lekko przed wymagowanym ciosem, ćwicząc z własnym cieniem sztukę walki, z której znikła wszelka gwałtowność. Kiedy skończył, usiadł na ławce i patrzył z miłością na swoje ptaki, które śpiewały w gałęziach drzew.

Lal siedziała na ziemi, używając ławki jako podpórki, na

której rozpostarła papier i umieściła pędzelek i kałamarz. Nie pisała niczego, tylko wodziła pędzlem po papierze, rysując zawijasy i zygzaki, z czułością zostawiając czarne linie na papierze i starając się, żeby atrament jak najdłużej był wilgotny i lśniący. Rysowała bez żadnego celu poza na wpół uświadomionym pragnieniem, żeby przedstawić ruch jaskółek -sam ruch, a nie ptaki. Liuyin nauczył ją naśladować ruchy pędzla starych mistrzów. Z obsesyjną dokładnością potrafiła odtworzyć kontur lecącego ptaka czy siedzącego na delikatnej mgiełce liści. Tworzyła jednak kopie kopii, piękne, ale siłą rzeczy ograniczone.

Była zbyt zajęta beztróskim rysowaniem i zbyt szczęśliwa, że mogła się urwać z pracy w sklepie Matho, sprzedającym rzymsko-sinoańskie przekąski, żeby gniewać się na spóźniającego się Liuyina. Mimo to co kilka minut rozglądała się wokoło i nie widząc go nigdzie, mówiła sobie, że ma wszelkie prawo rozzłościć się i pójść. Powinna zupełnie dać sobie z nim spokój. Z pewnością niepotrzebnie zwróciła uwagę na jego żałosne zapewnienia, że ma jej coś niezwykle ważnego do powiedzenia. Tym razem kiedy umawiał się z nią, był wyjątkowo poruszony. Idąc do parku nad jeziorem, Lal zastanawiała się, że może rodzice zmuszają go do ślubu. Uznała jednak, że nie da się nabrać na te teatralne gesty. Pewnie nie chodziło o nic więcej niż o jakąś książkę, w której losy bohaterów akurat zbiegały się z ich nieszczęśliwą miłością.

Nie zauważyła, kiedy zadyszany Liuyin znalazł się przy ławce.

- Och, siedzisz i rysujesz! - zawołał, jękając się lekko i z trudem panując nad emocjami. Ze zdenerwowania drżały mu ręce. Liuyin miał siedemnaście lat, tak samo jak Lal. Jego twarz była delikatna i miała poważny wyraz, z którym nie licowały

częste wybuchy dramatyzmu. -Jak mam cię przeproszać? Gdybym przybył zbyt późno i nie zastał cię, nie darowałbym sobie...

Lal, bez żadnej złośliwości, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, przestała go słuchać. Patrzyła na niego z tym samym wyrazem pełnego zrozumienia zainteresowania, podczas gdy jej myśli poszybowały gdzieś daleko, zahaczając przy okazji o oddalone o trzysta mil błyszczące, sterylne mury Bian i szukając za nimi Uny i Marka. Z nieczystym sumieniem zadała sobie pełne wahania pytanie: Jak teraz wygląda Sulien?

- Nie mogłem wcześniej wyjść. Wiem, że matka mnie podejrzewa. Jeśli rodzice dowiedzą się, że ci powiedziałem, to mnie zabiją. Nie powinienem był niczego usłyszeć. Ojciec z pewnością orientował się, co bym zrobił. Ale udało mi się go podsłuchać. Dostał dzisiaj instrukcje z Bianjing. Doszło tam do zabójstwa. Musicie uciekać, ty i twoja rodzina. Wszędzie aresztują waszych. To znaczy Rzymian.

Lal zamrugła, kiedy jego chaotyczne słowa zaczęły układać się w przerażający porządek.

- Poczekaj. Co takiego?

- Gdziekolwiek będziesz, nie zapomnisz o mnie, obiecujesz? - wyszeptał Liuyin, biorąc ją w ramiona.

- Nie - zapewniła go zszokowana Lal. Nie słyszała nawet własnego głosu. - Nie rozumiem...

- Rozumiesz - powiedział niecierpliwie Liuyin. - Musicie stąd uciekać. Tu nie ma nic do rozumienia. Nie wolno ci wspominać o tym nikomu poza twoją rodziną. Inaczej policja zorientuje się, że to ja cię uprzedziłem, i nie wiem, co będzie. Ojciec może stracić pracę.

- Ale co to ma z nami wspólnego? - spytała Lal. - Kto został zabity?

- Chyba jeden z nioniańskich arystokratów. Zdaje się, że zabił go jeden z Rzymian. Sama rozumiesz.

- I... i mówisz, że to się stało dzisiaj? - Wydawało się dziwne, że te kilka beużytecznych słów, które przysły jej do głowy, wyrażało jedynie lekki niepokój. Częściowo wynikało to z faktu, że te wiadomości były tak niespodziewane, tak gwałtowne. Jednak wina leżała też po stronie Liuyina. Lal nie mogła się przyłączyć do lamentów z powodu ich rozstania, a Liuyin potrafił okazać panikę tylko w opanowanej, grzecznej formie.

- Tak, to okropne. Przypuszczam, że już nigdy się nie spotkamy. Nie wiem, co zrobiliśmy, żeby zasłużyć na taki los.

- Przecież Bianjing jest daleko. Jesteśmy tutaj już tak długo i nikt nie zwracał na nas uwagi. Naprawdę aresztują wszystkich? Liuyin, jesteś tego pewien?

- Oczywiście, że tak! Wiesz, dlaczego udało mi się to znieść tak długo, kiedy praktycznie się nie widywaliśmy? Ponieważ powtarzałem sobie, że wciąż tu jesteś, że jesteśmy w tym samym mieście. Myślisz, że przyszedłbym i powiedział, żebyś opuściła Jiangning, gdybym nie musiał, gdyby nie miało to na celu ocalenia ciebie?

Lal zastanawiała się, czy Liuyin nie postępuje tak z jakiegoś innego powodu.

- Może cała sprawa ucichnie, jak myślisz?

- Nie!

Lal spojrzała na jego pełną niepokoju twarz.

- No cóż, dziękuje, Liuyin.

- Nie masz za co dziękować.

- Więc... żegnaj.

- Poczekaj. Pocałuj mnie - poprosił zranionym tonem Liuyin.

Lal posłusznie nachyliła się i pocałowała go, ponieważ była zbyt oszołomiona, żeby się sprzeciwić, i ponieważ był to najprostszy sposób zakończenia rozmowy, a także okazania odrobiny wdzięczności. Puściła się biegiem po wilgotnej ziemi, w stronę Jiangning.

*

Późnym popołudniem w Jiangning zmierzch powoli zapadał między gęstymi szpalerami drzew. W szoferce samochodu zgasło światło i w pozbawionym okien tyle wąskiej ciężarówce Lal i jej ojciec Delir widzieli siebie jako skulone cienie pomiędzy przesuwanymi się skrzyniami. Jechali na północ w kierunku mostu na Długiej Rzece. Jak mi się wydawało, wyjątkowo wolno.

Delir nachylił się ku okienku, oddzielającemu pakę ciężarówce od kabiny kierowcy.

- Skręć w lewo na końcu ulicy. Tutaj. Jak ty jedziesz?

- Była powódź wzdłuż Qinhuai. Nie przejadę tamtędy - odparła Ziye. Jako Sinoanka była jedyną osobą, która mogła zaryzykować zajęcie miejsca za kierownicą. Krótkie włosy zakryła chustą zawiązaną pod szyją, która nadawała jej pięknej, pełnej blizn twarzy dziwny wygląd. Niestety blizny rzucały się w oczy, a kobietom w Sinie nie wolno było nawet uczyć się prowadzić.

- Tą drogą jest dwa razy dalej. Jesteś pewna, że nie przejedziesz?

- Nie słyszałeś, jak lało w nocy? Jak myślisz, gdzie cała ta woda spłynęła?

Delir westchnął ciężko, nie do końca przekonany.

- Więc jedź prosto.

- Jadę.

Ciężarówka wjechała w korek uliczny. Lal, siedząc w kącie i ściskając w rękach małą torebkę, walnęła tyłem głowy w ścianę. Stracona godzina mogła oznaczać różnicę pomiędzy sukcesem a porażką. Nie chcąc słuchać dłużej ich sprzeczki, Lal zamknęła oczy i spróbowała zignorować hałas i wstrząsy, żeby skupić się na medytacji. Nie udało jej się to nawet przez sekundę. Z trudem zdołała wytrzymać z zamkniętymi oczami, a przez jej głowę bezustannie przewijały się te same pytania. Zostawili prawie wszystko, pomiędzy nimi a granicą z Nionią były rozstawione posterunki, mieli do pokonania dwa tysiące mil do granicy z Indiami.

Kiedy jednak wrzucali torby do wozu przed wyjazdem, przeszedł ją dreszcz podniecenia, że w końcu ruszą się z miejsca, że nareszcie wrócą do domu.

W samochodzie zapanowała cisza, gdy Ziyę zaczęła ze stoickim spokojem ignorować Delira, który oparł się o ścianę i spuścił głowę w przypiływie desperacji. Szybko się opanował.

- Tak mi przykro, Lal - powiedział niespodziewanie.

Lal spojrzała na niego ze zdziwieniem. Czuła się trochę winna, że przyniosła do domu złe wieści. Gdzieś w głębi duszy bała się, że całe to zamieszanie może być nieporozumieniem. Oczywiście zignorowali instrukcje Liuyina, żeby nie ostrzegać innych rzymskich uchodźców. Wolała nie myśleć, co by oznaczało dla tych ludzi, gdyby się myliła.

Mimo to, kiedy ojciec się odezwał, wiedziała dobrze, za co ją przeprasza. Nigdy nie był niewolnikiem. Był zamożnym rzymskim obywatelem, kiedy miłosierdzie siedem lat wcześniej popchnęło go do uwolnienia z krzyża na wpół żywego chłopca na Drodze Aureliańskiej. Nikt go nie zmuszał do życia w ukryciu, a ją tak. Ciągle uciekała przed okrucieństwem Rzymu, aż dorosła na tyle, żeby zrozumieć, co straciła przez

takie życie.

Lal poczuła, że nie wytrzyma, jeśli ojciec powie coś jeszcze na ten temat.

- Nic się nie stało - odparła głucho.

- Pojedziemy do Rzymu - dodał pospiesznie.

Uśmiechnęła się ostrożnie.

- No to czeka nas daleka droga.

- Pokonamy ją.

Jakby na pocieszenie ciężarówka znowu ruszyła. W Holzarcie nauczyli się żyć w ciągłej gotowości do ucieczki. Po przybyciu do Jiangning także próbowali utrzymać ten nawyk. Przez trzy lata żyli ze spakowanymi walizkami stojącymi przy drzwiach, zawsze lekkimi, żeby łatwo je było nieść. Czasami otwierali walizki i sprawdzali ich zawartość, wymieniali stare ubrania. Lal dodawała nowe szczegóły do podrobionych dokumentów. Jednak przez te trzy lata pożyczali także ukradkiem niektóre rzeczy z walizek, podbierali pieniądze, kiedy nie mogli znaleźć pracy. Przez te trzy lata wtopili się w otoczenie i czuli jak u siebie, chociaż przyciągali zaciekawione spojrzenia, gdy opuszczali dzielnicę Czarnych Ubrań. Wcześniejsza ostrożność stała się w końcu tajemnym rytuałem, który miał odpędzić złe moce.

- Co tam masz? - spytał Delir po chwili, wskazując głową na torebkę z czerwonego materiału, którą ścisnęła w dłoniach.

Lal wzruszyła ramionami.

- Szminkę, perfumy, takie tam drobiazgi - mruknęła. Przyjęła lekko prześmiewczy ton, udając wstydliwą nastolatkę, żeby go rozśmieszyć. Udało jej się to. Lal trochę udawała, ale tak naprawdę nie chciała wychodzić z domu bez makijażu.

- Może się przydać na wypadek, gdyby nas złapali. Lepiej, żeby ładnie wyglądała - dodała tym samym tonem.

- Nie złapią nas - zapewnił ją łagodnym tonem.

Ziye kluczyła po Jiangning, prowadząc samochód z zaciętą miną. Jako jedyna mogła widzieć miasto, które zostawiali za sobą: bazar Fuzi Miao, na którym sprzedawano ubrania i zwierzęta w klatkach, spiczaste dachy pokryte poluzowanymi dachówkami, osłaniające małe domki o białych ścianach, jak ich dwupokojowy dom, który opuścili, zostawiając tak wiele rzeczy. Wszystko to mogło paść teraz łupem złodziei. Dalej droga prowadziła przez rzędy szarych lepianek, oszpeconych płachtami plastiku i blachy. Długa Rzeka przenikała przez miasto niczym przez dziury w gąbce, zakłócając regularny wzór ulic i rynków niskimi, ozdobionymi kwiatami kanałami. Na obrzeżach, gdzie najbardziej żalosne lepianki pochylały się samobójczo nad rozlewiskiem, rzeka wdzierała się już otwarcie do miasta. Kiedy Ziye wyjechała z głębokiego cienia osłoniętych platanami uliczek na rzęsiście oświetlony wiszący most, rzeka jakby zmieniała się we wzburzone morze. Nawet wielkie barki i promy zdawały się niebezpiecznie zawieszony na olbrzymich falach, a ludzie w sampanach igrali z niebezpieczeństwem. Dalej, kiedy most już znikł za horyzontem, rzeka wciąż kształtowała krajobraz, nawadniając pola ryżowe i zielone bagna pokryte kwiatami lotosu.

Ziye przypomniała sobie walkę. W zasadzie to najpierw jej ciało, bez jej zgody, zaczęło myśleć o walce: mierząc siły pozostałe w dawno niećwiczonych mięśniach, odgrzebując umiejętności zbyt stare, żeby można je wymazać z pamięci. Starła się przeboleć fakt, że znowu opuszcza kraj, myślała o tym tak, jakby to była przemijająca choroba. Większość życia spędziła poza ojczyzną. W Sinie nigdy nie brakowało niepotrzebnych nikomu wiejskich dzieci, zwłaszcza dziewczynek, które gromadziły się niczym długi, obciążając i tak ledwo da-

jące sobie radę rodziny i wyczerpując zapasy jedzenia. Jeśli nie dało się ich oddać komuś z dalszej rodziny lub pracodawcy i jeśli nie umarły, to sprzedawano je handlarzom. Ci obiecywali rodzicom, w dosyć mętnych słowach, lepsze życie dla dzieci, a potem sprzedawali je na jakimś rzymskim targu niewolników, gdzie popyt na robotników równoważył się z podażą niechcianych dzieci. U Ziye różnica polegała na czasie, jaki minął od zabrania jej z rodzinnej wioski, do chwili kiedy przybyła do Cesarstwa Rzymskiego.

Miała dziewięć lat, kiedy Huang wywiózł ją, skuloną i zapłakaną, wraz z dwoma innymi dziewczynkami na pace swojej ciężarówki. Miała siedemnaście lat, gdy wreszcie go zostawiła. Wtedy była już zwinną atletką, która potrafiła kilkoma eleganckimi uderzeniami i kopnięciami łamać kości niemal bez wysiłku. Huang miał trochę kontaktów z rzymskimi biznesmenami zajmującymi się walkami gladiatorów. Jego pomysły polegały na zwiększeniu wartości dziewcząt. Ziye była przekonana, że nieźle na niej zarobił, ale z trzech dziewcząt po ośmiu latach treningu udało mu się stworzyć tylko jedną wartościową gladia-torkę. Rong i Mei, dwie pozostałe dziewczynki, czegoś tam się nauczyły po kilku latach, ale wyglądały na wykończone, zniechęcone i chore. Pozbywszy się ich dosyć brutalnie, Huang zdecydował, że eksperyment jest zbyt kosztowny i zabiera za wiele czasu, żeby go powtórzyć. Przyglądając się z troską, jak jego najmłodsza dziewczyna trenuje pod okiem dobrze opłacanego mistrza, Huang czasami poklepywał ją w nagrodę po ramieniu, jak dobry wujek lub wręcz ojciec. Kiedy nadszedł czas i Ziye była gotowa ruszyć w dalszą drogę, jak to określił, Huang miał łzy w oczach. Nie przeszkodziło mu to jednak jej sprzedać. Ziye z jednej strony bardzo zaboląta ta zdrada, z drugiej był to rodzaj egzaminu dojrzałości i początek

jej kariery.

Przez następne dwadzieścia trzy lata walczyła na arenach Rokselanii, Ktezyfonu, Tecesty i Rzymu. Walczyła w Koloseum, gdzie umieszczone na szynach kamery okrężały arenę, a gladiatorzy rzucali szeregi cieni oświetlani wieloma reflektorami. Wystawiano Ziye do pojedynków z mężczyznami i przystępowała do walki z typowym dla siebie skupieniem, całkowicie głucha na wiwaty tłumu. Widzowie patrzyli, jak ta szczupła, nieuzbrojona dziewczyna eksploduje niczym sztuczne ognie, wyrywając miecze, maczugi czy sieci z rąk przeciwników. Odgłos, który nie docierał do Ziye, był symfonią westchnień, jęków i ryku, ale nie oszołomienia, tylko uwielbienia i pożądania. Gdziekolwiek lani-ści ją zabrali, wnet pojawiał się strumień zakochanych wielbicieli, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Ziye mogła wybierać, kogo chciała. Wszyscy pozostawali pod jej urokiem.

Z początku reklamowano ją jako egzotyczną, śmiertelnie niebezpieczną i zarazem niewinną bohaterkę. W miarę jak mijały lata, a ona miała coraz więcej blizn na twarzy, impresariowie stworzyli wizerunek nieprzejednanej, okrutnej zabójczyni, której zdolności były wręcz nadnaturalne i która nie potrzebowała broni, żeby wygrać potyczkę czy zabić przeciwnika. Kiedy skończyła trzydzieści pięć lat, zmieniono nawet jej narodowość - z sinoańskiej na nioniańską - żeby wzbudzić jeszcze większą nienawiść tłumu, który wpadał w histerię, kiedy wychodziła walczyć z jakimś młodym blondynem. Ziye nie przejmowała się tym zupełnie. Ona miała swoją pracę, a promotorzy swoją. To, jak ją nazywali czy w jakiej roli obsadzali, nie miało nic wspólnego z walką na arenie. Dopiero kiedy zaczęła odczuwać zmęczenie, a jej odruchy spowolniały, gdy nienawidziła ran, które zadawała, powstało jej w głowie, że

każdego dnia pracy otacza ją tysiące ludzi, którzy jej nienawidzą i pragną jej śmierci. Chciała się wycofać i było oczywiste, że na to zasłużyła. Nie musiała nigdzie uciekać.

Pieniądze, jakie zarobiła przez te lata, pozwoliłyby kupić cały zespół gladiatorów po cenie, którą uzyskał za nią Huang. Czasami myślała z mieszanymi uczuciami, że gdyby Huang nie sprzedał jej wtedy, tylko pracował jako jej menedżer, to zostałaby milionerem. Firma, do której należała, zmieniła właściciela, i mimo że zawsze zapewniano ją, że ma prawo kupić sobie wolność, dzień ten nieustannie się oddalał. Jej wartość stale rosła, ale miała nadzieję, że kiedy poziom jej występów się obniży, wyścig ten dobiegnie końca. Ziye nie chciała jednak pokornie czekać, zażądała konkretnej daty. Laniści zarządzający firmą wyciągnęli swoje argumenty, posprzecziali się trochę i podali rozsądny termin -jeszcze rok.

Jeszcze jeden rok. Ziye wróciła do swojego baraku i zaczęła się zastanawiać. Uświadomiła sobie, że uczucie, które wzięła za gniew, jest lękiem, i dreszcz jej przebiegł po plecach. Niewiele pojedynków na arenie kończyło się śmiercią - w przeciwnym razie byłoby to duże marnotrawstwo. Jednak w ciągu tych dwudziestu trzech lat walczyła nieraz na specjalnych pokazach. Wszyscy jej przeciwnicy nie żyli, a ona przetrwała. Szczęście nie mogło trwać wiecznie. Nie była już tak silna jak kiedyś. Kolejny rok ją zabije.

Tego właśnie chcieli jej właściciele. Pragnęli, by walczyła po raz ostatni przed nienawidzącą jej publicznością. Chcieli rzucić ją na pożarcie jakiejś wschodzącej gwiazdzie. Ktokolwiek by ją zabił, stałby się automatycznie kopalnią złota, nowym idolem. Nie różniło się to od zabicia dzikiej bestii i przywdziania jej skóry.

Pogłoski o Holzarcie w Pirenejach dotarły do Ziye jakoś

rok wcześniej, usłyszała o tym miejscu od Galii. Kiedy Ziye popatrzyła na nią, zastanawiała się, czy to z jej ręki ma zginąć. Galla była młodą, krwiożerczą i ambitną gladiatorką, która usłyszała, jak niewolnicy jednego z jej kochanków wspominają szeptem o Holzarcie. Ziye i Galii nie interesowała specjalnie ta wiadomość, współczuły biedakom, którzy musieli korzystać z tego miejsca. W tym czasie żadna z nich nie myślała o wolności, która niosłaby ze sobą ciągłą ucieczkę i biedę.

Nawet po rozmowie z lanistami myśli Ziye krążyły wokół ucieczki jak pył wokół ścieku. Miała nadzieję, że uda jej się dotrzeć do bezpiecznej emerytury, na którą tak liczyła. Jednocześnie myślała o każdej arenie w kategoriach, jak daleko znajduje się od Pirenejów. Pewnego dnia, kiedy jechała, by walczyć na arenie w Pompaelo, samochód ugrzązł w korku na moście nad Tagusem. Po dwudziestu trzech latach zawodowstwa Ziye nie podróżowała w kajdanach. Miała luksusowy wóz do dyspozycji, z bukietami pomarańczowych róż, butelką najlepszego wina i muzyką, którą sobie wybrała. Jednak drzwi do wozu były zamknięte, a jej pieniądze schowane gdzieś daleko. Ziye czuła pod sobą rzekę. Nie wiedziała, jak jest głęboka ani jak silny jest nurt. Miała wybór pomiędzy śmiercią a życiem niewiele różniącym się od śmierci -jedynie naga i biedna jak nieboszczyk miała jakieś szanse. W samochodzie był tylko kierowca i jeden ochroniarz.

Po raz pierwszy w życiu zaatakowała kogoś, kto nie był zawodowym wojownikiem. Zaszokowała ją własna niezdatność. Było to jednak dziecinnie proste i szybko wszystko się skończyło. Gorzej jej poszło z samochodem. Zamek był zamknięty na kod, którego nie знаła. Bała się, że lada chwila ktoś zorientuje się, co się dzieje, i ją zatrzyma. Zmęczyła się i zwichnęła nogę, kopiąc wzmocnione szkło. Po chwili stała na

barierce mostu, prawie się nie wahając. Uczyła się pływać trzydzieści pięć lat wcześniej, w prowincji Shandong, w zarośniętym jeziorze, które zostawiła na swojej drodze Żółta Rzeka. Przypomniała to sobie, kiedy skakała z mostu.

Przez następne trzy dni nabierała wprawy w spontanicznej, niewyreżyserowanej przemocy. W zasadzie nie znała życia poza areną. Kradła pieniądze i ubranie. Zrzuciła kopniakiem rolnika z jego wozu, którym przejechała kilkaset mil, zanim skończyło się paliwo. Była to jej ostatnia ofiara i później już na nikogo nie napadała. Zbliżając się do gór, podjęła postanowienie. Nie chodziło o to, że pragnęła się zmienić. Chciała pozostać dokładnie taka, jak w tej ostatniej godzinie: spokojna, czysta i albo pusta jak powietrze, albo pełna jak szklanka wody. Pragnęła jedynie uwolnić się od pragnień. Postanowiła wtedy, że nigdy nie będzie już walczyła. Nigdy nie będzie z nikim spała. Nigdy nie wróci do domu.

Do tej pory złamała dwa przyrzeczenia. Po przybyciu do obozu była przez pewien czas jedyną kobietą i musiała znosić zainteresowanie mężczyzn. Kiedy poradziła sobie z większością zalotników, przekonała się, że Delir, mimo swojej grzeczności, jest jednocześnie niezwykle wytrwały. Ku jej zdziwieniu udało mu się osiągnąć cel, choć poza faktem, że był taki cudowny, był jednocześnie śmiesznie delikatnym, małym człowiekiem, którym mogła cisnąć o ścianę jedną ręką. Podążając za nim, dotarła do Siny, choć cały czas była świadoma, że nie może tak naprawdę wrócić do ojczyzny ze wspomnień, tak samo jak nie może cofnąć się w czasie i mieć znowu dziewięciu lat. Dotrzymała słowa co do walki i od czasu pobytu w Hispanii nikogo nie uderzyła. Co jednak zrobi, jeśli policja zatrzyma ich w czasie przeprawy ku granicy nioniań-skiej?

Przez kilka minut w samochodzie panowała cisza.

- Za nami jedzie urzędowy samochód. Miał kilka okazji, żeby nas wyminąć, ale nie zrobił tego - oznajmiła nagle Ziyę.

Wdepnęła hamulec i zwolniła do minimalnej prędkości. Delir i Lal w milczeniu odsunęli się od drzwi. Delir położył rękę na ramieniu córki i Lal wyczuła jego zamiar po napięciu mięśni. Chciał ją pchnąć do tyłu, za siebie, zasłonić, mimo że za nimi nie było więcej miejsca. Ten opiekuńczy gest ukazał, jak bardzo jej ojciec jest bezbronny. Był niewiele od niej wyższy, zniszczony ponad swój wiek i jeszcze bardziej obcy w tym kraju niż ona. Przez chwilę walczyła ze łzami.

Ziyę patrzyła, jak lśniąca, czarna skorupa samochodu mija ich i jedzie dalej. Czerwone zasłony szczelnie zaciągnięto i nie było widać, kto siedzi w środku.

- Pojechali. Niewykluczone, że czekają na lepszą sposobność.

Delir westchnął.

- Z pewnością by nas zatrzymali. Po co mieliby się tak zdradzać, a potem wycofywać?

Ziyę odchrząknęła, na wpół przekonana.

- Może lepiej zastanowimy się, co robić, jeśli nie zastaniemy Moulięgo.

- Pracuje tam od dwudziestu sześciu lat, a ja się z nim widziałem jakieś pół roku temu. Przez pół roku wiele się nie zmieniło - odpowiedział Delir, patrząc na Lal.

Na następnym moście, przed Wuhu ustawiono punkt kontrolny. Nawet w najlepszych okolicznościach nie mogliby tam się przeprawić. Kilka mil na zachód od autostrady znajdowała się mała przystań, leżąca na skraju wioski. Mouli trzymał tam niedużą motorówkę, której używał do łowienia ryb i prowadzenia drobnego handlu pomiędzy nadrzecznymi wioskami. Pomagał też byłym rzymskim niewolnikom, którzy

z jakichś powodów chcieli podróżować dalej na południe. Delir spotkał go tylko raz w życiu, kiedy starał się wzmocnić łańcuch ludzi dobrej woli, przyjaciół i znajomych, kiedyś prowadzący aż do obozu w Pirenejach.

- Zakładanie, że wszystko będzie dobrze, nie pomoże nam, jak coś pójdzie nie tak.

- No dobrze, w takim wypadku zapłacimy komuś innemu, żeby nas przewiózł - rzekł Delir z irytacją. - Mamy inny wybór?

- Moglibyśmy poczekać do zmierzchu i ukraść jakąś łódź - zaproponowała cicho Lal.

Zanim Delir odpowiedział, odezwała się Ziyee:

- Dobry pomysł. Nie możemy sobie pozwolić na rozrzutność i nie ma co ryzykować, pytając obcych ludzi. Na pewno nie po tej stronie granicy.

Delir milczał przez sekundę czy dwie.

- Macie rację - odparł w końcu. - Jeśli Mouliego nie będzie, to tak zrobimy. - Oparł się o bok samochodu i spuścił wzrok. - Niech Bóg w niebiosach nam wybaczy, gdyby miało dojść do tego - mruknął sam do siebie.

Lal spojrzała na ojca i pomyślała, że dawne dostatnie życie nawet teraz nie pozwalało mu uwierzyć, iż sprawy mają się aż tak źle, że trzeba uciekać się do kradzieży. Sam wybrał takie życie wraz ze wszelkimi konsekwencjami. Ludzie, którzy mieszkali w tych wioskach, nie dokonali takiego wyboru.

Szybko zapadał zmierzch. Z tyłu ciężarówki Lal ledwo widziała ojca w ciemności. Położyła się na podłodze i zwinęła w kłębek, czując w całym ciele, jak samochód podskakuje na wybojach.

Kiedy na tle zachodzącego słońca ukazały się wieżyczki mostu, Ziyee zjechała z głównej drogi. Rzeka ciągnęła się aż po

horyzont niczym rozedrgane przedłużenie nieba. Widać było białe i czerwone światełka barek, które odbijały się od świetlnych refleksów na wodzie. Ziyę skierowała wóz w ich stronę.

Czuć było, jak pod kołami ziemia robi się lepka niczym glina. Lal zaczynała z wolna wpadać w otępienie, kiedy ze zdziwieniem usłyszała, jak samochód się zatrzymuje. Silnik zakaszał i zgasł. Cokolwiek ich teraz czekało, na pewno nie będzie tak łatwo jak do tej pory.

- Jesteśmy. Zostawimy tutaj wóz? - spytała Ziyę. Delir wychylił się, żeby rozejrzeć się wokoło.

- Nic nie widzę. Gdzie jesteśmy?

- Przy ścieżce. Nikogo nie widzę. Przystań jest przed nami. Pałają się jakieś światła. - Poprawiła chustkę na głowie. - Mogę pójść i zobaczyć, czy Mouli jest tam gdzieś. Jeśli spotkam go na przystani, zaoszczędzi nam to wizyty w wiosce. Lepiej będzie, jeśli oboje tu poczekacie.

- W ciemności nie rzucam się aż tak w oczy - powiedział Delir, szybko prostując obolałe ciało. - Nie jestem blondynem. Pójdę z tobą. Przynajmniej wiem, jak Mouli wygląda. - Stęknął, wychodząc z samochodu. Po drodze dotknął ramienia córki. - Lal - powiedział cicho. - Schowaj się i poczekaj, aż damy ci znak, że jest bezpiecznie.

Lal wyprostowała się i podniosła głowę, gdy ojciec otworzył drzwi i zeskoczył na ziemię.

Ziyę i Delir ruszyli w stronę brzegu. Idąc, wymienili spojrzenia, świadomi, że wciąż pozornie są na siebie rozgniewani i że zaraz im przejdzie.

Niespodziewanie z nadbrzeża wyjechała ciemna, wysoka furgonetka i na ścieżkę przed nimi wyskoczyło dwóch mężczyzn.

- Wasze dokumenty - powiedział jeden z nich po si-

noańsku.

Promień latarki oślepił Delira. Poczuł, jak Ziyę spina się w sposób, który od razu rozpoznał. Nie był to lęk, ale przygotowanie do obrony.

Z furgonetki wyskoczyło jeszcze kilku ludzi. Widząc pistolety i jak wielu jest przeciwników, Ziyę się rozluźniła. Nic nie mogła zrobić. Gdzieś w głębi duszy poczuła ulgę.

Delir nie rozumiał, co do niego mówią, i nie potrafił im odpowiedzieć. Zdawało się, że jego zawsze niezbyt pewna znajomość sinoańskiego nagle się zupełnie ulotniła. Ziyę spróbowała mu przetłumaczyć, mówiąc spokojnie i cicho, ale kazano jej się zamknąć. Jeden z mężczyzn zamierzył się, jakby chciał uderzyć ją w twarz, i kiedy Ziyę zablokowała cios, rzuciono się na nią i szybko skrępowano. Pozostali złapali Delira i odciągnęli go na bok. Trzech mężczyzn skierowało się do ciężarówki Delira i Ziyę. Delir patrzył w stronę Lal, zbyt przerażony, żeby myśleć czy choćby się modlić. Nie wiedział nawet, co by było lepsze - żeby jej nie znaleźli czy żeby ich nie rozdzielili. Miał uczucie, że się dusi.

Mężczyźni wyszli z ciężarówki i zaczęli gwałtownie przeszukiwać zarośla, jednak brakowało im metodyczności. Delir bał się, że serce wyskoczy mu z piersi. Musiała być bardzo, ale to bardzo blisko. Usłyszałaby, gdyby do niej zawołał. Co by się z nią stało, gdyby została tu sama, bez niczego? Co by jej zrobili, gdyby ją znaleźli?

Mężczyźni wrócili i zaczęli go szarpać, pytając, czy był z nimi ktoś jeszcze. Delir zrozumiał pytanie i zdołał wyszeptać:

- Nie.

Lal siedziała w kucki pomiędzy mokrymi trzcinami, sparaliżowana ze strachu. W powietrzu unosiły się setki owadów; jej prawa stopa i dół sukienki zanurzyły się w brudnej,

cieplej wodzie. Miała uczucie, jakby przeniesiono ją tutaj we śnie i następnie gwałtownie obudzono - tak szybko schowała się w porośniętych trzcinami błotach za ciężarówką, że nawet tego nie pamiętała. Przycisnęła ręce do twarzy i rozpłakała się. Z początku chciała tylko sobie ulżyć, broniąc się przed atakiem paniki i poczuciem bezradności. Kiedy dobiegły ją odgłosy odjeżdżającej furgonetki i wozów policyjnych, wybuchnęła szloch, bojąc się podnieść głowę i spojrzeć za nimi, bojąc się nawet słuchać. Ojca i Ziyę zabrano. Powieźli ich tą samą drogą, którą przyjechali, w kierunku autostrady. W ciszy słyszała jedynie własne łkanie. Bezustannie wmawiała sobie, że wszystko będzie w porządku. W końcu cisza zaczęła wypełniać się triumfalnym brzęczeniem komarów i ćwierkaniem ptaków, znad rzeki napływały syreny barek, a w oddali słychać było samochody na autostradzie.

Lal niezdarnie otarła twarz i wytarła ubłocone dłonie w zarośla i sukienkę. Następnie wstała i wyszła na ścieżkę. Nie miała nic poza tą idiotyczną torebką z kosmetykami, która cały czas zwisała jej z ramienia. Stała na ścieżce, pociągając nosem i zastanawiając się, w którą stronę się udać.

*

Marek zobaczył pięć czy sześć niewielkich dzikich koników o sierści koloru miodu, beztrósco poruszający się przez porośniętą rzadką trawą step. Stado przeszło płasającym krokiem przed jego oknem, kierując się na wschód, i szybko zniknęło za horyzontem. To były pierwsze od wielu dni zwierzęta, jakie zobaczył na tym ciemnobrązowym pustkowiu. Poczował, że w środku zaczyna się gotować z gniewu. Od czasu wyjazdu z Bian nie pozwalano mu nawet zbliżyć się do daldictora czy dalwizora. Naokoło niego zachodziły zmiany, o których nie

miął pojęcia. Nawet kiedy pociąg jechał trzysta mil na godzinę przez równiny Czak, jednostajna monotonia zdawała się aż oślepić: nie mając na czym się zatrzymać, oczy szybko się nużyły, pociąg zdawał się wlec niemiłosiernie, a czas gdzieś się rozpląwał. Na tle miast, lasów czy gór szerokie, proste srebrne nitki magnetokolei wydawały się imponującym osiągnięciem, dowodem brutalnego, rzymskiego panowania nad ziemią. Tutaj, wśród tych bezkresnych równin i bladego nieba, kurczyły się do wręcz dzieciennych rozmiarów, przypominając starożytnie drogi zagubionych cywilizacji, z których zostało jedynie kilka luźnych kamieni, nieprowadzących już donikąd. Pewnego dnia taki sam los czekał Jedwabny Szlak, a trawy zdawały się pochylać nad nim, gotowe zarosnąć blizny.

Marek wystukiwał palcem na stole nerwowy rytm, czując drobną satysfakcję na myśl, jak irytujący musi być ten hałas dla stojących na końcu przedziału żołnierzy. Czuł, jak skóra napina się i twardnieje, coś paliło mu wnętrzości. Bardziej przypominało to jakąś powolną reakcję chemiczną zachodzącą w jego ciele niż niepokój pojmanego zwierzęcia.

Prywatny cesarski pociąg stracił dwa dni na granicy z Sarmacją. Wypolerowany na wysoki połysk pociąg zdawał się zupełnie nie na miejscu na tej małej, posępnej stacji obskurnego miasteczka górniczego, w którym normalnie nigdy by się nie zatrzymali. Żołnierze wyjaśnili mu, że dostali polecenie czekać, aż pojawi się ktoś odpowiedni rangą, kto będzie mógł odeskortować go do Rzymu. Marek zgrzytał zębami, ale nie chciał tracić energii na jałowe kłótnie. Następnie w pociągu pojawił się zarządca Rokselanii. Był to niski, ponury mężczyzna, który ciągle powtarzał: „Niestety, mam wyraźne instrukcje” lub „Przykro mi, ale nie mam wyboru”. Przez następne dni Marek przyglądał się, jak mężczyzna czerpie coraz większą

satysfakcję ze swojej władzy. W tym czasie pociąg przejechał kilkaset mil i po cichu skręcił na jakąś zapomnianą boczną linię, która mogła służyć kiedyś do transportu miedzi czy fosforanów. Zatrzymali się na dobre.

- Musimy tutaj przeczekać, panie. Dalej na zachodzie tory zostały zniszczone przez powódź.

- Tutaj nie ma powodzi - zauważył ponuro Marek, nie licząc na to, że zawstydzony urzędnik przyzna się do kłamstwa, ale po to, żeby pokazać, że nie wierzy jego słowom.

- W moim kraju pogoda jest bardzo zmienna.

Pociąg był dobrze zaopatrzony. Do wagonu strażników i służących doczepiono jeszcze jeden dla zarządcy. Wagon Marka był wyłożony jedwabnymi dywanami z Baktrii; ściany obito skórą koloru rdzy i ozdobioną złotymi stemplami lub boazerią z cedru i pomalowano we wzory liści laurowych. Jeden wagon został podzielony jedwabną zasłoną na sypialnię i eleganckie pomieszczenie, które nazywano jego gabinetem. Na biurku z marmurowym blatem stał ozdobny zegar, na ścianie wisiał złożony barometr i fotografie rodziny cesarskiej, w tym także rodziców Marka. Nie było tu jednak żadnych artykułów piśmienniczych. W części dziennej, gdzie Marek jadł posiłki razem z zarządcą, wąski sufit był ozdobiony freskami pełnymi złożonych wieńców. Nad stołem unosili się Romulus i Remus, pochyleni nad fundamentami Rzymu. Posiłki, podawane w tym otoczeniu, były ledwo jadalne. Codziennie to samo danie z jakiejś mięsnej brei, która była tak okropna, że stawała Markowi w gardle. Był to najlepszy dowód na to, że ich postój był z góry zaplanowany. W miasteczku górniczym musiano przygotować zaopatrzenie, inaczej spożywaliby dania z puszek, żeby wyżywić dwadzieścia cztery osoby przez tyle dni. Marek zmuszał się do jedzenia wszystkich posiłków, patrząc z satysfakcją,

jak zarządca z obrzydzeniem grzebie w talerzu. Marek bez protestu poddawał się tej codziennej udręce. Nic nie mógł zrobić. Nie chciał na dodatek tracić sił.

Namalowany na oknie orzeł i motto cesarstwa zasłaniały widok na płaski krajobraz. Marek nie miał pewności, czy dowiedziałyby się o wybuchu wojny. Siódmego dnia postoju, kiedy brązowe koniki zniknęły za horyzontem, zastanawiał się, czy przeżyły całe swoje życie, nie zdając sobie nawet sprawy z istnienia cesarstwa. Myśl, że to możliwe, dodawała mu otuchy.

Pierwszego dnia, kiedy Marek wyszedł z wagonu na niewielki balkonik, zarządca pospiesznie ruszył za nim, mówiąc, że dostał instrukcje, żeby mu na to nie pozwalać. Marek pohamował się przed walnięciem w coś pięścią i uderzył jedynie dłonią w poręcz balustrady.

Pusty step i tak skuteczniej więził go niż kraty. Nawet nie miał pojęcia, ile musiałby iść przez zamarznięte pola, żeby stracić pociąg z oczu.

- Twoje instrukcje są twoim problemem. Nie obchodzą mnie, podobnie jak i ty. - Przeszedł przez barierkę, zeskoczył na trawę i ruszył przed siebie szybkim krokiem. Usłyszał za sobą odgłosy zamieszania i rozzłoszczone krzyki, ale się nie odwrócił. Gdyby oddalił się za bardzo, musieliby go sprowadzić siłą, ryzykując, że zrobią mu przy tym krzywdę. To, do czego by się posunęli, było miarą jego pozycji lub władzy Druzusa. Nie chciał ich prowokować dla samej przyjemności. Jeśli uda mu się oddalić na taką odległość, że przestanie ich słyszeć, jeśli dojdzie do granicy własnej wściekłości, przynajmniej udowodni coś w ten sposób.

Wśród traw spostrzegł małe różowe i żółte kwiatki, których nie widział z pociągu. Były pomarszczone i cienkie jak

papier. W oddali niebo przypominało cienką, niebieską linię. Przypomniawszy sobie, jak miał szesnaście lat i opuszczał dom, pozbawiony wszystkiego. Czuł, jakby patrzył wstecz przez całe dziesięciolecie, jakby połowa życia pełnego wątpliwości i podziałów oddzielała go od czegoś prawdziwego i czystego. Dopiero teraz dotarło do niego, czemu luksus, w jakim podróżował, czynił to wszystko bardziej nieznośnym. Zupełnie jakby sądzili, że nie może żyć bez niego, jakby przewozili egzotyczną rybę, która musi mieć stworzone specjalne warunki do przetrwania. Do diabła z wami, pomyślał. Dałbym tu sobie radę. Na pewno lepiej od was.

Nie chciał wracać potulnie do wagonu jak nadąsane dziecko. Wezwał jednego z ludzi, zażądał jego płaszcza i pomaszerował w stronę pociągu z trzęsącym się z zimna żołnierzem idącym dwa kroki za nim.

Wygrał tę rundę, ale zarządca nie czekał długo, żeby się zemścić. Większość luksusowo oprawionych książek w gabinecie była zupełnie bezużyteczna i ustawiona tam w celach dekoracyjnych, ale Marek znalazł pomiędzy nimi kilka atlasów. Tej nocy rozłożył je na marmurowym stole. Najpierw przeglądał uważnie strony z regionu Kazak w Sarmacji, starając się zorientować, gdzie stoi ich pociąg. Następnie wziął atlasy Terranowy i Tokogane i zaczął szukać, gdzie znajdują się pokłady złota i innych minerałów, gdzie wyrysowano zmiany klimatyczne, biegi rzek. Mógł przynajmniej odświeżyć swoją wiedzę z geografii.

- Robi się późno, czy nie powinieneś się położyć, panie?

Nie było jeszcze późno, Marek był tego pewien. Słońce schowało się za widnokręgiem dopiero parę godzin temu. Marek nie do końca ufał zegarowi stojącemu na biurku. Czasami zastanawiał się, czy może się póżnić. Nie dawało mu to

spokoju, ponieważ bez tego zegara nie miał pojęcia, jaki jest czas w Bian czy w Rzymie.

- Naprawdę powinieneś iść spać, panie.

Marek dalej go ignorował. Chciał posiedzieć jeszcze trochę nad mapami, zapamiętując wszystkie szczegóły, aż poczuje się zupełnie wyczerpany. Zarządca zniknął na chwilę i kiedy Marek przewracał stronę, nagle zgasły światła. Przez okna zobaczył gwiazdy, wielkie i jasne. Siedział nieruchomo w ciemnościach, czując, że wściekłość odebrała mu mowę. Nie musiał zapalać lamp w sypialni, żeby wiedzieć, że wyłączono prąd.

W ciemnościach rozległ się pełen satysfakcji głos zarządcy:

- Niestety nie mam wyboru. W obecnej sytuacji musimy oszczędzać prąd.

Marek przez cały dzień starał się odsunąć od siebie myśli o Unie i Wariuszu. Każdego dnia przekonywał siebie z niepokojem, że dobrze mu się to udaje. Silna wola nie zawodziła go, jednak każdej nocy dręczyły go sny, coraz bardziej szczegółowe i realistyczne. Budził się z nich przed świtem, z drżeniem i poczuciem ulgi, zanim przypomniał sobie, gdzie jest i co przyniesie mu dzień. Śniło mu się, że jedzie z Uną samochodem, pędzą na złamanie karku przez sieczone deszczem ze śniegiem Pireneje. Błagał ją, żeby zwolniła, ale Una odpowiadała, że nie może, bo samochód sam jedzie. W tym momencie przekonywał się, że nie jest już w samochodzie, tylko stoi w bezpiecznej odległości na śniegu i patrzy, jak pojazd spada w przepaść. Innym razem widział, jak Una wchodzi do domu jego rodziców w Tusculum, i czuł mdłości na myśl, że nie zdąży jej dogonić, zanim dom się zawali i pogrzebie ją w swoich ruinach. Jeszcze kiedy indziej byli w pałacu i Faustus, nagle

zdrowy i pełen władzy, mówił mu, że Wariusz został stracony czy też popełnił samobójstwo, co było jeszcze trudniejsze do zniesienia. Faustus z początku przekazywał mu wyrazy współczucia, ale wkrótce zaczynał rzucać oskarżenia i Marek, który nie pamiętał, na czym polega jego wina, z przerażeniem, które czasami go budziło, przypominał sobie wszystko. W jego snach Wariusz zawsze był nieobecny, najczęściej martwy, podczas gdy Una żyła, ale groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo, lub umierała na jego oczach. Raz tylko, kiedy związał się z bólu po otrzymaniu wiadomości, scenografia zmieniła się nagle, jak to czasami bywa w marzeniach sennych. Marek zobaczył Wariusza w małym pokoju przypominającym jego gabinet w klinice, jak siedzi za biurkiem i wpisuje kolumny cyfr do księgi przychodów.

- Wariuszu - powiedział z ulgą Marek, mimo że nastrój snu był lodowaty i przeniknięty atmosferą horroru. - Myślałem, że nie żyjesz.

- Nie - odparł spokojnie Wariusz jakimś nieobecnym tonem - dopiero jutro zginę.

- Więc nie możesz tu zostać - rzucił z desperacją Marek, gdyż Wariusz nie odrywał wzroku od swojej pracy. - Chodź ze mną.

- Już się zaczęło i nie da się zatrzymać - rzekł Wariusz z jakąś niesamowitą pewnością, jednocześnie zapisując coś w księdze. Było w nim coś nieludzkiego.

- A co z Uną? - spytał błagalnym tonem Marek.

- Powiesili ją wczoraj w Edo. Nie wiedziałeś?

*

- Musimy omówić pana rozmowę z cesarzem. Może się okazać, że przez jakiś czas pogoda nas tutaj zatrzyma, ale jeśli

zdrowie cesarzowi dopisze, w końcu uzyska pan audiencję. Musi pan wiedzieć, co chce mu powiedzieć.

Marek rzucił mu ostre spojrzenie.

- Zwracaj się tak do swoich podwładnych, a nie do mnie.

Mężczyzna spuścił oczy w wyrazie skruchy.

- Obawiam się, panie, że nie ma pan innej możliwości, jak oddać cesarski pierścień.

Marek spojrzał chłodnym wzrokiem na złoto, które połykiwało na jego stukającym o blat palcu.

- Decyzja należy do mnie. Jak dotąd nikt mi go nie zabrał. Czy to nie ciekawe?

- To tylko formalność - wyjaśnił zarządca.

- Nie sądzę, żeby mój kuzyn zaprzętał sobie głowę takimi formalnościami, gdyby uważał, że ujdzie mu to na sucho.

Zarządca cofnął się odrobinę i spojrzał na strażników stojących na końcu przedziału. Na jego ustach pojawił się uśmiešek, jakby sam chciał się uspokoić. Markowi przyszło do głowy, że mężczyzna upewnił się, iż może liczyć na ochronę, na wypadek gdyby Marek go zaatakował. Poczłł niepokój.

- Nie zamierzam spekulować, co pan wiedział, a czego nie wiedział o intencjach pana przyjaciół. Tak samo jak nie interesuje mnie, czy czerpał pan korzyść z choroby cesarza. To nie moje sprawy. Imperator wie jednak, że został pan nieodwołalnie skompromitowany jako cesar przez zadawanie się z ludźmi, którzy chcieli zniszczyć Rzym. Bez względu na to, jak pan jest niewinny czy czuje się niewinny.

- W takim razie moja współpraca jest zbędna.

- Przykro mi, ale nie jest pan w pełni świadom rozwoju sytuacji.

Marek uśmiechnął się gorzko, ale czuł przez skórę, jak narasta napięcie, zupełnie jakby ktoś odkręcił kurek.

- Nie. Nie jestem.

Zarządca mlasnął i położył teczkę na stole.

- Zostałem upoważniony, żeby uświadomić panu kilka spraw.

Marek spojrział na teczkę, starając się ukryć niepokój.

- A to skąd się wzięło? - spytał sarkastycznie.

Ostatni wagon przewoził kilka samochodów - cesarski pojazd, w którym Marek został wywieziony z Bian, i parę wytrzymałych wozów wojskowych. Marek widział, jak zarządca dwukrotnie był wieziony w stronę głównej linii magnetokolei. Wzdłuż głównej linii musiały być rozlokowane stacje mające daldictory. Zapewne zarządca jeździł po nowe instrukcje, którymi tak się przechwalał.

- Przekazałeś swojego doradcę i... ech... kochankę, naszym wrogom, panie. Muszę powiedzieć, że ta taktyka rzuca złe światło na nich wszystkich. Oczywiście trwają negocjacje mające na celu oddanie ich w nasze ręce.

- Zgodzili się ich oddać? - Pytanie wymknęło mu się wbrew woli. Zupełnie zaschło mu w ustach.

- Z pewnością się zgodzą. Prawdopodobnie jutro, najpóźniej pojutrze. To tylko kwestia warunków, na jakich ma do tego dojść. Tymczasem nie są to jedyne osoby, których wpływ na sprawy państwowe wyszedł ostatnio na jaw. Jest jeszcze Nowianus Sulien. - Mężczyzna wyjął z teczki pomietą i poplamioną tunikę i dużą fotografię przedstawiającą trzech mężczyzn, którzy niczym lekarze stali pochyleni nad stołem, z narzędziami w ręku. Na stole leżał na w pół nagi, przywiązany i z wyłamany ramionami Sulien. Tunika została rozpruta od szyi aż po pas, a postrzępione brzegi miały kolor zakrzepłej krwi.

Marek odniósł wrażenie, że doszedł go skądś odgłos

uderzenia, jakby drewniany młot walnął w mokry cement. Siedział nieruchomo i spróbował w myślach wymówić imię Suliena. Niemal obojętnie zauważył, że nic nie czuje. Dalej siedział w milczeniu.

- Wygląda na to, że miał jakieś tajne informacje. Udało mu się unikać wigilów przez pewien czas, ale dwa dni temu został złapany w Tarkwinii. Od tej pory jest przesłuchiwany.

Marek odetchnął głębiej. Wziął zdjęcie z rąk mężczyzny i nie oglądając go, odwrócił i położył na stole. Przykrył je dłonią. Od białej powierzchni odbijało się światło.

- Mam do ciebie pytanie.

- Powiedziałem panu tyle, ile mi wolno.

- Nie o to chodzi. Chcę zapytać, czy wiesz, co ryzykujesz. Masz mnie do czegoś przekonać. Sam fakt, że jest to konieczne, powinien cię ostrzec, że jeszcze teraz mam więcej władzy, niż podobałoby się to mojemu kuzynowi. A także to, że wynik tej rozgrywki to nic pewnego. Sprawy mogą się potoczyć, jak życzy sobie mój kuzyn i ty. Jeśli nie... to znowu będę najpotężniejszym człowiekiem w imperium. I na pewno o tobie nie zapomnę.

Przyglądał się uważnie zarządcy. Powieki mężczyzny uniosły się i zatrzepotały z przerażenia.

- Panie! Zrobiłem wszystko, żeby przebywał pan tutaj zgodnie ze swoją pozycją. Nie ja odpowiadam za tę sytuację - zaprotestował.

Marek przyglądał mu się obojętnym wzrokiem, nie odzywając się ani słowem.

Zarządca zawahał się i nerwowo zaczął się wiercić na krześle. W końcu nachylił się, jakby nie chciał, żeby go podsłuchano.

- Musi pan zrozumieć. Władzę ma teraz Druzus Nowiusz.

Co ja mogę? Nie zignoruję przecież instrukcji.

- Trudna sytuacja. Nie liczyłbym jednak na moje współczucie.

- Gdyby nie ja, byłby to ktoś inny.

- Może.

- Nie mam wyboru - powiedział proszącym głosem urzędnik.

Teraz przypominał błagające dziecko.

- Masz dziesiątki możliwości. Nawet z pistoletem przy głowie miałbyś wybór. Zastanów się.

Zarządca zamrugał i zdawało się, że z jego twarzy znikły wszystkie uczucia. Po chwili odchrząknął i niemal ukradkiem sięgnął po zdjęcie. Odwrócił je i podsunął ostrożnie Markowi, tak że brzeg fotografii zrównał się z krawędzią stołu. Dopiero wtedy spojrzał ostrożnie na Marka i ponownie odchrząknął.

- Doskonale - powiedział Marek.

Zmusił się do spojrzenia, mimo że miał uczucie, jakby przeciskał twarz przez jakąś siatkę, która ciągnie go za skórę i mięśnie.

- Tylko to jedno zdjęcie masz mi do pokazania? - spytał. Nie mówił, żeby wyrazić coś, co myślał czy czuł, ani po to, żeby uzyskać jakieś odpowiedzi. Myślał na głos, starając się uporządkować swoje reakcje w słowa i zapanować nad nimi. - Ci ludzie? Wyglądają jakoś wyraźniej niż mój przyjaciel, jakby zdjęcie było tutaj ostrzejsze. Ciekawe dlaczego? - Odwrócił zdjęcie, tak żeby zobaczyć Suliena w pionie. Zmrużył oczy na chwilę, ale nie potrafił wmówić sobie, że to nie Sulien. Głowa była odrzucona do tyłu, usta otwarte, wargi odsłaniały zęby. Sulien cierpiał w tym ponurym pokoju. Marek zastanawiał się, czy gdyby usunąć otoczenie, to twarz mogłaby wyrażać co innego? Gdyby Sulien stał, zamiast leżeć, gdyby nie był związa-

ny, a na ciele miał ubranie, to mogłoby to być zdjęcie mówiącego, może nawet śmiejącego się Suliena. To ta cela, nagi tors, bezbronna pozycja, obojętność oprawców, to wszystko nadało sens zdjęciu. Jeden z mężczyzn stał na wysokości ramion i szyi Suliena, zasłaniając je przed obiektywem. Głowa Suliena wystawała z jego lewej strony. Jeśli nałożyli jakieś stare zdjęcie na zainscenizowaną scenę, to mężczyzna świetnie się ustawił, żeby zasłonić miejsce połączenia.

Jeśli tak, to zrobiono to niemal perfekcyjnie. Patrząc na fotografię, Marek nie mógł powiedzieć: Och, to przecież zdjęcie Suliena z obchodów pierwszej rocznicy kliniki czy z czasu, kiedy odwiedził mnie w Atenach.

Z zaciekawieniem wziął do rąk ubranie Suliena.

- Tak, pamiętam ten strój - mruknął cicho. Sulien miał go około roku. Nosił tego wieczoru w mieszkaniu w Transtiberinie, kiedy siłowali się dla żartu. Była to tunika z bawełny w kolorze jasnego indygo. Teraz kolor nieco zbladł, a nietypowy wzór nadruku miejscami popękał: duży, biały węzeł celtycki, gwałtownie rozdarty na dwoje cięciem noża, które szło od samego gardła w dół. Marek przypomniał sobie, jak Sulien twierdził, że kupił ją, by zażartować ze skarg Uny, iż pozbył się brytyjskiego akcentu. Tunika była także na zdjęciu. Zwisiała luźno z wygiętego w łuk ciała.

- To przypadek, że miał na sobie akurat tę tunikę, którą najłatwiej bym skojarzył? Jest całe mnóstwo jego ubrań, które mogliście przynieść i których bym nie rozpoznał. A te ślady? Jest oczywiste, jak mają mi się skojarzyć, ale skąd mam wiedzieć, czy to krew, a co dopiero czy to jego krew? Jeśli mogliście przywieźć te dowody, to czemu nie przywieźliście jego? Czemu nie pokażecie mi, że go macie i co mu zrobiliście?

- Zobaczysz go, panie, w Rzymie. Nie wiem, w jakim bę-

dzie stanie - odparł szybko urzędnik i Marek spuścił wzrok. Udało mu się przekonać samego siebie do sceptycyzmu, ale kiedy ponownie spojrzął na zdjęcie i podartą tunikę, nie miał pojęcia, czy wciąż ma wątpliwości. Przed nim leżało zdjęcie torturowanego Suliena.

- Wymyślanie jakiejś teorii spiskowej nie spowoduje, że nieprzyjemne rzeczy znikną. To prawdziwe zdjęcie.

- Nawet gdyby nie było, nie miałbyś o tym pojęcia - odparł znużonym głosem Marek.

Najwyraźniej urzędnik nabrał znowu pewności siebie, a dodatkowo chciał zapomnieć o swoim wcześniejszym wahaniu.

- Wiem, że nie chcesz, panie, spojrzeć prawdzie w oczy, ale mam za zadanie naświetlić ci sytuację. Czy nie dostrzegasz, że nie możesz dalej dzierżyć władzy? Człowiek, na którym polegałeś, panie, teraz wszystko wyzna.

Marek nic nie odpowiedział. Urzędnik westchnął cierpliwie.

- Radziłbym, panie, wyznać cesarzowi, że za bardzo polegałeś na ludziach niegodnych zaufania. Myślę, że powinieneś powiedzieć: „Byłem zbyt młody na przyjęcie takiej odpowiedzialności. Pozwoliłem sobą kierować. Lepiej, żeby ktoś starszy przejął władzę”.

- Więc nie powinienem tego powiedzieć własnymi słowami? - zapytał Marek. Oparł się wygodnie i założył nogę na biurko. Nagle poczuł, że nie musi ani nie ma ochoty dłużej tego tolerować. - Bardzo dobrze. Powiem, co tylko sobie życzycie - zapewnił niemal beztrósco.

Zarządca spojrzął na niego niepewnie.

- Łatwo to panu teraz mówić.

- Rozumiem, że zabijecie go, jeśli tak nie powiem. Aluzja

nie jest zbyt subtelna - wypluł z siebie Marek, zapominając o lekceważącej pozycji, którą przed chwilą przyjął, i pochylając się do przodu.

Zarządca cofnął się i uniósł siwe brwi.

- Nie ja, panie - odparł z dezaprobatą.

RATUNEK

Lal szła przed siebie w zniszczonych butach, gdy promienie wschodzącego słońca rozlały się czerwienią na falach Długiej Rzeki niczym cenny olej. Odwróciła się, żeby spojrzeć na rzekę. Jej piękno mogło wprowadzić w błąd. Przynajmniej wiedziała, że idzie na zachód, co w ogólnym rozrachunku stanowiło najlepsze wyjście. Jęknęła z wyczerpania i wstydu, że wpadła na to po tak długim czasie. Jak mogłaś tak stracić wyczucie kierunku? Nie potrafiła nawet powiedzieć, jak daleko jest od Jiangning. Do tej pory udało jej się jedynie określić, co jest niemożliwe. Nie mogła przekroczyć rzeki; zresztą bez pieniędzy i tak nie miało to sensu. Policja zatrzymała ich na skraju wioski Mouliego, więc nie mogła iść w tamtym kierunku. Z tego samego powodu było zbyt niebezpiecznie wracać do Jiangning. Mogła tylko iść tą wyboistą ścieżką wzdłuż rzeki, licząc na to, że znajdzie gdzieś daldictor. Brzmiało to rozsądnie dopóty, dopóki to sobie powtarzała - z pewnością ojciec każałby jej tak postępować. Mimo to wciąż nie była przekonana i bała się, że podjęła przypadkową decyzję tylko po to, żeby coś zrobić. Gdy już dotrze do daldictora, pozostanie tylko wierzyć, że Liuyin jej pomoże. Musiał. Później zdoła pomóc ojcu i Ziyę. To nie było wcale nierozsądne. Gdyby tylko mogła się z nim skontaktować, gdyby tylko Marek wiedział, co się stało, z pewnością zrobiłby wszystko, co w jego mocy, by im pomóc. Za nią autostrada biegła ponad polami uprawnymi, na których rosły słodkie ziemniaki i pasły się bawoły. Lal pochlipywała od czasu do czasu, niemal z przyzwyczajenia ocierała zaczerwienione policzki. Czasami przyłapywała się na tym, jak pod nosem mamrocze słowa zachęty: Będzie dobrze. Wszystko w porządku.

Zaczynało burczeć jej w brzuchu z głodu. Zjadła garść surowej fasoli, którą zerwała na mijanym polu i wrzuciła do torebki zwisającej z ramienia, zanim robotnicy weszli pomiędzy rzędy upraw. Szybko poczuła, jak żołądek buntuje się przeciwko surowemu jedzeniu.

Kiedy zrobiło się jaśniej, Lal uklękła i zaczęła grzebać w torebce, bezwstydnie modląc się do Boga, żeby znalazła jakieś pieniądze. Głęboko w rogu odkryła trzy małe monety, brudne i dawno zapomniane. Nie zapłaciłaby nimi nawet za fasolę, którą zjadła.

Rozczesała swoje czarne włosy i pozwoliła im opaść na twarz, zasłaniając ją częściowo po bokach. Jej podarte ubranie niepotrzebnie przyciągało uwagę. Na dodatek była nieprzytomna z niewyspania. No cóż, nic nie mogła poradzić na to, że nie jest Sinoanką. Mogła tylko liczyć, że otaczający ją rolnicy nie słyszeli o aresztowaniu imigrantów. Kilka godzin temu jeszcze tego nie podano do publicznej wiadomości. W okolicy z pewnością nie było dalwizji. Na pewno dla policji nie była najważniejsza. Nawet jeśli wiedzieli o jej istnieniu. Miała tylko siedemnaście lat i była sama.

Jeśli nie ma dalwizji, to nie ma też daldictora.

- Dokąd idziesz? - Z pola, gdzie w wodzie po kolana stało kilka wychudzonych bawołów, wyszła kobieta i stanęła przed nią na ścieżce. Ubranie, na które składało się kilka wyblakłych bawełnianych szmat, zwisało z wychudzonego ciała i było równie wymazane błotem, jak sukienka Lal. Dodało to dziewczynie odrobinę otuchy. Na pierwszy rzut oka kobieta wyglądała na bardzo starą. A jednak zmarszczki na jej twarzy nie były głębokie, a skóra jeszcze jędrna. Musiała mieć jakieś czterdzieści parę lat - nie więcej niż Ziye - ale była mocno zniszczona przez życie. Jej chude ręce były silne i tak zasuszo-

ne, jakby kobietę poddano procesowi kondensacji, po którym został jedynie sam osad. Proste ciemnoszare włosy opadały w strąkach na plecy. Kobieta związała je kawałkiem drutu. Nieufne oczy osłaniał słomkowy kapelusz.

- Potrzebuję skorzystać z daldictora - powiedziała Una. *Yuan hua*.

- Tutaj? - zdziwiła się kobieta. - Nie ma u nas takich rzeczy. Tu na wsi nic się nie zmienia, nie ma nawet co się wysilać.

- Wiem. Wiem. Muszę się dostać do miejsca, gdzie znajdę daldictor.

- Jesteś *wo*? - Nionianką.

Lal na chwilę aż zatkało.

- Nie - zaprzeczyła. Jednak granica nie była daleko. Jeśli kobieta nigdy nie widziała cudzoziemców i nie oglądała dalwizji... Lal zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, zaprzeczając.

- Więc jesteś z Indii czy skąd? A może Rzymianka? Na pewno nie jesteś Sinoanką.

- Ależ jestem - powiedziała Lal, zaperzając się. - Nie jestem... nie jestem z Hanków. Jestem Mongołką. Z północy. Słyszałaś o Mongolii?

- Przecież nawet nie mówisz dobrze po sinoańsku.

- U nas mówimy innym językiem. - Lal zawahała się. Przez chwilę zapas kłamstw się wyczerpał i wyimaginowana ojczyzna spowodowała, że do oczu napłynęły jej łzy. Nie próbowała ich powstrzymywać. Wycieranie łez z twarzy pozwalało jej uniknąć kolejnych pytań.

Kobieta westchnęła i podeszła bliżej, żeby poklepać ją po ramieniu z wyrazem lekkiego rozdrażnienia.

- Nieważne. Nie przejmuj się - powtarzała machinalnie, aż Lal przestała płakać. - Co tu robisz?

Lal wydukała jakąś historyjkę o tym, jak przyjechała na

południe w poszukiwaniu pracy, została oszukana i okradziona. Nie potrafiła powiedzieć, czy kobieta jej uwierzyła. Sam fakt, że odpowiedziała na pytanie, dodawał jej wiarygodności. Na pierwszy rzut oka było widać, że się zgubiła.

- W Jingshan jest daldictor, ale jak sobie dasz radę bez pieniędzy? Jadłaś coś przynajmniej?

- Nie bardzo. Coś wymyślę. Muszę tylko... muszę tylko porozmawiać... - Łzy znowu zaczęły cisnąć się do oczu, gdy chciała powiedzieć „z rodziną”, ale tym razem się opanowała. - Znam syna jednego urzędnika - powiedziała zgodnie z prawdą. - Pomoże mi. Jak to daleko?

Kobieta znowu westchnęła ciężko.

- Może Geng mógłby cię tam zawieźć Szóstego Dnia - rzekła cierpliwie gderliwym tonem.

- Och! - Lal jęknęła z wdzięczności i niepokoju. - Dziękuję... - Nie

mogła dokończyć targana niepokojem. Był dopiero Drugi Dzień.

- Szóstego Dnia jest targ. I tak nie dotrzesz tam szybciej. Na pewno nie pieszo.

Lal zawahała się, lecz zaraz uśmiechnęła się promieniście i zaczęła wylewnie dziękować kobiecie, która tylko szorstko skinęła głową. Lal domyśliła się, że jej gadatliwość zawstydziała nieznaną, która pewnie uznawała ją za brak taktu. Tym trudniej było jej przestać dziękować.

Jak się okazało, Geng był jej synem, równie chudym i zniszczonym jak matka i mimo że nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat, zaczynał łysieć. Pojawił się około południa, kiedy Lal, która od sześciu godzin pracowała przy ścinaniu sierpem trzciny cukrowej, ledwo trzymała się na nogach. Jego matka zawołała Lal i zaczęła mu wyjaśniać jej problem. Lal

spozstrzegła, że Geng nie słucha jej uważnie. Jego spojrzenie spowodowało, że poczuła się niewyraźnie.

- Jesteś z Persji? - zapytał Geng.

Lal zapanowała nad dreszczem przerażenia.

- Nie - odpowiedziała spokojnie. - Jestem Sinoanką. Przyjechałam z Mongolii.

To było okropne. Pomyślała, że policja musi jej jednak szukać.

- Na drodze są ludzie w jakimś urzędowym samochodzie i wypytują wszystkich o perską dziewczynę. To na pewno nie są Sinoańczycy, tylko Rzymianie. Mają ze sobą tłumacza.

Oszołomiona ze zmęczenia i ciągłego strachu Lal poczuła pustkę w głowie. Dopiero po chwili wróciła nadzieja. Marek musiał dowiedzieć się o aresztowaniu Delira i Ziyę i przysłał tych ludzi.

- Są tam jeszcze? - zapytała pośpiesznie.

- Jak odchodziłem, to jeszcze stali. Zatrzymywali wszystkie samochody. Czyli to o ciebie pytali.

Jego matka prychnęła pogardliwie, ale poza tym miała obojętną minę. Na twarzy Genga pojawił się niepewny uśmiech.

- Przepraszam - powiedziała Lal, z trudem łapiąc oddech. - Gdzie oni są?

Geng wskazał jej kierunek. Uczucie euforii dodało jej sił i zapominając o zmęczeniu, puściła się biegiem. Po dwudziestu minutach dotarła do głównej drogi. Chwiejąc się na nogach i ledwo dysząc, zatrzymała się przy grupie wieśniaków, którzy czyścili grabiami jęczmień rozsypany na asfalcie do wyschnięcia. Oderwali się od pracy, żeby przyjrzeć się jej z zaciekawieniem.

Lal dostrzegła samochód połyskujący ciemno w oddali.

Obok niego stało trzech mężczyzn i rozmawiało. Z pewnością jeden z nich nie był Sinończykiem. Znajdował się dostatecznie blisko, żeby zobaczyć jego blond włosy. Mężczyzna odwrócił się i wszedł do samochodu. Rozklekotana ciężarówka, którą zatrzymali, właśnie zbierała się do odjazdu. Lal zmusiła swoje obolałe ciało do biegu, wołając za nimi i machając rękami.

Ktoś z wieśniaków stojących bliżej samochodu musiał domyślić się, kim jest, ponieważ zawołał w stronę samochodu. Jednak Rzymianie nie widzieli jej ani nie słyszeli. Zobaczyła, jak czerwone zasłony błyszczą w słońcu, kiedy zamykano drzwi, i ludzie Druzusa odjechali.

*

Wariusz stał zwrócony plecami do drzwi, starając się na nie nie patrzeć. Serce waliło mu w piersiach tak gwałtownie, że czuł, jakby zaraz miało wyskoczyć. Każdy oddech był niczym niepewny uchwyt na skale i wymagał wręcz niewyobrażalnego wysiłku. I tak było lepiej niż kilka godzin temu. Chodząc tam i z powrotem, czuł, jak narasta w nim napięcie, aż w końcu wszystko pociemniało i poczerwieniało, przez jego ciało przebiegły dreszcze niczym wiatr przez linie wysokiego napięcia i miał tylko tyle siły, żeby opaść na fotel, a nie na podłogę. Tak bardzo pragnął znowu trzeźwo myśleć. Na razie jednak nie odważył się na nic więcej, jak na obserwację powtarzających się wzorów na dywanie. Brzydził się własną słabością, nie mogąc zapanować nie tyle nad strachem i obawą przed tym, co mogło przynieść jutro, ile nad koszmarem, w którym tkwił. Siedział w tym pokoju już całą dobę.

Do tej pory nie miał żadnych pretensji do Nionian. Traktowali go dobrze i miał nadzieję, że tak samo obchodzą się z Uną. Nie wiedział jednak, gdzie Una się znajduje. Od po-

czątku było oczywiste, że Nionianie nie wiedzą, co z nimi zrobić. Wariusz i Una zostali odprowadzeni do pokoju konferencyjnego, gdzie pilnowała ich grupa strażników i niższych rangą szlachciców. Po krótkiej i niezręcznej ciszy wybuchła kłótnia o więźniów, z której nie zrozumieli ani słowa. W tym czasie ktoś musiał znaleźć dla nich miejsca w pawilonie, gdyż rozdzielono ich i zaprowadzono do osobnych pomieszczeń. Pokoje, w których znajdował się

Wariusz, były mniejsze i prościej urządzone, ale poza tym nie różniły się wiele od pokoi, jakie zajmował w rzymskiej części. Różnica była taka, że tutaj czuł, iż się dusi.

Od zaciskania pięści aż zbiegły mu knykcie. Ostrożnie, palec po palcu, rozprostował dłonie. Pod oknem stała sofa, a przez zamknięte okiennice z drewna sandałowego sączyło się stłumione światło. Wariusz usiadł, opierając głowę o ścianę i zamykając oczy. Był tak wyczerpany, że w pewnym momencie przestał sobie powtarzać, że musi się uspokoić. Wokoło nie było żadnych świadków i mógł sobie pozwolić na chwilę szaleństwa. Niemal roześmiał się na głos, ponieważ myśl ta przyszła mu do głowy, jakby wypowiedziała ją Gemella. Zupełnie jakby siedziała w przeciwnym rogu, oparta wygodnie o ścianę, i rozmawiała z nim. Nie otwierając oczu, uśmiechnął się do niej czule.

Nie trwało to długo, ale wrażenie, że jest przy nim, nie sprawiło mu przykrości. Kiedy znikła i Wariusz otworzył oczy, miał uczucie, że potrafi myśleć jakby jaśniej. Jego tętno wciąż było przyspieszone. Chwila ulgi nie mogła trwać długo.

Jakąś godzinę później, kiedy starał się przeanalizować sytuację, drzwi do pokoju otworzyły się nagle. Wariusz drgnął i zaraz zbeształ się w myślach. Do pokoju weszło dwóch służących wraz z tłumaczem, którego poznał w czasie ceremonii

Wenus Amaterasu.

- Panie Wariuszu, proszę pójść z nami.

Wstał z sofy i ruszył za nimi. Kiedy wychodził przez otwarte drzwi, poczuł ulgę i jednocześnie przypomniał sobie, jak prowadzono go więziennym korytarzem, najpierw do celi, a następnie do furgonetki, którą miano go zawieźć do Gabiniusza. Zeszli do sali na parterze. Długi pokój był po obu stronach zasłonięty przez składane okiennice z rzeźbionego drewna i miłośernie otwarty na ogród i dziedziniec. Wariusz miał wrażenie, że Nionianie powynosili z niego meble.

Księżę siedział wśród pozostałych arystokratów: Kiyowary, Tairy, Mimany, Sanemoto. Wszyscy byli ubrani w żałobne białe stroje i Wariuszowi przypominali rzymskich senatorów. Tadahito, który był blady i miał srogą minę, zwrócił się do tłumacza po łacinie.

- Możesz odejść. Sam przekażę wielkim panom niezbędne informacje.

Tłumacz skłonił się pokornie i oddalił. Jeden z ludzi u boku Tadahito sprzeciwił się głośno po nioniańsku i księżę coś mu ostro odpowiedział.

- Panie Wariuszu - powiedział księżę z poważną miną, pokazując, żeby usiadł.

- Nie jestem panem - sprzeciwił się Wariusz bardziej zirytowany, niż to było konieczne. Tadahito jedynie skinął głową i Wariusz zawstydział się trochę swojej reakcji.

Usiadł, starając zmusić się do bezruchu, opanowując nerwowe drżenie rąk i kładąc je swobodnie na kolanach. Na chwilę skupił się na sobie i nie widział, co się wokół niego dzieje. Kiedy podniósł wzrok, księżę naradzał się z towarzyszami. Mimo że Wariusz nie mógł ich zrozumieć, mówili zniżonymi głosami.

- Zadamy panu kilka pytań. W interesie pana i pana kraju leży, żeby odpowiadać zgodnie z prawdą - zwrócił się do niego ksiązę po łacinie.

Wariusz uznał to przemówienie za zbyt pompatyczne i opanował zniecierpliwienie.

- Do tej pory nie kłamałem i teraz też nie zamierzam kłamać. Jeśli nie będę mógł powiedzieć prawdy, nie odpowiem na pytanie. Wszystko zależy od tego, co was interesuje. - Wziął głęboki oddech. - Chciał bym się dowiedzieć, czy macie jakieś wieści na temat cezara? Czy nic się nie... stało? - zapytał w miarę bezzamiętnie.

Tadahito spojrzał na niego ze smutkiem.

- Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie - rzekł, nie wdając się w szczegóły. Po chwili milczenia Wariusz zrozumiał, że znaczyło to: „Nic na ten temat nie mogę powiedzieć”.

- Czy Una Nowiana jest bezpieczna?

- Dlaczego miałyby ją spotkać coś innego niż ciebie?

- Chciałbym ją zobaczyć. Rozumiem, że wolicie najpierw przepytac nas osobno. Jednak potem chciałbym się z nią spotkać.

- Po naszej rozmowie rozważymy twoją prośbę.

Wariusz skinął głową, zastanawiając się, czy było to szczere zapewnienie, czy kolejna zawołowana odmowa. Przeszedł go dreszcz niepewności.

- Źle się czujesz? - spytał Tadahito, przyglądając mu się uważnie.

- Nie. - Wariusz zacisnął zęby i spojrzał przez otwarte okiennice na światło i przestrzeń na zewnątrz. Jego słabość była poniżająco oczywista.

Bez najmniejszego ostrzeżenia jeden ze starszych szlachciców - pan Taira - wybuchnął gniewem. Krzycząc coś,

co brzmiało jak oskarżenia, dźgał powietrze palcem. Taira zwrócił się do księcia, kłaniając się nisko i błagając o coś - może o przebaczenie - wciąż jeszcze rozwścieczony i zdesperowany. Bardziej niż sam wybuch Wariusza wytrąciły z równowagi łzy, które spływały Tairze po policzkach. Mężczyzna nie starał się ich ukryć ani nie ocierał, a jednak w jego głosie nie było słyhać słabości. Pozostali odwrócili wzrok, najwyraźniej zażenowani takim zachowaniem. W jakiś dziwny sposób Taira zdawał się zachować godność, jakby jednocześnie poddawał się emocjom i nie był ich świadom. Co powiedział mu Tadahito? Żeby zamilkł? Czy może, że to, o co prosi, stanie się w odpowiednim momencie. Wariusz był wstrząśnięty tym wszystkim. Równie nagle jak eksplodował, Taira wrócił na swoje miejsce, na pozór opanowany.

- Dwa dni temu miałem nadzieję, że unikniemy wojny - powiedział Tadahito, jakby nic się nie stało. - Wyglądało, jakby obywatele Tokogane... - Zawiesił głos, zastanawiając się nad jakąś myślą. Po chwili ciągnął: - ...jakby wszyscy ludzie na świecie byli z każdą godziną bezpieczniejsi. Później pan Kato zginął z ręki Rzymianina, cesarz zniknął bez ostrzeżenia, a ciebie pozostawił tutaj. Wojna wisi teraz na włosku i nie mam nawet pojęcia, czy powinniśmy starać się jej zapobiec.

- Dopiero od was słyszę, że Rzymianin był zamieszany w śmierć pana Kato. Ani ja, ani Una nie powiemy wam o rządowym spisku, ponieważ żadnego nie było. Wszyscy tu przybyliśmy, chcąc zawrzeć pokój. Oczekujecie, że to powiem i moje słowa nie staną się bardziej wiarygodne przez fakt, że je powtarzam. Ale to prawda.

- Tak - zgodził się lakonicznie książę. - Tego się spodziewałem.

- Powiedziałeś, że jeszcze dwa dni temu nam ufaliście -

zaczął Wariusz.

- Byliśmy blisko tego, żeby wam zaufać - poprawił go Tadahito.

- Śmierć pana Kato jest prawdziwą tragedią, ale w dalszym ciągu jest to tylko śmierć jednego człowieka. Nie ma potrzeby, żeby z jej powodu rozpętywać coś nieskończenie gorszego. Nawet teraz nie jest to nieuniknione.

- Pewne sprawy stały się nieuniknione. Pan Kato był uwielbiany przez wszystkich - powiedział grzecznie Tadahito.

- Czterej jego ludzie popełnili samobójstwo.

Wariusz spojrział mu w oczy i poczuł, jakby coś ich połączyło.

- Przykro mi.

- Nie potrafili go ochronić.

- Rozumiem.

Wymiana zdań była bardzo szybka. Teraz obaj zamilkli. Tadahito przyglądał mu się uważnie przez sekundę. Księżę powiedział o samobójstwie służących z beznamiętną przekorą, jakby przyznanie się do szoku było okazaniem słabości. Jednak teraz jego twarz nagle posmutniała i wyrażała tylko znużenie. Zgarbił się. W jego głosie słychać było rozgoryczenie.

- Mamy więcej niż jedno ciało, które muszę odesłać do domu. Kolejne rodziny do powiadomienia. Widzisz? Ludzie zaczęli ginąć. Na wieść o tym każdy Nionianin będzie się domagał zemsty. - Wariusz spostrzegł, że Tadahito waha się przez ułamek sekundy. - Kato był wielkim wodzem. Wspaniałym wojownikiem. Jego strata osłabia nasz kraj, a wzmacnia Rzym. - Nachylił się jeszcze bardziej i dyskretnie wskazał na pozostałych arystokratów. - Wariuszu, oni nie znają łaciny. Gdyby rozumieli, co mówię, byłiby w szoku, że tyle ci wyznałem. Powiem ci szczerze, że nie sądzę, żebyś brał udziału w

spisku. Cezar nie zostawiłby cię w naszych rękach, gdyby uważał, że coś możesz zdradzić. Toteż jeśli coś wiesz, to sam nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy.

- Posłuchaj - poprosił Wariusz. - Powiedz mi, jakie jest twoje najgorsze podejrzenie? Czy nie to, że cezarski kazał zabić pana Kato, a cała reszta jest tylko zasłoną dymną, która ma mu umożliwić powrót do kraju? Mam rację? My jesteśmy tu tylko po to, żeby zagmatwać sprawy. Wy marnujecie swój czas na przesłuchania, a tam już szykuje się atak. A Marek trzymał Unę i mnie w nieświadomości, żebyśmy byli bardziej przekonujący.

- Tak - przyznał Tadahito. - Nie mów mi tylko, że cezarski nie potrafiłby tak z nami postąpić. Chcę wiedzieć, czy mógłby tak postąpić z tobą.

- Nie.

- Oczywiście. To jedyna możliwa odpowiedź. A co z tą damą?

- Czy poświęciłby ją? Nie.

- Nawet w ofierze? Nawet gdyby sądził, że to konieczne?

- Nie. - Wariusz przypomniał sobie siostrę Tadahito i aluzje do ślubu. Miał wrażenie, że działo się to w zupełnie innym świecie, a jednak utrudniało to teraz rozmowę o Unie. Wariusz czuł, że kładzenie nacisku na jej związek z Markiem może zagrozić dziewczynie. Mógł wyjaśnić, że Marek nie dałby rady oszukać Uny, nawet gdyby chciał, ale postanowił nie zdradzać jej szczególnego talentu. Dzięki niemu bowiem mieli niewielką przewagę.

- Pewnie słyszałaś, że po śmierci rodziców życie Marka było w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Poznał Unę w czasie, który wywarł olbrzymi wpływ na nich. Nawet gdyby nie łączyło ich nic poza przeszłością, Una byłaby ostatnią osobą na ziemi, którą zdecydowałby się poświęcić.

- A ty? Też jesteś taki pewien swojej pozycji?

- Tak - odpowiedział Wariusz. - Oczywiście, dałby sobie radę jako cesarz bez mnie, ale... - Zamilkł na dostatecznie długo, by księżę otworzył usta, żeby go ponaglić. Zanim jednak się odezwał, Wariusz dokończył niecierpliwie: - Uważa, że zawdzięcza mi życie.

Tadahito przekrzywił głowę i zmarszczył brwi, zaciękawiony takim sformułowaniem.

- Czyżby się... mylił?

Wariusz uśmiechnął się z niezbyt szczęśliwą miną. Żałował, że o tym wspomniał.

- Nie podzielam jego poglądu.

- Ale on uważa, że ma wobec ciebie dług?

- Nie. Nie ma żadnego długu. A nawet gdyby taki istniał, to został już spłacony. To było lata temu. Oczywiście ufam mu. Przynajmniej... - roześmiał się szorstko pod nosem. - Wasza Wysokość, nie prosiłem się, żeby tu zostać. Cesarz postawił mnie w tej sytuacji wbrew mojej woli i nie zamierzam tego zapomnieć. Jednak rozumiem jego powody. Musiałby się radykalnie zmienić, żeby wasze obawy były uzasadnione.

- Może się zmienić - powiedział Tadahito. Westchnął i nie odwracając głowy, zaczął mówić po nioniańsku, najwyraźniej podsumowując ich rozmowę.

Odpowiedział mu Sanemoto, który przemawiał przez dłuższą chwilę, cicho przedstawiając swój punkt widzenia. Nie okazywał przy tym

pasji Tairy, ale unikał wzroku Wariusza.

Tadahito wysłuchał go i zwrócił się do Wariusza po łacinie. Mówił niemal beztroskim tonem:

- Pan Sanemoto uważa, że intencje twoje czy cesarza nie są teraz istotne. Jeśli mamy wierzyć w to, co mówisz o wyjeź-

dzie cezara, to musimy liczyć się z waszym drugim księciem, który stanowczo domaga się wydania was. Rozmowy pokojowe są nie do uratowania i powinniśmy skorzystać ze wszystkiego, co zapewni nam przewagę. Nawet jeśli nie możesz nam nic powiedzieć o śmierci pana Kato, na pewno znasz wiele interesujących faktów.

Wariusz wziął głęboki oddech. Czuł dziwną ulgę. Doszli w końcu do sedna rzeczy.

- Musicie więc wiedzieć, że dobrowolnie nie przekażę informacji, które mogłyby wam pomóc w wojnie z Rzymem. Jeśli zamierzacie zmusić mnie do ich przekazania, to pytanie, czy możecie ufać Rzymowi, przestanie być istotne. Rzym zyska pewność, że nie może ufać wam. Wtedy pokój rzeczywiście nie będzie wchodził w grę. Nie powinniście podejmować takiego ryzyka, dopóki nie jesteście pewni, że Marek nie wróci. To nie znaczy jednak, że nie ma żadnych pytań, na które nie mogę odpowiedzieć. Powiem wam teraz wszystko, co wiem na temat Druzusa Nowiusza Faustusa. Potem chcę zobaczyć Unę.

*

Una siedziała skulona na fotelu, z nogami podciągniętymi pod brodę i ramionami splecionymi wokół nich. Słyszając, jak Noriko wraz z Tomoe i Sakurą wchodzi do pokoju, podniosła głowę tak gwałtownie, że Noriko zatrzymała się w drzwiach. Poczowała, jak na policzkach pojawiają jej się rumieńce. Młoda dama miała zaczerwienione oczy, choć raczej ze zmęczenia niż od płaczu. Jej skóra nabrała szarego odcienia, jakby straciła nie tylko kolor, ale odpłynęły z niej jakieś soki życiowe. Mimo to wyglądała na bardzo pobudzoną. Jej ruchy były zbyt szybkie i nerwowe - może nie agresywne, ale niosły jakąś ukrytą groźbę. Noriko czuła, jakby kobieta mogła w każdej chwili

rzucić się do ataku. Zamiast tego zaprosiła je do środka.

- Proszę, wejdźcie. - Jej głos i mina były niezwykle uprzejme, choć ruch dłoni bardziej rozkazujący niż zapraszający.

- Proszę wybaczyć. Musisz być zmęczona - powiedziała w tej samej chwili Noriko.

Ta jednoczesna wymiana grzeczności spowodowała, że obie zamilkły.

Noriko weszła do pokoju, zastanawiając się, czy więzień zapraszający do pokoju, w którym jest zamknięty - nawet jeśli to więzień wysokiej rangi - jest odważny czy śmieszny. Doszła do wniosku, że robi to wrażenie, i ostrożnie się uśmiechnęła.

Una była wściekła z powodu własnej konsternacji. Na miłość boską, czy te osobiste urazy miały jakieś znaczenie wobec kryzysu światowego, który w każdej chwili mógł rozgorzeć? Jeśli nie umiała zmusić się do racjonalnego myślenia, jeśli naprawdę nie potrafiła choćby na chwilę odsunąć od siebie lęku o Marka, to czy zazdrość z powodu urody innej kobiety nie świadczyła o małostkowości? Una czuła się zbita z tropu. Bez splendoru, jaki dawały jej zielone włosy, które zwiślały luźno do podłogi, niczym kolejna warstwa jedwabnego ubrania, bez ozdoby dwóch towarzyszek Noriko mogła się wydawać co najwyżej ładna. Jednak przez dwadzieścia cztery lata jej życia tyle dam dworu i pokojówek poświęciło czas na rozczesywanie jej włosów i masowanie skóry, że Noriko niemal błyszczała wypielęgnowanym, nabytym pięknem, które uważała za coś oczywistego. Noriko nie przedstawiła się jeszcze, ale Una poznała ją od razu. Kiedy wyczuła jej skrywane zawstydzenie, Unę uderzyło coś jeszcze - jakaś dziwna zażyłość. Noriko ukrywała coś, o czym nie powinna wiedzieć lub nie miała prawa mówić. Una spotkała księżniczkę pierwszy

raz, ale księżniczka widziała ją wcześniej.

Jedna z kobiet potwierdziła łamaną łaciną, że to cesarska księżniczka we własnej osobie. Noriko przyłożyła ręce do piersi i pochyliła nisko głowę w ukłonie. Po chwili Una odwzajemniła ukłon. Frustracja i lęk powodowały, że trudno jej było uśmiechać się grzecznie. Wyczuwała, że damy dworu jej nie aprobują. Noriko wydawała się bardziej tolerancyjna.

- Proszę wybaczyć moją słabą znajomość łaciny - zaczęła Noriko, siadając na jednym z lakierowanych krzeseł z wiązu. W Nionii siedzieliby w kucki na poduszkach czy matach. Nie byli jednak w Nionii.

- Jest lepsza od mojego nioniańskiego - odpowiedziała Una. Potrzebowała chwili, żeby zrozumieć akcent księżniczki.

- Nie, nie. Przyniosłam je ze sobą, więc jakoś dam sobie radę. - Wzięła od Tomoe kilka książek i położyła je przed sobą. Sakura napełniła malutkie czarki naparem z liści, którym Unę częstowały wcześniej sinoańskie damy. Jednak ten był inny, miał odcień trawy. Una popatrzyła na napój ze znużoną fascynacją.

- Przyszłam sprawdzić, jak się masz - ciągnęła Noriko. - Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Una powstrzymała się od sarkastycznego uśmiechu. Przyszłaś tu, bo chciałaś mnie jeszcze raz zobaczyć, pomyślała. Usiadła wyprostowana i potarła twarz.

- Możesz mi powiedzieć, co się dzieje - powiedziała z naciskiem.

Noriko uśmiechnęła się przeproszająco i zajrzała do książki. Zrobiła to jednak tylko dla odwrócenia uwagi. Una była pewna, że zrozumiała jej prośbę.

- Przez cały dzień odpowiadałam na pytania. Pytali mnie na sto różnych sposobów, czy Marek mógł kazać zabić tego

pana. Nikt jednak nie traktuje mnie poważnie. - Una była zbyt podekscytowana, żeby mówić powoli, i Noriko nie zrozumiała kilku słów. Sens wypowiedzi był jednak jasny.

- Musisz niepokoić się o cezara Nowiusza. Jest jednak za wcześnie, żeby dotarł do Rzymu.

- Tak, wiem - odparła posępnie Una.

- Zatem pewnie nie powiem ci nic istotnego. Mogę jednak przynieść trochę ubrań.

- Dziękuję. Bardzo to miłe z twojej strony. - Przyglądała się w milczeniu księżniczce, rozważając coś. Powstrzymała się od spojrzenia jej w oczy, czując, że byłoby to niewłaściwe. Nachyliła się tylko, a w jej głosie słychać było pewną natarczywość. - Na moim miejscu starałabyś się dowiedzieć jak najwięcej. Prawda?

Noriko odruchowo rzuciła jej spojrzenie.

- O co cię spytała? Czy ona cię nie nęka? - wtrąciła się Sakura.

- Wszystko w porządku - mruknęła Noriko. Przerzuciła kilka kartek i nagle zamknęła książkę. - Zostawcie nas.

Sakura i Tomoe wstały bez słowa i wyszły. Drzwi zamknęły się za nimi.

- Kobiety nie powinny wiedzieć tyle, ile by chciały - powiedziała Noriko, starając się wyważyć ton głosu. Zostawiała sobie miejsce na wybieg, a jednocześnie dawała znak, że wie, co Una miała na myśli. Uśmiechnęła się wspaniałomyślnie. - Zwłaszcza kobiety o odpowiedniej pozycji. Czasami mamy tak ograniczone pole działania, prawda?

Una zamrugwała. Roześmiała się szorstko i z niedowierzaniem, myśląc, że sam ten śmiech powinien wystarczyć Noriko za odpowiedź.

- Byłam niewolnicą - odparła bez ogródek.

Oczy Noriko rozszerzyły się nieznacznie w wyrazie grzecznego niedowierzania.

- Nawet nie jakąś ważną niewolnicą. Pewnie nie słyszałaś o tak okropnych miejscach, w jakich pracowałam, i tak wstrętnych zawodach, jakie wykonywałam. Zostałam uwolniona, kiedy miałam piętnaście lat. - Dopiero kiedy ochłonęła, zdała sobie sprawę, że pragnie zaszokować tę wypielegnowaną, uprzywilejowaną istotę. W pierwszej chwili poczuła się wręcz urażona, że Noriko śmiała zakładać jej przynależność do jakiejś wyższej klasy. Trochę zła na siebie patrzyła z zaciekawieniem, jak księżniczka zareaguje.

Noriko subtelnie zamarła. W głębi duszy była kompletnie zaszokowana. Zupełnie jakby nagle wykonała salto w powietrzu. Miała uczucie, że siedząca naprzeciw dziewczyna przemieniła się niczym wilkołak w osobę, którą kiedyś była. Patrzyła na bladą młodą kobietę o poważnej, inteligentnej twarzy, pełną wdzięku, mimo że potarganą i wyraźnie niewyspaną.

- Och - powiedziała tym samym tonem co poprzednio i nachyliła się, żeby dolać Unie herbaty, którą ta ledwie co wzięła do ust. - Mam nadzieję, że cię nie uraziłam. Więc co mówiłaś?

Usta Uny drgnęły w mimowolnym uśmiešku pełnym niechętniej pochwały. Całkiem nieźle.

- Obawiam się, że nie wiem zbyt wiele o polityce - ciągnęła skromnie Noriko.

Una skinęła ponuro głową. W myślach oceniała przeskodę.

- Także nie mam zamiaru cię urazić, ale nie bardzo w to wierzę. - Zawahała się. - Sądzę... Muszę ci coś wyznać. Wiem, czemu przyjechałaś tutaj z księciem.

Noriko drgnęła i spojrzała otwarcie na Unę. Milczała przez długą chwilę, kiedy jej twarz robiła się czerwona jak wschodzące słońce. Una mogła teraz dojrzeć, bez żadnych uprzedzeń, jak piękna jest księżniczka.

- Skąd? - spytała cicho Noriko.

- Wpadł na to jeden z naszych urzędników - powiedziała Una. Zdecydowała się nie wymieniać imienia Wariusza. Odwróciła głowę. - Dowiedziałam się o tym zaledwie kilka minut przed przybyciem Druzusa

Nowiusza i przed atakiem. Sądzę, że chciałabyś się dowiedzieć więcej o... cesarze. Lub przynajmniej o życiu w Rzymie.

- Nie sądzą, żeby ta ewentualność była jeszcze brana pod uwagę - odparła Noriko z lekką nutą smutku w głosie. Zastanawiała się, jak ktokolwiek mógł czynić taką propozycję na temat swojego kochanka i w dodatku takim bezstronnym, apodyktycznym tonem. - W każdym razie jestem pewna, że ty byś tego nie chciała.

Una zacisnęła pięści w nagłym ataku rozpacz. Przyrzekł mi, że nie zrobi tego, pomyślała. Poczwała na skórze dotyk jego ubrania i ciała, kiedy leżał pod nią, a ona przyciskała twarz do jego piersi. Byłby zraniony, gdyby wiedział, co robi. Chciałby, że całkowicie zaufała jego słowu, żeby wyrzuciła z głowy wszystkie inne możliwości.

- Nie, nie chciałabym tego - odparła, spoglądając na Noriko. - To informacja przetargowa i mam nadzieję, że na nic ci się nie przyda. Nieważne, co ja myślę. Liczy się tylko to, czy ty tego chcesz.

Kolejne milczenie.

- Masz rację - wyznała w końcu Noriko. - Gdybym wiedziała więcej, poczułabym się bezpiecznie. Ale traktować to

jak wymianę...

- Nie zamierzam cię pytać, gdzie są nioniańskie rakiety! Pragnę tylko wiedzieć, co się teraz dzieje. Druzus Nowiusz pewnie żąda, byście nas wydali. Co powiedział? Czy groził atakiem na Nionię, jeśli Wariusz i ja nie zostaniemy przekazani w jego ręce?

Twarz Noriko zeszywniała.

- Mógłby się do tego posunąć?

- Nie od razu - odparła Una. - Jeśli wierzy w cokolwiek, to na pewno w to, że pokój z Nionią jest bezcelowy. Zrobi absolutnie wszystko, żeby zostać cesarzem. Wojna nie stanowi dla niego żadnej przeszkody. Przybył tu w imieniu cesarza i przez kilka dni może udawać, że kontynuuje negocjacje. Jeśli jednak uzna, że rola dowódcy zwiększa jego szansę, to myślę, że was zaszantażuje i jeśli odmówicie, da mu to pretekst do rozpoczęcia wojny. Sądzę też, że stanie się to wkrótce.

Noriko znowu otworzyła książki. Potrzebowała dłuższej chwili i kilku nieudanych prób, żeby w końcu powiedzieć to, co chciała.

- Jeszcze tego nie zrobił. Mówił, że cesarz Nowiusz nie miał prawa zostawić was tutaj jako zakładników. Odpowiedzieliśmy... wydaje mi się, że odpowiedzieliśmy, iż oczekujemy po Rzymie dotrzymywania obietnic, zwłaszcza po śmierci pana Kato.

- Kiedy postawi nowe żądania, jak zareaguje wasz kraj? Wydadzą nas Rzymianom?

Noriko darowała sobie delikatne uniki.

- Nie reagujemy zbyt dobrze na groźby. Nie wydamy was - odparła zawzięcie.

Una westchnęła.

- Muszę się zastanowić - mruknęła do siebie. - Powin-

nam porozmawiać z Wariuszem.

- Myślałam... - powiedziała z wahaniem Noriko. - Myślałam, że może... jeśli Nowiusz Druzus zajął miejsce cezara, to oczekuje się ode mnie...

- Żebyś wyszła za Druzusa? - Dziewczyna opuściła ramię i jakby zeszytywniała. Na jej twarzy pojawił się wyraz pełnego obawy przeświadczenia. - Posłuchaj. Może zechcieć przeciągać sprawy dłużej, niż zakładam. Nie mam pojęcia, jak silna jest jego pozycja w Rzymie. Niewykluczone, że nie ma nic przeciwko poślubieniu ciebie. Zrób wszystko, żeby do tego nie dopuścić.

- Nie mogę nic zrobić. To nie na miejscu - sprzeciwiła się Noriko.

- Możesz się upewnić, że wasi ludzie wiedzą, kim jest. Obiecałam, że odpowiem na twoje pytania o Marku. Opowiem ci także o Druzusie. Jeśli po tym wszystkim ktoś jeszcze będzie rozważał wasz ślub, zrób, co będziesz musiała. Rozchoruj się, przestań jeść. Cokolwiek. Wolałabym znowu być niewolnicą albo zginąć, niż wyjść za niego.

*

Lal była zmęczona i upokorzona. Przez ostatnie trzy noce spała pod brudnym kocem pani Su, kobiety, którą spotkała na drodze. Mogła się nim owinąć, gdy spała na podłodze jednoizbowej chaty. Miseczka kapusty i białego ryżu, jaką dostawała codziennie, uśmierzała jedynie na chwilę głód, który zaraz wracał ze wzmożoną siłą. Lal spędzała dni na zbieraniu warzyw i znoszeniu drewna na opał. Pani Su traktowała ją z obojętną gościnnością, a jednak Lal czuła się jak zawalidroga. Każdego dnia była coraz bardziej zmęczona wysiłkiem i wycieńczona z głodu, tym samym praca stawała się coraz trud-

niejsza. W końcu Geng zabrał ją o świcie trzęsącym się wozem do Jingshan. Brzydkie i czarne od sadzy miasteczko leżało rozrzucone wzdłuż głównej drogi. Ponad niskie domki wystawały ozdobne poplamione fasady, w kolorze różowym i czerwonym, małych, obskurnych sklepików. Cały ten brud, nieporządek i tandeta przypominały wielką stonogę wywróconą na grzbiet i leniwie przebierającą odnóżami.

W jednym z tych krzykliwie ozdobionych domów mieściła się restauracja. W słabo oświetlonej sali na parterze znajdowały się cztery daldictory, ustawione obok pufiastych sof w rogach sali. Na razie jednak Lal nie miała tam po co wchodzić. W Jiangning nigdy nie byli zamożni, ale zawsze stać ich było na daldictor. Tutaj cena za rozmowę wynosiła tyle co spora część dziennego zarobku. Geng obiecał zapłacić jej za kilka godzin pomocy przy rozładowaniu i sprzedawaniu towaru. Przez całą drogę do miasta praktycznie się nie odzywał i Lal podejrzewała, że żałuje złożonej obietnicy. Kiedy wjechali na rynek targowy, który okazał się kawałkiem zaśmieconego pola, zaskoczył ją niespodziewanymi przeprosinami.

- Powinnaś coś dostać za pracę, którą już wykonałaś. Nie będę jednak miał pieniędzy, dopóki czegoś nie sprzedamy. W tym kłopot.

Lal patrzyła na niego głęboko poruszona. Przez chwilę chciała go uściskać. Poza warzywami udało jej się sprzedać za kilka *wen* torebkę. Młoda kobieta, którą namówiła na kupno, zrobiła to raczej z zaciekawienia osobą cudzoziemki niż z pragnienia posiadania torebki. Lal miała wątpliwości, czy powinna pokazywać się publicznie, ale nic nie wskazywało, żeby ktokolwiek szykował się do łapania rzymskich zbiegów. Nie mogła też liczyć na znalezienie Rzymian, jeśli pozostanie ciągle w ukryciu. Kiedy ludzie ją wypytywali o pochodzenie, powta-

rzała, że jest z Mongolii. Geng nie zaprzeczał.

W końcu pożegnała się z Gengiem i ruszyła z powrotem drogą, niosąc w jednym ręku kilka monet nanizanych na sznurek, w drugiej papierową torebkę z kosmetykami i perfumami. Przechowywanie tych rzeczy było trochę dziecinne, ale nie miała więcej pamiętek. Dopóki nie zaglądała do środka, trzymanie w ręku torebki dawało jej wrażenie, że jest dobrze przygotowana do drogi, i łagodziło okropne poczucie bezbronności. Poza tym gdyby coś poszło nie tak, zawsze mogła sprzedać perfumy. Nie były zbyt drogie, ale miały ładną butelkę.

Lal wróciła do restauracji. Teraz żałowała, że rozstała się z Gengiem. Wiedziała, że będzie on na targu jeszcze przez jakieś osiem godzin, a potem odjedzie. Znowu została sama.

Musiała dość długo czekać, aż zwolni się daldictor. Zwracała na siebie uwagę nie tylko swoim wyglądem, ale też faktem, że przebywała tu sama. Nikt nie rozmawiał przez daldictor w odosobnieniu, jak zamierzała Lal. Zamiast tego każdy maksymalnie rozkręcał głośność, żeby cały tłum zebrany przy odbiorniku mógł rozmawiać ze swoimi dziećmi, rodzicami czy przyjaciółmi. Całe rodziny i grupki roześmianych młodych kobiet siedziały na sofach, przekrzykując się wzajemnie, zajadając kluski i ryżowe bułeczki. Ich twarze lśniły od pary unoszącej się nad dzbankami z herbatą. Lal pomyślała, że podzielony pomiędzy tyle osób koszt za rozmowę nie był aż tak wygórowany. W pomieszczeniu panował rozgardiasz, rozmowy zlewały się w jedną ścianę hałasu, pozwalając każdemu znaleźć odrobinę prywatności.

W końcu dwie starsze siostry wraz córkami i wnuczkami zwolniły jeden daldictor i Lal, świadoma spojrzeń obcych osób, zajęła ich miejsce. Założyła opaskę na głowę i spróbo-

wała połączyć się z domem Liuyina.

Odebrała jego matka. Lal zawahała się i nie odzywając się, wyłączyła daldictor. Nie mogła rozmawiać z nikim poza Liuyinem - nawet w najlepszych czasach jego rodzina nie darzyła jej zbytnią sympatią. Wiedzieli, że powinna być aresztowana wraz z innymi. Pewnie wezwaliby policję. Lepiej poczekać z dziesięć minut i znowu spróbować.

Siedziała zgarbiona, z opaską na głowie, przyglądając się zniszczonemu blatowi stołu, gdy podszedł do niej jeden z kelnerów.

- Skończyła pani? Ludzie czekają.

Rzeczywiście, grupa ludzi stojących w drzwiach patrzyła na nią niecierpliwie.

- Jeśli coś zamówię, to będę mogła zaczekać? - zapytała. Wyliczyła, że powinno jej starczyć na filiżankę herbaty.

- Przykro mi. Musi pani skorzystać z *yuan hua* albo zwolnić miejsce dla tamtych państwa.

Lal niechętnie wstała i wróciła do kolejki przy drzwiach. Dopiero po trzech godzinach i czterech próbach usłyszała głos Liuyina, który był wyraźnie niezadowolony.

- Ostrzegłaś innych Rzymian - rzekł stanowczo.

Lal otworzyła usta, ale nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie przyszło jej to do głowy. Nawet nie pomyślała o tym od czasu, gdy zabrano Ziye i Delira.

- Musieliśmy - zaprotestowała.

- Mój ojciec mógł stracić pracę. Rodzice nie odzywają się do mnie.

- Przykro mi.

- Gdyby ci miało być przykro, tobyś tego nie zrobiła - zauważył tramie Liuyin.

- Liuyin. To nasi przyjaciele. Co miałam począć? Ty też

musiałeś mi powiedzieć. Przykro mi, że muszę cię prosić o pomoc, kiedy przysporzyłam ci już tylu kłopotów, ale nie mam wyjścia. Nie mam do kogo się zwrócić.

Zapadła cisza, w końcu usłyszała westchnienie.

- Gdzie jesteś? Co się stało? - zapytał niechętnie Liuyin.

- Mój ojciec i Ziyue zostali aresztowani. Nie wiem, gdzie są. Potrzebowałam aż tyle czasu, żeby dotrzeć do *yuan hua*. Jestem w restauracji w małym miasteczku o nazwie Jingshan. Od czterech dni nawet nie zmieniałam ubrania. To zupełny koszmar.

- Och, nie - jęknął Liuyin. W jego głosie słychać było więcej zniechęcenia niż współczucia. Ponownie westchnął ciężko. - Nie mogę przyjechać po ciebie. Nie mogę ci wysłać pieniędzy. Bez zezwolenia nie przepuszczą mnie przez punkty kontrolne. Musiałbym podać jakiś powód takiej podróży, a nie mam żadnego. Mogliby mnie śledzić. Zresztą rodzice nie puszcza mnie samego. Na pewno nie po tym wszystkim.

- Rozumiem... nie ma sprawy. - Lal przeszedł dreszcz. Była pewna, że Marek jej pomoże, ale mogło to trochę potrwać. Liczyła, że przynajmniej Liuyin przyśle jej pieniądze na jakiś nocleg i jedzenie.

- Och, nie - powtórzył dramatycznym głosem Liuyin.

- Posłuchaj - powiedziała Lal, przechodząc od narzekania do niezachwianego optymizmu, jakby to Liuyin potrzebował wsparcia. -Wszystko się jakoś ułoży. Jacyś Rzymianie jeżdżą samochodem po okolicy i mnie szukają. Właśnie się z nimi minęłam. Muszę jedynie dać znak Markowi i Unie, gdzie jestem, i wszystko będzie dobrze.

- Cezarowi Markowi Nowiuszowi? - spytał Liuyin. Wymówił imię Marka po łacinie zamiast po sinoańsku.

- Tak. Wspominałam ci o nim.

- No tak, ale znałaś go parę tygodni trzy lata temu.

- Na pewno mi pomoże. Wiem, że już stara mi się pomóc. Muszę się z nim tylko skontaktować, to wszystko.

- Nie możesz się skontaktować z głową państwa - odparł pogardliwie Liuyin. - Na pewno nie z gościem cesarzowej, której policja cię szuka.

- Posłuchaj spokojnie. Una też tam jest. To moja przyjaciółka. Kiedyś spała ze mną w jednym pokoju. Na pewno miliony ludzi nie starają się z nią skontaktować. Twój ojciec jest urzędnikiem, a ty także zdawałaś egzaminy, musisz mieć jakieś kontakty w Bianjing. Poproś kogoś o pomoc. Wystarczy, że podadzą Unie kartkę z napisem Holzarta i kodem miejsca, skąd dzwonię. Poza Uną i Markiem nikt tego nie zrozumie.

- Jesteś pewna, że ona tam jest?

Po plecach Lal przebiegł zimny dreszcz. Wcale nie była pewna, czy Una jest w Bian. Do tej pory zakładała, że tak. Odsunęła od siebie czarne myśli.

- Na pewno nie pogorszy to mojej sytuacji. Zresztą wiem, że Rzymianie mnie szukają. Zrób to dla mnie. Proszę.

Liuyin znowu westchnął.

- No dobrze, spróbuję. Ale co będziesz robiła przez ten czas?

- Dam sobie radę, nie martw się - zapewniła go. Siedziała oszołomiona, a w restauracji robiło się coraz tłoczniej.

*

Słyszac zbliżające się kroki, Wariusz zerwał się na równe nogi. Od czasu rozmowy z Tadahito zamknięcie zdawało mu się łatwiejsze do zniesienia. Bardziej teraz przypominało ciężar przyczepiony do szyi, z którym dawał sobie radę raz lepiej, raz gorzej, ale przynajmniej przez większość czasu mógł

jasno myśleć.

Drzwi otworzyły się i dwóch nioniańskich strażników wprowadziło Unę. Nie ciągnęli jej ani nie prowadzili siłą, a Una wiedziała, dokąd idzie, lecz mimo to była wyraźnie wstrząśnięta. Wariuszowi wydała się bardziej krucha niż po ataku Druzusa. Szeroko otwarte oczy były podkrążone.

Do pokoju wszedł tłumacz.

- Wolno wam się spotykać w ciągu dnia, dopóki sytuacja się nie zmieni.

Kiedy strażnicy wyszli, Una i Wariusz stali przez kilka sekund nieruchomo. Nie odzywali się, gdyż pytania na temat ostatnich dni były

niepotrzebne - wszystko stało się jasne. Wariusz nie potrafił się uśmiechnąć na powitanie, mimo że poczuł ulgę, widząc ją całą i zdrową. Zamiast tego przytulili się do siebie, sztywno i bardzo krótko, czując się przy tym dziwnie niezręcznie.

- Dobrze cię widzieć - szepnęła Una, kiedy odsuwali się od siebie. Poklepała go po plecach dla dodania otuchy i Wariusz omal się nie roześmiał. - Nie dotarł jeszcze do Rzymu - oznajmiła mu, jakby podjęli rozmowę przerwana kilka minut wcześniej. Nie było potrzeby wymawiać imienia Marka. W jej głosie słychać było, jak bardzo jest zraniona i wystraszona.

Wariusz skinął głową z niepokojem. Nikt mu nie chciał powiedzieć ani słowa o Marku.

- Czy wiesz może, jak tłumaczą to w Rzymie?

- Jakimś problemem z koleją magnetyczną - odparła, siadając na sofie pod oknem i nerwowo zakładając nogę na nogę.

Bała się, że Wariusz będzie udawał, iż uwierzył w to wyjaśnienie.

- Kłamią. Coś się stało. To jednak nie znaczy, że Marek nie żyje.

Una rzuciła mu sceptyczne spojrzenie, a jej twarz wykrzywił pozbawiony wesołości uśmiech.

- Gdyby Druzus czuł się na tyle pewny, żeby to zrobić, to nie siedziałby tutaj i nie nalegał na Nionian, żeby nas wydali.

Una znowu wykrzywiła usta.

- To nie działa. Nie musisz się wysilać, żeby mnie pocieszać.

- Może ja tego potrzebuję - zasugerował Wariusz. Tym razem udało mu się ją rozweselić. - Posłuchaj. Myślę, iż przekonałem księcia, że żadne z nas nie miało nic wspólnego z zamachem na Kato. Chyba także uwierzył, że nie warto się poddawać. Dlatego nam też nie wolno. Dopóki nie zdobędę stu procentowych dowodów, będę wychodził z założenia, że Marek żyje. Nie mamy innego wyjścia. Z wielu powodów.

- Wariuszu - powiedziała Una, a ton jej głosu przypominał mu, jak bardzo jest jeszcze młoda. - Co z nami będzie, jeśli zacznie się wojna?

Wariusz spuścił wzrok i przez chwilę patrzył na podłogę. Podszedł do oka i usiadł na drugim końcu sofy.

- No cóż - rzekł cicho. - Oczywiście zabraliby nas do Nionii. Trzymaliby nas w takich warunkach jak tu przez całą wojnę.

- Przez całe lata - powiedziała Una.

- Tak, to niewykлучzone. Choć jeśli Rzym miałby jakichś cennych nioniańskich jeńców, to moglibyśmy zostać wymienieni. Nie byłoby to dla nas najlepsze rozwiązanie, gdyby Druzus sprawował władzę.

- A co z... - Zawahała się. - Ciągłe nas wypytyją. Czy mogliby nas... skrzywdzić?

Wariusz rzucił jej szybkie spojrzenie. Nie miał pojęcia i nawet nie chciał wiedzieć, do jakiego stopnia potrafiła czytać w jego myślach. Miał nadzieję, że normalnie nie zagłębiała się w nie za bardzo. Teraz spróbował jak najwyraźniej sformułować myśli: *Una. Najpewniej nas podsłuchują. Uważaj na to, co mówisz. Jesteś bezpieczniejsza, jeśli nie traktują cię zbyt poważnie. Nie sprawiaj wrażenia, jakbyś znała jakieś cenne informacje.*

- Oczywiście, tobie nie zrobiliby nic złego - powiedział. - Nie mieliby powodu.

Z pewnością go zrozumiała, choć wyglądała na bardziej zaskoczoną jego reakcją, niż się spodziewała. Instynktownie rozejrzała się po pokoju.

- Chcesz powiedzieć, że tobie mogliby zrobić krzywdę? - zapytała.

- Nie wiem. - Poczuł, że serce zaczyna mu mocniej bić. - Może nie byłoby to takie złe.

- Co to ma znaczyć, „nie byłoby to takie złe”? - niemal krzyknęła z oburzeniem.

- Świetnie nadajesz się na współwięźnia. Potrafisz dodać człowiekowi otuchy. - Spojrzeli na siebie i jednocześnie wybuchnęli gromkim śmiechem. Do tej pory Una nie widziała, żeby Wariusz choć raz się uśmiechnął. W ich sytuacji wesołość wydawała się dziwna, ale nie mogli się powstrzymać.

Kiedy znowu mogli mówić, Wariusz wyjaśnił, co miał na myśli.

- Wiedzą, że jestem doradcą Marka, ale nie jestem generałem. Moja wiedza przydałaby się może na pierwsze tygodnie wojny, później straciłaby na aktualności. Poza tym spędzamy cały ten czas, wspólnie pracując z księciem. Nie sądzę, żeby po tym wszystkim zgodził się posłać mnie na tortury. - Nie do

końca wierzył, że to prawda, ale jeśli ich podsłuchiwano, to zwiększał swoje szanse, mówiąc to głośno.

Una milczała przez chwilę.

- Mogą nas zabić? - spytała w końcu.

Nawet gdyby był przekonany, że uda mu się ją okłamać, to nie chciał tego robić.

- Gdyby zaczęli przegrywać wojnę, może. Raczej pod koniec działań.

Una westchnęła i oparła głowę na rękach, myśląc o tym, jak dawno nie widziała brata. Poczowała ściskanie w gardle. Przy Druzusie Sulien nie był bezpieczny. Nie wiedziała, czy nic mu się nie stało, i nikt tutaj nic nie umiał jej powiedzieć. Zastanawiała się, czy brat może wiedzieć, gdzie ona jest.

- Nie twierdzą, że tak być musi - dodał Wariusz. - Nie mów tego nikomu, jeśli wrócimy do domu, ale zwycięstwo Rzymu wcale nie jest pewne. W razie czego pomożemy Markowi prowadzić marionetkowy rząd. Nie byłoby nawet tak źle.

Una uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Bez względu na to, jak to się skończy, czuję, że teraz się zacznie. Zanim Marek dotrze do Rzymu, Druzus postawi im ultimatum. Nie sądzę, że zajmie mu to więcej niż dwa dni. Może nawet robić to w tej chwili. A Nionianie zaatakują pierwsi. Marek nie będzie miał do czego wracać. Nie możemy tak siedzieć i czekać. Musimy coś zrobić, nawet jeśli wydaje się nam, że nie możemy. Po prostu musimy.

- Poradziłem księciu, żeby grał na zwłokę tak długo, jak to możliwe - powiedział Wariusz. - W ostateczności niech go nawet ignoruje. Powiedziałem mu o wszystkim, co Druzus zrobił. Poprosiłem, żeby rozmawiał z nami, to znaczy ze mną. Odpowiedział mi na to, że to Druzus decyduje w tej chwili w imieniu Rzymu.

- Więc coś z tym musimy zrobić - powtórzyła Una. Z frustracji walnęła pięścią w oparcie sofy. - Gdybym tylko nie była niewolnicą. Gdybym wiedziała więcej.

- Co byś chciała wiedzieć? - spokojnie spytał Wariusz.

Una rzuciła mu spojrzenie, a potem popatrzyła w przestrzeń, zastanawiając się.

- Więcej o sinoańskiej cesarzowej.

*

Twarz Noriko zrosił drobny kapuśniaczek, który przenikał pod szerokie jedwabne parasole, jakimi służący osłaniali ją w czasie przechodzenia przez dziedziniec. Na placu nie było nikogo, przed kim musiałyby ją zasłaniać niesione z obu stron parawany. Noriko włożyła swoje najlepsze, głównie nioniańskie stroje. Długie, barwne rękawy sięgały ziemi, a we włosy miała wplecione wstążki złoczonego jedwabiu. Zwróciła twarz do jednej ze służek, żeby ostrożnie starła krople deszczu i poprawiła niesforny kosmyk. Grubszy niż zazwyczaj makijaż dodawał jej otuchy. Pod warstwą pudru jej twarz została uformowana w wyraz pogodnego spokoju niczym podobizna namalowana na wazie. Noriko chciała jak najbardziej różnić się od dziewczyny w czarnej bluzie, przyłapanej z lunetą w ręku na szpiegowaniu.

Poprzedniego wieczoru otrzymała liścik po łacinie, w którym proszono ją o przyjście do kwatery Uny w nocy, po tym jak więźniowie zostaną już odseparowani. Poszła tam raczej z ciekawości niż z przymusu. Chciała zobaczyć się z Uną, ale motywy, dla których teraz zdecydowała się spełnić jej prośbę - nie, raczej polecenie - były mniej jasne.

W pierwszym odruchu powiedziała, że nie, to niemożliwe. Una jednak położyła uspokajająco dłoń na jej rękach.

- Wszystko, przed czym do tej pory się wzbraniałaś, okazało się leżeć w zasięgu twoich możliwości.

Tej nocy Noriko budziła się wielokrotnie i zastanawiała się, co Una chciała powiedzieć i jaki to miało wpływ na nią. Czy rzeczywiście gratulowała sobie, jak zręcznie manipulowała Noriko do tej pory? Czy te wszystkie małe matactwa i wymiany informacji, na jakie Noriko zgodziła się dotąd, mogły się równać z tym, co teraz miała zrobić? Odniosła wrażenie, że nie tylko nie powinna pozostawać pod wpływem Uny, ale w ogóle najlepiej trzymać się od niej z daleka. Nawet jeśli nie brać pod uwagę różnicy statusu, Una była od niej o wiele młodsza.

A jednak za każdym razem, kiedy wmawiała sobie, że nie musi nic robić, że wystarczy zostać w swoich pokojach i nie spotykać się więcej z Uną, przypominała sobie ton jej głosu.

Z sali audiencyjnej wyszło kilku sinoańskich doradców, żeby przywitać księżniczkę. Obie strony ukłoniły się sobie dosyć chłodno. Komnata, do której ją zaprowadzono, była mniejsza i nowocześniej urządzona niż sala tronowa, w której cesarzowa przyjęła Druzusa. Większość mebli - małe stoliki z kości słoniowej, marmurowa sofa, na której nikt nigdy nie siadał - pochodziła z Rzymu, choć satynowa tapicerka na krzesłach została wymieniona na cesarską, w kolorze jasnożółtym.

Świta rozstąpiła się i Noriko ukłoniła się z naturalną, królewską gracją. Wyprostowała się, kiedy cesarzowa, która zdawała się wypełniać całą salę swoimi purpurowymi i brzoskwiniowymi sukniami, spojrzała na nią z sarkastycznym uśmiechem na ustach. Noriko spodziewała się takiej reakcji.

- Więc znowu się spotykamy - powiedziała cesarzowa.

- Wasza Wysokość - powitała ją Noriko, jakby nie miała pojęcia, o czym cesarzowa mówi. Czuła, jak na twarzach eu-

nuchów i dam dworu stojących wokół tronu pojawia się wyraz zmieszania. Co gorsza, niektórzy zdawali się uśmiechać dyskretnie, jakby zrozumieli aluzję.

- Wyglądasz bardzo elegancko, księżniczko. Zawsze jesteś taką ozdobą dla swojego kraju?

Noriko spuściła wzrok, starając się nie okazać zażenowania.

- Mój brat pozwolił mi podziękować ci, pani, za gościnę. Dzisiaj starszy rzymski książę postawił nam ultimatum, którego nie możemy tolerować. Rozmowy dobiegły końca i wracamy do domu. Chciałabym ofiarować ci kilka drobiazgów jako dowód naszej wdzięczności.

Noriko władała lepiej sinoańskim niż łaciną, ale oddzielenie obu języków sprawiało jej kłopot. Dostrzegła drobny grymas na ustach cesarzowej, który mogła wywołać zła wymowa czy jakiś inny błąd. Zaraz jednak na jej bladej twarzy znowu zagościła ponura mina.

- To tylko drobiazgi, ale zechciej je przyjąć, proszę - powiedziała Noriko, dając znak służącym, żeby podeszły bliżej i rozłożyły podarunki przed cesarzową. Były to wachlarze, suknie, grzebienie, które, jak obie kobiety dobrze wiedziały, pokryje kurz.

- Urocze - mruknęła cesarzowa obojętnym tonem, kiwając głową i zmuszając się do uśmiechu. Gdy cesarzowa straciła zainteresowanie dręczeniem Noriko, jej spojrzenie stało się smutne i nieobecne. Zdawała się nieświadoma, że Noriko jeszcze jest tutaj.

- Brat nie zna prawdziwego celu mojej wizyty - powiedziała cicho Noriko.

Twarz cesarzowej rozjaśnił płomyk zainteresowania. Uniosła brwi i przekrzywiła głowę. Było jej tak do twarzy z

tym wyrazem zaciekawienia, że Noriko na chwilę ją polubiła.

- Sądzę, że powinnaś, pani, porozmawiać z dwojgiem rzymskich zakładników - rzekła Noriko.

*

Do ich pokoju przyniesiono dalwizor. Una siedziała blisko ekranu i jednym okiem patrzyła na sinoański melodramat. Chwilami miała wrażenie, że rozumie, o czym rozmawiają główne postacie.

Leżący na sofie pod oknem Wariusz westchnął i obrócił się.

- Musiałem się zdrzemnąć - mruknął ze zdziwieniem pod nosem, bardziej do siebie niż do niej.

- Tylko na chwilę - powiedziała Una. Była pewna, że pierwszy raz udało mu się zasnąć w ciągu tych kilku dni. Sama zazwyczaj przesypiała kilka godzin każdej nocy, dopóki nie budziła się w ciemności ze świadomością, że jej umysł produkuje kolejne okropne myśli, niczym jakiś straszny warsztat tkacki. W dalszym ciągu nie miała wieści o Marku. Na wieści o Sulienie nawet nie liczyła.

Wariusz zamknął oczy, jakby jakieś niewidzialne palce przyciskały mu powieki. Z pełnym dystansu zdziwieniem zauważył, że gdzieś zniknęło napięcie, które wcześniej zdawało się ścisnąć ściany pokoju. Pomyślał, że musi być zbyt zmęczony, żeby je czuć. Miał wrażenie, że ktoś uchylił wieko skrzyni, wpuszczając do środka odrobinę powietrza.

- Una - powiedział. - Musimy porozmawiać.

- O czym?

- O tym, co robisz... - Zawahał się. - O tym, co robimy. To zdrada. Mogą nam zarzucić zdradę.

Czy sama o tym pomyślała? Czy wiedziała, że on o tym

myśli? Najwyraźniej nie, gdyż obróciła się gwałtownie w jego stronę i roześmiała nerwowo.

- Tak, a kto to uzna za zdradę? Na pewno nie Marek. Jeśli Druzus dostanie nas w swoje ręce, to i tak oskarży nas o coś podobnego. Dwa razy nie mogą nas zabić.

- Nie chodzi tylko o konsekwencje dla nas - odparł Wariusz.

- Nie - przyznała. Z jej twarzy zniknął wyraz rozbawienia. - Ale muszę to zrobić. Myślę, że zdradą byłoby niezrobienie jednej, jedynej

rzeczy, na którą mamy wpływ. Musi być coś takiego jak zdrada całego świata, prawda? Nigdy nie uważałam się za Rzymiankę.

- Ja jednak jestem Rzymianinem - powiedział trochę obcym głosem Wariusz.

- Ale zgadzasz się ze mną?

- Tak. Uważam tylko, że ludzie powinni wiedzieć, jak inni mogą nazwać ich czyny.

Una skinęła głową. Po chwili znowu uśmiechnęła się zimno.

- Zdrada. To dobre, może się przydać.

Wariusz spojrział na nią zdziwiony, ale powieki znowu mu zaciążyły. Kilka minut później obudziła go, potrząsając za ramię. Na jej twarzy widać było nerwowe napięcie.

- Myślałam, że mamy kilka godzin. Już idą.

Czuła, że Noriko się zbliża niczym liść niesiony przez silną wicherę.

Na zewnątrz Noriko starała się nadażyć za cesarzową. Miała nieprzyjemne wrażenie, jakby została dokooptowana do sinoańskiej świty.

- Powiedz im, że w moim pałacu mogę iść, gdzie mi się

żywnie podoba! - zawołała cesarzowa do tłumacza na widok nioniańskich strażników, którzy nerwowo zareagowali na zbliżającą się grupę. Zaczęli wołać coś przez nadajniki, patrząc to na Jun Shen, to na Noriko.

W pokoju Wariusz zerwał się z łóżka i w pośpiechu przetarł twarz i wygładził ubranie. Una odrzuciła włosy na ramiona. Marek zostawił ich pod nioniańską opieką, tak jak stali, bez jakichkolwiek własnych rzeczy. Nionianie pożyczyli im trochę ubrań, które teoretycznie miały przypominać rzymskie szaty. Nowe, obce tkaniny przypominały, że nic im nie pozostało. Suknia, którą Una miała na sobie, należała do jednej z dworek Noriko. Una czuła się w niej nieswojo.

Drzwi do pokoju otwały się i do środka weszła z rozmachem cesarzowa. Pod ciężarem jej spojrzenia Una wystąpiła na środek i wykonała pokorny ukłon, dotykając czołem podłogi. Wariusz ociągał się przez sekundę, ale zaraz podążył sztywno za jej przykładem, kłaniając się do samej ziemi. Una czuła, jak niechętnie to robi, i zirytowała się. Jakie w tej chwili znaczenie miały takie głupie formalności? Nie musieli robić tego szczerze.

Kiedy wstali, Noriko uświadomiła sobie, że stoi spięta i czeka, aż Jun Shen zacznie kpić i poniżać więźniów. Ku swojemu zdziwieniu zauważyła, że cesarzowa nie ma takiego zamiaru. Od chwili gdy przekroczyła próg, zachowywała się zupełnie inaczej niż na zewnątrz. Opryskliwy i kapryśny nastrój był najwyraźniej tylko przykrywką. Patrzyła na Rzymian badawczo, przymykając nieco pomalowane na czarno powieki.

- Chcę z wami porozmawiać - oznajmiła wyniośle, jakby to z jej inicjatywy doszło do spotkania. Usiadła ceremonialnie, nie czekając, aż Weigi skończy tłumaczenie jej zdania, i zmuszając go do przysunięcia jej fotela. - Druzus Nowiusz od kilku

dni zamęcza mnie w waszej sprawie - ciągnęła. - Jestem pewna, że żadne z was nie ma nic dobrego do powiedzenia na jego temat. Druzus oskarża was o wiele zbrodni. Między innymi o to, że zabiliście przez pomyłkę pana Kato zamiast niego.

- Gdybym chciała go zabić, to już by nie żył - odparła zawzięcie Una.

- Mieliśmy wcześniej okazję, żeby go zabić - powiedział Wariusz. - Był w naszych rękach. Jednak cesarz zdecydował, żeby go oszczędzić, a ja uszanowałem to postanowienie. Nic się od tamtej pory nie zmieniło. Oboje mamy powody, żeby nienawidzić Druzusa Nowiusza, i właśnie przez nie jesteśmy w tym położeniu. W tej chwili jednak nie chodzi o nasze uczucia. Druzus dąży do wojny, której my chcieliśmy zapobiec. Zdajesz sobie sprawę, pani, co dla twojego kraju oznacza taka wojna. Druzusa trzeba powstrzymać.

- Nie nienawidzę go - rzekła cicho Una. Wariusz spojrzał na nią ze zdziwieniem. - Naprawdę. Nie wiem dlaczego. Nienawidziłam ludzi, którzy zrobili mi o wiele mniej złego. Jednak jeśli chodzi o niego... chcę tylko, żeby... zniknął, żeby go powstrzymano. Miałam nadzieję, że już się to udało. - Spojrzała na cesarzową, czekając, aż Weigi skończy tłumaczenie. - Wasza Wysokość, jeśli nie będzie mógł wydostać się z Siny, odwlecze to jego atak na Nionię. Powinnaś zamknąć granice z Rzymem. Wszystkie.

Noriko znowu oczekiwała, że Jun Shen wybuchnie. Pomyliła się. Widać było na pierwszy rzut oka, że cesarzowa podchodzi do sprawy sceptycznie. Zupełnie otwarcie odchrząknęła z niedowierzaniem. Przez długą chwilę nie odzywała się, patrząc badawczo na Unę, jakby chciała zapamiętać jej twarz. Una odpowiedziała jej takim samym spojrzeniem i tylko lekkie drganie kącika ust zdradzało jej zakłopotanie.

- Jesteś jeszcze bardzo młoda - zauważyła Jun Shen.

Una patrzyła przez chwilę nieobecny wzrokiem, zanim lekko skinęła głowic

- Nie czuję się młoda.

Cesarzowa uśmiechnęła się smutno.

- Nigdy tego nie czujemy.

Noriko nagle zdała sobie sprawę, że Jun Shen traktuje Unę poważnie. Oczywiście, pomyślała, przecież ona sama też nie jest z królewskiej rodziny, podobnie jak Una. Ile mogła mieć lat, kiedy została konkubina? Skąd pochodzi? Nie wychowano jej na władczynię, ale nią została.

- Żeby taki dekret miał jakąkolwiek moc, musielibyśmy być gotowi otworzyć ogień do każdego rzymskiego oddziału, który chciałby przekroczyć granicę - powiedziała Jun Shen, wracając do roli polityka. W jej głosie zabrzmiała twarda nuta. - Jeden wystrzał oznaczałby początek wojny po stronie Nionii, przeciw Rzymowi. - Prychnęła pogardliwie.

Una i Wariusz nie odzywali się.

- Czy znacie historię naszych wzajemnych stosunków? - spytała cesarzowa, zerkając przy tym na Noriko.

- Trochę - odparła nieśmiało Una. Przypomniała sobie książki, które czytała w Atenach, i to, co Wariusz powiedział jej poprzedniego dnia.

Cesarzowa uśmiechnęła się smutno.

- Więc wiecie, że nie jest zbyt szczęśliwa.

- Jeśli Druzus pozostanie u władzy, to dojdzie do wojny - powiedziała Una. - Sina także zostanie w nią wciągnięta. Druzus nie respektuje żadnych układów i będzie dążył do całkowitego panowania Rzymu nad światem. Tak czy inaczej czeka was wojna, po stronie Nionii czy też samodzielnie.

- Jednak nawet Druzus pomyśli dwa razy, zanim zaata-

kuje oba mocarstwa jednocześnie. A jeśli jest dostatecznie szalony, żeby się na to poważyć, to Salwiusz nie jest - wtrącił Wariusz. Wreszcie udało mu się zapanować na znużeniu i dotarło do niego, co Una powiedziała, kiedy zasypiał. - Zastanawialiśmy się, jak mogą potraktować nas w Rzymie za doradzanie ci takiego rozwiązania, pani. Możesz powstrzymać Druzusa. Możesz go przytrzymać dostatecznie długo, żeby Marek naprawił sytuację w Rzymie. Jeśli wróci do Bian, może uda się zapobiec wojnie. To wystarczająco dobry powód, żeby usprawiedliwić zdradę.

Jun Shen bawiła się jednym z naszyjników.

- Jeśli Druzus Nowiusz jest takim człowiekiem, jak go opisujecie, to co zrobi ze swoim kuzynem teraz, kiedy ma władzę? - Rzuciła im wyzywające spojrzenie. - Nie wiecie, prawda? Nie macie pewności.

- Proszę mi wybaczyć, że przerywam - wtrąciła się Noriko - ale dopóki nie mamy odpowiedzi, dopóty jest nadzieja. Może więc warto zaryzykować?

Cesarzowa w zamyśleniu zagryzała wargę, rozmazując szminkę.

- O jakim czasie mówimy?

- A na jak długo mogłabyś, pani, wprowadzić blokadę? - spytał Wariusz.

- Ludzie utknęliby w pociągach, a handel byłby narażony na straty - mruknęła niechętnie Jun Shen. - A na dodatek napięcie z Rzymem...? Najwyżej kilka dni.

- Dwa tygodnie - zaproponował Wariusz.

- Bzdura. Może dam radę tydzień, ale dwa tygodnie kosztowałyby nas majątek. Wykluczone.

- To zbyt mało czasu, żeby warto było ryzykować. Dziesięć dni lub do chwili, aż usłyszymy, że Marek stracił władzę.

Albo zginął. - Wariusz celowo mówił tak brutalnie, ale ukradkiem rzucił Unie przepraszające spojrzenie.

Jun Shen znowu przygryzła wargę.

- Dobrze. Dziesięć dni - powiedziała krótko, wstając z fotela.

Zrywając się na równe nogi, Una, Wariusz i Noriko poczuli dziwną mieszankę ulgi i przerażenia. Una i Wariusz spojrzeli na siebie z niedowierzaniem. Noriko pomyślała o Rzymie i małżeństwie. Zastanawiała się, w jakim stopniu jej dzisiejszy czyn zwiększył szansę na ślub.

Jun Shen rzuciła Unie ostre spojrzenie.

- Mam coś dla ciebie - powiedziała. Z niewielkiej torebki haftowanej jedwabiem wyjęła karteczkę. - To przyszło wczoraj wieczorem. Jeśli o mnie chodzi, możesz to przeczytać. Teraz twoim celem będzie przekonanie strażników, żeby umożliwili ci skorzystanie z *yuan hua*. Jestem pewna, że sobie poradzisz.

Una wzięła kartkę ze zdziwioną miną. Zobaczyła kilka kolumn sinoańskich znaków, a obok tłumaczenie na łacinę: jej imię, numer daldictora i słowo „Holzarta”.

*

Lal ciągnęła kilka kroków stertę rur i wreszcie stanęła, dysząc ciężko i czując, jak kręci jej się w głowie, a nogi robią się miękkie jak z waty. Wczoraj dała sobie radę, więc czemu dzisiaj okazało się to absolutnie niewykonalne? Położyła połowę rur na ziemi i zaciągnęła resztę na tył dziedzińca. Oparła je o ścianę i wróciła po pozostałe. Zobaczyła, jak jeden z mężczyzn zirytowany przewraca oczami. Z góry wiedzieli, że tak będzie, i dlatego nie chcieli jej przyjąć.

Pożyczyli jej kombinezon do pracy, co pozwoliło jej przynajmniej uprać brudną sukienkę. Pozwolili także spać na

stercie plastiku w komórce. Drugiej nocy jeden z nich przyniósł jej jakieś koce i poduszkę.

Teraz zamierzali ją jednak wyrzucić. Czują to przez skórę.

Zawarła umowę z restauracją: jeśli ktoś zadzwoni i odezwie się w obcym języku, to będzie do niej. Nauczyła ich nawet, jak powiedzieć po łacinie: „Proszę poczekać, zawołam ją”. Oddała im prawie wszystkie pieniądze, jakie dostała od Genga, płacąc z góry za połączenie i za to, że ktoś ją zawoła. Znajomość kilku łacińskich słów schlebiała próżności kelnerek w restauracji, bawiło je także wymawianie słów w obcym języku. Chcąc mieć pewność, że jest zawsze pod ręką, Lal z początku stołowała się w restauracji, zamawiając najtańsze potrawy z ryżu i klusek. Kiedy udało jej się znaleźć pracę na jeden dzień czy choćby kilka godzin, najpierw zachodziła do restauracji, żeby zostawić wiadomość, gdzie można ją znaleźć. Kiedy tylko się pojawiała, dziewczyny wołały do niej chóralnie: „Proszę poczekać, zawołam ją! Poczekać zawołam ją”, zupełnie jakby to było powitanie lub jakieś rozkosznie brzydkie słowa. Następnie wszystkie wybuchały śmiechem. Kelnerki były nastawione do niej serdecznie, ale w miarę jak mijały dni, a ona nie miała odpowiedzi od Uny, coraz trudniej jej było się śmiać.

Sądząc po następnych dniach, pierwszego wieczoru dopisało jej szczęście. Jej wiek i płeć dawały pewną przewagę, ale wiązały się też z ryzykiem. Lal z obawą patrzyła na uśmiechniętych mijanych mężczyzn. Pocieszała się, że na jej korzyść przemawia to, iż w oczywisty sposób nikomu nie zagraża. W restauracji, kiedy zamiast się umyć, skropiła się wyjętymi z papierowej torebki perfumami, przekonała właścicielkę, żeby pozwoliła jej przespać się w opuszczonym łóżku swojej córki.

Mimo że było wolne miejsce, rodzina właścicielki od lat się kłóciła i najwyraźniej mąż i synowa nie zgadzali się na pobyt Lal, która nie wróciła tam następnej nocy.

Przez cały drugi dzień wałęsała się bez celu, bojąc się zbyt oddalić od restauracji. Nie pogardziłaby nawet kradzieżą, gdyby tylko jakieś jedzenie czy mydło leżały na wierzchu. Jej odmienny wygląd za bardzo zwracał uwagę, żeby to mogło się udać. W końcu znalazła jakiegoś mężczyznę, który przejął rozwalający się sklep i wyrzucał z niego graty. Pomogła mu oczyścić sklep ze starych półek i przegniłych pudełek w zamian za kilka monet i miejsce do spania na podłodze.

Jednego koszmarnego dnia nie udało jej się znaleźć nikogo, kto byłby zainteresowany daniem jej pracy. Dopiero przed nocą coś zjadła, kiedy powlokła się na pole, gdzie próbowała się zdrzemnąć na skradzionych kartonowych pudłach. Następnego dnia wyżebrała od budowlańców zgodę na pracę przy rozładunku dostawy cegieł, rur i filarów. Mężczyźni byli pełni wątpliwości, czy starczy jej sił. Lal właśnie przekonała się, że mieli rację.

Zaciągnęła resztę rur na miejsce i chwiejąc się na nogach, oparła o stertę cegieł. Jakiś czas później wyłoniła się z czarnej dziury, uświadamiając sobie, że zasnęła na stojąco, z głową opartą o cegły. Przed nią stał zarządca z rękami skrzyżowanymi na piersiach i niezadowoloną miną. Lal zamrugała, w pierwszej chwili nie rozumiejąc, co do niej mówi. Nie miało to znaczenia, jego intencje były wyraźne. Ogarnęła ją jakaś dziwna obojętność. Przebrała się w sukienkę, wrzuciła do torebki kilka monet, które jej dał, nawet nie patrząc na nie, i ruszyła ciężkim krokiem w stronę restauracji. Szła tam ze zwykłego przyzwyczajenia, bez jakiegokolwiek nadziei.

W połowie drogi zobaczyła, jak w jej stronę biegnie ja-

kaś dziewczyna. Pędziła tak szybko, że długie warkocze odbijały się od jej pleców. Była to jedna z kelnerek z restauracji, młodsza o kilka lat od Lal. Zatrzymała się przed Lal.

- Poczekać! Zawołam ją! - zaświergotała, parodiując własny akcent, i roześmiała się.

- Co?! Moja przyjaciółka dzwoni?! - zawołała z niedowierzaniem Lal po sinoańsku.

- Tak! Chodź!

Lal próbowała za nią nadążyć, z przerażeniem myśląc, jaki to jeszcze kawał. Nie mogła się nadziwić, że dziewczyna biegnie tai lekko, mimo że pokonała już spory dystans. Kelnerka dotarła do restauracji na długo przed Lal i stała w drzwiach, podskakując niecierpliwie. Lal resztką sił dowlokła się do sali z daldictorem i opadła na sofę. Jedna z dziewczyn założyła jej teatralnym gestem na głowę opaskę daldictora i w słuchawce odezwał się głos.

- Z kim rozmawiam? - zapytała ostrożnie Una.

- Una! - zawołała z ulgą Lal. Jej ciało przebiegł gorący dreszcz wyczerpania. Niemal opadła na stół, opierając głowę na rękach i śmiejąc się do siebie. - Wiedziałam, że zadzwonisz! Byłam pewna, że tam jesteś.

W słuchawce zapadła cisza.

- Lal? - spytała niepewnie Una.

- Jestem w wiosce Jingshan. To niedaleko od Jiangning, gdzieś na południowym wschodzie, ale nie jestem pewna. Minęłam się z nimi w zeszłym tygodniu. Możesz im powiedzieć, że tu jestem...

- Poczekaj chwilę - przerwała jej Una. Lal wyczuła jakieś znużenie w jej głosie, jakieś zmęczone powstrzymywanie się od hysterii, jakby sama rozmowa z Lal była czymś tak okropnym, że Una ledwie sobie z tym radziła. - Przepraszam, ale to

takie dziwne uczucie słyszeć cię po tylu latach. Nie rozumiem, o czym mówisz. Czy Delii i Ziyę są z tobą? Czemu jesteś w tej wiosce?

- Nic nie wiesz - wyszeptała Lal, czując, jak po plecach przebiega jej dreszcz.

- O czym mówisz? Co niby miałam wiedzieć?

- Mój ojciec i Ziyę zostali aresztowani. To już ponad tydzień temu. Mieliśmy zamiar przekroczyć Długą Rzekę. Mnie się udało uciec. Policja łąpała wszystkich rzymskich imigrantów z powodu tego zamordowanego nioniańskiego arystokraty. Musiałaś o nim słyszeć. Myślałam... myślałam, że ty i Marek wiecie.

Una wydała z siebie ni to śmiech, ni jęknięcie, jakby nie miała pojęcia, od czego zacząć.

- Marek wyjechał. Został zabrany do Rzymu. Wariusz i ja zostaliśmy u Nionian jako zakładnicy. Staraliśmy się... nie mogę teraz wszystkiego ci wyjaśniać. Druzus przejął władzę. Mamy nadzieję, że nie na zawsze, ale...

- Ale możliwe, że tak - dokończyła za nią Lal, oszołomiona. Zamrugnęła. - Ale... w tym samochodzie byli Rzymianie. Wiem, że mnie szukali. Nawet ich widziałam, tylko nie dałam rady dobiec. Wypytywali ludzi o mnie. Geng powiedział...

- Lal - przerwała jej stanowczo Una, niemal krzyżąc. - Jeśli szukają cię jacyś Rzymianie, są to ludzie Druzusa. Musiał przechwycić twój list. Nie wiem, czego może od ciebie chcieć, ale na pewno nic dobrego. Nie może cię znaleźć.

- Mój list...? - spytała Lal. Kręciło jej się w głowie od tego wszystkiego.

- Posłuchaj. Mamy dziesięć dni. Po tym czasie lub w razie wybuchu wojny musisz liczyć na siebie. Do tego momentu pozostań gdzieś w ukryciu. Jeśli będziesz musiała się ruszyć, wy-

ślij mi wiadomość tą samą drogą. Gdy Marek wróci, zadzwonię pod ten numer. Poślę po ciebie kogoś i zabiorę cię do Rzymu, obiecuję. Gdyby wojna się zaczęła, przynajmniej Druzus przestałby cię szukać. Musisz wtedy... sama nie wiem... Najlepiej zrób to, co zrobiliby Delir i Ziyę, gdyby ich nie aresztowano. Przykro mi.

Lal wzięła głęboki oddech, niezdolna wymówić ani słowa. Zresztą co mogła odpowiedzieć?

- Lal - powiedziała Una, a w jej głosie zabrzmiała jakaś delikatna nuta, jakby wyrzut sumienia. - Gdyby nie cała ta sytuacja, nawet nie wiesz, jak bym się cieszyła, że cię słyszę.

Lal położyła ciężko opaskę na stole. Zauważyła, że trzęsą jej się ręce, i pomyślała ze zdziwieniem i jakimś dziwnym rozdrażnieniem: Przecież się nie boję. To było zagadkowe. Czemu nie czuła lęku? Była zbyt zmęczona, żeby się bać. Objęła się ramionami. W tym ciepłym, wilgotnym powietrzu nie powinno być jej zimno. Ta letargiczna ociężałość, która pulsowała od dwóch dni w jej głowie i kończynach, to był ból. Po raz pierwszy dotarło do niej, że jest chora.

*

W Bian Una rozłączyła się i z westchnieniem opadła na fotel.

- Kolejny powód, żeby nasz plan się powiódł. - Westchnęła ciężko.

Noriko wyjęła z daldictora mały dysk, na którym nagrano rozmowę. Zapis jej był warunkiem, żeby Una otrzymała zgodę na skorzystanie z daldictora, mimo że Noriko dostatecznie ufała dziewczynie, by uwierzyć w tłumaczenie, co znaczy słowo Holzarta.

Niespodziewanie drzwi do pokoju się otworzyły i do

środką wpadł Tadahito. Stał w progu, patrząc na Unę i Wariusza z niedowierzaniem graniczącym z podziwem.

- To wasza robota? Ta umowa z cesarzową to wasze dzieło? - zapytał kategorycznym tonem.

- Tak - odparła Una.

- I twoja też? - Obrócił się do Noriko i przeszedł na nio-
niański. W jego głosie słychać było oskarżenie.

Noriko ukłoniła się bratu.

- Tak. Wybacz mi, jeśli postąpiłam źle.

Tadahito odchrząknął z irytacją. Przeniósł wzrok z dwóch kobiet na Wariusza, który wyszedł z sypialni, gdzie zdrzemnął się przez chwilę.

- Druzus Nowiusz postawił nam ultimatum - Tadahito zwrócił się do wszystkich w pokoju.

- Ale nie może go powtórzyć - odparł Wariusz, opierając się o framugę drzwi. - Przynajmniej nie teraz. Dlatego możesz udawać, że go nie otrzymałeś. Po prostu nie odpowiadaj. Nic się nie stało.

Tadahito patrzył podejrzliwie na niego, ale powoli w jego oczach zaczęło pojawiać się zamyślenie, jakby rozważał tę propozycję.

- Marek zostawił nas, żebyśmy go reprezentowali pod jego nieobecność - powiedziała zdecydowanym głosem Una. - Powinniśmy podjąć negocjacje w punkcie, w którym zostały przerwane. Należy kontynuować pracę tak długo, jak to możliwe.

*

Z oddali dobiegał jakiś dziwny hałas, niczym odgłos świdra lub rytmiczne uderzenia młota. Przez chwilę Marek bał się, że to wytwór jego wyobraźni, jednak dźwięk był zbyt re-

alny. Nie był to ani wiatr, ani nadciągający deszcz. Dźwięk zdawał się budzić instynktowny strach, który poznał trzy lata wcześniej. Czuł, jak bije mu serce, ale jednocześnie czekał z niecierpliwością na rozwój wypadków. Przycisnął twarz do okna, lecz dźwięk dobiegał gdzieś z tyłu pociągu i widział jedynie szare niebo. Drzwi na balkon zostały zamknięte kilka dni wcześniej.

Nie widział zdjęcia Suliena ani porwanej tuniki od poranka cztery dni wcześniej. Nie musiał ich więcej oglądać. Mijał dzień za dniem, gdy pociąg stał nieruchomo, a zarządca Rokselanii przyglądał mu się czujnym wzrokiem. Marek nie potrafił poradzić sobie z tym spojrzeniem w snach, tak jak raził go lękiem o Unę i Wariusza. Nie mógł odłożyć rozmyślenia o swoim położeniu na później, wszystko to dotyczyło go bezpośrednio. Musiał podjąć jakąś decyzję. Niezliczone wybory, których będzie musiał dokonać, rozmowy z Faustusem, sposoby na wybrnięcie z kłopotów, wszystko to przewijało się przez jego umysł. Jednocześnie gdzieś w głębi duszy nieustannie powtarzał niczym modlitwę: „Sulien, wybac mi”.

Przez okno zobaczył rzymski samolot wojskowy, który podchodził do lądowania. W jakim celu przybyli? Czuł zaskoczenie żołnierzy z jego eskorty i zastanawiał się, jak zareagują.

Samolot wylądował na trawie i wypadli z niego żołnierze w ciemnych mundurach. Marek cofnął się odruchowo o krok, gdy wbiegli do wagonu. Na czele szedł legionista.

- Cezarze, proszę pójść z nami.

- Dokąd lecimy? - zapytał Marek. Nie uszło jego uwagi, jak żołnierz go tytułował. Marek podświadomie dotknął kciukiem cesarskiego pierścienia na palcu.

Oficer spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Do Rzymu, oczywiście.

Marek poczuł, jak usta wykrzywia mu uśmiech.

- Dobrze wrócić do domu - powiedział. Zanim ruszył za legionistami, rzucił nienawistne spojrzenie zarządcy Rokselanii, który nagle wyglądał na przestraszonego.

- Możesz być pewny, że o tobie nie zapomnę.

Kiedy zatrzymali się w Trapezus, żeby uzupełnić paliwo, Marek nie wyszedł z samolotu. Postój jednak przedłużał się i Marek czuł, jak w miejsce podniecenia wraca lęk, że to jakaś kolejna, dziwna przeszkoda. W końcu usłyszał, jak śmigła zaczynają się obracać. Do kabiny nagle wpadło zimne powietrze, gdy otworzył się właz i do środka wszedł Salwiusz.

Marek wyprostował się w fotelu.

- Salwiusz. Czy to twoja robota?

- Oczywiście - odparł szorstko Salwiusz.

Marek wbił w niego wzrok i po chwili Salwiusz odwrócił oczy jakby zniecierpliwiony.

- Dziękuję - powiedział w końcu Marek.

- Cezarze - odparł oschle Salwiusz. - Muszę wyznać, że nie zrobiłem tego z przychylności dla ciebie. Cały ten problem z koleją stawał się absurdalny. Sytuacja wymagała rozwiązania. Musisz stawić się przed cesarzem.

- Mimo to dziękuję - rzekł Marek. - Salwiuszu, czy nie widzisz, że Druzus to zaaranżował? Zdaje sobie sprawę, co go czeka, kiedy spotkam się z cesarzem, bo dobrze wie, ile kłamstw naopowiadał.

- Twój kuzyn dzwonił do mnie i wyrażał oburzenie z powodu przestoju.

- Ale nie kazał ci wysłać po mnie samolotu. Przypuszczam, iż powiedział, że są ważniejsze sprawy niż kilka dni opóźnienia. Może nawet dodał, że jego rozmowy w Bian będą miały większe szanse na sukces, jeśli nie będą przeszkadzały.

To ty zdecydowałeś, że to nie w porządku. Mam rację?

Salwiusz nic nie odpowiedział.

- Mam pytanie. Czy mój przyjaciel Sulien... czy został aresztowany?

Salwiusz zmarszczył brwi, jakby wyczuwał jakąś pułapkę.

- Niestety nie.

Marek oparł głowę o zagłówek i wziął głęboki oddech. A jednak wspaniałemu uczuciu ulgi towarzyszyła obawa. Przez chwilę starał się walczyć z wątpliwościami, ale w końcu im się poddał: coś było nie tak.

Jeśli Salwiusz nie cieszył się tak dużym zaufaniem Druzusa, żeby mógł działać swobodnie, jak to właśnie zrobił, to mógł nie wiedzieć o zatrzymaniu Suliena. Jego zaprzeczenie oznaczało tylko, że pojmanie Suliena nie było oficjalne. Ludzie znikali także nieoficjalnie. Wystarczy przypomnieć sobie, co spotkało Wariusza trzy lata wcześniej.

Jakiś zimny, niemy głos, który przemawiał do niego od czasu, kiedy zobaczył zdjęcie Suliena, odezwał się w jego głowie: Uwierz Salwiu-szowi. Przyjmij to za dobrą monetę. Nic więcej nie możesz zrobić.

Sulienie, wybacz mi.

PIOŁUN

- Marek! - zawołał Faustus. Wyglądał na zdziwionego i zmieszanego. - W końcu wróciłeś do domu.

Marek stał na drugim końcu pokoju, przed zamkniętymi drzwiami, nie zamierzając podejść i przywitać się.

- Tak - odparł.

- Dobrze cię widzieć - zapewnił go oschle Faustus. Marek zacisnął zęby, żeby nie parsknąć śmiechem. Faustus zeszywniał i odwrócił głowę. - Czy to może poczekać do jutra?

- Nie może. - Znużenie było niczym warstwa brudu na jego skórze, a pomięte ubranie przesiąkło potem. Przybył tu prosto z lotniska na pałacowym dziedzińcu. Salwiusz zaproponował, żeby najpierw odpoczął po podróży, ale się nie zgodził. Zbliżał się wieczór, a w Bian było pięć godzin później. Trzy tysiące mil dalej Druzus najpewniej spał. Marek nie chciał, żeby się obudził, zanim załatwi sprawy.

- Więc co masz do powiedzenia?

Marek przyglądał się uważnie mozaice na podłodze.

- Jesteś chory - powiedział cicho. - Biorę poprawkę na to, że jesteś poważnie chory. W przeciwnym wypadku to, co zrobięś, byłoby niewybaczalne.

Faustus wyprostował się urażony.

- Nie jestem na tyle chory, żebym nie wiedział, co robię.

- Nie mów tego! - wrzasnął Marek. - Wystawiasz na szwank wszystko, na co pracowałem. Całe dzieło moich rodziców, za które oddali życie. Wypuściłeś na wolność mordercę, żeby zrujnował oba cesarstwa.

Wysłuchujesz kłamliwych oszczerstw na temat moich przyjaciół i narażasz ich na niebezpieczeństwo. Zmuszasz mnie, żebym ryzykował ich życie. Lepiej, żebyś nie wiedział, co

robisz!

- Lepiej się zamknij! - warknął rozwścieczony Faustus.

- Nie wezwałeś mnie tutaj, żebym się nie odzywał. Jeśli nie chciałeś mnie słuchać, nie trzeba było podpisywać tego listu. Co chciałeś ode mnie usłyszeć? Że pozwoliłem moim przyjaciołom kierować mną? Że posługują się mną, żeby zniszczyć Rzym? Stoję tu przed tobą. Może ci się nie podobać, co mówię, ale nie ma wątpliwości, że to moje słowa.

Podszedł do sofy, na której siedział Faustus, i nachylił się nad nim.

- Gdybym chciał cię zdradzić, pozbyć się ciebie, to myślisz, że musiałbym to robić ukradkiem? Jestem młody i silny. Już mi przekazałeś władzę. Czy musiałbym się kryć po kątach, żeby ją utrzymać? Na pewno nie. Jesteś chory i słaby jak Tyberiusz pod koniec życia. Kaligula był już następcą tronu. Zabrał pierścień cesarski i udusił Tyberiusza poduszką. Co mnie miałyby powstrzymać? Nie sądzisz, że ułatwiłoby mi to sprawy? Gdybym chciał cię zabić, to mógłbym to zrobić nawet teraz! - Wzdrygnął się na myśl, że to nie tylko prawda, ale że czuje taką pokusę.

- Oddaj mi pierścień - zażądał Faustus.

Marek patrzył na niego w milczeniu. Zdjął pierścień z palca i zacisnął w dłoni.

- Druzus zabił twojego brata. Dla tego pierścienia. Jeśli mu go dasz, a potem poprosisz, żeby go oddał, to jak sądzisz, co zrobi? Jak długo pozwoli ci żyć? - Wyciągnął dłoń.

Faustus wziął pierścień i trzymał w palcach.

Marek cofnął się kilka kroków. Miał pustkę w głowie. Nawet nie starał się odczytać wyrazu twarzy Faustusa. Miał wrażenie, że powietrze ucieka z pokoju.

Głowa Faustusa opadła bezwładnie na poduszki. Za-

mknął oczy i na jego twarzy pojawił się wyraz bezbronności. Pierścień potoczył się z rąk na kolana. Marek przypomniał sobie po raz pierwszy od miesiąca, że obrączka została zmniejszona specjalnie dla niego. Obaj widzieli, że jest zbyt mały, żeby zmieścić się na palcu Faustusa. Po raz pierwszy Marek poczuł, że mu współczuje.

- Ta waśń między wami. Oskarżacie się o tak okropne rzeczy. To musi się skończyć.

- To nie żadna waśń. Tu nie ma symetrii. Druzus jest zwykłym kryminalistą, który chce przejąć władzę w każdy możliwy sposób.

- Nie wierzę w to - jęknął Faustus.

- Musisz. A przynajmniej nie możesz wierzyć nam obu. Musisz wybrać pomiędzy mną a nim.

- Nie mogę.

*

Marek wyszedł z pokoju Faustusa i ruszył zdecydowanym krokiem przez puste galerie i ciche sale pałacowe. Niewidoczni służący otwierali mu drzwi, a on mijał cokoły z rzeźbami i wkraczał po marmurowych stopniach do kolejnych sal - w rzeczywistości szedł zupełnie bez celu i nie umiałyby powiedzieć, który pokój ostatnio minął. Rozkład pałacu tak wrył się w jego pamięć, że nie musiał zastanawiać się, dokąd idzie. Z drugiej strony miał wrażenie, że jest w obcym sobie miejscu i jedynie słucha instynktu, żeby znaleźć się jak najdalej od Faustusa. Było zbyt wcześnie, żeby iść spać, ale czuł, że jest bardzo zmęczony, zupełnie jakby żył według czasu Bian. W końcu opadł na fotel i roześmiał się nie wiadomo z czego. Oszalałem, pomyślał, i natychmiast przestał się śmiać.

Z prawej strony otworzyły się drzwi i ktoś wszedł do

pokoju. Marek nie podniósł wzroku. Po kroku poznał, kto to jest. Kątem oka dostrzegł, że Salwiusz ogląda jego prawą dłoń, zanim się odezwał czy spojrzał na twarz Marka.

- Nadal masz pierścień.

Marek spojrzał tępo na palec i lekko obrócił dłoń. Na krawędzi kamienia załśnił promień gorącego światła.

- Tak - powiedział cicho.

- Tak po prostu? - zapytał z niepokojem Salwiusz, a w jego głosie zabrzmiała nuta pogardy.

- W tej chwili nic więcej nie musisz wiedzieć. Na własną odpowiedzialność wyciągnąłeś z więzienia mojego kuzyna. Jedyne powód, dla którego pozwalam, żebyś stał tutaj i odzywał się do mnie, to świadomość, że miałbym za dużo problemów, gdybym chciał cię zdymisjonować albo kazać aresztować i stracić. Poza tym, nawet jeśli o tym nie wiesz, jestem twoim dłużnikiem. Pojedziesz więc ze mną do Bian, gdzie będziesz mógł mieć na mnie oko, a ja będę mógł pilnować ciebie.

Zapadła długa cisza, w czasie której spięty Salwiusz stał nieruchomo, a Marek siedział obojętnie na fotelu.

- Co to oznacza dla Druzusa Nowiusza? - spytał w końcu Salwiusz.

- Mój kuzyn... nie będzie stanowił problemu - odparł Marek głucho. - Chciałeś, żeby uniknął sądu za swoje zbrodnie. Udało ci się. Nie poniesiesz za to kary. To wszystko. Nie będziemy więcej o tym rozmawiać. Jest jednak kwestia, którą musimy omówić. Kazałeś zwiększyć produkcję w fabryce broni w Veii przed jej zniszczeniem.

- Nie było rozkazu, który by tego zabraniał - powiedział niechętnie Salwiusz.

- Salwiuszu, czy sądzisz, że za bardzo zbliżyłem się do Nionian?

Salwiusz ponownie się zawahał.

- Tak.

Marek pokiwał głową.

- Nionianie budują nowy rodzaj broni lub może robili to pod kierownictwem pana Kato. Mogli ją przetestować na którejś z wysp na Morzu Prometejskim. Nic więcej nie wiem, więc nie masz co pytać. Porozmawiaj z Falksem, żeby nasz wywiad zdobył jakieś informacje. Nie będziesz więcej działał za moimi plecami. Wydaję ci polecenie, żebyś zbudował broń równie groźną jak Nionianie. Lub groźniejszą.

Salwiusz bez słowa skinął głową.

- Nie podniecaj się za bardzo. W dalszym ciągu nie zamierzam jej używać. Zostaw mnie teraz i przygotuj się do wyjazdu. - Nie przyszło mu do głowy, że Salwiusz może go nie posłuchać. Zamknął oczy i nawet nie spojrzął, kiedy generał wyszedł.

Po kilku minutach zwałókł się z fotela i poszedł do pokoi Makarii. Zbliżając się do piętra, na którym mieszkała, zauważył strażników i służących poukrywanych za drzwiami. Nie rozpoznawał w nich ani jednej osoby, która kiedyś dla niej pracowała. Nie zawahał się jednak ani nie patrzył na nich, nawet kiedy musiał im kazać się rozstąpić. Cały czas uważał tylko, żeby pierścień był dobrze widoczny.

Zanim ją zobaczył, usłyszał jej głos, zachrypnięty, jakby musiała krzyczeć przez ostatnie dni.

- Przestań za mną chodzić jak jakiś cholerny pies! Nie pozwolę, żeby mnie pilnowano! Tylko mi nie odpowiadaj, że nic na to nie możesz poradzić!

Makaria wyglądała na wykończoną przez ciągły lęk i złość. Była w zdecydowanie gorszym stanie niż służący, którego właśnie skrzyczała. Na widok Marka ugięły się pod nią

nogi. Rzuciła mu się bez słowa w ramiona. Z jej głową na ramieniu Marek poczuł ulgę, że ktoś nad nim czuwa, czując, jak jest słaby i zagubiony. Nie miał zamiaru się jednak rozczulać nad sobą.

- Próbowałam cię ostrzec - powiedziała Makaria, ocierając łzy. - Dostałeś moją wiadomość? Nic nie odpisałeś.

- Nie - odparł. - Nic nie dostałem. Dzięki, że próbowałaś.

- Do kogoś musiała dotrzeć. Wcześniej nie było aż tak źle. Przynajmniej udawali, że nie traktują mnie jak przestępcy. Nie pozwalają mi wyjść z pokoju ani zadzwonić, ani zobaczyć się z tatą. Nie mam pojęcia, co tu się dzieje. Tak mi przykro.

- Nie zrobiłaś nic złego. To ja przepraszam, że musiałaś tyle wycierpieć. Teraz już wszystko będzie dobrze.

- Widziałeś się z ojcem? - Dotknęła jego ręki. - Masz nadal pierścień. Więc... uwierzył ci?

Marek rozejrzał się po pokoju.

- Nie tutaj.

Zeszli na dół po schodach i wyszli na ten sam dziedzińiec, na którym kilka miesięcy wcześniej spotkał się z senatorami w dniu, kiedy Una poszła za Druzusem, a ten ją zaatakował. Przycięte na kształt parasoli sosny kołysały się na wietrze. Pod nimi Rzym tętnił życiem, migocząc bursztynowymi światłami na tle zbierających się chmur. Makaria westchnęła i rozłożyła ramiona.

- Jak dobrze znowu wyjść na dwór.

- Wiem - powiedział Marek.

Makaria rzuciła mu niespokojne spojrzenie. W każdym, nawet najprostszym słowie było słychać bezosobową gorycz.

- Więc co się stało?

Marek spojrzał na drzewa.

- Nie potrafi wybrać pomiędzy nami i nie wybrał. Mam

dzielić władzę z Druzusem i jakoś się z nim dogadać.

- To jakaś bzdura. Przecież to niemożliwe.

- Wiem.

- Co zrobisz?

Marek uśmiechnął się lub raczej ściągnął mięśnie twarzy odpowiedzialne za uśmiech.

- Nie to, co myślisz. - Odwrócił się w stronę pałacu. - Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

- Musisz mi wszystko powiedzieć - upierała się Makaria, idąc za nim. - Co się stało w Sinie? Myślałam, że oszaleję przez to wszystko.

- Nie mam teraz czasu - odparł Marek. - Pojedź ze mną do Bian, to opowiem ci wszystko po drodze. Od samego początku powinnaś była mi towarzyszyć.

Wszedł do pierwszego pokoju, w którym znajdował się daldictor, i wezwał służącego. Napisał imię na kartce papieru.

- Muszę natychmiast rozmawiać z tym człowiekiem. Niech ktoś w centrali znajdzie kierunkowy i mnie połączy. Będę czekał tutaj.

- O co chodzi? - spytała Makaria.

- Próbuję znaleźć Suliena. Powiedzieli mi... - Coś go ścisnęło w gardle i głos mu się załamał. - Powiedziano mi, że został aresztowany.

Makaria wyglądała na wstrząśniętą.

- Nie mogli tego zrobić. Wyciągnęłam go stąd. Był w pokoju, kiedy Salwiusz przyprowadził Druzusa, ale go ukryłam.

- Był tutaj? - Marek zamrugał. - Sam nie wiem. Powiedziano mi, że ukrywał się przez kilka dni... Mam nadzieję, że to kłamstwo. Salwiusz nic o tym nie wiedział.

Minęło kilka minut. W końcu żarówka u podstawy daldictora zapaliła się i Marek założył opaskę.

- Kleomenes - powiedział. - Mówi Marek Nowiusz Faustus.

- Poznaję cię, cesarze.

Marek usłyszał w tle płaczące dziecko. Łkało rytmicznie, jakby ktoś kołysał je w ramionach. Prawda, Kleomenes miał syna. Marek poczuł żal, że zapomniał o tym.

- Chcę cię prosić o przysługę. Możliwe, że Sulien jest gdzieś nieoficjalnie przetrzymywany z rozkazu mojego kuzyna. Może gdzieś w Rzymie. Jeśli każę wigilom czy pretorianom go szukać, może to zaalarmować ludzi, którzy go przetrzymują. I tak dowiedzą się o moim przybyciu. Mamy więc tylko kilka godzin. Wiem, że to niewiele informacji...

- Panie - przerwał mu Kleomenes.

- ...i boję się, że nie da się wiele zrobić, ale wiesz, komu można ufać. Niech się tym zajmie. Muszę coś zrobić.

- Panie - powtórzył Kleomenes bardziej stanowczym tonem. -. Wiem, gdzie jest Sulien.

- Co? - spytał mechanicznie Marek.

- Jest w Ostii. Mamy tam dom, którego używaliśmy do tajnej operacji w sprawie nielegalnego handlu niewolnikami. To było dawno temu i niewiele osób o tym wiedziało, nawet wśród wigilów. Jest tam razem z Acchanem. Tylko tyle mogłem zrobić.

- Schowałeś go tam?

- Tak, kiedy przyszedł do mnie. Ucieszy się na twój widok. Wygląda na to, że ma dla ciebie ważne informacje. Cały czas się zadręczał, że nie może się z tobą skontaktować.

Marek nie mógł wydobyć z siebie głosu. Czuł, że dławi go na przemian radość i ulga. Gdyby tylko wiedział to wcześniej! Gdyby tylko podjął decyzje, wiedząc to!

- Przywiozę go do pałacu. W domu nie ma daldictora, z

którego mógłby bezpiecznie zadzwonić.

- Dzięki - zdołał wykrztusić Marek. - Nie mów mu tego, co ci powiedziałem. Sam mu to wyjaśnię. - Kiedy odłożył daldictor, Makaria miała przez chwilę wrażenie, że zaraz się rozpłacze. Jego twarz szybko się wygładziła. - Muszę coś zjeść i przez chwilę odpocząć.

Zjedli niewielki posiłek w pobliskiej jadalni, spożywając go w milczeniu. Dopiero kiedy służba zebrała talerze, Makaria przerwała ciszę.

- Una i Wariusz nie przyjechali z tobą?

- I tak będę musiał to opowiedzieć Sulienowi, a nie dam rady powtarzać tego dwa razy. Jutro wszystko usłyszysz.

Makaria wyrzucała sobie w myślach, że go męczy, choć Marek nie wyglądał na zirytowanego. Powoli osuwał się w sen, a jego ręce zwisały bezwładnie ze stołu, jakby był pod wpływem środka nasennego.

- Różnica czasu - wyjaśnił. - Mój organizm myśli, że jest po północy.

- Marku... - odezwała się Makaria. - Tak mi przykro. - Czuła, że ktoś powinien go przeprosić.

- Czemu? - spytał trochę niecierpliwie. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Zmieniłeś się - powiedziała w końcu bardzo delikatnie. Uniósł powieki i w jego oczach pojawiło się zaciekawienie.

- Naprawdę? - mruknął pod nosem i zasnął.

Obudziło go pukanie do drzwi. Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że Makarii nie ma, a on siedzi w pustym pokoju. Nie spał więcej niż półtorej godziny.

- Proszę - powiedział, podnosząc się z fotela. Kiedy służący wprowadził Suliena, Marek nie poczuł nic, tylko patrzył

na przyjaciela.

Suliena spłoszyła rozradowana i pełna bólu mina Marka, ale zanim zdążył coś powiedzieć, ten porwał go w objęcia tak gwałtownie, że omal nie przewrócił na drzwi. Mimo zaskoczenia, ponieważ to nie było podobne do Marka, w pierwszej chwili Sulien był jedynie szczęśliwy, że go widzi. Jednak zaraz usłyszał, jak Marek bierze głęboki oddech, zupełnie jakby załkał, a uścisk przyjaciela stał się bardziej zdesperowany.

- Wszystko w porządku?

Marek parsknął śmiechem. Po wszystkich przejściach fakt, że to zatroskany Sulien poklepuje go po ramieniu, wydał mu się komiczny i trudny do zniesienia. Puścił przyjaciela.

- Tak.

- Jesteś pijany?

Marek znowu się roześmiał.

- Martwiłem się o ciebie.

- Nie sądziłem, iż będziesz wiedział, że są powody do zmartwień. - Zobaczył, że oczy Marka są czerwone od łez. - Coś jest nie w porządku. Co się stało?

Marek czuł, że najuczciwiej byłoby samemu powiedzieć mu o wszystkim, nie czekając na pytania. Nie wiedział jednak, od czego zacząć. Kiedy próbował mówić, głos wiał mu w gardle z radości i zarazem ze zwykłego tchórzostwa.

- Gdzie jest Una? - spytał niewinnie Sulien i nagle zobaczył, jak uśmiech znika z ust przyjaciela, a Marek unika jego spojrzenia. Sulienowi przyszły do głowy najczarniejsze scenariusze. - Marku, gdzie ona jest?

- Nie, nie - uspokoił go w pośpiechu Marek. - Nic się nie stało. Jest... jest w Bian. - Uświadomił sobie, że nie wie tego na pewno.

- Gdzie? - W oczach Suliena pojawiła się panika. - Prze-

cież tam jest Druzus. Może ją zabić.

- Nie. Nie ma do niej dostępu i nie może jej nic zrobić. Una jest u Nionian.

Sulien potrząsnął głową z wyrazem tępego zdziwienia.

- Poprosiłem, żeby ją zatrzymali - zmusił się do wyjaśnienia Marek. - Jako rodzaj... gościa.

- Gościa? - powtórzył Sulien.

- Tak. Posłuchaj, mieliśmy tylko kilka minut. Gdyby została ze mną, byłaby w większym niebezpieczeństwie. Bez porównania większym. Nie miałem innego wyjścia. - Czuł jednak, że zbyt nachalnie i pośpiesznie stara się zapobiec czemuś, czego bał się od samego początku: nieufności, która narastała w przyjacielu.

- Więc zostawiłeś ją samą w rękach wroga, w tym samym mieście, w którym przebywa Druzus?

- Nie jest sama. Wariusz jest z nią.

- Wariusz? - zdziwił się Sulien. - Czy on się na to zgodził?

A Una?

- Nie - odparł Marek stanowczo i z jakimś dziwnym żalem. - Nie do końca. - Cofnął się o krok, gdy Sulien zbliżył się do niego.

Sulien uświadomił sobie z obrzydzeniem, że z całych sił się powstrzymuje, że musi sobie przypominać, że to Marek.

- Co się z nimi stanie? Jesteś pewny, że Druzus ich nie dostanie? A jeśli wybuchnie wojna?

- Nie mam pojęcia. Wiedziałem jedynie, co by się stało, gdybym tego nie zrobił.

- Czemu Nionianie ich przyjęli? - pytał dalej Sulien, jakby go nie słyszał. - Co na tym zyskują?

Marek rzucił mu zaszczute spojrzenie. Nie oczekiwał tego po Sulenie, nie w tej chwili. Czy to możliwe, że nie doce-

niał go przez cały ten czas? Odczekał chwilę, aż Sulien wykrzyczy to samo pytanie.

- Gwarancję, że nie miałem nic wspólnego z zamachem na pana Kato.

Sulien wyrznął pięścią w stół.

- A jeśli pomyślą, że miałeś? Co z nimi zrobią? Nie masz pojęcia, co się z nimi działo przez ten czas, prawda?

- W tej chwili jest tam środek nocy.

- Więc ich obudź! Czemu tego jeszcze nie zrobiłeś?

- Z powodu Nionian - mruknął Marek. - Wyglądałoby to, jakbym im nie ufał. A to...

- Co to ma za znaczenie? - przerwał mu Sulien. - Jak w ogóle możesz tak myśleć?

- Nic nie poradzę na to, że tak myślę - odparł Marek błagalnym tonem. - Zresztą nie mogę robić dwóch rzeczy naraz, a teraz...

- Bardziej się martwiłeś o mnie - dokończył cicho Sulien.

- Przepraszam... masz rację, zaraz się dowiemy.

Poszli do pokoju, w którym Marek rozmawiał z Kleomenesem. Sulien stał z założonymi rękami, oparty o ścianę, błędząc wzrokiem po pokoju. Nie chciał słyszeć głosu Marka, który spokojnie wydawał polecenia niewidocznym adiutantom w biurach na piętrze. Nie chciał sobie wyobrazać całego łańcucha poleceń, które w postaci impulsów elektrycznych pędziły w ciemności na drugi koniec świata, żeby obudzić służących, którzy następnie przekażą wiadomość odpowiednim urzędnikom. Czuł, jak Marek cierpi w samotności, siedząc na fotelu z opaską daldictora na głowie. Ponieważ Sulien nie mógł spojrzeć na Marka ze współczuciem, unikał patrzenia na niego. W ten sposób minęła godzina w trudnej do zniesienia ciszy. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy, żeby czekać w samot-

ności.

W końcu ze słuchawek wydobył się szelest czyjegoś głosu. Sulien usłyszał, jak Marek robi szybki wdech.

- Są bezpieczni. Cały czas przebywają w Bian. Nionianie zapewniają, że są bezpieczni.

- Chcę z nią rozmawiać - powiedział rozkazującym głosem Sulien.

Marek spojrział na niego i tylko posłusznie skinął głową.

Znowu zapadła cisza, kiedy czekali na odpowiedź, choć tym razem nie tak długo jak poprzednio. Patrzyli w napięciu na daldictor i Marek czuł, że nie powinien odzywać się do Suliena, aż załatwią tę sprawę. Nagle Marek się poruszył.

- Una? - zapytał z ożywieniem.

- Daj mi to - zażądał drapieźnie Sulien, sięgając po daldictor.

- Una, to ja.

W słuchawce usłyszał zmęczony śmiech Uny.

- Co się stało z twoim akcentem?

- Zamknij się - powiedział Sulien.

Marek obserwował Suliena, czekając cierpliwie, aż skończy. Rozmowa się przeciągała i Marek czuł, jak z Suliena powoli uchodzi napięcie; rozluźnił ramiona i nawet zaśmiał się kilka razy. Kiedy jednak popatrzył na Marka, w jego spojrzeniu znowu pojawiła się surowa nieufność.

- Nie, jest tutaj. Nic mu nie jest - powiedział sucho do daldictora. Po chwili zdjął opaskę z głowy i wyciągnął ją w stronę Marka. - Chcę z tobą rozmawiać - oznajmił z zaciętą miną.

Marek schwycił daldictor.

- Nic wam nie jest?

W głosie Uny pobrzmiwało zmęczenie, przez które

przebijała się ulga.

- U nas wszystko w porządku - powiedziała czujnie. - Będziesz mógł wrócić?

- Tak - odparł niepewnie. - Bardzo chciałem usłyszeć twój głos. Przepraszam cię.

Zignorowała przeprosiny, ale nie wiedział, czy uznała je za niepotrzebne, czy całkowicie je odrzuciła.

- Marku, masz trzy dni, żeby się tu stawić - rzekła ponagląco. - Jeśli nie przyjedziesz, boję się, że Nionia wypowie nam wojnę. Potrzebujesz specjalnego zezwolenia od cesarzowej. Granice są zamknięte dla Rzymian.

Nic o tym nie wiedział. Zaczęli w pośpiechu wyjaśniać sobie, co się zdarzyło przez ostatnie dwa tygodnie, mimo że oboje byli zmęczeni i czuli, że pewne kwestie mogą omówić jedynie w cztery oczy.

- Kocham cię - powiedział Marek. Czuł się dziwnie, wypowiadając te słowa przy bacznie spoglądającym Sulienie. Una zapewniła, że też go kocha, i Marek poczuł się jak żebrak, który znalazł pieniądze pozwalające mu przeżyć noc.

Sulien ponownie wyciągnął rękę po opaskę.

- Una - powiedział z naciskiem - wracaj szybko.

Marek odłożył opaskę daldictora i w pokoju zapadła cisza.

- Nic im nie jest - rzekł nieśmiało Marek.

- Nic im nie jest - zgodził się z poważną miną Sulien. Usiadł naprzeciw Marka przy biurku. - Mnie także nic nie jest. Czemu się o mnie martwiłeś? - spytał spokojnym, zrównoważonym głosem.

Marek wziął głęboki oddech i Sulien z irytacją poczuł, że mu współczuje.

- Pokazali mi podrobione zdjęcia. Twoje. Jak cię torturu-

ją. Jeśliby Druzus nie mógł zdobyć inaczej pierścienia, to liczył, że może zgodzę się go sam oddać.

Po raz pierwszy Marek nie potrafił odczytać wyrazu twarzy przyjaciela. Jego zgaszone spojrzenie zdawało się przez wieczność spoczywać na twarzy Marka. W końcu Sulien spuścił wzrok.

- Salwiusz powiedział mi, że to nieprawda. Zresztą od początku podejrzewałem, że to fotomontaż - dodał szybko Marek, gardząc sobą za to, że się usprawiedliwia. Sulien siedział bez słowa, patrząc mechanicznie na pierścień na palcu Marka, aż Marek powiedział: - Przepraszam cię.

- Nie mów tak - sprzeciwił się z obrzydzeniem Sulien. - Nie jest ci przykro. Zrobiłeś to nie bez powodu. Zrobiłbyś to ponownie, gdybyś musiał. - Opadł na krzesło. - Jeśli za coś jest ci przykro, to nie warto o tym nawet wspominać - mruknął cicho.

- Musisz zrozumieć...

- Rozumiem. Nie jestem głupi - odparł Sulien bez urazy. W jego głosie zabrzmiała smutna nuta podziwu. - Miałeś rację. Co innego mogłeś zrobić?

- W takim razie żałuję, że do tego doszło.

- To oczywiste - rzekł Sulien i nawet uśmiechnął się do Marka, ale z takim żalem, jakby wspominał z uśmiechem kogoś, z kim nigdy więcej się nie zobaczy. Markowi zebrało się na płacz.

Sulien wyprostował się, jakby chciał przejść do interesów, i wyjął z kieszeni marynarki wymiętą kopię zdjęcia Atroniusza.

- Powinieneś o tym wiedzieć. Ten facet wysadził fabrykę. Był w Bizancjum w tym samym czasie co twój kuzyn. W jego mieszkaniu znaleziono kartkę z moim imieniem i nume-

rem kliniki. Sądzę, że przeżył eksplozję. Z usług tego rodzaju ludzi Druzus korzystał już wcześniej. Mógł go wysłać, by dokonał zamachu. W ten sposób wszcząłby wojnę i pozbył się mnie za jednym zamachem. W tym czasie nie byłem... przydatny do niczego innego.

Marek nie czuł jeszcze morderczego gniewu, ale wiedział, że ten nadejdzie.

- Jest do tego zdolny. Przypuszczam, że kazał zabić Kato. Wyszło to nie tak, jak zamierzał, ale udało mu się pozbyć głównego stratega Nionian i narobić mi kłopotów. Zajmę się tym. Dzięki.

Sulien wzruszył ramionami.

- No cóż... - Wstał z krzesła.

- Nie idź - poprosił Marek. W odpowiedzi ujrzał zdecydowane spojrzenie Suliena. - Wigilowie przeszukali twoje mieszkanie. Nie możesz tam nocować. Mogę ci przynajmniej jakoś pomóc?

- Czy ktoś mnie napadnie i zabije, jeśli pójdę do Tanco-rix? - spytał znużonym głosem Sulien. Marek przecząco pokręcił głową. - Więc spędzę noc u niej.

- Wybaczysz mi? - spytał cicho Marek.

- Jak mam ci wybaczyć, jeśli nie zrobiłeś nic złego? - spytał Sulien wyraźnie zagubiony. - To nie o to chodzi. Nigdy bym nie przypuszczał... - Cofnął się myślami w przeszłość. - Kiedy jechaliśmy szukać cię w Rzymie, pamiętam, jak przyszło mi do głowy, że są rzeczy, do których nie jesteś zdolny. Na przykład, że nigdy... nie zabiłbyś drugiego człowieka, nawet gdybyś musiał. Natomiast każdy z nas byłby do tego zdolny, nawet ja. - Spojrzał na Marka z pożegnalnym uśmiechem. - Zmieniłeś się.

Marek rozważał to przez chwilę.

- Tak - przyznał w końcu. - Zmieniłem się. Tak to już jest. Sulien skinął głową.

- Wiem - odparł z jakąś dziwną czułością i wyszedł.

*

- Żałuję tylko, że mogłem spędzić tak niewiele czasu w Rzymie wśród moich obywateli. Wrócę do stołu rokowań z Nionianami i zapewnię Rzymowi pokój bez osłabiania naszych sił. Wkrótce będę znów w domu.

Marek oglądał na małym ekranie spiralogram nagranie z przemowy, które zrobił tego ranka. Uznał, że jest zadowolająca. Może trochę za mało uspokajająca, a za bardzo groźna, ale ogólnie niezła. Patrzył, jak pod nim Rzym coraz bardziej się kurczy. Nawet nie poczuł, że był w domu. Panteon zniknął w masie dachów i wież, Pola Watykańskie lśniły niczym plama oleju. W końcu miasto stało się tak małe, że nie widział żadnego ruchu i ziemia nagle wydała mu się wymarła.

- Mamy więc tylko jeden dzień? - spytała Makaria, która siedziała obok niego. Planowany przylot do Bian wypadł jutro wieczorem, dzień przed upływem terminu wynegocjowanego przez Unę i Wariusza.

- Całe rozmowy zawisły na włosku - odparł Marek. - Nic dziwnego, skoro obwiniają nas o śmierć Kato.

- Ale wiedzą już, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego?

- Druzus wciąż tam jest - mruknął Marek.

Makaria obejrzała do końca przemówienie.

- Powiedz mi coś więcej o tej nioniańskiej księżniczce.

- Już ci powiedziałem - odparł Marek. - Widziałem ją tylko raz.

- Nie zdradziłeś, jakie zrobiła na tobie wrażenie. Marek milczał. Makaria wyprostowała się.

- Będziesz musiał to zrobić - rzekła głosem wypranym z emocji. Marek wyjrzał przez okno.

- Nie - odparł krótko.

- Sam powiedziałeś, jak niepewny jest wynik rozmów. W przemowie zapewniłeś obywateli, że zrobisz wszystko, żeby wynegocjować pokój. Musisz to zrobić, inaczej zaprzepaścisz wszystko, na co pracowałeś. To tylko polityczny układ. Każdy musi zdawać sobie z tego sprawę.

- Na ile politycznych układów sama się nie zgodziłaś? - zapytał Marek. W jego głosie zabrzmiało sarkastyczne ostrzeżenie.

Makaria westchnęła.

- Nigdy tak wiele od nich nie zależało.

- To nie jest konieczne. - Marek potrząsnął głową. - Ani do zaakceptowania. Nie.

- Z powodu Uny?! - zawołała Makaria. - Marku, jeśli nie możesz się z nią rozstać, to nie rób tego! Żyj z nią tak jak do tej pory! Wiem, że księżniczka nie może być naiwna. Dopóki będziesz zachowywał się taktownie, zrozumie to. Wiesz, jak świat działa. Myślisz, że ty pierwszy zakochałeś się w niewolnicy?

- To co innego.

- Dlaczego? Bo chodzi o ciebie?

- Nie kupiłem jej! - krzyknął Marek. - Nigdy nie była moją własnością. Nie zadurzyłem się w dziewczynie, która przynosiła mi posiłki. Gdybym miał jakąś władzę i mógł ją zmusić do czegokolwiek, to znieawidziłaby mnie bez względu na to, czybym się nią posłużył, czy nie. Mógłbym sobie wyobrazić, że ją kocham, ale nigdy bym jej nie zrozumiał. Kiedy się spotkaaliśmy, miałem tyle samo co ona czy Sulien... -Jego twarz wykrzywiła się, jakby to imię było policzkiem lub świeżą blizną. -

To jest co innego. Kiedy byliśmy sami w lesie, była Uną, a nie niewolnicą. A ja byłem sobą. To wszystko. Nie istniała pomiędzy nami różnica.

Makaria znowu westchnęła ciężko.

- Przykro mi - powiedziała, kładąc rękę na jego dłoniach
- ale teraz istnieje.

Marek milczał przez dłuższą chwilę.

- Nie - powtórzył w końcu, cofając dłonie. - Coś wymyślę.

*

Lal leżała pod kocem zwinięta w kłębek i trzęsła się z zimna niczym młot pneumatyczny. Ból był jak wrzątek, w którym gotowały się jej napięte do granic możliwości mięśnie. Przeszła już taki szmat drogi, śpiąc w szczerym polu ze świadomością, że kiedy się obudzi, będzie się czuła jeszcze gorzej. Po co to wszystko? Nie mogła pracować. Bez względu na to, jak daleko zajdzie, wkrótce inni ludzie zdecydują o jej losie. Nie mogła jednak pozwolić, żeby stało się to w pobliżu Jingshan, gdzie jej szukali. W miarę jednak jak posuwała się do przodu, znaczenie słów Uny jakby traciło sens. Zdawała sobie sprawę, że to gorączka tak na nią działa, ale przestała się przejmować swoim obcym wyglądem. Czuła, że przekroczyła granicę, za którą narodowość traci sens i przestaje być zauważalna, kiedy jej ciało i ubranie stały się uniformem włóczędzy. Nigdzie już się nie wyróżniała. Kilka razy zebrała o jedzenie, zupełnie bez wstydu. Przez dni, które zdawały się ciągnąć niczym miesiące, szła naprzód, potykając się o swoje nogi, a ziemia zdawała się protestować z każdym krokiem.

Ale nie - to musiało być dawno temu. Już po wszystkim. Musi leżeć nieruchomo, skoro czuje pod bokiem maty i koc szczelnie otulający jej ciało. Ta niepewność przeraziła ją nagle,

Lal poderwała się, ciężko dysząc. Patrzyła w oszołomieniu na ubranych na czerwono wojowników namalowanych na białych ścianach po obu stronach drzwi. Poczła dumę, że udało jej się to, co zamierzyła: doszła do sąsiedniej wioski i znalazła świątynię. Nic więcej nie mogła zrobić. Nie była pewna, co działo się potem - ktoś chyba podawał jej coś do picia - i nie miało to znaczenia. Opadła na posłanie z westchnieniem ulgi. Po chwili poczuła, że znowu wlecze się przed siebie, choć jednocześnie była pewna, że leży na zaimprovizowanym posłaniu pod sklepieniem świątyni. Jedynym przyjemnym wrażeniem było, o dziwo, szczęknięcie zębami: jego rytmiczność zdawała się nieść otuchę niczym trzepot skrzydeł lub drobny deszcz uderzający o szyby.

Znowu się poderwała z posłania, ponieważ ktoś usiadł przy niej. Nie wiedziała, czy właśnie przyszedł, czy był tu już od dłuższego czasu. Chudy mnich. Nie rozumiała, co do niej mówi, chciała, żeby umilkł, gdyż nie mogła skoncentrować się na marszu.

Był już tu wcześniej, pomyślała, i rozmawiał z kimś. Pewnie zastanawiali się, co z nią począć. W miastach znajdowały się publiczne szpitale. Jeśli ją tam zabiorą, to znajdzie ją policja. Nie bardzo się tym przejmowała. Miała przecucie, że trudno będzie ją gdzieś stąd zabrać. Może wyzdrowieje, zanim po nią przyjdą?

Poczła w ustach ostry smak gorącego napoju. Mnich mówił coś do niej uspokajającym tonem, o czymś ją zapewniał. Lal zakrztusiła się i gorzki napój spłynął jej po policzkach na włosy i do uszu. Nie mogąc się uwolnić od natrętnego tonu, zmusiła się do zrozumienia, co mówi: „...szukają cię. O, właśnie idą”.

Lal uniosła głowę, która była jak odlana z ołowiu, mając

nadzieję, że zobaczy Delira i Ziyę. Gdzieś przez głowę przebiegła jej myśl, że to raczej niemożliwe. W drzwiach stało dwóch mężczyzn, olbrzymich niczym maszty, które nachylają się nad morzem. Na ustach jednego pojawił się współczujący uśmiech. Poznała, że to Rzymianie, a na zakurzonej podwórku dostrzegła czarny samochód.

- Nie, nie! Tylko nie z nimi! - krzyczała po łacinie, ale jedynie Rzymianie mogli ją zrozumieć. - Nie! - jęknęła ponownie. Mnich uśmiechnął się, próbując ją uspokoić. Lal odrzuciła koc i w panice spróbowała wstać, ale ściany i podłoga pomięły się, jakby wszystko było zrobione z papieru. Kiedy odzyskała przytomność, stwierdziła ze zdziwieniem, że leży w czyichś ramionach i że kładą ją na tylnym siedzeniu samochodu. Przeszły ją dreszcze, a obolałe oczy same się zamknęły. Samochód ruszył i Lal poczuła każdy kamień pod kołami. Wciąż szła przed siebie.

NIEUNIKNIONE

- Hej, ty! Jak się nazywasz? Wiesz, gdzie jesteś? Widzisz, nawet nie reaguje.

- Przynajmniej jest cicho. Daj jej spokój.

- Dobra, ale co zrobimy, jak nie dotrwa do Jondum? Daj jej więcej tego napoju, bo na nic się nie przyda.

- A jak przedawkuje, to będzie lepiej? Nie wiesz, co jest w tej butelce. Do jutra wytrzyma. Zostaw ją w spokoju.

- Tak jest.

Lal jęknęła, protestując przeciwko ich gadaniu, i odwróciła głowę, żeby ułożyć się na siedzeniu. Przez chwilę skóra cudownie chłodziła jej policzek, ale wkrótce bijące od dziewczyny gorąco ogrzało siedzenie.

Samochodem gwałtownie zarzuciło i coś minęło ich w pełnym pędzie. Kierowca zaklął po sinoańsku. Ktoś obok niej przepchnął się do okna.

- Skąd wziął się ten samochód? Spytaj, czy widział go wcześniej. Ktoś go widział w okolicach świątyni?

Kilka przeczących pomruków.

- Myśli pan, że nas śledzą?

- Myślę, że nie chcę go więcej widzieć - odpowiedział mężczyzna, który musiał być dowódcą.

Zapadło milczenie. Lal była wdzięczna za tę ciszę. Choroba była niczym prąd pędzący przez jej ciało i rozpalający ospałe atomy, tak że zaczynały świecić purpurowym żarem. Odwróciła się na plecy, dysząc ciężko i starając skoncentrować się na czymś niezwykle istotnym, co nieustannie jej umykało.

Nagle samochód zwolnił i wszystko w środku szarpnęło nią niczym torsje.

- Jakiś samochód blokuje drogę. Chyba ten sam.

- Każ kierowcy cofnąć! - krzyknął centurion. - Nie zatrzymuj się, tylko wrzuć wsteczny. Do tyłu. Już!

Coś uderzyło w samochód od spodu, czemu towarzyszył dźwięk rozrywanego metalu. Wjechaliśmy w burzę, pomyślała najpierw Lal, ale później przemknęło jej przez głowę: Nie, to była bomba.

Silnik zakrztusił się i samochód gwałtownie zahamował. Rzymianie otworzyli drzwi i wyskoczyli na zalaną słońcem drogę, kryjąc się za wozem. Ktoś ściągnął Lal z tylnego siedzenia i rzucił na popękany asfalt. Wokół świszczwały kule. Schowana za tylnymi kołami Lal była zaintrygowana i jednocześnie obojętna na to, co się dzieje wokół niej. Bardziej zajmowało ją pulsowanie gorąca, które zdawało się topić pod nią asfalt. Nie otwierała oczu, aż gdzieś przed nią z prawej strony, po drugiej stronie samochodu, eksplozja rozbłysła niczym pomarańczowy nagietek. Samochodem zakołysało, a na ziemię posypały się jakieś ciężkie szczątki. Wybuch pod samochodem był niczym w porównaniu z tą eksplozją - zaledwie delikatnym pacnięciem kociej łapy. Mimo że leżała w bezpiecznej odległości, skuliła się, nakrywając głowę ramionami. Ktoś w pobliżu był przeraźliwie. Lal jęknęła i z trudem odwróciła się tyłem do samochodu i rannego.

- Lal, Lal. - Ktoś powtarzał jej imię gdzieś na krawędzi świadomości. Czowała, że zaraz się rozpłacze. Usłyszała, że ktoś mówi do niej po łacinie, ale zrozumienie słów było ponad jej siły. - Nic ci nie jest? Wstawaj! Chodź tutaj!

Lal poddała się i spojrzała z wysiłkiem na Liuyina, który stał na skraju drogi i machał do niej.

- Lal! Pospiesz się!

Lal zamknęła oczy. Miała wrażenie, że minęło kilka godzin, a on wciąż stał i błagał ją, żeby się wreszcie ruszyła. W

końcu udało jej się przejść kawałek w jego stronę, czując, jak mięśnie napinają się do granic możliwości. Liuyin podbiegł do niej, podniósł ją jakoś niezręcznie i zaciągnął do rowu, gdzie upadli obok siebie.

- Nie patrz, nie patrz na nic - szepnął, kiedy kolejna, tym razem mniejsza eksplozja wstrząsnęła powietrzem. Czuła, jak Liuyin drży na całym ciele. - Przepraszam, że nie przyjechałem wcześniej. Powinienem bardziej się postarać. Nie miałem prawa złościć się na ciebie, ale nie wiedziałem, że jesteś chora. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Ktoś zawołał po łacinie - ale to nie był nikt z żołnierzy. Liuyin dźwignął ją z ziemi i wyniósł na drogę. Jakiś poobijany szary samochód ominął płonący wóz i zatrzymał się przed nimi. Z samochodu wyskoczył mężczyzna i Lal z zainteresowaniem przyglądała się, jak rozwija się jej delirium. Była ciekawa, co zdarzy się za chwilę. Nie upierała się, że to same halucynacje - coś jednak wokół niej się działo. Patrzyła na przepiękne światło, mimo że raziło jej oczy: czyste, pełne, niczym woda w szklanej kuli. W tym świetle ogień wydawał się chłodny i nierealnie daleki, przypominał wstęgi szafranu rozpuszczającego się w wodzie. Rude włosy młodego mężczyzny miały odcień róż lub wina, a jego niebieskie oczy o nierealnym odcieniu emitowały własne światło, jakby płonął w nich gaz. Lal nie mogła się nadziwić, w jak niewielkim stopniu przypomina bladego chłopca, którego zapamiętała. Światło przenikające powietrze lub rozświetlające jej umysł odbijało się promieniami od jego zawziętej twarzy o delikatnych rysach. Wydawał się zbyt nadludzki, żeby być brzydki.

- Widzisz, zdobyłeś się na więcej, niż mogłeś przypuszczać. Teraz musisz usiąść za kierownicą. Chodź - powiedział do Liuyina.

Po chwili Lal leżała na jego kolanach w zagraconym samochodzie, a on szeptał do niej spokojnym, pewnym siebie głosem.

- Już jesteś bezpieczna. Wydostanę cię stąd. Wszystko będzie dobrze.

Jego ręce były gołe i to się nie zgadzało - przecież zawsze nosił je ukryte w rękawach. Jedna ręka podtrzymywała jej głowę, a druga spoczywała tak, że Lal widziała zamglonymi gorączką oczami okrągłą bliznę po ukrzyżowaniu.

- Ciebie tu nie ma, Dama - zauważyła rozsądnie.

Dama uśmiechnął się do niej z jakimś pełnym czułości żalem.

- Masz rację, kochanie. Nie ma mnie tu.

*

Liuyin jechał zbyt szybko. Drżał na całym ciele z szoku, jaki spowodował wybuch, i losu, jaki spotkał Rzymian. Miał uczucie, że przyspiesza, jadąc jakąś boczną drogą, która coraz bardziej oddala go od normalnego życia. Wiedział, że kiedyś spojrzy z niedowierzaniem na to, co zrobił, ale w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia. Czasami nachodziła go pokusa, żeby przeciwstawić się poczuciu przymusu wypełniania poleceń tego obcego mężczyzny, ale były to mizerne próby przypominające wierzganie wisielca - raczej żałosny brak umiejętności pogodzenia się z nieuniknionym. W tej chwili to działało się naprawdę, a on był w środku wydarzeń. Czuł podniecenie na myśl, że robi coś słusznego. Poza tym nie był zupełnie nieprzygotowany. Czy nie marzył całe życie, żeby wziąć udział w czymś takim, być częścią dramatu, bohaterem opowieści? Teraz właśnie miał szansę.

Jedynie to dziwne milczenie obcego mężczyzny wytrą-

cało go z równowagi. Liuyin rzucał mu co chwila spojrzenie w lusterku wstecznym, spodziewając się jakichś instrukcji, ale nie widział żadnej reakcji. Młody mężczyzna był całkowicie skupiony na Lal - ostrożnie przemywał jej twarz wodą z plastikowej butelki. Biorąc pod uwagę jego okaleczone ręce, szło mu to całkiem nieźle. W tym upale woda pewnie była już ciepła. Twarz mężczyzny wyrażała tak olbrzymią, pełną smutku czułość, że Liuyin zaczął podejrzewać, że może to ktoś z rodziny Lal.

- Co teraz? - spytał w końcu Liuyin po sinoańsku. Nie miał pojęcia, jak dobrze obcy zna język, ale wiedział, że trochę rozumie. Kilka razy zdarzyło mu się powiedzieć parę słów po sinoańsku, zazwyczaj gdy Liuyin zaczynał tracić ducha.

- Nie mogę jej zabrać ze sobą - powiedział cicho Dama. Mówił po łacinie, ale Liuyin rozumiał go bez trudu. Im więcej czasu z nim spędzał, tym bardziej czuł, jak wszystko nabiera wagi w ustach Damy, i to nie tylko ze względu na jego bardzo wyraźny głos. - Nie jeżdżę publicznym transportem. Poza tym ona jest bardzo chora.

Oczywiście, że Dama nie mógł wiedzieć, że Lal będzie chora. Liuyin musiał o tym pamiętać. Dama znalazł Liuyina po kilku dniach spędzonych na wypytywaniu mieszkańców alei Czarnych Ubrań. W ciągu paru minut wydobył z niego informację o telefonie Lal i przez chwilę dał mu odczuć, jakim jest marnym człowiekiem. Równie szybko pobudził go do brawurowego działania. Dotarli do Jingshan wkrótce po Rzymianach i od tego czasu śledzili ich samochód. Gdyby nie znaleźli Lal, to przynajmniej mieliby pewność, że tamtym też się nie powiodło. Od pierwszej chwili, kiedy się spotkali - Dama zaskoczył Liuyina, gdy ten wracał z lekcji rysunku - Dama sprawiał wrażenie, jakby chciał jak najszybciej wykonać coś, co i tak trzeba

będzie wykonać.

Liuyinowi nagle przemknęła przez głowę okropna myśl.

- Czy ona może umrzeć?

- Nie - odparł Dama z niekłamanym przekonaniem. Jego sprawniejsza lewa ręka spoczywała pod głową Lal i Dama nie chciał jej wyciągać, żeby nie poruszyć dziewczyny. Z wyraźnym wysiłkiem wyjął trzema sprawnymi palcami prawej ręki małą fiolkę z kieszeni, otworzył wieczko i połknął kilka tabletek, popijając je wodą. Liuyin widział już wcześniej, jak je zażywa, choć robił to po kryjomu. Sprawiał wrażenie, jakby chciał ukryć ten fakt lub opierał się zażywaniu ich tak długo, jak tylko mógł. Westchnął w oczekiwaniu na ulgę.

- Wiem, gdzie najlepiej jej będzie, i wiem, kto ją tam zabierze - mruknął pod nosem. Zamknął oczy, jakby ten czyn zmuszał go do działania wbrew własnej woli. - Una to robi. Nowiusz też by mógł. - Jego usta wykrzywiło wspomnienie jakiejś urazy. - Ale nawet bez niego... Una...

- Chcesz jechać do Bianjing?

- W pobliże Bian - potwierdził Dama.

*

Nie było odwrotu. Jednocześnie nie mógł także zrobić ani kroku do przodu, zupełnie jakby wspinał się po schodach, które się zawaliły, a on został na niedostępnej wysepce i patrzył na rozciągającą się pod nim przepaść.

Jak mógł się z tego wydostać? Niewolnicy spakowali już jego rzeczy i Druzus był gotowy do wyjazdu. Wiedział, że znaleziono Lal. Nie do końca było to to, na co liczył, ale dobre na początek. Czekał tylko na wiadomość od żołnierzy, że dojechali do Jondum, skąd mogli przedostać się do imperium. Jednak od wczoraj, od wiadomości o sukcesie, stracił z nimi kontakt i

nikt nie odpowiadał na jego telefony. Zupełna cisza, która powinna być dla niego przestrogą.

Tylko czemu miałyby uciekać? Miał tyle samo władzy co Marek. Nie mogli tego nie zauważyć. Może uda im się podzielić cesarstwo pomiędzy siebie, przynajmniej tymczasowo; w przeszłości rozważano już raz czy dwa podział na wschód i zachód. Na razie mu wystarczy. Jeśli będzie miał punkt oparcia i czas, to zdobędzie w końcu całość. Na pewno.

Tylko dlaczego strażnicy, którzy pilnowali jego kwatery, teraz odchodzili? Druzus, który nerwowo chodził tam i z powrotem, patrzył przez chwilę w zdumieniu, jak znikają w ogrodzie, zanim z wściekłością kazał im się zatrzymać. Nie posłuchali go jednak, nawet kiedy ponownie za nimi zawołał, dodając przy tym każdą groźbę, która przyszła mu do głowy. Dopiero kiedy zażądał wyjaśnień, jeden z nich raczył mu odpowiedzieć.

- Cezar rozkazał nam stawić się przed koszarami, Wasza Wysokość.

- Nie ma prawa wam rozkazywać! - ryknął Druzus, podsycając w sobie palący gniew. - Mamy po równo władzy. Taka jest decyzja cesarza. Po równo. Przeczytajcie sobie list, jeśli mi nie wierzycie!

Tyle że oni mu nie wierzyli i nic ich nie mogło przekonać. Marek był w Bian. To jedno świadczyło o klęsce Druzusa. Marek miał pierścień i żołnierze się go bali. Jak nigdy dotąd Druzus poczuł absurdalność tej sytuacji. Żołnierze nie mieli się czego obawiać z ich strony. Marek i Druzus mogli jedynie nasyłać na siebie żołnierzy. Gdyby ci przejrżeli na oczy, to nie musieliby ich słuchać! Czemu sami na to nie wpadli?

Nie został sam. Trzech żołnierzy nie poszło z innymi, ale Druzus nie podejrzewał, że to z lojalności do niego. Kazano im

zostać. Marek polecił im pilnować go albo chciał go w ten sposób obrazić.

Druzus wszedł do środka i trzasnął drzwiami. Było jednak już za późno i gniew zaczął go opuszczać. Stał na środku pokoju, dysząc ciężko i czując, jak przechodzą go dreszcze. Jaki był bezbronny w tym kruchym sinoańskim domu. Otaczało go jedynie cienkie szkło i pomalowane drewno, delikatne i pełne rzeźbionych otworów, które nie chroniły przed światem zewnętrznym. Jak którykolwiek z tutejszych książąt mógł spać spokojnie?

Druzus obrócił się do jednego z niewolników.

- Zamknij drzwi - rozkazał niemal szeptem.

*

Aż do ostatnich sekund Una powstrzymywała się przed rzuceniem się pędem w stronę Marka. Zmuszała się do stacznego kroku, podążając za nioniańskimi strażnikami przez sinoańskie dziedzińce i ogródki. Zupełnie niepotrzebnie szli okrężną trasą, jakby zbyt gwałtowne przejście od niewoli do wolności mogło im zaszkodzić. Wariusz szedł powoli w milczeniu, z twarzą wzniesioną ku niebu. Zaledwie od dwóch godzin wiedzieli, że Marek jest w mieście i że zostaną uwolnieni. Teraz jednak, po wszystkich zabiegach ostatnich tygodni trudno im było uwierzyć, że to takie proste; że mogą iść, gdzie chcą, bez żadnej straży, że już po wszystkim, że Marek na nich czeka. Una zdawała sobie sprawę, że to coś więcej niż tylko oszołomienie spowodowane nagłą zmianą. W jakimś sensie Marek nigdy już nie będzie na nią czekał.

Zobaczyła go odzianego w purpurowy płaszcz. Dopiero wtedy rzuciła się w jego stronę. Padli sobie w objęcia. Jeszcze nigdy tak bardzo za nim nie tęskniła, a mimo to bała się spoj-

rzyć mu w twarz. Podniósł ją, gniotąc jej żebra w potężnym uścisku. Żadne z nich się nie uśmiechało, lecz nie zamierzali się wypuścić z objęć. Una zacisnęła powieki i szczęki, starając się odsunąć wszystko od siebie. Wrócił, tylko to się liczyło. Nie chciała poznać jego myśli.

- Dobrze widzieć cię całego - powiedział szczerze Wariusz, choć jego ton był chłodny. Przed spotkaniem z Markiem wolałby pospacerować przez godzinę jak najdalej od pałacu. Kiedy Marek puścił jedną ręką Unę i zrobił krok w jego stronę, Wariusz zeszywniał. Uderzyła go niemal desperacka prośba, która na chwilę zabłysła w oczach Marka i zaraz ustąpiła miejsca ponurej, rozżalanej akceptacji, niemal zanim Wariusz zdołał ją odczytać.

- Dzięki za wszystko, co zrobiliście - rzekł do nich obojga Marek. - To było heroiczne posunięcie. Nie pozwolę nikomu, żeby interpretowali to jako zdradę.

Na dziedzińcu pojawił się żołnierz i niepewnie zbliżył się do nich. Wyglądał dosyć nieszczególnie z pobladłą twarzą, sztywno zasalutował, a w geście tym można było dostrzec zarówno ulgę, jak i lęk.

- Cezarze. Kilku ludzi jest w złym stanie. Jeden stracił przytomność. Ma złamanych parę żeber i chyba przebite płuco. Nie jestem pewien, czy chciałeś... - Zawahał się i zdecydował się inaczej sformułować wypowiedź. - Cezarze, prosimy o zgodę na udzielenie pomocy medycznej.

Marek spojrzał na niego z irytacją i pogardą.

- Dobrze. Jeśli to konieczne. - Dał znak ręką, że może się oddalić.

Una zeszywniała, nie wierząc własnym uszom.

- O co chodzi? - spytała cicho.

Oczy Marka zrobiły się równie nieprzezroczyście jak dwa

kamyki, a jego usta wykrzywił wyzywający uśmiech.

- Kazałem wychłostać żołnierzy za karę. Nie tylko ich.

Na miejsce zsyłki zarządcy Rokselanii wybrał wybrzeże Alanii. jego także kazał wychłostać i przepędzić kopniakami przez całe miasto, a na końcu wrzucić do wozu i wywieźć.

Widok ich zszokowanych twarzy wzbudził w nim zniecierpliwienie graniczące z pogardą. Naprawdę musiał im wyjaśniać wszystko jak dzieciom? Nikt się nie odezwał. Una z rozchyłonymi ustami patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. Zmarszczone brwi Wariusza teraz raczej wyrażały zawód. Markowi wydawało się to nie do zniesienia.

- W jaki sposób wybrałeś, których masz ukarać? - spytał w końcu cicho Wariusz.

- Wskazałem tych, których twarze zapamiętałem - odparł szorstko Marek. - Niestety ich centurion gdzieś zniknął. Upięknęło mu się.

- Chciałeś to załatwić, zanim się z nami zobaczysz? - spytał Wariusz i odwrócił wzrok, gdy Marek nie odpowiedział.

- Ale to była robota Druzusa. I twojego wuja. I Salwiusza. Oni są najbardziej winni - wymamrotała Una.

- Myślicie, że wystarczy kiwnąć palcem i świat się zmieni? - Marek zapytał ostrym tonem, w którym słyhać było urazę. - Mogłem kazać ich zabić. Powinienem był tak zrobić. Nie jestem dumny z faktu, że nie zrobiłem tego, ale więcej już to się nie powtórzy. Będziecie ich bronić, ponieważ wykonywali rozkazy? Chcę, żeby następnym razem, kiedy dostaną taki rozkaz, bali się go wykonać. Tak to działa. - Odwrócił się i ruszył przed siebie. Una poszła za nim. Wariusz stał w miejscu.

Nie poszli do pawilonu, w którym wcześniej mieszkali.

- Druzus go zajmuje - powiedział Marek. - Wolę, żeby tam został, niż miałbym go przenosić. Nie wyjdzie stamtąd.

Byli w zupełnie obcych pokojach. Una dosłownie chodziła na palcach wokół Marka, jakby bała się go wystraszyć.

- Muszę się spotkać z Junoseną - rzekł Marek. - Podziękować jej. Potem z Tadahito. Spróbuję rozwiązać ten problem.

Una w milczeniu skinęła głową. Nerwowo krążyła po pokoju. Poczowała się nagle znużona świadomością, że choć nie jest już pod nioniańskim nadzorem, to wciąż przebywa w tym pałacu w Sinie. Wolała jednak nie myśleć, że tęskni za rzymskim imperium.

- Nie wiem, co stało się z naszymi rzeczami - powiedziała. - Na przykład z moimi ubraniami.

- No właśnie, co to za sukienka? Chyba nie twoja, co?

- Jednej z dworek księżniczki. - Spojrzeli na siebie i zgodnie nie poruszali tematu Noriko.

- Twoje rzeczy nie mogą być daleko. Na pewno wkrótce je przyniosą.

Zdejmując płaszcz, Marek wyjął z kieszeni jakieś zawiątko. Ścisnął w dłoni zwinięty skrawek niebieskiego materiału. Ku swojemu zaskoczeniu Una poznała zrolowaną wełnianą czapkę.

Dała mu ją na cmentarzu dzień po tym, jak się poznali. Czapka miała ukryć jego tożsamość, zmniejszyć ryzyko, jakie dla nich stanowił. Była to pierwsza rzecz, jaką mu podarowała.

Marek rzucił jej szybkie spojrzenie, wzruszył ramionami i uśmiechnął się trochę sztywno.

- Pomyślałem o niej wczoraj, jak byłem w domu...

W dalszym ciągu miał złą minę. Una ponownie uprzytomniła sobie, co właśnie zrobił, i poczuła, że wcale nie jest usatysfakcjonowany, że złość jeszcze z niego nie uszła. Żałowała, iż nie potrafi powiedzieć czegoś, co podtrzymałoby go na duchu, czegoś słodkiego i bezmyślnego. Umiała wyobrazić so-

bie zupełnie inną kochankę dla mężczyzny sprawującego władzę: ślepo posłuszną i delikatną kobietę, która miałyby niewyczerpane zapasy czułości, która nie oceniałaby, a jedynie wspierała. Pomyślała, że byłoby to znacznie prostsze dla wszystkich. Zamiast tego stała tu zimna i nieprzystępna. Pogładziła go po włosach, delikatnie, jakby na próbę. Marek musiał wyczuć coś fałszywego w jej ruchach, gdyż cofnął się niecierpliwie.

- Naprawdę muszę ci opowiadać? Nie wiesz jeszcze wszystkiego?

- Nie - mruknęła.

- Dlaczego nie? - spytał z jakimś perwersyjnym rozdrażnieniem. Spróbowała się wykręcić od odpowiedzi.

- Za dużo naraz, jesteś zbyt... rozdrażniony. - Częściowo była to prawda. Nie chciała mu się przyznać, że boi się zobaczyć, o czym myśli, co pamięta czy planuje zrobić. - Nie chcę cię szpiegować.

- Powinnaś wiedzieć - odparł obcesowo i zaczął opowiadać jej o czasie, kiedy siedział uwięziony z zarządcą, o wyborze, którego dokonał, i spotkaniu z Sulienem w pałacu. - Nie sądzę, żeby chciał mnie jeszcze kiedyś widzieć - dodał stanowczo.

- Zechce - zapewniła go Una. Znając swojego brata, szczerze wierzyła, że mówi prawdę, mimo że wątpliwości ścisnęły jej gardło i głos nie brzmiał przekonująco.

Marek potrząsnął głową, jakby nie żywił nadziei.

- Zgodziłem się na jego powolną śmierć, więc nie mogę go winić.

- Bo nie zgodziłeś się, żeby Druzus postąpił, jak mu się podoba, i wszczął wojnę. Bo nie zgodziłeś się, żeby niewolnictwo nigdy nie zostało zniesione. Ja bym postąpiła tak samo.

Zawahał się i spojrzął na nią.

- Zrobiłabyś tak samo? - spytał z jakimś podziwem w głosie. - A zostawienie was tutaj, też byś tak postąpiła?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Tak.

- Tylko na ukaranie żołnierzy byś nie przystała - rzucił twardym tonem.

- Nie - powiedziała Una z większą emfazą, niż zamierzała.

- Więc co byś zrobiła? - Marek prawie krzyknął na nią.

- Nie wiem - wybąkała Una, cofając się. Marek odwrócił się z pogardliwym prychnięciem i Una ze złością ruszyła do ataku. - Owszem, wiem. Najpierw bym ich ostrzegła. Powiedziałabym, że mają zignorować każdy rozkaz, który nie wyszedł ode mnie. Dałabym im do zrozumienia, co mogło ich spotkać, i zaskoczyłabym ich, odpuszczając im tym razem. Sprawiałabym, że byłiby mi wdzięczni.

Marek znowu prychnął ze wzdargą, choć już nie tak pewny siebie.

- Myślisz, że uszanowaliby to?

- Tak. - Marek westchnął i usiadł na sofie. Wyglądał na wyczerpanego. Una spojrzała na niego i spytała: - Byłeś przy tym? Patrzyłeś, jak...?

- Oczywiście, że tak. Inaczej byłoby to z mojej strony tchórzostwo. Musiałem się upewnić, że wiedzą, za co są karani.

Milczeli przez chwilę, jakby zawarli rozejm. Marek nie chciał z nią walczyć. Nie wierzył w jej zapewnienia na temat Suliena i czuł urazę do Wariusza za jego minę.

Una odkryła stertę nowych wiadomości na stoliku. Ze zdziwieniem spostrzegła, że jedna z nich jest do niej. Przeczy-

tała ją szybko i zszokowana odwróciła się do Marka.

- Gdzie jest Sinchan?

- Po drugiej stronie rzeki - odparł. - Kiedyś o to pytałaś. Pamiętasz? Miasto, w którym piorą wszystkie brudy.

- Lal tam jest. Obiecałam, że zabiorę ją do Rzymu. Wygląda na to, że jest chora.

- Co takiego? - Marek podniósł głowę.

- Delir i Ziyé zostali aresztowani. Nie wiem, gdzie są. Sinońska policja aresztuje ludzi od czasu zabójstwa pana Kato. Lal przez cały ten czas ukrywała się gdzieś na wsi. Jeden z jej przyjaciół pomógł jej skontaktować się ze mną. Może teraz przywiózł ją tutaj.

- To Druzus kazał zabić Kato - rzekł Marek zadziwiająco łagodnie.

- Co chcesz z nim zrobić? - spytała cicho Una.

- Uciszę go - odpowiedział Marek bez wdawania się w szczegóły. Rozpogodził się odrobinę. - Słuchaj, jeśli czegoś potrzebujesz, daj mi znać. Postaram się pomóc Delirowi i Ziyé, a także wszystkim innym, których aresztowano.

Una stała, trzymając kartkę, i patrzyła na niego z żalną bezradnością. Marek podszedł do niej i pocałował ją delikatnie.

- Nie patrz tak. Nie musisz się o mnie martwić. Wkrótce stąd wyjedziemy.

*

W miarę jak zbliżali się do Xinjian, Dama stawał się coraz bardziej niespokojny. Nie wydawał się też już taki pewny siebie jak poprzednio i chociaż Liuyin nie stracił wiary w niego ani w to, co zrobili, teraz lepiej go rozumiał. Dotarli w końcu do brzydkiego miasta i umieścili Lal w obskurnym hoteliku.

Zanim Liuyin przekazał znajomemu urzędnikowi z Bian wiadomość dla Uny, Dama z trudem potrafił usiedzieć na miejscu. Krążył nerwowo pomiędzy łóżkiem Lal a oknem, wyglądając na południe, jakby mógł zobaczyć ponad brązowymi dachami miasta położone po drugiej stronie rzeki Bian. Z początku Liuyin sądził, że boi się o Lal, która była ostatnio niepokojąco cicha, ale Dama z uporem powtarzał, że nic jej nie będzie. Su-lien - na dźwięk tego słowa Liuyin zaciskał pięści z zazdrości - ją wyleczy. Rzeczywiście, jego niespokojny nastrój zdawał się różnić od lęku. Dama nigdy nie bał się aresztowania czy że coś może się nie powieść. Bardziej to przypominało pragnienie, żeby znaleźć się w innym miejscu.

- Co się dzieje? - spytał Liuyin, kiedy zobaczył, że Dama wyrzucił swój niesmaczny posiłek, po który wcześniej go posłał. Dama nie lubił jeść w towarzystwie.

- Nic - odparł Dama jakimś nieobecny głosem. Westchnął i uśmiechnął się do Liuyina. - Wkrótce tu będzie. Albo przyśle służącego. - Usta wykrzywiły mu się, jakby chciał okazać pogardę, ale zaraz otworzyły się w szczerym uśmiechu. - Myślę jednak, że sama przybędzie. Jak tylko ją zobaczysz, będziesz miał problem z głową. Wskaż jej jedynie właściwe drzwi i zostaw ją samą. Nie rozmawiaj z nią i nie wspominaj o mnie. Zostań tylko z Lal do przybycia Uny, a następnie odejdz. Możesz jej ufać.

- Ciebie tu nie będzie? Wyjeżdżasz? - spytał zdziwiony Liuyin i aż zaczerwienił się ze wstydu, że boi się zostać sam.

- Muszę - odparł przygnębiony Dama. - Nie martw się. Nie potrzebujesz mnie. - Wyjął z kieszeni zwitek pieniędzy. - To na powrót do domu.

- Nie, nie - sprzeciwił się Liuyin, odsuwając pieniądze.

- Nie bądź głupi. To nawet w części nie jest zapłatą za

twoją pomoc. Sam więcej wydałeś. To są tylko pieniądze, żebyś mógł wrócić do domu. Wiesz, że ich potrzebujesz, więc bierz.

- Jak mogę wrócić do domu? - spytał ponuro Liuyin. -
Moi rodzice... Zostawiłem ich.

Dama przyglądała mu się uważnie przez sekundę. Położył zdrową rękę na ramieniu chłopca.

- Jesteś jedynakiem, prawda?

- Tak, i zostawiłem ich. To okropne.

- Ucieszą się na twój widok. Możesz im powiedzieć, że cały czas byś się martwił, że Lal grozi niebezpieczeństwo. Niczego nie musisz żałować. Rozumiesz? Nie przejmuj się, nawet jeśli trochę pozłoszczą się na ciebie. Co znaczy kłótnia z rodzicami po tym, co przeszedłeś? Nie musisz się już niczego bać. Ani ich, ani nikogo na świecie.

Kiedy Liuyin został sam i siedział przy łóżku Lal, czekając na Unę, zastanawiał się nad prawdziwym powodem wyjazdu Damy. Nie powiedział, dokąd się udaje, ale gdy mówił „muszę”, nie słychać było w jego głosie przekonania, z którym wcześniej wszystko robił. Liuyinowi przyszło do głowy, że może Dama wcale nie chciał wyjeżdżać. Chciał tu zostać i z jakiegoś powodu oparł się tej pokusie.

*

Spotkanie przebiegało w napiętej atmosferze. Udało im się odtworzyć negocjacje aż do momentu, w którym zostały przerwane przez Druzusa, i omówić punkty, nad którymi Wariusz z Uną wstępnie dyskutowali pod nieobecność Marka. Wszyscy zdawali sobie jednak sprawę z pewnych niedopowiedzeń.

- Jaka jest pozycja Druzusa Nowiusza po twoim powro-

cie? - spytał cicho Tadahito.

- Nie będzie uczestniczył w negocjacjach. Jestem przekonany, że wkrótce opuści kraj - wyjaśnił Marek.

- Rozumiem jednak, że cesarz Faustus obdarzył go częściowo władzą. Jeśli to prawda i jeśli Druzus Nowiusz nie weźmie udziału w rozmowach, to traktat, który staramy się zawrzeć, nie będzie wiele warty.

Marek zacisnął pod stołem pięści.

- Od tej pory rola Druzusa będzie się ograniczała wyłącznie do spraw domowych.

Po spotkaniu Marek dostrzegł wymowne spojrzenie księcia i podszedł do niego, kiedy wychodzili z sali.

- Chciałem jeszcze raz podziękować za opiekę nad Uną i Wariuszem.

- Bardzo dobrze się wywiązali ze swojego zadania - zapewnił Tadahito. - Pani Una budzi respekt. Nie jestem pewien, czy to lepiej dla świata, że urodziła się kobietą, czy gorzej.

- Na pewno lepiej dla mnie - odparł Marek.

Tadahito uśmiechnął się, choć z rezerwą.

- Dobrze, że ich u nas zostawiłeś. W przeciwnym razie pewnie byśmy się nie spotkali. Ale udało nam się tylko odwlec wybuch wojny o dziesięć dni. Nie ma co udawać, że to coś więcej niż zwłoka; sprawy nie wyglądają tak samo jak przed śmiercią pana Kato. Wierzę, że nie miałeś z tym nic wspólnego; gdyby tak nie było, to raczej byś nie wrócił. Ale twój kuzyn to nie ty. Zagroził atakiem na Nionię, kiedy odmówiliśmy wydania pani Uny i pana Wariusza. Druzus Nowiusz ma inne cele niż ty. Czy mógł być zamieszany w śmierć pana Kato?

Marek poczuł, jak na myśl, że ma kłamać w obronie Druzusa, ścisną mu się gardło.

- Nie miałem okazji obejrzeć dowodów - mruknął.

Na twarzy Tadahito pojawił się wyraz cynicznego zrozumienia. Skinął głową.

- Pojmujesz, czemu mój ojciec uważa, że sytuacja wymaga jakiegoś zdecydowanego działania. Rzym i Nionia muszą stworzyć trwały sojusz, który będzie honorowany w przyszłości. - Zniżył głos. - Tylko raz spotkałeś moją siostrę i pewnie nie zadałeś sobie pytania, w jakim celu tu przyjechała. Zawsze mieliśmy nadzieję, że kiedyś rzymski i nioniański tron zostanie zjednoczony przez małżeństwo. Przykro mi, że sprawy posunęły się tak daleko, że muszę to otwarcie sugerować. Nie sądzę, żebyśmy mieli czas na niedomówienia.

Markowi z najwyższym trudem udało się nie zeszywnieć. Zręcznie ukrył panikę złapanego w potrzask zwierzęcia pod maską naturalnego zdziwienia i powstrzymał się przed syknięciem z przerażenia. Musiał jednak coś odpowiedzieć.

- To... ech... bardzo szlachetne z twojej strony - wydukał. - Naprawdę, chcecie tego mimo... wszystkich zastrzeżeń?

- Sądzę, że to bardziej potrzebne niż kiedykolwiek - odparł Tadahito.

- Oczywiście, czuję się zaszczycony - powiedział Marek. Czuł się, jakby recytował tekst komedii. Musiał skończyć tę rozmowę. Bał się, że popełni jakąś katastrofalną gafę. Uśmiechnął się szeroko. - Czy możemy to przedyskutować jutro?

- Oczywiście - zgodził się Tadahito. Markowi jego ton wydał się lekko zawiedziony, choć nie miał pewności, czy umysł nie płata mu figła. Chyba księżę nie oczekiwał natychmiastowej odpowiedzi?

Ruszył szybko przed siebie i zatrzymał się na szczycie srebrnego łukowatego mostu, pod którym płynął sztuczny strumyk. Marek nie widział go. Stał, ściskając z całych sił balu-

stradę, i starał się myśleć jasno, ale nie potrafił. Nie zauważył, kiedy Makaria podeszła do niego.

- Salwiusz tu będzie za godzinę. Co zrobisz, jeśli zechce zobaczyć się z Druzusem?

- Co? - spytał Marek. Odwrócił się i spojrzał na nią pozbawionym wyrazu wzrokiem. W jej oczach kryło się lekkie podekscytowanie, które zirytowało Marka. Makaria wciąż była pod wrażeniem egzotycznego piękna miasta, którego Marek już nie dostrzegał. Oszołomiła ją także wizyta u cesarzowej Jun Shen. Mimo że Makaria z łatwością potrafiła okazać wyniosłą rzymską dumę, poczuła szok - podniecenie - na widok starej, zasuszonej kobiety, która cała w klejnotach siedziała na tronie i promieniowała autorytetem równie potężnym jak każdy cesarz Rzymu.

Marek spróbował skoncentrować się na tym, co Makaria powiedziała.

- Niech go zobaczy. Nie odstępuj Salwiusza, kiedy będzie do niego szedł. Zachowuj się tak, jakby cała sprawa była tylko rodzinną sprzeczką. Nie sądzę, żeby Druzus ośmielił się przeciwstawić, a Salwiusz wiele nie zrobi, jeśli Druzus się nie odezwie.

Makaria skinęła głową.

- O czym rozmawiałeś z księciem? - spytała delikatniejszym tonem, a jej wzrok mówił, że się domyśla.

- O pogodzie w Edo - warknął Marek i pośpiesznie się oddalił. Najpierw chciał zobaczyć się z Wariuszem. Jednak jutro, kiedy będzie po wszystkim, jedyną osobą, której może i musi powiedzieć, będzie Una.

*

Było późno, kiedy wróciła. Znalazła Marka siedzącego

niemal w zupełnych ciemnościach. Fotel stał w kącie pokoju, a Marek, lekko zgarbiony, siedział w nim bez ruchu. Wyglądało, jakby się chował, ale tylko dla formalności; zupełnie jakby uciekał przed czymś koszmarnym tak długo, że wreszcie się poddał. W rękę trzymał czapkę z niebieskiej wełny.

- Co z nią? - spytał odrętwiałym szeptem.

Tylko nie to, pomyślała Una, gdy odczytała myśli ukochanego. Była potwornie zmęczona i przejęta chorobą Lal i jeśli Marek nie chciał zmierzyć się z tym, co nieuniknione, to ona też nie miała na to ochoty. Liczyło się tylko to, że są teraz razem. Oboje byli wolnymi ludźmi, nikt nie mógł ich do niczego zmusić.

- Obudziła się na chwilę, ale myślała, że w pokoju jest Delir. Wydawało jej się, że rozmawia z nim i ze swoją matką. Nie poznała mnie.

Jak tylko Una wysiadła z samochodu, ze schodków poderwał się młody mężczyzna i podbiegł do niej. Wyglądał na wystraszonego, ale zaraz się uspokoił. Uśmiechnął się do Uny i otworzył jej drzwi do domu. W środku znowu się zmienił, pobiegł po schodach do pokoju Lal i desperacko rzucił się na kolana przed jej łóżkiem. Lal, która zawsze była taka zadbana i delikatna, teraz wyglądała jak cień samej siebie, brudna i wycieńczona jak niewolnica. Młodzieniec pogładził ją po włosach, a następnie bez słowa uciekł z pokoju.

Una starała się to opowiedzieć Markowi bez emocji.

- Znalazłam jej lekarza. Powiedział, że widział gorsze przypadki, przynajmniej tyle zrozumiałam. Namówiłam też córkę lekarza, żeby przy niej czuwała. Dostała leki na gorączkę. Chciałabym, żeby Sulien ją obejrzał; chyba raczej powinien tu przyjechać. Nie sądzę, żeby wolno było ją ruszać w tym stanie. Muszę do niej wrócić. Pomyślałam, że będziesz chciał

wiedzieć, jak wygląda sytuacja. - Tak naprawdę to nie wróciła, żeby mu cokolwiek opowiadać, ale żeby być z nim po tych tygodniach okropnej samotności.

- Biedna Lal - wyszeptał Marek.

- Mhmm.

Marek wyprostował się, jakby chciał wstać i podejść do niej. Nie ruszył się jednak z fotela. Siedział bezwolnie, jakby podejście do niej wymagało jakiejś umiejętności, jak pływanie czy prowadzenie samochodu, której nie opanował.

- Księżę chce, żebym ożenił się z Noriko - powiedział. Uśmiechnął się ironicznie, ale zaraz spoważniał. - Nie mogę już udawać, że się nie domyślam.

- Och - odparła lekkim tonem Una, stojąc na środku pokoju.

Marek wziął głęboki oddech.

- Gdybym...

Una odwróciła gwałtownie głowę. Poczwała, jak zaciskają jej się pięści, a paznokcie wbijają w ciało. No cóż, skoro zaczął, to będzie musiał dokończyć.

Marek nie mógł jednak wykrztusić słowa. Spojrzał na nią. Nieszczęśliwy uśmiech, który wykrzywił mu usta, bardziej przypominał węzeł trzymający razem wszystkie części twarzy.

- Nie chcę cię o to pytać - wyznał cicho.

Una poczuła ukłucie litości dla niego, ale nie chciała mu tego okazać.

- Nie musisz nic mówić. - Nie mogła nic na to poradzić. Pozostawało jedynie stać i patrzeć.

- Gdybym...? - Marek wykrztusił tylko to jedno słowo. - Czy zostałabyś ze mną?

Dopiero teraz spostrzegła, że wstrzymywała oddech od chwili, gdy zaczął o tym mówić. Westchnęła i poczuła, jak pu-

sta się robi w środku, jak nachodzi ją dziwny spokój.

- Nie - odpowiedziała.

- Wiesz, że chodzi tylko o sojusz pomiędzy nami a Nio-
nianami. Nie miałoby to wpływu... - zaczął tłumaczyć z poczu-
ciem winy.

Una poczuła złość, że zmusza ją, by wypowiedziała się
na ten temat.

- Musiałbyś z nią spać. Musiałbyś mieć z nią dzieci.

Marek zbladł, najwyraźniej nie myślał o tym. Przez
chwilę wyglądał bardzo młodo i niewinnie.

- Poza tym ona ci się podoba - ciągnęła Una. Uśmiechnę-
ła się z żalem. - Ja też ją lubię. Gdyby nie ja, to uznałbyś to za
niezły układ.

- Gdyby nie ty? - powtórzył z niedowierzaniem Marek,
zrywając się z miejsca. Ścisnął jej ramiona. - A jak moje życie
wyglądałoby bez ciebie? Gdybym cię nie poznał, nie byłbym
tym, kim jestem. Nigdy już nie będę kim innym. Kocham cię i
chcę tylko ciebie. Powinniśmy się byli pobrać dawno temu.

Na ułamek sekundy zapadła cisza.

- To wbrew prawu - zauważyła bezbarwnym tonem Una.

- Więc powinienem był zmienić prawo. Teraz je zmienię.

- Wtedy będą oczekiwali, że się ze mną rozwiedziesz. -
Powiało od niej posępną wzgardą. - I tak musiałbyś zadać mi
to pytanie, a ja bym odpowiedziała „nie”.

Marek wyglądał na wyczerpanego. Odsunął się od niej.
Kiedy zaczął mówić, widać było, że sili się na optymizm.

- Dobrze. Nie ma sprawy. Wszystko jasne. Przykro mi, że
pytałem. Powiem księciu, że to niemożliwe. Wytłumaczę mu,
że lud tego nie zaakceptuje czy coś takiego. Będziemy dalej
pracowali nad traktatem. Kiedy będzie po wszystkim, to weź-
miemy...

Una słuchała tego z rozdartym sercem. Zebrała jednak siły, żeby mu przerwać.

- Nie - szepnęła w końcu.

Marek zamilkł na chwilę. Odwrócił się do niej z boleśnym niedowierzaniem.

- Już się stało. Spytałeś mnie. Nie mogę... zostać - powiedziała.

Marek potrząsnął głową.

- Nie, proszę - rzekł rozsądnym tonem.

Odwracając spojrzenie, ponieważ nie potrafiła patrzeć mu w oczy i nie zmienić zdania, zobaczyła skrzynię, której nie było w pokoju, kiedy jechała do Lal. Skojarzyła, że to jej zagubione ubrania, i poczuła, jak w gardle rodzi się jej śmiech. Nie musiała się nawet pakować. Jak kiepski dowcip.

- Zabiorę Lal do Suliena. Znajdę na dziś jakiś pokój w pobliżu Lal i jutro rano wyjedziemy.

- Ale ja tego nie zrobię, rozumiesz? Daję ci słowo, że się z nią nie ożenię - mówił Marek z rosnącą desperacją.

- Przecież musisz to zrobić - odparła Una szorstko. - Nie możesz podejmować decyzji ze względu na mnie.

Zupełnie nieoczekiwanie Marek się załamał. Upadł na fotel pokonany i spojrzał na pokój, a potem na nią oczami pełnymi łez.

- Nie chciałem tego. Nie chciałem cię pytać... przepraszam... - powiedział łamiącym się głosem.

- Przecież wiem - jęknęła z wyrzutem Una, niezdolna znieść tego dłużej. Podbiegła i przytuliła go. Osłaniała go przed całym światem jak wtedy, gdy dostał wiadomość o chorobie Faustusa i masakrze. Całowała jego włosy i policzki. Marek przycisnął ją nagle do siebie, jakby budząc się z jakiegoś odrętwienia, wplótł palce w jej włosy, pieszcząc ją i mocno

przytulając. Una rozplakała się w końcu na dobre, próbując jednocześnie pocieszyć go i uwolnić się z jego objęć, głaszcząc go po ramionach, z których usiłowała się wyswobodzić, całując twarz, którą odpychała.

- Nie - wykrztusiła w końcu, a Marek powtórzył to słowo jak płaczliwe echo:

- Nie. Nie. - Nie zamierzał jej puścić. Jego uścisk był delikatny i czuły i Unie tak bardzo brakowało sił, żeby się oswobodzić, że na chwilę się poddała. Marek wstał, przytulając się do niej całym ciałem, odciągając ją od drzwi. Unie wróciło opamiętanie. Odepchnęła jego dłonie, pocałowała go ostatni raz i odsunęła się.

Nagle znalazła się na dworze, sama, pod obcym niebem.

*

Ktoś zastukał energicznie do drzwi. Wariusz właśnie wrócił do swoich pokoi. Wałęsał się aż do zmroku po mieście, starając się rozładować trochę napięcie ostatnich dni, wdeptując je w czysty, biały chodnik. Otworzył drzwi i zobaczył Unę stojącą na progu, drżącą na całym ciele. Wariusz miał przez chwilę absurdalne wrażenie, że pogoda nagle radykalnie się zmieniła i Una trzęsie się z zimna. Dopiero kiedy zobaczył jej ściągniętą twarz ze śladami łez, zrozumiał, że znowu będzie płakała, ale nie teraz, nie przy nim.

- Wejdz - rzekł z przejęciem. W odpowiedzi Una potrząsnęła tylko zawzięcie głową, jakby poprosił ją o rozstanie się z czymś najważniejszym na świecie.

- Przyszłam się pożegnać - oznajmiła szorstko, a jej usta wygięły się, kiedy tylko je zamknęła.

Domyślił się, że nie chodzi tylko o powrót do domu i Sulliena. Nie powiedział jednak ani słowa.

- Ożeni się z nią. Noriko. Poproszono go. Co może zrobić? Prędeż czy później musiało to się tak skończyć... - Przeszły ją dreszcze. Spojrzała na niego i wzruszyła ramionami.

- Przykro mi.

Una uśmiechnęła się.

- Miałam nadzieję, iż powiesz, że to zła decyzja.

Wariusz szybko rozważał implikacje, jakie niosła propozycja zawarcia tego małżeństwa.

- Masz rację, to zła decyzja - przyznał.

Pokiwała głową.

- Cieszę się, że byłeś przy mnie przez te ostatnie dwa tygodnie.

Wyciągnął dłoń. Uścisnęła ją szybko i wskazała głową w stronę, z

której przyszła, w kierunku pokoi Marka.

- Czy możesz... Czy możesz się upewnić, że... Miej na niego oko.

- Oczywiście - powiedział Wariusz.

*

Marek stał w tym samym miejscu, gdzie go zostawiła, dysząc ciężko i drżąc na całym ciele. Ból, który go przenikał, nie pozwalał mu oddać się cierpieniu czy ulżyć sobie łzami. Zamiast tego ścisnął go i rozrywał z niezwykłą siłą, wręcz zmuszając do działania, a jednocześnie zupełnie go paraliżując. Serce to zamierało mu na chwilę, to waliło jak szalone.

Odwrócił głowę i zobaczył, jak zmienia się powierzchnia ściany. Z ciemnego, rzeźbionego drewna zaczęły wyrastać włosy lub może płatki, lub języki, ruszały się gwałtownie, wiążąc i wyginając na wszystkie strony, by zaraz zlać się z tłem, jakby ściana była tylko wierzchnią warstwą, skórą, która w

każdej chwili mogła sflaczeć.

Marek rzucił się do tyłu w odruchu przerażenia, wydając z siebie dźwięk, jakby wyrwano mu kawałek ciała. Obrócił się, rozglądając podejrzliwie po pokoju, ale złudzenie zniknęło równie nagle, jak się pojawiło. Mimo to miał uczucie, że nic nie wygląda tak samo. To była ta sama wizja, która nawiedziła go trzy lata temu po lekach, jakie podano mu w szpitalu Eskulapa w sanatorium Galena. Chciano zrobić z niego wariata, żeby wszystkie oskarżenia o spisek były skutkiem dającej o sobie znać dziedzicznej choroby Nowiuszów. Wszystko to miało chronić Druzusa - jak teraz wiedział.

Później, kiedy leki przestały działać, powoli zaczął znikać także strach, że skutki mogą być nieodwracalne, że ich działanie rzeczywiście wywoła chorobę, której nauczył się bać od dziecka. W końcu udało mu się zupełnie odsunąć lęk. Do dziś.

Marek wciąż dyszał ciężko, spazmatycznie wciągając powietrze, ale wyprostował się i podniósł głowę. Otworzył drzwi uderzeniem pięści i ruszył przed siebie nieświadom jakichkolwiek służących czy strażników na swojej drodze, dopóki nie doszedł do domku, w którym wcześniej mieszkali z Una, a który teraz zajmował Druzus.

Zatrzymał się przed strażnikami, którzy pilnowali zamkniętych drzwi.

- Z drogi.

BURZA PIASKOWA

Marek zbliżył się do drzwi z drapiezną miękkością, ostrożnie stąpając, i delikatnie nacisnął klamkę. Nie zdziwił się, że drzwi są zamknięte. Uśmiechnął się sarkastycznie i rzucał się z rozpędu, uderzając je ramieniem. Poczuł, jak zadygotały w zawiasach, odszedł kilka kroków i walnął w nie ponownie; raz, drugi - kiedy cofnął się, żeby uderzyć trzeci raz, rozległ się szcęk przekręcanego klucza i drzwi nagle się otworzyły.

- Marek - przywitał się miło Druzus.

Marek wszedł do środka.

- Wyjść - zakomenderował niewolnikom, z których jeden właśnie otworzył mu drzwi, a reszta stała pokornie w pokoju.

- Nie ruszać się z miejsca - zareagował błyskawicznie Druzus.

Marek dojrzał przebłysk strachu w jego oczach, gdy niewolnicy posłuchali pierwszego rozkazu i posłusznie wymaszerowali ze spuszczonej głowami.

Marek wszedł do pokoju i Druzus instynktownie się cofnął. Dopiero kiedy poczuł, że za nim jest ściana, wyprostował się i spojrzał Markowi wyzywająco w oczy. Marek zdawał się akceptować dzielącą ich przestrzeń, przynajmniej na razie. Zatrzymał się i zmierzył kuzyna wzrokiem.

- Tyle ci się udało zniszczyć - powiedział spokojnym tonem, jakby sam się dziwił.

- Nigdy nie chciałeś wysłuchać mojej wersji - odciął się Druzus.

Słysząc było, że zaschło mu w gardle.

Marek roześmiał się głośno.

- No to teraz tym bardziej tego nie zrobię. - Zrobił kolej-

ny krok w kierunku Druzusa. - Moi rodzice. Dobrze cię traktowali, prawda? Jak członka rodziny. Ale to nie był powód, żeby oszczędzić im życie. Nie dla ciebie.

Druzus spojrział na niego ze szczerym zdziwieniem. Śmierć Leona i Klodii nastąpiła w tak zamierzchłej przeszłości, że z trudem przypominał ich sobie żywych. Nie potrafił sobie wyobrazić, że ich śmierć mogła kogoś zdziwić.

- Marku, przykro mi, że straciłeś rodziców. Zawsze opłakiwałem ich śmierć, ale to Gabiniusz był za nią odpowiedzialny. Nie miałem z tym nic...

- Zamknij się! To nie było pytanie. Chcę tylko, żebyś usłyszał, co zrobiłeś. Odpowiadasz za ich śmierć. Również Gemelli. Odpowiadasz za nie w tym samym stopniu co ta dziwka Tulliola. Skrzywdziłeś albo chciałeś zabić każdego, kogo kocham. Wiem, co byś zrobił Wariuszowi i Unie, gdybyś mógł. - Nie mógł powstrzymać się przed wściekłym zaakcentowaniem imienia Uny. - Kiedy zobaczyłem, jak wyglądała po...

- To nie tak - wybąkał Druzus. Na wspomnienie Tullioli oblał go zimny pot, ale starał się nic po sobie nie okazać.

- Powiedziałem: cicho. - Marek pchnął Druzusa na ścianę i przytrzymał. - Ona. Sulien. Wiem, że nie ma dla ciebie nic świętego. Zniszczyłbyś cały świat, gdybyś musiał. Kato. Te pożary, pracownicy Veii, wszystko, co teraz zniszczyłeś...

Druzus pobladł i patrzył na Marka z otwartymi ustami. Zamrugął i wyrwał się z uścisku. Cofnął się szybko kilka kroków, coraz bardziej przerażony.

- O czym ty mówisz? Veii? Mój własny kraj? Kocham Rzym. Nigdy bym go nie zdradził. - Druzus kazał śledzić Sulienę. Zabicie go rozwiązałoby mu ręce - ale obrażenia, jakie odniósł w czasie eksplozji, przynajmniej usunęły go na kilka tygodni z drogi Druzusa. Później była sprawa z Uną i areszt.

Marek zbliżał się nieubłagane, odcinając go od drzwi.

- Mój ojciec reprezentował Rzym. I moja matka. A teraz ja.

- Przysięgam, że nigdy nie zrobiłem nic przeciwko tobie!

- zawołał Druzus. - A ten nioniański arystokrata? Nawet nie wiem, o czym mówisz.

Marek zatrzymał się ze zdziwioną miną.

- Na co liczysz, zaprzeczając temu co oczywiste? - zapytał.

- Oszalałeś - powiedział niebacznie Druzus i przeszły go ciarki, gdy twarz Marka wykrzywił wściekły uśmiech.

Marek walnął go z całej siły w twarz. Niczym iskra ukojenie popłynęło z pięści do kręgosłupa i zaraz zgąsło niezaspokojone. Kiedy Druzus zachwiał się i cofnął o krok, trzymając się za rozciętą wargę, Marek złapał go za kołnierz, przyciągnął do siebie i ponownie uderzył pięścią w twarz. Tym razem poczuł, jak pęka kość, i gdy cofnął dłoń, zobaczył, że jest wilgotna od krwi. Znowu moment ulgi był irytująco krótki. Od czegoś jednak trzeba zacząć.

Druzusowi przed oczyma latały jaskrawe plamy, a ból wypełniał czaszkę, która zdawała się wielka i pulsująca od ciśnienia. Strumień krwi, który buchnął mu z nosa, spłynął szokująco ciepłym strumykiem na piersi. Krew wypełniła także usta i nie zdążył jej wypluć, kiedy Marek ponownie go uderzył. Druzus nie bronił się, przynajmniej z początku. Był sparaliżowany strachem i bólem. Przez cały dzień czuł, jak zupełnie bezpodstawnie władza wymyka mu się z rąk i niczym chmury zbiera się po stronie Marka. Jeśli teraz sprowokuje Marka, żeby ten wezwał strażę, jeśli da najmniejszy pretekst, żeby go znowu aresztował, to nie przeżyje tego. Był tego absolutnie pewien. Jego jedyną szansą była ucieczka lub przetrwanie tego

ataku.

Marek dwukrotnie go uderzył, popychając jednocześnie na stolik. Na ziemię posypały się połamane ozdoby. W jakimś akcie desperacji Druzusowi udało się zasłonić ramieniem. Starał się odepchnąć Marka i uciec z pokoju, kiedy kolejny cios trafił go w policzek, wstrząsając połamanymi kośćmi. Poczł, jak wszystko wiruje wokół niego, jakby miał zemdleć. Złapał Marka za przedramię i odepchnął z całej siły, przesuając go o kilka kroków do tyłu, na środek pokoju. Ból paraliżował mu twarz, jakby została obwiązana czymś z całej siły, ledwo widział na oczy.

Cały ten opór był dla Marka żalorny i bez znaczenia. Kopnął mocno Druzusa w pizczel, oswobodził się z jego uścisku i pchnął go z rozpędu na mały stolik. Druzus wyrznął głową w ścianę i osunął się na podłogę, rozwalając stolik. Przy najmniej odsunął się od Marka. Odrzucił stolik kopnięciem i odbijając się od ściany, rzucił się w stronę drzwi, a Marek za nim.

- Przepraszam - jęknął Druzus, czując, jak krew wypełnia mu usta. Marek powalił go na ziemię i zaczął okładać pięściami, tak że Druzus w końcu zaczął się bronić i parować ciosy. Ręce, ubranie i wykrzywiona nienawiścią twarz Marka były splamione krwią Druzusa - tylko Druzusa, gdyż Marek nie miał nawet draśnięcia.

Druzusowi udało się w końcu wstać i mimo że Marek nie przestawał okładać go pięściami, walnął go na oślep prawym sierpowym. Cios trafił go w policzek i był na tyle silny, że Marka obróciło w miejscu. Nawet nie poczuł bólu.

- Teraz cię zabiję - powiedział spokojnie i poczuł euforię, że nie są to czcze pogroźki, że właśnie to zamierza zrobić.

Rąbnął Druzusa w twarz i nie patrząc na skutek, złapał

go za rękaw i kołnierz i cisnął nim o ziemię. Jakaś obca część Marka patrzyła z obojętnym zdziwieniem, jak daleko Druzus poleciał i jak silnie uderzył o ziemię, rozbijając jakieś meble. Tym razem się nie podniósł.

Marek podszedł do niego wolno i odrzucił połamane krzesło, które go przygniotło. Druzus leżał zwinięty w kłębek i nie wydawał żadnego dźwięku. Marek odwrócił go na plecy kopniakiem w bark. Na ustach nieprzytomnego pojawiła się czerwona bańka krwi, ale napuchnięte powieki się nie otworzyły; jego blada jak cement twarz z czerwonym deseniem z krwi wydawała się nieruchoma. Jedna ręka leżała bezwładnie bliżej Marka i ten przewrócił ją delikatnie stopą, a następnie nadepnął z całej siły. Druzus oprzytomniał w jednej chwili, składając się jak scyzoryk, usiłując wyszarpnąć miażdżoną dłoń z ochrypłym jękiem agonii. Marek przeniósł ciężar całego ciała na palce leżącego i obrócił się na pięcie, jakby chciał je wdeptać w ziemię. Druzus miotał się jak ryba złapana w sieci, wyjąc z bólu i próbując oswobodzić łamane palce, schwycił Marka za ubranie i pociągnął na ziemię. Marek wylądował na nim, kopiąc go kolanem w brzuch i bijąc pięściami na oślep, w twarz, gardło, żebra.

Miał frustrujące uczucie, że Druzus mu znika. Nie czuł nic pod sobą, zupełnie jakby jego pięści uderzały w próżnię. Druzus wymknął mu się, rozpuszczając się na kształt dymu, robiąc się niewidoczny. Marek zacisnął dłonie na gardle Druzusa, a później przesunął je nad rozbite usta, zaciskając dłonie i blokując dostęp powietrza. Nie czuł, czy Druzus jeszcze reaguje, nawet go już nie widział.

Ktoś go złapał za ramiona i odciągnął. Marek, który miał wrażenie, że zamykając usta Druzusa potężnym uściskiem, zapada się w jakąś senną nicość, nagle się ocknął.

Odepchnął łokciem przytrzymującą go rękę, oburzony dotknięciem.

- Wynocha! - wrzasnął rozwścieczony i odwrócił się, żeby odepchnąć napastnika. Przed nim stał Wariusz i trzymał go z całych sił za ramiona.

- Marku, przestań. Możesz już przestać - powiedział cicho Wariusz.

Marek patrzył na niego ze zdziwieniem, dysząc ciężko zupełnie oszołomiony.

- Zostaw mnie - mruknął groźnie.

- Nie - sprzeciwił się Wariusz. - Dostyc.

Druzus poruszył się, charcząc i próbując złapać oddech.

Marek skrzywił się niecierpliwie, wyrwał z rąk Wariusza i rzucił na Druzusa. Nie zdołał go dopaść, gdyż Wariusz uczepił się jego ramion i bez słowa odciągnął.

- Ostrzegam cię - warknął Marek, próbując się oswobodzić. Rozwścieczony, pchnął całym ciałem Wariusza na ścianę, tak samo jak wcześniej Druzusa. Wariusz nie przeciwstawił mu się ani nie próbował walczyć. Nie zmienił się nawet wyraz jego twarzy i w ostatniej chwili Marek powstrzymał się odrobiny, instynktownie zmniejszając siłę uderzenia. Był zbyt wzburzony, żeby domyślić się, że Wariusz nauczył się tej celowej bierności w czasie pobytu w więzieniu. Poczł się jednak niewyraźnie.

- O co ci chodzi? - zapytał szorstko. - Sam tego chciałeś. Powiedziałeś, żeby to zrobił.

- Wiem, że tak powiedziałem. Ale jeśli to zrobisz, wszystko stracisz.

Marek zawahał się, ale zaraz roześmiał się gorzko.

- No i dobrze.

Puścił go i chciał ruszyć w stronę Druzusa, ale Wariusz

go przytrzymał.

- Nie. Niedobrze - powiedział groźnym tonem.

Jeśli Wariusz nie bronił się wcześniej, to nie dlatego, że brakło mu sił. Starając się uwolnić z jego uchwytu, Marek poczuł, jak bardzo jest wyczerpany. Szarpnął się jeszcze raz.

- Czemu go bronisz? - wydyszał. Nie miał pojęcia, jakiej odpowiedzi się spodziewał, ale Wariusz posłał mu tylko ostre spojrzenie i Marek przestał się nagle rzucać. Poczuł wstyd, że coś takiego przyszło mu do głowy.

- Dlaczego nie? - zapytał ostrym tonem. - Czemu miałbym go nie zabić? Po tym wszystkim, co zrobił? - Nie wyrywał się już.

Wariusz ostrożnie rozluźnił uścisk, ale na wszelki wypadek trzymał Marka za ramiona. Musiał go teraz podtrzymać.

- Możesz stracić władzę i co wtedy? Pomyśl o wojnie. Pomyśl o niewolnikach.

Markowi to wszystko wydawało się nierealne, jakby z innego świata. Jego oddech był krótki i urywany. Potrząsnął z determinacją głową i potykając się, podszedł do Druzusa. Wariusz nie powstrzymywał go tym razem, tylko ruszył za nim i stanął w bezpiecznej odległości. U ich stóp Druzus podrygiwał lekko, niczym ryba zdychająca na brzegu, starając się odpełznąć jak najdalej. Wyglądał żałośnie. Marek patrzył na niego, próbując obudzić w sobie nienawiść, ale czuł, że jest zbyt zmęczony, zbyt słaby. Wysiłek potrzebny do tego, żeby dokończyć sprawę, wydawał mu się wręcz niewyobrażalny. Wiedział, że może to zrobić. Nawet musi, bez względu na to, czy ma siły, czy nie.

- Pamiętam, jak tłumaczyłeś mi konsekwencje takiego czynu. Miałeś wtedy rację. To nie jest egzekucja. To ty myśla-

łość wtedy jasno.

- Myślałem jasno - powtórzył gorzko Marek. - Za późno. Możesz... możesz sobie odpuścić. Wszystko mi się przypomniało.

- Co ci się przypomniało?

- Co mi zrobili - odparł Marek. Oparł się ręką o krzesło, które nie rozpadło się, kiedy rzucił Druzusa przez cały pokój. Nagle osunął się na nie, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa. - Przypomniałem sobie, co widziałem, kiedy podano mi narkotyki w sanatorium. Wciąż to we mnie siedzi. Przynajmniej za to mi zapłaci.

Wariusz podniósł z ziemi drugie krzesło i usiadł naprzeciw Marka.

- Widzisz coś teraz? - zapytał.

Marek rozejrzał się ostrożnie po pokoju i pokręcił głową.

- Jak długo to trwało?

- Kilka sekund. Może sekundę. Nieważne, ile to trwało. To siedzi we mnie, cały czas musiało tam być, tylko czekało, by się ujawnić.

W zapadłej ciszy słyhać było, jak obaj z Druzusem ciężko dyszą.

- Sekunda na trzy lata...

Marek odjął ręce od twarzy i uśmiechnął się boleśnie. Rozejrzał się po pokoju, jakby dopiero teraz widział poniszczone sprzęty, swoje porwane ubranie, Druzusa.

- Nie sądzisz, że to coś więcej?

Wariusz przyglądał mu się spokojnie.

- Dla mnie wyglądasz na rozwścieczonego, może zdesperowanego. Masz do tego dobry powód. Nie wyglądasz na szalonego. W dalszym ciągu jesteś sobą. Tego jednego jeszcze

nie utraciłeś.

Oddech Marka powoli się uspokajał.

- Wiesz, czego życzę Druzusowi - dodał Wariusz. - Nie chcę, żeby spotkało cię to samo.

Marek spojrzał mu w oczy.

- Wariuszu... - Nie miał pojęcia, co mógłby jeszcze powiedzieć, nawet gdyby gardło nie zacisnęło mu się jak pięść, dusząc niewypowiedziane słowa. Spuścił głowę, nie mogąc wytrzymać wzroku Wariusza, i nagle osunął się, jakby usunięto rusztowanie wewnątrz jego ciała, ale nie do tyłu, lecz w bok. Głowa mu opadła na ramię przyjaciela. Zamknął oczy, ledwo żywy ze zmęczenia. Poczuł, jak Wariusz klepie go po ramieniu. Zwłóknął się z krzesła, podszedł chwiejnym krokiem do Druzusa i opadł przed nim na kolano.

- Druzus - powiedział głośno, podnosząc głowę kuzyna. - Słyszysz mnie? - Druzus był zbyt osłabiony, żeby utrzymać głowę, ale otworzył oczy, które przypominały małe szczeliny w sonej opuchliźnie. Marek aż stęknął z wysiłku, kiedy podniósł go z ziemi. Posadził go na fotelu i nachylił się nad nim. - Dostaniesz to, o czym zawsze marzyłeś. Będziesz mógł przemawiać i przewodniczyć igrzyskom. Dam ci władzę. Zostaniesz nowym gubernatorem Kanaru. Twój lud będzie cię uwielbiał. Każda twoja rozmowa będzie podsłuchiwana. Wyznaczę ludzi, którzy będą z tobą pracowali. Każdy list, jaki napiszesz, przejdzie przez moje ręce. Pierwszy z nich napiszesz do wuja, by mu powiedzieć, że zadowolony jesteś z nowego zadania i że obu nam udało się dogadać. Zupełnie jak w rodzinie, jak sobie tego życzył. Rozumiesz?

Druzus nie chciał lub nie mógł odpowiedzieć. Jego głowa opadła na piersi i można to było odczytać jako potaknięcie.

Z tyłu dobiegły ich ciężkie kroki i kiedy Marek obrócił

głowę, ujrzał Salwiusza, który zatrzymał się na progu i przyglądał się ze zdumieniem porozwalanym sprzętom i pobitemu Druzusowi.

Marek wyprostował się i spojrzął mu w oczy. Miał nadzieję, że nie widać, jak trzęsą mu się dłonie.

Druzus otworzył z trudem powieki i wybełkotał imię Salwiusza.

Salwiusz jednak mu nie odpowiedział. Patrzył w milczeniu, zdając sobie sprawę, że pewne sprawy są jasne. Po pierwsze widać było, że Wariusz nie brał udziału w bójce. Jego ubranie i włosy były w nienagannym stanie, nawet nie dyszał. W pokoju nie było nikogo więcej i wszystko rozegrało się pomiędzy Markiem a Druzusem. Z nich dwóch to Druzus był wyższy i powinien być silniejszy, a jednak to Marek stał nad nim, cały we krwi przeciwnika. Zatem Druzus zawiódł na całej linii. Błagalne spojrzenie i sposób, w jaki wymówił jego imię, wydały się Salwiuszowi odrażające. Słabeusz błagający o ochronę. Nie na to liczył.

- Już po wszystkim, Salwiuszu - powiedział Wariusz.

*

Później, kiedy Marek już się umył, a zakrwawione ubranie zwinął w kłębek i rzucił służącym do wyprania czy wyrzucenia, poszedł do pałacowego ogrodu. Czekał pod jednym z niskich drzew owocowych, bezbarwnych niczym woda w świetle księżyca. Miał wrażenie, że mógłby zasnąć na stojąco i był tak zmęczony, że nie potrafił myśleć o tym, co zrobił czy zamierzał zrobić, czy co stracił. Minęła już północ, ale została mu jeszcze jedna sprawa do załatwienia.

Czuł, że w tych okolicznościach i biorąc pod uwagę odbiorcę, jego list powinien być niczym jeden z tych poematów,

które studiował w szkole. Wiadomość, którą przesłał, powinna być elegancko zaszyfrowana w obrazach śniegu czy łąk i przemijającego czasu. Był jednak zbyt znużony na takie zabawy i nawet gdyby miał talent do poezji, to nie miał teraz do tego serca. Trzymając w ręku pióro, zauważył, że popękała mu skóra na knykciach i piecze przy każdym ruchu.

Oparł się plecami o mur i poczuł, że zamykają mu się oczy. Otworzył je i dostrzegł, jak ktoś przemyka wśród cieni; jakaś kobieta szybko biegła - pewnie służąca z poleceniem, pomyślał. Zdziwił się, a nawet zirytował, gdy postać ruszyła w jego stronę. Dopiero kiedy była blisko, rozpoznał Noriko z listem w dłoni. Miała na sobie prostą szatę i spodnie, a włosy splotła na głowie i schowała pod kapturem. Jej twarz była umalowana, ale teraz wyglądała bardziej przeciętnie: jak zwykła

Nioniaka, młoda i atrakcyjna. Noriko wyraźnie czuła się swobodniej niż przy ich pierwszym spotkaniu.

- Jesteś w przebraniu - zauważył Marek. Zwrócił się do niej po nioniańsku.

Noriko się uśmiechnęła.

- Mogę w ten sposób zaprzeczyć, że tu byłam - wyjaśniła.
- W tym wypadku liczy się tylko, że będę mogła zaprzeczyć, a nie to, co kto sobie pomyśli.

Marek odwzajemnił jej uśmiech. Wypadł trochę blado, ale szczerze.

- Chyba domyślasz się, czemu chciałem się z tobą zobaczyć.

Noriko spuściła wzrok w milczącym potwierdzeniu.

- Chcę wiedzieć, czy masz w tej sprawie jakiś wybór? Czy zgadzasz się...?

Noriko uniosła brwi.

- Co zrobisz, jeśli powiem nie?

Marek nie miał na to odpowiedzi.

- Żadne z nas nie jest wolne w tej sprawie - rzekła cicho.

- Nie musisz się jednak mną przejmować. Nie jest to wbrew mojej woli. Nie jestem nieszczęśliwa. Myślę, że jestem gotowa.

Miał nadzieję, że jeśli Noriko sprzeciwi się ślubowi, to może uda mu się go uniknąć. Naiwne założenie. Skinął głową.

- Dziękuję.

Noriko, dopiero teraz, dostrzegła jego poharatane knykie i plaster na policzku w miejscu, gdzie tworzył się siniak. Nie mogła go zapytać, co się stało, ale widać było, że coś jest nie tak. Od pierwszej chwili, gdy podglądała ich z Uną, wiedziała, że prędzej czy później coś się wydarzy. Ciekawe, gdzie teraz była Una.

- Przykro mi... - zaczęła, ale nie wiedziała, jak skończyć, żeby nie wypadło to niezręcznie. - Przykro mi.

- Postaram się, żebyś tego nie żałowała. Spróbuję.

Noriko przysunęła się bliżej, nie objęła go, ale dotykała swoim ciałem, opierała policzek o jego twarz. Przez chwilę poczuła, że ich tajemne spotkanie przeniknięte jest atmosferą intymności, która może się nigdy nie powtórzyć. Naszła ją ochota, żeby zobaczyć, jak to będzie, kiedy go pocałuje, ale słysząc płytki, nerwowy oddech Marka, powstrzymała się. Z bliska wydawał jej się mniejszy i bardziej delikatny. Opuszki jej palców przesunęły się po poranionych knyksiach. Marek wziął ją za rękę.

- Zostaniemy przyjaciółmi - szepnęła. - Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

*

Z podciągniętymi pod brodę kolanami Una siedziała na

piętrowym łóżku obok Lal i patrzyła, jak pociąg mknie na zachód. Wręcz nie mogła uwierzyć, że udało jej się pokonać wszystkie przeszkody i wywalczyć bilety w chaosie, jaki zapanował po otworzeniu granic. Niesiona przez tłumy niezadowolonych podróżników czuła się jak kropla wody w strumieniu.

Lal leżała cicho. Przez chwilę, kiedy wyjeżdżali z miasta i za oknem ukazały się brązowe, porośnięte wyschniętą trawą pagórki, Una miała nadzieję, że stan przyjaciółki się polepsza. Lal jakby przedzierała się przez warstwy gorączki, zbliżała się do odzyskania przytomności. Na jej twarzy pojawił się wyraz skupienia, jakby koncentrowała się na czymś. Czasami otwierała oczy i patrzyła na Unę ze zdziwieniem i radością. Od jakiegoś czasu leżała jednak nieruchomo, a w jej otwartych oczach malowała się pustka. Rzucała się jeszcze chwilami, walcząc z niewidzialnym przeciwnikiem, który przyciskał ją do posłania, ale za każdym razem coraz słabiej i słabiej.

Una ustawiła rząderek lekarstw na półeczce pomiędzy łóżkami, które teraz poprawiła, i ponownie przeczytała instrukcje, jakie zapisał jej lekarz, mimo że znała je na pamięć. Cieszyła ją świadomość, że mogła opłacić wszystko z własnych pieniędzy - lekarzy w Sinchan i Jondum, cały przedział w pociągu, tragarzy, którzy nosili Lal. Świadomość, że jej pieniądze przydały się na coś pożytecznego, przynosiła ulgę. Niestety żadne z instrukcji lekarzy nie mówiły, co ma teraz zrobić. Podała właśnie Lal porcję piołunu i trzymała kciuki, żeby lekarstwo utrzymało ją przy życiu. Mimo że wykonywała wszystkie obowiązki z najwyższą troską, chwilami nachodził ją bezsensowny lęk, że moc leku osłabnie, ponieważ tylko udaje pielęgniarkę. Zupełnie jakby na zdrowiu Lal miał się jakoś odbić fakt, że Una z całych sił stara się nie myśleć. Przynajmniej do

czasu powrotu do Rzymu robiła wszystko, żeby nie wspomnieć o Marku czy też nie zobaczyć go oczami wyobraźni. Nie chciała ani jego, ani swojej przyszłości. Bezustannie odsuwała od siebie nadzieję, że coś stanie na przeszkodzie małżeństwu Marka z Noriko i właśnie ten wysiłek woli kosztował ją najwięcej sił.

- Nie umrzesz - powiedziała do Lal. - Możesz być pewna, że nie umrzesz.

Za oknem trawa skąpo porastała falujące wzgórza. Później nawet pojedyncze kępki trawy ustąpiły miejsca kamieniom i pustynnemu piaskowi. Una patrzyła na bezkresną równinę. Przed szczelnie zamkniętymi oknami przelatowały smugi piasku. Naprzeciw pociągu wznosiła się ściana kurzu. Una nie mogła się zmusić, żeby na nią spojrzeć; skuliła się na łóżku, zaciskając zęby i pięści, a burza piaskowa wzniosła się i pochłonęła pociąg. Wbrew swej woli pomyślała, że sprawę ślubu już chyba uzgodniono i że kiedy dotrze do Rzymu, podadzą to pewnie w wiadomościach. Ze zdziwieniem zauważyła, że wtuliła twarz w łóżko, żeby Lal nie usłyszała jęku, który zrodził jej się w gardle. Waliła w milczeniu pięściami w koc, gdy za oknem pociemniało i zrobiło się zupełnie czarno.

FLAMMEUM

Lal otworzyła oczy i leniwie zaczęła wodzić wzrokiem po suficie. Ciągnął się poza kurtyny, które zasłaniały jej widok na resztę długiej sali. Przez małe okno nad jej głową wpadały odgłosy ulicy i ciche wycie dalekiej syreny. Słyszała, jak po obu stronach ludzie rozmawiają i oddychają. Jej ciało było czyste i słabe jak nasienie dmuchawca, przyniesione na łóżko przez chłodny powiew wiatru.

Sulien tu był. Poznała go w ułamku sekundy.

Lal zamknęła oczy z jakiegoś dziwnego ni to szoku, ni wstydu. Przez pierwszy rok po opuszczeniu Holzarty marzyła o nim na jawie, aż w końcu szczegółowe wizje ich spotkania stały się jej nałogiem. Później, kiedy straciła nadzieję, że w ogóle jeszcze go ujrzy, wyobrażała sobie od czasu do czasu spokojniejszą wersję ich przypadkowego spotkania. Oboje zdążyli się od tego czasu zmienić. Może nie będą mówić wiele, tylko po prostu się przywitają. Sulien dostrzeże, że jest teraz dorosła, a ona przywoła miłe wspomnienia z nim związane. Dawno przestała myśleć, że jest zakochana w Sulienie, a mimo to za nic w świecie nie chciałaby, żeby zobaczył ją nieprzytomną, brudną i na wpół żywą. Przez chwilę miała nadzieję, że sobie pójdzie.

Zzerała ją jednak ciekawość. Uniosła ostrożnie powieki, mając nadzieję, że Sulien nie zauważy, iż odzyskała przytomność. Chciała go poobserwować niezauważona. Stał w nogach łóżka, patrząc na nią z poważną, fachową miną, ale bez niepokoju - zapewne wiedział, że wyzdrowieje. To on musiał jej pomóc. Wciąż był mocno opalony, mimo że upalne lato dawno się skończyło. Pasowało to do jej wspomnienia jego ciepłej skóry. Jego usta były może trochę mniejsze, niż sobie wyobra-

żała przez te lata. Różne odcienie ciała Suliena miło kontrastowały z bezbarwną bielą fartucha lekarskiego: kasztanowe włosy były dłuższe niż w jej wspomnieniach, oczy zadziwiająco jasne - u kogoś starszego i mniej przystojnego uznałaby je za żółte i brzydkie - miały kolor złota lub palonego cukru. Rysy twarzy stały się bardziej wyraziste i męskie. Jeśli mogła coś wywnioskować z jego spokojnej miny, to brakowało mu dawnej bezpośredniości i otwartości, jakby teraz musiał zawsze trzymać gardę. Lal udała, że właśnie się budzi.

- Cześć, Sulien.

Sulien chyba nie czuł się niezręcznie. Patrzył na nią w taki sposób, że wcześniejsza rezerwa i smutek wydały jej się nagle tylko wyobrażone. Uśmiechnął się, szczerze zadowolony, że ją widzi.

- Czy to nie wspaniałe, że jesteś tutaj?

Lal nagle sobie uświadomiła, że jej pozlepiane w strąki włosy leżą rozrzucone na poduszce, a kołdra przykrywa kościste ciało.

- Że jestem gdzie? - zapytała ostrożnie, gdyż tak naprawdę to nie miała pojęcia, gdzie się znajduje.

- W Rzymie - odparł Sulien, wykonując ręką ruch, jakby Panteon i Koloseum leżały u jego stóp.

Lal próbowała posklejać w całość wspomnienia z choroby. Czuła jednak, że ogarniają senność. Rozmawiając z Sulienem, zauważyła ku swojemu zdziwieniu, że w pewnym momencie odpłynęła. Wycieńczenie chorobą i poczucie bezpieczeństwa tak ją rozleniwiły, że nie mogła się zmusić do zebrania myśli. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, był niekończący się marsz przez okolice Jingshan, kiedy starała się dotrzeć do następnej wioski i świątyni. Była niemal pewna, że udało jej się tam dojść. Jednak w tym miejscu jej wspomnienia zaczy-

nały rozpląwać się w gęstej mgle. Gdyby nie fakt, że znajdowała się w Rzymie, wspomnienia z podróży z Uną wydałyby się równie nierealne jak pozostałe fragmenty zabarwionej malingną łamigłówki. Co się działo pomiędzy tymi dwoma punktami? W jaki sposób Una ją znalazła?

Wstała z łóżka, przerażona wysiłkiem, jakiego to wymagało, i widokiem swoich wychudzonych nóg, które przypominały szczudła. Po cichu wymknęła się z sali i udała się na poszukiwania lustra i okna, w tej kolejności. Jej odbicie było bardziej zniechęcające, niż sądziła.

Wysuszona skóra na policzkach zapadła się, usta były popękane, a ciało tak wychudzone, że ledwo w to mogła uwierzyć. Twarz wyglądała staro i kontrastowała z dziecięcym ciałem. Naszło ją paniczne uczucie, że coś musi zrobić, by poprawić swój wygląd. Uporczywe próby rozczesania zmierzwiionych włosów palcami obudziły w niej lęk o przyszłość. Torebka z kosmetykami została gdzieś w Sinie. Nie miała nawet grzebienia. Co teraz ze sobą pocznie? Rozpląkała się na myśl o Ziyie i ojcu.

Tylko fakt, że po tylu latach marzeń jest w Rzymie i że mimo choroby ma się całkiem nieźle, dodawał jej optymizmu. Chwiejnym krokiem wyszła na korytarz, podeszła do schodów i spojrzała w dół, w stronę głównego holu.

Zobaczyła, jak Sulien rozmawia z młodą kobietą. Mimo że Lal nie widziała jej twarzy, blond włosy, ubranie i postawa sugerowały, że musi być piękna. Kobieta trzymała na rękach dwu-, trzyletnią dziewczynkę, która trochę marudziła, aż w końcu Sulien wziął ją na ręce.

Lal przyglądała się, czując jednocześnie, że powinna uszanować ich prywatność. Nie robiła sobie żadnych nadziei i teraz nie czuła zawodu, ale musiała sobie powtarzać, że to nie

jej sprawa, jak ułożył sobie życie.

Weszła z trudem na piętro i po kilku szarpnięciach otworzyła okno wychodzące na ulicę. Nie widziała żadnego znanego miejsca, jedynie brązowoczerwony budynek, prześcieradło zwisające ze sznura, porośnięty bluszczem sąsiedni dom, jakieś kosze na śmieci. Mimo wszystko to był Rzym.

W końcu znalazła ją pielęgniarzka i skłoniła do powrotu do łóżka. Urządziła sobie taką wycieczkę, że teraz z trudem wróciła na salę, a widok łóżka przyniósł jej prawdziwą ulgę. Opadła na poduszki i znowu spróbowała sobie przypomnieć ostatnie wydarzenia. „Wydostanę cię stąd - będziesz bezpieczna”, usłyszała w głowie czyjś głos. Wszystko to jednak było zbyt poplątane i porozrzucane niczym sterta kolorowych piór i Lal znowu zapadła w sen.

*

Z początku Sulien nie wspominał ani razu czasu spędzonego kiedyś z Lal. Cieszył się szczerze, że tu jest. Oddał Tancorix zapasowy klucz do mieszkania i wyszedł z nią, żeby kupić cukierki dla Xanthe. W końcu znowu zaczynał się czuć swobodnie w Rzymie. Rozkoszował się dobrym nastrojem, który przyszedł niczym odpoczynek po smutku i niepewności, jaką odczuwał na myśl o Marku - tych trudno było uniknąć w sytuacji, gdy media bez przerwy trąbiły o jego zaręczynach - i lęku o Unę. Od czasu powrotu do Rzymu Una pozostawała blada i milcząca. Sulienowi tylko częściowo udało się posprzątać bałagan, jaki wigilowie zostawili w jego domu, który teraz przynajmniej nadawał się do zamieszkania. Una spędziła u niego dwie ostatnie noce, ale cały czas szukała jakiegoś zajęcia i własnego kąta. Czuł, że przynajmniej częściowo kieruje

nią impuls, żeby uciec od niego. W jakimś odruchu potrzeby dodania jej otuchy palnął bezmyślnie:

- Jeszcze nie wzięli ślubu. Może znajdą jakieś inne wyjście.

Był to jedyny raz, kiedy Una nie wytrzymała i wybuchła płaczem.

Sulien i Tancorix usiedli na balustradzie nad Tybrem. Pod ich nogami sterty plastikowych odpadów unosiły się na falach i odbijały od brzegów. Tancorix próbowała zainteresować Xanthe pojedynczymi płatkami śniegu, które fruwały pomiędzy nagimi gałęziami drzew i opadały na wodę. Na moście Agrypy robotnicy wieszali gazowe lampiony w kształcie białych róż, kamelii i lilii, które miały uświetnić uroczystość cesarskiego ślubu. Wyprzedzali wydarzenie o dobrych parę miesięcy i Sulien rzucił im wściekłe spojrzenie w imieniu Uny. Doszedł do wniosku, że Marek to zwykły drań i oszust, który złamał serce jego siostrze. Teraz mógł już przestać o nim myśleć.

Od kilku minut Tancorix zachowywała się tak, jakby chciała mu coś powiedzieć, ale brakowało jej odwagi.

- O co chodzi? - spytał w końcu Sulien. Tancorix zmarszczyła brwi.

- Wydaje mi się, że widziałam Eddę.

Potrzebował chwili, żeby skojarzyć, o kim mówi. Chodziło o niewolnicę z domu jej byłego męża, która zawsze okazywała jej dużo serca i zginęła w czasie pożaru domu Medili.

- Nie rozumiem.

- Wczoraj w nocy miałam koncert w barze - wyjaśniła. - Publiczność nawet dopisała. Wtedy ją zobaczyłam. Siedziała z tyłu i patrzyła na mnie.

Sulien nie wyglądał na przekonanego.

- A może to ktoś podobny do niej?

- Niemożliwe - sprzeciwiła się Tancorix. - To na pewno ona.

- Ale nie rozmawiałaś z nią, tylko widziałaś ją w tłumie.

- Daj spokój, nigdy nie ma tłumu - odparła Tancorix. - Nie wiedziałam, co zrobić. Przez chwilę myślałam, że to duch! Dokończyłam piosenkę i zawołałam do niej. Udała, że mnie nie poznaje, i schowała się za jakimiś ludźmi. Wiesz, że nie mogę biegać w tej sukience. Jak tam doszłam, to już jej nie było. Jeśli to nie ona, to czemu uciekała? -Tancorix pokręciła głową ze zdziwieniem i zaraz roześmiała się nerwowo. - Ale jeśli to ona, to czemu uciekała?

Sulien wciąż uważał, że mogło jej się przywidzieć, ale wolał tego nie mówić.

- Jeśli udało jej się zbiec po pożarze, to pewnie stara się nie rzucać w oczy. Żaden zbiegły niewolnik nie lubi się afiszować.

- Przecież wiem. Ale mnie mogłaby chyba zaufać - powiedziała Tancorix.

*

Mam nadzieję, że wracasz do zdrowia.

Żałuję, że nie mogłem nic wcześniej zrobić, by zaoszczędzić Ci tej męki. Cieszę się jednak, że teraz będę mógł spłacić dług wdzięczności, jaki zaciągnąłem wobec Twojej rodziny. W Rzymie czeka na Ciebie dom na tak długo, jak będziesz chciała. Rozumiem, że musisz się niepokoić o ojca i macochę, a także o innych byłych rzymskich niewolników. Spieszę Cię zapewnić, że zająłem się sprawą Ziye i Delira, jak tylko się o niej dowiedziałem. Otrzymałem zapewnienie, że oboje dobrze się mają i zostali przeniesieni do miejsca, gdzie panują lepsze warunki. Jestem

absolutnie pewien, że wrócą pod rzymską opiekę i jedyną otwartą kwestią pozostaje to, jak szybko to nastąpi. Osobiście wierzę, że bardzo szybko.

W razie gdybyś miała jakieś prośby, przekaż je do biura zarządcy pałacu.

Marek Nowiusz Leon

Czytając list, Lal miała wrażenie, że widzi duchy wcześniejszych wersji, kryjących się za tymi gładkimi zdaniami, że wyczuwa akapity, które Marek czytał ponownie i wykreślał. List nie wspominał ani słowem o jego zbliżającym się ślubie, powrocie do Rzymu. Nie było też nic o Unie czy Sulienie. Ciepło bijące z obietnic zdawało się topić chłód oficjalnych zapewnień. Nie podpisał się jako cesarz.

List czekał na nią w mieszkaniu, do którego zawiozła ją dwóch młodszych urzędników z biura zarządcy pałacu. Stylowy apartament mieścił się na pierwszym piętrze domu ulokowanego przy Polu Marsowym. Mieszkanie znajdowało się blisko centrum i jednocześnie w dogodnej odległości od Transtiberiny, w bezpiecznej i zamożnej dzielnicy. Nie było duże, ale za to nienagannie urządzone, a pastelowe kolory i czyste linie promieniowały spokojem i dostatkiem. Mały balkon wychodził na targ kwietny. Lal nie śmiała podejść do okna. Stała ze łzami w oczach, poruszona szczodrością Marka i przekonaniem, że jeszcze nigdy nie była w tak pięknym wnętrzu.

- Uznaliśmy, że na razie mieszkanie tych rozmiarów będzie najlepsze - powiedział jeden z urzędników. - Kiedy przyjadą pani rodzice, zastanowimy się nad czymś większym. Do-

stanie pani także pensję, płatną co miesiąc.

Miała w końcu własne pieniądze i od razu zaczęła je wydawać. Sama myśl, że powinna się wstydzić takiego zachowania, kiedy jej biedny ojciec gnił gdzieś w sinoańskim więzieniu, obudziła w niej szal zakupów. Nabywała sterty ubrań, biżuterii, błyskotek, obrazów. Sam widok rzeczy, na które nie mogła sobie pozwolić, przyprawiał ją o dreszcz podniecenia. Bogactwo Rzymu było jeszcze bardziej niezwykle niż w jej najśmielszych marzeniach. Miała uczucie, że cały świat ze swoimi towarami stoi u bram tego miasta niczym skarby z rozbitego statku wyrzucane przez fale na dziewicze plaże wyspy. Można tu było znaleźć potrawy i tkaniny z całego świata, dalwizory i samochody we wszystkich rozmiarach i odmianach. Tak jak sobie wyobrażała w Jiangning, w Rzymie można było spotkać ludzi najróżniejszych narodowości. W tym wielojęzycznym tłumie pędzącym przez miasto była równie u siebie jak każdy inny. Lal kupiła naręcze tropikalnych kwiatów i zaniosiła je Unie.

Wybrała na odwiedziny dzień, w którym Una nie pracowała. Una znalazła pracę jako kelnerka w olbrzymim barze na stacji kolejowej przy Polach Watykańskich, gdzie przewijał się tłum ludzi czekających na swoje połączenie. Jej mieszkanie znajdowało się w bloku czynszowym na północ od stacji, z dala od Suliena czy kogokolwiek z przyjaciół.

Na twarzy Uny malował się dziwny wyraz, jakby cały czas miała napięte mięśnie i nie pozwalała sobie nawet na chwilę odprężenia. Włosy spięła w ciasny warkocz. Czerwone kwiaty wyglądały nie na miejscu w jej ramionach i jeszcze bardziej kontrastowały z jej mieszkaniem. Lal była wstrząśnięta, że Una mieszka w gorszych warunkach niż ona. Tak naprawdę to mieszkaniu nic nie brakowało; było prosto urzą-

dzone, czyste i funkcjonalne. Na pierwszy rzut oka sprawiało wrażenie celowo pozbawionego dekoracji, ale w małym, ciasnym pokoju wisały dwa sinoańskie obrazy malowane tużem: pejzaż z zalesionymi górami i zimowy krajobraz. W mieszkaniu nie było wazonu i Una podzieliła kwiaty, wsadzając je do różnych kubków i dzbanków. Ustawiła je rzędem na kuchennym stole, gdzie wyglądały trochę dziwnie, ale przynajmniej ożywiały mieszkanie.

Una zaproponowała, że zrobi coś do jedzenia i picia, ale jej brak chęci do rozmowy czuć było w każdym słowie. Lal natomiast nie zamykały się usta, jakby chciała przekazać własny entuzjazm temu spartańsko urządzoneму mieszkaniu i Unie.

- Chciałam ci podziękować za wszystko. Jesteś dla mnie taka dobra. Wydaje mi się, że pamiętam, jak jechałyśmy pociągiem, a ty się opiekowałaś mną przez całą drogę. To takie dziwne, że akurat te wspomnienia zgadzają się z rzeczywistością, ponieważ pamiętam wiele innych rzeczy, które nie mogły się przydarzyć. Na przykład, że mój ojciec jedzie z nami...

- Tak - mruknęła Una. - Kiedy cię znalazłam, mówiłaś coś do niego.

- No i Dama - dodała Lal. Una aż drgnęła na dźwięk tego imienia. - Czy to mogło się naprawdę wydarzyć? Byłam w świątyni. Tyle że nie tam mnie znalazłaś. Więc jak się dostałam do Bian? Czy to Liuyin?

- Twój przyjaciel? Tak sądzę. Dostałam wiadomość, że jesteś chora. Kiedy dotarłam do ciebie, na ulicy czekał chłopak, mniej więcej w twoim wieku, i pokazał mi, w którym jesteś pokoju. Nie rozmawiał ze mną, jakby się bał. Widać było, że troszczył się o ciebie.

Lal zmarszczyła brwi, przypominając sobie, jak Liuyin kucał obok niej w rowie, koło płonącego samochodu, a Dama...

- szybko odsunęła od siebie wspomnienie jako zupełnie nierealne.

- Chodźmy na miasto - zaproponowała Unie.

- Kiedy mam wolne, to najchętniej bym tylko spała - odpowiedziała Una. Siedziała przy stole spięta, jakby cały czas wstrzymywała oddech.

W końcu jednak dała się namówić Lal na wyjście i pojechanie tramwajem do centrum, ponieważ czerpała dziwną przyjemność z przyglądania się, jak przyjaciółka świetnie daje sobie radę w Rzymie. Lal zdołała już nabrać trochę ciała po chorobie; jej świeżo ścięte włosy opadały błyszczącymi lokami na ramiona, a modne ciuchy leżały na niej niczym skóra zdrowej młodej lamparcicy. Wyraz zachwytu w jej oczach powodował, że Una sama ciepłej patrzyła na miasto, jakby kąpało się w odbitym świetle. Sklepy strzelały przed nimi w niebo wieżyczkami i łukami, opasane ekranami dalwizorów, błyszcząc światłami ulicznych straganów. Nad tłumami ludzi wznosił się przysadzisty Panteon, po drodze mijały fontanny - piękne i olbrzymie na jednym placu i zredukowane do cienkiego strumyka wody na innym. Olbrzymi posąg Oppiusza Nowiusza, którego twarz tylko trochę przypominała twarz Marka, wznosił groźnie rękę ku niebu ze szczytu wzgórza Pincio. Oczywiście, że Lal dostrzegała także niewolników kładących szyny tramwajowe czy małe dzieci niewolników biegające po mieście z zakupami swoich panów. Dla niej jednak były to tylko rysy na czymś tak niezmiernie pięknym, że zdolnym do ciągłego doskonalenia się. W przeciwieństwie do niej Una mieszkała w Rzymie jedynie ze względu na Suliena. Nie chciała być zbyt daleko od niego, nawet jeśli czasami miała dosyć jego wysiłków zmierzających do poprawienia jej humoru. Bywały jednak takie dni w pracy, że całe miasto wydawało jej się jed-

nym wielkim wrzodem, który najlepiej by było wypalić.

Lal wcale nie czuła się tak swobodnie w czasie spaceru po mieście z Uną. Zauważyła, że podświadomie unika pewnych sklepów i knajpek czy placów ze szczególnie dużymi ekranami dalwizji, aż w końcu Una kazała jej przestać.

- Lal, daj spokój - powiedziała znużonym tonem. - Już do tego przywykłam. Ich podobizny są nawet na pieniądzach.

Lal uparcie nie chciała uwierzyć w to, że Marek może poślubić No-riko, aż po kilku dniach zobaczyła go, jak występuje w dalwizji, oznajmiając publicznie o ich zaręczynach i wychwalając ród narzeczonej. Obudziło to we wszystkich pragnienie poznania Noriko, której wizerunek nigdy jeszcze nie został publicznie pokazany nie tylko na Zachodzie, ale nawet w samej Nionii. Nawet Lal, mimo że wstydziła się swojej ciekawości, chciała zobaczyć, jak księżniczka wygląda. W końcu dwór nioniański wyraził zgodę, żeby rzymski artysta towarzyszył Noriko w czasie podróży do domu, gdzie miała się przygotować do ślubu. Wkrótce po tym opublikowano portret, na którym Noriko stoi w królewskiej pozie na jednolitym, bladym tle, okryta szatą zielonych włosów i z ręką symbolicznie spoczywającą na wieńcu laurowym.

Mimo że Marek i Noriko nigdzie nie pojawili się razem, ich wspólny wizerunek można było zobaczyć teraz wszędzie czy to w formie wydruku, obrazu, czy pieczęci. Na wystawach sklepowych stali obok siebie w postaci figurek z porcelany. Ich twarze spoglądały dostojnie z tablic pamiątkowych, powłoczek na poduszki, talerzy, transparentów czy papierowych wachlarzy, które wraz z innymi nioniańskimi rzeczami nagle stały się modne, mimo że lato dawno się skończyło. Portret można było zobaczyć na wazach, plakatach, zegarkach. Każdego dnia pojawiały się coraz to nowe przedmioty. Nie wszy-

scy Rzymianie reagowali jednak pozytywnie. Część plakatów zniszczono, zamalowując rzymskiego orła czerwonym nio-nianskim słońcem. Na blokach pojawiły się obraźliwe graffiti przedstawiające Noriko z rozłożonymi nogami, skórą w kolorze cytryny, zielonymi strąkami włosów i czarnymi, skośnymi liniami w miejscu oczu.

W Sepcie, Circus Maximus i przed świątynią Jowisza emitowano na olbrzymich ekranach życzenia i błogosławieństwa przysyłane ze wszystkich prowincji. Powstała nawet piosenka, patriotyczna i dosyć sentymentalna, którą bez przerwy puszczano w kawiarniach i sklepach i którą trudno było wyrzucić z pamięci przez wiele godzin. Nawet rzymska mennica dała się ponieść fali entuzjazmu i wypuściła serię pamiątkowych monet, na których twarze młodej pary okolono cesarskim wieńcem.

W końcu traktat został podpisany i Marek wrócił do Rzymu. Una czuła się dziwnie, gdy dowiedziała się o tym fakcie, tak jak każdy inny obywatel, z wiadomości dalwizyjnych. Z drugiej strony chwilami miała wrażenie, że to nierealne, żeby mogła otrzymać te wieści inną drogą. Marek był nie więcej niż trzy mile od niej. Wybierając najdłuższe zmiany, jakie mogła dostać w watykańskim barze, jakby od jej pracy zależały losy świata, Una robiła wszystko, żeby przestało mieć dla niej znaczenie, gdzie Marek się znajduje. Minęły jej urodziny. Myśl o tym, że może próbuje się z nią skontaktować, kompletnie wyprowadzała ją z równowagi, choć sama nie wiedziała, czy była to nadzieja, czy obawa. A jednak wiadomość nadeszła. Warriusz, który sam się martwił o Unę, odwiedził Suliena w klinice i przekazał mu list dla niej, który Sulien niechętnie zgodził się jej oddać. Una nie otwierała go przez dwa dni.

Wiesz dobrze, że jeśli Ty czy Sulien czegoś potrzebujecie,

jeśli kiedykolwiek będziesz szukała pomocy... ale oczywiście to się rozumie samo przez się. Przykro mi, że musisz oglądać te nowe monety i cały ten cyrk, ale na szczęście wkrótce wszystko to się skończy. Una, sam nie wiem, czemu piszę.

Nie powinienem tego robić. Co mam powiedzieć, przecież nie poproszę Cię, żebyś wróciła. Nie mogę jednak wracać do domu, wiedząc, że jesteś po drugiej stronie rzeki, i nawet się nie odezwać. Naprawdę nigdy już się ze mną nie zobaczysz? Czy nie mogłabyś przynajmniej kiedyś... ale pewnie nie chcesz, żebym zadawał Ci to pytanie, a ja pewnie wolałbym nie słyszeć odpowiedzi.

Jeśli ten list ma jakiś sens, to chyba taki, że musisz wiedzieć, że nigdy nie przestanę o Tobie myśleć. Robię to oczywiście dla własnej wygody, gdyż chcę mieć pewność, że to wiesz. Powinienem to inaczej ująć albo w ogóle nie wysyłać listu, ale nie mam siły ani na jedno, ani na drugie. Żegnaj...

Marek

Zanim jeszcze Una go otworzyła, zdecydowała, że lepiej będzie na ten list nie odpowiadać. Nic by im to nie dało, gdyby przyzwyczaili się teraz do wymiany korespondencji. Była pewna swojego postanowienia do chwili, kiedy odłożyła list. Musi do niego napisać. Wszystko inne byłoby niewyobrażalnym okrucieństwem. Kiedy jednak usiadła z piórem w rękę, czuła się jak sparaliżowana; wzrok nie mógł skupić się na stronie, a każde zdanie, jakie zaczęła pisać, wyłączało jej zdolność myślenia. Minęło kilka dni i cesarski pociąg księżniczki zbliżył się do Rzymu, witany wszędzie przez uroczyste delegacje, a Una nie zdobyła się na odpowiedź. Nienawidziła

siebie za to, wyobrażając sobie, jak Marek żyje nadzieją.

*

W końcu nadszedł dzień ślubu.

Tego ranka Sulien udał się na Pole Marsowe. Jak wszędzie indziej

placyk pod oknami Lal był kolorowy od powiewających na wietrze flag i wstążek. Sulien odkładał tę wizytę, nie bardzo nawet wiedząc dlaczego, poza faktem, że był bardzo zajęty i zbyt niepokoił się o Unę, by stanowić dobre towarzystwo. Jednak wspomnienie wspólnie spędzonego czasu w Pirenejach stawało się coraz silniejsze i nie dawało mu spokoju. Bał się jej oczekiwać. Nie wiedział, czy będą zbyt małe czy za duże. Tego dnia myślał wyłącznie o nadchodzących uroczystościach. Minęły trzy tygodnie od ich ostatniego spotkania, ale Lal nie zaskoczył jego widok.

Zdziwił się mile, o ile lepiej teraz wyglądała. Zdawał sobie rzecz jasna sprawę, że bladość i wycieńczenie w końcu przejdą, ale nie wyobrażał sobie, że aż tak wyładnieje.

- Wybieram się do Uny. Pójdiesz ze mną? - zapytał.

Lal sięgnęła po klucze, ale zaraz się zawahała.

- Myślisz, że powinnam?

Sulien westchnął.

- Nie. Wiem tylko, że cieszyła się na twój widok. Na jej miejscu chciałbym, żebyś była przy mnie.

Pojechali więc do Uny przez most Kliwiusza Cynny, co zabrało im sporo czasu z powodu ograniczeń w ruchu i mniejszej liczby tramwajów. Po drodze nie rozmawiali wiele ze sobą. Siedzące obok nich dwie kobiety zastanawiały się na głos, co księżniczka będzie miała na sobie i czy to będzie strój niońiański, rzymski czy może mieszanina obu.

Una otworzyła drzwi z uspokajającym uśmiechem, ale nie zrobiła żadnego ruchu, żeby zaprosić ich do środka.

- Możemy wejść? - spytał po chwili Sulien.

- Dobrze - powiedziała Una tonem, który sugerował coś przeciwnego. - Ale tylko na chwilę.

Małe mieszkanie było nienagannie czyste, kiedy Lal ostatnio tu była. Teraz aż lśniło od szorowania, jakby chciano zmyć z niego wszelką ludzką obecność. Czuli się nieswojo, wchodząc do środka. Una stała z założonymi rękami i wyglądała na wyczerpaną.

- Nie chciałem, żebyś była dzisiaj sama - powiedział Sulien.

- No cóż... Ale jestem.

Sulien wszedł do pokoju i ignorując nieme sygnały, żeby zostawić ją w spokoju, usiadł na sofie.

- Nigdzie się nie wybieram - oznajmił, choć zabrakło trochę brawury, z jaką chciał to powiedzieć. Pewność siebie Uny wytrącała go z równowagi.

- Nie wiem, czego się spodziewasz - powiedziała.

- Czemu sobie to robisz? - spytał delikatnie. - Czemu pracujesz w tym miejscu? Masz dosyć pieniędzy.

- Oszczędzam. Poza tym muszę mieć jakieś zajęcie.

- Ale przecież mogłabyś znaleźć coś lepszego. Tyle się nauczyłaś, tyle osiągnęłaś.

- Co na przykład? - spytała Una. Jej głos zadrżał odrobinię. - Mam napisać w podaniu o pracę, że byłam kochanką cezara?

Dopiero teraz dało się zauważyć, że drży na całym ciele. Jej nadgarstki wydawały się chude, wręcz kościste. Lal poczuła, jakby odzyskała zdrowie kosztem Uny; kiedy ostatnio się spotkały, siły życiowe uciekały z Uny w tym samym tempie, w

jakim Lal je odzyskiwała.

Patrząc na siostrę, Sulien czuł znajomą niemoc, która dawno temu zdawała się zniknąć i która była tym silniejsza, że jej się nie spodziewał. Niemal bał się odzywać do Uny.

- Wykonywałaś pewne prace dla Glykona - powiedział z uporem. - Gdybyś tylko wspomniała o nim czy Wariuszu...

- Nie - odparła Una bez emocji. - Nie ma takiej potrzeby. Sulien pokiwał sfrustrowany głową.

- Karzesz się za coś. To nie ma sensu, a ja nie mogę na to pozwolić.

Una odwróciła się od niego, wzdychając, i wyjrzała przez okno.

- Wybrałam tę pracę, ponieważ jest tam głośno, tłoczno i nie mogę myśleć - wyjaśniła z cierpliwością. - Nie interesuje mnie, co kto myśli. To mi pomaga. Uczę się, jak nie czytać w ludzkich umysłach, i idzie mi to coraz lepiej.

Gdzieś w oddali rozległy się werble rozpoczynające uliczne uroczystości.

Lal, która trzymała się do tej pory z boku, postanowiła się odezwać.

- Ale dzisiaj możesz chyba pojechać z nami gdzieś poza Rzym? Tutaj nie będziesz się dobrze czuła.

- Nie - odparła spokojnie Una. Nie zwróciła uwagi na odgłosy. - Tutaj wcale nie jest gorzej. W cesarstwie nie ma ani jednej wioski, gdzie nie będą tańczyć do rana na ulicach. Równie dobrze mogą zostać tutaj.

- Możemy pojechać za miasto, gdzieś na łąkę czy do lasu. Możemy pojechać w góry i porozmawiać albo siedzieć cicho, jak sobie życzysz.

Una spojrzała na nią i przez chwilę żałowała, że nie jest kimś innym, kto mógłby się zgodzić. To, co Lal oferowała -

puszkę - zbiegało się z jej pragnieniami, ale w marzeniach była to idealna pustka, bez Lal, Suliena czy kogokolwiek innego. Anonimowość watykańskiego baru dodawała otuchy i pewnie dostałaby podwójną dniówkę, gdyby zgodziła się pracować w czasie ślubu, ale dzisiaj pragnęła prawdziwej samotności, a nie tylko tej, którą stworzyła we własnym umyśle.

Podniosła zdecydowanie głowę.

- Dobra. Miło z waszej strony, że wpadliście, i wiem, że chcecie mi pomóc, ale musicie uwierzyć, że wiem, co robię. Nie jestem chora. Nic mi nie grozi. Nic nie musicie dla mnie robić. Więc dziękuję, ale nie. Spotkamy się za kilka dni czy za tydzień, ale nie dziś.

Sulien i Lal nic nie odpowiedzieli. W końcu Sulien niechętnie podniósł się z sofy. Zamiast podążyć za spojrzeniem siostry w stronę drzwi, objął ją i pocałował w czoło. Una nie odwzajemniła uścisku; zupełnie jakby przyciskała coś do piersi i bała się to upuścić. Czując jego wargi, odwróciła głowę i przeszedł ją dreszcz.

- Wiem, wiem. Jutro będzie lepiej - mruknęła.

*

To był wyjątkowo długi dzień. Aż do zapadnięcia zmierzchu tłum gęstniał przy barierkach odgradzających drogę, którą panna młoda miała przejechać z ambasady Nionii do pałacu. Ambasada została ponownie otwarta po podpisaniu traktatu i teraz stała ozdobiona na sposób rzymski i nioniański - kolumny budynku opleciono wieńcami z kwiatów i wstążek, a z okien zwisały czerwone lampiony. Kiedy wybiła godzina wyjazdu, Noriko usłyszała radosne wiwaty tłumu na ulicy i bębny.

Służba otworzyła drzwi i Noriko wyszła na schody. W

jednej chwili noc rozświetliły błyski setek fleszy, a powietrze wypełnił ryk tłumu. Noriko próbowała się przygotować do tej chwili, ale tak naprawdę to nigdy w życiu nie była wystawiona na widok publiczny, i to w dodatku publiki wrzeszczącej, gwizdzącej i wylewającej się niepokornie zza barierek. Ambasada wydawała się otoczona kamerami i obiektywami.

Pomiędzy rzędami ukwieconych lamp, które ozdabiały ulicę, za grupą młodych rzymskich arystokratów, którzy przyszli ze srebrną lektyką dla Noriko, rzędy ludzi maszerowały w jej stronę, niosąc w rękach zapalone sosnowe pochodnie, jakby zbierali się na wielkie ognisko. Było ich tak wielu, że Noriko nie widziała końca pochodu. Z powietrza eskadry spiralotów oświetlały ziemię i dachy snopami jaskrawych świateł. Łoskot płatów co chwila zagłuszał bębny i flety. Noriko z niepokojem spoglądała w górę. Patrzyły na nią stamtąd kolejne kamery i wigilowie, którzy strzegli ceremonii przed zamachowcami. Noriko jednak wcale nie czuła się bezpiecznie.

Do Rzymu przybyła pani Aoi, starsza konkubina z dworu jej ojca, która miała wystąpić w roli macochy Noriko i przekazać ją w ręce Marka. Kiedy czoło pochodu zbliżyło się do ambasady, Aoi stanęła obok panny młodej i objęła ją ramieniem - bardzo formalnie i delikatnie, żeby nie pognieść sukni ślubnej. Noriko dotknęła dłoni starszej kobiety, starając się nie myśleć o własnej matce. Po schodach wspinało się dwóch mężczyzn, o poważnych i pełnych szacunku minach, którzy mieli wyrwać Noriko z rąk Aoi. Rzymski ślub zaczynał się od pantomimy porwania i gwałtu. Tłum zareagował aplauzem na ten widok.

Dwóch małych chłopców, ubranych na biało i z wieńcami kwiatów na głowie, wzięło ją za ręce i poprowadziło do lektyki. Stali po obu stronach, ściskając jej dłonie i przytrzymując się srebrnych poręczy lektyki, gdy młodzi mężczyźni

podnieśli ich i ułożyli końce lektyki na ramionach. Muzyka, która ucichła, kiedy Noriko schodziła ze schodów, wybuchła teraz ze zdwojoną siłą, a rozweselony tłum wtórował śpiewakom niczym echo, powtarzając w kółko słowo: „Talassio!”. Noriko nie miała pojęcia, co to znaczy. Trzymała się kurczowo chłopców. Samo podnoszenie lektyki nie było aż tak przerażające, jak się spodziewała, ale i tak miała ściśnięty żołądek, i to nie tylko z powodu lęku wysokości. Kiedy niesiono ją nad głowami tłumu, pomyślała: Tak właśnie traktowali jeńców, wioząc ich paradnie przez miasto.

Rzędy ludzi z pochodniami rozstępowały się, żeby ich przepuścić, i zaraz za lektyką zwierały się ponownie. Noriko miała znaleźć się na czele pochodu i wrócić tą samą drogą przez centralne Forum i dalej Świętą Drogą do pałacu. W czasie marszu czuła, jak w przepychającym się tłumie narasta pragnienie, żeby ją zobaczyć. Pomagało jej to zachować pozę, którą spodziewali się ujrzeć - królewsko obojętną i nieruchomą. Była łupem triumfalnym wystawionym na pokaz. Droga przed nią była usłana płatkami róż: białymi, płomiennie żółtymi i czerwonymi.

*

Zupełnie bez ostrzeżenia i z jakąś złością Sulien włączył dalwizję. Lal spojrzała zdziwiona, ponieważ miała wrażenie, że oglądanie ceremonii było dla nich tabu. Po wyjściu od Uny nie przyszło im do głowy, żeby się rozstać, i bez słowa poszli do mieszkania Suliena. Poczęstował ją winem i z początku słuchał, jak opowiada o podróży przez Pireneje i wędrownce do Siny. Jednak z każdą godziną odgłosy uroczystości stawały się coraz głośniejsze, a Sulien robił się milczący i spięty. Stał teraz przed ekranem z wykrzywioną twarzą, pełen złości, ale i cie-

kawy.

Z powietrza, kiedy oświetlały ją światła spiralotów, księżniczka wyglądała jak kometa z długim warkoczem płonących iskier podążających za nią. Jej suknia w kolorze płomiennej czerwieni nawiązywała do rzymskiej tradycji, a pod piersiami miała zawiązana ślubną rzymską czerwoną wstążkę, która oplatała kilkakrotnie jej ciało i kończyła się kilkoma prostymi węzłami zwisającymi z talii. Jej głowa była ozdobiona nioniańskimi kwiatami - kameliami, peoniami i lotosem, nioniański charakter zachowały również długie rękawy sukni. Złota koszula, która wyzierała spod sukni przy szyi i z rękawów, była haftowana w żurawie i irysy, a delikatniejszy materiał nad nią ozdobiony był nakładającymi się na siebie wzorami wachlarzy. Z obu stron jej poważnej twarzy zwisały po trzy warkocze z wplecionymi srebrnymi wstążkami, w które upięto narcyzy i storczyki. Pod wieńcem i złotym przybraniem głowy Noriko miała podwójny welon: jedna warstwa była z grubej satyny, która przylegała ściśle do ciała i prześwitywała purpurowo przez przezroczysty jedwab drugiej warstwy. Długi welon z gazy w odcieniu bursztynu układał się w koncentryczne kręgi na lektyce i sprawiał wrażenie, że księżniczka stoi w środku delikatnej i pięknej eksplozji.

Kiedy procesja minęła Septizonium, obraz przeniósł się do kąpiącego złotem pałacowego lararium, w którym czekał Marek. Pośrodku wysokiej apsydy stały rzeźby przodków i bogów, oddające bogactwo wierzeń całego imperium. Były tu pająki, łabędzie, słonie, byki, jaguary, a także muskularni mężczyźni i kobiety, którzy prezentowali broń lub wręcz przeciwnie - wylegiwali się leniwie. Zebrani wokół Marka, niczym niemy chór, idole zdawali się wprowadzać dziwny nastrój oczekiwania. Marek, ubrany w ceremonialną togę, także sprawa-

wiał wrażenie, jakby był wyrzeźbiony z marmuru i ponadczasowy. Spojrzał w kamerę wzrokiem, który miał komunikować pewność siebie i spokój. Sulien, który go dobrze znał, odczytał w spojrzeniu kontrolowany ból i poczuł dla Marka niespodziewane współczucie. Wyłączył szybko dalwizję

- Żałuję, że go w ogóle poznaliśmy - powiedział zajądło.

- Przecież widać, że ten ślub nie jest jego pomysłem - zaprotestowała Lal. Było jej nieswojo, ponieważ chciała być lojalna wobec każdej ze stron. - Na pewno jest bardzo niešťczęśliwy.

- Więć i on by lepiej na tym wyszedł, gdyby nas nie spotkał.

- Tak, on byłby martwy, a wy bylibyście niewolnikami - odcięła się Lal i Sulien nic nie odpowiedział. - Rozumiem, dlaczego nie możecie być już przyjaciółmi - dodała ze smutną miną.

Sulien westchnął i oparł się o ścianę obok dalwizora, spuszcżając głowę. Utkwił wzrok w ciemnym ekranie.

- Jestem jego przyjacielem - wyznał zrezygnowanym tonem. Nalał sobie wina i przez dłuźszą chwilę siedzieli w milczeniu. - Co z nią będzie? - spytał Sulien, jakby nie przestali mówić o Unie. - Wykończy się w tej pracy. Wiem, że wszystko, co mówi o tym miejscu, to prawda, ale nie może tego ciągnąć w nieskończoność.

- Nie, nie - odezwała się Lal, czując, iż obawa o Unę dodaje jej wiary, że wszystko będzie dobrze. - Szkoda, że nie zgodziła się pojechać za miasto, ale znosiła już gorsze rzeczy. Była przecież niewolnicą. Pewnie przez całe lata planowała, jak uciec, i w końcu tego dokonała. Ratowała ci życie. Nie jest typem osoby, która się poddaje, inaczej nie osiągnęłaby tego wszystkiego.

Sulien uśmiechnął się krzywo.

- Jeśli coś sobie postanowi, to nic jej nie powstrzyma, tego jestem pewien. Nie chciałbym być na miejscu tego, kto jej stanie na drodze. Tyle że Una nie zwraca uwagi, ile ją to wszystko kosztuje. W Londynie nie widziała mnie przez siedem lat, ale wystarczyło, że dowiedziała się o moim aresztowaniu, żeby podjąć decyzję, że nie dopuści do mojej śmierci. - Roześmiał się jakoś dziwnie, jakby to było śmieszne. - No i jej się udało. Jesteśmy tutaj cali i zdrowi. Tyle że mogła przy tym zginąć, oboje mogliśmy. Jeśli tylko uznałaby, że zrobiła wszystko, co w jej mocy... - Zamilkł na chwilę, wzruszył ramionami i dokończył. - To nie miałyby nic przeciwko temu.

- Nie - sprzeciwiła się Lal.

- Właśnie, że tak. Dla niej porażką by była moja śmierć, nie jej. Kiedyś wiele rzeczy było jej obojętne, dopóki on się nie pojawił. Dopiero przy nim zaczęła się zmieniać. - Nie chciał zastanawiać się nad swoimi uczuciami do Marka i wolał nie wymieniać jego imienia. - Myślę, że teraz jest jeszcze gorzej. Wtedy przynajmniej było coś, czego pragnęła. Żeby się wyrwać, żeby wyciągnąć mnie z tej łodzi, żeby nie dać się złapać, nawet jeśli tylko robiła to na złość tym, którzy uczynili z niej niewolnicę. Teraz... boję się, że teraz to się skończyło.

Lal patrzyła na niego w milczeniu. Nie podobała jej się ta cisza i chciała powiedzieć cokolwiek, choćby powtarzać, że niepotrzebnie się boi.

- Rozumiesz, co chcę powiedzieć? - spytał w końcu Sulien natarczywym tonem.

Lal zawahała się.

- Przypomina mi Damę - przyznała w końcu. - Czasami tak się zachowywał.

Sulien uznał jej porównanie za trafne i wcale mu się nie

spodobało. Przypomniał sobie determinację, z jaką Dama działał tej ostatniej nocy, kiedy go widzieli. Pomyślał, że to właśnie ona go zabiła. Wziął do ręki kieliszek.

- Masz rację - zgodził się ponurym tonem.

Lal spojrzęła na wyłączony dalwizor.

- Może teraz to ogląda. Na pewno musiał o tym słyszeć. Ciekawa jestem, co myśli - powiedziała. Nie zauważyła, że mówi to tak, jakby była pewna, że Dama żyje.

*

Młodzi patrycjusze zbliżyli się z lektyką do lararium. Ucichła muzyka, gdyż był to najważniejszy moment i gdyby przy przechodzeniu przez próg panna młoda potknęła się czy zachwiała, przyniosłoby to pecha całemu związkowi. Udało im się przejść wręcz wzorowo i lektyka została delikatnie ustawiona na połyskującej ciemnej terakocie. Do Noriko podeszła grupka kobiet, samych mężatek, które miały przeprowadzić parę młodą przez akt zaślubin. Noriko wstąpiła w milczący tłum.

Marek wyszedł na jej spotkanie. Wariusz był w pobliżu, wśród gości i przedstawicieli domu, którzy stali po obu stronach pustego przejścia, ale Marek nie musiał już dłużej opanowywać nerwowej potrzeby zerkania w jego stronę. Siedzący na krześle Faustus bacznie obserwował uroczystość. Obok niego stała Makaria. Brakowało tylko Druzusa. Marek załatwił to jednym zdaniem w liście: „Przykro mi, że jesteś zbyt chory, żeby przyjść na mój ślub”, który wysłał wcześniej. W odpowiedzi otrzymał list, w którym Druzus z żalem powiadamiał go o swojej chorobie i który Marek mógł pokazać Faustusowi.

Stojąca przed nim Noriko z trudem przypominała osobę, z którą rozmawiał w sinoańskim pałacu. Wyglądała jak uoso-

bienie cnoty z poematu. Możliwe, że on też nie przypominał człowieka z krwi i kości. Przynajmniej w tej chwili nie czuł dla niej żadnego współczucia i przestał też uważać się nad sobą. Ogarnął go jakiś dziwny, oszałamiający spokój. Noriko zdawała się płynąć w jego stronę w swoich płomiennych szatach. Marek wiedział dokładnie, co ma teraz zrobić, i wszystko to wydawało mu się nierzeczywiste.

Z obu jego stron zbliżali się pomocnicy niosący złote miski: jedną z wodą, a drugą z zapalonym knotem płuwającym w oliwie. Marek i Noriko stanęli do siebie twarzami i Marek usłyszał wyraźnie własne słowa.

- Witaj.

Wziął po kolei miski i podał jej tak, żeby mogła umoczyć końce palców w wodzie, a następnie przesunąć je szybko nad ogniem.

Złączyli dłonie i najstarsza z kobiet związała je razem. Dotyk Noriko przerwał trans, w którym tkwił do tej pory Marek. Spojrzał jej w oczy i miał uczucie, że dostrzegł w nich cień szoku, jakby oboje dopiero teraz zdali sobie sprawę z tego, co robią. Pocałowali się delikatnie. W złotej sali, na Forum i w całym imperium ludzie zaczęli klaskać i wiwatować.

*

Una nie mogła sobie znaleźć miejsca, chodziła z pokoju do pokoju, przyspieszając kroku i coraz szybciej oddychając. Hałas za oknem nawet na chwilę nie ucichł. Walenie w bębny i pijackie śpiewy słabły na chwilę, by zaraz buchnąć ze zdwojoną siłą. Z początku udawało jej się przynajmniej nie zwracać na to uwagi, jednak odgłosy świętowania ciągnęły się tak długo, że w końcu opadła z jękiem na krzesło i zatkała uszy. Gdyby tylko mogła się czymś zająć; znaleźć coś, co by odwróciło jej

uwagę! Nie czuła się na siłach iść gdziekolwiek; czytanie nie wchodziło nawet w rachubę. Żałowała, że tak się pospieszyła ze sprzątaniami mieszkania i nie zostawiła sobie niczego do roboty. Przypomniała sobie, że ma trochę ubrań, które mogłaby przeprać. Wyciągnęła je z szafy i namoczyła w wodzie. Ręce jej się trzęsły, a zęby tak szczękały, że nie potrafiła się na niczym skupić. Zostawiła ubranie w wodzie i znowu zaczęła krążyć po mieszkaniu. W pewnym momencie, zupełnie bez planu czy chwili zastanowienia, otworzyła drzwi i wybiegła z mieszkania. Przez chwilę stała na klatce schodowej z twarzą przyciśniętą do ściany, dysząc i zaciskając z całych sił oczy. Dopadł ją kolejny wybuch radości i Una rzuciła się w górę po schodach, nie zamykając nawet drzwi do mieszkania. Na samej górze otworzyła z trudem metalowe drzwiczki prowadzące do schodów przeciwpożarowych. Stalowa drabinka, przymocowana do ściany, wiodła w górę - musiała ją widzieć z ziemi setki razy, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Zaczęła wdrapywać się na nią gorączkowo, niemal skacząc ze stopnia na stopień, i po chwili stała na dachu.

Na dole zabawa trwała w najlepsze i hałas tutaj był tylko odrobinę słabszy niż w jej mieszkaniu. Jednak czuła różnicę: dach wydawał jej się bardziej niedostępny i samotny. Wiał ostry, przenikliwy wiatr, który podrywał jej sukienkę i targał włosy. Una objęła się ramionami i poszła na koniec dachu, który wychodził na południowy wschód, na centrum miasta. Wspięła się na murek i usiadła, podciągając kolana pod brodę. Przed nią rozpościerał się Rzym i mogła sięgnąć wzrokiem dużo dalej, niż się spodziewała: wypatrzyła niebieską kopułę świątyni Wolności na Drodze Flamińskiej, oświetlone wieże na Kwirynale, a nawet daleki poblask czegoś, co musiało być Złotym Domem. Kiedy patrzyła w jego stronę, niespodziewanie

noc rozświetliły sztuczne ognie. Z początku wzniosły się nad pałacem, ale zaraz zaczęły się rozszerzać niczym pożar, obejmując wkrótce całe miasto. Na niebie malowały się róże i wierzby kolorowych świateł, złote strzały i czerwone liście palm. Wesołe okrzyki i śpiewy, które do tej pory były chaotyczne i niejednolite, nagle złączyły się w jeden potężny ryk, który niczym fala przelewał się przez miasto, pulsując wśród łoskotu wybuchów.

Una nie mogła zaczerpnąć oddechu, a jej całe ciało było jak sparaliżowane szokiem. Miała nadzieję, że teraz przyjdzie ulga, że skończy się ten dramat narastającego napięcia, ale nic takiego się nie zdarzyło. Jej udręka i tęsknota nie miały końca. Ukryła głowę w ramionach, a nad nią rzymskie niebo płonęło żywym ogniem.

*

W mieszkaniu Suliena w Transtiberinie od hałasu aż drżały ściany, a okna były jasne od światła.

- No i po wszystkim - rzekł Sulien.

Lal skinęła głową, ale jej nieobecne spojrzenie i zadumana mina świadczyły, że myślami jest gdzieś daleko. Nagle rysy jej się wygładziły, a oczy rozszerzyły z podekscytowania.

- Sulien - powiedziała. - Ja jednak widziałam Damę w Sienie. To musiał być on. Wcześniej dzwoniłam do Liuyina i powiedział, że nie może mi pomóc. Coś musiało się zmienić, że zdecydował się przyjechać. No i ci ludzie, którzy mnie znaleźli. Jechaliśmy samochodem. Liuyin sam nic by nie zrobił. Pamiętam, że widziałam Damę, i to inaczej niż w halucynacjach. Musiał tam być i to on mnie uratował.

*

Noriko nie brała udziału w zabawie zbyt długo. Druhny pomogły jej przebrnąć przez krótką rundę gratulacji, zanim zaprowadziły ją na górę do sypialni. Po jej zniknięciu zabawa rozgorzała na dobre i w miarę jak ubywało wina, odzywały się coraz śmielsze przyśpiewki. Marek krążył wśród tłumu, pozwalając się klepać po plecach, przyjmując toasty i znosząc wesołe docinki i żarciki. Mógł być cezarem, ale w końcu to było jego wesele. Marek zachowywał coś na kształt uśmiechu tak długo, jak tylko zdołał.

- Każę jej czekać - zauważył radośnie Eudoksjusz, gdy Marek go mijał, i uwaga wzbudziła wśród zebranych mężczyzn jęki udawanego współczucia dla Noriko.

Chcąc na chwilę uciec od tego tłumu, Marek podszedł do Wariusza, który, podobnie jak on, wydawał się niestosownie trzeźwy, mimo że pił kieliszek za kieliszkiem. Na jego twarzy rysował się wyraz sztucznej cierpliwości. Marek zastanawiał się, czy Wariusz wspomina własny ślub.

- Wszystko dobrze poszło. - Marek prawie się roześmiał.
- Słusznie postąpiłeś - dodał ciszej Wariusz.

Marek skinął głową.

- Nawet nie odpisała - rzucił niespodziewanie. Nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. Nie potrzebował zapewnień, że Una myśli o nim, co i tak nie byłoby żadnym pocieszeniem.

Kilku gości zaczęło śpiewać piosenkę o nienasyconych kobietach, które wykorzystały wszystkich mężczyzn w Tarra-co. Marek uznał, że może opuścić zabawę. Przeszedł przez tłum gości, kierując się w stronę atrium i głównych schodów. Tak jak się spodziewał, towarzyszyło mu crescendo porozumiewawczych śmiechów, kiedy tylko spostrzeżono, gdzie idzie. Lepiej mieć to szybko za sobą.

- Poprowadzi wojsko w głąb Nionii! - zawołał ktoś na

sali i wszyscy gruchnęli śmiechem. Marek wspiął się po schodach wśród zachęcających okrzyków.

Dopiero na piętrze zatrzymał się i wziął głęboki oddech. Po raz pierwszy tego dnia był w końcu sam. Z dworu dochodziły stłumione salwy fajerwerków. Jeśli Una nie wyjechała z Rzymu, to też musiała je słyszeć. Przesunął dłonią po twarzy, starając się o tym nie myśleć. Przyszło mu do głowy, że nie musi iść do Noriko, przynajmniej nie od razu. Pomyślał jednak, jak czeka na niego, otoczona chichoczącymi obcymi ludźmi, którzy nie zostawiają jej samej, aż on przyjdzie. To nie byłoby w porządku wobec niej. Zresztą wolał zobaczyć ją niż kogokolwiek innego w pałacu. To jedno ich dzisiaj łączyło.

Drzwi do małżeńskiego apartamentu były uchylone, a na korytarzu stało kilka kobiet zajętych plotkowaniem i czekaniem na pojawienie się Marka. Przywitały go takimi samymi żarcikami, jakie słyszał na dole. W pokoju okna, sufit, kolumny łożka były przyozdobione kwiatami, owocami i zielonymi gałązkami. Zebrane wokół Noriko damy uściskały ją po matczy-nemu i cicho wymknęły się z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Marek i Noriko patrzyli na siebie w milczeniu, słuchając ich słabnących śmiechów.

Noriko siedziała sztywno na skraju łożka. Kobiety rozebrały ją częściowo, nie dotykając jednak węzłów, które opasywały żółtą suknię i

które mógł rozwiązać jedynie małżonek. Znikł welon i wieniec z kwiatów, jej stopy były bose, a włosy rozpuszczone. Noriko spojrzała na niego nieśmiało. Marek wypróbował w głowie, jak brzmią słowa „moja żona”.

- Jak się czujesz? - spytała grzecznie.
- W porządku - odparł cicho. - Zmęczona?
- Och, trochę.

Marek spostrzegł sposób, w jaki Noriko patrzyła na niego, i sztywność, z jaką siedziała. Oczywiście oboje ledwo się znali, ale miał wrażenie, że jej niepewność tego, co teraz nastąpi, jest innego rodzaju. Marek wiedział, że związki pozamałżeńskie były czymś normalnym na nioniańskim dworze, choć wszystko odbywało się niemal w całkowitej tajemnicy i za pomocą skomplikowanych rytuałów. Podejrzywał, że zasady te będą jeszcze bardziej skomplikowane w wypadku niezamężnej księżniczki, której zamążpójście nieodzownie musiało się wiązać z politycznym sojuszem. Miał jednak nadzieję, że Noriko nie jest dziewczcą. Teraz był niemal pewien, że jest. Poczuł smutek na myśl, że nie ma ochoty brać w tym udziału i że boi się ją skrzywdzić. Gdyby Una nie była jedyną kobietą, z którą spał, może nie czułby się teraz tak niezręcznie. Tak jak napisał jej w liście, nigdy nie przestawał o niej myśleć, ale teraz było to coś innego, jeszcze gorszego. Miał do dyspozycji jedynie to, czego dowiedział się o ciele Uny. Czuł, że zdradza ich oboje.

Podszedł wolno do łóżka.

- Nie musimy nic robić - powiedział. - Jeśli jesteś zmęczona czy chcesz to odłożyć na później...

Noriko wstała z łóżka i podeszła do niego. Dotyk jej ust był jeszcze bardziej niepewny niż przy ich pierwszym publicznym pocałunku, ale jej dłonie pewnie ujęły jego ręce i skierowały do węzłów na łonie.

- Jesteśmy małżeństwem. Nie ma na co czekać.

Marek nic nie odpowiedział. Skinął głową.

Cierpliwie rozsypał węzły. Wszystko robił spokojnie, jakby całkowicie skupiał się na kolejnych supłach. Nie patrzył na nią. Kiedy w końcu rozsypał ostatni węzeł i przepasająca ją szarfa opadła, Noriko zaśmiała się nerwowo. Marek odstąpił o

krok i szybko zdjął z siebie ciężką togę, patrząc, jak Noriko odpina ostatnie guziki sukni. Marek, nagi do pasa, zbliżył się do niej i pomógł jej się rozebrać do końca. Zsunął z niej suknię i Noriko nagle stała przed nim naga, z odważnie uniesioną głową, próbując uśmiechać się zalotnie. Kiedy jej dotknął, zadrżała. Mimo że tyle ich dzieliło, poczuł z ulgą, że znajduje dla niej także miejsce na czułość. Odwzajemnił jej uśmiech i pogładził ją po ramionach i włosach, które nie przestawały go fascynować.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział. - Położmy się.

Zdjął pospiesznie resztę ubrania i wsunęli się pod kołdrę. Leżeli nieruchomo przytuleni do siebie, dodając sobie otuchy niczym rozbitkowie na tratwie na lodowatym oceanie.

Poczuł, jak Noriko rozluźnia się i prostuje tak, żeby przylgnąć do niego. Do tej pory był przekonany, że przy całym zmęczeniu i pragnieniu, żeby był tu przy nim ktoś zupełnie inny, nie będzie zdolny do niczego więcej, jak położenia się obok niej i czekania, aż przyjdzie sen. Zamiast tego poczuł złość, jak szybko jego ciało zareagowało, jakby żyło jakimś własnym życiem. Wziął Noriko w ramiona i przetoczył się na nią. Gdzieś znikło poczucie intymności, które łączyło ich jeszcze przed chwilą. Pocałował ją delikatnie raz i drugi, pieszcząc jej ciało tymi samymi oszczędnymi ruchami. Noriko leżała biernie, ale po chwili spróbowała odwzajemnić jego czułości. Przycisnęła wargi do jego piersi, przejechała delikatnie palcami po plecach i niepewnie napała na niego biodrami. Ponieważ Marek nie robił nic, żeby ją zachęcić, każdy jej ruch miał w sobie coś niezobowiązującego i próbnego. Jej skóra była gładka i gorąca. Przeszedł go dreszcz podniecenia. To nie jej wina, że myślami był gdzie indziej. Spojrzał w oczy żony, szukając oznak strachu, a następnie rozsunął jej nogi i pocałował w

piersi, wsuwając się w nią i pchając mocno.

Noriko syknęła gwałtownie i Marek znieruchomiał.

- Boli cię?

- Nie - odparła z determinacją, choć mówiła przez zaciśnięte zęby.

Nie rozmawiali więcej. Objęła go, a on poruszał się w niej ostrożnie i bezosobowo, aż w końcu zagubił się zupełnie w tej mrocznej anonimowości, gdzie nawet wspomnienie Uny zniknęło i nic już nie miało znaczenia.

Później, kiedy odsunęli się od siebie i wyglądało, że Noriko zasnęła, Marek poczuł, jak nachodzi go znużenie. Nie był pewien, czemu czuje taką odrazę do siebie, ale poczucie straty stawało się z każdą chwilą coraz silniejsze, aż w końcu nie mógł wytrzymać myśli, że leży obok Noriko. Wstał cicho, ubrał się i dopiero gdy zamknął za sobą drzwi, poczuł ulgę. Wałęsał się przez długi czas po pałacu, aż w końcu udało mu się zasnąć na krótko w fotelu w wieży, skąd patrzył przez okno na Rzym.

Nie wrócił do łóżka tej nocy i kiedy Noriko obudziła się przed świtem, naga i samotna w obcym pokoju, czując ból w zakrwawionym kroczu, rozplakała się po raz pierwszy od opuszczenia domu.

*

Przemarznięta i zeszywniała Una powoli zeszła po schodach. Skarciła się w myślach, że zostawiła drzwi do mieszkania otwarte na oścież, mimo że obojętne jej było, czy coś mogło zostać skradzione. Z mieszkania nic nie zniknęło. Powinna zrobić sobie coś do jedzenia - ponieważ pozwoli jej to zająć się czymś przez dwadzieścia minut, a prawie niczego wczoraj nie jadła. Czuła się, jakby zbliżała się choroba - kręciło jej się w głowie i przechodziły ją dreszcze. Na widok jedzenia

zacisnął jej się żołądek i gardło i czuła się zmęczona na samą myśl o konieczności krojenia chleba. Wypiła trochę wina, nawet go nie smakując, i poczłapała do sypialni, gdzie rzuciła się na posłane łóżko. Hałas dochodzący z ulicy zelżał trochę, ale nawet nie liczyła, że zabawa skończy się przed rankiem. Przynajmniej nie dochodziły jej odgłosy sztucznych ogni. Czasami jedynie pojedynczy wybuch czy świst wznoszącej się w niebo racy gdzieś na sąsiedniej ulicy powodował, że wzdrygała się, jakby ktoś ją uderzył. Nawet nie próbowała zasnąć. Chciała jedynie odpocząć; spróbowała nie myśleć i nie czuć. Wcześniej zawsze jej się to udawało. Teraz też powinno.

Nagle do drzwi frontowych ktoś mocno zastukał i Una poderwała się na łóżku, jakby cały budynek się zatrzęsł. Czuła, że krew pulsuje jej w żyłach. Nie chodziło o odgłos pukania, ale o to, że nie miał on najmniejszego sensu. Każdego dnia starała się coraz bardziej żyć we własnym umyśle, tak żeby jak najmniej znać i wyczuwać ludzi. Dzisiaj, bardziej niż kiedykolwiek, było jej to potrzebne. Jednak przestrzeń wokół niej zdawała się kompletnie pusta; nie wyczuwała nawet śladu jakiegokolwiek człowieka bliżej niż na ulicy. Pod drzwiami nie było nikogo.

Znała tylko jedną osobę, której myśli nigdy nie potrafiła przeniknąć i która potrafiła ją tak kompletnie zaskoczyć.

Siedziała nieruchomo na łóżku, drżąc na całym ciele i starając się uwierzyć, że to jej się tylko przywidziało. Musiała zasnąć na chwilę i właśnie się obudziła z jakiegoś okropnego snu.

Pukanie znowu się rozległo i tym razem Una zerwała się z łóżka, wybiegła do przedpokoju i otworzyła drzwi.

Na progu ujrzała Damę. Przez chwilę stała jak sparaliżowana, patrząc na niego z niedowierzaniem. Zaraz jednak

rozpłakala się i rzuciła mu w ramiona.

OMNES VIAE

Dama powoli objął ją bardzo delikatnie i Una ze zdumieniem zdała sobie sprawę, jak rzadko w przeszłości zdarzało im się dotykać.

- Brakowało mi ciebie - rzekł.

Una chciała coś odpowiedzieć, ale dusiły ją łzy. Przez ostatnie tygodnie, w miarę jak zbliżał się dzień wesela, nie płakała. Teraz nie potrafiła zapanować nad łkaniem.

Dama wyglądał na przejętego i patrzył na nią ze współczuciem. Mieszkanie było tak małe, że od razu trafił do salonu, gdzie posadził ją na sofie i próbował pocieszyć.

- Zmarzłaś. - Zdjął kurtkę i zarzucił jej na ramiona. Próbował ją niezdarnie uspokoić. Zniknął na chwilę w kuchni, skąd wrócił ze szklankami wody i wina, nie wiedząc, co będzie odpowiedniejsze. Una roześmiała się na ich widok.

- Przepraszam - powiedział. - Powinienem to inaczej załatwić.

- Inaczej? - powtórzyła Una. - Gdzie się podziewałeś? Jak mogłeś tak zniknąć? Myśleliśmy, że nie żyjesz.

- Na pewno tak nie myślałaś. Wszyscy, ale nie ty - sprzeciwił się Dama cichym, stanowczym głosem.

- A skąd miałam wiedzieć? Nigdy nie miałam pewności. Czemu tak po prostu odszedłeś?

Wyraz jego twarzy stał się bardziej zawzięty i obcy.

- Wiedziałaś, że odejdę - odparł. - Jak tylko to się skończy. Powiedziałem ci to wcześniej.

Una odsunęła się od niego i wstała. Wciąż kręciło jej się w głowie.

- Nic cię nie obchodziło, co sobie pomyślimy. Nawet nie dałeś znaku życia. Tak bardzo byłeś na mnie zły czy co?

Dama przyglądała jej się smutnym wzrokiem.

- Przepraszam. Musiałem się ukrywać przez długi czas. Wciąż jestem przestępcą i niewolnikiem. To się nie zmieniło.

Dopiero teraz Una zaczęła mu się przyglądać, oceniać, w jakim stopniu się zmienił. Jego twarz, wykrzywiona troską o nią, wydawała się nieuformowana i dziwna, wręcz brzydka, poza włosami koloru rdzy i błyszczącymi niebieskimi oczami. Dama był gładko ogolony, ale tak bardzo podobny do mężczyzny, którego pamiętała, że czuła się wręcz nieswojo, jakby minione lata były tylko ułudą. Chyba przyzwyczał się do własnego ciała, które kiedyś wyraźnie go krępowało. To była najwyraźniej sza zmiana.

Pod kurtką miał letnią tunikę, spod której wystawały nagie ramiona, jakby na przekór pogodzie. Na jednym przedramieniu miał skórzaną osłonę, którą żołnierze nakładali na rękę, a drugi nadgarstek przewiązał sztywnym, czarnym materiałem. Zdjął teraz osłonę, a następnie, posługując się mniej sprawną dłonią, rozplatał z trudem czarny materiał. Una przyglądała mu się w milczeniu. Już nie płakała. Wcześniej tylko raz widziała jego blizny.

Dama spojrzał na nie.

- Już się ich nie wstydzę. Pewnego dnia w ogóle przestanę zwracać uwagę, czy ktoś na nie patrzy.

Una pokręciła głową, nie wiedząc, co myśleć ani co powiedzieć. Cały czas była oszołomiona. Próbując trzymać się czegoś namacalnego i rzeczywistego, zapytała:

- Gdzie się podziewałeś?

- Trochę podróżowałem. Także poza Rzym. Germania... Galia...

- Byłeś w Rzymie?

- Na początku nie mogłem się zbytnio poruszać - powie-

dział. - Nie miałem pieniędzy. Z Tivoli najprościej było udać się do Rzymu.

- Ale ja byłam często w Rzymie, a Sulien siedział tu cały czas.

Dama odwrócił niechętnie wzrok.

- Słuchaj. Nic na to nie poradzę. Nie chciałem mieć nic wspólnego z Nowiuszem i oglądać was razem. Powiedziałem, że odejdę, i tak zrobiłem. Teraz jestem. Jeśli chcesz, to mogę sobie pójść.

- Nie - sprzeciwiła się.

- Przykro mi - zapewnił ją, a w jego oczach można było wyczytać współczucie. Wskazał z odrazą głową w stronę okna i wpadających przez nie odgłosów świętowania. - To... dzisiaj...

Una spróbowała uśmiechnąć się i machnęła ręką, jakby wymazywała to z tablicy. Dama nie powiedział: „A nie mówiłem?” i Una wolała się upewnić, że tego nie zrobi. Nie chciała słyszeć, jak wymawia imię Marka.

- Nie - zgodził się, w lot pojmując jej intencje. - Masz rację. Tak czy inaczej musiałem przyjechać. - Podeszedł do niej z zatroskaną miną. - Usiądź, proszę. Wyglądasz, jakbyś nic nie miała w ustach.

Znalazł w kuchni chleb i jajka. Una wciąż nie miała apetytu i Dama, który przyniósł talerz zjedzeniem, nie nalegał, żeby jadła. Nie skończyła niewielkiego posiłku, ale poczuła, że wracają jej siły. Odeszła ją w końcu senność.

- Co porabiałeś przez ten czas? - spytała. - Z czego żyłeś?

Dama uśmiechnął się do niej czule.

- Kradłem - odparł. - Przynajmniej na początku. Oni by to nazwali kradzieżą, ale w porównaniu z tym, co są nam winni, to bardzo niewiele.

Według prawa Una była wolna, a Dama nie. Poczowała dziwną ulgę, że zaliczył ją do grona niewolników i wrogów Rzymu.

- Całkiem nieźle mi szło - ciągnął. - Próbowałem znaleźć jakąś pracę, ale nie nadaję się do żadnej roboty. Nie mogę konkurować z niewolnikami ani z nikim, kto ma dwie zdrowe ręce. - Spojrzał na swoje blizny. - Nie mogę też pokazywać się za bardzo wśród ludzi, którzy potrafią dostrzec, jak bardzo te blizny pasują do krzyża.

- Zniesiono już karę ukrzyżowania - mruknęła Una, pamiętając, jak siedziała obok Marka w pałacu, kiedy oznajmił to senatorom.

Dama niechętnie skinął głową.

- Tak. Muszę przyznać, że tu się wykazał.

Una przypomniała sobie Holzartę: domki schowane wśród ścian wąwozu, kładki nad strumieniem i skomplikowany system alarmów i kamer. Dama to wszystko zaprojektował.

- Powinieneś być architektem - powiedziała. - Albo inżynierem. - Zastanawiała się, w czym jeszcze byłby dobry.

Dama wyglądał na lekko zdziwionego. Przez chwilę siedział w milczeniu, wyobrażając sobie życie, które nie było mu pisane.

- Może masz rację. Może kiedyś coś zbuduję.

- A teraz w dalszym ciągu żyjesz z kradzieży? - spytała ostrożnie Una, ponieważ perspektywa wydawała jej się przygnębiająca.

Dama uśmiechnął się i nagle jego twarz wydała się jakby odmieniona, niewinna.

- Nie. Okradanie Rzymian nie jest problemem, ale życie z odpadków, bez żadnego celu, taka szara egzystencja, żeby tyl-

ko przetrwać, to zwykły grzech. Nie mógłbym tak żyć. - Spojrzała jej w oczy i miała wrażenie, że trafiła ją niebieska strzała. - Ty też tak nie potrafisz, prawda?

- Nie - wyszeptała Una.

Dama skinął z zadowoleniem głową i wstał.

- Jesteś gotowa pojechać gdzieś ze mną?

Dama zaparkował stary, zdezelowany samochód kilka przecznic od jej domu. Nad ich głowami przeleciała raca, ale hałas i śmiechy nie przeszkadzały już Unie. Stały się częścią tła, na które nie zwracała uwagi.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? - spytała.

- Mam przyjaciela, który popytał w klinice i dowiedział się, że pracujesz w Watykanie. Wiem, że wygląda to trochę złowieszczo, ale nie mogłem tego inaczej załatwić.

- Wiesz o klinice?

- Wszyscy wiedzą o klinice. - W jego głosie słychać było dumę. - Cieszę się, że Sulien tam pracuje. Świetnie się do tego nadaje.

- Dasz sobie radę? - spytała, kiedy usiadł za kierownicą. - Prowadzenie musi sprawiać ci ból.

- Daję sobie radę, jeśli muszę. Zresztą jest dużo lepiej niż kiedyś. Moje mięśnie są silniejsze.

- Nie chcę siedzieć obok ciebie, wiedząc, że cierpisz.

- No cóż, potrafisz prowadzić? Tylko serio, bo nie zamierzam znowu ryzykować życia, kiedy się będziesz uczyła.

Gdyby ktoś inny przypomniał jej o podróży do Rzymu, kiedy miała nadzieję uratować Marka, poczułaby ból. Jednak słysząc to z ust Damy, niemal się roześmiała.

- Nie, nie nauczyłam się - przyznała szczerze.

- No to będzie pierwsza rzecz, do której się zabierzesz - powiedział Dama.

*

Jechali na północny wschód trasą, którą kiedyś przybyli do Rzymu. Wyjeżdżając z miasta Drogą Salaryjską, nie musieli już mijać krzyży. Rzym znikał za nimi i Una czuła się, jakby spadł jej ciężar z piersi. W stolicy często miała wrażenie, że żadna droga nie prowadzi poza miasto, że nie można wyrwać się gdzieś, gdzie nie ma Rzymu. Kiedy samochód skręcił w wyboistą boczną drogę trzydzieści mil dalej, ze zdziwieniem spostrzegła, że zdrzemnęła się trochę.

- To tutaj - powiedział Dama.

Droga prowadziła w dół przez małe poletka ku sercu niewielkiej kotliny. Wyglądało, że zbliżają się do grupy wiejskich budynków otoczonych drutem kolczastym. W ciemności miejsce to sprawiało nieprzystępne wrażenie. Kiedy podjechali do bramy, Una dojrzała znak: UWAGA! ZŁE PSY!

Dama roześmiał się.

- Psy są urojone, jak na razie.

Za ogrodzeniem zebrała się spora grupka ludzi, którzy najwyraźniej spodziewali się przyjazdu Damy.

Dama zahamował i odwrócił się do Uny.

- Wierzyłaś, że Nowiusz zlikwiduje niewolnictwo, prawda? - Jego ton był formalny.

Una zeszytniała. Poczowała rozczarowanie i wołała zachować ostrożność.

- Damą, nie powinniśmy o nim rozmawiać.

- Powiedz mi, czemu tego nie zrobił? - nalegał Dama.

- Zrobi - odparła znużonym głosem. Zaczynała żałować, że tu przyjechała. - Nie może tego zrobić, kiedy jest niepewna sytuacja z Nionią. Poza tym nie ma pełnej władzy. Zrobi to, kiedy wstąpi na tron.

- Czyli zniesienie niewolnictwa nie jest mu teraz na rękę - podsumował Dama. Una westchnęła, ale nic nie odpowiedziała. - Dobrze - rzekł cieplejszym tonem. - Może to i prawda. Ale ludzie umierają teraz. Teraz są okaleczani, gwałceni i mordowani. Każdego dnia. Wiesz o tym.

- Tak, wiem - odparła Una, czując, że wcale nie musi bronić Marka. Ogarnęło ją dziwne podniecenie, jakby czegoś się spodziewała.

- Ale nie ci - powiedział Dama. Wsiadł z samochodu i poprowadził ją ku niskiemu budynkowi z betonu, z którego zaczęli wychodzić kolejni ludzie. Byli tu sami dorośli, bez dzieci i starców. Na widok Damy ich oczy błyszczały z uczucia. To była miłość - wszyscy go kochali. Dama podniósł zdrową rękę w geście powitania.

- W Holzarcie czekaliśmy na uciekinierów. Niewielu do nas docierało, ale i tak było to lepsze niż siedzenie z założonymi rękami. Teraz ja ich szukam i pomagam uciec. Sami decydują, co chcą robić, choć większość zostaje ze mną. Już nie czekamy. Jesteśmy niewolnikami i to my musimy położyć kres niewolnictwu. Nawet jeśli będziemy musieli wyzwolić każdego z osobna. - Spojrzał na Unę. Nie dotknął jej, ale i tak czuła, jakby wziął jej twarz w swoje ręce.

- Powinnaś do nas dołączyć. Potrzebuję twojej pomocy.

*

- Pamiętam go. Jestem pewna, że go pamiętam - upierała się Lal w odpowiedzi na pełne powątpiewania spojrzenie Sulliena. - Nie nosi już tych długich rękawów jak kiedyś. Widziałam bliznę na jego ręku. Trzymał mnie na kolanach na tylnym siedzeniu i zapewniał, że wszystko będzie dobrze. To na pewno był on. Dama żyje.

Sulien wahał się przez chwilę i niespodziewanie roześmiał się głośno.

- W takim razie to świetna wiadomość. Ale czemu nie został z tobą? Musiał wiedzieć, jak się o niego martwiliśmy.

- Nie wiem. Może nie było to dla niego bezpieczne. Nie powinien tam być. Chyba rozumiem też, czemu nie chciał zobaczyć się z Uną.

Uśmiech znikł z ust Suliena, kiedy przypomniał sobie siostrę siedzącą w pustym mieszkaniu, samotną i niepokieszoną.

- Na pewno chciałyby dostać od niego jakąś wiadomość - rzekł, zastanawiając się, kiedy jej o tym powiedzieć. - Ciekawe, co robił w Sinie?

- Wszyscy uznaliśmy, że to będzie najbezpieczniejsze miejsce. Już wcześniej wysyłaliśmy tam ludzi.

- On tak łatwo nie dotarłby do Siny. Jeśli przeżył tamtą noc, to uciekł z pustymi rękami.

- Może nie mieszkał w Sinie przez cały czas. Inaczej znalazłby mojego ojca już wcześniej. Pewnie mieszkał w imperium, aż... nie wiem, coś poszło nie po jego myśli i musiał uciekać. Przypuszczalnie nas szukał. Mam nadzieję, że nic mu nie jest.

Przez chwilę Sulien doświadczył dziwnego wrażenia, że jest blisko czegoś ważnego, ale znikło ono, zanim zdążył je sprecyzować.

- Jak to zrobił? - zapytał cichym głosem. - Jeśli złapali cię ludzie Druzusa, to jak Damie udało się ciebie odbić?

- Ktoś musiał... - zaczęła Lal ochoczo, zanim jeszcze oślepiająca płatanina wspomnień wykryształizowała w coś realnego. Przerwała, przypominając sobie odgłos wybuchu, który wstrząsnął samochodem. Zaczęła ponownie, choć nie tak

pewnie. - Zaatakował samochód...

- Jak to zaatakował?

Lal poczuła rozgrzany asfalt na policzku i zobaczyła bajechnie kolorowy rozbłysk eksplozji.

- Był wybuch - mruknęła. - Nie, kilka wybuchów. Pierwszy nie był tak potężny. Miał tylko zatrzymać samochód. Wszyscy wyskoczyli z wozu, a mnie wyciągnięto z tylnego siedzenia i rzucono na ziemię. Leżałam tam i słyszałam, jak strzelają... do Damy. Do samochodu Damy. Później były silniejsze eksplozje, dużo potężniejsze. Liuyin ukrył się w rowie przy drodze, podbiegł i zaciągnął mnie w bezpieczne miejsce. Zobaczyłam Damę stojącego na drodze obok płonącego samochodu... wszystko wokół płonęło. - Spojrzała na Suliena i dokończyła: -Dama podłożył minę na drodze, a potem użył granatów, żeby odciągnąć żołnierzy i ich zabić. - Do jej pamięci przedarły się nagle wrzaski rannych i wyobraziła sobie wyraźnie, od czego Liuyin kazał jej odwrócić wzrok - płonących szczątków żołnierzy padających na asfalt. -Och... - szepnęła i schyliła się, kryjąc twarz w dłoniach.

Sulien, czytając w jej myślach, odezwał się nieugiętym tonem:

- Lepsze to, niż gdyby Druzus miał cię dostać w swoje ręce. Dzięki bogom, że Dama cię uratował.

- Wiem. Jak mu się odwdzięczę, jeśli go jeszcze kiedyś spotkam? Liuyinowi na pewno nie było łatwo. Tyle że to takie straszne, jak o tym myślę. Chciałabym wiedzieć, gdzie jest teraz Dama.

Siedzieli w milczeniu przez kilka minut. Podczas gdy Lal, uwolniona od wspomnień, zaczęła się rozluźniać, Sulien czuł, jak rośnie w nim dziwne napięcie. Wstał i trzymając się za nadgarstek, zaczął chodzić po pokoju.

- Też bym chciał wiedzieć - powiedział z uśmiechem ni to podziwu, ni to zakłopotania. - Coś takiego musiało wymagać sporo odwagi. Ja bym nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Nawet gdybym wiedział, skąd wziąć materiały wybuchowe, to nie potrafiłbym nic z nimi zrobić. Z tego, co mówisz, Dama umie posługiwać się nimi bardzo zręcznie. Jak się tego nauczył?

- Licho wie - odparła Lal. Poczowała znużenie, które niekiedy nachodziło ją od czasu choroby, i nie chciała już więcej wspominać tamtych okropnych chwil. Dopiero teraz spostrzegła, jak bardzo zasiedziała się u Suliena. Zaczęła się martwić, w jaki sposób teraz dostanie się do domu.

Sulien bezwiednie przesunął dłoń od nadgarstka do łokcia w miejscu, gdzie złamał rękę. Przypomniał sobie słup ognia unoszący się nad fabryką broni w Veii i Wariusza leżącego na ziemi. Jak okiem sięgnąć, otaczał ich ogień, odcinał wszystkie drogi ucieczki. Na głowy sypały im się iskry i odłamki. Tysiąc osób.

- O co chodzi? - spytała Lal, widząc, jak nagle Sulien zaczyna oddychać pospiesznie i robi się blady.

- Nic - odparł, jakby nie było nawet o czym wspominać. - Tak sobie tylko kojarzę, kiedy skończyły się pożary. - Uśmiechnął się blado. -A Tancorix twierdzi, że Edda żyje. Nie chciałem jej wierzyć.

- Kto to jest Edda i Tancorix?

- Edda była niewolnicą - odparł Sulien. W jego głosie kryła się wesołość. - Wszyscy byli niewolnikami. - Nagle się roześmiał. - Łóżka były puste! Musieli spać na zmiany. Prokulus i jego cholerni zwierzchnicy nie wyrzucaliby pieniędzy na łóżko dla każdego. Nie marnowałby miejsca na budynki, które stałyby puste pół doby. Widać to było po materacach. Ktoś

powinien na nich spać przez cały czas. Kiedy tam weszliśmy, były puste. Wszyscy uciekli!

- O czym ty mówisz? - zdziwiła się Lal.

- O barakach niewolników w Veii - wyjaśnił Sulien. - Byliśmy tam z Wariuszem, kiedy doszło do eksplozji. Myślałem, że buldożery przysypały zwłoki ziemią. Ale tam nikogo nie było. Tak samo jak Eddy nie było, kiedy płonął dom Mecilli. Założyłem, że Atroniusz pracował dla Druzusa. Nieprawda. Pracował dla Damy.

Lal patrzyła na niego niespokojnie. Sulien był blady i roztrzęsiony, wyglądał na tak bardzo przejętego koszmarną wizją, że nie miała pojęcia, jak zareagować.

Sulien przypomniał sobie podstęp, za pomocą którego zwabiono go do mieszkania w Suburze w dniu zamachu w Veii. Przypomniał sobie ucieczkę po schodach i strzelaninę i przez chwilę nie potrafił dostrzec związku, choć wiedział, że ten istnieje. Nagle podskoczył.

- Dama wiedział, że wybieram się do Veii. Od Bupe. Przywieźli ją z fabryki. Powiedziałem jej, że tam będę. Z pewnością wiedziała, co Dama zamierza. Atroniusz musiał ich przygotować na ten dzień. Biedactwo, detonator wybuchł jej prosto w twarz, kiedy była gotowa do ucieczki. Sama mi powiedziała, żebym tam nie jechał.

- Sulien, opanuj się - Lal odważyła się w końcu odezwać.

- Nie wiem, o czym mówisz. To nie ma sensu.

Sulien nie zwracał na nią uwagi.

- Pracownicy fabryki nigdy nie przejmowali się rannymi niewolnikami. Nawet nie wiedzieliśmy, kto przyniósł Bupe do kliniki. To musiał być jakiś człowiek Damy i Bupe pewnie miała jakiś sposób kontaktowania się z Damą. Nie mieli czasu, żeby zmienić plany, zaledwie kilka godzin, żeby mnie zatrzy-

mać.

Żadna z kul wystrzelonych na schodach nawet go nie drasnęła. Tych troje ludzi - kobieta, która powiedziała, że jest niewolnicą - wcale nie zamierzało go skrzywdzić. Mieli za zadanie przytrzymać go przez kilka godzin aż do zniszczenia fabryki i ucieczki niewolników, to wszystko. Mieli go chronić.

Zasłonił twarz dłońmi i westchnął.

- Dlaczego uważasz, że to robota Damy? - spytała ostrożnie Lal. - Myślisz, że wysadził fabrykę, ponieważ podłożył minę kilka miesięcy później, na innym kontynencie?

- Nie chodzi tylko o to - odparł z naciskiem Sulien. Wyjął z kieszeni portfel i wysypał jego zawartość na krzesło. - Jest coś więcej. Zabrał cię do Uny, bo wiedział, że przywiezie cię do mnie. Zawsze przysyłał do mnie wszystkich chorych i rannych. Na pewno powiedział innym ludziom, żeby też tak robili.

Znalazł skopiowane kartki i rozdzielił je ostrożnie niepewnymi palcami: zdjęcie młodego Atroniusza z rodzicami, kopia przedartego biletu tramwajowego z jego imieniem z tyłu. Sulien patrzył na chwiejne litery i cyfry. Sięgnął po pióro, które niechcący strącił na podłogę. Wziął je między mały i serdeczny palec, starając się trzymać kciuk i pozostałe palce sztywno, i spróbował napisać swoje imię. Litery wykrzywiały się i załamywały jak u dziecka, ale były czytelne.

- Co robisz? - zaintrygowała się Lal. Sulien podał jej kartkę papieru.

- Moje imię i numer kierunkowy kliniki.

Lal przyglądała się uważnie literom wyraźnie zdumiona.

- To jego pismo - przyznała cicho.

Sulien patrzył na nią pustym wzrokiem. Nagle usiadł na fotelu zupełnie wyczerpany.

- Ktoś go musi powstrzymać - rzekł głucho.

Lal aż poderwała się z miejsca z oburzenia.

- Co takiego? Dlaczego? Mówisz, że uratował setki niewolników, że ci wszyscy ludzie z fabryki przeżyli. Jeśli to prawda, to jestem z niego dumna! To najlepsze, co mógł zrobić. O co go podejrzewasz? Sam przyznaj, ile mu zawdzięczamy. Ocalił mi życie!

- Próbował też ocalić moje - przyznał osowiały Sulien. - Choć nie Wariusza. Podobnie jak nie pomyślał o ludziach, którzy mieszkali w pobliżu. Zginęło sześćdziesiąt osób. Tylko w Veii. Sam nie wiem, ilu ludzi zginęło w pożarach.

Lal jakby przygasała, widać było, że się waha.

- No tak - powiedziała w końcu. - Ale uratować tysiąc osób... i powstrzymać coś tak strasznego... czym to się aż tak różni od tego, co zrobił dla mnie? Sam powiedziałaś, że dobrze zrobił, chociaż zginęli wtedy ci żołnierze.

Sulien pokręcił głową.

- Nic nie rozumiesz. Wszyscy byli pewni, że to Nionia zaatakowała w Veii. Niemal nie odpowiedziano zbrojnie. To była fabryka broni. Jeśli Dama mógł oswobodzić tych ludzi, to pewnie zabrał także materiały wybuchowe. Czemu był w Sinie z całym naręczem granatów? Pożary nie ustały dlatego, że Druzus trafił do więzienia, ale z powodu rozmów pokojowych w Sinie, do której podążył Dama. Ocalił cię, bo twoich rodziców aresztowano z jego powodu. To Dama zabił Kato. Dama stara się rozpętać wojnę.

NIEWINNOŚĆ

Una spojrzała na poplamiony sufit i wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby na myśl, że nie tylko dla niej nastał poranek po ślubie Marka. Udało jej się mocno zasnąć i po obudzeniu czuła, że odzyskała zdolność jasnego myślenia, która jeszcze kilka godzin temu wydawała jej się nieosiągalna. Ubrała się szybko i wyszła z pokoju. Cała farma była zawałona łózkami i materacami, które leżały nawet w dawnych stajniach i oborach. Dla niej Dama przeznaczył osobną sypialnię na piętrze. Una wolałaby się obejść bez takiego luksusu, ale kiedy wpadła na korytarzu na jakąś kobietę, ta nie zdawała się żywić do niej urazy. Wręcz przeciwnie, złapała Unę za ręce i zawołała: - Tak się cieszę, że jesteś z nami!

Zauważyła Damę przechodzącego piętro niżej.

- Jak będziesz gotowa, to zejdź i zjedz ze mną śniadanie - powiedział. - Musimy porozmawiać.

Okno nad schodami wychodziło na dziedziniec. Una patrzyła z niedowierzaniem, ile osób mieszka na farmie. Z tego, co widziała, mogła wnioskować, że miejsce to funkcjonuje jako gospodarstwo rolne: jakaś kobieta ciągnęła w stronę stodoły wózek załadowany workami z czymś, co wyglądało jak karma dla drobiu. Obok domu kilku mężczyzn rąbało drewno. Jednak po drugiej stronie placu grupka ludzi ze skupionymi wyrazami twarzy grała w piłkę, rzucając ją do siebie. Dalej dostrzegła kilka osób trenujących jakąś dziwną sztukę walki.

W olbrzymiej starej kuchni na dole ludzie krążyli z jedzeniem, przepychając się wesoło i żartując. Una stanęła w progu, ale zanim zdążyła się przywitać, pojawił się obok niej Dama, który włożył jej w ręce talerz z chlebem i owocami. Wskazał pokój na końcu korytarza, który okazał się nie

większy od komórki. Wokół małego stolika stało kilka niedopasowanych krzeseł, do ściany umocowano powyginane półki, zupełnie puste, jeśli nie liczyć staromodnego typu daldictora na najniższej z nich. Pokój wyglądał obskurnie i klaustrofobicznie, dopóki nie wszedł do niego Dama.

Una celowo postanowiła zacząć pierwsza.

- Posłuchaj, zrobię wszystko, o co mnie prosisz, ale muszę wiedzieć, czy oczekujesz ode mnie...

Dama spojrział na nią i uśmiechnął się krzywo.

- Czegoś osobistego? - dokończył za nią. Siedział nieruchomo, z przymkniętymi powiekami i nieodgadniona miną. - Nie zmieniłem się - powiedział ciepłym tonem. - Ale nie, nie proszę cię o nic takiego. Chcę, żebyś dla mnie pracowała.

- Dobrze - odparła. Jakby w zadośćuczynieniu za wcześniejsze pytanie dodała szybko: - Mam pieniądze. W zasadzie to należą do ciebie. To nagroda za to... co zrobiliśmy w sanatorium.

- Świetnie, przydadzą się - powiedział zadowolony.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Oboje czuli się niezręcznie, ale nastrój szybko się zmienił. Chleb był bardzo smaczny i Una odkryła, że jest głodna. Dama bawił się jedzeniem i widać było, że brak mu pewności siebie. Pomyślała, że nie nawykł jadać w czyimś towarzystwie, choć sam ją zaprosił. Nigdy nie lubił, jak ktoś mu się przygląda, mimo że okaleczenia prawie w niczym mu już nie przeszkadzały.

- Jesteś tak blisko Rzymu - powiedziała z podziwem.

- Musimy być blisko ze względu na naszą pracę. Staramy się nie wychylać. Wszyscy w okolicy uważają, że to zwykła farma. Nawet produkujemy trochę jedzenia i zarabiamy na tym.

- Ilu ludzi tu mieszka? - spytała Una.

- Stu dziewięćdziesięciu sześciu - odparł szybko. - Wliczając nas dwoje. - Uśmiechnął się na widok jej zdumienia i ugryzł kawałek chleba. - To nie wszyscy. Większość to sami nowi. Tutaj uczą się wolności, zanim nauczą się innych przydatnych rzeczy.

- Więc ilu...?

- Ilu? - spytał podniecony Dama, ledwo mogąc usiedzieć na miejscu. - Tysiące. Miliony. Wiesz, że kiedyś istniał plan, żeby wszyscy niewolnicy w Rzymie nosili mundurki, tak by obywatele nie byli narażeni na pomyłkę? A wiesz, czemu ten plan upadł? Bo zdali sobie sprawę, że niewolnicy będą mogli się rozpoznać w tłumie i zobaczą, jak wielu ich jest i jacy są silni. Mogliby zobaczyć, że już są armią. Tylko tyle wystarczy, żeby ludzie dostrzegli się nawzajem.

- Jak chcesz to osiągnąć? - spytała Una niemal bez tchu.

Dama odchylił się na oparcie krzesła i uspokoił trochę, przechodząc do kwestii praktycznych.

- No cóż, każde zadanie jest inne. Małe miejsca są najłatwiejsze. Czasami ludzie nie są uwięzieni, raczej pozbawieni nadziei. Wystarczy kilka przeciętych drutów, zupełnie jak przy włamaniu.

- Domyślałam się, że chciałbyś, żebym ostrzegła cię, czy ktoś się zbliża i takie tam - zgadła Una.

Uśmiechnął się do niej.

- Na początku. Z czasem mogłabyś robić coś ważniejszego. Wiesz, że ludzie za tobą pójdą. Masz to w sobie. Dlatego zawsze chciałem, żebyś była tutaj.

Una wciąż jeszcze czuła się zbyt wyczerpana i bezużyteczna, by poczuć entuzjazm.

- No, nie wiem.

- Ale ja tak - zapewnił ją z całą mocą. Zamilkł na chwilę i

przyglądał jej się uważnie, jakby starał się ją ocenić. - Czasami przenikamy do jakiegoś miejsca przed akcją, wiesz, ktoś się poświęca i daje kupić jako niewolnik albo zatrudnia jako nadzorca. Wtedy możemy przygotować wszystkich i wydostać ich przed spalaniem budynku. W ten sposób ludzie są zajęci przygotowaniami, a jak zrobi się kilka dziur w odpowiednich miejscach czy przepiłuje parę belek, to cały budynek może zawalić się jak domek z kart. Wtedy mamy pewność, że nikt nie przyjdzie i nie będzie grzebał w zgliszczach.

Una patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. W lot zrozumiała, co ma na myśli.

- Te wszystkie pożary w ciągu lata to twoja robota?

- Kilka - przyznał. - Przy takiej pogodzie pożary są czymś naturalnym i łatwo wymykają się spod kontroli. Nie omieszkałiśmy tego wykorzystać.

Una się zawahała.

- Ale przecież muszą być ranni.

Dama patrzył na nią w milczeniu.

- Jeśli się uważa, to nikomu, kto na to nie zasłużył, nic się nie stanie.

Una zastanowiła się i zaakceptowała to. Nie dbała o tych, którzy ją wykorzystali, którzy zmarnowali piętnaście lat jej życia. Dama na chwilę uciekł w bok wzrokiem.

- Był jeden wyjątek. Naszą największą akcją była Cesarzowska Fabryka Broni w Veii. Posłałem tam swojego najlepszego człowieka i udało nam się wydostać tysiąc osób. Wiem, że Sullien tam był i został ranny.

Una zeszywniała, jakby odlano ją z betonu. Czowała, że mięśnie jej twarzy napinają się i twardnieją, tworząc maskę. Patrzyła na Damę nieruchomym wzrokiem.

- Dowiedzieliśmy się, że będzie w fabryce, zaledwie kilka

godzin przed zamachem. To był ostatni etap przygotowań i nie mieliśmy żadnego kontaktu z ludźmi wewnątrz. Nie da się zatrzymać tak dużej akcji w jednej chwili. Spróbowaliśmy odciągnąć go od tego miejsca i myślałem, że się udało. Dopiero po wybuchu dowiedziałem się, że wymknął się i pojechał do Veii. Byłem... wstrząśnięty, ale wiem, że to nic nie zmienia. Sulien tam był i mógł zginąć, choć, dzięki Bogu, nic mu się nie stało.

- Niewiele brakowało, żeby zginął - wyszeptała. - Byłam pewna, że tego nie przeżył.

- Przykro mi.

- Nie chodzi tylko o niego. Był tam także Wariusz. - Una przypomniała sobie, jak poszła do pokoju Wariusza podziękować mu za uratowanie życia bratu. Poczowała jego dłoń na swoim ramieniu. - Wyciągnął Suliena z ognia. To Wariusz zbudował klinikę. Nawet nie próbowałaś go ostrzec, a to dobry człowiek. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

- Znaczy - mruknął niechętnie Dama. - Ale nie mieliśmy czasu. Tylko tyle zdołaliśmy zrobić.

Una wstała, odpychając krzesło.

- Czy przyszedłbyś do mnie, gdybyś ich zabił? - zapytała z goryczą.

- Tak - potwierdził z całą mocą Dama. Nachylił się, a z jego głosu znikła cała skrucha i żal, nie dlatego, że jej nie czuł, ale jakby nie był to odpowiedni czas ani miejsce na sentymenty. - Powinnaś raczej siebie spytać, czy chciałabyś, żeby to cofnąć? Czy chciałabyś, żeby ta fabryka wciąż istniała? Jest z nami dziewczyna, która tam pracowała. Bupe ma tylko jedną rękę z czterema palcami i jedno oko. Pewien pracownik zmarł w klinice, bo miał spaloną całą skórę. - Dama aż trząś się, mówiąc to. Oczy wypełniły mu łzy wściekłości. - Czy wolała-

byś, żeby ta fabryka wciąż działała, aż kiedyś prawdziwy wypadek zabiłby ich wszystkich?

Una przesunęła dłońmi po twarzy ze złością.

- Nie.

- Oczywiście, że nie. A gdyby Sulien tam zginął? Czy wtedy zgodziłabyś się na wszystko, żeby go tylko odzyskać? Są tu z nami ludzie, którzy tam pracowali, ryzykując każdego dnia życie. Gdybyś mogła cofnąć czas, gdybyś miała taką moc, to posłałabyś ich z powrotem do tego koszmaru?

Una poczuła, jak opadają jej ramiona, nie tylko w geście porażki, ale także dziwnej ulgi.

- Nie.

- Nie - zawtórował jej Dama. Nagle jakby bijące od niego światło władzy przygasło i Dama znowu wyglądał na młodego i niewinnego chłopca. - Dlatego przyszedłbym cię prosić o pomoc, nawet gdyby Sulien i Wariusz zginęli tamtego dnia, a ja musiałbym ci to wytłumaczyć. Nieważne, że nie potrafiłabyś mi wybaczyć, bo są ludzie, którym możesz pomóc, i nie potrafiłabyś odmówić im tej pomocy. - Uśmiechnął się i zamrugał kilka razy, żeby pozbyć się łez lśniących w kącikach oczu. - Więc jak? Jesteś z nami?

Wyciągnął dłoń, prawą, tę mniej sprawną. Una wzięła głęboki oddech i uściśnęła ją.

- Tak - potwierdziła.

Dama uśmiechnął się szeroko, ale Una wyrwała nagle dłoń.

- Chcę porozmawiać z Sulienem. Muszę z nim porozmawiać.

Dama przez chwilę milczał. Przesunął się na krześle jakby znużony.

- Jasne - zgodził się. - Wolałbym jednak, żebyś nie wyja-

wiała mu, gdzie się znajdujemy.

Una się roześmiała.

- Poza tym, że jesteśmy gdzieś blisko Rzymu, to sama nie mam pojęcia, gdzie się znajduję. Spałam przez całą drogę.

- Powiedz mu tylko, że jesteś ze mną. Nie wspominaj nic o tym miejscu. Nie chodzi o to, że mu nie ufam, ale... sama wiesz, takich rzeczy nie omawia się przez daldictor.

- Oczywiście.

Podsunał jej daldictor i odstąpił o krok, ale nie wyszedł z pokoju. Sulien odebrał po pierwszym dzwonku. Ledwie otworzyła usta, żeby się przywitać, kiedy wybuchnął niemal histerycznie: - Gdzie jesteś?! Co się z tobą dzieje?! Dzwoniliśmy do ciebie przez całą noc.

- Przepraszam - mruknęła zaskoczona. - Nic mi nie jest. Słuchaj... jestem z Damą. - W słuchawce zapadła martwa cisza, której Una się spodziewała. Kiedy przeciągała się zbyt długo, powtórzyła, jakby Sulien mógł nie usłyszeć: - Jestem z Damą. On żyje.

- Wiem - powiedział Sulien groźnym tonem. - Wracaj. Masz wrócić jak naj szybciej.

- Co? Skąd wiesz?

- Nie wiesz, do czego on zmierza.

- Powiedział mi - odparła Una, zdumiona i wytrącona z równowagi tym, że Sulien wie cokolwiek o Damie.

- Tak? Powiedział ci, czego chce? Czemu to robi? Powiedział ci o Veii? - Una nie miała czasu odpowiedzieć. - A o Kato? Una, on dąży do wojny. Chce zniszczyć wszystko, nad czym pracowałaś z Markiem. Jeśli nie chcesz tego samego, to musisz uciekać od niego. Dama jest niebezpieczny.

Una bezwiednie obróciła się w stronę Damy, który otworzył drzwi, ale zatrzymał się w progu i patrzył na nią. Ich

spojrzenia spotkały się na chwilę i Una szybko uciekła wzrokiem.

- To niemożliwe - powiedziała do słuchawki. - Nie wierzę w to.

- Una! - zawołał z rozpaczą Sulien. - Komu bardziej ufasz, mnie czy jemu?

- Och, daj spokój - odparła niepewnie. Sulien jednak milczał, czekając na odpowiedź. - Tobie. Oczywiście, że tobie - zapewniła go niecierpliwie.

- Więc posłuchaj mnie i uciekaj stamtąd. Powiem ci wszystko, jak się zobaczymy. - Nagle jego głos się zmienił. - Czy on jest w tej chwili przy tobie?

- Tak.

- Może mnie słyszeć?

- Nie.

Sulien zamilkł i Una niemal słyszała, jak myśli w pośpiechu. Zaczęła zastanawiać się, co powiedziała i co z tego dotarło do Damy.

- Możesz mi powiedzieć, gdzie jesteś? - spytał ostrożnie Sulien.

- Nie bardzo - odparła, starając się nadać swojemu głosowi niedbały ton. - Sama nie wiem.

- Dobra, postaraj się zachowywać, jakby nic się nie stało, i spróbuj wyrwać się stamtąd. - Szybko dodał niczym dodatkowe ostrzeżenie: - Kocham cię.

- Ja ciebie też - rzekła, dając znak, że zrozumiała.

Powoli zdjęła opaskę z głowy. Odwróciła się do Damy, który stał i czekał, aż skończy.

- Co powiedział? - spytał cicho.

- Och - odparła Una. - Nic. Po prostu martwił się, że tak nagle znikłam, zwłaszcza po wczorajszym dniu. Dzwonił do

mnie do domu i kiedy mnie nie zastał, przestraszył się, że coś się stało. Chce mnie zobaczyć.

Dama z irytacją zamrugła powiekami.

- Powiedziałaś: „To niemożliwe”. Co ci rzekł, że nie mogłaś w to uwierzyć?

Szybko, wymyśl coś, ponagliła się Una. Zawsze była w tym dobra, zawsze potrafiła grać. Czując teraz na sobie wzrok Damy, miała pustkę w głowie. Niemal spanikowała, słysząc, jak się jąka.

- Powiedział, że śniłeś mu się. Zeszłej nocy śniło mu się, że wrócisz - zdołała wybąkać w końcu.

Czuła, że nieudolnie kłamie. Na twarzy Damy pojawił się grymas, jakby nie przyjmował tego do wiadomości. Podszedł do niej bliżej.

- A ty odparłaś: „Skąd wiesz?” - Wciąż mówił cicho. - Nie bałaś się przed rozmową z Sulienem. Czego boisz się teraz?

Una uśmiechnęła się. Zawsze potrafiła uśmiechać się przekonująco.

- Po prostu... głupio mi, że wystraszyłam brata. To wszystko. Dama westchnął.

- Una - powiedział delikatnie, zbliżając się jeszcze bardziej.

Patrzyli na siebie w milczeniu, czując, jak atmosfera robi się coraz bardziej nie do zniesienia. Una wiedziała, że nie ma nad nim żadnej przewagi. Oboje usiłowali czytać w swoich myślach i oboje przeciwstawiali się tym próbom.

- Dama, nie próbujesz chyba wywołać wojny? - szepnęła w końcu, nie umiając zapanować nad sobą.

Dama uspokoił się w jakiś dziwny sposób. Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. Nie tak chciał to załatwić, ale skoro musiał, trudno.

- Czemu nie? - spytał prawie beztrąsko.

Una z trudem powstrzymała się od nerwowego śmiechu.

- Dlaczego to takie trudne do zaakceptowania? - zapytał.

- Wypuść mnie - powiedziała Una i ruszyła w stronę drzwi. Wiedziała, że jej nie puści, a mimo to nie mogła w to uwierzyć. Dama także wzdrygnął się na myśl, co musi zrobić. Na jego twarzy, kiedy szybko zastąpił jej drogę, widać było żal.

- Proszę, nie.

- Dlaczego? - spytała Una. Nie próbowała go odepchnąć, jeszcze nie. - Dlaczego byś to zrobił?

- Bo nie ma gdzie uciekać - wyjaśnił Dama. - Świat jest tak urządony, że nie ma dokąd uciec. Udaje nam się uwolnić ludzi, ale to nie jest prawdziwa wolność. Nawet jeśli znajdziemy jakąś dziurę i uda nam się jakoś przetrwać, to wciąż jesteśmy niewolnikami. Cesarstwo Rzymskie włada połową świata, a my nie mamy gdzie się podziać. Wszędzie jest tak samo, wiem to teraz. Kiedyś wyobrażałem sobie takie idealne miejsce, które musi gdzieś istnieć, nawet jeśli nie potrafię go znaleźć. Ale nic takiego nie ma; jeszcze nie. Byłaś w Sinie, tak samo jak ja. Wiesz także, jak jest w Nionii. Wszędzie jest taka sama tyrania, zepsucie i zło. To są plagi. Trzeba to wszystko zniszczyć i zburzyć. Dlatego potrzebna jest wojna. Mocarstwa wykrwawiają się na śmierć, a wtedy my je zburzymy i wybudujemy coś lepszego w ich miejsce.

- A ty staniesz na czele?! - wrzasnęła Una, wściekła na niego i na samą siebie.

Dama zareagował, jakby wymierzyła mu policzek.

- Ja się nie liczę - odparł zimno. - W zasadzie nic nie znaczę.

Una nie mogła uwierzyć, że Dama rozumie i akceptuje wszystkie konsekwencje.

- Dama, zginie tylu ludzi - powiedziała błagalnym tonem.
- Miliony. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić ilu. To właśnie oznacza wojna. Nawet nie wiesz, czy zostanie cokolwiek, co da się odbudować.

- Przed chwilą nie przeszkadzało ci, że kilka osób może zginąć w słusznej sprawie. - W głosie Damy zabrzmiała wzgarda. - Ilu nie możesz zaakceptować? Gdzie leży granica?

Miała wrażenie, że wszystko zależy od tej odpowiedzi, mimo że niczego nie mogła zmienić.

- Nie wiem - odparła w końcu. - Ale wiem, że jest taka granica. A ty?

Dama skrzywił się wyraźnie zawiedziony. Milczał.

- Wiedziałaś, jak na to zareaguję - ciągnęła z coraz większym przekonaniem. - Inaczej powiedziałabyś mi wszystko, jak tylko przyszedłeś do mnie. Tak bardzo jesteś dumny ze swoich planów, że próbowałaś to ukryć przede mną?

- Myślałem, że potrzebujesz czasu... żeby zrozumieć.

- Co chciałaś zrobić? Co ja miałam zrobić, zanim byłbyś gotów mi powiedzieć? Miałam najpierw zabić. Prawda? Powiedziałabyś mi, kiedy byłoby już za późno, żebyśmy się mogła wycofać. Pewnie ze wszystkimi tak postąpiłaś. Marek i ja poświęciliśmy za wiele, żeby temu zapobiec. Nigdy bym się na to nie zgodziła.

Dama odwrócił wzrok.

- Zawsze Marek - mruknął niechętnie.

Una chciała się poddać, ale zamiast tego złapała go za rękę i prawie krzyczała, nie chcąc go stracić.

- Dama. To jest złe. To jest samo złe. Nie masz prawa. Musisz przestać. Jesteś więcej warty, musisz być więcej warty. Co ci się stało?

Dama wyrwał jej się i rozpostarł rękę, naśladując

ukrzyżowanie. Tutaj, wśród ludzi, którzy go kochali, nie nosił długich rękawów. Okrągłe blizny patrzyły na nią jak oczy. W jego głosie brzmiało cierpienie, którego nigdy nie słyszała.

- Wiesz, co mi się stało!

W pokoju zapadła cisza. Oboje opuścili ręce, jakby byli własnym odbiciem.

- Idę - powiedziała Una. Dama uśmiechnął się smutno.

- Nie możesz. Wiesz, że nie możesz.

- Nie zostanę tutaj. - Spróbowała dostać się do drzwi, ale Dama zaparł się o nie plecami. Był silniejszy niż dawniej, ale oboje nie wykorzystywali całej swojej siły, żeby nie zranić się nawzajem. W końcu jednak Una zaczęła napierać na niego i odsuwać go z determinacją i Dama odepchnął ją ramieniem.

- Una - poprosił delikatnie, przytrzymując ją w objęciach. - Mam dwieście osób, które zrobią wszystko, co im powiem.

- Więc im powiedz - syknęła Una. Była zwinniejsza od niego. Wyśliznęła się z jego objęć i wybiegła przez drzwi na korytarz, a stamtąd na dziedziniec, wprost w tłum ludzi.

- Słuchajcie! - zawołała najgłośniej, jak potrafiła. Obróciła się, patrząc im w oczy. - Czy przybyliście tu, żeby ratować innych, czy żeby mordować? Wasz przywódca dąży do wojny, najgorszej, jaką znał świat. Czy chcecie brać w tym udział?

Zobaczyła kątem oka, jak Dama wychodzi na próg. Wyglądał na tak nieszczęśliwego i cierpiącego, że aż zdziwiła się, że nikt inny tego nie dostrzega. Kiedy umilkła, Dama odezwał się, nie podnosząc głosu: - Zepsucie, które powoduje Rzym, jest bardziej podstępne, niż mogłem sądzić. Uległ mu nawet ktoś, komu tak bardzo ufałem. Ona nas zdradzi. Nie możemy jej wypuścić.

Niewolnicy odwrócili się w jej stronę z taką nienawiścią,

że przez chwilę bała się, iż rozerwą ją na strzępy.

DZIAŁANIA WOJENNE

Dama kazał im zaprowadzić Unę do pokoju, w którym spędziła noc. Nie było to idealne wyjście, ale nic nie było idealne w tej sytuacji. W drzwiach brakowało zamka i musieli przenieść go z innych drzwi. Przez następnych kilka godzin trzymali ją w zamknięciu. Później będą musieli przenieść ją w jakieś miejsce, gdzie nikt jej nie skrzywdzi ani nie będzie słucał. Dama liczył, że umieszczając ją obok swojego pokoju, podkreśli zakaz zbliżania się do niej. Una będzie potrzebowała trochę rzeczy, jeśli miał jej zapewnić przynajmniej odrobinę komfortu. Będzie musiał kogoś po nie posłać. Dama kazał zamknąć okiennice w pokoju. Były solidne i nie podejrzewał, że Una je sforsuje. Na wszelki wypadek postawił dwóch rekrutów pod oknem. Wiedział, że Una łatwo się nie podda.

Nie miał teraz czasu na zastanawianie się nad tym, co się stało i co będzie dalej. Szybko wrócił do daldictora.

- Mazatl - powiedział. - Jak szybko można dostać się do Transtiberiny?

Mazatl nie zadawał zbędnych pytań.

- W pół godziny.

- Chcę, żebyś pojechał do mieszkania w pobliżu Janikulum...

- Sulien? - uciął Mazatl.

Dama westchnął, czując, jak chrapliwy jest jego oddech. Przeszły go dreszcze, a ból przesuwiał się wzdłuż ramion i nóg. Mazatl dobrze wiedział, kim jest Sulien. Od lat wiedział, kim jest, a od czasu Veii wiedział także, gdzie mieszka.

- Tak. Musisz go tu przywieźć. Nie odda się dobrowolnie w wasze ręce. Możliwe, że będzie z nim dziewczyna. Ją też przywieź. Dobierz sobie odpowiednio duży zespół, żeby się z

tym uporać, ale nie za duży, żeby nie zwracać na siebie uwagi i żeby was nie zapamiętano. Niech to będzie czysta robota.

Z piętra doszło go głucho walenie, zadziwiająco głośne nawet tu na dole. Jak udało jej się narobić tyle hałasu? Nie mogła się jednak wydostać; ten łomot był tego najlepszym dowodem. Dama starał się nie zwracać na niego uwagi.

W słuchawce zapadła cisza. Dama wyczuwał zmieszanie Mazatla.

- Więc... nie przyłączy się do nas?

- Nie. Jest dla nas zagrożeniem. Nie chcę jednak, żeby coś mu się stało. Nie ma teraz czasu na tłumaczenie, musisz się tym natychmiast zająć. Nie powinieneś mieć żadnych kłopotów z dostaniem się do budynku. Wejdz na górę i zastukaj do jego drzwi. Niech twoi ludzie zwiążą ich na górze, a następnie sprowadzą pojedynczo na dół pod broń. Jeśli nie będzie chciał otworzyć drzwi, powiedz, że jesteście wigilami i znaleźliście jego siostrę.

Na farmie był mały garaż, pełen starych gratów, z którego nigdy nie korzystali. Był jednak solidnie zbudowany, z jednym wejściem i bez okien. Pod domem znajdowała się piwniczka, którą mógł szybko opróżnić, gdyby potrzebował jeszcze jednego więzienia. Dama kazał uprzętnąć garaż. Będzie musiał jakoś zainstalować tu światło, bo ciarki go przechodziły na myśl, że można by siedzieć w całkowitych ciemnościach. Patrzył, jak garaż zmienia się w więzienie, w miarę jak jego ludzie wnoszą stare narzędzia i przegniłe meble, i czuł, że zaciskają mu się pięści z nienawiści do Marka Nowiusza. Kto był winny temu wszystkiemu? Kto ją nabuntował przeciw niemu, przeciw temu, kim miała zostać? Una znajdowała się daleko, ale miał wrażenie, że i tu dobiega go walenie w drzwi.

Zaczął pomagać przy sprzątnięciu garażu, zbierając narę-

cza gratów, niemal czując przyjemność z bólu, jaki mu to sprawiało. Jakaś część jego spodziewała się telefonu od Mazatla z wiadomością, że plan się nie powiódł, że Sulien i Lal wyuczuli, co się święci, i uciekli, że wezwali wigilów. Mijały minuty bez żadnej wiadomości i teraz zaczął podejrzewać, że Mazatl nie przyjedzie, że został aresztowany.

W pewnej chwili dobiegł go warkot silnika samochodu. Ludzie zaczęli zbierać się przy bramie, żeby zobaczyć, kto jedzie.

- Wracajcie do roboty - poprosił. Nie musiał wydawać rozkazów. Wszyscy byli mu dozwonnie wdzięczni i nawykli do słuchania poleceń. Wierzył mocno, że chce ich oduczyć tego nawyku, wolałby, żeby sami decydowali o swojej lojalności, ale na razie przyzwyczajenie okazywało się przydatne.

Furgonetka podjechała do garażu i zatrzymała się. Kiedy Mazatl i pozostali wysiedli z wozu, ze środka dobiegł łoskot, jakby ktoś walnął z całej siły w ścianę.

- Dama! - usłyszeli ryk Suliena ochrypłego z wściekłości.

- Był sam? - spytał Dama.

- Nie, przywieźliśmy też dziewczynę, jak kazałeś.

Dama oparł czoło o bok samochodu w miejscu, gdzie usłyszał uderzenie. Nie musiał ich oglądać. Mógł po prostu kazać ich zamknąć. Podszedł do tylnych drzwi.

- Wyprowadźcie ich.

Mieli ręce związane z tyłu. Sulien musiał wyrznąć barkiem w blachę, a nie ręką. Mazatl postąpił rozsądnie, krępując ich, to było słuszne, ale Damę przeszedł dreszcz na widok więźów. W ostrym świetle oboje wyglądali na przestraszonych: siedzieli obok siebie, a na ich twarzach, bladych, z nie-naturalnie wielkimi oczami, malowały się lęk i pogarda. Lal płakała. Sulien, który niegdyś pomógł mu odzyskać siły i który

cofnął ból, był wściekły. Dama jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie. Wcześniej zawsze miał w sobie jakąś delikatność i łagodność, co było jednym z powodów, dla których Dama nie dostrzegła w nim sojusznika. Jednak teraz, na widok Damy, aż zaczerwienił się ze złości.

- Co dalej?! - wrzasnął. - Zabijesz nas?

Mazatl, który stał za Sulienem i Lal, spojrzał ostro na Damę. Ten jednak nie odwzajemnił spojrzenia.

- Nie zrobiłbyś tego. - Lal się rozplakała.

- Nie - zaprzeczył Dama - oczywiście, że was nie zabiję.

Lal rzuciła się w jego stronę.

- Dama, jak możesz?

Wyglądała, jakby nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Sulien, który widział, jak Dama zabija, nie był aż tak zdumiony. Gdzieś w głębi umysłu wiedział, że Dama byłby do tego zdolny.

- Co to znaczy „oczywiście”? Myślisz, że uwierzymy choćby w jedno twoje słowo? Co zrobiłeś z Uną?

- Nic jej nie jest - odparł krótko Dama.

- To gdzie jest? Chcę ją zobaczyć.

- Przykro mi, ale nie mogę ryzykować.

Sulien szarpnął się, jakby pomimo więzów i ludzi wokół mógł go jakoś dosięgnąć. Ledwo czuł, że jest powstrzymywany przez ludzi Damy, tak go zaślepiła odraza. Dama stał spokojnie i przyglądał mu się ze smutkiem w oczach.

- Ty draniu. Ty niewdzięczny gnoju... Jak śmiesz? Spójrz na swoje ręce. Kto ci je dał? Kiedy cię spotkałem, nie mogłeś ich nawet podnieść. Ja ci pomogłem. Ojciec Lal uratował ci życie. Jak śmiesz tak się odpłacać?

- Nie zapomniałem o tym - powiedział cicho Dama, odwracając wzrok. - Przykro mi, że muszę to zrobić, ale nie mogę

ryzykować bezpieczeństwa nas wszystkich. Nie mogę pozwolić, żebyś zniszczył wszystko, na co pracowaliśmy. Chciałbym, żebyś to rozumiał, ale wątpię, czy potrafisz.

- Zrozumiał?! - zawołał Sulien uradowany, że Dama zaczyna tracić nerwy. Wolał to niż jego pełną smutku cierpliwość. - Nie dbam o to, dlaczego to robisz!

- Nie dbasz? Musisz! Musisz dbać!

- Chcesz zacząć wojnę, ty morderco.

- Kiedy zabiłem tego człowieka w sanatorium, żeby ocalić ci życie, to nie było zabójstwo. Teraz też nie jest.

- Ale to są niewinni ludzie - sprzeciwił się Sulien.

- Niewinni!? - krzyknął Dama. - Ludzie, którzy uważają, że mogą posiadać na własność innego człowieka, jeśli tylko ich na to stać? Ludzie, którzy mieszkają obok czegoś równie hańbiącego jak ta fabryka i nic nie robią? Niewinni? Nawet jeśli są, to co z niewinnymi ludźmi, których kupuje się, sprzedaje i zadreńcza na śmierć? A może dbasz tylko o Rzymian, odkąd stałeś się jednym z nich?

Sulien zamrugał tak zdumiony, że nie potrafił znaleźć słów.

- Nigdy tego nie powiedziałem - sprzeciwił się. - Dama, w imię bogów, jak możesz nawet tak myśleć?

- Jest tylko jeden Bóg - powiedział ze złością Dama.

Wszyscy zamilkli.

Dama obrócił się do swoich ludzi.

- Zaprowadźcie go do garażu, a ją do piwnicy.

- Co?! - zawołała Lal, przysuwając się instynktownie do Suliena. - Dama! Przynajmniej nas nie rozdzielaj.

- Nie możesz - dodał szybko Sulien. - Lal jest chora.

Dama, który utkwiał wzrok gdzieś w przestrzeni za nimi, powiedział znużonym tonem:

- Sulien, wiem, że była chora. Wiem, kiedy przyjechała do Rzymu. Od dwóch miesięcy jest zdrowa.

- Dwukrotnie miała nawrót choroby - oznajmił Sulien.

- No cóż, wszystko w swoim czasie - mruknął Dama, odwracając się.

Jego ludzie rozdzielili Suliena i Lal siłą, ale zanim odciągnięto ich od siebie, spojrzeli na siebie, jakby dawali sobie znak lampą w ciemną noc.

Sulien nawet nie patrzył, dokąd go prowadzą. Popatrywał zafascynowany na mężczyznę idącego obok.

- Nazywasz się Atroniusz, mam rację?

Atroniusz uśmiechnął się lekko.

- To rzymskie imię, które narzucono kiedyś mojej rodzinie. Jestem z plemienia Majów i nazywam się Mazatl.

- Więc co masz wspólnego z Druzusem? - spytał Sulien, nieopatrznie ciekawy. - Co robiłeś w Bizancjum?

Mazatl zatrzymał się i złapał Suliena za ramię.

- Co jeszcze o mnie wiesz?

Sulien uśmiechnął się nieprzychylnie.

- Wiesz, kim jestem i gdzie mieszkam. Porwałeś mnie z domu. Nie zadawaj więc takich pytań.

Mazatl patrzył na niego wrogo i podejrzliwie.

- Nic mnie nie łączy z Druzusem. Ma wielu niewolników i powszechnie wiadomo, że nie traktuje ich dobrze. Po prostu zakłady zbrojeniowe były jednym z naszych celów.

Sulien z trudem powstrzymał śmiech.

- Chcieliście go zabić? A zamiast tego zaatakowaliście Veii? - Mazatl nic nie odpowiedział. - Przecież nigdy nie byłeś niewolnikiem? - dopytywał się dalej Sulien.

Mazatl popchnął go mocno, gdy jeden z jego ludzi otworzył solidne drzwi garażu.

- Cały mój kraj został zniewolony.

*

Stęchłe powietrze było przesiąknięte zapachem sadzy. Widać było, że Dama pospiesznie przystosowywał piwniczkę do zamieszkania. Znajdowały się tam: materac, kilka koców, wiadro, duży dzban z wodą, stara, wyblakła sukienka na zmianę, a nawet parę książek. Lal krążyła po małym pomieszczeniu, czasami słysząc własne łkanie, jakby pochodziło od innej osoby. Pomysł, na który wpadli z Sulienem, kiedy ich rozdzielano, teraz nie wydawał jej się taki dobry. Czy nie będzie zbyt oczywiste, co chce zrobić? Z pewnością tak, jeśli zacznie działać od razu. Więc jak długo powinna czekać? Potrzeba uwolnienia się była wprawdzie instynktowna, ale należało również przekazać informacje o zamiarach Damy i jego miejscu pobytu. Znowu rozpłakała się na myśl o utracie Damy, którego znała, odkąd skończyła dziesięć lat. Nie, nie wytrzyma tu ani chwili dłużej, zupełnie sama - z tymi myślami. Może zniosłaby to jakoś, gdyby zamknięto ją z kimś, ale nie samą. Nawet jeśli zabiorą ją do Suliena albo jego przyprowadzą tutaj, co to da? Nie mieli żadnego planu ani sposobu skontaktowania się z kimś z zewnątrz.

Z początku nie zwróciła uwagi na głucho, rytmiczne stukanie, które było tak słabe, że przy jej wzburzeniu uznała je za odgłosy wydobywające się z rur grzewczych. W końcu jednak przyszło jej do głowy, że uderzenia w rury, które biegły wzdłuż ścian i znikwały w suficie, mogą być celowe i że może to Una próbuje się z nią skontaktować. Lal podbiegła do rur; były nieznośnie gorące, kiedy zastukała w nie knykciami. Cofnęła się i zaczęła w nie kopać. Przez sekundę panowała cisza i nagle usłyszała odpowiedź - tę samą sekwencję, którą ona wystuka-

ła. Lal roześmiała się jak dziecko i znowu zaczęła stukać. Nie miała pojęcia, jak mogłaby przekazać w ten sposób jakąś wiadomość, ale możliwość skontaktowania się z Uną była pierwszym, małym zwycięstwem.

Usiadła na materacu, pochlipując co jakiś czas. W stercie książek znalazła świętą księgę, co jej nie zaskoczyło. Pod księgą leżało kilka magazynów mody, wszystkie sprzed roku. Lal patrzyła na nie z niedowierzaniem. Skąd mogły wziąć się w takim miejscu? Wydało jej się absurdalne, wręcz obraźliwe, że Dama pamiętał, co ona lubi, i zdobył je dla niej. Powinien przecież traktować ją jak kogoś obcego.

Przeczytała kilka wersów z księgi i przejrzała magazyny, i poczuła się trochę pokrzepiona na duchu.

*

Dama poszedł do kuchni po wodę, której potrzebował do zażycia środków przeciwbólowych. Połknął je tak, żeby nikt nie widział. Una siedziała zamknięta w pokoju na górze, stukając od czasu do czasu w rury. Nie były to dźwięki sugerujące próbę ucieczki ani wyraz hysterii, tylko wiadomość dla niego. Chciała, żeby cały czas musiał myśleć o niej, żeby nie miał nawet chwili spokoju. W pewnej chwili Dama nie wytrzymał, pobiegł na górę i ryknął na cały głos:

- Cisza! Zamknij się!

Oczywiście nie było lepszego sposobu przekazania, że jej plan wyprowadzenia go z równowagi był skuteczny. Stukanie wznowiło się ze wzmożoną siłą.

W korytarzu pojawił się Mazatl.

- Co się dzieje? - zapytał.

Dama zaprowadził go do małego pokoju z półkami, który służył mu za biuro, i wytłumaczył, jak wygląda sytuacja.

Una i Sulien poznali ich plany trochę za wcześnie, kiedy nie byli do końca przygotowani.

Mazatl spojrział na sufit.

- Pokazuje, jaka jest wściekła. - Przeniósł wzrok na Damę, wyraźnie niespokojny. - Dama, co ty wyrabiasz? Wiesz, co trzeba zrobić - rzekł w końcu.

Dwa i pół roku wcześniej Mazatl był znudzonym stróżem nocnym, pracującym w posiadłości na Celusie, który przyłapał Damę na nieudanej próbie uwolnienia kilku niewolników. Dama, który powinien być załamany, że wpadł tak łatwo, zanim jeszcze zaczął działać, poczuł niezwykłą ulgę. Od pierwszej chwili był pewien, że opatrzność zesłała mu właściwego człowieka. Wtajemniczył szybko Mazatla w swoje plany.

W tym momencie nastąpiło odwrócenie ról i Mazatl, mimo że był starszy od Damy i miał talenty, których tamtemu brakowało, uznał przywództwo Damy. Na dodatek Mazatl potrafił czasami przejąć dowodzenie, zawsze tymczasowo i bez ambicji zastąpienia Damy, lub powiedzieć mu, co ma robić. Przypominał w tym starszego godnego zaufania brata. Teraz, po raz pierwszy, Dama odczytała wyraźną wątpliwość rysującą się na twarzy Mazatla.

- Nie zamierzam ich skrzywdzić - powiedział Dama.

- Nie mówię o krzywdzeniu - odparł z zaciętą miną Mazatl. Wyjął z kurtki pistolet i położył go na stole, nie zdejmując z niego ręki. - Słuchaj, nie musisz nic robić. Zostaw to mnie. Zabiorę ich pojedynczo do lasu, raz-dwa i będzie po wszystkim. Nawet nic nie poczują.

- Nic nie zrobisz - powiedział Dama.

- Więc co? Mamy ich tu trzymać do końca życia?

- Oczywiście, że nie. Tylko do wybuchu wojny. Potem

będzie to już bez znaczenia.

Mazatl zachnął się.

- Jeśli stanowią zagrożenie, nic tego nie zmieni. Nawet jeśli uda nam się ich tutaj przytrzymać, to istnieje ewentualność, że pokrzyżują nam szyki. Wygląda na to, że ta dziewczyna nie zamierza się poddać. Co zrobisz, jak ludzie zaczną się nią interesować? Zajęło nam całe lata, żeby dotrzeć do tego punktu. To nie w porządku, że teraz pozwalasz im wszystko zrujnować tylko dlatego, że to twoi znajomi. To zwykłe samolubstwo z twojej strony. Sam tak zawsze mówiłeś.

Dama ze złością odsunął pistolet, ale kiedy jego palce dotknęły metalu, poczuł, że Mazatl ma rację. Oczywiście, że miał rację. Dama wymazał od razu tę myśl.

- Podjąłem decyzję - powiedział sucho.

Mazatl odchrząknął i wstał.

- Możesz wracać do Rzymu - dodał Dama. - Nie ma potrzeby, żebyś tu siedział. - Spróbował powiedzieć to tak bez troski, jak potrafił. Poczuł ucisk w żołądku na myśl, że pozwolił Mazatlowi tak bardzo zbliżyć się do Uny.

*

Wyglądało na to, że Una nie spała tej nocy. Z pewnością nie zamierzała pozwolić innym zasnąć. Jeśli walenie w rury i tupanie ustały choć na chwilę tej pierwszej nocy, to tylko w czasie, gdy Damie udało się zdrzemnąć. Chwilami przypominało to fochy, jakie stroi dziecko, ale walenie w zasadzie nie ustawało. Jednocześnie było w nim coś przerażającego. Przypomniało Damie pewnego oszalałego żebraka, który nieustannie walił głową w ścianę, nawet na chwilę nie przestając. Przed świtem wyskoczył z łóżka i pobiegł na górę. Stał pod drzwiami, zaledwie kilka kroków od niej, wściekły i bezradny.

Nie, nie może się poddać. Nie odezwie się do niej.

W budynku spało dwadzieścia osób poza nim, Uną i Lal. Niektórzy przywykli do spania w hałasie fabrycznych urządzeń, ale inni byli wyraźnie niewyspani i zirytowani. Jeden z nich, Baro, potężny i twardy mężczyzna po trzydziestce, zasugerował:

- Zupełnie jakby się z nas naśmiewała. Jeśli mamy ją tu trzymać, to może by ją związać czy co?

Pewnie, mógł ją związać, tyle że świadomość, że ją skrzywdził, byłaby gorsza od hałasu.

Nieodparta chęć zobaczenia się z nią wróciła z niespodziewaną siłą. Przecież musiał znaleźć jakiś sposób kontrolowania jej.

Una była czerwona na twarzy i zdyszana.

- Posłuchaj mnie, wyjeżdżam. Muszę zająć się pewnymi sprawami. Nigdy nie przebywam tu zbyt długo. Możesz więc sobie odpuścić. Nie będzie mnie tutaj, żeby słuchać tych hałasów.

Uśmiechnęła się dziwnie. Jej rozgorączkowane oczy patrzyły na niego twardo i wydawały się doskonale czarne.

- Jeśli cię tu nie będzie, to skąd będziesz wiedział, co robisz?

Nie miał pojęcia, o czym mówi, i odwrócił się na pięcie bez słowa.

Miała jednak rację, bał się od tej pory opuścić farmę.

Zachowywał się, jakby Una była niebezpieczniejsza od pozostałych, jakby mogła zmienić się w dym i wydostać przez szczeliny w podłodze czy też w giganta, który wyważyłby drzwi. Nieustannie sprawdzał strażników pilnujących jej okna i nerwowo dotykał palcami klucza do zamka w jej drzwiach. Trzymał go zawsze w kieszeni i dawał jedynie wtedy, kiedy

noszono jej jedzenie. Kazał załatwiać to po cichu i ustawiał trzech mężczyzn przy drzwiach. Jednocześnie unikał rozmawiania z kimkolwiek na jej temat i minęły dwa dni, zanim dowiedział się o kolejnej fazie jej buntu.

W tym czasie na farmie atmosfera zmieniła się diametralnie. Mazatl wrócił do Rzymu, ale w oczach innych ludzi Dama dostrzegał te same wątpliwości, które dręczyły Mazatla. Nie chodziło o to, że przestali mu ufać i wierzyć w to, co im powiedział. Wręcz przeciwnie. Środki ostrożności, na których wprowadzenie nalegał, umacniały ich w przekonaniu, że więźniowie są niebezpieczni i należy się ich bać i nienawidzić. Nie wiedzieli, czemu Dama nie robi nic, żeby ich poskromić i ukarać. Nagle nie wydawał im się już taki potężny jak kiedyś, a farma, z trzema zdrajcami, tak bezpieczna. Z garażu, piwnicy, piętra budynku biła zła woła. Niedawno oswobodzeni niewolnicy znowu czuli zagrożenie.

Drugiego dnia Dama zobaczył, jak Kosmas i Anna, którzy zanieśli Unie obiad, stoją na korytarzu i plotkują. Podjadali przy tym z talerza chleb i ser.

- Co robicie? - spytał ostrym tonem Dama. - Czy to... jej posiłek? - Nie wymawiał imienia Uny, odkąd zamknął ją w pokoju.

Spuścili wzrok z poczuciem winy.

- Chyba nie była głodna - odpowiedziała Anna, nie kryjąc wrogości do Uny. - Myśleliśmy, że nie będziesz miał nic przeciwko temu.

- Nie obchodzi mnie, co wyjecie - rzekł niecierpliwie Dama. - Czy ona coś jadła?

- Nie wiem - odparł Kosmas niezbyt pewnym tonem. - Chyba niewiele.

Nagłe podejrzenie wzbudziło w nim gniew. Wypadł z

domu, zostawiając oszołomionego Kosmasa i Annę pod drzwiami.

Znalazł Paccię w kurniku. Dziewczyna miała wygląd zaszraszonej i zniszczonej przez życie. Pewnego dnia może, co najwyżej, przydać się do pakowania granatów. Brakowało jej ducha walki.

- Zaniostaś jej rano jedzenie - rzucił oskarżycielskim tonem.

Starał się, żeby ta sama osoba nie nosiła jedzenia więcej niż raz, by zapobiec znowiu. - Zjadła to, co jej przyniosłaś? Czy w ogóle coś jadła?

Paccia skuliła się.

- Nie.

- Czemu mi nic nie powiedziałaś? - zapytał rozzłoszczony i Paccia drgnęła, jakby smagnął ją batem.

Znowu poczuł potrzebę zobaczenia Uny, choć nie miał najmniejszego pojęcia, co by powiedział lub zrobił. Spojrzał na jej okno i powiedział sobie z całą mocą: skończ z tym. Czuł, jak jego wola zaczyna, żyć własnym życiem, jak opasuje dom i jej pokój, zaciskając niewidoczne mięśnie, próbując powstrzymać Unę. Czuł też, jak Una mu się przeciwstawia, jak podejmuje z nim walkę.

No cóż, może była zbyt zdenerwowana i zmęczona, żeby poczuć głód, podobnie jak w dniu ślubu Marka. W takim razie przejdzie jej to. Dama nie bardzo w to wierzył, ale zmusił się do zaczekania do wieczornego posiłku. Godziny ciągnęły się niemiłosiernie. Uciekł z domu i zajął się szkoleniem ludzi, którzy byli z nim najdłużej, uczył ich podkładać i kontrolować ogień. Mimo to wciąż o niej myślał, a obraz Uny budził w nim uczucie coraz bardziej przypominające nienawiść. Czasami spoglądał na betonowy garaż, w którym trzymał Suliena. Z

niepokojem myślał, że zakaz rozmawiania z jeńcami może zostać złamany. Jeśli Sulien dowie się, co się dzieje z Uną, to będzie okropne.

W końcu zapadła noc. Dama kazał wcześniej zabić kilka kurczaków, jakby coś świętowali. Podczas gotowania otworzył drzwi do kuchni, żeby zapachy rozniosły się po całym domu. Sam sprawdził tacę zjedzeniem, zanim zanesiono ją na górę, i ledwo potrafił skupić się na rozmowie, dopóki ludzie posłani do Uny nie wrócili do kuchni. Nawet nie musiał sprawdzać, na pierwszy rzut oka było widać, że nie tknęła jedzenia. Taca leżała przez godzinę na podłodze nieruszana.

Dama nie zareagował na to. Una chciała, żeby przyszedł do niej. To był atak wszystkimi środkami, jakimi dysponowała, i choć to on miał władzę i ludzi, nie mógł się przed nią bronić. Mógł jedynie nie okazywać, jak bardzo się boi. Odkrył, że z każdą chwilą coraz bardziej pragnie zobaczyć, jak wygląda, czy wszystko z nią w porządku. Wyobraził sobie wizjer, jaki miałby w prawdziwym więzieniu. Przyszło mu nawet do głowy, że mógłby kazać wywiercić dziurę w drzwiach, ale to byłoby przyznaniem się do porażki. Wcześniej rozważał pomysł przeniesienia jej gdzie indziej, może do garażu na miejsce Suliena. Miałby wtedy ciszę i spokój. Teraz nie dopuszczał do siebie myśli, że jej nie słyszy, że nie wie, co się z nią dzieje. Każde walnięcie i kopnięcie dochodzące z pokoju szarpało mu nerwy. Z drżeniem oczekiwał następnego, bojąc się, że go nie usłyszy.

Przez następne dni słuchał z odrazą, jak słabnie. Z walenia w ściany i w rury zniknęła wściekłość, uderzenia stały się coraz wolniejsze i pozbawione siły. Czuł ból każdego ciosu we własnych kościach, wyczuwał bicie serca i zadyszkę, które zmuszały ją do złapania tchu. W nocy

łomot przerywały długie minuty ciszy, które nie pozwa-

łały mu zasnąć skuteczniej niż hałas. Leżał nieruchomo, czekając na kolejne uderzenie.

Pewnego dnia, kiedy przyszedł do domu, było cicho. Z pokoju nie dochodził żaden odgłos. Cisza panowała także, kiedy obudził się tego ranka. Było w niej coś złowieszczonego, coś, od czego przeszły mu ciarki po plecach. Czuł, że trwała cały dzień.

Starał się wmówić sobie, że nie mogła umrzeć, że to ciągnęłoby się całe tygodnie, ale myśl ta ulatywała, a on nie mógł oprzeć się rosnącej panice, która pchała go na górę.

W pierwszej chwili pomyślał, że wygląda na martwą. Una leżała na ziemi, z podwiniętymi nogami, oparta o ścianę jak szmaciana lalka. Jej włosy i skóra miały dziwny odcień, jakby pokrył ją kurz. Głowa opadła na bok, oczy miała zamknięte, a wykrzywione w grymasie bólu usta lekko uchylone.

Dama na chwilę uległ wrażeniu, że to tylko taki podstęp; że zerwie się nagle, wyminie go i rzuci do uciezki, próbując za wszelką cenę wydostać się z farmy. Podszedł przerażony i spróbował podnieść ją z podłogi. Jakimś cudem udało mu się wykryć puls, słaby i zamierający pod palcami.

- Una, błagam cię. Na miłość boską...

Una odzyskała przytomność. Jej ciało przebiegł dreszcz. Skórę miała zimną, a oddech pachniał nieprzyjemnie, jak opary rozpuszczalnika. Spojrzała na niego przez przetłuszczone strąki włosów i powiedziała zaskakująco normalnym tonem:

- Uwolnij mnie. Wypuść nas wszystkich.

Gardło Damy ścisnęła jęk ulgi. Nie było z nią tak źle, jak się obawiał. Owszem, bardzo schudła, ale nie groteskowo, nie wyglądała jak szkielet.

- Nie mogę - odpowiedział. - Puszczę was, gdy tylko będę mógł. Jednak nie teraz. Czemu to robisz?

- Protestuję przeciwko uwięzieniu - odparła z przekonaniem. - Nie zostanę tu. Powiedziałam ci.

- Więc wolisz umrzeć? Zabijesz się, żeby tylko się uwolnić? - spytał z desperacją w głosie.

Westchnęła w odpowiedzi.

- Sądzę, że zaakceptowałbyś śmierć, żeby coś osiągnąć. Na przykład, żeby zbudować ten piękny nowy świat, o którym marzysz. A może byś się nie odważył? - spytała.

- Tak - odparł, zraniony podejrzeniem, że jest gotów ryzykować życie innych ludzi, a nie swoje.

Una wzruszyła ramionami.

- Wolisz, żebym umarła, niżbyś miał mnie wypuścić?

- Oczywiście, że nie chcę twojej śmierci - wyszeptał.

- Wiem, że nie chcesz - powiedziała z pogardą. - Ale jeśli dobrze jest doprowadzić do wybuchu wojny, to akurat moja śmierć nie powinna stanowić problemu, prawda? Co tam jedna osoba.

Dama skrzywił się. Właśnie ze względu na Unę zamykał uszy na takie argumenty. W jej ustach brzmiało to koszmarnie i dziwacznie.

- Wciąż... liczyłem na to... chcę, żebyś zrozumiała.

- No cóż, w takim razie oboje chcemy od siebie tego samego. - Zamknęła oczy i pozwoliła, żeby jej głowa oparła się o ścianę. Ta odrętwiała sztywność powodowała, że wyglądała jeszcze gorzej. Wyraźnie było widać zapadnięte policzki i oczy.

Dama odwrócił wzrok, czując, że brak mu sił.

- Proszę cię, zjedz coś.

Una leniwie skinęła głową.

- Gdy tylko się stąd wydostanę.

- Pozwolę ci zobaczyć się z Sulienem - zaoferował niebacznie Dama.

Milczeli przez chwilę i Una wreszcie otworzyła oczy.

- Nie, nie będę negocjowała. Nie zostanę tu. Możesz mnie wypuścić lub zabić. Nie masz innego wyboru.

- Nie - sprzeciwił się Dama.

Una podniosła się z ziemi, tak powoli i niezdarnie, że Dama zacisnęła zęby z bólu. Odsunęła się od niego i podeszła do łóżka. Skuliła się na nim, plecami do niego, jej ciałem wstrząsały drgawki.

- Jeśli nie będziesz jadła, to nakarmię cię siłą - zagroził Dama.

Una leżała nieruchomo na kocach, jakby zasnęła. Nic nie odpowiedziała i w końcu Dama wyszedł cicho, żeby jej nie budzić.

*

Lal przykucnęła obok rur, nasłuchując. Jedynym sposobem na mierzenie czasu, jaki upływał pomiędzy posiłkami, było wsłuchiwanie się w odgłosy dochodzące z góry. Starła się wywnioskować, jak długo rury pozostają gorące i ile ma czasu.

Naciągnęła rękaw tak, żeby zasłaniał jej rękę, i przyłożyła ostrożnie nadgarstek do rozgrzanego metalu. Trzymała przez chwilę i wreszcie cofnęła rękę z sykiem. Szybko dotknęła skóry drugą dłonią. Czy przypominało to gorączkę, czy też od razu będzie jasne, co zrobiła? Samo leżenie na ziemi i jęczczenie nie wystarczą. Musi coś wymyślić. Może pomogłoby, gdyby włożyła na siebie rozgrzane ubranie. Zdjęła sukienkę i zarzuciła ją na rury. Wcisnęła także kubek z wodą pomiędzy dwie rury i zostawiła go tak na kilka godzin. Na pewno nie podniesie temperatury ciała, wypijając wodę. Zamiast tego spróbowała obryzgać ciepłą wodą twarz i włosy. Kiedy jej su-

kienka się nagrzewała, Lal położyła się nago na materacu, starając przypomnieć sobie apatię wywołaną chorobą.

Przynajmniej coś robiła.

Podeszła do rur, żeby sprawdzić sukienkę, i przy okazji zastukała pytająco w rury. Minęła dłuższa chwila, zanim nadeszła odpowiedź -pojedyncze, słabe uderzenie. Lal zastukała szybko kilka razy, myśląc, nie poddawaj się. Wyjdziemy stąd.

*

Woda dla Uny zmieszana była z cukrem. Jeśli chciała się napić, to musiała pić słodką wodę, mleko lub sok. Dama nie zdecydował się na karmienie jej siłą i nawet nie wyobrażał sobie, jak mógłby to zrobić. Pozostawał mu tylko ten podstęp. Bał się, że Una zupełnie przestanie pić. Ku jego zaskoczeniu i radości Una zaakceptowała swoją przegraną w tej rundzie. Nie piła wiele, ale te kilka łyków cukru musiało jakoś pomagać, przynajmniej trochę odwlekało pełne wycieńczenie.

Tylko że w ten sposób nie mógł utrzymać jej przy życiu. Każdego dnia Una zdawała się znikać w oczach. Dama tak bardzo martwił się o nią, że nieustannie czuł do siebie obrzydzenie. Z niepokojem patrzył, jak Una stara się jak najmniej pić. Liczył każdą kroplę, którą przetykała; niemal czuł, jak jej krew staje się coraz gęstsza. A jeśli w ten sposób jej stan tylko się pogarsza?

Coraz częściej zdarzało mu się stanąć w uchylonych drzwiach do jej pokoju i obserwować ją w milczeniu. Nie wstydził się już tego. Una zawsze leżała skulona w kącie łóżka, tam gdzie ją zostawił, jakby wcale się nie ruszała. Nie patrzyła na niego i przestała hałasować. Figurowała w jego świadomości niczym niespłacony dług, ale była już cicho. Dama powtarzał sobie, że wszystko się uspokoilo. Nie myślał o tym, co mu

powiedziała. Musiał jedynie trzymać się od niej z dala przez ten krótki czas, jaki pozostał do punktu zwrotnego w historii.

Trzy noce później, dobrze po północy, usłyszał jej stukanie, jakby była duchem nawiedzającym to miejsce. Cztery ospałe i słabe uderzenia. Znowu cztery, trochę głośniejsze, ale wciąż tak słabe i niepewne, że gdyby spał, hałas nawet by go nie obudził. Dama nie spał. Nawet po trzech spokojnych nocach nie wiedział, czy zaśnie, toteż jeszcze nie położył się do łóżka. Mimo to stukanie było jak pobudka i poczuł, jak ogarnia go zwykła złość, w niczym nieprzypominająca lęku, który Una budziła w nim wcześniej. Czemu na to pozwolił? Mazatl, jego własne sumienie, nawet Una powiedzieli mu, co należy zrobić. Rzekł innym, że Rzym ją zepsuł, i nie mylił się. To, co kiedyś w niej widział, dawno już znikło albo zawsze było tylko przywidzeniem. Una była jego wrogiem. Nic jej nie był winny.

Pistolet Mazatla leżał zamknięty obok daldictora w jego gabinecie. Dama otworzył drzwi i porwał go z półki. Wsadził go za pasek, zapiął kurtkę i wbiegł na górę. Na straży pod drzwiami siedział Baro.

- Możesz iść spać - mruknął Dama. Baro wstał w milczeniu, ale spojrzenie, jakie mu rzucił, było pełne aprobaty i ulgi.

Dama stał pod drzwiami z kluczem w jednej dłoni, a pistoletem w drugiej. Gdy strzelał, zawsze broń trzymał w lewej ręce. Nie był dobrym strzelcem, ale w tym wypadku to nie miało znaczenia. Nie czuł, że ciężko dyszy.

Stukanie nagle ustało i usłyszał, jak Una podchodzi do drzwi.

- Dama? - Jej głos był niepewny, pobrzmiwał w nim strach. Nie była pewna, czy to on.

Dama rzucił się na drzwi, zaciskając zęby z frustracji, kiedy jego słabsza prawa dłoń szarpała zamek. Otworzył

drzwi i wycelował broń. Nic nas nie dzieli, pomyślał.

Una opadła na kolana, patrząc szeroko otwartymi oczami na drzwi. Na widok pistoletu drgnęła konwulsyjnie, a na jej wychudzonej twarzy malował się brak nadziei. Nagle poderwała się, zbliżając czoło do lufy pistoletu, zaciskając pięści i napinając mięśnie.

- Zrób to! Zabijasz przecież ludzi, którzy mają takie samo prawo do życia jak ja! - zawołała przenikliwym głosem.

Dama był oszołomiony, nie słysząc strzału, nie widząc, jak jej ciało upada na ziemię. Wydawało mu się, że podjął decyzję, na sto procent już postanowił i że nawet jego mózg wysłał sygnał do ręki. A jednak nic się nie stało, jakby blizny na rękę tak mocno wrosły w ciało, że zablokowały nerwy. Zebrał się w sobie, zrobił mały krok w jej stronę i pistolet obsunął się po jej twarzy. Czuł pod lufą zarys jej czoła i kości policzkowych, ale kiedy znowu kazał swoim palcom zacisnąć się na cynglu, nie posłuchały go. Una trzęsła się jak w gorączce, ale nie spuściła z niego wzroku, tylko patrzyła mu w oczy z całą mocą. Lufa pistoletu drżała przed jej twarzą. Nagle Dama nie wytrzymał i wybiegł z pokoju, zatrzaskując za sobą drzwi. Usłyszał, jak Una pada na ziemię, gwałtownie łapiąc powietrze, i w tym momencie nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Osunął się na podłogę, opierając plecami o drzwi.

Jeszcze tylko parę dni, pomyślał. Musi wytrzymać jeszcze tylko parę dni.

ŚWIATŁA OSTRZEGAWCZE

Noriko nie poznawała żadnego z tutejszych kwiatów. Te szarawe drzewa to były oliwki. Pod nimi wyrastały nieznanne jej żółte kwiaty. Ogród był przyjemnie zarośnięty w odróżnieniu od symetrycznych i uporządkowanych ogrodów pałacowych, ale regularność jego planu przebijała spod opadłych liści. Wzdłuż prostokątnego stawu stały rzędem białe posągi - dziewice, których zwiewne szaty przylegały do nagich piersi i ramion, a dumne prostokątne czoła okalały piętrzące się loki. Noriko odwróciła się i pomyślała, jak Sakura i Tomoe, w sukniach podtrzymujących długie pasma farbowanych włosów, dziwnie wyglądają wśród posągów. Sakura i Tomoe nachylały się nad ciemną wodą, karmiąc czerwone karpie koi. Trochę dalej znajdował się sad z jabłonią i wiśnią, gdzie blade płatki zaczynały pokazywać się na czarnych gałęziach. Noriko skierowała się w tamtą stronę.

Po raz pierwszy od dnia ślubu Noriko i Marek nie byli ze sobą. Następnego dnia po weselu wyjechali razem z Rzymu do rodzinnego domu Marka w Tusculum. Sprawami w Złotym Domu zajął się Eudok-sjusz, żeby młoda para miała czas tylko dla siebie. Noriko nie pytała, co się takiego stało, że Marek nagle został wezwany do Rzymu, gdyż za bardzo cieszyła się z jego nieobecności, choć jednocześnie prześladowało ją poczucie winy. Nie miała do niego żadnych pretensji ani nie przestała go lubić; zgodnie z obietnicą starał się, żeby nie była nieszczęśliwa. Rozmawiali uproszczoną wersją łaciny, którą stworzyli na własny użytek i której nikt poza nimi nie rozumiał. Marek wydawał się zainteresowany wszystkim, co miała do powiedzenia. Noriko z całym zapałem oddała się nauce łaciny, choć czasami odnosiła wrażenie, że w obecności Marka

jej znajomość języka jeszcze bardziej kulała, jakby nie mogła przełamać jakiejś bariery. Z trudem potrafiła wymówić najprostsze słowa, których nauczyła się lata temu. Marek dbał również o to, żeby nie czuła się tutaj tak obco. Dla jej zachcianki zbudował ogródek skalny i domek, w którym mogła podejmować go herbatą. Przede wszystkim starał się nie wyglądać na zawiedzionego, podobnie jak Sakura i Tomoe starały się maskować tęsknotę za domem. Poczucie sprawiedliwości wymagało, żeby i ona dała coś z siebie. Traktowali się więc wzajemnie z delikatnością, chwilami udawało im się być niemal przyjaciółmi i oboje czuli lęk przed sobą. Noce, których najbardziej się obawiali, w pewien sposób były najprostsze i najbardziej niewinne.

W kolejnym tygodniu postanowili, że zaczną pokazywać się publicznie, tak żeby Noriko mogła lepiej poznać Rzym. Może później, kiedy nie będą musieli spędzać tyle czasu razem, sprawy jakoś same się ułożą.

Noriko skryła się pomiędzy kwitnącymi drzewami, aż w końcu nie widziała wokół siebie ani jednej obcej rzeczy. Zobaczyła, że w jej stronę zmierza służący. Ukłonił się nisko.

- Pani, jesteś proszona do daldictora. Książę Tadasius chciałby z tobą rozmawiać.

Noriko poczuła niepokój, ponieważ w Kynoto było już późno, dochodziła północ. Pospiesznie wróciła do domu.

- Coś się stało? - rzuciła do słuchawki. Tadahito mówił w pośpiechu, ale wyraźnie.

- Porozmawiamy przez daldictor w ambasadzie. Przed domem czeka na ciebie samochód, który cię tam zawiezie. Wsiądź do niego natychmiast.

- Co...? - Jednak Tadahito już się rozłączył.

Noriko była równie zirytowana jak wystraszona, ale po-

słusznie wybiegła z domu i ruszyła żwirową ścieżką w stronę bramy. Strażnicy stojący przy wyjściu zdziwili się na jej widok.

- Pani, czy zamierzasz gdzieś wyjść? - spytał jeden z nich.

- Poczekaj chwilę, to wezwę ochronę.

Noriko machnęła ręką.

- Ambasada przysłała po mnie samochód. Oni będą mnie chronić.

Wóz był zupełnie przeciętny, chociaż dyskretnie oznakowany, że wiezie kogoś o jej statusie, i wypolerowany na wysoki połysk. Przy otwartych drzwiach czekał na nią poważny, młody nioniański kierowca, ubrany nienagannie na czarno.

Noriko wśliznęła się na tylne siedzenie.

- Czemu muszę jechać do ambasady? - spytała kierowcę. Mężczyzna tak długo milczał, że poczuła irytację. - Oczekuję odpowiedzi - powiedziała kategorycznym tonem.

Młody mężczyzna, który przytrzymał jej drzwi, zajął miejsce naprzeciw niej. Wyrzął przez okno, żeby upewnić się, że dom zniknął za rogiem.

- Jesteśmy w stanie wojny z Rzymem - poinformował ją.

Noriko otworzyła usta ze zdumienia i oburzenia.

- Księżę kazał ci jechać do ambasady, pani, żebyś nie zdradziła się przed strażnikami i na wypadek gdyby twój telefon był na podsłuchu.

- Ale... - Noriko obróciła się na siedzeniu, żeby spojrzeć w stronę willi. - Co się stało?

- Zgodnie z umową nasze wojska wycofywały się z Muru.

- W jego głosie odezwała się nagle gorycz. - Rzymianie zaatakowali trzy pociągi wojskowe w Enkono i Iwatougen. Doszczętnie je zniszczyli.

- Nie - wykrztusiła oniemiała Noriko, jakby spodziewała

się, że mężczyzna przyzna się do pomyłki.

- Trzy wojskowe transporty - powtórzył. - Wykolejono także pociąg pasażerski, który jechał za nimi. Zginęło co najmniej tysiąc czterystu żołnierzy i trzystu cywilów.

- Kiedy? - wyszeptała Noriko.

- Kilka godzin temu - powiedział agent niemal ze złością. - Zdradzili nas i mamy niewiele czasu, żeby cię wywieźć, pani. Zabierzemy cię do pewnej kryjówki, gdzie zmienimy twój wygląd. Nie możesz wyjechać tak, jak stoisz. Obawiam się, że twoje włosy zbyt rzucają się w oczy. Trzeba będzie je obciąć. Następnie pojedziesz do Neapolu, skąd przetransportujemy cię do Mauretanii. Na północy kraju jest tajne lotnisko, z którego możemy zabrać cię do Nionii. Wasza Wysokość, obiecuję, że nie zawiedziemy cię. Wkrótce będziesz w domu.

Noriko opadła na siedzenie kompletnie oszołomiona.

- A co z moimi damami dworu? - spytała po chwili słabym głosem.

- Obawiam się, że nic nie możemy dla nich zrobić, Wasza Wysokość, ale nie grozi im takie niebezpieczeństwo jak tobie.

Noriko siedziała w milczeniu, bawiąc się końcami swoich skazanych na skrócenie włosów i patrząc na porośnięte cyprysami wzgórza. Czuła się otępiała; nie potrafiła wyobrazić sobie ani podróży, ani tych zabitych. W pierwszych minutach zdawało się to wręcz błogosławieństwem. Niczego po niej nie oczekiwano, wszystko już zdecydowano. Musiała jedynie poddać się biegowi wypadków. Odzyskano ją jak niespłacone meble, trochę zużyte, ale w zasadzie wciąż te same.

- To musi być jakaś pomyłka - odezwała się.

- Wasza Wysokość?

- Po co wydano mnie za męża, skoro i tak mamy wojnę?

- Rzym zdradził także ciebie, pani.

- Ale nie cesarz - sprzeciwiła się Noriko. - Wiem, że nie ma z tym nic wspólnego. To musi być pomyłka.

- Przykro mi, ale nie może być mowy o pomyłce - odparł smutno agent, a w jego głosie zabrzmiała nuta zniecierpliwienia, nad którą starał się zapanować.

Jak to będzie, kiedy wróci do domu? Zakradnie się po cichu do własnego domu, żeby żyć okryta hańbą. A może potraktują jej ślub jak krótką chorobę, która trochę ją zmieniła, ale z której ma szansę się wyleczyć. A może rzeczywiście będzie tak, jakby nigdy nie wyszła za mąż? Czy nie tego ona i Marek zawsze pragnęli? Nie było jej w domu tak krótko.

Droga prowadziła wokół wzgórza i w dół pomiędzy drzewami. Noriko miałaby kłopoty z określeniem kierunku i wiedziała tylko, że Rzym jest gdzieś niedaleko na północ od nich, a Neapol daleko na południu.

- Zawróć - rozkazała. - Muszę wrócić do Rzymu i porozmawiać z mężem.

Nic się nie stało. Młody agent spuścił wzrok. Jego wzrok był smutny i pełen szacunku. Noriko aż podskoczyła na siedzeniu z oburzenia.

- Rozkazuję ci zawieźć mnie do Rzymu.

- Rozumiem, Wasza Wysokość - powiedział cicho młodzieniec. - Jesteśmy sługami Waszej Wysokości we wszystkim innym. Z przyjemnością oddamy za ciebie życie. Nasze rozkazy pochodzą jednak od samego cesarza. Mamy zadanie bezpiecznie dostarczyć jego córkę do domu.

Noriko otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Wyrzała przez okno. Czowała, że ma nadąsaną minę, i spróbowała się rozluźnić.

- Przepraszam - powiedziała sztywno. - Macie swoje rozkazy.

Mężczyzna schylił przed nią głowę.

- Wasza Wysokość jest bardzo wyrozumiała.

Samochód wjechał do Tusculum, gdzie ruch był duży i ich wóz ugrzązł w korku. Noriko otworzyła błyskawicznie drzwi i wyskoczyła na drogę.

Przez chwilę czuła się jak na karuzeli. Omal nie wpadła pod koła samochodu nadjeżdżającego z przeciwka, ale nie to napawało ją największym przerażeniem. To, co zrobiła, było wręcz nie do pomyślenia. Zupełnie jakby wdarła się na pole bitwy. Rzuciła się biegiem wzdłuż pierwszej lepszej ulicy, czując, jak jej włosy powiewają na wietrze, kolana robią się miękkie niczym z gumy, a oddech grzęźnie w gardle. Samochody pędzące w obie strony z trudem ją omijały. Gdzieś z tyłu dobiegł ją okrzyk. Obróciła głowę i zobaczyła nioniańskiego agenta, który biegł za nią, przedzierając się pomiędzy samochodami. Jego twarz była biała z przerażenia, a oczy rozbiegane. Nie mógł zabić wszystkich, którzy ją widzieli! Noriko została rozpoznana i było już za późno.

Noriko stanęła na drodze nadjeżdżającego samochodu, podnosząc ręce, i wóz zahamował przed nią z piskiem opon. Uderzyła pięścią w okno i wyprostowała się, czując na sobie wzrok zszokowanego kierowcy.

- Jestem twoją cysarzową - powiedziała niepoprawnie po łacinie. - Musisz zawieźć mnie do pałacu jak najszybciej.

Kiedy dotarła do Złotego Domu, jej wiara w niewinność Marka trochę zmalała. Wstrząs, jaki czuła po ucieczce, i lęk przed popełnieniem tragicznej pomyłki obudziły w niej nieznaną wcześniej agresję. Przebiegła przez pałac w poszukiwaniu Marka, niemal prosząc, żeby ktoś stanął jej na drodze, żeby mogła się na nim wyżyć. Wyglądało jednak, że wieści o jej zniknięciu szybko się rozniosły i służba, którą napotkała na

swojej drodze, chętnie wskazała, gdzie znajduje się Marek. Wprowadzono ją do dużego pokoju, którego wcześniej nie widziała. Gabinet nie miał okien, a jego ściany były obwieszane mapami wszystkich części świata: Europy, Afryki, Terranowy, Tokogane, Azji. Całego świata.

Długi stół zakrywały kolejne mapy i papiery. Na mapie Tokogane były zaznaczone trzy czerwone punkty, najpewniej przedstawiające zaatakowane pociągi. W końcu pokoju grupa mężczyzn oglądała zrobione z lotu ptaka zdjęcia osmalonych i powyginanych wagonów, które leżały pod zwalonym mostem na dnie wąwozu. Idąc w stronę Marka, Noriko poczuła, jak jej serce zamiera na chwilę. Na niektórych mapach leżących na stole dostrzegła czarne znaki, a grupka mężczyzn stojąca nad mapą Nionii wskazywała sobie kolejne kropki. Znaki skupiały się wokół portów w Edo i Kynoto. Cele.

Marek stał w grupie ludzi pochylających się nad mapami. Na jej widok się wyprostował. Wyraz jego twarzy był niezwykle poważny.

- Czy to twoja robota? - spytała ostro po nioniańsku. - Nie mogłeś tego zrobić, prawda?

Złapał ją za rękę.

- Nie, nie miałem z tym nic wspólnego - powiedział cicho w jej języku. Marek przeprosił zebranych i wyprowadził ją z pokoju. Weszli do przedpokoju, cały czas trzymając się za dłonie.

- Co się z tobą działo? - spytał. - Powiedziano mi, że przyjechał po ciebie ktoś z ambasady.

- Miałam zostać wywieziona - wyjaśniła niecierpliwie. Zobaczyła, jak na twarzy Marka pojawia się zdumienie, ale wciąż była zbyt podekscytowana, żeby przejmować się jego reakcją. - Dobrze, to nie twoja robota. Ale to znaczy, że nie

masz kontroli nad swoją armią. Na jedno wychodzi.

Marek westchnął ciężko.

- Salwiusz zadzwonił, gdy tylko otrzymaliśmy wiadomości. Nic o tym nie wie, jestem tego pewien. Staramy się dowiedzieć, kto za tym stoi, oczywiście jeśli starczy nam czasu.

- Musisz to powstrzymać - powiedziała, czując, jak przejmuje ją dreszcz na wspomnienie czarnych kółek na mapie.

- Widziałaś zdjęcia? Ostrzelali spiraloty, które je robiły. - Westchnął ponownie, ale nie ze znużenia, raczej jak gdyby chciał zaczerpnąć powietrza przed rzuceniem się na głęboką wodę. - Książę nie chce ze mną rozmawiać. Nikt nie chce. Dobrze, że tu jesteś.

Wziął ją za rękę i poprowadził za sobą.

- Co mam zrobić? - spytała.

- Z tobą porozmawia.

Wiedziała, że Tadahito będzie wściekły, ale sama była tak rozzłoszczona, że nie przejmowała się tym. Weszli do pięknego, zielonego gabinetu cesarza i Noriko usiadła za biurkiem jak cesarz.

- Złapali cię - powiedział na przywitanie Tadahito.

- Nie - odparła. - Nie przejmuj się mną. Kiedy usłyszałam wiadomości, postanowiłam skontaktować się z moim mężem. Sama przybyłam do pałacu. - Grzeczna forma rozmowy była niczym przezroczysty pojemnik, do którego mogła wrzucać swoją agresję tak, żeby cały czas była widoczna.

Tadahito nie zwrócił na nią uwagi.

- Więc jesteś głupia.

- Nie. Czy możesz porozmawiać z moim mężem? Jest tutaj.

- Nie nazywaj go tak - warknął Tadahito.

Noriko zaczęła nerwowo uderzać piórem o blat biurka.

- Jest moim mężem. Dzięki tobie i innym. Nie zaatakował ani nie sprowokował Tokogane. Gdyby zamierzał coś takiego, nie ożeniłby się ze mną.

- Ożenił się z tobą, żeby mieć zakładnika, idiotko - jęknął zdesperowany Tadahito.

- Nie - powtórzyła, patrząc na Marka z mieszaniną obojętności i opiekuńczości. Marek stał w końcu pokoju oparty plecami o namalowane na ścianie drzewo morelowe. Zamknął oczy, jakby chciał skupić się na czymś i odgrodzić od natarczywych dźwięków. Nie wyglądał na zbyt zadowolonego z obrotu rozmowy. Noriko nie kochała go. Kochała swojego brata, ale w tej chwili mogłaby mu przyłożyć. - Mogę zaświadczyć, że mój mąż mówi prawdę.

- Albo zaślepiła cię miłość do niego, albo jesteś w tej chwili zmuszana do mówienia takich rzeczy.

- Jak niby jestem zmuszana?! - krzyknęła, nie panując nad złością. - Nic, czym mogliby mi zagrozić, nie skłoniłoby mnie do okłamania cię. Czy nie dość, że wysłaliście mnie tutaj dla traktatu, który od razu jesteście gotowi złamać? Musisz mnie jeszcze oskarżać o tchórzostwo?

Głos Tadahito wyraźnie drżał, kiedy się odezwał.

- Noriko. - Zaczęła mu powoli wybaczać, czując jego zdesperowanie.

Tak bardzo za nim tęskniła. - Nie mogę dłużej tak rozmawiać. Nie wiem, co jeszcze można zrobić. Mam nadzieję, że cię nie straciliśmy. Dałbym wszystko, żeby cofnąć ten pomysł ze ślubem. Spróbuj mi wybaczyć.

W słuchawce zapadła cisza i Noriko jęknęła.

- Rozłączył się. Nie wierzy mi.

Marek podszedł do biurka.

- Tutaj nie wystarczą żadne słowa - powiedział zrezygnowany. - Trzeba czegoś więcej.

Noriko spojrzała na niego, a następnie powiodła wzrokiem po pokoju, jakby nie dowierzając, że mogła się tutaj znaleźć.

- Nie martw się - rzekł cicho. - Powiedz mi, co się z tobą działo w tym czasie, kiedy nie mogliśmy cię znaleźć.

Noriko opowiedziała mu beładnie o planie przeszmuglowania jej przez granicę, o tym, jak wyskoczyła z samochodu i zarekwirowała przejeżdżający wóz. Ujrzała, jak Marek uśmiecha się z podziwu i rozbawienia i sama poczuła komizm sytuacji. Zdążyła już trochę ochłonać.

- Twoja rodzina chce cię ujrzeć i ma do tego prawo. Możesz jechać do domu, a nawet musisz, i to tak szybko, jak tylko damy radę cię zawieźć. Polecisz rzymskim spiralotem bez żadnego przebierania się i ukrywania. - W pamięci rozbłysnął mu boleśnie fragment jego ucieczki: biegł przerażony przez rynek, by schować się przed pościgiem w namiocie sybilliny, wtedy po raz pierwszy zobaczył Unę. - Pojedziesz jako moja żona. Kiedy zobaczą cię całą i zdrową, będą wiedzieć, że nie jesteś więźniem i że nasz ślub to nie żaden podstęp.

- Pomyślą, że to kolejny atak. Mogą mnie zestrzelić - powiedziała Noriko, nagle czując dreszcze.

- Nie bój się, nie zestrzelą cię. Powiemy im, że lecisz do domu i że będziesz lądować z dala od celów wojskowych. Mogą pomyśleć, że to podstęp, ale nie zaryzykują twojego życia. Na pewno nie twojego.

Po raz drugi tego samego dnia Noriko omawiała powrót do domu. Wyobraziła sobie, jak spotyka się z rodzicami i rodzeństwem.

- Pojadę, ale obawiam się, że to może nie wystarczyć.

- Przypuszczam, że nie. Ale możesz im powiedzieć, co zamierzam. - Spojrzał na jej piękną, niespokojną twarz i pomyślał, że będzie mu jej brakowało, a mimo to czuł ulgę, że uda się do domu. Uprzedził jej pytanie.

- Jeśli plan się powiedzie, wrócisz tutaj. Oczywiście, jeśli będziesz chciała.

- Nasze obowiązki nie uległy zmianie.

- Jesteś jedyną osobą na świecie, która może to zrobić.

Dzięki, że wróciłaś - powiedział Marek.

Noriko roześmiała się.

- Po prostu nie chciałam obcinać włosów.

*

Dwanaście godzin później Noriko była tak otępiła ze zmęczenia, że niemal z wdzięcznością przyłożyła czoło do lśniącej podłogi w sali tronowej, kłaniając się cesarzowi Go-natoku.

- Wasza Wysokość - odezwała się, leżąc plackiem. Schowany za zasłoną cesarz był jedynie pozbawioną twarzy figurą utkaną z jedwabiu i cieni. Tak jak była tego pewna, wstał teraz z tronu i przybrał realną postać: szczupłego mężczyzny po pięćdziesiątce, który wydawał się wyższy niż w rzeczywistości dzięki czarnym grzebieniom lakierowanej korony. Miał pociągłą twarz Tadahito, ale weselszą i bardziej spokojną, pozbawioną pełnego napięcia wigoru. Odniosła wrażenie, jakby ojca nie było wcześniej w pokoju i właśnie przyszedł, przynosząc ze sobą cząstkę nieziemskiej gracji, która po tylu latach stała się jego drugą naturą.

- Moja dziewczynka - powiedział czule, biorąc ją w ramiona.

- Ojczy - rzekła płacząco i wtuliła się w jego ramiona.

Cesarz kołysał ją jak dziecko. Nie okazywał żadnych oznak zdenerwowania kryzysem. Noriko udzielił się jego pozorny spokój.

W końcu wzięła się w garść.

- Częścią wiadomości jest moja obecność. Czy mogę przekazać drugą połowę?

- Słucham cię, Noriko.

- Za trzy godziny Mur dzielący Tokogane i Terranowę zostanie zburzony - powiedziała.

Później wspólnie obejrżeli na ekranie denga, jak upada pierwsza wieża na wybrzeżu Anasasian. Konstrukcja zawaliła się do środka i kiedy opadł pył, mogli zobaczyć, jak kolumna ognia przeskakuje po szarym murze do drugiej wieży, a następnie kolejnej i jeszcze jednej. Den-ga nie pokazał im tego, co widzieli żołnierze, rolnicy i mieszkańcy przygranicznych miast: ognia biegnącego aż po horyzont, przez cały kontynent. Kiedy wreszcie runął cały Mur, pozostała po nim jedynie linia świateł ostrzegawczych sięgająca Atlantyku.

NÓŻ

Na polanie wśród pinii panowała absolutna cisza - nie dobiegały tutaj ani śpiewy ptaków, ani hałas pobliskiej drogi. Dama nie klęczał już na ziemi, tylko położył się na plecach, czując pod sobą piaszczystą ziemię i igły sosen. Nad głową rozciągało się chłodne wiosenne niebo niczym sklepienie utkane z idealnej próżni, która zdawała się rozciągać niczym guma, jak gdyby grawitacja nie istniała lub do tej pory była opatrzenie rozumiana. Był malutką lalką przymocowaną szpilkami do sufitu wszechświata, skąd mógł podziwiać niebieską zatokę. Wokół niego zwisały gałęzie drzew, sięgając w otchłań, jak sople lodu. Nie pamiętał, kiedy ostatnio nabrał powietrza, czyje wypuścił, ale musiało to być dawno temu. Nawet bicie serca wydawało mu się tak odległe, że zupełnie go nie wyczuwał. Zabił ponad tysiąc siedemset osób. Jeśli jego plany się nie powiodą, co wtedy?

Wstał i świat obrócił się wraz z nim, wraz z ziemią pod jego stopami. Jednocześnie zalała go powódź dźwięków. Zapomniał o modlitwach, które przed chwilą składał. Kiedy je szeptał, czuł w sobie pustkę, która mogła być spokojem lub siłą, ale i o tym zapomniał.

Znajdował się na wzgórzu nieopodal farmy. Ulga, jaką przyniosła możliwość wyrwania się choć na chwilę, nie trwała długo. Musiał wracać.

Uwolnieni niewolnicy mieszkający na farmie nie mieli pojęcia, co się dzieje, a nawet gdyby coś usłyszeli, nie wiedzieliby, jaki związek z ich życiem ma ta katastrofa po drugiej stronie Atlantyku. Dama nie chciałaby być ani wśród ignorantów, ani wśród tych, którzy dobrze znali konsekwencje. Tak naprawdę to trudno mu było powiedzieć, czy jeszcze czegoś

pragnie, choćby zwycięstwa. Mimo to będzie brnął dalej. Nie wiedział, co to znaczy poddać się, i teraz tego nie zrobi.

Na podwórku, obok garażu, w którym był Sulien, stał zaparkowany samochód używany przez Mazatla. Dama zatrzymał się, czując jakby oburzenie i nagły niepokój. Rzucił okiem na drzwi garażu, kierowany impulsem, którego dobrze nie rozumiał, ale wszystko było na swoim miejscu. Na straży przed garażem stał Pallas, oparty o ścianę i wyraźnie znudzony. Gdzie jest więc Mazatl? Dama rozejrzał się po podwórku, ale nigdzie go nie dostrzegł. Skierował się pospiesznie do domu i poszedł tam, gdzie Mazatla zdecydowanie nie powinien zastać.

Znalazł go przed drzwiami pokoju Uny. Nie było żadnego strażnika. Mazatl obrócił się, słysząc kroki, ale Dama miał wrażenie, że Mazatl naciskał klamkę.

- Co tu robisz? - spytał Dama.

Mazatl cofnął się od drzwi.

- Musimy porozmawiać, prawda? - powiedział spokojnym tonem.

- Odejdź od drzwi - zażądał Dama. - Nie wzywałem cię. Nie powinieneś być przyjeżdżać.

Mazatl posłusznie zszedł za nim na dół.

- Chciałem zobaczyć, jak się sprawy układają, to wszystko.

- Powinieneś zadzwonić wcześniej - mruknął niechętnie Dama. - Nie możesz przyjeżdżać bez pozwolenia. Masz rację, musimy porozmawiać, ale nie tutaj.

Odetchnął swobodniej, kiedy wyszli na dwór, nie tylko dlatego, że udało mu się odciągnąć Mazatla od Uny. Zbliżenie się do jej pokoju przypominało Damie zejście do kopalni - czuł wzrastające ciśnienie. Byli niewolnicy krzątali się po farmie.

Wszyscy znali swoje zadania; dadzą sobie radę bez niego przez dzień. Una też powinna wytrzymać.

- Pojadę z tobą do Tarkwinii - oświadczył Dama.

Pozwolił Mazatłowi prowadzić, nie było potrzeby, żeby męczył się za kierownicą. Kiedy tylko minęli bramę, Mazatł obrócił się do niego.

- Słyszałem, że dziewczyna nie chce jeść?

Dama sztywno skinął głową w odpowiedzi. Mazatł zaważał się i zaraz dodał sztucznie żartobliwym tonem:

- Sama się prosi, żeby skrócić jej męki.

Dama nie odpowiedział od razu.

- Musimy omówić przyszłość całego projektu, a nie kwestię dziewczyny.

- Dama, mówię poważnie. Trzy zamachy w nioniańskiej Terrano-wie powinny były załatwić sprawę, ale tego nie zrobiły. Żadnej reakcji. Minie sporo czasu, zanim uda nam się przygotować kolejny atak. Z tego, co widzę, ci więźniowie nie są ani trochę mniej niebezpieczni, przynajmniej do czasu, aż uda nam się osiągnąć cel, a nie mamy pojęcia, kiedy to się stanie.

Dama zacisnął zęby.

- Jeśli nie zrezygnuje z głodówki, to i tak będzie martwa do tego czasu - ciągnął nieubłaganie Mazatł. - Sama się o to prosi. Po co ryzykować? Jest jeszcze tych dwoje, z którymi też trzeba zrobić porządek.

Dama wyglądał przez okno, niezdolny skupić wzroku na czymkolwiek.

- Nie, Mazatł - mruknął w odpowiedzi. Nic więcej nie miał do powiedzenia, nie miał żadnych argumentów, które mógłby przeciwstawić logice Mazatła. Mimo to spróbował wyjaśnić. - Czy jest coś złego w tym, że próbuję ją ochronić? Bo

mam wobec niej dług wdzięczności? Ze zwykłego poczucia przyzwoitości? To na prawdę takie straszne?

Mazatl odchrząknął z pogardą, ale kiedy spojrzął na Damę, w jego wzroku można było dostrzec współczucie.

*

W piwnicy Lal odchodziła od zmysłów z nudów i samotności. Nawet Una rzadziej dawała znaki, że żyje. Dwie noce wcześniej Lal obudził krzyk, który wzięła za głos Uny. Było to coś jak jęknięcie, po którym ktoś trzasnął drzwiami. Od tego czasu nikt nie odpowiadał na stukanie w rury. Ta samotność napawała ją niewytłumaczalnym lękiem. Chwilami musiała walczyć z koszmarnymi podejrzeniami. Powtarzała sobie, że to nie są rozsądne myśli, że nie mogą być prawdziwe. Dama nie skrzywdziłby Uny. Na pewno.

Zadręczała każdego, kto przynosił jej jedzenie lub zabierał puste talerze.

- Nie odchodź jeszcze, proszę. Nie jestem taka straszna. Przecież nawet mnie nie znasz. Porozmawiaj ze mną. - Większość osób ignorowała ją, ale w ciągu ostatnich kilku dni parę osób wymamrotało coś w rodzaju przeprosin, a nawet spytało ją, czy czegoś potrzebuje. Dzisiaj, przy śniadaniu, nakłoniła jedną kobietę do luźnej pogawędki o pogodzie. Nigdy jednak nie widziała dwa razy tej samej osoby i mogła jedynie liczyć na minimalną zmianę monotonii dnia. Ta nuda pchała ją do jak najszybszego zrealizowania ich planu. Do tej pory powstrzymywała ją myśl, że choć odnosi wrażenie, iż siedzi tu już całą wieczność, to tak naprawdę nie minęło wiele dni, odkąd Sulien poinformował Damę, że można się spodziewać nawrotu jej choroby. Miała tylko jedną szansę. Świadomość, że niemal na pewno nikt jej nie szuka, była przygnębiająca. Poznała ostat-

nio w Rzymie nowych ludzi, ale nikogo, kto by się przejął jej kilkudniowym zniknięciem. Ludzie w klinice na pewno zauważyli nieobecność Suliena i zgłosili to wigilom. Kiedy wigilowie skojarzą, że Una także zniknęła i że była wcześniej kochanką Marka, najpewniej uznają, że Sulien zabrał siostrę z Rzymu na czas uroczystości weselnych, jak rzeczywiście zamierzał uczynić. Mógł dziwić fakt, że nie powiadomił nikogo o wyjeździe, ale prościej było złożyć to na karb roztargnienia, niż podejrzewać porwanie.

Z góry dobiegł ją dźwięk zamykanych drzwi. Lal podniosła z ziemi jeden z magazynów, otworzyła go i patrzyła przez chwilę na słowa, które знаła na pamięć. Nagle cisnęła nim z wściekłością przez całą piwnicę.

W tej samej chwili rury zadźwięczały od trzech silnych uderzeń.

Lal poderwała się z ziemi i podbiegła do ściany.

- Co się z tobą działo?! - krzyknęła i wystukała odpowiedź.

Tak jak pierwszego dnia, Una wystukała w odpowiedzi ten sam rytm co Lal.

- Martwiłam się o ciebie - dodała Lal, siadając na ziemi i uderzając w rurę. Roześmiała się na myśl, że zachowuje się, jakby ktoś mógł ją słyszeć.

Una powtórzyła ten sam sygnał, a później jeszcze raz, tyle że mocniej. Przez sekundę Lal sądziła, że Una nie daje jej znaku, tylko na nowo podejmuje swój głośny protest. Jednak w piwnicy zapadła cisza. Lal niepewnie zastukała w rurę i natychmiast usłyszała, jak Una wybija ten sam rytm, tyle że z niespotykaną gwałtownością.

Lal cofnęła dłoń jak oparzona, nie wiedząc, co o tym sądzić. Przez chwilę siedziała nieruchomo, patrząc w sufit. Czy

Una mogła poznać jej plany? Lal przygotowywała się pilnie od kilku dni, powtarzając swoją rolę niczym aktorka, ciągle dodając nowe szczegóły. Czy Una mogła jakoś się domyślić? Zastukała ponownie, pytająco.

- Teraz? Dziś? - spytała na głos.

Rurami wstrząsnęło wściekłe pukanie. Lal wstrzymała oddech.

Wciąż niezdecydowana przyłożyła dłoń do gorącego metalu, krzywiąc się z bólu. Może jednak to jakieś nieporozumienie, może nawet nie było żadnej wiadomości, którą mogłaby odczytać. Bez względu na to, co zmusiło Unę do milczenia, musiała teraz czuć się równie osamotniona i spragniona kontaktu jak Lal.

Zanim jednak myśl w pełni sformułowała się w jej głowie, usłyszała własne słowa, jakby powtórzyła je nieświadomie lub raczej jakby ktoś je nagrał i teraz jej odtwarzał.

- Teraz. Dziś.

Lal roześmiała się cicho. Miała wrażenie, że coś jej każe skupić się na tych słowach, coś z zewnątrz. Chwilę później ta obca siła zniknęła, jakby nigdy jej nie było, i Lal znowu nie wiedziała, czy nie był to jedynie wytwór jej fantazji. Każdego dnia odosobnienia jej myśli stawały się coraz dziwniejsze, coraz mniej przypominały jej własne. Zaczęła jednak czynić przygotowania.

Około południa do piwnicy zszedł mężczyzna z jedzeniem. Lal rzuciła mu pełne desperacji spojrzenie. Siedziała na materacu, cała mokra, trzęsąc się jak w gorączce i próbując otulić się cienkim kocem.

- Proszę, nie odchodź. Źle się czuję. Jest mi zimno. Proszę.

Mężczyzna patrzył na nią z niepokojem, ale wyszedł z

celi, nie odzywając się ani nie podchodząc bliżej. Lal pozostała w tej pozycji przez całą godzinę, gotowa wznowić grę, gdyby tylko mężczyzna wrócił czy przysłał kogoś. Nikt się jednak nie pojawił. Lal uwzględniła to w swoich planach. Po zmierzchu mieli większe szanse na ucieczkę. Teraz, kiedy już zaczęła i sprawy toczyły się swoim torem, z trudem panowała nad nerwami. Na myśl, że jej wysiłki mogą spotkać się z obojętną reakcją, omal się nie rozpląkała. Miała uczucie, że nieodwracalnie mija jakaś szansa, na którą Una chciała zwrócić jej uwagę. W końcu zrzuciła niecierpliwie koce i pobiegła cicho po schodkach ku drzwiom, skąd mogła lepiej słyszeć, co się dzieje w domu. Żałowała, że nie ma zegarka. Musiała działać najwyżej parę minut przed pojawieniem się odwiedzającej ją osoby, inaczej jej ciało wracało do naturalnej temperatury. Przez następne godziny siedziała skulona na ostatnim schodku, zagryzając wargę i obgryzając paznokcie, pełna niepokoju i znudzenia. Czekwała, aż ludzie zaczną się zbierać w kuchni i dobiegnie ją brzęk garnków.

Kiedy nadszedł czas kolacji, zbiegła na dół i owinęła prześcieradło oraz pospiesznie zdjętą sukienkę wokół rur z gorącą wodą. Pomiedzy rurami trzymała kubek z ciepłą wodą. Bała się, że to za mało. Wyprostowała kawałek materiału, żeby zabezpieczyć skórę przed poparzeniem, i złapała dłońmi za rury, a następnie przyłożyła je do policzków. Ostatni krok był najtrudniejszy. Uklęknęła na ziemi, złapała dłońmi rury i krzywiąc się, przyłożyła czoło do rozgrzanego metalu. Trzymała je tak długo, jak tylko mogła wytrzymać.

*

Zostawili mu lampę, stawiając ją na betonowej podłodze przy samych drzwiach. Sulien siedział oparty o ścianę, czeka-

jąc, aż ktoś przyjdzie zabrać pusty talerz. Obserwował komarnicę, którą zwabiło światło. Jedzenie było całkiem znośne i Sulien zawsze starał się czerpać z niego maksimum przyjemności, zwłaszcza że była to jego jedyna rozrywka w ciągu dnia. Podobnie jak Lal starał się zagadywać do odwiedzających go ludzi, jednak w przeciwieństwie do niej nie wyglądał na przeziłą i zupełnie niegroźną osobkę. Wszyscy wiedzieli, że w pierwszych dniach próbował wyrwać się i uciec z więzienia. Teraz sprawiał wrażenie zrezygnowanego i pogodzonego z losem. Czekał na ruch Lal. W przeciwieństwie do niej nie mógł się także przygotować. Nie wiedział nawet, czy podjęła już jakąś nieskuteczną próbę przekonania swoich oprawców, że ma nawrót choroby. Nawet jeśli tak, to Sulien nie miał pojęcia, jak zareagują.

Komarnica zataczała łaty do przewidzenia wzór, coś na kształt pijanego pięciokąta. Sulien nie był na tyle zdesperowany, żeby polubić zwierzęta przebywające w garażu, wzorem więźniów, którzy przygarniali szczury lub ćmy odwiedzające ich cele. Był dostatecznie znudzony, żeby je wszystkie policzyć i zakładać się z samym sobą, w którą stronę pajak rozbuduje swoją sieć w kącie garażu czy jak szybko stonoga przejdzie na drugą stronę podłogi. Ciekaw był, czy komarnica znajdzie coś do jedzenia, czy też uwięziona przypadkiem zdechnie z głodu lub wyląduje w sieci pajaka. Jej nieregularny lot zdawał się równie bezcelowy, jak jego gapienie się na nią. Owad trzepotał skrzydełkami ani nie szukając jedzenia, ani nie starając się znaleźć drogi ucieczki.

Nagle otworzyły się drzwi. Ponieważ była to ostatnia sposobność na zobaczenie tego dnia świata zewnętrznego, Sulien najpierw skierował wzrok ku niebu. Wyglądało, jakby miało dwa pułapy: ciemne chmury zbierające się na horyzon-

cie miały gdziekolwiek kolor jasnoniebieski, jakby ktoś nalepił na nie kawałek wydarty z innego dnia czy innej godziny. Opuścił wzrok na dwóch mężczyzn, spodziewając się, że jeden z nich zabierze talerz, podczas gdy drugi będzie stał, gotów rzucić się na Suliena, gdyby ten się poruszył.

Zamiast tego obaj podeszli, schwycili go za ramiona i poderwali z podłogi. Sulien zdrętwiał. Przemknęło mu przez myśl, że Dama zmienił zdanie i postanowił go zabić.

- Chodzi o twoją przyjaciółkę - powiedział jeden z mężczyzn, potrząsając nim. - Musisz pójść z nami i jej pomóc. Tyłko nie próbuj żadnych sztuczek.

Sulien uspokoił się trochę i poszedł z nimi bez oporu, ale gdy mijał ogrodzenie, rzucił niespokojne spojrzenie na bramę. W głębi duszy liczył, że przyniosą Lal do niego. Idąc, wyteżał wszystkie zmysły. Bał się, że nie widzi wyraźnie otoczenia, że przez niego diabli wezmą ich plan. Na podwórku nie było wielu ludzi, jako że powoli robiło się ciemno i większość udała się na posiłek. Przynajmniej to było dobre. Budynek musiał być pełen ludzi. Sulien nie znał jego rozkładu, wiedział jedynie, że Lal jest trzymana w piwnicy. Jeśli wejście do piwnicy prowadziło przez kuchnię lub inne pomieszczenie, gdzie byli ludzie, to pewnie wiele nie zdoła.

Idąc przez główny hol, zaglądał w mijane izby. Zaprowadzono go do wąskich drzwiczek pod schodami. Z kuchni wyszło parę osób i przyglądało mu się z zaciekawieniem. Miał wrażenie, że ludzie z korytarza wrócili do kuchni, kiedy wpuszczono go do środka. Może więc ludzie wchodzą i wychodzą, ale nie krążą swobodnie po całym domu.

Lal leżała na materacu z włosami przylepionymi do rozpalonej twarzy, jęcząc i rzucając się w malignie. Obok jej ręki leżał wywrócony dzbanek z wodą. Sulien omal się nie

uśmiechnął, ale w tej samej chwili usłyszał szcęk klucza przekręcanego w zamku. Jeden z mężczyzn został z nim w piwnicy, a drugi stanął przed drzwiami na straży. Lal uchyliła powieki i ostrożnie spojrzała na Suliena. Szybko zamknęła oczy. Na razie nie mieli żadnej możliwości porozumiewania się. Sulien nachylił się nad nią, żeby sprawdzić puls i temperaturę.

- Lal - powiedział z niepokojem w głosie. - Lal, to ja. Słyszysz mnie? - Lal posłusznie kręciła tylko głową, nie reagując na jego słowa. Sulien, który przez chwilę wstrzymywał oddech, wypuścił powietrze. Zabrzmiało to tak, jakby z trudem hamował niepokój. Zastanawiał się w pośpiechu, co robić. - Wiedziałem, że tak będzie - rzekł oskarżyciel-skim tonem. Czuł, że mięśnie twarzy w każdej chwili mogą go zdradzić. Starał się wmówić sobie ze wszystkich sił, że choroba Lal jest prawdziwa. - Wystarczy spojrzeć na to miejsce. Czy ktokolwiek wytrzymałby w tych warunkach? - Przy schodkach wisiała pojedyncza żarówka, która rzucała skąpe światło. - Za ciemno tutaj. Muszę mieć więcej światła.

- Myślałem, że potrafisz dotknąć człowieka i...

- To trzeba było mnie wcześniej do niej przyprowadzić - przerwał mu rozgniewany Sulien, usiłując zastraszyć strażnika, żeby ten nie zadawał pytań. Poderwał się z ziemi i stanął przed nim, wykorzystując swoją przewagę wzrostu. - Ona może umrzeć, ponieważ zostawiliście ją bez pomocy. Przynieś mi jakieś światło.

Starszy mężczyzna skrzywił się i zawahał.

- Sam nie wiem. Może jak Dama wróci.

Damy nie było na farmie. To dobra wiadomość.

- Kiedy tu będzie?

- Chyba jutro rano.

- Co? To za późno! - wrzasnął Sulien. - Przyprowadziliście mnie do niej, żebym pomógł. Jeśli nie chcesz tłumaczyć się z jej śmierci, to przynieś mi wszystko, czego potrzebuję!

Mężczyzna wrzucił ramionami i wyszedł. Sulien widział, jak Lal wsłuchuje się w odgłos otwieranych i ponownie zamykanych drzwi. Usiadł obok niej na materacu.

- Cześć - powiedział.

Lal odgarnęła włosy z twarzy.

- Co robimy? - szepnęła.

- Nie mam pojęcia.

- Przynajmniej posłuchał twojego polecenia. Nie wiesz, czy jest sam?

- Jest co najmniej jeszcze jeden przy drzwiach i to właśnie on ma klucz.

- Trzeba go tu jakoś zwabić - powiedziała Lal.

Spojrzeli na siebie. Sulien skinął głową.

- Już? - spytała niepewnie Lal.

Sulien podniósł dzbanek i zważył go w dłoni, a następnie odstawił na ziemię. Szybko rozejrzał się po piwnicy. Wstał i zaczął rozglądać się za czymś solidniejszym od dzbanka.

- Nie jestem pewien. Lepiej nie. Nie ma czasu, żeby wdawać się z nim w bójkę; wszyscy by się tu zlecieli. Muszę go czymś ogłuszyć, a nie widzę tutaj nic, co by się nadało do tego celu.

- Robiłeś to już kiedyś?

- Nie - przyznał Sulien, wciąż rozglądając się po małym pomieszczeniu. Lal podczołgała się do rur z gorącą wodą i rozgrzewała sobie twarz. Więc tak to zrobiła, pomyślał z podziwem i uśmiechnął się.

- Co mam robić? Powinnam coś zmienić?

- Nie, świetnie ci idzie. - Wspiął się na pierwsze schodki.

Zatrzymał się nagle i obrócił do niej. - Poczekaj - powiedział. - Odrzuć głowę do tyłu.

Lal wykonała posłusznie polecenie.

- Co robisz?

Sulien podszedł do materaca.

- Widziałaś kiedyś, jak ktoś ma atak?

Lal pokręciła przecząco głową. Próby pokazania jej, jak powinna się zachować, doprowadziły ich do granicy histerycznego śmiechu.

- Jeszcze nie - szepnął w pośpiechu Sulien, kiedy usłyszeli szcęk zamka. - Zachowuj się jak poprzednio.

Zamknęła powieki i zaczęła oddychać szybko i płytko. Mężczyzna zszedł na dół z solidną latarką w rękę.

- Dzięki - powiedział Sulien, wyciągając rękę.

Udał, że ogląda źrenice Lal w świetle latarki. Położył jej rękę na czole i na chwilę zamarł w bezruchu, jakby koncentrował się na czymś.

- No i?

Sulien spojrzał na mężczyznę znużonym wzrokiem.

- Sądzę, że opanuję gorączkę. Ale jest silnie odwodniona.

- Wskazał na wywrócony dzbanek. - Przynies świeżej wody. Mam nadzieję, że będzie mogła przełykać o własnych siłach, bo raczej nie podam jej tu kroplówki.

Tym razem mężczyzna wziął dzbanek bez zbędnych protestów. Przyniesienie wody nie zajmie wiele czasu.

- Weź ze sobą jakąś gąbkę - dodał szybko Sulien. - Przydadzą się także świeże prześcieradła.

Mężczyzna nie wyglądał na zadowolonego, ale nic nie odpowiedział. Sulien nie był przekonany, czy spełni wszystkie jego żądania, ale nie wiedział, jak zyskać więcej czasu. Mieli zaledwie kilka minut. Musieli jeszcze poczekać, aż mężczyzna

znajdzie się poza zasięgiem słuchu. Lal leżała sztywno na materacu, czekając na znak Suliena. Obojgu strach ścisnął gardło.

Sulien zerwał się nagle z ziemi i pobiegł po schodkach, wołając stojącego za drzwiami strażnika.

- Pomocy. Szybko! Ona nie może oddychać!

Cofnął się o krok, patrząc na drzwi z zaciśniętymi pięściami. Strażnik wszedł do piwnicy, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Sulien położył latarkę w nogach posłania Lal, tak że jej twarz pozostawała w cieniu. Słysząc było jedynie okropne rżenie, które tylko potęgowało grozę sytuacji. Sulien przywołał mężczyznę niecierpliwym gestem, prawie pociągnął go za rękę, żeby ten ukucnął przy nim.

- Nie może oddychać. Musisz ją przytrzymać przez chwilę, gdy ja...

Mówiąc to, jednocześnie sięgał po latarkę. Wzdrygnął się, czując zimny metal pod palcami, ale kiedy wziął ją w rękę, wszystkie opory zniknęły. Walnął strażnika z całej siły w podstawę czaszki i mężczyzna upadł twarzą na Lal, która krzyknęła z przerażenia, by po chwili zepchnąć go z siebie. Parę kropli krwi trysnęło jej na twarz.

- Gdzie jest klucz? - spytała szybko. Sulien siedział jak sparaliżowany i dopiero kiedy Lal zaczęła przewracać mężczyznę na plecy, zaczął jej pomagać. Lal drżącymi dłońmi przeszukała kieszenie nieprzytomnego.

- Mam! - zawołała.

Sulien nachylił się nad nieruchomym ciałem. Był błydy i wyglądał, jakby miał zemdleć.

- Chyba nic mu nie będzie.

- Nic na to nie poradzisz. Musimy iść! - krzyknęła, ciągnąc go w stronę schodów. Podbiegła do drzwi i otworzyła zamek, a następnie uchyliła je troszeczkę. Z kuchni dobiegały

stłumione odgłosy rozmów, jakieś kroki w korytarzu. Przez szczelinę w drzwiach nie mogli wiele dojrzeć. Musieli iść, licząc, że szczęście im dopisze. Lal zamknęła drzwi na klucz i oboje rzucili się biegiem. Dopiero przy drzwiach frontowych zorientowali się, że nikt ich nie ściga. Nikt jeszcze nie zauważył ich ucieczki.

- Gdzie jest Una? - spytał szeptem Sulien.

- Gdzieś na górze - rzuciła przez ramię Lal, uchylając drzwi i ostrożnie wyglądając na dwór. W półmroku widziała jedynie sylwetki kilku osób kręcących się wokół kurnika i zaganiających kury na noc. Ktoś niósł skrzynki z jedzeniem do domu.

- Widziało nas tylko parę osób - szepnęła Lal, spoglądając na bramę. - Powinno nam się udać.

Ku swojemu przerażeniu zobaczyła, że Sulien kieruje się w stronę schodów prowadzących na piętro.

- Złapią nas - syknęła, przytrzymując go za rękaw. - Ten drugi facet za chwilę wróci do piwnicy.

- Muszę się jakoś dostać na górę. Nie zostawię tu Uny.

- Zostawisz - zgromiła go Lal szeptem przypominającym krzyk. - Uciekniemy i wezwiemy wigilów. Tylko tak możemy jej pomóc. Inaczej wszyscy tu zostaniemy.

Sulien rzucił błagalne spojrzenie na schody.

- Jak zorientują się, że uciekliśmy...

- Dama jej nie skrzywdzi - zapewniła go, zapominając o swoich najgorszych obawach. Złapała go za rękę i z całej siły pociągnęła za sobą.

Szli szybko, ale nie prosto do bramy, tylko trochę w bok, ku jednej z nieoświetlonych szop. Sulien złapał pierwszą z brzegu taczkę i zaczął ją pchać przed sobą. Idąca obok niego Lal instynktownie zgarbiła się, wtulając głowę w ramiona.

- Nie rób tak - szepnął Sulien. - Gdybyśmy byli dwójką ludzi, którzy tu mieszkają i idą coś przynieść, to nie spuszczałibyśmy głów. Mów coś do mnie.

Lal całym wysiłkiem woli zmusiła się do wyprostowania.

- Nic mi nie przychodzi do głowy - szepnęła. - Pierwszy raz w życiu.

- Opowiedz mi jakiś dowcip - podsunął jej Sulien.

Byli w połowie drogi, kiedy z domu dobiegły ich gniewne okrzyki. Na widok ludzi wypadających z domu, ze stodoły i z szop, Sulien i Lal zanurkowali w cień rzucany przez opustoszały magazyn. Byli już przy bramie, kiedy zobaczyli, że ktoś idzie z przeciwnej strony - najpewniej wracał z pola do domu. Z mroku wyłoniła się anonimowa postać i dopiero z bliższej odległości widać było, że to kobieta - dziewczyna z jednym okiem, bez ręki.

Sulien i Lal znieruchomieli, trzymając się za ręce. Bupe odwróciła głowę, jakby zamierzała spojrzeć w bok, ale w rzeczywistości chciała na nich popatrzeć zdrowym okiem. Nie odezwała się. Sulien otworzył usta w jakiejś błagalnej modlitwie, ale nie powiedział ani słowa, tylko patrzył na nią. Dziewczyna miała nieprzyjemnie ponury wyraz twarzy, który nie zmienił się, kiedy minęła ich, odwracając głowę w drugą stronę, żeby nie widzieć ich ucieczki. Jakby nigdy nic poszła wolno w stronę domu. Sulien i Lal zaczęli w pośpiechu wdrapywać się na szczyt wąwozu, oddalając się od światła.

*

Una leżała na łóżku, koce przykrywały jej twarz niczym warstwa śniegu. Bolały ją kości, a krew krążyła leniwie żyłami. Wstrząsały nią zimne dreszcze, które nie zniknęły, nawet kiedy

spała. Śniło jej się, że leży na kamieniach i patrzy na płatki śniegu padające jej na twarz. Obudziła się, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, spodziewając się, że zobaczy nocne niebo wysadzone migoczącymi gwiazdami. Sulien i Lal uciekli jakieś dwie godziny temu. Na zewnątrz panowało ledwo kontrolowane zamieszanie. Słyszała walenie drzwiami, podjeżdżające i odjeżdżające samochody. Una nie poruszała się pod kocami, uśmiechając się smutno do swojego śnieżnego snu.

Ktoś zbliżał się do jej pokoju. Odrzuciła koce i podniosła się z trudem na łokciach, gdy drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Dama wraz z potężnie zbudowanym mężczyzną.

Spodziewała się, że będzie wściekły i żądny zemsty, ale wyglądał niezwykle delikatnie, a w jego oczach kryło się zmęczenie.

- Wiedziałaś - rzekł. Nie było to ani pytanie, ani nawet wyrzut.

Nikt na farmie nie znał lokalizacji innych grup i nie mógł się z nimi skontaktować; Dama nie powierzyłby takiej informacji nowo przybyłym.

Wcześniej mijały tygodnie, a nawet całe miesiące, kiedy nikt na farmie nie widział go i nie wiedział, co się z nim dzieje. Teraz jednak zadzwonił, gdy tylko dojechał do Tarkwinii. Napiecie, które emanowało z tego pokoju, nie opuściło go przez całą drogę.

- Uciekli - odparła Una. - Nie ma znaczenia, czy ja zostanę, czy odejdę. Nie musisz mnie nigdzie zabierać.

Dama patrzył na nią posępnie. Mógłby ją zostawić, gdyby nie dopuścił do niej wcześniej Mazatla, i to dwa razy. Una pewnie nie wiedziała więcej niż Lal czy Sulien, ale nie miał sposobu, żeby to sprawdzić. Najpewniej wiedziała o Tarkwinii.

- Nie - rzekł stanowczo i zwrócił się do Baro. - Weź ją.

Una zwiesiła nogi z łóżka i usiadła. Nie protestowała, kiedy Baro wziął ją za ręce i skrepował je grubą taśmą klejącą. Posłusznie wstała z łóżka. Zachwiała się i potknęła przy pierwszym kroku. Kiedy Baro złapał ją i zarzucił sobie na ramię, Una jakby się obudziła. Zaczęła rzucać się i wyrywać oburzona takim traktowaniem.

- Nie dotykaj mnie. Pójdę sama. Nie mogę uciekać, ale nikt nie będzie mnie niósł.

Baro najchętniej by ją zignorował, ale Dama się zgodził.

- Jeśli chce, to niech idzie sama.

Baro postawił ją na ziemi i sprowadził po schodach. Zawroty głowy minęły i choć serce waliło jej w piersiach, kiedy Baro popychał ją do przodu, już się nie bała, że upadnie. Dama oglądał kiedyś u Delira w Holzarcie, jak się tworzy szczegółowe plany ewakuacyjne. Una nie miała wątpliwości, że do pojawienia się wigilów obóz zostanie zlikwidowany.

Podeszli do samochodu, którym Dama przywiózł ją z Rzymu. Baro otworzył drzwi i wepchnął ją do środka.

- Nie chcesz, żebym prowadził? - spytał, gdy Dama usiadł za kierownicą.

- Ona jedzie ze mną - odparł Dama. Baro spojrzął zdziwiony, ale zaraz wzruszył ramionami i pobiegł do grupy wsiadającej na pakę ciężarówki. Dama poczekał, aż wszyscy wyjadą z farmy. Cieszył się, że nie musi wyjaśniać, czemu zabiera Unę ze sobą, czemu nie może ryzykować zostawienia jej pod czyjąkolwiek opieką. Nie miał pojęcia, co z nią zrobić, ale bez względu na to, co postanowi, to była jego sprawa i jego decyzja. Niczyja inna. Kiedy ostatnia ciężarówka minęła bramę, Dama ruszył za nimi. Obudził się znajomy ból i oddech Damy stał się szybszy.

Una leżała na siedzeniu z tyłu wozu, dokładnie w takiej

samej pozycji, w jakiej położył ją Baro.

- Dokąd mnie wiesziesz? - spytała lekko nieprzytomnym głosem.

Dama wyjechał z podjazdu na leśną ścieżkę. Una spojrzała w ciemność panującą za oknem.

- Zdecydowałeś już? - spytała miękkiem, jakby nieobecny głosem. - Jesteś gotów to zrobić?

Dama zmarszczył brwi i nic nie odpowiedział. Una zamknęła oczy, westchnęła znużona i przez długą chwilę leżała tak cicho i nieruchomo, aż zaczął podejrzewać, że znowu zasnęła.

- Dama - powiedziała nagle z jakimś dziwnym pośpiechem.

- Co? - spytał rozeźlony Dama.

- On mnie zabije.

- O czym ty mówisz? - Dama zmusił się do patrzenia na drogę.

- Ten człowiek, z którym dziś wyjechałeś. Ten, który stał pod moimi drzwiami. Zrobi to przy pierwszej okazji.

Dama zacisnął dłonie na kierownicy tak mocno, jak tylko odrętwiałe palce pozwalały, czując ból promieniujący przez ramiona.

- Nie dotknie cię. Nie złamie rozkazu.

- Tak uważasz? - spytała szyderczo Una i Dama się skrzywił. Spojrzała na drzewa. - Nie wiem, co myślisz ani co zamierzasz zrobić, ale w jego myślach czytam jak w książce. Nie możesz mnie pilnować cały czas.

- Niech mu Bóg pomoże, jeśli się do ciebie zbliży. Zabiję go.

- Owszem - przyznała Una. - On to wie. Ale i tak to robi. Zrobi to dla ciebie, bo wie, że ty nie potrafisz.

Nagle samochód zahamował i oboje polecili do przodu. Dama stęknął cicho, ale nie puścił kierownicy i patrzył na drogę, jakby nie zauważył, co się stało, czy też nie miał pojęcia, czemu się zatrzymali. W końcu pozwolił rękom opaść na kolana, oparł się o siedzenie i zamknął oczy.

- Powinnaś była dołączyć do mnie, kiedy cię poprosiłem - rzekł, obracając się, by spojrzeć na nią. - Powinnaś zgodzić się wtedy w jaskini koło Wilczego Kroku. Teraz byś zrozumiała, jakie stoi przed nami zadanie, i zrobiłabyś wszystko, żeby osiągnąć cel. Byłabyś po mojej stronie.

Dama wierzył w każde swoje słowo, ale Una sprzeciwiała mu się tak długo, że i teraz spodziewał się usłyszeć, jak zaprzecza. Leżała jeszcze bardziej nieruchomo niż do tej pory, a jej spojrzenie skierowane było gdzieś w głąb siebie.

- Tak, może masz rację - szepnęła. Spojrzała mu w twarz. -A może ty byś nigdy nie stał się taki.

Dama sięgnął lewą ręką do kieszeni i wyjął nóż. Una zdrżała na jego widok. Poznała ciężki i nieporęczny nóż, który wiózł ze sobą z Galii do Rzymu. Dama chciał jej go kiedyś dać, żeby zabiła szpiega przysłanego do Holzarty.

- Już taki byłem - powiedział. Wymówił te słowa prawie bez troski, jakby na przekór rozpaczy, która malowała się na jego twarzy. Przeciął taśmę krępującą jej nadgarstki.

Una przeniosła wzrok od swoich rąk na jego twarz, ale nie mogła na niego patrzeć.

- Żegnaj - mruknęła i wysliznęła się z samochodu.

Dama odwrócił się i spoglądał na nią. Trzeba będzie ewakuować także Tarkwinię. Nie wydawało mu się to teraz aż tak ważne, jak kiedyś sądził. Una szła chwiejnym krokiem, ale się nie zatrzymywała. Będzie tak szła, aż dotrze do celu. Dama siedział nieruchomo, dopóki nie znikła mu z oczu.

Ruszył wolno przed siebie na północ, uspokojony bezmyślną prostotą, jakiej wymagało zrealizowanie planu, który stworzył przed odwiedzeniem Uny w Rzymie. Jakąś godzinę później, kiedy jechał pomiędzy łanami zboża, zatrzymał wóz i przyłożył ręce do twarzy. Nie miał pojęcia, ile czasu tak siedział.

ŚWIATŁO OGNI

Una z wyciągniętymi przed siebie rękami szła ostrożnie w całkowitych ciemnościach. Potknęła się raz i upadła. Przez minutę klęczała na czworakach, dysząc ciężko, zanim zdołała zebrać siły i wstać, przytrzymując się cienkich gałęzi. Ruszyła dalej drogą, którą przyjechali.

Gdzieś przed nią błysnęły w ciemnościach zamglone reflektory samochodu. Spodziewała się ich od dłuższego czasu; tak długo, że przestała o tym myśleć, tak jak dawno temu przestała myśleć o jedzeniu. Wyszła na środek drogi i podniosła rękę.

- Jestem Una Nowiana - powiedziała siedzącym w środku wigilom.

Kiedy powiedziała im, co się stało, i wsiadła do wozu, natychmiast zasnęła lub zemdląła na tylnym siedzeniu. Jakiś czas później obudziła się i doznała wstrząsu na widok dwóch męskich twarzy patrzących na nią. Samochód zatrzymał się na poboczu i wigilowie oglądali ją z niepokojem. Una dostrzegła światła alarmowe mijających ich wozów wigilów, którzy jechali na farmę.

- Głodzili panią? - spytał z oburzeniem młody sierżant.

- Nie - odpowiedziała. - Sama odmawiałam jedzenia.

Spojrzeli na nią ze zdziwieniem, ale Una nie miała sił, żeby im to teraz wyjaśniać. Jeden z nich nachylił się nad nią zatroskany.

- Najwyższy czas, żeby pani przestała.

Zawieźli ją na posterunek w najbliższej wsi. Po małym zamieszaniu, które wywołało ich wejście i na które Una nie zwracała uwagi, podano jej miskę owsianki. Patrzyła na nią w milczeniu. Całe życie uczyła się nienawiści do wigilów i teraz

nie potrafiła zaakceptować ich życzliwości.

- Niech pani je - poprosił sierżant.

Trzymała łyżkę w ręku, jakby nie wiedziała, co z nią zrobić.

Una uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Przez pierwsze dwa dni byłam głodna. Potem już nic nie czułam. - Ku swojemu zdziwieniu przekonała się, że pierwsze kilka łyżek smakowało wręcz wybornie. Potrzebowała jednak sporo czasu, żeby skończyć całą miskę, i z początku czuła się jeszcze bardziej wyczerpana i chora.

Do małego pomieszczenia wszedł jakiś oficer. Una siedziała przy stole, czytając krótki raport z jej relacji, mrugając ospale.

- Cezar prosi, żeby przyjechała pani do pałacu.

Una uniosła głowę z wahaniem.

- Już wam wszystko powiedziałam. Nie muszę mu tego powtarzać.

- Tak, ale cesarz chciał panią zobaczyć. Pani brat i przyjacielka już tam są.

Una zamknęła oczy, czując, jak wypełniają się łzami. Nie mogła się klócić ze wszystkimi. Pewnie, że chciała ich zobaczyć. Tak naprawdę to nie miała siły, żeby przeciwstawić się temu pragnieniu. Zabrakło jej sił na jakikolwiek opór.

- Dobrze - zgodziła się. - Ale najpierw chcę jechać do domu i przebrać się. Muszę też wstąpić do łaźni. Nie mogę pokazać się w pałacu w takim stanie.

Kiedy wjechali do Rzymu, poczuła, że odzyskuje siły. Jej umysł rozjaśnił się, a zmęczenie zaczęło mijać. W wielkiej łaźni na Polu Marsowym szybko odzyskiwała formę, kąpiąc się, odpoczywając w łaźni parowej, nacierając skórę olejkami i myjąc włosy. Leżała tak długo w caldarium, aż poczuła, jak

znika zimno przenikające jej kości. Wreszcie podeszła do lustra. Kiedy zrobiła wszystko co możliwe, obejrzała swoje odbicie, westchnęła i odwróciła wzrok. Nie wyglądała dobrze, ale nie szokowała już, a poza tym wygląd da się poprawić. Kilka kobiet w łaźni rzucało jej pełne współczucia czy odrazy spojrzenia, ale nie wszystkie. Było wiele niewolnic, które wyglądały gorzej od niej.

Una nie wiedziała, gdzie się podział klucz do jej mieszkania, i sierżant musiał wyważyć drzwi. Rozglądała się po czystych, bezosobowych pokojach, jakby to było mieszkanie kogoś obcego. Z poczuciem, że kradnie czyjąś własność, włożyła elegancką niebieską sukienkę, której nie miała na sobie od rozstania z Markiem, a na to zarzuciła luźną tunikę. Było to dosyć ciepłe ubranie jak na wiosnę, ale kilka warstw materiału zasłoni jej wychudzone ciało, a Una z wdzięcznością rozkoszowała się ciepłem, jakie czuła na skórze. Musiała znowu podejść do lustra, żeby umalować się i ułożyć włosy. Nie starała się wcale wyglądać atrakcyjnie czy nawet ukryć skutki głodówki, co byłoby niemożliwe. Chciała jedynie sprawiać wrażenie opanowanej, żeby nikt nie dostrzegł jej słabości, żeby nie wziął jej za uciekinierkę.

Na dworze zaczęło padać. Samochód wigilów zawiózł ją przez Tyber do pałacu, mijając po drodze Koloseum. Wzrok Uny zatrzymał się na posągach Nowiuszów z barwionego szkła. Wszyscy oni mieli rysy Marka. Ktoś zbiegł po schodach, żeby ją przywitać. Aechan. Nie uklonił się jej nisko jak kiedyś, a tylko uśmiechnął.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedział.

Una podążyła za nim do apartamentów Marka. Weszli do pokoju ze ścianami ozdobionymi obrazem ogrodu Hesperyd i Atlasem dźwigającym niebo na swoich barkach. W tym

pomieszczeniu oglądali pierwszą odezwę Marka, gdy został regentem.

Una znalazła się w ramionach Suliena, gdy tylko otworzyła drzwi. Zasłonił jej cały pokój i nie widziała nikogo innego. Następnie cofnął się o krok, nie puszczając jej rąk, żeby przyjrzeć się siostrze. Una patrzyła sztywno na luźny fałd w jego pożyczonej tunice, gdzie przed chwilą przyciskała twarz, niezdolna podnieść wzroku czy cokolwiek powiedzieć. Proszę, nie pytaj. Po tym wszystkim nie miała prawa wymagać tego od Suliena.

Puścił jej ręce bez słowa.

W tej samej chwili Una wpadła w objęcia Lal i mogła nad jej ramieniem rzucić ostrożne spojrzenie Markowi. Stał z tyłu, jakby powstrzymywało go poczucie winy. Obok niego dostrzegła jakąś parę, której w pierwszej chwili nie poznała. Dopiero po chwili skojarzyła, że do Delir i Ziyę. Ich obecność tutaj ją zaskoczyła, ale nie miała siły nad tym się zastanawiać.

Lal odsunęła się i Una mogła swobodnie spojrzeć Markowi w oczy. Próbowwała sobie przypomnieć, czy podejrzewała, że ożenek zmieni go jakoś. Pewne drobne zmiany rzuciły jej się w oczy: długość włosów, ubranie, którego wcześniej na nim nie widziała. Oboje stali nieporadnie, jakby nie mieli pojęcia, jak się przywitać, i wreszcie Una pierwsza wyciągnęła rękę, umykając wzrokiem gdzieś w bok. Marek uścisnął ją lekko.

- Co się stało?! - zawołała Lal.

W końcu pokoju palił się duży, jasny ogień. Wieczór był trochę chłodny i żar dawał przyjemne ciepło. Una w milczeniu podeszła do kominka, usiadła na stołku i wyciągnęła dłonie nad płomieniami. W tej pozycji czuła, że łatwiej obroni się przed pytaniami na temat swego wyglądu. Sulien zbliżył się do niej i nie zdając sobie z tego sprawy, zasłonił ją trochę przed

pozostałymi.

- Puścił mnie - wyjaśniła Una. Delir rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Naprawdę?

Jego twarz rozjaśniła się na chwilę. Delir uśmiechnął się, kiedy ją tylko zobaczył, ale nie wstał z miejsca, żeby się przywitać. Siedział na krześle przed kominkiem, jakby go tam posadzono i nie miał sił się podnieść. Uśmiech błyskawicznie zniknął z jego ust.

- Witaj, Una, sporo czasu się nie widzieliśmy - powiedziała Ziyę. Una miała wrażenie, że Ziyę nie zmienił ani czas, ani więzienie. Mimo że Ziyę skinęła jej grzecznie głową, to swoją uwagę skupiała na Delirze. Stała przed nim niczym ochroniarz, a jej poza komunikowała, że Ziyę jest gotowa walczyć z Uną czy kimkolwiek, kto tylko ośmieli zbliżyć się do jej męża.

- Kiedy tu przyjechaliście? - spytała Una.

- Dwa dni temu - odparła Ziyę. - Marek był absolutnie rewelacyjny. Kiedy już przyjechaliśmy, okazało się, że nie możemy znaleźć Lal...

Lal wsunęła się pomiędzy Delira i Ziyę i przytuliła do boku ojca. Delir objął ją ramieniem i mocno przytulił, ale jego twarz nie zmieniła wyrazu.

- Najważniejsze, że wszyscy już jesteście bezpieczni - dokończyła Ziyę.

Una skinęła głową i odwróciła twarz do ognia.

- Złapali go? - spytała cicho.

- Nie. - Marek, który najwyraźniej bał zbliżyć się do niej czy Suliena, stał osamotniony na środku pokoju.

- Co on zrobił? - spytała jeszcze ciszej Una.

Sulien pospieszył z odpowiedzią.

- Wysadził cztery pociągi w nioniańskiej Terranowie. Zginęło tysiąc siedemset szesnaście osób.

Położył dłoń na jej ciepłych włosach, gdy Una spuściła głowę.

- Ale nie jesteśmy w stanie wojny? - Una znalazła siłę, żeby spytać.

- Niewiele brakowało - odparł Marek.

Una nie czuła zdziwienia, tylko jej ciało zdawało się kurczyć z poczucia winy. Te same uczucia, tylko silniejsze, zawładnęły Delirem.

- Nionianie chcą go dostać w swoje ręce! - wybuchnął jakby w proteście.

- Zabił wielu ich ludzi. W tym także pana Kato. - Marek rzekł surowym tonem.

- Wiem. Wiem! - zawołał z bólem Delir. - Ale co oni z nim zrobią?

- Skażą go na śmierć - odparł cicho Marek.

- Jak? - jęknął Delir, a kiedy Marek nic nie odpowiedział, sam zawyrokował. - Ukrzyżują go albo zrobią coś jeszcze gorszego.

- Jeśli Nionianie zgodzą się, żeby miał proces w Rzymie, to po zmianie prawa zostanie rozstrzelany.

Unę przeszły dreszcze. Nie wiedziała, czemu śmierć Damy miałyby przejmować ją w ten sposób. Przypomniała sobie lufę pistoletu przesuwanego się po jej twarzy.

- Jeśli się nie zgodzą, to pozwolisz, by zrobili z nim, co chcą? - spytał Delir. Nie było to oskarżenie, ile raczej bolesny jęk.

Marek rzucił mu trzeźwe spojrzenie.

- To już może nie zależeć ode mnie. Zdrowie wuja uległo sporej poprawie. Jeśli będę miał coś do powiedzenia w tej

sprawie, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby mu tego oszczędzić. Myślę jednak, że nie powinniśmy się teraz tym zamartwiać. Jeszcze go nie aresztowano.

Delir zakołysał się na krześle.

- Na pewno nie powinien uciec. Wcale na to nie liczę. Ale jak mogę pragnąć jego śmierci?

- Nie powinienesz zawracać sobie tym głowy - odezwała się Ziyę z jakąś dziwną zaciekłością. - Zapomnij o nim. On już nie ma z nami nic wspólnego. Nie jesteś odpowiedzialny za to, co zrobił czy kim się stał.

Delir rozpaczliwie potrząsnął przecząco głową.

- Nie wiemy, czemu tak się zmienił. Na pewno można było temu zapobiec. Jestem o tym przekonany.

- Nie jest dzieckiem ani twoim synem. Sam popełnił te okropności. Nie widziałeś go od czterech lat. Zrobiłeś dla niego więcej niż ktokolwiek na świecie i jak ci się odpłacił? Porwał twoją córkę.

Delir przytulił mocniej Lal.

- Na Boga, nie przypominaj mi, co zrobił - powiedział błagalnym tonem.

Ziyę potrząsnęła głową zniecierpliwiona, ale milczała. Marek zbliżył się do Delira ze współczuciem, ale zachowując rezerwę.

- Delirze, ona ma rację. To on ma wobec ciebie dług wdzięczności, nie odwrotnie. Teraz nie może go już spłacić. Pomogłeś wielu ludziom, nie tylko jemu. Wszyscy coś ci zawdzięczamy.

- Wszystko zaczęło się od niego - mruknął Delir.

- Robi się późno - powiedział Marek po chwili milczenia.

- Zostańcie na noc. Bez względu na całą resztę, przynajmniej masz Lal.

Oczy Delira załśniły na chwilę. Zamrugał szybko.

- Jeszcze niedawno siedzieliśmy w więzieniu, a moja córeczka była zamknięta w piwnicy. Teraz jesteśmy gośćmi w pałacu. Jak szybko człowiek może awansować w tym świecie - spróbował zażartować.

Marek obrócił się do Suliena i Uny.

- Oboje musicie być zmęczeni. Będzie wam wygodniej, jeśli prześpicie się tutaj, zamiast wracać o tej porze do domu.

Sulien spojrział na Marka i zobaczył, że ten spokojny i zręczny polityk patrzy na nich z niemą i niepewną prośbą. Poczł nagle z całą wyrazistością, jak bardzo stęsknił się za Markiem.

- Dobrze. Dzięki - mruknął cicho.

Uśmiech Marka był tak dziecięco szczery, że Sulien poczł się bardziej poruszony, niżby sobie tego życzył.

Una nic nie odpowiedziała na propozycję Marka. Kiedy przyszła służba, żeby zaprowadzić ich do pokoi, Una posłusznie wstała z innymi, gotowa pójść za Sulieniem. Niespodziewanie Marek złapał ją za rękę.

- Una... - poprosił cicho.

Una zatrzymała się posłusznie, niemal mechanicznie. Sulien i Lal obejrzel się z zaciekawieni i niespokojni, ale pozwolili służbie wyprowadzić się z pokoju.

Una i Marek obrócili się do siebie w milczeniu, choć Una wciąż stała ze spuszczoną głową, jakby nie chciała spojrzeć mu w twarz.

- Nigdy nie wiedziałam, co Dama czuje czy myśli. Nie pozwalał na to i potrafił mnie powstrzymać. Teraz widzę to wyraźnie. A jednak miałam wrażenie, że dobrze się rozumiemy. Powiedział mi... -Przypomniała sobie, co Dama powiedział jej w samochodzie, zanim przeciął więzy krepujące jej nad-

garstki. Przyszło jej do głowy, że nie powinna tego powtarzać, i nie dokończyła zdania.

Marek dotknął jej ostrożnie, powoli przesuwał dłoń po jej ramieniu, czując przez materiał wystające kości.

- Jesteś taka chuda - mruknął.

- Tak - zgodziła się znużona. - Wkrótce będzie lepiej.

Była zbyt zmęczona i oszołomiona ostatnimi wydarzeniami, żeby znaleźć siły na wyjaśnienia.

- To był szantaż - rzekł cicho Marek. - Jakbyś... była własną zakładniczką. - Una rzuciła mu zdumione spojrzenie. - Znam cię dobrze - powiedział z naciskiem.

Objął ją. Una poddała się uściskowi, przytulając się do niego, czując, jak lekka jest w jego ramionach. Marek wziął jej dłoń i mogła zobaczyć, jak chuda i mała jest w porównaniu z jego ręką. Ciepło jego ciała było jeszcze lepsze niż żar ognia, gdyż zapewniało ochronę. Czuła, że nie ma siły, żeby zmusić się do odsunięcia od niego, że jest na to zbyt słaba. Była zupełnie powolna, na wpół senna.

- Gdzie jest twoja żona? - spytała w końcu szeptem.

Poczuła, jak Marek sztywnieje.

- W Nionii, ze swoją rodziną.

Una zawahała się.

- Wróci?

Przyciągnął ją mocniej do siebie, jakby bał się, że mu ucieknie.

- Tak - przyznał. - Tak sędzę.

Una westchnęła i pogłaskała go po twarzy.

- Nie potrafiłam odpowiedzieć na twój list - szepnęła. - Jak mogłabym? Zresztą co miałam napisać?

- Teraz jesteś ze mną - rzekł stanowczo i pocałował ją.

Una czuła, jak jej ciało jeszcze bardziej wiotczeje, a ra-

miona opadają bezwładnie. Rozchyliła jednak wargi, poddając się pocałunkowi. Marek wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Rozebrali się i przytulili do siebie.

Nic więcej. Una leżała na nim, czując, jak jest jej ciepło, i głaszcząc jego pierś. Po chwili już spała smacznie. Marek także zdołał zasnąć, choć nie będąc tak zmęczony jak ona, nie zdołał się całkowicie rozluźnić. Budził się co jakiś czas, żeby zobaczyć jej bladą, wymizerowaną twarz. Starał się nie ruszać, żeby przypadkiem nie obudzić Uny.

W pewnej chwili otworzyła oczy i Marek pogładził ją po głosach. , -Co zrobisz jutro? Czy to ostatni raz? Znowu mnie zostawisz? - spytał szeptem.

Una zaniknęła oczy z cichym jękiem protestu.

- Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Nie potrafię tego znieść. - Obróciła się, całując go w szyję, kryjąc twarz.

HOLZARTA

Tydzień później Sulien odwiedził Delira i Ziyę w nowym, dużym mieszkaniu na Polu Marsowym, gdzie mieszkali razem z Lal. Ku swojemu zdziwieniu, kiedy wysiadł z windy na ich piętrze, zobaczył Delira czekającego na windę z torbą podróżną w ręku. Delir miał nietęgą minę, wyraźnie nie mógł ustać w miejscu i na widok Suliena uśmiechnął się promiennie, ale jakos dziwnie, jakby nie widział go wyraźnie.

- Przyszedłeś do Lal - powiedział pospiesznie. - Nie podziękowałem ci za wydostanie jej z tego miejsca. Byłem trochę srogi dla ciebie w Holzarcie, proszę, wybacz mi. Nie jesteś naszej religii, no cóż, Ziyę też nie jest, ale liczy się jedynie, jakim jesteś człowiekiem. Pokazałeś teraz, że potrafisz się nią opiekować.

Sulien miał minę jak mysz złapana w pułapkę, zaczerwienił się i zaczął szurać nogami.

- No tak, dzięki, wiesz... - wybąkał. - Wpadłem tylko... zresztą po tym, co się stało u Damy, nie mogłem przecież sam uciekać, a ona też mi pomogła.

Delir zamrugał ze zdumienia. Sulien poczuł ulgę, widząc radosny błysk w jego oczach.

- Oczywiście. Jasne. Dobry z ciebie chłopak. - Poklepał go po ramieniu i wszedł do windy.

- Dokąd się wybierasz? - spytał Sulien, czując ulgę, że zostanie sam.

- Nie chcę całe życie wykorzystywać dobroci Marka. Mam kilku przyjaciół, którym powierzyłem pieniądze, zanim uciekliśmy z Holzarty. Nie mogłem ich do tej pory odebrać, a jeden z przyjaciół ma pomysł, jak zainwestować je w firmę odzieżową. Spieszę się na pociąg.

Zamknął za sobą drzwi i przez kratę Sulien obserwował, jak Delir zjeżdża na dół.

*

Na drzewach zaczęły się właśnie pojawiać pierwsze liście, jeszcze zwinięte i mokre niczym świeżo wylęgnięte ćmy, które nie rozprostowały skrzydeł. W powietrzu roiło się od ptaków - drozdy, kosy, skowronki starały się przekrzyczeć ryk spadającej wody. Delirowi, który szedł w górę strumienia, wąż Holzarty wydał się nienaturalnie cichy, jakby zasłuchany we własne wspomnienia. Delir nie okłamał Suliena, Ziyę i Lal. Jadąc do Galii, wmawiał sobie, że zobaczenie obozu w Pirenejach to tylko zachcianka, na którą może sobie pozwolić po odzyskaniu pieniędzy i umówieniu się z Eonusem w sprawie importu odzieży. Uznał więc, że nie musi się nikomu tłumaczyć, ponieważ zachcianka ta była zbyt osobista i irracjonalna, żeby ktokolwiek ją zrozumiał. Teraz, brnąc przez zarośla, lepiej rozumiał swoje intencje i wiedział, że oszukiwał samego siebie. Od początku zamierzał tu wrócić i był niemal pewien, kogo zastanie w obozie.

Sporo czasu zajęło mu znalezienie pierwszej drabiny prowadzącej do ukrytych przejść. Niski nawis skalny zawsze dobrze je maskował i ukazywały się dopiero wtedy, gdy stało się pod nimi. Przez kilka lat jego nieobecności pozmiały się wszystkie znaki szczególne - zarosły roślinami lub rozpadły się ze starości. Kiedy natrafił w końcu na drabinę, przekonał się, że jej szczeble są porośnięte mchem i trawą. Delir schylił się i zsunął butem mech, żeby bezpiecznie postawić nogę.

Idąc tutaj, był świadom tego, co czas i wigilowie musieli zrobić z tym miejscem, a jednak widok ruin odczuł boleśnie.

Drzwi, a nawet ściany domków zostały rozbite, a wszędzie wałały się przegniłe i połamane deski. W paru domkach zobaczył młode drzewka wyrastające ponad zapadłe dachy. Wciąż potrafił rozpoznać malowidła Lal, ale były ledwo widoczne spod mchu i grzyba.

Zza zakrętu w powietrze unosiła się wąska strużka niebieskiego dymu, której nie dostrzegł wcześniej z powodu gęstych drzew.

Kucający nad niewielkim ogniskiem Dama nie wydawał się ani trochę zdziwiony jego widokiem. Kącik jego ust wykrzywił się w pozbawionym radości uśmiechu powitania, podczas gdy reszta twarzy pozostała jakby martwa.

- Po co tu przyjechałeś? - spytał spokojnym tonem.

Delir patrzył na niego bez słowa. Mimo całego opanowania wyczuwał w Damie jakieś krańcowe wyczerpanie.

- Żebyś mi wyjaśnił, czemu popełniłeś te wszystkie okropności - powiedział cicho.

Dama westchnął ciężko.

- Musiałeś słyszeć, co mną kierowało. Co jeszcze mogę dodać? Jakie inne mogły być powody?

Delir potrząsnął głową.

- Naprawdę nie czujesz nic z powodu śmierci tych ludzi? Żadnych wyrzutów sumienia?

Dama patrzył na wilgotne ognisko lub może przez nie jakąś milę w głąb ziemi.

- Co to ma za znaczenie, co czuję?

- Ma. Chcę to usłyszeć od ciebie.

- Nikomu to nie przywróci życia - odparł Dama.

- Nie. Nic, co czujesz czy zrobisz, tego nie zmieni.

Dama znowu uśmiechnął się ze smutkiem.

- Czy żołnierze czują skruchę z powodu ludzi, których

zabili?

Delir się skrzywił.

- To nie żołnierze zaczynają wojny.

- No dobrze, więc przywódcy. Cesarze.

- Co oni mają do rzeczy? - odciął się Delir. - Jak czyjeś okrucieństwo może usprawiedliwiać to, co zrobiłeś?

- Jeśli na świecie panuje okrucieństwo, to może ktoś powinien zaryzykować i sam stać się okrutny - szepnął Dama. - Wziąć to na siebie, żeby nigdy już nie było więcej zła, żeby oszczędzić go ludziom w przyszłości.

Delir przyglądał mu się chłodno.

- Jak to możliwe, żeby śmiertelnik życzył sobie całkowitego zniszczenia ciała i duszy drugiego śmiertelnika, skoro ma dosyć rozumu, żeby wiedzieć, że sam jest śmiertelny - zacytował.

Dama opuścił ramiona i głowę.

- Nie planowałem zabicia ludzi w pociągu pasażerskim - wyznał. - Teraz nie robi to żadnej różnicy. Zrobiliśmy to. Ja to zrobiłem i ja za to odpowiadam.

- Tak - przyznał Delir, zbliżając się do ognia. - Wierzę, że to rozumiesz. Nawet myślę, że tego żałujesz. Dlaczego nie jesteś z własnymi ludźmi? Co tu robisz zupełnie sam? Możesz być pewien, że przyjdą tu wigilowie. To zbyt oczywista kryjówka i nikt nie spodziewa się ciebie tu znaleźć, ale będą musieli sprawdzić.

Dama podniósł głowę i uśmiechnął się przerażająco.

- Już tu byli. Wiesz, że jeśli muszę, to potrafię się tak ukryć, że nikt mnie nie znajdzie. Nie mieli żadnej szansy. A moi ludzie robią, co im każę. No, z pewnymi wyjątkami.

Delir cofnął się zażenowany.

- Nie sądzę, żeby twoje życie ułożyło się tak, jak sobie to

planowałeś - powiedział cicho.

Dama pokręcił głową, na początku wolno, a później z coraz większą i większą zaciekleścią.

- Nie to miałem na myśli. Jeśli chcę, żeby ludzie coś dla mnie zrobili... jeśli zakomunikuję im to wyraźnie, jedną rzecz po drugiej, to zrobią, co im każę.

Niech mu Bóg pomoże, oszalał, pomyślał Delir.

- Więc chciałeś, żebym cię tu znalazł? - spytał ostrożnie Delir.

Jak wcześniej Dama patrzył w milczeniu na jakiś punkt ukryty głęboko pod ziemią. W końcu rozejrzał się smutno po zniszczonych domach.

- Zobacz, co zrobili z obozem.

- Znajdą cię i wydadzą Nionianom.

Dama skinął głową.

- A co wtedy? - W jego głosie odezwała się jakaś dziwna beztroska. - Dokończą dzieła? - Podniósł dłonie, ukazując nadgarstki, i zaraz jej opuścił.

Delir poczuł wstrząs na wspomnienie udreżonego młodego ciała, które zdjął z krzyża. Dał mu życie, żeby zrobił te wszystkie rzeczy.

- Co zamierzasz, Delirze? - W jego niebieskich oczach zabłysło coś w rodzaju wyzwania, ożywiając je na chwilę. - Stoję tutaj przed tobą. Znalazłeś mnie. Pozwolisz mi teraz uciec?

Delir czuł, jak budzi się w nim uczucie desperacji, jakby to on był poszukiwanym przez wszystkich przestępcą, który wpadł w pułapkę. Nie miał żadnej drogi ucieczki.

- Nie - powiedział srogo. - Nie możesz zagrażać ludziom.

- Może masz rację - zgodził się szeptem Dama.

- Musisz się poddać - powiedział Delir.

- I pójść na egzekucję? - mruknął Dama, a w jego oczach znowu nie malowały się żadne uczucia. - Na krzyż?

- Nie - odparł Delir. Stał w milczeniu, zaciskając pięści i zęby. -Będę cię trzymał gdzieś, gdzie nikogo nie skrzywdzisz. Gdzieś, gdzie będziesz mógł zacząć pokutę.

Dama spojrzał na niego zdziwiony i pełen cynizmu.

- Co takiego? - Roześmiał się, choć trzęsły mu się ręce. - Chcesz mnie gdzieś zamknąć i pilnować do końca życia?

- Tak - powiedział Delir, czując, jakby to słowo było kłifem, z którego skakał w przepaść.

Dama patrzył na niego w oszołomieniu.

- Jak chcesz to zrobić?

- Zrobię to, a ty pójdziesz ze mną z własnej woli, bo to twoja jedyna szansa.

Na twarzy Damy pojawiła się serdeczna troska.

- Jesteś ode mnie dwa razy starszy.

- A ty mnie przeżyjesz? - rzekł Delir, czując, że brakuje mu tchu. -No cóż, mam nadzieję, że do tego czasu przejdą ci te okropne skłonności.

Dama pokręcił głową.

- Porwałem twoją córkę i pod lufą pistoletu zamknąłem w piwnicy. - Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? A co z Lal? Co z Ziyę?

Delir wypuścił z rozpaczą powoli powietrze.

- Napiszę do nich. Mogę im posłać pieniądze. Kiedyś je zobaczę, wiem to na pewno. Mogę ufać mojej żonie i córce i są ludzie, którzy się nimi zaopiekują. Ale jak mogę ufać tobie? Gdzie pójdzie twoja dusza, jeśli teraz umrzesz?

Dama siedział w milczeniu.

- Nie możesz poświęcić dla mnie całego życia - powiedział z czułością.

- Ktoś musi - odparł Delir.

*

List przyszedł w południe. Był długi i miejscami nieczytelny od natłoku przeprosin, zaklęć i obietnic. Delir powiadał, że wysłał im dwie trzecie pieniędzy, jakie dostał od Eonusa. Wyjaśniał im wszystko poza tym, gdzie się udał. Zwinięta w kłębek na fotelu w pokoju gościnnym ich nowego mieszkania Lal przewracała w ciszy strony, czytając go w kółko. Dopiero co go odzyskałam, jęknęła w duszy. Szukając czegoś, co pozwoliłoby jej oprzeć się nadciągającemu atakowi paniki, skoncentrowała się na wspomnieniu odosobnienia w piwnicy na farmie i ucieczki z Sulienem. Nie chciała sobie wyobrazić, jak da radę żyć bez ojca, ale list w oczywisty sposób zakładał, że musi żyć bez niego.

Ziye chodziła tam i z powrotem po pokoju z zaciętą miną. Nagle wyrwała kartki z rąk Lal i rzuciła je w powietrze.

- Nie rób tego - powiedziała ostrzegawczo Lal, zbierając je z podłogi i ostrożnie wygładzając. Obie kobiety patrzyły na siebie powściągliwie, wystraszone i oceniające się nawzajem. Obie myślały to samo: nie jesteśmy matką i córką. Ziye była teraz obcą osobą; Lal nigdy jeszcze nie widziała jej w takim stanie - nie kontrolowała się, była wściekła i bliska łez.

- Zdradził nas - powiedziała Ziye. - Opuścił.

- Nie mów tak.

- A jak inaczej to nazwiesz?

- Rozumiem, czemu chce uratować Damę.

Ziye przyglądała jej się z niedowierzaniem. Po chwili jej spojrzenie wyrażało jedynie irytację.

- A ja nie. Dama sam wybrał taki los. To nie nasza sprawa, co z nim się stanie. Czemu Delir nie może sobie odpuścić?

- Ja go rozumiem - powtórzyła cicho Lal.

Ziye opadła na krzesło naprzeciw Lal.

- Niech niebiosa nam sprzyjają. Od razu widać, w kogo się wrodziłaś. Może jeszcze powiesz, że chcesz to zachować w sekrecie.

- Nie - odparła Lal. - Musimy powiedzieć Markowi. Tylko... - Zesztywniała, porażona nową myślą. - Czy ludzie nie będą źle o nim myśleć? Przecież nie przyłączył się do Damy. Nie zostanie za to ukarany, to znaczy, nie jakoś poważnie, prawda?

- Ma wysoko postawionych przyjaciół - odparła Ziye.

- Więc powiedzmy wszystkim. Wtedy ich znajdą.

Co wtedy się stanie? Co się stanie z Damą? To było zbyt okropne, żeby się nad tym zastanawiać. Lal postanowiła wziąć się w garść. Wszystko w swoim czasie. Nie mogli trzymać tego w tajemnicy.

Ziye westchnęła.

- Nie wierzę, że ich znajdą - powiedziała już normalniejszym tonem.

WYSPA

W pogodne dni mogli dojrzeć ciemne klify najbliższej wyspy, które wydawały się bliskie i wyraźne na tle szarozielonego morza. Wyspa była oddalona od nich co najmniej o pięć mil i mimo że na wzgórzach pozostało kilka wykutych w skałach jaskiń, nikt tutaj nie mieszkał. Jedynie rybacy z wysp położonych bliżej zachodniego wybrzeża Kaledonii przyplływali tutaj czasami na połowy homarów. W nocy Delir widział światła ich łodzi daleko na morzu. Umówił się w czasie rozmowy przez daldictor, że rybacy będą zbaczać z kursu co trzy tygodnie, by przywieźć im zapasy mąki, mięsa i mleka w proszku. Zakupy zostawiali zawsze na plaży, skąd odbierali pieniądze, które Delir kładł na kamieniu. Postanowił, że któregoś dnia zostawi także zapieczętowany list dla Ziye i Lal. Na razie odkładał to na później, czując się jak pustelnik, który zamieszkał na wyspie, żeby spędzić tu resztę życia w milczeniu i bez oglądania innych ludzi. Była to niemal prawda. Delir liczył, że z czasem nauczą się żyć bez wizyt rybaków. W morzu było pełno jadalnych glonów, a wśród głazów u podnóża klifów łatwo było złapać homara czy kraba. Mieli także jajka, choć nie od kur, ale od gniazdujących tu setkami alk i mew, które budziły ich krzykami o brzasku. Delir wziął ze sobą worek zboża i jęczmienia do zasiania. W czasie deszczu ten mały kawałek skały i ziemi wydawał się zamknięty w szklanych, nieprzezroczystych ścianach tak grubych, że wyspa musiała być niewidzialna dla zewnętrznego świata, tak jak świat stawał się niewidzialny dla nich. Na wyspie nie rosły drzewa.

Lepiej było nie sięgać myślami dalej niż do końca dnia.

Ostre skały schodzące łagodnie do morza przybrały latem cesarskie barwy - purpurowe i złote od porastających je

fiołków, skalnic i pięciorników kurze ziele. Na plaży wygrzewały się foki, podczas gdy inne płały na falach. Ze skał nawoływały się płacząco pocieszne masko-nury. W takie pogodne letnie dni Delir uważał, że nie zasługują na tak piękne miejsce.

Pierwsze kilka nocy na wyspie spędzili w namiotach, które wiatr szarpał i nieustannie rozrywał. W ciągu dnia zajęci byli przygotowywaniem do zamieszkania najmniej zniszczonej chałupy w opuszczonej wiosce, czyszcząc ją ze śmieci i przymocowując plastikowe poszycie na rozwalonym dachu. Kiedy tylko dom mógł zapewnić im jakieś takie schronienie, zaczęli wyszukiwać materiały w rozpadających się domach w wiosce, żeby porządnie odbudować dach i wypełnić szczeliny w ścianach. Naznosili też torfu, żeby mieć opał. Na drzwiach wejściowych Delir przymocował solidne belki i w dniach, kiedy przyplływali rybacy z prowiantem, zamykał Damę w środku.

Nie rozmawiali wiele ze sobą w tych pierwszych dniach. Dama zachowywał się, jakby nie umiał się wysławić. Z rzadka odzywał się nie-pytany, na większość pytań odpowiadał monosylabami. Wykonywał jednak posłusznie wszystkie polecenia. Z początku Delirowi nie przeszkadzała ta cisza. Wcale nie był pewien, czy ma ochotę rozmawiać z Damą. Jeszcze nie teraz.

Później to milczenie zaczęło go martwić. Dama sprawiała wrażenie zupełnie obojętnego. W pogodne dni siedział na klifie, patrząc na srebrne kręgi światła błyszczące na morzu. Wokół niego łąki aż pulsowały barwami, a on patrzył na nie niewidzącym wzrokiem. Delir był pewien, że jego towarzysz nie dostrzega niczego wokół siebie. Niczym infekcja ślepoty i pustka duchowa zdawały się pochłaniać go powoli każdego dnia. Delir miał nadzieję, że wyjdzie mu to na dobre, nawet

jeśli ta namiastka dobra miała dać znać o sobie w odległej przyszłości. To zamykanie się w sobie kojarzyło mu się z powstawaniem poczwarki, z której miało wykluć się coś nowego. Jak inaczej miałby się zachowywać? Czy Dama musiał cierpieć? Zaczął się jednak obawiać, że uwaga Damy o długości jego życia nie znajdzie pokrycia w rzeczywistości.

Pewnego dnia Dama po prostu przestanie się ruszać; usiądzie bezwładnie na twardej od soli trawie, zapominając, że trzeba jeść, pić czy oddychać. Przyglądając się, jak Dama siedzi na szczycie klifu, Delir zauważył także, jak wysokie są ściany wystające z morza i jak ostre piętrzące się u ich podnóża skały.

Nie mógł nic więcej zrobić, żeby utrzymać go przy życiu. Spróbował traktować go trochę bardziej po przyjacielsku i dodać mu otuchy.

- Dobrze się stało, że tutaj jesteś - powiedział pewnej nocy, kiedy gotowali sercówki. Nawet blisko ognia nie potrafili pozbyć się wilgoci, jaką przesiąkało ich ubranie. - Postąpiłeś słusznie, zgadzając się tutaj przyjechać.

Zapadła chwila ciszy, kiedy Dama zastanawiał się, czy warto tracić energię na zaczerpnięcie oddechu potrzebnego do udzielenia odpowiedzi.

- Tutaj do niczego się nie przydam - mruknął pod nosem.

- Masz mnie - powiedział Delir. - Możesz mi pomóc żyć w tym miejscu, jak to robisz każdego dnia. Na początek wystarczy.

- Tyle że ty nie powinienes tu być. Ja cię tu trzymam i to nie jest w porządku. To wcale nie jest dla ciebie dobre.

- Takiego dokonałem wyboru. Do niczego mnie nie zmuszałeś. Może z tego pobytu na wyspie wyniknie coś dobrego, tylko my jeszcze o tym nie wiemy.

Dama skinął głową z wyraźnym wysiłkiem.

- Spróbuj zajmować się jedynie najprostszymi rzeczami - poradził mu Delir.

*

Dawali sobie radę bez arkuszy wiadomości i radia. Lepiej nie wiedzieć, uważał Delir. Dama zgodził się z nim jak we wszystkich innych kwestiach. Zupełnie szczerze próbował zastosować się do rady Delira: nie wybiegać myślami poza obecny dzień i koncentrować się na sprawach niezbędnych do przeżycia. W pewnym stopniu mógł powiedzieć, że to działa. Jego problemem było coś przeciwnego, nie potrafił myśleć aż tak daleko naprzód. Nie umiał poderwać swoich myśli i w rezultacie nie mógł ani uciec, ani żyć na tej wyspie, nawet jeśli jego ciało mogło. Nie przeszkadzała mu nuda, wręcz przeciwnie, miał ręce pełne roboty. Brodził w płytkiej wodzie, wyszukując małży wśród skał. Wiosna nie zdołała jeszcze ogrzać wody i morze ścisnęło mu łydki niczym garota.

Mógł jednak pracować, koncentrował się na wykonywanym zadaniu, choć nawet te małże, które zeskrobywał ze skał, i trzymany w ręku nóż były niczym zalaminowane i nie-realne. Cały świat zmienił się w szkło, w którym nic nie mogło zapuścić korzeni.

Zaniósł uzbierane małże na plażę, usiadł tuż poza zasięgiem fal i patrzył na wodę. Nachylił się i zaczął rysować końcem noża na mokrym piasku: U. Zmarszczył pogardliwie brwi na swoją naiwność i zatarł literę stopą, nie mogąc doczekać się, żeby następna fala wygładziła piasek.

Dalej na plaży leżała drewniana skrzynia rzucona na kamienie. Trzy dni wcześniej wyspę odwiedzili rybacy. Dama nigdy ich nie widział i zastanawiał się teraz, ilu ich przyplęwało, czy byli młodzi, czy starzy. Myślał o tym, czując, że wcale

nie jest ciekaw. Widział skrzynię poprzedniego dnia, ale nie zmusił się, żeby podejść i przenieść ją do chaty. Wstał apatycznie, żeby zrobić to teraz. Kiedy ją podniósł, zobaczył, że pod słomą wyściełającą dno ułożono kilka starych arkuszy wiadomości.

Dama wyjął je ze skrzyni powoli jak wszystko, co ostatnio robił, i z jakąś znużoną czcią dla wieści z zewnętrznego świata. Były to tylko lokalne arkusze wiadomości podające informacje z wysp i północy kraju. Nie pisano w nich ani słowa na tematy Nionii czy pościgu za nią. Artykuły dotyczyły cen baraniny na targowiskach, ślubnych zapowiedzi, kilku zgónów.

Na ostatniej stronie jednego z arkuszy, na samym dole, znalazł ostrzeżenie przed niewolnikiem, który zbiegł z domu nad morzem. Pod spodem było niewielkie zdjęcie młodego chłopaka.

Minęła dłuższa chwila, zanim wiadomość ta do niego dotarła. Z początku reakcja Damy była prawie niezauważalna. Rozejrzał się z poczuciem winy po plaży i rzucił okiem na klify. Delir został w domu, żeby naprawić sieci, ale pewnie wkrótce się pojawi. Nie lubił spuszczać Damy z oczu na zbyt długo. Dama nie miał pojęcia, czemu nagle się rozgląda. Nie zrobił nic złego. Odwrócił arkusz, żeby spojrzeć na datę. To był jeden ze starszych. Przejrzał szybko pozostałe, układając je według dat, czując jakieś dziwne napięcie.

Tydzień po wydrukowaniu pierwszego ostrzeżenia niewolnik wciąż przebywał na wolności. Dama trzymał w myślach kciuki za niego. Dasz sobie radę, zapewniał go w duchu. Nie bój się, tylko idź naprzód. Uda ci się.

W następnym arkuszu oznajmiano, że niewolnik został schwytyany, zaledwie kilka mil od posiadłości, z której zbiegł.

Nie opisywano, co się z nim stało. Prawdopodobnie nie spotkało go nic gorszego od chłosty. Najpewniej przeżył. Możliwe, że dokładnie w tej chwili, słaby i obolały, znowu pracował dla swojego pana.

Dama zmiął arkusz wiadomości i zagrzebał pod kamieniem.

Przez następne dni zachowywał się tak samo jak dotąd. Jednak nic nie było już takie samo. W środku czuł gniew. Z początku był to lekki gniew, który mógł zlekceważyć; nic gorszego niż dziwny niepokój, który odzywał się od czasu do czasu. Delir dostrzegł jedynie, że czasami Dama rzuca się z zapalem do pracy, którą wcześniej wykonywał mechanicznie i bez życia. Dama nie zwierzał się ze swoich myśli. Nie chciał, żeby jego nadzorca myślał, że tli się w nim jakiegokolwiek uczucie.

Wcześniej Dama odnosił wrażenie, że cały ten zepsuty świat jest równie odległy jak słońce. Teraz czuł, że jest wręcz obscenicznie blisko, oddzielony barierą równie kruchą jak skorupka jajka. Czyż sam nie powiedział Unie, że nie ma dokąd się udać, żeby od niego uciec? Czemu nagle miałyby to okazać się nieprawdą, nawet dla pokutującego wygnańca czy kimkolwiek teraz się stał? Nikt nie mógł uciec od świata inaczej niż przez śmierć. Sama próba była tylko tchórzostwem i słabością.

Trzy tygodnie później, w noc po wizycie rybaków, miał sen.

Śnił, że jest dokładnie tam, gdzie się znajdował, czyli zwinięty w pobliżu ogniska, naprzeciw Delira. Tylko że Delir nie spał. Siedział na brzegu łóżka, patrząc wściekle na Damę.

- Wstawaj! - zawołał głosem, który przypominał podmuch wiatru. - Obudź się!

Dama śnił, że się niechętnie obudził.

Na łóżku nie siedział Delir; Dama zrozumiała to od razu. Wyglądał tak samo - niewysoki mężczyzna w średnim wieku. Pełen gorącego, okropnego światła, które w cudowny sposób ukryło się w jego ciele i nie spaliło go na popiół. Dama pojął, że jego oczy nie są stworzone, żeby patrzeć na bijącą od mężczyzny jasność, którą dojrzał w jednej chwili, gdy roztopiły się granice świadomości, kurcząc się niczym płaty spalonej skóry.

- Przepraszam - szepnął przerażony.

- To nie wystarczy - powiedział koszmarny głos, zupełnie jak Dama się tego spodziewał. Odwrócił się, chowając twarz. - Nie ukryjesz się przede mną ani przed tym, co masz zrobić.

Nie był już więcej w domku ani na wyspie. Znajdował się w Rzymie, który był także Bianjing i Kynoto, których przecież nigdy nie odwiedził. Miasta leżały nałożone na siebie, a ich warstwy mieszały się i łączyły. Ludzie kroczyli przez kilka różnych ulic jednocześnie, próbując się ukryć. Oni także płonęli, choć nie tak jak mężczyzna, po prostu zwyczajnie się palili, oświetlając wszystko jasnym światłem i rozpadając się w popiół, który rozwiewał wiatr.

- Tu jeszcze nie skończyłeś - oznajmił z potworną mocą głos.

Dama chciał coś odpowiedzieć, wyznać, że to prawda, lub może zaprotestować albo błagać, a może wszystko naraz, nie mógł jednak wydobyć z siebie głosu, nie mógł nawet się poruszyć. Dusił się, próbując coś zrobić, kompletnie przerażony.

- Jeśli przestaniesz - odezwał się duch - to ich zabięś. Jeśli nie dokończysz dzieła, to jesteś zwykłym mordercą, a oni zginęli na próżno.

Dama chciał wyjaśnić, że jest pusty w środku, że każda

próba zawiodła i że nic już nie może zrobić. Oczywiście nie musiał nic mówić, duch znał wszystkie jego myśli.

- Nie waż się ich zostawić - ostrzegł go. Jego głos był teraz niski i potężny niczym trzęsienie ziemi.

Nagle Dama był zupełnie sam, leżał gdzieś pomiędzy pińiami i mógł znowu trzeźwo myśleć, jak zawsze. Doszedł do wniosku, że wiele razy był bliski zmienienia świata na lepsze i za każdym razem jeden człowiek stawał mu na drodze - Marek Nowiusz.

W powietrzu rozległ się hałas przypominający ryk silników spiralotu i nagle Dama obudził się naprawdę.

Z początku nie mógł się poruszyć. W pierwszych sekundach leżał nieruchomo, starając się nie obudzić Delira swoim płaczem. Jego ciało było słabe i bezbronne, a on pragnął jedynie naciągnąć na siebie koce i pozwolić, by łzy swobodnie płynęły mu z oczu. Zamiast tego wysliznął się spod przykrycia, znalazł ubranie i wsunął jej pod pachę.

Przed wyjściem rzucił spojrzenie Delirowi. Skulony we śnie wydawał się jeszcze mniejszy i bardziej bezbronny, niż Dama pamiętał.

Wyglądał teraz na dużo starszego. Dama nachylił się nad nim i tak delikatnie, jak tylko potrafił, pocałował go w policzek.

Wysliznął się po cichu z domu i zszedł na plażę. Zimny wiatr od razu wywiał resztki ciepła z jego ciała. Dama nachylił głowę i w pośpiechu wciągając na siebie ubranie, ruszył pod wiatr. Na swoje normalne rzeczy nałożył jeszcze wodoodporną kurtkę z kapturem, który mocno zaciągnął pod szyją. Ześliznął się po kamieniach na plażę i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę morza.

Gdzieś daleko w ciemnościach widział malutkie świa-

tełko. Rybacy pracowali jeszcze w pobliżu sąsiedniej wyspy, a może rozbili na niej obóz.

Dama wszedł do ciemnej wody. Była tak lodowata, że czuł, jak jego ciało protestuje z bólu, kurcząc się i starając wyrwać z tej tortury. Zmuszał się całą siłą woli do zrobienia kolejnego kroku w głąb morza, aż w końcu stał w wodzie po pachy. Teraz wystarczyło pochylić się do przodu, jednocześnie podciągając nogi, i nagle zanurzył się cały i zaraz zaczął pływać.

Przynajmniej morze było spokojne, prawie bez fal. Nauczył się pływać jeszcze jako dziecko w Rzymie. Zanim odkryto jego talent do śpiewu, matka często zabierała go do łaźni, kiedy towarzyszyła tam swojej pani. W chwilach kiedy nie musiała służyć jej olejkami czy skrobać i wycierać jej skóry, mogła się nim zająć i pokazać mu, jak dawać sobie radę w wodzie. Teraz, kiedy leniwa fala go uniosła, Dama przypomniał sobie matkę wyraźniej niż przez ostatnie lata. Zazwyczaj nie zdarzało mu się myśleć o niej. Niemal równie dawno nie pływał w morzu. Jego ciało było silne i odporne, ale nie był atletą. Nie miał nawet pełnej władzy w rękach. Szybko przekonał się, że najłatwiej jest mu płynąć na plecach, ale wtedy lodowate fale obmywały mu głowę, dostając się pod wodoodporny kaptur. Dama nie znał morza, nie wiedział, gdzie kierują się prądy morskie, ale jeszcze przed wejściem do wody zdał sobie sprawę, że pewnie tego nie przeżyje. Wątpił, żeby miał więcej niż jedną szansę na dziesięć ująć z tego z życiem. Zimno było tak okrutne, że nie dawało się do niego przywyknąć. Wkrótce palce jego zdrowszej ręki były tak zamarznęte i zdrętwiałe, że ich zupełnie nie czuł, a nogi miał ciężkie niczym dwa ołowiane bloki. Wiedział, że w końcu i jego umysł podda się zimnu i nie pozwoli mu jasno myśleć. Kiedy zatrzymał się na chwilę, żeby

rozejrzeć się wokoło, przekonał się, że wyspa, z której wypłynął, zniknęła w ciemnościach. Teraz, nawet gdyby chciał, nie znalazłby drogi powrotnej. Wszystko wokół niego było bezkształtną czarną masą i widział jedynie lśniąca niczym olej powierzchnię wody i mdłe światło gdzieś w oddali.

*

Delir obudził się rankiem i zobaczył, że jest sam w domu. Z początku nie przejął się tym, zakładając, że Dama kręci się pewnie gdzieś w pobliżu, może na podwórku przed domem. Kiedy jednak jego wołania pozostały bez odpowiedzi, poczuł panikę. Puścił się biegiem w stronę klifów i rozglądając się po wystających z morza skałach, zaczął wołać Damę po imieniu. Modlił się, żeby Dama odnalazł się, żeby jego głos uwolnił Delira z uścisku lęku. Jednak odpowiadająca mu ze wsząd cisza potwierdzała, że jeśli coś znajdzie, to najwyżej ciało Damy. W końcu musiał się poddać i usiadł ciężko na kamieniach na plaży, patrząc zamglonym od łez wzrokiem na morze, w którym zniknął Dama.

Był wolny. Kiedy rybacy przyplłyną na wyspę, wróci do domu. Będzie jednak musiał zabrać ze sobą swoją porażkę. Uwięziony na wyspie do tego czasu czuł, że wszystkie codzienne zajęcia niezbędne do przeżycia zostały pozbawione sensu. Rozpalenie ognia czy przygotowanie posiłku było nieznośną torturą, kiedy musiał nieustannie walczyć z frustracją i samotnością. Minęły dwa dni, zanim przyszło mu do głowy, że Dama mógł uciec i przeżyć.

Nagły, niewytłumaczalny lęk, silniejszy od żalu, zagonił go na plażę. Delir rozpałił ognisko na skałach i zaczął wysyłać znaki za pomocą lustra w stronę pustego morza. Wiedział, że nikt go może nie zobaczyć i że minie osiemnaście dni, zanim

zdoła powiedzieć komukolwiek o swoich podejrzeniach.

KOLOSEUM

Druzus patrzył niepokieszony na swoje na wpół nagie odbicie w lustrze. Wokół niego stali milczący niewolnicy, trzymając w rękach kilka ubrań. Chcąc, nie chcąc, musiał uwierzyć, że siatka blizn na lewym policzku, pod brodą i w kątku ust była prawie niewidoczna, jak zapewniali go wszyscy wokoło. Druzusowi wydawało się, że wulgarnie zniekształcają jego twarz. Na szczęście nie został ślad po złamaniu nosa, który sprawnie nastawiono i który zrosł się poprawnie. Białe blizny na dłoni były nie do ukrycia. Blizny nie były wynikiem bójk, ale operacji, która miała na celu ustawienie połamanych kości. Druzus odzyskał już częściowo sprawność w ręce, ale była bardzo słaba i często łapały go bóle artretyczne. Także w lewym uchu coś się działo, czasami słyszał tam jakby dzwonięcie i podejrzewał, że częściowo stracił słuch. Wszystkie te myśli nie opuszczały go, ale od czasu powrotu do Rzymu był jeszcze bardziej świadom swoich obrażeń.

Zdecydował się na granatową tunikę i dał znak niewolnikowi, żeby ułożył na niej niebieski płaszcz z zielonym obramowaniem.

- Szkoda, że musisz iść do Koloseum - powiedział z niepokojem stojący za nim Lucjusz.

Druzus przewrócił oczami, czekając, aż jeden z niewolników nałoży mu biały szal.

- Sądę, że to niebezpieczne - dodał Lucjusz.

- Zapewniam cię, że wcale bym się tam nie pchał. Zresztą poza wujem Tytusem nikt mnie tam nie zaprasza. Igrzyska muszą się odbywać, a ja muszę się na nich pojawiać. Ty możesz się od tego obowiązku wymigać, bo przynosisz wszystkim wstyd.

Lucjusz rzucił mu zranione spojrzenie i Druzus poczuł ukłucie współczucia, a chwilę później irytację. Jego ojciec był zbyt łatwym celem dla tkwiących w nim pokładów goryczy.

- Nieważne - mruknął niechętnie.

- Mam nadzieję, że przynajmniej lubisz igrzyska.

Przed dom podjechał samochód przystany po niego z pałacu. Druzus, który był wyczulony nawet na najmniejszą sugestię zniewagi, uznał, że wóz jest stary i wygląda przeciętnie. Przed udaniem się do Koloseum, gdzie publicznie będą świętować powrót Faustusa do władzy, czekało go jeszcze przyjęcie. Druzus spróbował uzbroić się w cierpliwość.

W czasie jazdy czuł na sobie spojrzenie kierowcy. Wiedział dobrze, że każdy jego krok jest obserwowany. Nawet w domu jego ojca na Ce-liusie byli strażnicy i ludzie udający niewolników, których nigdy wcześniej tam nie widział i którzy zdawali się nie spuszczać go z oka ani na chwilę.

Przyjęcie zostało zorganizowane w galerii, w której kiedyś wisiał obraz przedstawiający zwycięstwo Oppiusza Nowiusza nad Nioniana-mi. Druzus z odrazą zauważył, że obraz został usunięty, bez wątplenia ze względu na nową żonę Marka Nowiusza. Co więcej, w jego miejsce powieszono portret Noriko zamówiony z okazji ceremonii ślubnej. Pod obrazem stał Faustus i uśmiechał się dobrodusznie do gości. Na jego palcu błyszczał pierścień.

Druzus zastanawiał się, co zrobiono z oryginalnym obrazem i czy mógłby go dostać na własność. Westchnął, przeszedł się po sali, rozglądając się za czymś mocniejszym do picia, i wpadł na Wariusza. Obaj byli niemile zaskoczeni tym spotkaniem. Druzus cofnął się o krok, a Wariusz aż wzdrygnął się w środku, ale spokojnie zmierzył go wzrokiem. Druzus przez chwilę walczył z pokusą, żeby wycofać się, a jednocze-

śnie odczuwał jakąś masochistyczną przyjemność. Nie umiał pogodzić się z myślą, że zawdzięcza życie Wariuszowi, ale zaraz przyszło mu do głowy, że Wariusz wcale nie był szczęśliwy z powodu jego ocalenia, tak samo jak nie cieszył się na jego widok.

- Wariusz! - wykrzyknął, wciskając w to słowo wyzywająco przyjacielską nutę. - Wybierasz się na igrzyska?

- Nie - odparł dosadnie Wariusz.

- Co za szkoda. Marek świetnie wygląda, prawda? Pewnie czuje teraz ulgę, jak mu zdjęto ten ciężar z ramion.

- Pewnie.

Marek stał na środku sali obok Noriko i wyglądał na bardzo opanowanego i pewnego siebie. Otoczony ludźmi, uśmiechał się niczym dobry aktor i zdawał się mieć na wszystko baczenie. Na chwilę spotkały się spojrzenia jego i Druzusa. Marek uśmiechnął się do niego i od tej chwili obserwował go kątem oka, tak żeby nikt nie zauważył. Stary głupiec, pomyślał Druzus, oglądając się na Faustusa, który pomachał mu z niepewną miną. Czemu się w ogóle trudzi? Udaje czy nie widzi, że będzie tylko marionetką w rękach Marka?

- Nie udało się złapać jeszcze tego fanatyka? - zapytał Druzus.

Wariusz spojrział nad jego ramieniem, z niecierpliwości niemal zgrzytając zębami. Druzus czuł perwersyjną przyjemność, jakby odniósł mały sukces. Wziął od przechodzącego kelnera kieliszek i ciągnął przyjaznym tonem.

- No cóż, czasami wszystkie wysiłki idą na marne.

- Druzusie - zaczął opanowanym tonem Wariusz - myślisz, że z powodu tego, co zdarzyło się w Sinie, i dlatego, że nie jesteś w więzieniu ani martwy, jak na to zasługujesz, to będę udawał, że cię nie znam i zapomniałem, co zrobiłeś? Mo-

żesz sobie iść do Koloseum i tam odgrywać kogoś innego. Przynajmniej do czasu. Dla mnie jesteś zerem i nie mam ci nic do powiedzenia.

Odwrócił się i odszedł. Druzus w milczeniu przełknął wino. Kiedy podniósł głowę, w miejscu Wariusza stał Marek.

- Jak sobie dajesz radę w Kanaru? - spytał grzecznie.

- Świetnie - mruknął Druzus. Bliskość kuzyna powodowała, że na czoło wystąpiły mu krople potu. Marek wyglądał na grzecznego i kulturalnego chłopca, ale Druzus pamiętał swoją rozgniataną o podłogę dłoń. Zacisnął ją w pięść.

- Nie poznałeś jeszcze mojej żony.

Noriko skłoniła głowę i bez słowa podała Druzusowi dłoń. Miała na sobie najmodniejszą rzymską suknię, a jej włosy były ułożone w fale i loki opadające na plecy. Czarne włosy i alabastrowa cera przypomniały Druzusowi o Tullioli. Posłał Noriko uśmiech pełen zadumy, a zdziwiona Noriko też się uśmiechnęła.

*

- Jesteś pewien, że nie przekonam cię, żebyś nam towarzyszył? - spytał Marek.

- Nie lubię igrzysk i nie mogę znieść widoku twojego kuzyna. Na szczęście nie należę do cesarskiej rodziny i mogę się z tego wymigać.

- Jak w takim razie zamierzasz uczcić powrót cesarza do władzy? - spytał Marek z ukrytą ironią. - Odwiedzisz rodzinę?

Wariusz odpowiedział mu uśmiechem.

- Będę świętował, unikając ich. Znaleźli kogoś, z kim chcieliby mnie poznać. Znowu.

- Dobry pomysł - podchwycił Marek. Na twarzy Wariusza pojawił się grymas. - Przepraszam - poprawił się natych-

miast Marek. - Głupiec ze mnie. Jeśli nie chcesz, to nie idź.

Wariusz spuścił wzrok i Marek pomyślał, że lepiej będzie zmienić temat.

- Może to rzeczywiście nie taki głupi pomysł - mruknął Wariusz niepewnie. Wciąż stał ze spuszczoną głową. - Tyle że wcale mi się nie podoba.

- Masz absolutną rację. Nikt cię do niczego nie powinien zmuszać - rzekł Marek z dziwnie ponurą miną.

Wariusz spojrział na Noriko, która bezbłędnie odgrywała rolę gospodyni przyjęcia.

- Aż tak źle? - spytał.

Marek podążył za jego wzrokiem.

- Związek moich rodziców był wręcz wzorowy, kiedy przebywali w towarzystwie innych ludzi. - Spojrział na Wariusza. - To nie jej wina - dodał i wrócił do Noriko.

*

Pogoda nie dopisała w dniu tak ważnej uroczystości. Wszyscy liczyli na piękny słoneczny dzień, ale gęste chmury przyniosły deszcz nad miasto. Wariusz ruszył z miasta Drogą Ostiańską, kierując się ku polom

ciągnącym się pomiędzy Rzymem a Acilią. Mimo że jechał tędy dopiero czwarty raz, znał drogę na pamięć. Nie miał żadnego wpływu na wybór miejsca pochówku Gemelli. Kiedy wyszedł z więzienia, dawno już było po pogrzebie. Tak naprawdę to nie miał nic przeciwko cichemu cmentarzowi położonemu obok bocznej drogi, który wybrali rodzice Gemelli.

Siedział w samochodzie, czekając, aż przestanie padać, ale deszcz przybrał na sile, przechodząc powoli w ulewę. Wsiadł szybko z wozu, chowając głowę w ramionach i przeklinając pogodę. Zgodnie z tradycją wylał pół szklanki wina na jej

grób i wypił drugą połówkę. Mimo deszczu stał tak długo, że ominięły go wydarzenia w Koloseum.

*

Lal odsunęła się od niego i usiadła.

- Nie mogę - powiedziała. Sulien opadł na poduszkę.

- O co chodzi? - spytał cicho, starając się okazywać cierpliwość. Lal siedziała skulona na brzegu łóżka z twarzą schowaną w dłoniach.

Kiedy w końcu się odezwała, jej głos był pełen wstydu.

- Nie mamy ślubu - szepnęła. - To nie w porządku.

Sulien leżał przez chwilę w milczeniu.

- Lal - rzekł w końcu. - To przecież nie morderstwo. Kiedy pomyślisz o tym, co się stało, o tych wszystkich zabójstwach, to co my złego robimy? - Usiadł i odgarnął włosy z jej karku, pocałował ją w szyję, przesuwając usta w dół. - Czy w tym jest coś złego? - spytał szeptem.

W jego objęciach Lal to sztywniała, to rozluźniała się, czując, jak napięcie i przyjemne zniewolenie przelewają się przez ciało falami.

- Nie wiem - odpowiedziała szeptem.

Sulien przyciągnął ją do siebie.

- Nikogo nie krzywdzimy - mruknął. - Wręcz przeciwnie... - Wsunął dłoń pod sukienkę, głaszcząc dekolt i piersi. Czuł, jak jej sutki twardnieją i naprężają się pod dotykiem. Lal przestała się wreszcie opierać i pociągnął ją na łóżko. Zaraz jednak znowu mu się wyrwała. Siadła na brzegu, ciężko dysząc.

- Nie, nie mogę. Sama nie wiem. Przepraszam. - Zebrała szybko swoje rzeczy i bez słowa pożegnania uciekła do domu.

W mieszkaniu był Delir i Ziye. Delir sprawdzał rachunki

za sprzedany jedwab. Ziye wciąż praktycznie nie odzywała się do niego, a w jej ruchach było coś nieprzystępnego i nawet wrogiego, ale spoglądała na Delira z troską.

Ojciec nie dostrzegł niczego szczególnego w zachowaniu Lal, kiedy pospiesznie go minęła i skryła się w swoim pokoju. Podniósł głowę, ale ledwo ją zauważył i Lal poczuła ulgę. Jednocześnie ogarnął ją smutek. Ojciec na mało co zwracał teraz uwagę, zbyt pochłonięty poczuciem winy i wewnętrznym niepokojem.

Kiedy rybacy przyплыли na wyspę, Delir był zbyt desperowany, żeby przejmować się, co sobie pomyśla na widok wygnańca skaczącego po plaży i gorączkowo ich przyzywającego. Czy ktoś może wyszedł na ląd na sąsiedniej wyspie albo został znaleziony na morzu trzy tygodnie wcześniej?

Rybacy pewnego razu dostrzegli, że coś pływa w wodzie. Kiedy podbiegli, znaleźli ciało młodego mężczyzny, który już się nie poruszał, a tylko kołysał na falach. Nikomu nie chciało się wchodzić do wody po trupa, ale z poczucia przyzwoitości wyłowili ciało sieciami rybackimi i wciągnęli na łódź, zanim poszło pod wodę. Ku ich zdumieniu topielec zaczął krztusić się i pluć wodą. Kiedy w końcu oprzytomniał, odwrócił się do nich, ukazując bladą twarz o niebieskich powiekach i sinych ustach.

Przykryli go kurtkami i zabrali na dużą wyspę, z której przyплыli. Żona jednego z rybaków próbowała go przebrać w suche ubranie, ale mężczyzna zaczął gwałtownie protestować, błagając, żeby go nie dotykano, i wrywając się. Zostawiono go w spokoju i pozwolono mu położyć się na materacu koło ogniska. Młodzieniec nie był zbyt rozmowny, nawet kiedy ogrzał się i wyspał. Powiedział im tylko, że jego statek rozbił się na morzu i wszyscy utonęli. Nawet gdyby nie znaleźli go w

tych okolicznościach, to i tak uwierzyliby w jego słowa, widząc, w jak wielkim jest szoku.

Następnego dnia zaczął ich prosić, żeby zabrali go na stały łąd. Próbowali go uspokoić i wytłumaczyć, że jest zbyt słaby, by utrzymać się na nogach. Zebrali się nawet, żeby opłacić mu lekarza, ale kiedy przywieźli go do domu, młodzieniec zniknął. Byli pewni, że znajdą go nie dalej jak pięćdziesiąt kroków od domu, nieprzytomnego, ale nigdzie go nie dostrzegli. Wystraszeni i zasmuceni sprawdzili, czy czegoś nie brakuje w domu, ale wszystko było. W końcu uznali, że z powodu szoku i zimna młodzieniec postradał zmysły.

Delir także ich poprosił, żeby jak najszybciej zawieźli go na stały łąd, gdzie zaalarmował wigilów. Uznał, że lepiej będzie nie mówić rybakom, kogo uratowali.

*

- Coś nie tak? - spytał Marek. Od chwili kiedy wsiedli do samochodu, żeby pojechać do Koloseum, Noriko siedziała cicho i zadumana.

- Nie - odparła z przekonującym ciepłem w głosie. Nie spojrzała jednak na Marka i oboje mówili po nioniańsku, żeby kierowca nie mógł ich zrozumieć. Zachowywali się, jakby mieli coś do ukrycia.

- Więc chcesz mnie teraz uraczyć masakrą? - spytała Noriko.

- Z początku będą akrobacje i tym podobne. Dzisiaj nie przewidziano występu więźniów. Na arenie walczą tylko najlepsi gladiatorzy, którzy nie ryzykują niepotrzebnie życia. Jeśli wszystko pójdzie jak należy, to powinno się obyć bez rozlewu krwi. Zobaczysz jedynie pokaz zręczności i odwagi. Co najwyższej zginie kilka niedźwiedzi.

- Uważam, że to zwykłe barbarzyństwo robić widowisko z takich rzeczy - upierała się Noriko.

- To tradycja - odparł Marek, nie mając pojęcia, czemu nagle broni igrzysk, których Klodia nauczyła go nienawidzić i unikać.

Wysiedli z samochodu. W eskorcie pretorianów przeszli, razem z pozostałymi członkami rodziny cesarskiej, prywatnym korytarzem, który prowadził do łoża cesarskiej. Kiedy pojawili się na trybunach, najpierw Marek i Noriko, za nimi Druzus i Makaria, a na końcu Faustus, przywitały ich dźwięki bębnów i trąbek, a nad cyrkiem wzbiły się w powietrze sztuczne ognie. Sześćdziesiąt tysięcy ludzi wstało z miejsc, żeby ich przywitać. Noriko klaskała wraz z pozostałymi, gratulując Faustusowi i uśmiechając się do tłumu. Zaczęła już przyzwyczajając się do takich wystąpień.

- Wrócisz na noc do domu? - spytała po nioniańsku, kiedy zajęli miejsca. Kolumny podtrzymujące szkło kuloodporne były ozdobione czerwonymi i białymi różami, a pod ich stopami ścieliły się złote dywany.

Przed łożą przemknęła kamera poruszająca się po szynach wokół areny. Oboje nie przestawali się uśmiechać.

- Nie - odparł Marek. Zawahał się na chwilę i zaraz dodał: -Będę w pałacu. Z Uną.

Noriko westchnęła cicho.

- Nie musisz mi wszystkiego mówić - powiedziała.

- Nie chcę nic przed tobą ukrywać.

- Marku. Wiem dobrze, kiedy Una nie może dłużej bez ciebie wytrzymać i kiedy ty zaczynasz się lękać, że jej nigdy więcej nie ujrzysz. Jeśli sądzisz, że potrafisz to ukryć, to bardzo się mylisz. Na pewno nie przed kimś, kto żyje u twojego boku i nie ma nic innego do roboty poza obserwowaniem ciebie.

Zdaję sobie sprawę, że myślisz o niej bezustannie. Wiem dostatecznie dużo. Nie muszę znać wszystkich szczegółów.

Marek patrzył w milczeniu na piasek na arenie.

- Noriko, ty mnie nie kochasz.

Noriko roześmiała się wdzięcznie.

- Nie, sądzę, że nie. Czasami jednak zdarza mi się o tym zapomnieć. Jesteś tutaj jedyną osobą, którą znam. Nie spotykam się z nikim innym.

- Nie zabraniam ci tego - mruknął Marek. Była to zarówno uczciwa oferta, jak i mały odwet.

- Czy chciałbyś, żeby pojawiły się jakiegokolwiek wątpliwości, kto jest ojcem twoich dzieci? Czy jest miejsce na wątpliwości, czy to prawdziwy Nowiusz odziedziczy po tobie tron?

Marek wiedział, że nie ma odpowiedzi na te pytania.

- Więc Una przyjdzie dziś do pałacu. Czy przynajmniej udało wam się dojść do jakiegoś trwałego porozumienia?

Marek wciąż milczał, częściowo dlatego, że wolał zakończyć ten temat, a częściowo dlatego, że nie znał odpowiedzi. Noriko miała rację, Una pochłaniała wszystkie jego myśli. Coś musi się zdarzyć, bo dłużej tak nie da rady. Jeśli Una nie potrafiła zaakceptować jego związku z Noriko i wszystkich jego konsekwencji, w postaci dzieci, to powinni rozstać się na dobre. Jednak po tych koszmarnych miesiącach, kiedy byli oddzieleni, po niezwyklej uldze tej pierwszej nocy w pałacu, jak mogli nawet myśleć o rozstaniu?

- Chciałabym, żeby wam się udało - powiedziała Noriko.

- Zaczyna się - odparł Marek, gdy na arenie zabłyśły światła, a przez bramy wybiegli tancerze i akrobaci. Nad ich głowami szklany dach Koloseum zamknął się przed deszczem i cyrk zalało sztuczne światło. Marek przyglądał się pokazom z

zainteresowaniem, choć tak naprawdę absorbowało go jedynie to, że Una będzie z nim tej nocy.

*

Oglądali pokazy w brudnym pokoju w opuszczonym domu na przedmieściach Rzymu. Widzieli, jak tłum wiwatuje na cześć rodziny cesarskiej, która zajmowała miejsca w loży, i jak zaczyna się przedstawienie. Minęło kilka minut, kiedy patrzyli w milczeniu na stary dalwi-zor, próbując wmówić sobie, że chaos, którego się spodziewali, może jeszcze wybuchnąć. Nie śmieli spojrzeć sobie w oczy.

- Co się mogło stać? - wyszeptał ktoś w końcu.

- Nie zadziało - odpowiedział spokojnie Dama. Czuł się pusty w środku i nawet nie był zdziwiony tym faktem.

- Cała praca na nic - jęknął Ananiasz.

Dama wstał i bez słowa wyszedł do drugiego pokoju. Kiedy dotarł do Rzymu, dowiedział się, że Mazatl nie żyje i że przed śmiercią zabił jednego z wigilów, którzy go chcieli pojmać. Lepiej, niż gdyby mieli go wziąć żywcem, pomyślał Dama, nie czując żalu. Wielu z jego ludzi zginęło, zostało uwięzionych lub wydanych Nionianom. Na szczęście nie wszyscy.

Erastus i Ananiasz podążyli za nim na zaplecze. Byli wyraźnie zbici z tropu. Dama spojrzał na nich znad sprzętu, który pakował.

- Ja to załatwię - powiedział cicho.

- To moja wina - rzekł Erastus, kręcąc głową z poczuciem winy i wstydem.

Dama sprawiał wrażenie zupełnie opanowanego.

- To nie twoja wina, tylko zwykły wypadek.

- Dama, nie ma już na to czasu! - zawołał Ananiasz.

Dama delikatnie pokręcił głową.

- Igrzyska będą trwały jeszcze kilka godzin.
 - Nawet jeśliby to było możliwe do naprawienia, nie ty powinienes tam iść - mruknął cicho Erastus.
- Wyraz twarzy Damy nie uległ zmianie. - Właśnie, że ja.

*

Una szła przez Forum Trajana. Mimo deszczu na ulicach było pełno ludzi. Korzystając z wolnego dnia, robili zakupy, przemykając pomiędzy sklepami skuleni pod parasolami. Una także wzięła wolne z okazji uroczystości na cześć powrotu Faustusa do władzy. Niczego jednak nie kupowała i szła ulicami miasta z odkrytą głową. Deszcz był ciepły i ściekając pod płaszcz, znaczył kontury jej ciała, zmywając z niej jednocześnie całą niecierpliwość. Czuła, że myśli tymi samymi słowami co Marek. Nie można w ten sposób przeżyć całego życia, powiedziała sobie, i w jej głowie myśli miały głos Marka, choć on nigdy by tak nie powiedział na głos, nie do niej.

Przecież próbowała! Spędziła z nim tydzień do powrotu Noriko z Nionii i później żyła w samotności, aż do ostatniej nocy. Ustalili wtedy, że dalej będą tylko pisywać do siebie od czasu do czasu i nigdy się nie spotkają. Przekonywali się nawzajem, że zgadzają się na taki układ. Kiedy Una odzyskała siły, podjęła pracę w klinice. Teraz nawet cieszyła się, że jest blisko Suliena. Jej praca, polegająca na wypełnianiu dokumentów i pisaniu korespondencji, była nudna, ale poczucie pustki nie było tak dojmujące jak w watykańskim barze. Czasami Una zastanawiała się, czy nie popełniła błędu, odchodząc stamtąd. Zazdrościła Markowi jego pracy, w której nie miała już żadnego udziału. Dla takiej pracy warto się było poświęcić.

Listy od Marka wypełniał żal, że jej nie może zobaczyć, i prośby o spotkanie. Una znowu zadawała sobie pytanie, przed

czym tak się broni, jednocześnie torturując ich oboje. Czy naprawdę wierzyła, że bycie z Markiem uczyni ją nieszczęśliwą? Czy mogło to być gorsze od niewi-dywania go?

Nawet teraz, kiedy niecierpliwość przygnała ją w pobliże Koloseum i kiedy odmierzała każdą chwilę dzielącą ją od spotkania z nim, gdzieś w głębi duszy wyobrażała go sobie za kilkanaście lat, jak stoi obok Noriko i swoich ukochanych dzieci.

Mogła czekać na Marka w pałacu, ale ostatnio znowu czuła się tam jak ktoś obcy, kto nie ma prawa tam przebywać. Dopiero u jego boku to wrażenie zniknęło. Spojrzała na olbrzymie ekrany opasujące Koloseum, na których wyświetlano toczące się wewnątrz walki. Koloseum wyglądało tak, jakby część muru zniknęła, stała się przezroczysta. Una nie zwracała uwagi na to, co się dzieje na arenie, tylko szukała wzrokiem łoża cesarskiej i Marka. W końcu kamera pokazała go siedzącego obok Noriko. Una odwróciła się, zaciskając powieki. Sama sobie zadawała ten ból, jakby miało to być jakimś ostrzeżeniem lub z góry wymierzoną karą.

Deszcz przybrał na sile i Una postanowiła znaleźć jakieś miejsce, gdzie będzie mogła wysuszyć się i przeczekać. Minęła szybko Koloseum i skierowała się ku Drodze Labikańskiej. Właśnie miała skręcić w boczną uliczkę, gdzie znajdowała się przytulna mała tawerna, kiedy coś zmieniło się w powietrzu, jakby ktoś przekręcił kurek i na chwilę zamknął kran z deszczem. Jej wzrok sam skierował się w jedną stronę przyciągany przez jakąś nieznaną siłę. Patrzyła na mężczyznę idącego przed nią, kierującego się w stronę Koloseum. Człowiek ten miał twarz zasłoniętą kapturem, a z jego ramienia zwisała ciężka torba. Jego oczy, twarde niczym szkło i pełne przerażenia, zwróciły się ku Unie. Rozpoznali się w jednej chwili, nie

mogąc oderwać od siebie wzroku, jakby spętały ich niewidzialne więzy. Nagle także bariera, która zawsze ich dzieliła, stała się zupełnie przezroczysta i Una zrozumiała, co Dama zamierza. Wiedziała, dokąd się udaje!

Una czuła, że pod wzrokiem Damy nie może się poruszyć. Udało jej się zaczerpnąć powietrza i wyrwać z tego koszmarnego odrętwienia. Odwróciła się i wpadła do pierwszego z brzegu sklepu.

- Daldictor! Muszę natychmiast zadzwonić!

Był to modny sklep jubilerski, z kosztownymi perłami połyskującymi zza szklanych lad. Na widok jej przemoczonych włosów i wykrzywionej w desperacji twarzy właściciel skrzywił się niechętnie.

- Muszę zadzwonić po wigilów - jęknęła. - Proszę mi pomóc.

Była tak wzburzona, że nie wiedziała, co wykrzyczała wigilom ani ile czasu to zajęło. Wybiegła na ulicę, potykając się na mokrym chodniku. Gdzie on się podział? Zaczęła przedierać się przez tłum w stronę Koloseum, czując, że nogi ma jak z waty. Brakowało jej tchu, ale próbowała biec jeszcze szybciej.

Zobaczyła go, jak obraca się nerwowo i rozgląda po ulicy, starając się ją wypatrzeć. Ku jej zdziwieniu skręcił w boczną uliczkę. Una chciała zawołać, żeby ktoś jej pomógł i go zatrzymał, ale tak bardzo walczyła o każdy oddech, że niczym tonący nie mogła wykrztusić z siebie ani słowa. Zresztą miała wrażenie, że i tak nikt by jej nie pomógł. Co najwyżej uznaliby, że została okradziona albo że jest psychicznie chora. Nikt nie chce się mieszać w takie sprawy. Przebijała się przez tłum, przyspieszając kroku i kierując się w ulicę, w której zniknął Dama. Mniejsze sklepiki były pozamykane, a uliczka prawie pusta. Dama biegł w górę ulicy ze schyloną głową. Jestem

szybsza od niego, powiedziała sobie, zmuszając odporne ciało do wysiłku, zaciskając zęby, jeszcze bardziej przyspieszając kroku. Nagle zobaczyła, że Dama się zatrzymuje. Ku jej zdumieniu odwrócił się i puścił pędem w jej stronę. Wpadł na nią z rozpędu, a Una złapała go za rękę, wbiła się paznokciami w jego ubranie.

- Zostaw mnie - powiedział głosem, w którym nie było słyhać złości, tylko błaganie.- Nie idź za mną. Rozumiesz? Musisz stąd odejść!

Nic nie odpowiedziała. Nie było nic do powiedzenia, nie znała słów, które mogłyby do niego dotrzeć. Trzymała się go kurczowo, starając się uniemożliwić mu zrobienie choćby kroku, tak jak kiedyś próbowała powstrzymać Marka. Bez słowa patrzyła mu w oczy.

- Boże - jęknął Dama, próbując się oswobodzić. Jego twarz wykrzywił ból, zmieniając go nie do poznania. - Puść mnie. Puszczaj!

Una tylko zaciskała pięści.

Z ust Damy wydobył się przypominający skowyt jęk. Odwrócił głowę, żeby nie patrzeć na to, co robi, i z całej siły pchnął ją na ścianę. Una uderzyła głową w mur i osunęła się bezwładnie na ziemię.

Wiedział, że musi natychmiast się stąd oddalić, jednak przez chwilę stał jak sparaliżowany, Una zamrugła słabo, ale zaraz głowa jej opadła, a na kamienie pociekł strumyk krwi. Dama modlił się w duchu, żeby było to jedynie omdlenie. Najchętniej położyłby się obok niej, głaskał ją po twarzy i błagał o wybaczenie. Byłoby w tym coś tak fałszywego, że czuł, iż nie ma do tego najmniejszego prawa.

Cokolwiek się zdarzy, Una była bezpieczna.

Wąska alejka prowadziła z uliczki do placu wokół Kolo-

seum. Dama wyprostował się i puścił biegiem w tamtym kierunku.

*

W igrzyskach nastąpiła krótka przerwa. Orkiestra zagrała przerywnik, kiedy na arenę wybiegła obsługa, żeby wynieść ciała zabitych niedźwiedzi polarnych. Inni zabrali na noszach gladiatora, który dostał się w pazury niedźwiedzia, zanim jego kolega pospieszył mu z pomocą i przebił bestię włócznią. Noriko wstała z fotela.

- Wracam do domu - oznajmiła.

- Proszę, nie idź. Do końca zostało parę godzin - powiedział Marek, który nie miał pojęcia, co działo się do tej pory na piasku. Był tak zamyślony, że mógł równie dobrze gapić się na pustą arenę.

- Nie wytrzymam jeszcze jednej godziny tego widowiska. Zresztą wszyscy już się na nas napatrzyli. Powiedz, że źle się poczułam. Poza tym to prawda.

Marek puścił jej rękę. Makaria nachyliła się do niego z pytającą miną, gdy Noriko wyszła z łoży, ale w tej samej chwili znowu zapłonęły reflektory.

*

Zbliżając się do Koloseum, Dama rzucił okiem na monitory opasujące budynek cyrku. Na arenie ustawiono jakąś stalową konstrukcję w kształcie kopuły, na której tańczyły i pokazywały ewolucje dwa zespoły tancerzy. Na trybunie cesarskiej nie było Noriko i Dame przeszły paniczny lęk, że właśnie traci swoją szansę. Od czasu gdy Una wypatrzyła go na ulicy, mogło minąć pięć minut. Dama ścigał się teraz z czasem. W każdej chwili mogli ewakuować łożę cesarską i kazać ludziom

opuścić cyrk.

Ochłonał na chwilę. Co mu chodzi po głowie? Przecież nie chciał skrzywdzić księżniczki.

Wstęp na igrzyska był darmowy i wielu ludzi starało się dostać do środka. Strażnicy powinni sprawdzać torby, ale byli zajęci tłumem, który się pchał do środka. Dama wziął głęboki wdech i skierował się ku wejściu pilnowanemu przez dwóch strażników, zajętych odganianiem pijaka i kłócej się grupki ludzi. Dama przeciskał się w milczeniu przez tłum, czekając na moment, kiedy strażnik będzie zbyt zajęty kłótnią z przywódcą hałaśliwej grupy, żeby zwracać uwagę na spokojnego mężczyznę.

Nadszedł odpowiedni moment. Strażnik zdążył się obrócić i przez chwilę miał minę, jakby chciał cofnąć Damę do kolejki, ale Dama uśmiechnął się tylko do niego zawadiacko. Ten rozbijający uśmiech kosztował go więcej, niż sądził. Zebrał siły, by ruszyć dalej. Przed nim kłębiły się tłumy gapiów.

Niższe rzędy były przeznaczone dla arystokracji i bogaczy i odgradzał je kordon strażników, którzy pilnowali wejść. Łatwiej było się dostać na zewnętrzne galerie. Tłum nowo przybyłych pchał się na wyższe tarasy i skupiał wokół łuków, pod którymi zaczynały się wewnętrzne korytarze. Dama puścił się biegiem jednym z tych korytarzy, spoglądając nad głowami gapiów w stronę loży honorowej.

Kiedy znalazł się na wysokości loży, ruszył biegiem w górę po schodach. Nikt na niego nie zwracał uwagi; wszyscy byli skoncentrowani na igrzyskach. Koloseum zatrzęsło się od potężnego ryku, który odbił się echem od ścian. Dama otworzył małe drzwiczki i wbiegł na poziom konserwacyjny składanego dachu. Nagle znowu był sam, zawieszony wysoko nad ziemią.

Zdjął z głowy kaptur, czując, jak wiatr targa mu włosy. W deszczu Rzym wydawał się dziwnie bliski. Pałac, świątynia Saturna, Circus Maximus były niczym na wyciągnięcie ręki.

Dama położył się i zaczął pełznąć po mokrym szkłe. Czuł ciepło pochodzące od mocnego oświetlenia, a jego dłonie wydawały się czarne. Czołgał się do przodu niczym malutki pajęczek na wielkiej sieci, przytrzymując się stalowego żebra, które utrzymywało konstrukcję dachu. Eksplozja owacji pod nim wstrząsnęła szklaną konstrukcją. Z góry rzędy z wiwatującymi ludźmi oświetlonymi potężnymi reflektorami przypominały zatopione miasto pod zamarzniętym morzem. W końcu znalazł się dokładnie na łożu cesarską. Był zupełnie opanowany i skoncentrowany na zadaniu. Nie spieszył się już nigdzie i nie musiał myśleć o Unie. Przyklepił materiał wybuchowy do żebra konstrukcji i podłączył detonator.

*

Una podniosła z ziemi głowę. Czowała ból w całym ciele, jakby drżało w niej coś obcego, nad czym nie miała żadnej władzy. Przed jej oczami latały czarne i białe plamy. Musi wstać. Udało jej się ruszyć ręką i dotknąć tyłu głowy. Namacała mokrą plamę na włosach, to stamtąd promieniował ból. Teraz widziała już trochę wyraźniej. Podniosła się z ziemi, podtrzymując się ściany, i ruszyła przed siebie chwiejnym krokiem. Zaczęła biec.

*

Druzus nudził się śmiertelnie. Igrzyska były mdłe i głupie, jak zresztą mógł przypuszczać, biorąc pod uwagę delikatny stan wuja i upodobania kuzyna. Przynajmniej Faustus dobrze się bawił. Druzus obserwował ukradkiem, jak na jego

twarży błąka się pełen przyzwolenia uśmiech. Czuł, że Marek, który siedział w drugim końcu łoży, ukrywa swój brak zainteresowania widowiskiem pod maską nowiu-szowskiego uśmieszku, ale nie oglądał się w jego kierunku.

Zamiast tego, ponieważ widok Noriko przypomniiał mu Tulliole, Druzus rozmyślał o swojej niewolnicy Amaryllis. Uwięziony na Kanaru, potrzebował jej ciała nazbyt często, a po każdym spotkaniu jedynie narastała w nim wściekłość i poczucie bezsilności. Ostatnim razem zostawił ją całą posiniaczoną. Teraz rozważał stary pomysł, żeby pozbyć się jej, pozwolić jej odejść. Nawet udało mu się wyobrazić sobie tę scenę, jak podpisuje dokumenty, obdarzając dziewczynę z uśmiechem wolnością i pieniędzmi. Podążałyby za nią wzrokiem, gdy opuszczałyby jego dom, wyzwolona niewolnica z własnym nazwiskiem - Nowiana.

Druzus, ze wzrokiem utkwionym w arenę, drgnął tak gwałtownie, jakby zareagował na upadek właśnie pokonanego gladiatora. Imię, które wymówił przed chwilą w myślach, uderzyło go niczym szrapnel.

Dawno temu przestał już wierzyć w prorocstwo Sybilli. Teraz powtórzył w myślach jej słowa tak, jak je zapamiętał.

Obiecała mu cesarstwo i ostrzegła, że ktoś mu popsuje szyki. No-wiuszowa gałąź. Zupełnie naturalnie założył, że chodzi o drzewo rodzinne, którego najnowszą gałęzią był najmłodszy członek rodziny, Marek. A jeśli mówiła jedynie o nazwisku Nowiusz?

Nigdy nie słyszał, żeby Una czy Sulien mieli jakieś rzymskie nazwisko, gdyż nigdy nie należeli do jego rodziny. Byli jednak wolni i w dodatku zostali uwolnieni przez Nowiusza. Bez wątplenia Unie musiano nadać jakąś formę rodzinnego nazwiska - Nowiana.

W nagłym, szokującym przeblysku zrozumienia poczuł, jakby to on był wyrocznią, jakby przez jego usta starał się przedostać węzeł przeznaczenia. Kiedy Salwiusz uwolnił go z więzienia, Druzus, udając, że usłyszał wróżbę od Sybilli, przekazał wujowi przestrożę dotyczącą Uny, kobiety o mocach czarownicy, która zyska potężną moc i zagrozi dynastii. Teraz czuł, jak blisko był wtedy prawdy, zupełnie jakby w jednej przepowiedni kryła się druga, głębsza, którą niemal udało mu się wydobyć na światło dzienne. Nie prawdziwy Nowiusz, ale Una Nowiana. Nie, rzecz jasna pozostawał jeszcze jej brat - Sullien Nowianus.

Co Sybilla by im powiedziała, gdyby udali się do Delf? Druzus miał wrażenie, że potrafi zgadnąć. Powiedziałyby im o nim i że mają go zniszczyć. Ich nadludzkie moce były tego najlepszym dowodem.

Na chwilę zapomniał, jak bardzo jest bezsilny, że każdy jego ruch jest obserwowany. Przepęniała go niezwykła pewność, że nikt i nic nie obroni ich przed nim.

Wtedy sobie przypomniał. Już wygrali, pomyślał, opadając na fotel i zagłębiając się w znajomej nienawiści. Nie był cezarem. Już za późno, żeby coś zmienić.

Zobaczył, jak korytarzem biegnie pretorianin, krzycząc jakieś ostrzeżenie, i otaczający ich strażnicy zerwali się z miejsc, gotowi ich wyprowadzić w bezpieczne miejsce. W umyśle Druzusa zabłyśły dziwne słowa: Na podłodze leży szkło...

Kolumna ognia rozdarła dach Koloseum, a na ziemię poleciały fragmenty stalowej konstrukcji i szkła.

*

Wybuch wyrzucił go w powietrze i Dama poleciał nad

stalowymi dźwigarami. Coś wbiło mu się w ramię i pocięło twarz. Rzęsisty deszcz szklanych odłamków poharatał mu całe ciało. Łoskot eksplozji zdawał się rozdzierać niebo.

Nagle wszystko ucichło. Dama leżała nieruchomo na osmalonych panelach. Przed nią rozwierała się paszcza krateru, z której wydobywał się zwarty krzyk przerażenia niczym rozgrzana lawa.

Nie był aż tak ranny, żeby nie mógł się ruszać. Gdyby posłał kogoś do tej roboty, to nakazałby mu jak najszybciej zejść z dachu i spróbować wtopić się w tłum. Przyjdą po niego wigilowie lub pretorianie. Jednak w tej chwili Dama miał uczucie, że nigdzie mu się nie spieszy. Miał wręcz nieskończenie wiele czasu. Podciągnął się bliżej dziury w dachu, a wokół niego na szkłe pojawiały się pęknięcia i rysy.

Spojrzał w dół na rozerwaną arenę. Był zbyt wysoko, żeby zobaczyć, co się stało z ludźmi w łoży cesarskiej, ale nawet nie próbował ich wypatrzeć. Spoglądał z oszołomieniem na przerażoną tłuszcę, która falowała, starając się wydostać z pułapki. Zamęt był zbyt wielki, żeby ogarnąć go rozumem. Każda sekunda odrywała się od poprzedniej i każda chwila jego życia, która doprowadziła go do tego miejsca, każdy obraz z rozgrywającej się pod nim sceny były niczym ze sobą niezłą-czone i niepojęte. Ukląkł na popękany panelu, rozumiejąc, że nigdy się nie dowie, co zrobił.

Usłyszał, jak idą po niego. Rozpoznał ich głosy i nie czuł potrzeby, żeby odwrócić się i spojrzeć na nich.

Spod jego kolan oderwał się kawałek szkła i metalu. Ciało Damy straciło oparcie, zwinęło się i nagle znalazło w powietrzu. Chciał coś jeszcze wyszeptać w myślach, zanim zgaśnie życie, ale brakowało mu czasu i nie było to tak, jak sobie wyobrażał...

**KRÓTKA HISTORIA CESARSTWA RZYMSKIEGO OD
933 AUC DO CZASÓW DZISIEJSZYCH (180 AD - 2004 AD)**

AD - Anno Domini - od narodzin Chrystusa

AUC - Ab Urbe Condita - od założenia Miasta (Rzymu)

Miłym, a zarazem smutnym zadaniem Pertynaksa było wygoić o tyle, o ile to było możliwe, rany zadane ręką tyranii.

Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego, Edward Gibbon, tłumaczenie Stanisław Kryński.

AD AUC

180 933 Śmierć Marka Aureliusza. Jego syn, Lucjusz Eliusz Aureliusz Kommodus zostaje cesarzem.

192 945 W wyniku krwawych i rozrzutnych rządów Rzym podupada, toczony korupcją. Kommodus ginie, zamordowany przez spiskowców, wśród których znajduje się pokojowiec Eklektus, konkubina i Letus, prefekt pretorianów (miejskiej gwardii, której formalnym zadaniem była ochrona cesarza). Spiskowcy twierdzą, że Kommodus zmarł w wyniku apopleksji, i osadzają na tronie sześćdziesięciosześcioletniego Publiusza Helwiusza Pertynaksa, syna wyzwolenca, który zdobył rangę generała, prefekta stolicy i konsula.

DYNASTIA HELWIAŃSKA

192-204 945-957 We wczesnym okresie panowania Pertynaksa Letus, zaniepokojony jego niezależnością, inspiruje spisek gwardii pretoriańskiej. Spisek zostaje odkryty,

(W tym miejscu moja wersja historii Cesarstwa Rzymskiego różni się z historią standardową. W rzeczywistości spisek się powiódł. Utalentowany i uczciwy Pertynaks (który zaplanował wiele wymienionych tu reform) został zamordowany zaledwie po osiemdziesięciu sześciu dniach panowania, a pretorianie sprzedali tron temu, kto zaproponował największą stawkę. Dydusz Julian kupił sobie tytuł cesarski, ale wkrótce potem został zdetronizowany i skazany na śmierć decyzją Septymiusza Sewera, który wrócił z Panonii, by pomścić Pertynaksa. Sewer rozwiązał wiele problemów Rzymu i przez pewien czas jego rządy wydawały się sprawiedliwe. Jednak pozbawił senat władzy i dopuścił do korupcji i rozluźnienia dyscypliny w armii, co podkopało stabilność cesarstwa. Gibbon pisze o Sewerze: *Potomność, która doświadczyła fatalnych skutków jego maksym, słusznie uznała go za głównego sprawcę upadku Cesarstwa Rzymskiego.*)

a Letus wygnany. Pertynaks rozwiązuje niemal całą gwardię pretoriańską i osobiście wybiera wierną sobie gwardię przyboczną. Jednocześnie powiększa liczebność i siłę wigilów w celu stworzenia równoważnej organizacji policyjnej, dochodząc do wniosku, że w przyszłości obie te organizacje będą nawzajem wykrywać w swoich łonach spiski przeciwko cesarzowi. Pertynaks znosi dotkliwe podatki Kommodusa. Ogranicza wydatki pałacu cesarskiego, przyznaje ulgi podatkowe rolnikom i znosi restrykcje handlowe. Nakłada na miejską arystokrację większe podatki, lecz dzięki kwitnącym gospodarstwom rolnym miasta zaczynają się bogacić. Cesarz przyznaje senatowi pewną część utraconej władzy.

204 957 Śmierć Pertynaksa.

Po katastrofalnych rządach Kommodusa Pertynaks zwlekał z ogłoszeniem swojego syna, Publiusza Helwiusza Pertynaksa II Venedicusa, cezarem i następcą tronu. Uczynił to dopiero na łożu śmierci. Senat zaaprobował jego decyzję.

204-220 957-973 Pertynaks II kontynuuje reformy ekonomiczne swojego ojca, stopniowo odbudowując bogactwo cesarstwa. Kiedy warunki ekonomiczne zaczynają na to pozwalać, przystępuje do przebudowy armii, oddziela legiony z granicznych garnizonów i tworzy nowe oddziały. Wprowadza rewaloryzację żołdu w stosunku do inflacji, stabilizuje zarobki żołnierzy, dzięki czemu stają się oni mniej podatni na przekupstwo, a jednocześnie podwyższa standardy rekrutacyjne.

225 978 Ardaszir, król Persji, zabija ostatniego władcę Partii i tworzy cesarstwo perskie Sasanidów, w którym religią państwową jest zaratusztrianizm.

238 991 Ponowne ataki plemion germańskich znad Renu i Dunaju. Odnowiona armia stawia opór i odpiera barbarzyńców. By skuteczniej pozbyć się zagrożenia, pomimo protestów ze strony rzymskich Brytów, Pertynaks II wycofuje legiony z Brytanii i prowadzi potężną armię na Germanię i Sarmację.

230-240 983-993 Ardaszir najeżdża Indie i rzymskie tereny w Syrii. W 240 jego syn Szapur zasiada na tronie Persji.

238-242 973-978 Pertynaks II podbija Germanię i Wenedię, robi postępy w Fennii i Gocji.

242-256 978-992 Konflikt z Persją o Armenię. Rzym odzyskuje Syrię.

256 992 Śmierć Pertynaksa II, objęcie rządów przez Lucjusza Helwiusza Pertynaksa Sarmaticusa. Rzym nadal odnosi zwycięstwa nad plemionami z Europy Wschodniej w Sarmacji i Alanii.

260-265 996-1009 Nadal na fali uniesienia po zwycięstwie w Germanii żołnierze rzymscy, zasileni ogromną liczbą germańskich barbarzyńców oraz posiłkami z Palmyry, atakują i podbijają cesarstwo perskie Szapura.

265-291 1009-1044 W Persji wybuchają sporadycznie powstania i zamieszki na granicach z rzymską Persją, ale panowanie Rzymu pozostaje zasadniczo niewzruszone.

291-313 1044-1066 Rządzony przez adoptowanego syna Sarmaticusa, Gajusza Flawiusza Sulpicianusa, Rzym traci Persję i Mezopotamię.

313-345 1066-1098 Marek Flawiusz Sulpicianus Cruentus ponownie podbija Persję i Mezopotamię. Rzeź i zniewolenie tysięcy Persów. Prześladowania chrześcijan, zartusztrian i żydów w całym cesarstwie. Inwazja i podbój Arabii. Cruentus propaguje rzymską religię bądź ro-manizację miejscowych bóstw w rozszerzonych granicach Cesarstwa Wschodniego.

347-447 1100-1200 Od tego momentu najwygodniej będzie przedstawiać ogólne zyski, straty i technologiczne osiągnięcia każdego stulecia.

DRUGA DYNASTIA FLAWIUSZÓW 1066-1234 AUC

Ponowny podbój Brytanii, wraz z Hibernią i Kaledonią. W owych czasach kultura celtycka przeżywała rozkwit, ale wciąż żywa nostalgia Brytów za rzymskim panowaniem znacznie ułatwiła zwycięstwo. Sporadyczne najazdy Hunów, odpieranych lub zagarnianych przez Rzym, skutkują stopniową, niesystematyczną ekspansją Rzymu w głąb Scytii.

447-547 1200-1300 DYNASTIA ACYLINÓW 1234-1618 AUC

Systematyczny podbój Scytii. Ekspansja przez terytorium Persji do Indii. Przewlekłe wojny o umocnienie panowa-

nia rzymskiego. Romanizacja bóstw indyjskich.

547-647 1300-1400 Tłumienie powstań i buntów w Indiach i wynika jąca z tego niestabilność regionu bez reszty zajmuje siły militarne - brak podbojów.

647-747 1400-1500 Nieudana próba podboju Siny (Chin), nieustające problemy w Syrii, Persji i Indiach.

747-847 1500-1600 Utarczki graniczne z Siną. Kruchy pokój z Indiami i Persją, ale przez następne stulecia jakakolwiek oznaka słabości cesarstwa prowokuje ponowne wybuchy konfliktu. Niegdyś licząca się sekta chrześcijan zasadniczo przestaje istnieć. Nieustanne prześladowania żydów i zartusztrian słabną, choć wyznawcom tych religii nadal odmawia się pełnych praw obywatelskich.

847-947 1600-1700 DYNASTIA KORDIAŃSKA
1618-1836 AUC

Libia i inne rzymskie państwa Afryki Północnej usiłują pokojowo oddzielić się od cesarstwa, ale Afryka odgrywa zasadniczą rolę w dostarczaniu żywności światu rzymskiemu. Wprowadzenie silniejszej kontroli wojskowej.

947-1047 1700-1800 Pod rządami dynastii Song Sina jednoczy się i stabilizuje. Rzym początkowo jest zaniepokojony rosnącą potęgą Siny, ale cesarz uważa, że Rzym jest niezwyciężony, ponowny atak na Sine byłby kosztowny i daremny i dlatego nie ma potrzeby narażać przynoszącego zyski układu handlowego z Siną. Związki między krajami pozostają serdeczne, zwłaszcza odkąd Sina zaczęła popierać rzymskie panowanie w Indiach.

1047-1147 1800-1900 DYNASTIA BLANDIAŃSKA
1836-2176 AUC

Rzymianie udzielają dynastii Song pomocy przeciwko powstaniu Dżurdzeńów. Rzym przejmuje sinoańskie innowa-

cje, na przykład papierowe pieniądze, bankowość, rzymską wersję pewnych fasonów ubrań - oraz proch.

1147-1247 1900-2000 Rzym, bardziej skłonny do stosowania nowego odkrycia podczas działań wojennych niż sami sinoańscy odkrywcy, jednoczy się z Siną przeciwko Mongołom, czym ratuje dynastię Song. Pierwszy rzymski kontakt z Nionią (Japonią), mile widzianym nowym źródłem pożądanych orientalnych towarów, lecz na razie Rzym nie jest politycznie zainteresowany tym archipelagiem wysp, wstrząsanych wewnętrznym podziałem i wojnami.

1247-1347 2000-2100 Uzbrojeni w działa Rzymianie napadają Etiopię. Sina obserwuje z niepokojem tę nową fazę podbojów. Nioniański cesarz Go-Daigo składa wizytę w Rzymie, dowiaduje się o rzymskich podbojach i sprowadza tajemnicę prochu do Nionii.

1347-1447 2100-2200 Go-Daigo przewodzi Restauracji Kemmu, wykorzystując broń palną przeciwko potężnemu regentowi Hojo. Odzyskuje władzę cesarską i jednoczy Nionię. Dalsze wyprawy badawcze i podboje Afryki napotykają trudności, kiedy afrykańskie państwa rzymskie niespodziewanie buntują się przeciwko Rzymowi. Rzymscy badacze przerywają próbę opłynięcia kuli ziemskiej z wieściami o krótkim pobycie na ogromnym kontynencie na Zachodzie. Nazywają go Terranową, ale nie jest to dobra pora na militarne wyprawy. Zaraza w Europie i częściowo w Sinie. Cesarz Blandiusz Postumus umiera niespodziewanie i rozpoczyna się walka o władzę, jakiej nie widziano od ponad tysiąca lat.

1447-1547 2200-2300 Pierwsza maszyna elektrostatyczna. Po szeregu efemerycznych cesarzy senat osadza na tronie Sekstusa Wincjusza Sacerdosa.

DYNASTIA WINCJAŃSKA 2204-2509 AUC

Sacerdos usiłuje jeszcze umocnić swoją pozycję, kiedy Nionia atakuje Koreę i wkracza na terytorium Siny. Sina zwraca się do Rzymu o pomoc, ale prośba ta przychodzi w najgorszym momencie. Rzym walczy o przetrwanie podczas własnych wewnętrznych konfliktów, afrykańskich problemów, odbywających się na nowo indyjsko-perskich zatargów i dziesiątkującej naród zarazy. Cesarz nie ma możliwości udzielenia wsparcia. Sina walczy z Nionią samotnie, ale musi oddać wielkie połacie swoich ziem. Zaognienie stosunków Rzymu z Siną i Nionią. Rzym stara się naprawić straty ostatniego stulecia. W ramach próby odbudowy rzymskiej solidarności Sacerdos przydziela pełne prawa obywatelskie wszystkim wolnym mieszkańcom cesarstwa, niezależnie od narodowości i wyznania, zabraniając wyzwolencom jedynie sprawowania urzędu.

1547-1647 2300-2400 Tymczasem rozkwit Nionii trwa. Nioniańscy zdobywcy badają teren południowej wyspy i nazywają go Goshu. Kiedy Nionia przystępuje do kolonizacji Goshu, Rzym zaczyna się poważnie niepokoić. Nionia sprawia wrażenie poważnego rywala cesarstwa. Rzym wywiera nacisk na Nionię, by zaprzestała dalszego zdobywania ziem, od Siny wymaga tego samego, ale Sina, będąca państwem buforowym między Rzymem i Nionią, nabiera skłonności do zamykania się w sobie i rząd sinoański odmawia angażowania się.

Trwa rzymski podbój Afryki.

Kolejne eksperymenty wykorzystujące elektryczność i magnetyzm.

Rzym rozpoczyna w końcu poważną inwazję na środkową i południową Terranową, czyniąc ostrożne postępy w głąb Meksyki, Mai i Arawacji.

Nionia idzie w jego ślady, atakując Terranową od północy. Rzym jest wyjątkowo zaniepokojony i rozpoczyna po-

ważne debaty nad rozpoczęciem wojny, ale na razie, ku niezadowoleniu wielu osób, nie podejmuje decyzji. Pomiędzy dwoma potęgami nadal znajduje się ogromny teren, na którym żyją ludy tubylcze.

1647-1747 2400-2500 Nionia uderza na południe, budząc strach Rzymu, że nie tylko zdobędzie cenne terytorium, lecz także że rzymskie prowincje w Terranowie zostaną zagrożone. Konflikt jest nieunikniony; zdominuje on całe następne stulecie. Dwie armie suną ku sobie przez cały kraj - Rzymianie prą na północ z południowego wybrzeża północnego kontynentu, po drodze usiłując siłą lub pochlebstwem skłonić tubylców do współdziałania. Ciąg kolejnych konfliktów, aczkolwiek różniących się stopniem intensywności i przedzielonych krótkimi, niepomyślnymi rokowaniami pokojowymi, wyróżnia się brutalnością i często chaosem, nie wyłączając bitew morskich na Atlantyku i wokół Nionii. Ziemię kilkakrotnie przechodzą z rąk do rąk, ginie wielu Rzymian, Nionian i Terranowian. Meksykański Półwysep Kamijski miał znaczenie szczególne, bo gdyby Rzym pozwolił Nionianom go zagarnąć, oznaczałoby to życie w nieustannym oblężeniu. Cesarz Wincjusz Arkadiusz umiera w niejasnych okolicznościach, a jego brat Nasenniusz przejmuje władzę. Rzymska armia i gospodarka doznały uszczerbku. Podczas krótkiej przerwy w konflikcie rzymsko-nioniańskim, w ostatnich latach XXV wieku, rozpoczyna się pierwsze powstanie afrykańskie w prowincji Lundae.

Pierwsze bardzo powolne pojazdy elektryczne zaczynają kursować po torach magnetycznych.

1747-1847 2500-2600 Pierwszy przypadek szaleństwa w rodzie Nowiuszów. Powstanie afrykańskie czasowo stłumione. Podczas drugiego powstania afrykańskiego w 2503 w

okolicy Wodospadów Musitania (Mosi-oa-Tunya) dochodzi do masakry źle uzbrojonego legionu rzymskiego. Za tę klęskę powszechnie obwinia się Nasenniusza.

Oppiusz Nowiusz, szwagier Nasenniusza, zyskuje poparcie w senacie. Po wybuchu epidemii ospy w Rzymie Nasenniusz popełnia samobójstwo. Nie pozostawia potomka. Władzę przejmuje Oppiusz Nowiusz.

DYNASTIA NOWIUSZÓW 2509 AUC - CZASY OBECNE

Rzym umacnia swoje panowanie w północnej Afryce. Afryka Południowa osiąga niepodległość.

Mimo iż zakończenie konfliktu i zachowanie północnego terytorium stanowią istotne sukcesy Rzymu, jest to dla cesarstwa pierwsza poważna utrata ziem od stuleci. Jedność cesarstwa zaczyna się kruszyć; w Terranowie wybucha konflikt, dawne zadrażnienia w Indiach znowu ożywają. W 2512 brat Oppiusza, Serwiusz, ulega dziedzicznemu obłądowi. Oppiusz stara się odbudować stabilność kraju. Udaje mu się odnieść sukces w Terranowie, gdzie Rzymianie posuwają się na północ. Zadanie to jest ułatwione dzięki nowym wynalazkom, na przykład dalskryptowi -opracowanej w 2511 metodzie przesyłania wiadomości poprzez impulsy elektryczne. Umożliwia ona precyzyjne zarządzanie terytorium położonym po drugiej stronie morza. Kable dalskryptowe zostają przeciągnięte po dnie Atlantyku i przez całą Afrykę. Trzydzieści lat później pojawiają się daldictory. Rzym zyskuje możliwość o wiele szybszej reakcji na wszelkie przyszłe niepokoje. Trwają wzmożone prace nad znalezieniem godnej zaufania postaci podróży powietrznych. Wojsko rzymskie góruje - w niewielkim stopniu - nad nioniańskim, lecz wydaje się, że zupełne wyparcie Nionian z Terranowy będzie niemożliwe. Dlatego Rzym w końcu zawiera niechętny układ z Nionią i północna Terranowa zostaje

podzielona pomiędzy dwa cesarstwa.

Na mocy traktatu miksigańskiego wzdłuż kontynentu staje ogromny mur. Stosunki handlowe Nionii i Rzymu zostają wznowione, lecz daje o sobie znać nieustanna nieufność i rywalizacja. Rzym opracowuje nowe materiały wybuchowe. Nionia nieustannie pozostaje o krok w tyle. Rzym zaczyna zdobywanie Terranowy Południowej.

Rzym rozpoczyna unowocześnianie sieci dróg, jednocześnie budując potężny system dróg magnetycznych w całym cesarstwie.

1847-1947 2600-2700 Rozwój lotnictwa dzięki wynalezieniu śmigieł - pierwszy spiralot.

Dalsza kolonizacja północnej i południowej Terranowy. Trwa wojskowa rywalizacja z Nionią.

HISTORIA WSPÓŁCZESNA

1943 2697 Narodziny Tytusa Nowiusza Faustusa.

1949 2702 Narodziny Lucjusza Nowiusza Faustusa.

1958 2711 Narodziny Tercjusza Nowiusza Faustusa.

1969 2722 Tytus poślubia Julię Sabinę.

1971 2724 Julia rodzi Nowię Faustynę (Makarię).

1977 2730 Lucjusz poślubia Druzyllę Terencję.

1979 2732 Druzylla rodzi Druzusa Nowiusza Faustusa.

1981 2734 Lucjusz zapada na dziedziczny obłąd.

1982 2735 Umiera Gajusz Nowiusz Faustas Riksa. Tytus zostaje cesarzem. Tercjusz Nowiusz zostaje przeniesiony do środkowej Terranowy. Opanowuje powstanie Azteków i dzięki odwadze nadane mu zostaje imię Leon (łac. *Leo* -Lew). Zostaje

uznany za bohatera, ale widzi zniewolenie setek dotychczas wolnych Azteków i to doświadczenie wywiera na niego wstrząsający wpływ.

1983 2736 Faustas rozwodzi się z Julią.

1984 2738 Leon poślubia Klodię Aurelię. Za aprobatą senatu Faustas wyznacza Leona na cezara i następcę tronu.

1988 2741 Klodia rodzi Marka Nowiusza Faustosa Leona.

1996 2749 Faustos poślubia Tullię (Tulliolę) Marcjanę.

2004 2757 W połowie sierpnia Leon i Klodia giną w wypadku samochodowym w Alpach Galijskich. Marek, któremu udaje się przeżyć zamach na jego życie, ukrywa się w nielegalnym obozie zbiegłych niewolników w Pirenejach. Asystent Leona, Wariusz, zostaje publicznie oskarżony o zabójstwo.

Wraz z powrotem Marka Nowiusza wychodzi na jaw spisek mający na celu niedopuszczenie, żeby przeciwnik niewolnictwa został cesarzem. Do spisku należy żona cesarza Tullia Marcjana i bogaty przedsiębiorca budowlany Gabiniusz. Wigilowie zabijają Gabiniusza podczas próby ucieczki.

Faustus wyznacza Marka Nowiusza na następcę tronu. Nioniańskie prowincje zostają zrujnowane przez falę tsunami powstałą w wyniku trzęsienia ziemi.

2005 2758 W styczniu, przed rozpoczęciem procesu o zdradę i morderstwo, Tullia Marcjana zostaje znaleziona martwa w areszcie domowym.

Intensywne śledztwo doprowadza do rekonstrukcji oddziałów pretoriańskich i wigilów. Rośnie napięcie pomiędzy Nionią i Rzymem.

2006 2759 Nioniańscy ambasadorowie w Rzymie zostają oskarżeni o szpiegostwo i wydaleny z kraju. Ambasada

nioniańska zostaje zamknięta.

2007 2760 Upalne lato przynosi plagę pożarów na całym terytorium Cesarstwa Rzymskiego.

PODZIĘKOWANIA

Dla moich rodziców, którzy okazali anielską cierpliwość i zawsze spieszyli mi z pomocą.

Dla Maisie Tomlinson. W czasie prac przygotowawczych nad Ro-manitas zmusiłam ją do udawania ofiary ukrzyżowania, a pracując nad Rzym płonie, przeciągnęłam ją po całej podłodze. Nie mam jeszcze pomysłu, co z nią zrobię w trzeciej części.

Dla Pata Coksa i jego kolegów z The Fire Service College w More-ton-in-Marsh za nieocenioną pomoc przy zrozumieniu praw, jakimi rządzi się pożar.

Dziękuję Frances Ward, a także Jonathanowi Partingtonowi i Jenny O'Keefe z The Royal Arsenal za informacje dotyczące metod wytwarzania broni.

Jestem wdzięczna Momoko Abe i Wang Tong za sprawdzenie japońskich i chińskich nazw występujących w książce i za cenne sugestie. Dziękuję także Yasushiro Yamadzie za pomoc przy nazywaniu miejscowości.

Podziękowania dla Richarda Dawsona i Roberta Lowa za porady w kwestiach rzymskiej kultury, historii, itd.

Dla wszystkich, którzy mi pomagali w Rzymie i Chinach.

Dziękuję też mojemu agentowi Simonowi Trewinowi za podtrzymywanie mnie na duchu i dobry humor.

Table of Contents

KARTA TYTUŁOWA
MAPY
DYNASTIA NOWIUSZÓW
SPIS POSTACI
RZYM PŁONIE
MOTTO
ŻÓŁTY OGIEŃ
TOKOGANE
TOPÓR I RÓZGI
DELFY
RÓŻNE RODZAJE ŚMIERCI
PIEC
ZJAWA
POJEDYNEK
WYTRZYMAŁOŚĆ
NORIKO
IN NOMINE MEI
PODBITE ZIEMIE
ZWALONY LAS
KSIĘŻYCOWA BRAMA
PANI BEZ SMUTKU
RATUNEK
PIOŁUN
NIEUNIKNIONE
BURZA PIASKOWA
FLAMMEUM
OMNES VIAE
NIEWINNOŚĆ
DZIAŁANIA WOJENNE

ŚWIATŁA OSTRZEGAWCZE

NÓŻ

ŚWIATŁO OGNI

HOLZARTA

WYSPA

KOLOSEUM

KALENDARIUM

PODZIĘKOWANIA

